

Richards Emilie

Wyspa Whiskey

Whiskey... Niewielka wyspa na jeziorze Erie, gdzie w XIX wieku żyli biedni irlandzcy imigranci. Właśnie tam ponad sto lat temu miały miejsce ponure wydarzenia, których echo nie ucichło do dziś. "Wyspa Whiskey" to także nazwa irlandzkiego baru, który założyła protoplastka rodu Donaghue'ów, Rosaleen.

Megan Donaghue, obecna właścicielka "Wyspy Whiskey" i Nick Andreani, były ksiądz, poznają się w bardzo dramatycznych okolicznościach. Wydają się wprost stworzeni dla siebie, lecz bagaż tragicznych doświadczeń, które każde z nich dźwiga, uniemożliwia rozkwit ich miłości.

Czy młodzi zdołają uporać się z dręczącymi ich demonami? Czy rozwikłają mroczną tajemnicę z przeszłości? Dawno popełniona zbrodnia leży cieniem na ich życiu. Muszą się go pozbyć, by ich uczucia mogły przemówić. Jeśli tego nie zrobią, pozostaną na zawsze samotnymi wyspami.

18 stycznia, 1880

Być duszpasterzem, to trudnejjiziwne zadanie. Gnany powołaniem, wybrałem ubogi żywot, a jednak wśród moich wiernych spotykam tak wielką nędzę i upadek, że moje osobiste doznania bledną przy nich i wydającą zupełnie nieważne. Mimo to rodziny, którym służą, z cichym uśmiechem przychodzą do mnie, w darze serca niosąc wyrazy szacunku i ubogie prezenty.

Kobiety przynoszą świeżo upieczony domowy chleb lub dzikie kwiaty rosnące na fabrycznych popiołach, zaś mężczyźni zjawiają się z opowieściami, a nieraz z kroplą czegoś mocniejszego, co uśmierza ból, szarpiący ich pocziwe dusze.

Są między nimi i tacy, którzy odwiedzają wszystkie bary na Wyspie. Wylałem wiele łez nad owymi miejscami rozpusty, rozumiem jednak, że udręczonym sercom i umysłom przynoszą one chwilowe ukojenie i ulgą, a czasem nawet oczyszczenie. Jeżeli nagrodą za całą nędzę, z jaką borykają się ci prości ludzie, ma być niebo, to obawiam się, że nieraz właśnie trunek jest tym, co czyni taką podróż ku boskim polanom możliwą.

Sam bywałem w barach na Wyspie Whiskey i próbowałem nakłaniać przesiadujących tam bezustannie mężczyzn, by powrócili do swoich rodzin, jak też stawałem pomiędzy zwaśnionymi braćmi, którzy następnego ranka nie pamiętali zresztą o swoich sporach. Bywałem jednak również świadkiem przyja-

6

cielskich gestów i wyznań, słuchałem wielu legend o zamierzonych dziejach naszej ziemi, a także niezliczonych i tęsknych marzeń o przyszłości, jaka nas czeka, gdy Irlandczycy sięgną po to, co do nich należy.

Jeżeli u Świętej Brygidy odnajdujemy niebo dla naszych dusz, to być może bary Wyspy Whiskey są niebiosami dla naszych serc. I choć serce jest kapryśnym przewodnikiem, byłoby dobrze, gdyby każdy z nas choć czasami kierował się jego głosem.

Z dziennika ojca Patricka McSweeneya, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, Ohio.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cleveland, stan Ohio Styczeń 2000

Niccolo Andreani nie bywał w barach. Jeśli pił, to klasyczne chianti do obiadu w gronie przyjaciół, wytrawny winiak marsala podczas wieczornego pasjansa, lub wyrabiane, przez jego tokańskiego dziadka *vino santo*, którym wznoszono toasty podczas rodzinnych uroczystości. Nie odwiedzał barów, jednak często przechodził obok nich, gdy podczas bezsennych nocy włóczył się ulicami. Bar, kuszący szyldem „Wyspa Whiskey”, tkwił na Lookout Avenue niczym fałszywy rubin osadzony w naszyjniku ze sztucznych kamieni. W tym zaniedbanym, lecz radośnie zgiełkowym miejscu, znajdującym się w centralnym punkcie ulicy, zwykła gromadzić się grupka stałych bywalców. Szeroki chodnik przed wejściem pozwalał przechodniom uniknąć ich pijackich nagabywań. Niestety, pomysł Niccola, by tej nocy skręcić w ulicę Lookout i przejść obok baru, miał na zawsze zmienić jego życie. Taka myśl przebiegła mu przez głowę, kiedy zatrzymał się raptownie, aż podeszwy jego traperów zapisać na asfalcie parkingu na tyłach baru. Czy gdyby niepostrzeżenie zawrócił, zdąży sprowadzić pomoc, zanim wydarzenie, którego stał się świadkiem, zamieni się w tragedię?

* Lookout Avenue - dosłownie „Ulica Widokowa” (przyp. dum.).

Dobiegł go wściekły ryk mężczyzny i przeraźliwy krzyk kobiety. Wokół nie było żywej duszy, a zamknięte drzwi baru, chroniące wnętrze przed ostrym, zimowym powietrzem, tłumili odgłosy z zewnątrz. Złodzieje napadli na jeden z wozów na parkingu, a jedynym świadkiem zdarzenia był właśnie Niccolo.

Z ponurym poczuciem konieczności wkroczył na parking i wysoko uniósł ręce, oznajmiając w ten sposób, że jest nieuzbrojony. Jeden z dwóch mężczyzn, który na drugim końcu placu nerwowo biegał wokół samochodu, odwrócił się i wycelował pistolet prosto w pierś Niccola.

- Skądżeś się tu, u diabła, wziął?

Uniósł ręce jeszcze wyżej i tkwił nieruchomo w miejscu.

- Po prostu przechodziłem - skłamał.

- To masz niefart. - Mierzył do niego ciemnoskóry mężczyzna o twarzy przypominającej ile ułożone puzzle. Jakby dla kontrastu, drugi z rzezimieszków był jasnym blondynem o gładkiej niczym porcelana cerze.

- Słuchajcie - zagadnął pojednawczo Niccolo. - Opuśćcie sobie. Zostawcie ich w spokoju - wskazał na pasażerów uwięzionych we wnętrzu wiśniowej mazdy. - Powoli policzę do pięciuset, a wy po prostu znikniecie. Ktoś w barze może usłyszeć hałas i wezwać policję. -

- No to się módl, żeby im padło na uszy. - Ciemnoskóry rabuś obrzucił intruza jadowitym spojrzeniem. - To teraz moja bryka i jak mam dawać dyla, to właśnie nią.

Jakby dla podkreślenia wagi słów współnika, blondyn przystawił lufę pistoletu do przedniej szyby. Niccolo usłyszał kolejny stłumiony okrzyk z wnętrza auta. W świetle latarni dostrzegł, że w przednich fotelach kula się dwie młode, ledwie dwudziestoparoletnie kobiety, a z tyłu chowa się dziecko. Kobieta siedząca za kierownicą miała gęste, wijące się włosy

o barwie miedzi, natomiast pasażerka - proste i ciemne. Było oczywiste, że cała trójka wprost umiera z przerażenia.

- Wyłazić, bo rozwalę tę cholerną szybę! - ryknął wściekłe blondyn.

Niccolo poczuł, jak pod grubym ubraniem pot spływa mu po plecach.

- One boją się ruszyć - zauważył ostrożnie. Jego głos niósł się echem w mroźnym, nocnym powietrzu.

- Może będzie lepiej, jeśli cofniesz się i pozwolisz im spokojnie wysiąść?

- Coś się nie podoba, frajerze? - Blondyn oparł łokcie o dach samochodu i teraz on wziął Niccola na muszkę. - Skąd się tu wziąłeś?

- Akurat tędy przechodziłem, ale nie, chcę, by komuś stała się krzywda. Pozwólcie, może uda mi się je namówić, żeby wysiadły.

- Dobrze gada, cofnij się! - rzucił do partnera ciemnoskóry zbir.

Twarz blondyna od początku szpecił wyzywający grymas. Teraz, gdy przetrwał słowa współnika i wymachiwał nerwowo bronią, jego złowrogi uśmiezek stał się wręcz upiorny. Po chwili wahania bandzior jednak odstąpił o krok. Niccolo czuł, że serce tłucze mu się w piersi jak szalone.

- Będzie lepiej, jeśli wysiądziecie - zwrócił się spokojnie do oniemiałych ze strachu kobiet. - Oni nic wam nie zrobią, ale nie mają ochoty zbyt długo czekać.

- Cholera, dość tego! - wrzasnął blondyn i odskoczył do tyłu, wpadając na stary gruchot zaparkowany obok mazdy. - Wyłaź! - krzyknął do dziewczyny za kierownicą. - Ale już!

Parking był niewielki, wąski i skąpo oświetlony, a duży kontener zasłaniał kuchenne wyjście z baru.

Była wtorkowa, mroźna noc, do końca tysiąclecia brakowało zaledwie kilku tygodni. Była zbyt późna pora na kolację, ale zbyt wczesna

na szybkiego drinka przed snem i dlatego na placyku stało zaledwie Mika samochodów, zaś ulica wyglądała na wymarłą.

Niccolo modlił się w duchu. Boże, niech te kobiety zrobią wszystko, co tamci każą! Oby tylko nikt nie nadszedł i nie zachwiał delikatnej równowagi. Niech ci dranie odjadą stąd, nikogo nie krzywdząc.

Przez chwilę zastygł w najwyższym napięciu. W końcu drzwiczki wozu otworzyły się i z auta wysiadła wysoka kobieta. Jej jasnorude włosy lekko połyskiwały w rozproszonym świetle latarni.

— Nie oddam wam samochodu! - Uniosła wyzywająco głowę. - Najpierw musielibyście mnie zabić.

- Co, grozisz mi? - warknął blondyn. - Uważaj, bo czasami robię się nerwowy. Mam spluwać!

- Nie dostaniecie go - powtórzyła twardo. Ciemnoskóry odwrócił się ku niej.

- Kobieto, to tylko bryka - wtrącił. - Życie ci nie miłe? Jak mu nie dasz kluczyków, ten facet cię załatwi.

Zawahała się. - Chodzi wam tylko o samochód?

- Słuchaj no... - W tonie blondyna brzmiała jawna groźba.

- Proszę - powiedziała dość głośno, by jej słowa mógł słyszeć Niccolo - tylko nie róbcie nikomu krzywdy.

- Dawaj kluczyki!

Nie drgnęła i wciąż stała ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

- Nie dam, dopóki wszyscy nie wysiądą. Feggy, weź Ashley.

Jasnowłosey bandyta rzucił się do przodu i natarł na kobietę, przyciskając ją do maski auta i przykładając jej lufę do gardła.

Drzwiczki od strony pasażera otworzyły się i z wozu wysiadła brunetka, zapewne Peggy. Była młodsza, niż wydawało się wcześniej, szczupła, o ciemnych orzechowych włosach i pięknych rysach twarzy, teraz ściągniętych przejmującą trwogą.

- Pozwólcie mi wziąć Ashley - wyjąkała drżącym głosem.

- Zabieraj ją sobie i stul dziób! - Biały opryszek znów wycelował w Niccola.

Peggy drżącą ręką odchyliła przedni fotel i sięgnęła po dziewczynkę.

- Chodź szybko, Ashley.

Niccolo dostrzegł ze zgrozą, że mała kurczowo trzyma się tylnej półki.

- Ashley, rób, co ci każe!

- Nie pozwól im mnie zabrać! - łkało spazmatycznie dziecko.

Peggy odpięła pasy bezpieczeństwa i zaczęła ciągnąć małą, która opierała się ze wszystkich sił.

- Przestań, Ashley!

- Chcę do mamy!

- Pozwólcie, że się nimi zajmę - poprosił Niccolo wciąż tym samym ugodowym tonem. - Dopilnuję, żeby nie zrobiły jakiegoś głupstwa.

Ciemnoskóry, który wydawał się bardziej rozsądny, pchnął kobietę z dzieckiem w stronę Niccola.

- Przejdźcie tam!

Peggy, przyciskając Ashley kurczowo do siebie, ruszyła niepewnie we wskazanym kierunku, jednak Niccolo nie patrzył w jej stronę. Obserwował jasnowłosego zbira, który wciąż przyciskał lufę pistoletu do gardła drugiej kobiety. Po chwili oporu rozprostowała dłoń, odsłaniając kluczyki do auta.

- Puść ją, proszę, nie będzie ci już przeszkadzać - przekonywał łagodnie Niccolo. - Nie ruszymy się stąd, dopóki nie odjedziecie. Nie róbcie nikomu krzywdy.

- Dobra, zostaw ją - polecił ciemnoskóry. - Zwijajmy się stąd.

- No, nie wiem... - Blondyn powoli przesuwiał lufą po

szyi kobiety. - Niezła lalunia, co? Może zabierzemy ją, to się zabawimy?

Dziewczynka wczepiła się mocniej w ramiona Peggy.

- Ja nie chcę tam wracać! - zatkała rozpaczliwie.

- Cicho, Ashley, cicho.

Niccolo zerknął na młodą kobietę, tulącą w ramionach przerażone dziecko. Na jej twarzy malował się strach. Dziewczynka, nie pojmując, że najgorsze minęło, zanosiła się płaczem.

- Zostaw tę dziwkę! - ostro nakazał ciemnoskóry. - Spływamy!

Blondyn po chwili wahania odstąpił i puścił dziewczynę. Niccolo pomyślał z nadzieją, że cała sprawa skończy się tylko kradzieżą auta, zanim jednak uwolniona kobieta zdążyła zrobić krok, bandyta znów złapał ją za ramiona i mocno pchnął na drzwiczki, aż uderzyła głową o dach.

- Następnym razem, kiedy każę ci wyłazić z wozu, masz to zrobić, a nie stawiać się, ty suko!

- Tak, dobrze...

- Może jednak cię zabrać? - Uśmiechnął się obłeśnie. - Nim się noc skończy, staniesz się cichą i pokorną dziewczynką... no i nauczysz się niejednego...

- Do cholery, człowieku! - krzyknął ciemnoskóry. - Chcesz, żeby nas dorwali? Wynośmy się stąd!

Wycofywał się tyłem w stronę mazdy, ostrzegawczo mierzając pistoletem na przemian to w Niccoła, to w kobietę z dzieckiem.

Nick zacisnął zęby, dobrze bowiem wiedział, że każde nieopatrzone słowo może zniweczyć jego wysiłki. Blondyn wpadał w coraz większą furję i jeszcze chwila, a może kogoś zamordować, by w ten sposób udowodnić swoją przewagę. Dziecku wyraźnie udzieliła się groza tej strasznej chwili, bo zaczęło łkać jeszcze głośniejsze.

- No, rusz się! - Blondyn chwycił rudą kobietę za ramię i pchnął ją w stronę pozostałych. Kiedy ruszyła pośpiesznie we wskazanym kierunku, Niccolo dostrzegł ulgę na twarzy ciemnoskórego rabusia.

Nagle ciszę rozdarło jazgotliwe wycie syreny, a noc rozświetliło migające rubinowe światło.

- Rany boskie, gorzej być nie mogło... wyszeptał Niccolo.

- Spadamy! Bierz dzieciaka! - wrzasnął blondyn, wymachując pistoletem.

- Odbiło ci?! - Ciemnoskóry był bliski paniki.

- Bierz dzieciaka! Inaczej po nas! Niccolo zasłonił sobą Peggy i dziewczynkę.

- Nie! Jedźcie już! - krzyknął niecierpliwie. - Powiem policji, że nikomu nie zrobiliście nic złego.

Zatrzymam ich tutaj, a wy... - Po raz trzeci tej nocy ciemnoskóry bandyta wymierzył w niego broń, po czym ruszył ku niemu wielkimi susami.

- Spadaj!

Niccolo pomyślał, że jeśli strzał padnie z tak bliskiej odległości, kula przeszyje go na wylot i trafi w dziecko albo stojącą za nim kobietę. Wykrzywiona grymasem twarz bandziora zbliżała się jak nieuchronne fatum. Ten człowiek był całkowicie zdesperowany. Zastrzełiłby bez namysłu każdego, kto stanąłby mu na drodze.

Nick odstał w bok. Blondyn zdążył się już usadowić za kierownicą mazdy. Za chwilę ciemnoskóry wyrwie dziewczynkę z ramion Peggy i obaj odjadą na pełnym gazie. Nie można do tego dopuścić!

- Weźcie mnie zamiast niej... - szlochała spazmatycznie Peggy.

Bandyta wyciągnął ręce po małą, lecz bliski dźwięk syreny wdarł się natarczywie w ciszę parkingu.

Niccolo odczekał, aż

napastnik, skupiony na dziewczynce, odwróci uwagę od pistoletu, i krzyknął: -Padnij!

W tym samym ułamku sekundy rąbnął z całej siły pięścią w nadgarstek pochylonego do przodu zbira. Ten zachwiał się pod ciosem, lecz nie stracił równowagi. Rudowłosa kobieta błyskawicznie zasłoniła sobą Peggy i dziewczynkę, a bandzior raptownym gestem wycelował w Niccola i strzelił.

Nick odruchowo zrobił unik i rzucił się na napastnika, używając głowy jako taranu. Bandyta padł na wznak - a w tym momencie na parkingu z piskiem opon zahamował radiowóz.

Trzasnęły drzwiczki. Ktoś chwycił Niccola za łokieć.

- W samochodzie jest drugi... - wymamrotał półprzytomnie. Zdziwił go własny głos, który zdawał się oddalać i cichnąć. - ...drugi złodziej. Ma broń - wskazał na mazdę, która, o dziwo, nie ruszyła z miejsca. Nagłe dostrzegł niezgrabną sylwetkę, okutaną w ubrania, która zniknęła za kontenerem na śmieci. Koszmary tej nocy wyraźnie przyćmiły mu rozum. Przez moment zastanawiał się, gdzie jasnowłosy bandyta znalazł te łańcuchy i jakim cudem uciekł niezauważony.

Jeden z policjantów zakuł w kajdanki ciemnoskórego złodzieja, a drugi, z odbezpieczoną bronią, ruszył w stronę mazdy.

- On uciekł... - Głowę Niccola wypełniała powoli mroczna mgła.

- Jest pan ranny.

Niccolo rozpoznał głos rudowłosej kobiety i poczuł dotyk delikatnej dłoni na ramieniu. Zdał sobie sprawę, że jego prawy bark płonie ogniem, i że ten objaw, podobnie jak szum w głowie, nie jest normalny.

Ponownie usłyszał jej głos. Tym razem kogoś wołała.

- Megan... Boże, Megan, pomóż zanieść go do baru! On jest ranny!

- Lepiej go nie ruszać, proszę pani - ostrzegł policjant, ciągnąc za sobą więźnia. - Niech pan usiądzie. Zaraz wezwiemy pomoc.

- Z drogi! - Nieznany kobiecey głos przeciął powietrze niczym brzytwa. Był niski, ochrypły i nie znoszący sprzeciwu. Niccolo uniósł nieco głowę i był pewien, że ma przed sobą Joannę d'Are ruszającą do boju z zaciśniętymi pięściami i szlachetnym blaskiem w oczach.

- Wzywaj sobie, kogo tam chcesz, ale to ja się nim zajmę! A wy tam, posprzątać mi zaraz bałagan na moim parkingu!

Ziemia zdawała się unosić, jak gdyby wychodziła Niccelowi na spotkanie. Bezwładnie opadł na asfalt i zamykając oczy, w ostatnim błysku świadomości, zdziwił się, dlaczego w ilustrowanej książce, którą dostał z okazji Pierwszej Komunii, Joanna d'Are miała jasne włosy, natomiast święta Joanna z Lookout Avenue jest energiczną, przysadzistą kobietą o włosach barwy płomieni.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Nie ma się na co gapić", Samie Trumbull! Albo pomożesz mi znaleźć jakieś miejsce, albo zejdź mi z drogi! No, ruszaj się!

Megan Donaghue przegoniła klientów „Wyspy Whiskey” na jedną stronę sali, by zrobić miejsce przy stole policjantowi z rannym nieznajomym.

Bar świecił pustkami. Ciemna i mroźna noc, żadnego meczu futbolowego w telewizji, żadnej kapeli na scenie... Daniem dnia miała być słynna zupa rybna z ziemiakami, jednakże Megan przeliczyła się i został jej cały kocioł. Będzie musiała ją zamrozić i przez następny miesiąc karmić rodzinę.

Bardzo nietypowy wtorek, pomyślała. Barman się nie pojawił, nawaliła szafa grająca, zapaliła się ścierka zostawiona zbyt blisko płomienia... ale to nic w porównaniu z koszmarem, jaki wydarzył się na parkingu.

Dwóch uzbrojonych rzezimieszków.

Ranny mężczyzna.

Przerażona mała dziewczynka.

I, co najdziwniejsze, jej dwie siostry, z których jedna nie odwiedzała domu od dziesięciu lat.

Megan zrobiła to, co zawsze, kiedy świat stawał na głowie, to znaczy zaczęła działać.

- Siadaj, Casey, i nie ruszaj się chociaż przez parę minut. Dobrze ci radzę. - Zaprowadziła swoją młodszą siostrę do stołu, sąsiadującego z tym, który zajął ranny. To, że Casey była

w Qeveland po raz ostatni, gdy miała siedemnaście lat, zeszło na drugi plan, bo teraz wymagała opieki.

Megan podeszła do najmłodszej siostry, kurczowo trzymającej w ramionach nieznajome dziecko.

Peggy powinna być teraz w Atenach na zajęciach w uniwersytecie stanowym, a nie wagarować.

- Ty też siadaj. Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięłyście, ale cokolwiek by to było, musicie poczekać.

Peggy Donaghue bezwładnie opadła na najbliższe krzesło.

- Chciałyśmy ci zrobić niespodziankę. Casey jechała z Chicago i zabrała mnie po drodze - powiedziała z bladym uśmiechem.

- No cóż, to na pewno nie jedyna niespodzianka tej nocy. - Megan przykucnęła przy siostrze i zaszczebotała do dziewczynki, wciąż siedzącej na kolanach Peggy. - Trochę cię wystraszyli, co? Chcesz coli, a może popcornu?

Mała nieprzytomnie spojrzała na nią ogromnymi oczami, aż wreszcie potrząsnęła głową, lecz nie odezwała się słowem.

- Na pewno masz urocze imię - nie poddawała się Megan. Casey, wciąż stojąc, wyreczyła małą.

- Ma na imię Ashley. Przez jakiś czas będzie pod moją opieką. I nie martw się już o mnie, Megan, wszystko jest w porządku... - Jednak nim zdążyła skończyć, opadła bezsilnie na krzesło, jakby zawiodły ją nogi.

Megan nagle zapragnęła wziąć Casey w ramiona i mocno przytulić. W ich żyłach płynęła ta sama krew. Więzy rodzinne wprawdzie były bardzo silne, ale w ciągu tych wszystkich lat poddane zostały ciężkim próbom, dlatego teraz nie miała zarniaru się sprzeczać, bo mogłoby dojść do następnego przesilenia.

Odwróciła się w stronę nieznajomego. Widziała go po raz pierwszy. Długie lata pracy w barze wyrobiły jej doskonałą pamięć do twarzy i była pewna, że tego mężczyzny nigdy nie

obsługiwała. Był wysoki, dobrze zbudowany, o pociągłej twarzy, okolonej starannie przystrzyżoną brodą, wyrazistych, surowych rysach, ciemnych, niemal czarnych oczach i włosach. Emanował z niego niewzruszony spokój.

Policjant, krewki żółtodziób, obruszył się, gdy ranny oparł głowę na jego ramieniu.

- Lepiej byłoby wezwać pogotowie.

- Dojdzie do siebie i bez tego - ucięła stanowczo Megan. - Zaraz opatrzę mu ramię. Pojedzie je pozszywać, kiedy poczuje się lepiej.

- Ma szczęście, że kula go tylko drasnęła.

- Nie uszkodziła mi też słuchu. - Ranny nieznacznie uniósł głowę.

Megan przysiadła obok nieznajomego.

- Jak się miewasz?

- Widzę, że panujesz nad sytuacją.

- Ktoś musi - pozwoliła sobie na uśmiech. - Jesteś bohaterem, to chyba dostateczny powód, żeby się tobą zająć?

- Pokonany bohater. - Wargi Niccola wykrzywił cierpki uśmiech.

- Bo zemdlałeś? Daj spokój, przecież jesteś ranny. Każdy by zemdlał, gdyby oberwał kulę.

- Wiesz coś na ten temat?

- To normalne. A tak w ogóle, kim jesteś?

- Niccolo Andreani, po prostu Nick.

Spojrzał na nią pytająco w oczekiwaniu, że się przedstawi.

- Megan Donaghue. Samochód, na który mieli chrapkę tamci dwaj, należy do mojej siostry Casey, to ona prowadziła. A druga, która trzyma na kolanach małą, to moja najmłodsza siostrzyczka, Peggy.

- Zwrot „miło panią poznać” chyba brzmi dość głupio w takiej sytuacji?

Megan podobał się jego niski, stonowany głos.

- Natknąłeś się na moje dziewczynki przypadkiem, co? To musiała być raczej przykra niespodzianka.
- Nie dla Nicka - wyręczyła go z odpowiedzią Casey. - Widziałam, jak zjawił się na parkingu z podniesionymi rękami.

- Spojrzała na Niccola. - Zrozumiałeś, że potrzebujemy pomocy, prawda?

- Mały szczęście, że zaryzykowałeś - powiedziała Megan.

- Na mnie już czas, obowiązki wzywają - oznajmił policjant i wstał. - Jeśli coś się paniom przypomni, zadzwońcie albo wpadnijcie na komendę. Wszelkie informacje mogą okazać się pożyteczne. \

- Chcę wiedzieć, co się stało z drugim bandytą - zażądała Casey, zatrzymując młodego stróża prawa w połowie drogi do wyjścia.

Megan zdziwił jej ostry ton;

- Cóż, tego nie wiemy - odparł policjant. - Gdy zajrzałem do wozu, leżał na kierownicy, a broń była na siedzeniu obok. Na skroni miał ogromnego guza. Jest pani pewna, że go nie uderzyła, kiedy wyciągał panią z samochodu?

- Jak mogła go uderzyć * pospieszył z wyjaśnieniem Niccolo - skoro przystawił jej pistolet do gardła.

- Na pewno bym go walnęła, gdybym tylko miała okazję

- rzuciła wojowniczo Casey.

- Wydaje mi się, że kogoś widziałem... - zawahał się Niccola

- Kogo? - indagował policjant.

- Nie jestem pewien... Może mi się tylko przywidziało. Miałem wrażenie, że ktoś ucieka.

- Jedno wiemy na pewno, to znaczy że ten łotr w mazdzie od kogoś oberwał. Potrafiłby pan opisać tego uciekającego?

- Ależ tam nie było nikogo, poza tymi dwoma bandzio-

rami! - zaprzeczyła stanowczo Casey. - Przecież bym zauważyła.

- Jak więc wytłumaczyć, że złodziej za kierownicą stracił, przytomność? - zastanawiał się Niccolo.

- Mógł wcześniej pobić się ze swoim kumplem, a organizm zareagował z opóźnieniem. To całkiem prawdopodobne. - Casey spojrzała pytająco na funkcjonariusza.

- Zastanówcie się państwo, co dokładnie widzieliście. I dajcie mi znać, jeśli coś się wam przypomniało - polecił policjant i opuścił bar.

- Ja też nikogo nie widziałam. - Peggy spojrzała na szlochające dziecko.

- Bo nikogo tam nie było - zawyrokowała Casey, wstając.

- A ty dokąd?! - zawołała Megan.

- Po Jacka Daniela. Wszystkim nam przyda się coś na pokrzepienie - odparła, siląc się na swobodny ton.

Megan uważnie spojrzała na Nicka.

- Teraz zajmę się twoim ramieniem - oznajmiła stanowczo. - Idę po apteczkę, a ty siedź i nie ruszaj się. Jak cię po powrocie nie zastanę, to Bóg mi świadkiem, że i tak cię znajdę.

- Wcale mi się nie uśmiecha los wiecznego zbiega. Złagodniała na widok jego uśmiechu. Nie był może zbyt

promienny, lecz tak miły, przyjazny i zniewalający, że z miejsca ją rozbroił.

- Czy jakiś pokój na górze jest wolny? - zagadnęła Peggy.

- Kilka tygodni temu wyprowadziła się stamtąd pewna para. Nie zdążyłam co prawda zrobić remontu, ale ty i Casey na razie możecie tam zamieszkać. U mnie w domu jest trochę za ciasno.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, daruję sobie drinka i pójdę odpocząć. Zabieram Ashley - oznajmiła Peggy.

Dziewczynka, z szeroko otwartymi oczami, wciąż tkwiła

nieruchomo. Megan знаła wiele dzieci, lecz Ashley wydała jej się wyjątkowo urodziwa. Jej śliczną, jasną buzię okalały bujne brązowe włosy. Zastanawiała się, dlaczego to dziecko trafiło pod opiekę Casey.

Wydarzenia tego wieczoru były doprawdy wielce tajemnicze. Megan zachodziła w głowę, co skłoniło Casey, żeby zawitać do „Wyspy Whiskey”, skoro od lat zarzekała się, że jej noga nigdy więcej tu nie postanie. W ciągu tego czasu kilkakrotnie, za każdym razem w innym miejscu, widywała się z siostrą, lecz nie spodziewała się, że kiedykolwiek ją •tu zobaczy.

- Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. - Megan pogładziła Ashley po głowie^ Później pogadamy.

- Niczego nam nie brakuje, nie martw się - zapewniła Peggy i z małą na rękach ruszyła w stronę schodów, znajdujących się na zapleczu.

- Przeżyły ciężkie chwile - zauważył Niccolo.

Megan nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, nie mogła pozbierać swych myśli. Wiele by dała, aby ta koszmarna noc okazała się tylko złym snem.

- Nigdy wcześniej cię tu nie widziałam - zagadnęła, zmieniając temat. - Mieszkasz w okolicy?

Niccolo zaprzeczył ruchem głowy, uśmiechając się blado.

- Chciałbym, żeby tak było, ale mieszkam przy kościele Świętej Brygidy.

W tej chwili wróciła Casey, niosąc butelkę i szklaneczki.

- Gdzie Ashley?

- Peggy zabrała ją na górę. W starych pokojach będziecie miały dość miejsca.

- Zaraz do nich zajrzę, a teraz wypijmy za zdrowie gospodyni.

Choć tysiące natarczywych pytań cisnęło się Megan na usta,

wiedziała, że musi z nimi poczekać. Wzięła od siostry butelkę i z wprawą napełniła szklaneczki.

- *Slóintel* Na zdrowie!

Była właścicielką baru, który prowadził jej ojciec, dziad i pradziad. Piła alkohol bardzo rzadko, i nigdy wtedy, gdy pojawiały się jakieś problemy, jednak tego wieczoru bez wahania opróżniła swoją szklanę.

Whiskey rozgrzała ją i uspokoiła. Dobrze rozumiała tych, którzy pili, aby zapomnieć, bo często tak robili jej przodkowie. Wiedziała, że alkohol ubarwia szare życie, przywołuje fantastyczne historie, roztopia zmrożone strachem serca.

I wiedziała również, jak whiskey swą nieposkromioną mocą potrafi niszczyć.

Niemal zniszczyła jej rodzinę.

- Idę po apteczkę. - Odstawiła kieliszek. - I po powrocie spodziewam się was tu zastać.

Niccolo nie rozumiał, dlaczego posłusznie wciąż tkwi za stołem. Choć ramię silnie piekło, a rękaw flanelowej koszuli przykleił się do rany, chwilowe osłabienie minęło. Wątpił, czy konieczne będzie zakładanie szwów, ale powinien dostać zastrzyk przeciwțężcowy.

Nagle uświadomił sobie, że dlatego zwleka z odejściem, bo nie ma dokąd się udać. Jego dom, pusty i nieprzytulny, przypominał bardziej warsztat rzemieślniczy niż mieszkanie. Jego jedyny przyjaciel w mieście, proboszcz ze Świętej Brygidy, Ignatius Brady, wyjechał na leczenie. Po sąsiedzku z jednej strony mieszkało młode małżeństwo, wiecznie zaganiani karierowicze, z drugiej zaś wyjątkowo zmysłowa młoda kobieta, przyjmująca podejrzanie wielu gości płci męskiej.

Zaczął rozglądać się po lokalu. Bar urządzone z dużym smakiem. Z zewnątrz wyglądał niepozornie - drewniany, niczym niewyróżniający się budynek. Na skromnym szyldzie mi-

sternie wykaligrafowano nazwę baru w języku celtyckim, a o irlandzkim charakterze tego miejsca świadczyły jeszcze trzy koniczyny wyrzeźbione nad drzwiami

Wnętrze wyglądało zupełnie inaczej. Wyłożono je ciemnym drewnem, zapewne orzechowym, które musiało zdobić lokal od kilkudziesięciu już lat. Dwie ściany pomalowano powyżej boazerii na kolor ciemnozielony i ozdobiono fotografiami nadmorskich krajobrazów i kamiennych wiejskich zagród. Na dwóch pozostałych ścianach wisiały stare portrety przodków, kobiet i mężczyzn o zasepionych obliczach, sceny rodzajowe z rodzinnych zgromadzeń, podobizny dzieci na kucykach, a także ubranych w sztywną czerń duchownych. Ręcznie wykonany napis nad mahoniowym szynkwasem głosił: „Są trzy wady picia: bolesny poranek, brudne ubranie i puste kieszenie”.

Barowe stołki swym wyglądem zachęcały, by spędzić na nich przy drinku długi, niefrasobliwie błogi wieczór. Telewizor z płaskim ekranem, zawieszony wysoko w rogu sali, był technologicznym dziełem sztuki. Wnętrze było obszerne i Nick pomyślał, że w Dzień Świętego Patryka bar może pomieścić nawet kilkaset osób.

- Nigdy tu nie byłeś?

Spojrzał na Casey Donaghue i pokręcił przecząco głową.

- Wybrałeś sobie najlepszą porę na pierwszą wizytę - zauważyła z żartobliwą ironią.

- Chciałem się tylko przejść - uśmiechnął się usprawiedliwiająco.

- W taką noc? Mróz jest coraz większy, a do rana napada pewnie z pół metra śniegu:

- Wiem, właśnie wracałem do domu. Casey milczała chwilę.

- Dziękuję. Niewiele osób zdobyłoby się na taki wyczyn.

Wzruszył lekko ramionami. Był przekonany, że na jego miejscu każdy postąpiłby tak samo.

- To ty zachowałeś się bohatersko. Zasłoniłaś sobą Ashley i siostrę.

Teraz ona wzruszyła ramionami. Wyraźnie poczuła się skrępowana tą uwagą. Przyglądał się jej bacznie. Miała podłużną twarz o wyrazistych rysach, otoczoną kaskadą bujnych loczków. Jeśli ona, Megan i Peggy są siostrami, to ktoś zadbał o różnorodność genów w ich rodzinie.

Skierował myśli ku Megan. Była kobietą o obfitszych i bardziej dojrzałych kształtach, sporo przy tym niższą od wysokiej i szczupłej Casey. Miała prostokątną twarz, która mogłaby stanowić kobiecą wersję oblicza Hucka Firma. Gęste rude włosy nosiła malowniczo zwichrzone, niczym chłopak.

- Bar jest waszą własnością, twoją i twoich sióstr? - zapytał.

- Tak - odparła Casey z grymasem niesmaku. - Oaza pijaczków i niewydarzonych poetów, porządnych, prostodusznych chłopców i otumanionych alkoholem piewców whiskey. To nasze dziedzictwo. Nie byłam tu od lat.

- To całkiem niezłe miejsce do życia - stwierdził, zaskoczony nutą szyderstwa w jej głosie.

- Tak, i wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

- To takie straszne?

Na jej wargi wypłynął uśmiezek, który nie złagodził surowego wyrazu twarzy.

- Ten świat wciąga i zdradziecko pochłania. Ani się obejrzysz, a zapominasz, co jest za drzwiami.

Spytaj Megan.

W tej samej chwili usłyszeli szybkie, ciężkie kroki najstarszej z sióstr. Weszła i postawiła na stole zapinane na klamerkę pudełko.

- Oczyszcimy ci ranę, wypijesz drinka, a później Barry zawiezie cię na ostry dyżur, gdzie cię fachowo opatrzą - komen-

derowała. - Barry to barman. Poczekaj na ciebie i odwiezie cię potem do domu. - Skinęła na łysawego mężczyznę w zielonej koszulce polo, stojącego za ladą.

- Jesteś pewna, że nie powinnaś jechać z nami i dopilnować, aby wszystko odbyło się jak należy? - zapytał z przekąsem.

Megan nie obraziła się, tylko zza długich rzęs przesłała mu powłóczyście bursztynowe spojrzenie.

- Możemy to załatwić na dwa sposoby, Nick. Łagodnie lub z użyciem siły. Wybór należy do ciebie.

Nie musiał podwijać rękawa koszuli, gdyż był rozerwany i przyklejony do rany, więc tylko oparł łokieć na stole i pozwolił Megan zająć się ramieniem.

- Kiedyś chciałam zostać pielęgniarką. - Delikatnie zdjęła kawałki materiału.

- Siostrą Ratchet, jak się domyślali.

Na jej twarzy pojawił się wyrozumiały uśmiech.

- Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, że to może być ciekawe zajęcie. Opiekowałam się w życiu wieloma głupcami i nawet nie masz pojęcia, ilu z nich opatrywałam przy tym stole. Przychodzą tu i szukają zaczepki. Nie obsługujemy pijanych narwańców, ale i tak zdarzają się bójkki.

- Odkąd ukończyła siedemnaście lat, zawsze opatrywała różnych podejrzanych typków i udzielała im matczynych rad - wtrąciła Casey.

- Nie obchodzi mnie, co się później z nimi dzieje. - Megan trzymała jego ramię delikatnie, niczym pisklę.

Casey mrugnęła do Niccola porozumiewawczo.

- Teraz będzie piekło - ostrzegła Megan i przyłożyła mu do rany coś zimnego i wilgotnego.

* Siostra Ratchet - demoniczna pielęgniarka ze szpitala psychiatrycznego z powieści „Lot nad kukułczym gniazdem” Kena Keseya (przyp. tłum).

Miała rację, okład piekł jak diabli, odnajdywał w tym jednak jakąś niewytłumaczalną przyjemność. Przymknął powieki. Żałobne i bez wątpienia celtyckie melodie płynęły ze stojącego na barze magnetofonu. Dym papierosowy nabrał silnie drożdżowego zapachu pieczonego chleba. Dłonie Megan były delikatne, a szczypiący ból upewniał go, że żyje.

Otworzył oczy. Casey znikła. Jego szklanę napełniono kolejną porcją whiskey. Megan stała w uroczystej pozie z założonymi na piersiach rękami. Oczy jej błyszczały.

- To już zawsze będzie twój stolik, Niccolo Andreani -przemówiła swoim głębokim, nieco schrypniętym altem. -Kiedy tylko będziesz miał ochotę, przychodź. A to twoja butelka. Kiedy ją skończysz, dostaniesz następną. Możesz zamawiać u nas wszystko, co chcesz, i nie wydasz ani centa. Niccolo pragnął wielu rzeczy, a teraz zastanawiał się, czy mógłby którąkolwiek z nich znaleźć w tym barze.

Jeśli tak by się stało, byłaby to prawdziwa ironia losu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Casey wciąż czuła się wstrząśnięta wydarzeniami tej nocy. Nie mogła opanować drżenia rąk. Nigdy nie brakowało jej odwagi, ale obawiała się, że również następnego ranka, gdy obudzi się z niespokojnego snu, będzie równie zdenerwowana.

Kiedy wściekły rzezimieszek bezlitośnie dusił ją lufą pistoletu, przed oczami przemknęły jej wszystkie minione lata. Ujrzała jak na dłoni popełnione błędy i nękające ją wątpliwości. Uświadomiła sobie z całą mocą ogromną odpowiedzialność za dziewczynkę, którą powierzono jej opiece. I choć miała sprawować tę pieczę dość krótko, będzie chronić małą, nawet gdyby musiała poświęcić dla niej własną przyszłość.

- Mama?

W łazience, przylegającej do pokoju, Casey opłukała twarz chłodną wodą i osuszyła ręcznikiem. Zadbała, by jej głos zabrzmiał ciepło i pewnie:

- To nie mama, kochanie. To ja, Casey, pamiętasz? Myję się.

- Mama...

Serce krajało się jej ze smutku. Szybko pchnęła drzwi łazienki i wpadła do małego pokoiku, gdzie Ashley kulila się w rogu kanapy, nagle wyrwana z pełnego koszmarów snu. Peggy przytuliła małą, nim Casey zdążyła podbiec.

- Ashley, kochanie - uspokajała Casey łagodnie - już po wszystkim. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Policja zabrała tych złych ludzi.

Dziewczynka, napięta i wciąż wystraszona, pociągnęła nosem i zaczęła ssać kciuk.

Pokój był obskurny i niewiele większy od leżącego na podłodze dywanika. Ledwie mieścił jasnobrązową kanapę, dwa proste krzesła i stolik.

- To minie - zapewniła siostrę Peggy - mała musi tylko porządnie się wyspać. Rano na pewno poczuje się znacznie lepiej.

- Tak mi przykro. Po prostu znalazłyśmy się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Chyba nigdy wcześniej nie zdarzyło się tu coś tak okropnego, prawda?

Na parkingu czasem odbywały się niegroźne w skutkach bójki, ale jak dotąd nigdy nie doszło do jawnego rozboju.

- Powiem Megan, żeby dla bezpieczeństwa zamontowała kamerę przed wejściem albo dodatkową lampę. - Casey próbowała zachować rozsądek.

- Trzeba przyznać, że mimo wszystko miałyśmy ogromne szczęście. Cholera, dzisiejszy wieczór wykończyłby nawet świętego. Nie mogę dojść do siebie.

- Ashley w ogóle się nie odzywa - westchnęła ciężko Peggy.

- Przyniosłam ci coś, co cię rozweseli, Ashley. - Casey przez chwilę szperała w kieszeniach spodni, aż wyciągnęła przed siebie zamknięte dłonie.

- Zgaduj zgadula, w której ręce złota kula? Dziewczynka milczała.

- Założę się, że potrafisz. No, spróbuj. Jestem pewna, że zgadniesz - zachęcała Casey.

Dziewczynka ponownie pokręciła głową. Casey przysunęła się bliżej.

- Dam ci jeszcze jedną wskazówkę. Moja ręka nie jest dla

tego czegoś odpowiednim miejscem, a temu czemuś najlepiej będzie w twojej buzi, choć nie zostanie w niej długo.

- Cukierek - odezwała się cicho Ashley.

- Jesteś bardzo mądrą dziewczynką. Widzisz, byłam pewna, że zgadniesz. No, a teraz powiedz, w której ręce? Peggy chciała powstrzymać siostrę. Ashley nie powinna tego wieczoru ponieść porażki, nawet w tak prostej zgadywance.

- W tej. - Dziewczynka wskazała prawą dłoń Casey.

- No widzisz? Udało się! - Casey radośnie rozwarła dłoń, w której spoczywała miętówka zawinięta w zielony papierek.

- I w tej. - Ashley z całkowitym spokojem pochyliła się i dotknęła lewej dłoni opiekunki.

Na twarzy Casey odmalowało się zdumienie.

- Przecież już wygrałaś, bo odgadłaś za pierwszym razem. Dziewczynka spojrzała jej prosto w oczy i czekała. Casey

uśmiechnęła się i otworzyła lewą dłoń. Leżała na niej druga miętówka.

- Wiedziałaś o tym od początku, prawda?

- Aha. - Mała wzięła oba cukierki i wtuliła się znowu w ramiona Peggy. Zaczęła składać papierki z taką skrupulatnością, że wkrótce przybrały mikroskopijne rozmiary.

- Świetnie ci poszło, kochanie - orzekła Casey. - No, a teraz pora spać. Chyba tym razem uda się jej spokojnie zasnąć? - Ostatnie pytanie skierowała do siostry. Peggy zerknęła na Ashley i skinęła głową.

- W każdym razie warto spróbować.

- Później przyniosę twoją walizkę z samochodu. Wybierz sobie sypialnię, ja i Ashley zajmiemy drugą.

- Dobrze.

- Połóż małą, a ja zejść na dół, zanim Megan wparuje tu jak burza, żeby sprawdzić, co się z nami dzieje. Przynajmniej tego wam oszczędzę. - Wyciągnęła ramiona i tym razem mała

przytuliła się do niej bez wahania. Casey przycisnęła ją mocno do siebie i ucałowała we włosy.

- Poradzicie sobie?

- Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze - zapewniła Peggy w imieniu swoim i dziewczynki.

Casey cicho zbiegła po schodach i wślizgnęła się do małego składziku pomiędzy dwiema salami baru.

Zamknęła ostrożnie drzwi i przysiadła na stercie pudeł, trzymając w ręku telefon komórkowy.

Wyciągnęła z kieszeni kartkę, wybrała zapisany na niej numer, przyłożyła aparat do ucha i czekała.

Po ośmiu sygnałach odezwał się kobiecy głos.

- Grace, tu Casey.

Minęła krótka chwila, nim padła odpowiedź.

- Złapałaś mnie w ostatniej chwili, bo jutro zmieniamy numer telefonu, - Wiem. Słuchaj, muszę ci opowiedzieć, co się stało. -

W zwięzłych słowach zdała relację z wieczornych wydarzeń, kończąc ją zapewnieniem, że Ashley i wszyscy pozostali są już bezpieczni.

^ Jak ona się miewa? - spytała Grace po chwili milczenia.

- Myślę, że w porządku.

- Miałaś okazję porozmawiać z nią sam na sam?

- Zaledwie przez chwilę. Raczej trudno się z nią dogadać, prawie wcale się nie odzywa, ani nawet nie płacze.

- Co sądzisz o tym napadzie?

- Myślę, że to przypadek, po prostu dwóm złodziejaszkom spodobał się mój wóz. Pod koniec doszli do wniosku; że dziecko mogłoby posłużyć im jako zakładnik, ale nic się za tym nie kryje.

- Jej nie wolno tu wrócić. Może powinniśmy znaleźć dla małej jakieś inne miejsce?

- Dopiero zaczyna się ze mną oswajać. Ma za sobą trudne

chwile i chcę jej oszczędzić kolejnych wrażeń, chyba że będzie to konieczne. Trzymam rękę na pulsie. Jeśli coś będzie nie tak, natychmiast dam znać.

- Nie mogę dać ci nowego numeru, ale wiesz, do kogo w razie czego dzwonić.
- Wiem.
- Ucałuj ją ode mnie, dobrze?
- Pewnie.
- I duży buziak od... kogoś jeszcze.
- W porządku.
- Uważaj na nią.
- Na pewno będę.

Trzask w słuchawce oznaczał koniec rozmowy. ,

Z baru dobiegały odgłosy krzątania.

W dzieciństwie Casey i Megan budowały bunkry z pudeł i starych krzeseł trzymany w magazynku, skąd przysłuchiwały się śmiechom i muzyce dobiegającym z sali. Bar „Wyspa Whiskey” tętnił wesołym gwarem, a ciepło matki i liryczny tenor ojca nadawały mu niezapomniany klimat. Nikt nie śpiewał tak dobrze „Cygańskiego wędrowcy” czy „Wschodu księżycy”, jak Rooney.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, ale zaraz spoważniała na myśl o rozmowie ze starszą siostrą. Megan właśnie kończyła podłączać beczki z ciemnym piwem.

- Nic tu po tobie - próbowała przegonić siostrę. - Idź na górę. Poradzę sobie, a Barry, jak wróci, skończy robotę.

Megan z troską myślała o siostrze. Casey wciąż była blada i wyraźnie coś ją trapiło, mimo że zagrożenie minęło. Podejrzewała, że siostra, oprócz porządnego snu, potrzebuje czułości i zrozumienia, nie chciała jej jednak zadreć natarczywymi pytaniami.

Casey nie posłuchała i z wprawą zaczęła odmierzać porcje guinnessa, choć minęły lata od czasu, kiedy ojciec objaśnił jej pięć złotych zasad sztuki napełniania beczek. Megan wiedziała, że siostra lubi pracę za barem i nauczyła się kilku pożytecznych rzeczy, gdy w ogólniaku zarabiała za ladą na kieszonkowe.

- Muszę z tobą pomówić, Meg.

- Dobrze, tylko błagam, później. Jak wróci Barry, muszę zająć się kuchnią. Trzeba wyczyścić garnki i dopilnować pieczenia chleba na jutro.

- Nie masz kucharza na noc?

Nocny kucharz dorabiał do studiów, ale spisywał się tak znakomicie, że Megan nie zwolniła go, mimo iż zdarzało mu się zapominać o swoich obowiązkach.

- Artie? Dziś kuje. Właśnie sobie przypomniał, że jutro zdaje egzamin.

- Musisz zatrudnić kogoś bardziej odpowiedzialnego.

- A kogóż ja znajdę za te nędzne grosze?

- No to ja zajmę się czyszczeniem garnków, a porozmawiamy, kiedy znajdziesz wolną chwilę.

- Nie ma mowy, żebyś zmywała gary - ucięła rozmowę Megan. - Wracaj na górę. Przyjdę, jak się ze wszystkim obrobie. Potem możemy przegadać nawet całą noc, jeśli masz ochotę. Na przykład o tym, co to za dziecko i dlaczego wzięłaś je pod opiekę.

- Meg, muszę porozmawiać z tobą teraz - powiedziała z naciskiem Casey.

- Och, przesadzasz - zachnęła się. Jej siostrzyczka zawsze lubiła stawiać na swoim, co niejednokrotnie stawało się powodem rodzinnych nieporozumień. Jednak poważna mina Casey zaniepokoiła ją.

- Dobrze, napełnię tylko pojemniki popcornem - uległa. W dziesięć minut później zaszyły się przy stoliku w rogu

baru, skąd Megan miała oko na nielicznych o tej porze amatorów trunków. Sam Trumbull, osobnik niskiego wzrostu, wielce towarzyski, a do tego niepoprawny wesolek, nagabywał klientów, których przed chwilą obsługiwała. Jeszcze chwila, a tak ich zabajeruje, że postawią mu kwartę piwa.

- Może zaczniemy od tego, jak długo zamierzasz tu zostać?

- zagaiła Megan.

- To zależy tylko od ciebie - odparła Casey. Megan milczała zaskoczona.

- Widzę, że nie jesteś zachwycona - zachnęła się Casey.

- Czyżbym nie była tu mile widziana?

- Co ty pleciesz? Masz takie same prawo do tego domu, jak ja. Tyle że... - obrzuciła siostrę badawczym spojrzeniem

- ...zarzekałaś się kiedyś, że nigdy nie wrócisz do „Wyspy Whiskey”. Tymczasem zjawiasz się i ogłaszasz, że masz zamiar tu zamieszkać.

- Nie chcę tu zostać na stałe. Potrzebuję tylko pracy na pewien czas i kawałka własnego kąta.

- Masz przecież mieszkanie i pracę w Chicago.

- Już nie. Mieszkanie wynajęłam, a pracę rzuciłam.

- Przecież ją uwielbiałaś!

- Lecz nigdy nie miałam na utrzymaniu dziecka.

- No właśnie, co z tą małą? Ashley też nie ma domu?

- Matka Ashley jest moją przyjaciółką i przeżywa teraz trudny okres. Dostała niezłą posadę w Milwaukee, lecz na razie nie stać jej na wynajęcie odpowiedniego mieszkania, a tym bardziej na utrzymywanie dziewczynki. Zgodziłam się więc trochę pomat-kować małej, dopóki jej prawdziwa mama się nie urządzi. Megan domyśliła się, że siostra również została bez mieszkania i bez pieniędzy, ale zachowała tę uwagę dla siebie.

- Barman z dziennej zmiany odszedł dziś z pracy, pokój na górze jest wolny. Jeśli ci to odpowiada...

- Po tym, jak udało mi się przeżyć, wszystko mi odpowiada. - Casey pokręciła głową, przypominając sobie wydarzenia sprzed kilku godzin. - Meg, to było przerażające -wzdrygnęła się.
 - Pewnie, że tak. Po prostu straszne - potwierdziła Megan ze ściśniętym gardłem. - Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie to musiało być okropne przeżycie.
 - Miły powrót na łono rodziny, co? Peggy i ja chciałyśmy ci zrobić niespodziankę, stwierdziłyśmy bowiem, że najwyższy czas puścić w niepamięć urazy. No wiesz, po tym wszystkim...
 - Słusznie zrobiłyście. - Megan starała się nie pokazać swoich uczuć. - Tylko ten napad mnie przeraził.
 - Od razu domyśliłam się, o co im chodzi. Chciałam uciekać, ale zaczęli w nas celować. Ashley siedziała w samochodzie, więc nie mogłam ryzykować, że zaczną strzelać.
 - Chyba nie masz zamiaru winić się za to, co się stało? Wybij to sobie z głowy - ostrzegła Megan.
 - Nie, nie czuję się winna, a raczej zdruzgotana. Ciągle to samo, znowu nie stanęłam na wysokości zadania.
 - I kto to mówi! Przecież osłoniłaś Ashley i Peggy własnym ciałem!
 - Na szczęście pojawił się Niccolo. Spadł nam jak z nieba!
 - Ee tam, żaden cud, po prostu tamtędy przechodził, i tyle - obruszyła się Megan. - Zdarza się, że ludzie przypadkiem wplaczą się w awanturę, a później tego żałują.
 - Niccolo nie był jedyną osobą, która pojawiła się nie wiadomo skąd.
- Megan już chciała zrugać siostrę, aby dała sobie spokój z fantazjami, ale coś ją powstrzymało.
- Tam był ktoś jeszcze - upierała się Casey.
 - Chyba ci się zdawało!

35

- A co z tym blondynem, który przykładał mi pistolet do gardła?
- Mam nadzieję, że szybko nie wyjdzie z mamra!
- Akurat! Założę się, że będzie wolny przed moimi urodzinami, ale nie o to chodzi. - Casey zaczerpnęła tchu, jakby przeżywała wszystko na nowo. - Miał kluczyki, uruchomienie mazdy zajmuje chwilę. Dlaczego więc nie uciekł?
- Bo jakimś sposobem zarobił guza.
- No właśnie - przytaknęła Casey w zadumie. - Pamiętasz, Niccolo widział, jak ktoś uciekał z parkingu.
- Zgoda, ale był ledwo przytomny, więc cóż z niego za świadek? Poza tym mówiłaś, że nikogo więcej tam nie było.
- Ktoś był i ja go widziałam.
- Co, zmieniłaś zdanie? Cóż, policja to zrozumie, byłaś w strasznym stresie.
- Wcale nie zmieniłam zdania, po prostu nie powiedziałam im prawdy.
- A to dlaczego?
- Bo wydaje mi się, że to był Rooney, Meg. Mam wrażenie, że człowiek, którego widział Niccolo, był naszym ojcem i nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział - oznajmiła dramatycznie Casey.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Niccolo mylił się, jeśli chodzi o założenie szwów, miał natomiast rację co do zastrzyku przeciw tężcowi. Na pogotowiu było pusto, widocznie bowiem inni mieli więcej zdrowego rozsądku i nie dali się postrzelić w tę mroźną noc. Lekarz obejrzał zranione ramię, a pielęgniarka zrobiła zastrzyk i założyła szwy. Barry okazał się zagorzałym fanem drużyny Steelersów i odwożąc Niccola do domu, przez całą drogę rozprawiał o zapierających dech w piersiach wyczynach swoich sportowych idoli. Gdy Niccolo znalazł się w końcu u siebie, stanął niezdecydowany w przedpokoju, wpatrując się w klepki położonego niedawno parkietu z klonowego drewna.

Co teraz? Rozum podsuwał myśl, aby położyć się spać, ale mógł też pojechać na parking i rozejrzeć się, zanim śnieg zatrze ślady wieczornych wydarzeń.

Przez ostatnie dwa lata nabrał zwyczaju wybierania najmniej logicznych rozwiązań, dlatego poszedł po latarkę.

Droga nie trwała długo. Jego dom i „Wyspa Whiskey” znajdowały się w zachodniej części miasta, w dzielnicy jaskrawych kontrastów. Kilkadziesiąt lat wcześniej postanowiono przywrócić starym budynkom dawną świetność. Niestety, gdy pieczołowicie odnawiano jedne architektoniczne klejnoty, inne popadały w ruinę. Zabytkową Hunter Street pozostawiono na pastwę upływającego bezlitośnie czasu, natomiast Lookout Avenue położona była w dzielnicy robotniczej i zachowała typowy dla niej charakter. O ładnych i zadbanych domkach z ogródkami,

ciasnym rzędkiem stojących wzdłuż ulicy, mogli tylko pomarzyć imigranci, harujący w hutach stali lub w portowych dokach na wybrzeżach rzeki Cuyahoga i jeziora Erie.

Niccolo nie zaparkował przy barze, lecz dwa domy dalej. Wysiadł z wozu, doszedł do wjazdu na parking „Wyspy Whiskey” i przystanął dokładnie w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej wszystko się zaczęło. Tym razem wokół nie było żywego ducha. Poczował ogromną ulgę.

Nie był pewien, czego właściwie ma szukać, lecz postanowił się nie spieszyć. Idąc wzdłuż dwóch rzędów samochodów metodycznie omiatał światłem latarki każdy fragment scenerii.

Efektem poszukiwań było sześć niedopałków papierosów, dwa rachunki z baru i papierowa torba.

Niezrażony skierował się w stronę zaparkowanej wciąż w tym samym miejscu bordowej mazdy.

Poddał auto oraz jego najbliższe otoczenie dokładnym oględzinom, a kiedy nie przyniosło to rezultatu, uklęknął na asfalcie i zajrzał pod podwozie.

Nagle ciszę zakłócił trzask zamykanych drzwi i urywane głosy. Gwar oddalał się, aż w końcu zupełnie ucichł. Niccolo pochylił się jeszcze bardziej i sięgnął po leżącą pod autem rzecz, przypominającą podeszwę buta. Kiedy się prostował, zza jego pleców odezwał się znajomy głos:

- Masz szczęście, że poznałam ten zadek, inaczej dostałbyś porządnego kopniaka.

Odwrócił się zmieszany, ze zdobyczą w dłoni.

- Nie przypuszczałem, że mam tak charakterystyczną rufę - próbował obrócić sprawę w żart.

Megan przyglądała mu się bacznie.

- Wiem, że o tej porze powinienem grzecznie spać w łóżeczku - przyznał ze skruszoną miną chłopca przyłapanego na nocnej rozróbce.

Przechyliła głowę, wciąż bez słowa mierząc go wzrokiem.

- Uwielbiam zagadki. Gdy czegoś nie wiem, nie sypiam po nocach, tylko szukam odpowiedzi - ciągnął coraz bardziej niepewnym głosem.

- A jakie odpowiedzi kryją się pod wozem mojej siostry?

- Sprawdzam, czy strach i szok po postrzale mogą wywołać przywidzenia.

- I do jakich wniosków doszedłeś?

Megan miała na sobie tylko białą koszulkę polo, spodnie w kolorze khaki i zawiązaną wokół szyi zieloną chustkę.

- Nie sądzę, aby przy takim mrozie był to najodpowiedniejszy strój na zmagania się z dylematami. - Nick uśmiechnął się.

- Wysłałam wyrzucić śmieci. - Skinęła głową w stronę kontenera.

- Mogę zaczekać.

Megan natychmiast znikła i po chwili wróciła opatulona w pomarańczową puchówkę. Niccolo przez ten czas uważnie badał dziwne znalezisko. - Co tam trzymasz?

Podał jej zgubiony przez kogoś przedmiot.

- Sam nie wiem, może to na nic się nie przyda.

Z wyraźnym obrzydzeniem ujęła podeszwę w dwa palce.

- To nie był zwykły but - tłumaczył. - Musiał być bardzo znoszony. Zobacz, trzy dziury, jedna zatkana gazetą. Oddała mu podeszwę z grymasem niesmaku.

- Widziałaś dziś w barze kogoś, kto nosił takie buty? Musiał to być ktoś, kogo nie stać na kufel najtańszego piwa. - Nie kojarzę, do czego zmierzasz.

- Mężczyzna, którego widziałem wieczorem i który prawdopodobnie unieszkodliwił złodzieja, był ubrany na „cebule”, to znaczy w mnóstwo ubrań. Z daleka wyglądał jak mumia.

Pewnie jest kloszardem i nie stać go na zimowy płaszcz, a może nosi na sobie wszystkie swoje rzeczy, bo nie ma ich gdzie zostawić.

- Casey twierdzi, że nikogo nie widziała - skłamała Megan.
- Nic dziwnego, starała się przecież osłaniać siostrę i małą.
- Ty też byłeś zajęty czym innym
- Ale tego człowieka zauważyłem.
- Po tym, jak straciłeś przytomność?

Dziwne, obie z Casey usiłują mi wmówić, że coś mi się przywidziało, pomyślał, i zmienił taktykę.

- Tam stoi kontener na odpadki. Serwujesz codziennie rozmaite dania, prawda?
- Prowadzę najlepszą kuchnię w mieście.
- Więc na pewno przychodzą tu bezdomni, żeby wygrzebać resztki?
- Nie muszą. Kultuwujemy zwyczaj, który znają wszyscy w okolicy, że pod koniec dnia każdy, kto jest głodny, może zapukać do kuchennych drzwi i zostanie nakarmiony.
- Od jak dawna istnieje ta piękna tradycja? — spytał zaciekawiony.
- Chcesz, żebym ci udzieliła lekcji historii?
- Tak, jeśli tylko nie zamarznę.

Opuścili parking i zatrzymali się przed klombem porośniętym oszronioną trawą i uginającymi się pod siłą mroźnego wiatru chuderlawyroi wierzbami. Znaleźli się na wzniesieniu, jednym z niewielu w równinnym krajobrazie zachodniego Cleveland, od którego powstała nazwa ulicy - Lookout Avenue.

- A więc posłuchaj. Wiesz, co to jest? - zaczęła Megan, wskazując na roztaczającą się przed nimi nocną panoramę.

Nick patrzył na Ohio City, podobne do wszystkich innych miast w krainie Wielkich Jezior. Na jego wschodnim krańcu

jaśniała konstelacja sztucznych światel, czyli nigdy niegasnący horyzont Cleveland. Tereny na północ od sześciopasmowej autostrady międzystanowej zajmowały zakłady przemysłowe. Górowała na nimi wysoka wieża ze znakiem Halite Salt, a wokół piętrzyły się hałdy rudy, oplecione płataniną torów kolejowych. Dalej na horyzoncie w migoczącym blasku mroźnej nocy połyskiwały wody jeziora Erie.

- W dzień wygląda to lepiej. - Megan skrzyżowała ramiona i wsunęła zziębnięte dłonie w rękawy kurtki. - Widać stąd dwie latarnie morskie i portowe żurawie, wyższe niż większość budynków. W 1912 roku takie same służyły do rozładunku statków z rudą. Pracowały szybciej i taniej niż wykańczające się morderczą pracą pokolenia Irlandczyków.

- W tym twoich przodków?

- Tak.

Nicola interesowała ta historia, ale zachodził w głowę, jaki związek mają dzieje irlandzkich imigrantów z tajemniczym osobnikiem na parkingu baru.

- Co chciałaś mi pokazać?

- Wiesz, jak te tereny się nazywają? - Wskazała obszar rozciągający się między autostradą a brzegiem jeziora, gęsto usiany piramidami hałd i pocięty siecią torów kolejowych.

- Nie mam pojęcia.

- Wyspa Whiskey.

- Skąd się wzięła ta nazwa?

- Na początku osiemnastego wieku, kiedy całe Cleveland było jednym wielkim mokradłem, powstała tu pierwsza w północnym Ohio gorzelnia, a z czasem wokół niej zaczęli się osiedlać Irlandczycy, bo nikt inny nie chciał żyć na tym wy-gwizdowie. Wtedy w Cleveland uznano, że taka właśnie nazwa **będzie** najodpowiedniejsza.

- Wyspa Irlandczyków. A co z whiskey?

- W czasach świetności prosperowało tu czternaście barów. Aż gwizdnął ze zdziwienia.
 - Jak widzisz, dzisiaj wyspa zamieniła się w półwysep -ciągnęła. - Jednak wróćmy do twojego pytania. W latach dwudziestych bar cieszył się wyjątkowym powodzeniem i właśnie wtedy moi przodkowie wprowadzili taki zwyczaj. Każdy, kto zjawiał się z jakąś ciekawą opowieścią^dostawał talerz gorącej zupy, a w czasach Wielkiego Kryzysu posiłki zaczęto wydawać na tyłach baru. Donaghue'owie bardzo dbali, żeby zawsze coś w kuchni zostało.
 - To bar należy do was od tak dawna?
 - Wybudowaliśmy go pod koniec dziewiętnastego wieku - w głosie Megan zabrzmiała nuta dumy - a mieszkamy na tych ziemiach jeszcze dłużej. Kiedy w Irlandii nadszedł czas, by ruszyć w świat, moi przodkowie przybyli właśnie tutaj. Zawsze starali się pielęgnować dawne tradycje, a następne pokolenia je przejmowały. Tak jest do dziś.
- Poczuł podziw dla tej irlandzkiej rodziny, która tak mocno wpisała się w historię nieprzyjaznego, wyniszczonego przez przemysł skrawka ziemi.
- Słowem, od wieków towarzyszą wam ludzie biedni i potrzebujący. Jak myślisz, czy to jeden z nich zgubił podeszwę pod samochodem twojej siostry?
 - Prawdopodobnie leżała tam, zanim Casey zaparkowała, może nawet od wielu tygodni.
- Niccolo obserwował niemal puste o tej porze pasma autostrady. Wzgórze opadało ku niej dość stromym stokiem, ale nie stanowiło to przeszkody nie do przezwyciężenia. Uparty piechur mógł pokonać wzniesienie i bez większych kłopotów
- * Wielki Kryzys został rozpętany przez krach na giełdzie nowojorskiej i trwał od 1929 do 1935 roku (przyp. tłum.).

przekroczyć międzystanową trasę. Niccolo obliczył, że droga zajęłaby mu kilka godzin. Postanowił, że następnego dnia wybierze się na wędrowkę i spenetruje okolice Wyspy Whiskey. Teren wydawał się być idealną kryjówką dla kogoś, kto nie ma domu.

- Może człowiek, którego widziałem, przyszedł po posiłek - powiedział w zamyśleniu.
 - I dostałby go, wcale nie musiał uciekać.
 - Pewnie wystraszył się, że będzie miał kłopoty z policją.
 - Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy - odparła bagatelizującym tonem - W każdym razie, skoro chciałeś posłuchać historii tego miejsca i mojej rodziny, zaspokoiliam twoją ciekawość.
 - A skoro już jesteś tak uprzejma - życzliwym gestem położył jej dłoń na ramieniu - pozwól, że zadam jeszcze jedno pytanie.
 - Jeśli tylko znam odpowiedź...
 - Wcześniej, kiedy blondyn kazał wysiąść twojej siostrze z samochodu...
 - Chodzi o Casey?
 - Tak. Bała się, że zechcą porwać Ashley.
 - A nie chcieli? Przecież miała być ich zakładnikiem.
 - To było później, bo na początku zamierzali tylko ukraść samochód. W każdym razie wydawało mi się, że dziewczynka już w tym momencie bała się porwania. Dlaczego?
 - Jest jeszcze mała i była śmiertelnie przerażona napadem. Dzieci wszystko odnoszą do siebie. - Słowa Megan nie zabrzmiały zbyt przekonująco.
 - Nie uważasz jednak, że to dziwne? - nie ustępował Niccolo. - Zwykle dziecko, nawet przestraszone, niejnyślr od razu, że je porwą.
- Milczała, kryjąc zmieszanie, i zawróciła w stronę parkingu. Nagle odwróciła się ku niemu gwałtownie.

- Me mam pojęcia, co jest grane, Nick! - powiedziała podenerwowanym tonem. - Do diabła, nawet nie miałam czasu dowiedzieć się czegoś więcej o Ashley... ale dlaczego tak bardzo interesują cię wszystkie szczegóły?

- Każdy drobiazg może okazać się ważny, kiedy masz do czynienia z bandytą wymachującym bronią. Być może za bardzo roztrząsam tę całą sprawę i próbuję znaleźć jakiś sens tam, gdzie go nie ma. Nie potrafię ci tego racjonalnie wytłumaczyć, to po prostu kwestia intuicji.

Znakomicie zdawał sobie sprawę, skąd bierze się jego śledcza ciekawość, jednak z pewnych, i tylko sobie znanych powodów, na razie nie zamierzał dzielić się z nikim swoimi podejrzeniami.

Bezustannie prześladował go widok mężczyzny, owiniętego w łachmany.

Megan zatrzymała się przy kuchennych drzwiach baru.

- Nick, jesteś dorosłym facetem, a nie wiesz, że prawie wszystko, co się nam przytrafia, nie ma żadnej logiki? - prychnęła.

Delikatne płatki śniegu osiadły na jej policzkach. Z przyjemnością obserwował, jak miękki puch srebrzy krótkie włosy Megan i ozdabia jej rzęsy białą koronką. Ogarnęła go nieprzeparta chęć, by zdjąć płatek, który roztopiał się na czubku zgrabnego noska.

Pohamował się jednak i wsunął ręce do kieszeni.

- Nie znam cię, Megan, ale nie sądzę, żebyś naprawdę w to wierzyła - rzekł z powagą.

- Nie zakładaj się, bo przegrasz.

- Podjąłbym takie ryzyko.

- Nick, tak się zdarzyło, że dzisiejszej nocy przechodziłeś koło baru. Czysty przypadek. Cieszę się, że się tu znalazłeś i jestem ci za to wdzięczna, ale nie dopatruj się w tym żadnego boskiego planu.

Uśmiechem skwitował jej wyraźną irytację.

- Megan Donaghue, twoi przodkowie z Wyspy Whiskey przewracają się w grobie. Zanim pójdziesz spać, powinnaś się pożegnać - ostrzegł.

- Ostatni raz modliłam się chyba dziesięć lat temu.

- To jaka z ciebie irlandzka katoliczka?

- Cóż, raczej marna.

Nadeszła pora, by się pożegnać. Niccolo zdał sobie sprawę, że dokuczał Megan tylko dlatego, bo nie miał ochoty się z nią rozstać, jednak nie potrafił rozpoznać uczucia, jakie nim zawładnęło.

- Lepiej już pójdę, może teraz nareszcie uda mi się zasnąć - wypowiedział głośno pierwszą myśl, jaka przyszła mu do głowy.

- A więc nasz detektyw cierpi na bezsenność?

- Mówiłem ci już, że pytania bez odpowiedzi wytrącają mnie ze snu.

- Wygląda więc na to, że znalazłeś to, czego szukałeś. Po raz kolejny wyczuł, że mimo pozorów niefrasobliwości,

ich rozmowa kosztuje Megan sporo wysiłku.

- Nie do końca.

- Przykro mi, że zapędziłeś się w ślepy zaułek, ale myślę, że trudzisz się na darmo.

Z rozmowy wynikały dwa oczywiste wnioski. Po pierwsze, Megan za wszelką cenę stara się go przekonać, że uległ halucynacji, a po drugie, była na tyle mądra, by wiedzieć, że im mocniej będzie zaprzeczać, tym więcej pytań padnie z jego strony. Zastanawiał się, czy przypadkiem panna Donaghue w zawołany sposób nie daje mu do zrozumienia, aby porzucił swoje prywatne śledztwo.

Megan otworzyła drzwi, kiwnęła ręką na pożegnanie i znikła w ciepłym wnętrzu baru.

Zapadła głucha cisza. Niccolo żwawym krokiem ruszył przez parking. Śnieg skrzypiał pod stopami. Tknięty przecuciem zatrzymał się jeszcze raz przy wozie Casey, aby po raz ostatni dokonać oględzin. Tuż za lewym przednim kołem mignął w świetle latarki niewielki przedmiot. Była to duża, złota i bogato zdobiona spinka do mankietów. Oprawione w cenny metal brylanty układały się w połyskujące blaskiem dwie litery S. Nie znał się na błyskotkach, ale nawet on potrafił ocenić, że spinka jest stara i z pewnością wiele warta. Zamknął ją w dłoni, dumając, co dalej robić. To cacko z pewnością nie należało do dwójki złodziei. Czyżby zgubił ją ów bezdomny? Może przeczesywał miejskie śmietniki w poszukiwaniu czegoś na sprzedaż, a tę niezwykłą zdobycz zachował dla siebie? Nick stał na ośnieżonym parkingu, ściskając spinę w dłoni i głowiąc się, co począć ze znaleziskiem. Odpowiedź nadeszła sama, nim wsunął cacko do kieszeni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Klan Donaghue'ów uwielbiał świętować. Świętowano, kiedy pierwszy potomek Bobby'ego Donaghue stracił mleczny ząb. Świętowano, gdy Kyle Donaghue Flanagan został mianowany biegłym rewidentem hrabstwa Cuyahoga. I gdyby Kyle'a, znanego w rodzinie jako Pete Lepkie Palce, zwolniono za nieuczciwe praktyki, świętowano by pewnie i tę okazję.

Większość uroczystości obchodzono w „Wyspie Whiskey”, choć kiedyś, na przełomie wieków, doszło do brzemiennego w skutkach wydarzenia, które na długie lata wyciszyło radosny zgiełk baru. Już w dzień po nieudanej próbie kradzieży samochodu i niespodziewanym powrocie Casey w rodzinne strony klan Donaghue'ów bawił się w najlepsze. Przewidująca Megan sownie zaopatrzyła kuchnię. Złodzieje przysłużyli się jej w ten sposób, że zupa ziemniaczana, której wielki garnek pozostał z poprzedniego dnia, zniknęła w mgnieniu oka.

- Jak się miewa moja ulubiona siostrzenica?

Megan wpadła w krzepkie i pachnące piwem objęcia wuja Dennisa, najstarszego brata matki. Wejście do rodziny Donaghue'ów oznaczało tyleż samo, co przymierze krwi, o ile nowy krewny nie prawił morałów i nie zadzierał nosa. Tacy „przyszywani” członkowie klanu byli akceptowani niemal natychmiast, jeśli w ich tyłach płynęła choć kropla krwi irlandzkiej.

- Miewam ile świetnie, wuju. - Uścisnęła go i wyrwała ile i jego ramion. - Może przeczucisz się na colę, co?

- Chcesz, żebym wznosił toasty za moje siostrzenice bezalkoholowym świństwem? - obruszył się Dennis, aż okulary o grubych szklach zsunęły mu się z nosa.

- Starczy tych toastów. - Megan doskonale wiedziała, kogo trzeba zachęcać do zabawy, a komu należy odmawiać następnej kolejki. Wujowi Dennisowi wyznaczyła limit dwóch drinków, bo kiedy wypił więcej, łatwiej było pozbyć się pcheł z psiego grzbietu niż jego. Słyszała, że kiedyś wpadł z krótką wizytą do jej rodziców, a wyszedł dopiero po tygodniu.

- Zjedz trochę pysznej zupy ziemniaczanej, to zapomnisz o pragnieniu. - Trąciła go przyjaźnie w ramię.

- Zupy Rosaleen?

Przytaknęła. Słynne przepisy praprababki Rosaleen weszły na stałe do jadłospisu baru i szybko zdobyły niemal legendarną sławę nie tylko w gronie rodzinnym, ale i w całym regionie.

- Pewnie nie zdradzisz mi, czego do niej dodajesz, że ma taką kremową konsystencję - westchnął Dennis z rezygnacją.

Megan żartobliwie udała, że gotowa jest spełnić życzenie wuja. Otworzyła usta, jakby zamierzała wyznać tajemnicę, po czym natychmiast je zacisnęła, uśmiechając się figlarnie.

- Ty paskudo! - wykrzyknął Dennis zawiedziony.

- Peggy?! - zawołała do siostry, przechodzącej obok z tacą z pustymi szklankami.

- Talerz zupy ziemniaczanej - zadysponowała, wskazując na wuja - i do tego colę.

Peggy posłała Dennisowi czułego całusa i znikła w kuchni.

Do biesiadników dołączyła Casey. Jako gość honorowy ubrała się w opięte czarne legginsy i połyskującą złotą tunikę. Wyglądała zabójczo.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać słodkich opowiastek z dzieciństwa - oznajmiła na wstępie z kwaśną miną - ani

anegdotek o zwierzętach, kuzynach, przyjaciółach i żadnych innych nudziarstw.

- To dobrze trafiłaś, moja droga! - zarechotał Dennis. - Powiem ci prawdę, jaka z ciebie była mała diabliska. Twoja anielska matka spędziła więcej czasu u Świętej Brygidy, modląc się o twoją duszę, niż ty za tym barem.

- Daj spokój, wuju - ucięła Megan. - Prawisz morały jak Irlandczyk, a w rodzinnym kraju byłeś tylko raz, na dwutygodniowej wycieczce.

- Ale cóż to były za wspaniałe dwa tygodnie - rozmarzył się Dennis.

Casey ucałowała go serdecznie w policzek.

- Dzięki za szczerość. Te wszystkie lata z dala od domu zatarły moje wspomnienia z dzieciństwa.

- O wiele za długo tu nie byłaś, ale nie myśl, że wszyscy zapomnieli, jakie z ciebie ziółko!

- Uważaj, bo pomyślę, że za wcześnie wróciłam.

- Tęskniliśmy za tobą, kochana. Jak mogłaś zniknąć nam z oczu na tyle lat? - Dennis czule pogładził ją po głowie.-

- Dobrze się bawisz? - zagadnęła Megan z odrobiną ironii, gdy się oddalił.

- A jak sądzisz?

- Myślę, że czujesz się nieco przytłoczona. Minęło sporo czasu.

- Właśnie takie spotkania utwierdziły mnie w przekonaniu, że powinniśmy sprzedać bar.

Megan wiedziała, że ocierają się o niewygodny temat, którego nie poruszały od dawna i który przyczynił się do ich rozstania.

- To właśnie takie spotkania przekonały mnie, że nie powinniśmy tego robić - odparła z uporem.

- No i stanęło na twoim, a teraz mamy kolejną imprezę.

- Przebywanie w gronie najbliższych jest dla ciebie aż taką męką?
- Cóż mogę ci odpowiedzieć? Nieskończenie wiele razy zapewniałam, że moja noga nigdy nie przekroczy tego progu, ale kiedy potrzebowałam pomocy, natychmiast wróciłam, do „Wyspy Whiskey” i do ciebie.

Casey została zagarnięta przez dalekiego kuzyna, a Megan ruszyła do kuchni. Obliczyła, że razem ze stałymi bywalcami do baru zawitało około pięćdziesięciu gości, a więc w sumie niewielu. Zima przyniosła epidemię grypy i ludzie woleli zostać w domu, aby uniknąć ryzyka zarażenia.

W kuchni Peggy nalewała zupę. Arnie, nocny kucharz, znowu zrobił sobie zasłużoną przerwę.

Megan podziwiała niepospolitą urodę najmłodszej siostry. Ciemnobrązowe lśniąco czarne włosy, duże czarne oczy, łagodne rysy twarzy, smukłe, harmonijnie zaokrąglone ciało - wszystko tworzyło niemal posagową, piękną całość. A co najważniejsze - i co odbijało się niemal w każdym jej gościu - nosiła w sobie niezachwianą wiarę w człowieka. Kiedy Peggy była mała, Megan bała się, że siostra zaprzyjaźni się kiedyś z krwawym mordercą, przekonana, że uratuje jego duszę rozmową.

- Beze mnie nie dałabyś sobie dziś rady - rzuciła Peggy przez ramię. - To miejsce przypomina zoo.

Od rana, od kiedy lokalna gazeta na pierwszej stronie poinformowała o wieczornym napadzie, dzień stał się dla Megan nieprzerwanym ciągiem rozmów telefonicznych i niespodziewanych wizyt zatroskanych krewniaków, którzy koniecznie chcieli sprawdzić, czy siostrze nie potrzeba wsparcia.

W południe stało się jasne, że wszyscy oczekują przyjęcia. W jednej chwili Megan zajęła się planowaniem, wydawaniem poleceń i przyrządzaniem potraw. Nie miała nawet chwili czasu, by zamienić parę słów z Casey i Peggy.

50

- Cudownie jest znów mieć cię w domu - westchnęła - ale szkoda, żebyś marnowała czas przy garach. Powinnaś zająć się ważniejszymi sprawami.
- Czyż jest coś ważniejszego od rodzinnego pojednania? Megan uznała, że ma okazję, by choć odrobinę wysondować najmłodszą siostrę.
- Cieszę się, że przyjechałaś z Casey, lecz, o ile się nie mylę, w tym tygodniu zaczęły się zajęcia na uczelni.
- To prawda.
- I nic się nie stanie, jeśli opuścisz wykłady?
- Musiałam brać dyżury w czasie ferii świątecznych. Kiedy Casey przedstawiła mi swój plan, postanowiłam skorzystać z okazji, a szpital zgodził się dać mi kilka wolnych dni. Peggy szykowała się do egzaminów na akademię medyczną i jednocześnie, po lekcjach, pracowała na pół etatu w szpitalnej izbie przyjęć. Zarabiała tam marne grosze, ale chodziło o praktykę.
- Znasz mnie. - Megan położyła dłoń na ramieniu siostry. - Wciąż się o ciebie martwię. I wcale nie musisz być mediatorem między mną i Casey, jeśli po to tutaj przyjechałaś.
- Hejże, a nie mogę cię odwiedzać, kiedy mam ochotę? Ot tak, bez powodu?
- Oczywiście że możesz! Okropnie za tobą tęskniłam, jest mi jednak przykro z powodu tego, co zdarzyło się wczoraj na parkingu.
- Nie martw się, za kilka dni potraktuję to zdarzenie jako przyczynek do wnikliwej analizy umysłowości dwóch patologicznych typów, taki rodzaj treningu, w dodatku za darmo. Megan z troską przyglądała się siostrze.
- Nie mów, że myślisz o psychiatrii...
- Dlaczego nie? - Peggy uśmiechnęła się. - Ta rodzinka potrzebuje dobrego psychoterapeuty.

- Z pewnością. Będiesz miała tyle roboty z krewnymi, że zabraknie ci czasu na innych pacjentów - skrzywiła się Megan.
- Nie ma sprawy, ale ustalę dla nich podwójną stawkę. Ty też każesz im przepłacać za drinki, no nie?
- To nie ja każę im przepłacać, tylko sami dają sute napiwki. Wyobrażasz sobie wuja Dana na kozetce w twoim gabinecie? Może lepiej zastanów się nad medycyną sportową. W tym gronie nie ma ani jednego wyczynowca.
- Nie musimy teraz o tym decydować, prawda? Jeśli wujcio nie dostanie zaraz zupy, Bóg jeden wie, co mu wpadnie do głowy.
- Wpisz mnie w swoim przepelnionym grafiku na miłą i długą pogawędkę, dobrze? Uśmiech zgasł na twarzy Peggy.
- Chcesz mnie wziąć na spytki? Kiedy potrzebuję spokoju i ciepła? Meg, ja po prostu chcę trochę pobyć z wami i odpocząć. - W głosie Peggy wyczuwało się ukrytą determinację.
- Jak długo?
- Tyle, ile będzie konieczne. Możesz to uszanować?
- Jasne, ale pamiętaj, kiedy będziesz miała ochotę pogadać, zawsze jestem gotowa.
- Megan wróciła do sali. Obeszła gości, zamieniając z nimi kilka przelotnych zdań, a spragnionym napełniła opróżnione kufle. Na koniec dołączyła do Peggy, która zdążyła podać zupę Dennisowi i wdała się w pogawędkę z Groganami. Wuj Frank na widok Megan zerwał się z miejsca i rozłożył szeroko ramiona. Uściskali się wylewnie.
- Ciotka Deirdre okazała siostrzenicy równie spontaniczną serdeczność. Była niską, kruchą i nieco egzaltowaną osobką. Kiedyś jej włosy mieniły się miedzianym połyskiem, a teraz, z niewielką pomocą fryzjera, przybrały barwę szampana.
- Groganowie, ludzie niezwykle mili i przyzwoici, byli po-

stadami mniej barwnymi niż reszta klanu. Deirdre każdą wolną chwilę poświęcała miejscowemu Centrum Katolickiemu, a Frank, którego sukcesy w interesach stały się wprost legendarne, zawsze służył pomocą krewnym potrzebującym pożyczki lub referencji. Oboje traktowali siostry Donaghue jak córki, których nigdy nie mieli. Gdy Peggy była jeszcze dzieckiem, zastępowali jej rodziców i pilnowali, by niczego jej nie brakowało. Taką samą troską pragnęli otoczyć dumną Megan i hardą Casey, jednak bez powodzenia.

- Peggy opowiadała nam właśnie o swojej pracy - zaświergotała Deirdre.

Megan wiedziała, że to drażliwy temat. Groganowie byli bardzo zamożni, aby bez uszczerbku dla bankowych kont łożyć na chesne Peggy, ona jednak nie chciała korzystać z ich hojności i dyplomatycznie przystała, by płacili tylko za podręczniki. Utrzymywała się ze szpitalnej pensji i z wystarczająco wysokiego jak na jej potrzeby stypendium.

- Pracownicy szpitala są bardzo pomocni - opowiadała z ożywieniem - i kiedy mają czas, udzielają mi wszelkich wskazówek. Jeden z lekarzy pozwala mi nawet zadawać pytania podczas pracy.

- Świetne nadajesz się na studia medyczne - uznał pogodnie Frank - a z twoimi ocenami możesz wybrać dowolny kierunek. Wiesz, że ci pomożemy.

- Już od jakiegoś czasu odkładamy na ten cel zyski Peggy z baru - oświadczyła Megan.

- Skoro wszystkie kieszenie same się otwierają, to może złożycie się i wyślecie mnie na kilka miesięcy do Aspen? -prowokowała Peggy. - Trochę nart, słońce Kolorado, i przestanę zawracać sobie głowę medycyną.

- A może po prostu kupimy ci narty na zakończenie studiów? - zaproponowała niezrażona Deirdre.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i napięcie opadło. Megan znowu powędrowała do kuchni. W połowie drogi zauważyła, że wuj Frank podąża za nią.

- Megan. - Przytrzymał ją za ramię, nie zdejmując dłoni, kiedy się zatrzymała. Zaprowadził ją w spokojniejszy kąt sali. - Muszę z tobą pomówić.

- O akademii medycznej porozmawiamy, kiedy sprawa się wyklaruje. Peggy jeszcze się nie zdecydowała.

- Nie chodzi mi o nią, kochanie.

Słowo „kochanie” zbiło ją z tropu. Frank, w przeciwieństwie do Dennisa, był nadzwyczaj powściągliwy w wyrażaniu uczuć. Przeczesał przeredzone włosy palcami, co robił zawsze, gdy czuł się skrepowany.

- Słuchaj, odwiedził mnie dziś rano pewien mężczyzna. Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć...

- Kto taki?

- Przedstawił się jako Niccolo Andreani.

- Nick przyszedł do ciebie?

- Nie, czekaj, zaraz ci dokładnie opowiem. Byłem w biurze, a on... - przerwał, jakby dopiero teraz dotarło do niego to, co usłyszał. - Ty go znasz?

- Wuju, to przecież Nick udaremnił złodziejom kradzież mazdy Casey. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że wpadnie tu dziś wieczorem, świętować razem z nami. No tak, powinnam posłać kogoś do niego z zaproszeniem... ale czego on szukał w twoim biurze? I dlaczego mi o tym mówisz?

- W zasadzie nie przyszedł do mojego biura. Jeden z moich pracowników przyłapał go, kiedy przeszukiwał mój teren.

Frank był właścicielem kopalni żwiru Grogan Gravel. Jako młody chłopak, zaraz po szkole, pracował przy budowie sieci kolejowej na Wyspie Whiskey. Pewnego razu przyszedł ugasić pragnienie do baru Donaghue'ów i spotkał tam piękną mie-

dzianowłosa Deirdre i wkrótce ten nieopierzony młokos poślubił uroczą dziewczynę. Potem wyjechał do Wietnamu i wrócił z kieszeniami pełnymi medali, kilkoma tysiącami dolarów wygranych w pokera i przekonaniem, że skoro świat się tak szybko zmienia, trzeba gnać do przodu razem z nim.

Zainwestował w kopalnię żwiru i dzięki ciężkiej pracy oraz wielu wyrzeczeniom przekształcił ją w przynoszący krociowe zyski interes. Posiadał też udziały w kilkunastu przedsiębiorstwach, jednakże swoje główne biuro pozostawił na terenie kopalni.

- Czego chciał Nick? - Megan odesłała barmana, który proponował drinka. Pragnęła jak najszybciej wyjaśnić tajemnicze pojawienie się Niccola w tak nieoczekiwanym miejscu.

- Powiedział, że w nocy, kiedy był napad, widział uciekającego w kierunku kopalni mężczyznę i przyszło mu do głowy, że może kręci się w naszej okolicy. Mówił też, że ów osobnik miał na sobie kilka warstw łachów, z czego wysnuł wniosek, że może jest bezdomny.

Megan poczuła raptowny ucisk w żołądku.

- Nie sprecyzował, kiedy go widział?

- Nie, był dość oszczędny w słowach. Nie przypuszczałem... - Frank potrząsnął głową. - Powinienem dokładniej go wypytać. Powiedział tylko, że ma podstawy przypuszczać, iż ten mężczyzna przeszedł przez autostradę i zatrzymał się gdzieś na Wyspie. Chciał wiedzieć, czy są tam jacyś bezdomni.

- Nadal nie wiem, co ja mogę mieć z tym wspólnego -skwitowała Megan, choć rozumiała więcej, niżby sobie życzyła.

- Ludzie widzieli tego mężczyznę - ciągnął Frank. - Nikt go dotąd nie złapał, ale kilkakrotnie go namierzono. Opis się zgadza: średni wzrost, kilka warstw starych ubrań, rude włosy, ot, włóczęga.

Megan przymknęła oczy, nie mogła jednak odegnąć obrazu, który malował jej Frank.

- Czy ten lump miał coś wspólnego z kradzieżą? To dlatego Nick wybrał się na Wyspę i wypytywał o niego? - zapytała, nie chcąc milczeć.

- Pan Andreani twierdzi, że widział, jak mężczyzna uciekał, gdy nadjechała policja, choć ten człowiek nie brał udziału w napadzie. Prawdopodobnie unieszkodliwił jednego z bandytów i umożliwił policji jego schwytanie.

- Casey mówiła mi, że też go zobaczyła - wyznała cicho Megan.

- Rozpoznała go? - spytał z niepokojem Frank.

- To nie mógł być Rooney, jeśli o to ci chodzi. Nikt nie widział go od dziesięciu lat. To jasne, że dawno utopił się w niebiańskiej rzece alkoholowego zapomnienia.

- Tylko nie mów tak o nim przy ciotce, Megan.

- Bez obawy. Nie zamierzam w ogóle o nim rozmawiać. - Chciała odejść, ale Frank ją zatrzymał.

- Twój znajomy może to zmienić.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sprawia wrażenie, że bardzo mu zależy na odnalezieniu człowieka, którego widział na parkingu, kimkolwiek by on był. I chyba nie kieruje nim czysta ciekawość. Wiesz może, po co to robi?

- Nie znam go. Tamtej nocy po raz pierwszy był w barze. Pewnie jest po prostu wdzięczny temu mężczyźnie, że udaremnił bandycie ucieczkę.

- Myślę, że powinnaś z nim porozmawiać.

- Po co?

- Bo inaczej nie przestanie zadawać pytań. A jeśli ten bezdomny to...

- To nie on! - Uświadomiła sobie, że bezwiednie podniosła

głos, przyciągając uwagę obecnych, i ciszej dodała: - Zastanowię się nad tym.

- Próbowałem go zniechęcić, ale nadaremnie. Nie chciałbym, żeby bez potrzeby grzebał w naszych sprawach. Może powinien usłyszeć to od ciebie?

- Zastanowię się.

- Jeśli będziesz potrzebować pomocy, jestem do dyspozycji. - Frank uśmiechnął się niewesoło. -

Zrobię wszystko, co będę mógł, ale nie wplątujemy w to Deirdre ani Peggy. Przynajmniej nie teraz.

- Oczywiście, że nie. I proszę cię, nie wspominaj o tym Casey.

- Zgoda.

Nikt tak nie lubił bawić się, jak Casey. Potrafiła garściami korzystać z życia i dobierać sobie w tym celu odpowiednich mężczyzn. Tym razem wpadł jej w oko kierowca ciężarówki podobny do Elvisa. Miał na imię Earl, był rozwodnikiem z dwójką dzieci i wcale nie marzył mu się stały związek. Miała do czynienia z wieloma podobnymi Earlami i wiedziała, czego się po nim spodziewać.

Chciała, by oswoił się z atmosferą rodzinnego zgromadzenia. Earl był nowy w mieście i nie znał historii rodu. Flirtowała z nim, jednocześnie zachowując dystans.

- Nie chcesz *jointa*, maleńka? - Siedzący przy barze kierowca złapał rękę Casey i przyłożył ją sobie do piersi.

- Nie mogę się stąd urwać - skwitowała lekko poirytowanym tonem. - To przyjęcie powitalne na moją cześć.

Myślami błądziła wokół Ashley, którą przedstawiła rodzinie i odesłała na górę pod opieką wynajętej dziewczyny.

- „To moje przyjęcie i będę płakać, jeśli najdzie mnie ochota...” - zanucił mężczyzna.

- Co?

- To taka piosenka. Nie znasz jej, bo jesteś za młoda, kotku.

- Nie jestem twoim kotkiem, Earl. I już ci mówiłam, że muszę tu zostać. - Casey wyrwała rękę z uścisku. - Co powiesz na jeszcze jedno piwo?

- Chcę być zdolny do dalszych występów.

Nie sądziła, by miał na myśli występy w musicalu „Miss Saigon”.

- Więc znajdź sobie kogoś do rozmowy. Wszyscy wprost przepadają za pogawędkami. Moja kochana rodzinka jest pod tym względem wyjątkowo utalentowana.

Miał pustą twarz bez wyrazu. Podejrzewała, że wyobraźnią dorównuje zegarkowi elektronicznemu. Wybrała go sobie na partnera, bo nie musiała zwracać uwagi na to, co mówi. Trąciła go delikatnie w policzek.

- Nieważne, znajdź sobie po prostu jakieś towarzystwo. Beznamiętną twarz kierowcy oszpecił grymas rozdrażnienia.

- Słuchaj no, kotku, albo idziesz ze mną, albo znajdę sobie przyjemniejsze miejsce do zabawy.

Nie znosiła szantażu. Earl budził w niej coraz większą niechęć. Co prawda w obcisłych dżinsach wyglądał bardzo atrakcyjnie i miał pięknie wykrojone usta, ale zdawał się być wyjątkowo tępym i zarozumiałym bufonem

- W porządku, to spadaj - rzuciła wyzywająco.

- Co ty sobie wyobrażasz? - Podniósł się ze złością. - Pewnie myślisz, że jesteś dla mnie za dobra?

Jesteś nikim, cipeńko, zwykłą cizią za barem.

- Ty za to jesteś ogromnie ważnym facetem, bo przewozisz banany z Nowego Orleanu do Chicago i przy okazji tak się rozpędzasz, że na piechotę dotarłbyś do Indianapolis - odpaliła.

Twarz Earla przybrała znowu tępy wyraz. Czuł, że go obrażano, tylko nie bardzo jednak wiedział, jak.

- Pieprzę, zjeżdżam stąd - mruknął. - Znajdę sobie lepsze towarzystwo.

- Niegłupi pomysł.

Odepchnął ją i ruszył w stronę drzwi, lecz niespodziewanie ktoś zastąpił mu drogę.

- Przed chwilą odepchnąłeś tamtą damę. - Mężczyzna był drobniejszej postury od Earla. W klasycznym szarym garniturze wyglądał dość niepozornie, ale niedostatki nadrabiał nieugiętą stanowczością.

- Zejdź mi z drogi! - warknął kierowca.

- Ani mi się śni - odparował mężczyzna. - Tej pani należą się przeprosiny.

Jego głos wydał się Casey dziwnie znajomy.

- W porządku, niech sobie idzie, nie mam do mego żalu - próbowała załagodzić spór.

Mężczyzna potrząsnął głową. Miał krótkie ciemne włosy i przystojną, choć niczym nie wyróżniającą się twarz, doskonałą dla kogoś, kto chce pozostać niezauważony w tłumie.

- Myślę, że przyda mu się lekcja dobrego wychowania. Prawda? - Pytanie skierowane było do Earla.

- Spadaj! - Earl aż sapał z wściekłości.

- Nie ma mowy.

- Czy ja pana znam? - zapytała Casey.

Zanim nieznajomy zdążył odpowiedzieć, Earl zaatakował. Mężczyzna w garniturze uniósł ramię, chwycił napastnika za przegub i zręcznym ruchem wykręcił mu rękę do tyłu. Earl wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni i, unieruchomiony, zastygł twarzą zwrócony do Casey.

- Prze-pra-szam... - sylabizował dobitnie nieznajomy, jak gdyby pouczał małego łobuziaka.

I pokonany, i sama Casey wydawali się jednakowo zdumieni nieoczekiwanym obrotem sytuacji.

- Earl, po prostu to powiedz - nalegała łagodnie. Dzięki panującemu ściskowi nie zwrócili na siebie uwagi, ale lada chwila sytuacja mogła się zmienić. - Na miłość boską, wykrztuś to i wynoś się! - syknęła.

Earl wymamrotał w końcu coś, co przypominało przeprosiny. Mężczyzna zwolnił chwyt, lecz pozostał czujny.

- Właśnie straciłaś okazję na najlepszy seks, jaki ci się trafił od dziesięciu lat, malutka! - warknęła niedoszły kochanek Casey, wygładzając ubranie.

- Ciesz się nim beze mnie - odparowała. - Nawet nie zauważysz różnicy.

Earl ostrożnie ominął zwycięzcę i skierował się prosto do wyjścia, a Casey odprowadzała go wzrokiem, póki nie zniknął za drzwiami. Potem przeniosła spojrzenie na swego obrońcę.

- Czy ja cię znam? - powtórzyła, rezygnując z oficjalnej formy. Zaczęła sobie przypominać tego człowieka.

- Nadal zadajesz się z przegranymi, Casey? Z wyrzutkami i ćpunami?

- Nigdy nie brałam i nie biorę narkotyków! Moi znajomi też nie - zachnęła się oburzona.

- Tak, to chyba prawda. Dzieciaki, z którymi się zadajesz, pozornie wyglądają na silniejsze, niż naprawdę są, ale niewiele z nich otrzymało akademickie dyplomy.

- Co to ma być? Atak na każdego, kto nie nosi garnituru?

- W żadnym wypadku. Znam wielu elegantów w garniturach, którzy mają mniej rozumu od twojego Earla, a niektórzy z nich rządzą tym hrabstwem. To taki rodzaj powitania i wspomnienie z przeszłości. Kiedyś byłem jednym z tych przegranych. - Uśmiechnął się smutno i wtedy go rozpoznała.

- Jon Kovats! - Przechyliła głowę i przyglądała mu się uważnie.

- Boże, już kiedyś prowadziliśmy podobną rozmowę, prawda?

- Bardzo dawno temu.

Ona i Jon uczęszczali do tego samego publicznego liceum, którego uczniowie dzielili się na tych, którzy chcieli coś w życiu osiągnąć, i tych, którzy nie lubili zawracać sobie głowy nauką. Oboje trafili do klasy dla szczególnie uzdolnionych. Razem chodzili na wagary i razem kuli, kiedy było trzeba. Stali się bliskimi przyjaciółmi i szkolnymi rywalami.

- Ty zawsze przyciągałaś zbłąkane dusze. - Jon rozsiadł się na stołku, który zwolnił Earl.

- Nie, po prostu nie byłam takim snobem jak ty - odparowała Casey, odkrywając w szkolnym koledze cechy, których nigdy przedtem nie zauważyła: orzechowe oczy, wyrazistą, mocno zarysowaną szczękę, zgrabną męską sylwetkę, jakże niepodobną do chuderlawej postury nieopierzonego nastolatka, jakim go pamiętała.

- Ja? Nigdy nie byłem snobem. Pochodzę z chłopskiej, węgierskiej rodziny. Urodziłem się z brudem pod paznokciami.

Uniosła jego rękę, położyła na swojej dłoni i poddała dokładnym oględzinom.

- Wyczyściłeś je, jak widzę.

- Witaj, Casey. - Splótł swoje palce z jej palcami i mocno zacisnął.

- Minęło sporo czasu.

- Racja. Po szkole zniknęłaś jak kamfora. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz.

Nie miała ochoty przerabiać jeszcze raz tego tematu.

- Ty też gdzieś przepadłeś.

- To żadna tajemnica. Rodzice czekali, aż skończę szkołę,

spakowali manatki i przeprowadzili się do Kalifornii, do małego miasteczka. Ojciec kupił tam firmę pośredniczącą w sprzedaży samochodów.

- Pojechałeś z nimi?

- Nie. Wyjechałem do San Francisco, a później do Stanford, na studia prawnicze.

- Minęło dziesięć... prawie jedenaście lat. Studiowałeś prawo? Jesteś prawnikiem?

- Pracuję w biurze prokuratora okręgowego. Przypomniała sobie Earla, starego weterana bójek, zamkniętego w żelaznym uchwycie.

- Tam uczą samoobrony?

- Nie, nauczyłem się tego w policji. Zmarszczyła pytająco brwi.

- Tak, przed stadiami poszedłem do policji. Wtedy nie byłem zdecydowany, czy chcę łapać przestępców, czy ich bronić.

- Cóż, zawsze potrafiłeś odróżnić dobro od zła. - W jakiś sposób ich rozmowa wróciła do punktu wyjścia. - Ja też to potrafię, jeśli chodzi o ludzi. Być może moi przyjaciele nie spełniają twoich wygórowanych wymagań, ale jestem ostrożna. Żadnych pijaków, żadnych ćpunów, żadnych naciągaczy.

- Tylko prymitywy, z którymi nie da się rozmawiać, prawda? Faceci, którzy nie słuchają.

Mimo upływu dziesięciu lat pamiętał bardzo wiele.

- Witaj w domu, Jon.

Obdarował ją zabójczym, zniewalającym uśmiechem, którego dawniej nie znała.

- Nic się nie zmieniło, co? Natychmiast ucinasz rozmowę, kiedy mam rację.

- Powiedz lepiej, co robisz w Cleveland? Zrezygnowałeś ze słonecznej Kalifornii dla tej ponurej dziury?

- Tak.

Ktoś dotknął ramienia Casey; odwróciła się zaskoczona.

- Casey - Peggy obrzuciła Jona ciekawym spojrzeniem - opiekunka musiała już iść, więc zapłaciłam jej i odesłałam do domu. Powiedziała, że Ashley smacznie śpi, ale jeśli chcesz, mogę z nią posiedzieć.

- Peg, pamiętasz Jona? Byłaś mała, kiedy kończył szkołę średnią.

- Jasne, że pamiętam - rozpromieniła się Peggy. - Czytałeś mi bajki.

Casey przeprosiła szkolnego kolegę i wzięła siostrę na stronę.

- Naprawdę możesz zajrzeć do Ashley?

- Pewnie, ale mamy mnóstwo zamówień. Tamte dwa stoliki pod oknem i te dwa w rogu czekają na dania. Wiem, że ktoś jeszcze chciał zupy.

- Zajmę się tym, a ty zobacz, czy mała śpi. Potem zainstalujemy w kuchni głośnik, a mikrofon przy jej łóżku, żeby słyszeć, kiedy się obudzi.

Casey pragnęła zakończyć rozmowę z Jonem. Sprawy tego wieczoru przybrały dziwny obrót i czuła się przez to niepewnie, a nie znosiła takiego stanu ducha. Kiedy znów znalazła się przy barze, wszystko wydało się jej jeszcze dziwniejsze.

Jon Kovats zniknął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Megan mieszkała na pierwszym piętrze ładnego domu z cegły przy Edgewater Drive. Budynek sąsiadował od północnej strony z parkiem okalającym brzeg jeziora, od południowej zaś z centrum handlowym. Choć widok z okna przesłaniały wysokie klony, mieszkanie było dość widne, z dużymi oknami i szerokimi parapetami, na których rządkiem stały doniczki z kwiatami. Megan wyposażyła kuchnię w ciężki stół i ławy, a w obszernej sypialni zmieściło się ogromne, stare łóże z wiśniowego drewna, nabyte po długich targach w sklepie ze starociami. Własnoręcznie je odnowiła i dokupiła do kompletu pasującą do niego szafę oraz toaletkę.

Większość elementów wnętrza pochodziła z wyprzedaży i pchlich targów. Na kuchennej półce ustawiła kolekcję porcelanowych imbryków, zaś w sypialni ogromny wielobarwny dzban służący za wazon. Łóżko przykrywała patchworkową kapą z drobnych kolorowych rombów. Pewnej bezsennej nocy próbowała je policzyć, co skłoniło ją do gorzkiej refleksji, że kobiety w jej wieku na ogół miewają ciekawsze zajęcia.

Lubiła swoje mieszkanie, jeszcze bardziej jednak lubiła niezależność. W dzieciństwie i w szkolnych latach nigdy nie zaznała prywatności, dzieląc łóżko z Casey lub Peggy, a w czasie burz z obiema, a jedyne intymne chwile odosobnienia spędzała w łazience. Choć tak ceniła sobie swobodę, niekiedy nocami

ogarniała ją melancholia; czuła się samotna i opuszczona, zwłaszcza gdy padał deszcz. Czwartkowy poranek był szary i dżdżysty, a mżawka w każdej chwili mogła zmienić się w ulewę. Megan leżała w łóżku z dłońmi splecionymi pod głową i w zadumie wpatrywała się w sufit. Poprzedniego wieczoru przygotowała irlandzki gulasz Rosaleen. W południe Casey, z pomocą Peggy, rozpocznie swój pierwszy dzień pracy, podając gulasz i piwo robotnikom z miejscowych fabryk, którzy wpadali o tej porze na lunch. Gdzieś tam w górze praprababkę na pewno rozpiera duma. Chętnie by im pomogła, ale musiała spotkać się z Niccolem Andreamim. Spędziła niespokojną noc, myśląc o siostrach. O niespodziewanym pojawieniu się Casey, o opuszczonych wykładach Peggy. Stawał jej przed oczami Nick penetrujący Wyspę Whiskey, na której swego czasu praprababka Rosaleen zbierała dziką cebulę nieopodal torów kolejowych i lamentowała, że w zanieczyszczonej rzece Cuyahoga, która przepływała przed jej domkiem na Tyler Street, brakuje ryb. Jednak to nie ducha Rosaleen Donaghue obawiała się Megan. Doszła w końcu do wniosku, że pobożnymi życzeniami nie rozwiąże problemów i zmusiła się do wstania. Godzinę później przemierzała autem ulice Cleveland. Znalezienie domu Niccola nie zajęło jej wiele czasu. Jako dziecko puszczała wodze fantazji i upiększała stare domy, malując je w myślach w jaskrawe kolory i otaczając ogrodami tonącymi w kwiatach. Wyobrażała sobie, że na frontowym ganku, przy stole nakrytym wzorzystym obrusem, nalewa lemoniadę albo herbatę. Wycinała z czasopism zdjęcia ozdobnych balkonów i okien z pięknymi widokami, i wieszała je w rogu

pokoju, który dzieliła z siostrami. Kiedy tylko miała okazję, wpatrywała się w te fotografie, uciekając od szarej rzeczywistości.

Już niemal zapomniała o dzieciennych fantazjach. Z czasem stwierdziła jednak, że nie tylko ona dawała się ponieść podobnym marzeniom. Wiele budynków, które mijala, starannie odnawiano, a niektóre były dziełem prawdziwych artystów.

Zaparkowała starego chevroleta przed domem Niccola. Barry, który odwiózł go z pogotowia, wyjaśnił jej, jak ta trafić, nie opisał jednak samego domu. Tkwiąc za kierownicą, przyglądała się dużemu, piętrowemu budynkowi z obszernym ganekiem, który mógłby pomieścić całą gromadkę dzieci.

To był piękny, rodzinny dom.

Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że Niccolo może być żonaty. Został postrzelony, ale nikogo o tym nie zawiadomił. Nie zadzwonił po kogoś, kto odwiózłby go po opatrzeniu rany, no i samotnie wałęsał się nocą po mieście.

Właśnie myślała, że powinna zweryfikować swój pogląd na temat statusu rodzinnego Nicka, gdy uchylły się drzwi wejściowe. W szparze ukazała się ciemna głowa, a za nią nagie ramię. Ręka sięgnęła po ciśniętą na ganek poranną gazetę. Megan rozpoznała Niccola, kiedy się wyprostował.

Mimo dojmującego zimna miał na sobie tylko biały podkoszulek i byle jakie spodnie.

Był wczesny ranek, a ona nie znała zwyczajów tego domu. Pluła sobie w brodę, że nie pomyślała o tym wcześniej. Nick wyglądał, jak gdyby wciąż się nie obudził i nie życzył sobie żadnego towarzystwa przed wypiciem filiżanki mocnej kawy.

A żona, która dzieli z nim ten przestronny dom? A dzieci?

Tkwiała nieruchomo w nadziei, że Nick jej nie zauważy.

Postanowiła wrócić później, kiedy pani domu zdąży uporać się z poranną toaletą i ubierze swoje pociechy. Było jednak

za późno. Niccolo, z gazetą w dłoni, szybkim krokiem zbliżał się w stronę chowoleta. W noc napadu jej auto stało na parkingu obok mazdy Casey, nie mogła się więc łudzić, że go nie rozpozna. Pocziwą starą Charity, z rdzewiejącymi drzwiczkami i lakierem w czterech odcieniach błękitu, trudno było pomylić z jakimkolwiek innym wozem.

Westchnęła, otworzyła drzwiczki i postąpiła kilka kroków w jego kierunku.

- Może przyjadę później. - Nie musiała krzyżeć, trawnik przed domem nie był szeroki.

- Dlaczego?

Przemknęło jej przez głowę, że tak sformułowane pytanie nie brzmi zbyt uprzejmie.

- Megan, po co miałabyś przyjeżdżać później, skoro tu jesteś? Wejdz.

- Na pewno? Nikogo nie zaskoczę? Nie od razu zrozumiał sens tego pytania.

- Masz na myśli żonę albo przyjaciółkę? - Uśmiechnął się po chwili.

- Tak - przyznała skrepowana.

- Mieszkam sam w towarzystwie kilku myszy, a im poświęciłem już dziś wystarczająco dużo czasu.

Widmo żony w jedwabnym peniuarze rozplynęło się.

- Mogę poczekać, aż wypijesz poranną kawę.

- Miło mi będzie wypić ją razem z tobą.

Bez wahania przystała na tak sformułowaną propozycję.

- Pewnie rozpoznałeś samochód? Trzeba przyznać, że Charity jest jedyna w swoim rodzaju.

- Charity?*

- Peggy go tak nazwała.

* Charity - w języku angielskim: życzliwość, dobroczynność (przyp. dum.).

- Dlaczego?

- Bo zapala tylko pod moim domem i na parkingu baru.

- Będiesz mi jeszcze musiała o niej opowiedzieć - stwierdził, prowadząc ją długim korytarzem.

W jej rodzinie krążyło wiele podobnych żarcików. Gdyby nie swoiste poczucie humoru, członkowie klanu Donaghue'ów dawno zamieniliby się w zgorzkniałych tetryków.

Niccolo przyglądał się Megan przyjacielsko i taksująco zarazem. W jego wzroku nie było nic z łakomej natarczywości, z jaką mężczyźni często patrzą na kobiety, lecz jedynie zaintrygowanie i ciekawość.

- To wspaniały dom - pochwaliła z zachwytem

- Naprawdę ci się podoba?

- Bardzo. Styl neogotycki, prawda? Ostrołuki u szczytu, prawdopodobnie oryginalnie zdobione krawędzie, które, mam nadzieję, odnowisz, łukowo sklepiony ganek... - urwała speszona, łapiąc się na tym, że się popisuje. - Przepraszam, interesuję się architekturą i uwielbiam stare domy.

- Dlaczego przepraszasz?

- Bo co innego wiedzieć, a co innego epatować swoją wiedzą słuchaczy.

- Przypomina mi to pewną matczyną przestrożę.

- To znaczy?

- Kobieta nie powinna dopuścić, by mężczyzna się spostrzegł, że jest mądrzejsza od niego - wyrecytował, nadając głosowi mentorski ton. - W ten sposób nigdy nie złapiesz męża, moja droga.

- Nie wiedziałam, że chcę złapać męża.

- Rozprawiasz na mój ulubiony temat i do tego przepraszasz. Intrygujesz mnie - wyznał z uśmiechem.

- Nic nadzwyczajnego. W każdym semestrze wybierałam sobie zajęcia, które mnie pasjonowały.

- Na przykład z architektury?

Interesowało ją wiele dziedzin - literatura, filozofia, fizyka. Nigdy nie uczęszczała do college'u, ale gdyby podliczyła godziny, które spędziła na wykładach, mogłoby się okazać, że ukończyła go mimochodem.

- Tak, liźnęłam trochę z tej dziedziny i mam ogromną ochotę zwiedzić cały dom. Jeśli to ci nie...

- Niestety, nie bardzo jest co pokazywać. Kupiłem dom w opłakanym stanie i od tamtego czasu niewiele tu się zmieniło.

Sądząc po żalonym wyglądzie holu, gospodarz miał rację. Z popękanych tynków wystawały splątane końcówki zmurszałych kabli, odpryskujące pokłady farby odsłaniały kolejne, wypłowiałe kolory.

Jedynie sufit wyróżniał się świeżością, co stanowiło dowód, że trwał remont, a niegdyś zasilany gazem piękny stary żyrandol zachował się jako wspomnienie dawnej świetności.

- Zdarłem już cztery warstwy farby, a wciąż nie jestem pewien, co znajdę pod nimi - wyjaśnił Nick, jakby czytał w jej myślach. - Z podłogi zerwałem dwie warstwy linoleum, niestety, dębowych desek, które są pod nimi, nie dało się uratować. To, co widzisz, to spodnia posadzka z klonowego drewna.

Mam nadzieję, że jeśli włożę w to trochę pracy, uda mi się ją odnowić.

Megan spojrzała pod nogi. Wyrażenie „trochę pracy” wydało jej się czystą kpina.

- Będzie wspaniale, jeśli uda ci się ją ocalić.

- To nie takie trudne, po prostu trzeba zająć się każdą deską z osobna.

Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek spotkała tak wytrwałego człowieka, Taki mężczyzna, opanowany i cierpliwy, gotów do mozolnego trudu i gotów wszelkie przyjemności od-

łóżyc na później, póki należycie nie wykona zadania, byłby cudownym partnerem.

Ta nagła myśl, która mimowiednie zakiełkowała jej w głowie, zaskoczyła ją i wprawiła w zakłopotanie. Na szczęście Niccolo wyprzedził ją i ruszył w głąb korytarza.

- Pokażę ci, co zrobiłem na górze.

Zwiedzanie piętra zakończyli w kuchni. Megan naprawdę była pod wrażeniem, bo w zręcznych rękach Niccola dom nabierał wyrazu. Ten czarodziej przeistaczał zgrzybiałą, pomarszczoną staruchę w czarującą i zmysłową pannę młodą.

- Wiem, że trudno zauważyć efekty mojej pracy. - Wskazał na okrągły stół stojący w rogu i na krzesło z drabinkowym oparciem. Megan usadowiła się tak, by widzieć Nicka.

- Wcale nie, wystarczy odrobina wyobraźni - zaoponowała. - Mimo odrapanych ścian i pozrywanych podłóg mogę sobie uzmysłować, jak ten dom wyglądał i jaki będzie za jakiś czas, gdy już zakończysz wszystkie prace.

Mówiąc te słowa, rozglądała się po kuchni. Niccolo z talentem remontował wnętrza, ale brakowało mu zmysłu deko-ratorskiego. Pokoje z kilkoma przypadkowymi meblami i niemal pusta kuchnia, wyposażona jedynie w najpotrzebniejsze sprzęty - lodówkę, dwie proste szafki nad zlewozmywakiem i blaty nakryte ceratą - sprawiały wrażenie obcych, niezamieszkałych przestrzeni i nic nie mówiły o osobowości gospodarza.

- Jak widzisz, mam jeszcze mnóstwo roboty - powiedział, wskazując na stos wiórów zaścielających podłogę. Z szafki nad zlewem wyjął ekspres do kawy.

- Espresso?

- Mam nieco dziwne upodobania - zmarszczyła zabawnie nos.

- Dużo mleka?

- I trzy łyżeczki cukru. - Megan zaśmiała się z jego reakcji. - Wiem, wiem naprawdę okropnie mi wstyd, ale cóż na to mogę poradzić?

- Wedle życzenia.

Nalewając wodę do dzbanka, jednocześnie sięgnął po puszkę z kawą.

- Przyjąłem taki plan: to, co wymaga remontu, odnowię, a to co się da zachować, zostawię. Chcę, żeby w budynku wygodnie się mieszkało, a jednocześnie nie chcę, by stracił swoją urodę i niepowtarzalny wygląd.

- Wiele domów remontowałeś?

- Ten jest pierwszy, który odnawiam na własną rękę.

- Czyli kiedyś już to robiłeś, tyle że nie sam?

W milczeniu przesypywał kawę do ekspresu. Zastanawiała się, czemu nie odpowiada.

Z ciekawością obserwowała jego wprawne ruchy. Uznała, że prostota stroju - ciemne sandały, dzinsy i zwykły bawełniany podkoszulek - doskonale pasuje do jego surowej twarzy, choć zapewne prezentowałby się znakomicie w eleganckim smokingu. Szczególnie podobał się jej kontrast między białą koszulką i smagłą cerą.

- Jeszcze jako nastolatek pomagałem trochę ojcu - odezwał się wreszcie. - Jest świetnym rzemieślnikiem, ale nie dorobił się fortuny, bo nie uznaje nowoczesnych metod. Za to mój brat Marco prowadzi firmę budowlaną, która w sześć tygodni stawia domy w stanie surowym. Ten z kolei stosuje tylko najnowocześniejsze technologie. Ja plasuję się gdzieś pośrodku obu rodzinnych skrajności.

- A tak dla przykładu, co zrobiłeś metodami ojca, a co brata?

Czarujący uśmiech dodał jego twarzy zniewalającej atrakcyjności.

- Cóż, metodę Marka zastosowałem w kompozycji przestrzeni. Przedtem kuchnia była o połowę mniejsza niż teraz. Tu, gdzie siedzisz, znajdowała się spiżarnia, a trochę dalej było przejście na schody. Przebiłem ściany i połączyłem obie części. Natomiast szafki i meble dobrałem zgodnie z gustem ojca. Kupiłem je w pewnej rupieciami.

Szafki z klonowego drewna ozdobiono prostym, niemal prymitywnym wzorem, który podkreślał fakturę materiału.

- To jedyne, jakie masz?

- Musiałabyś zajrzeć do piwnicy - roześmiał się serdecznie. - Wyobraź sobie dziesięć podobnych, w różnych fazach rekonstrukcji. Niektóre fragmenty pomalowano złotą farbą, którą trudno usunąć.

Dostałem je za bezcen. Kuchnia będzie wspaniała.

Potrafiła sobie to wyobrazić. Jakby przeglądała swoje ulubione pisma z dzieciństwa, z fotografiami przedstawiającymi sytuację „przed”. Warto będzie poczekać, by zobaczyć stan „po”, uznała.

- Mam nadzieję, że nie tylko mnie się będzie podobać - stwierdził.

Spojrzała na niego pytająco.

- Odnawiam ten dom, żeby go sprzedać. Inwestycja handlowa. Tanio kupić, samemu wyremontować, drogo sprzedać... choć w tej okolicy nie dostanę za niego fortuny.

Megan, sama nie wiedząc dlaczego, poczuła w sercu ukłucie rozczarowania.

Niccolo przez chwilę nalewał mleko do stalowego dzbanuszka, a kiedy skończył, oparł się łokciami o stół.

- No cóż, myślę jednak, że nie przyjechałaś tu, by zwiedzić mój dom, prawda?

Nerwowo bębniła palcami o blat stołu, jakby używała jakiegoś kodu. Zaraz jednak się pohamowała.

- Tak, masz rację. I nie po to, by wypić kawę, choć pewnie będzie wyśmienita.

- A więc jaki jest cel twojej wizyty?

Ułożyła sobie szczegółowo, co i jak ma powiedzieć, jednakże wahała się chwilę, nim zdobyła się na szczerłość.

- Rozmawiałeś wczoraj rano z moim wujem Frankiem Goranem, tak?

Beztroski nastrój Niccola ulotnił się, wyparty przez posępną rezygnację.

- Czy całe Cleveland to twoi krewni?

- Zaledwie niewielka grupka w zachodniej części miasta, ale i tak wystarczy, jak widzisz.

- Będę o tym pamiętał.

- Wuj powiedział mi, że krążyłeś po Whiskey i wypytywałeś o jakiegoś bezdomnego.

- Widzę, że niczego nie da się ukryć. Czego jeszcze się

o mnie dowiedziałaś?

- Chcę, żebyś przestał węszyć, Niccolo.

- Cenię sobie ludzi, którzy nie owijają sprawy w bawełnę

i walą prosto z mostu.

- W takim razie dojdziemy do porozumienia, bo o to właśnie mi chodzi.

- W porządku, ale o czymś zapomniałaś. Rozpatrzmy najpierw opcję „dlaczego”. Twierdzisz, że na parkingu nikogo nie było, dlaczego więc przeszkadza ci, że ścigam swoje urojenia?

- Być może ktoś tam jednak był.

- Dobrze, dlaczego więc zmieniłaś zdanie?

- Miałam czas spokojnie się nad tym zastanowić.

- Z czego wnioskujesz, że mi się nie przywidziało? Nie była przygotowana na tak niełatwą przeprawę.

- Wszyscy byliśmy tamtej nocy zdenerwowani i w takim napięciu trudno było trzeźwo myśleć.

- Prawdę mówiąc, miałem wrażenie, że myślisz aż zanadto trzeźwo, usiłując mi wmówić, że uległem halucynacji.

- Zmieniłam zdanie po rozmowie z wujem Frankiem.

Niccolo podstawił dzbanek pod kurek ekspresu i zaczął nalewać kawę. Kuchnię wypełnił intensywny, aromatyczny zapach.

- Będę szczerą - powiedziała z westchnieniem. - Wtedy nie chciałam w to wierzyć, ale mamy powody przypuszczać, że mężczyzna, którego widziałeś, jest kimś, kogo niegdyś znaliśmy. To mało prawdopodobne, ale jednak możliwe. Ten człowiek mieszkał kiedyś w sąsiedztwie, ale nikt od dawna go nie widział.

- Od jak dawna?

- Przed laty uznaliśmy go za zmarłego i przywykliśmy już do tej myśli.

Rozlał kawę do kubka i porcelanowej filiżanki, do kubka dolał mleko i postawił naczynia na stole.

- I co teraz?

- Cóż, trudno przyjąć do wiadomości fakt, że ktoś powrócił ze świata umarłych.

- Spora część ludzkości wierzy w co najmniej jedno zmartwychwstanie.

Wyszedł na chwilę i wrócił z cukiernicą i łyżeczką. Megan posłodziła kawę i zamieszała.

- To smutny przypadek. Przez lata ludzie starali się mu pomóc, on jednak odrzucał wsparcie. Jeśli naprawdę żyje, prawdopodobnie chce mieć święty spokój, skoro tak uparcie się ukrywa.

- Ten człowiek zachował się jak bohater, bowiem podjął ogromne ryzyko, aby zapobiec przestępstwu. Czyż nie zasługuje na wdzięczność? Może tym razem przyjmie pomoc? Może właśnie jej potrzebuje i dlatego tamtej nocy znalazł się na parkingu?

Bliskość Niccola, ciepło jego ciała i niespodziewane uczucie intymności, jakie ich połączyło, sprawiało Megan zaskakującą i niewytłumaczalną przyjemność.

- Nick, nic nie wiesz o tym człowieku, no i w ogóle nie orientujesz się w sytuacji. - Pochyliła się ku niemu nad blatem.
- Po co się tak angażujesz? Jakie to ma dla ciebie znaczenie, czy go znajdziesz, czy też nie? Jesteś dla niego zupełnie obcym facetem.
- Chcesz posłuchać pewnej historii?
- Myślałam, że to my, Irlandczycy, jesteśmy najlepsi w te klocki.
- Mój dziadek był niezrównanym gawędziarzem i sypał historyjkami jak z rękawa. Ale do rzeczy. Uświadomiła sobie, że jeśli ma dopiąć celu, jaki sobie postawiła, musi go wysłuchać.
- Mieszkałem kiedyś w Pittsburgu - zaczął, rozpierając się wygodnie w krześle. - Pochodzę z południowo-zachodniej Pensylwanii, z jednego z tamtejszych małych miasteczek, więc naturalną kolejną rzeczą właśnie tam się osiedliłem. Pracowałem w jednej z najzamożniejszych podmiejskich dzielnic, gdzie powierzono mi nadzór nad pewnym dużym, starym budynkiem.
- Byłeś dozorcą?
- Powiedzmy, zarządcą - uściślił z lekkim uśmiechem.
- W mojej gestii leżały rozmaite sprawy: stan techniczny domu, administrowanie, utrzymywanie porządku. Mieszkałem wtedy... powiedzmy w sąsiedztwie. Pewnego dnia wczesnie rano, pod daszkiem nad wejściowymi schodami, natknąłem się na śpiącego, bezdomnego mężczyznę. W centrum miasta taki obrazek nikogo by nie zdziwił, ale w eleganckiej dzielnicy zazwyczaj nie stykasz się z nędzą i ludźmi przegranymi, dlatego wielu bogaczy wybiera przedmieścia. - Nick przerwał na

chwilę. - Ten człowiek był stary, brudny i bezzębny, podobny do tysięcy innych bezdomnych. Obudziłem go i przegoniłem, lecz następnego dnia zastałem go w tym samym miejscu. I tak powtarzało się codziennie, w końcu przywykłem do jego obecności. Był koniec lata, pewnie było mu tam wygodnie. Weszło w zwyczaj, że przynosiłem mu rano kawę i bułkę, czasem jakiś owoc. Nieraz dawałem mu też trochę drobnych, nie tyle, by mu starczało na alkohol, ale mógł za to kupić sobie kanapkę. Korzystał z jadłodajni w schronisku dla bezdomnych, ale z niewiadomych powodów nie chciał tam nocować. Wyznał mi, że nie czuje się tam bezpiecznie. To była jedna z niewielu rzeczy, jakie mi w ogóle powiedział.

- Dowiedziałeś się czegoś o nim?

- Nie chciał o sobie opowiadać, był bardzo oszczędny w słowach. Dowiedziałem się tylko, że miał na imię Billy i że przyjechał do Pittsburga z Nowego Jorku. W końcu przestałem pytać. - Niccolo upił łyk kawy. - Nadeszła jesień i robiło się coraz chłodniej. Ludzie, którzy korzystali z tego budynku, zauważyli Billy'ego i mieli do mnie pretensje, że pozwalałam mu tu nocować. Głowiłem się, co z nim począć. Coraz dłużej zalegał na schodach, wchodząc rano do budynku, trzeba go było omijać. Zdarzało się, że sikał na schody i nigdy po sobie nie sprzątał. Każdego ranka zastawałem rozrzucone śmieci, które gdzieś wygrzebywał. Nie zawsze zdążyłem je uprzątnąć. Billy przestał być niewidzialny i tego ludzie nie mogli znieść. Brzydzili się starcem, odnosili się do niego z pogardą, a nawet z owym specyficznym rodzajem nienawiści, jaki syty zwycięzca nieraz czuje do upodlonego przez życie outsidera. - Niccolo skrzywił się lekko. - W końcu kazałem mu się wynieść, ale nie posłuchał. Pewnej wyjątkowo zimnej nocy wezwałem policję, żeby go zabrała. W ten sposób chciałem zapewnić mu chociaż jedną noc w ciepłym areszcie, lecz nadaremnie, bo

Billy wrócił następnego wieczoru. Znalazłem schronisko dla bezdomnych na drugim końcu miasta i tam go zawiozłem... dostatecznie daleko, żeby zyskać pewność, że przerzuciwszy problem na czyjeś barki, można ze spokojnym sumieniem wrócić do wygodnego, egoistycznego życia.

- To jak wyrzucić psa z samochodu w obcej okolicy - wtrąciła Megan bez uśmiechu. - Jeśli potrąci go samochód, nigdy się o tym nie dowiesz.

- No cóż, po dwóch dniach Billy znowu się pojawił. Straszylem go policją, ale pogróżki nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Zadzwońiłem więc jeszcze raz na posterunek. Zabrali go z obietnicą, że tym razem dopilnują sprawy. Nie chciałem, żeby tak to się skończyło, lecz nie widziałem innego wyjścia. Nie mógł zimować na schodach. Mróz przyszedł tego roku wyjątkowo wcześnie, a ludzie byli nieubłagani... więc bezlitośnie się go pozbyłem.

Serce Megan gwałtownie kołatało w piersi.

- I co się z nim stało?

' Sędziowie oddalili jego sprawę i znów trafił na ulicę. Dla ludzi takich jak on istniały specjalne programy pomocy, lecz załatwienie formalności wymagało stania w kilometrowych kolejkach. Były też subsydiowane przez miasto hostele, ale wszystkie pękały w szwach, a lokalne więzienie miało dość rezydentów do karmienia, zamkniętych często za mniejsze przewinienia niż włóczęgostwo.

Wiesz, jak to jest, za mało policjantów, za wiele spraw. Ale zapewniono mnie, że wszystko będzie pod kontrolą. - Spojrzał jej prosto w oczy. ~ I wierzyłem, że tak właśnie było. Aż pewnego dnia przyszedłem do pracy i znalazłem Billy'ego na schodach. Był martwy, po prostu zamarzł.

- Zamarzł? - jak echo powtórzyła Megan zdławionym głosem.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał oglądać takiego widoku.

W głowie Megan panował kompletny zamęt.

- Słuchaj, nadal nie rozumiem co to ma wspólnego z...

- Przez długi czas - ciągnął, jakby nie słyszał jej uwagi

- nie mogłem się uwolnić od poczucia winy. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, żeby zapobiec podobnym tragediom. Za budynkiem, którym administrowałem, stał inny, wcześniej zamieszkały, ale wtedy był pusty. Przez cały czas, kiedy Billy nie miał się gdzie podziać, nikt w nim nie mieszkał. Poszedłem do zarządu i zaproponowałem, żeby zaadoptować ów dom na schronisko dla bezdomnych prowadzone przez wolontariuszy, całkowicie bezpieczne, z psychologiem, kursami zawodowymi i terapią odwykową.

- Nie zgodzili się - zgadła Megan.

- Wszyscy wyrażali żal z powodu Billy'ego, nawet ci, którzy najgłośniejszy krzyczyli, żeby go wypędzić, ale wszyscy też zgodnie uznali, że otwierając schronisko dla bezdomnych, ściągniemy włóczęgów z całej okolicy, a tego nikt sobie nie życzył. Żeby uspić sumienia, postanowiono zorganizować festyn, z orkiestrą, poczęstunkiem i loterią, a zebrane pieniądze przekazać na rzecz miejskich schronisk. Rzeczywiście, po odliczeniu kosztów, zysk wpłacono na przytułki. Ludzie promieniali błogim zadowoleniem, bo dobrze spełnili swój obowiązek...

- Wszyscy... oprócz ciebie. - Megan zdała sobie sprawę, że nie tknęła kawy. Gdy teraz jej spróbowała, stwierdziła, że jest doskonała. Odstawiła kubek i spostrzegła wymalowane na nim iglice katedry.

- Masz rację, wszyscy prócz mnie. - Twarz Niccola ściał grymas gorczy. - Już wiesz, co to był za budynek, Megan?

- Zadał to pytanie łagodnym, wyciszonym tonem, bez cienia ironii.

78

- To był kościół...

- Tak.

- Po wiernych, którzy przychodzili się modlić, mogłeś się spodziewać więcej miłosierdzia i szczególnej wrażliwości na potrzeby innych ludzi.

- Wcale tego nie oczekiwałem. To byli tacy sami ludzie jak wszyscy.

Ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Dlaczego więc tak cię to dręczy, Nick? Skoro wiesz, że ludzie są tylko ludźmi bez względu na to, dokąd chodzą w niedzielne poranki? Próbowalesz pomóc Billy'emu. Co więcej mogłeś zrobić?

- Bardzo wiele - uśmiechnął się smutno. - Widzisz, byłem w tym kościele proboszczem. Byłem duszpasterzem Billy'ego i Bóg zesłał go w moje ręce. Zawiodłem ich obu, i Billy'ego, i Boga. A teraz jestem zwykłym stolarzem, któremu na jawie śnią się bezdomni tam, gdzie ich nie ma.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ojciec Ignatius Brady, proboszcz w kościele Świętej Brygidy, miał jedną słabość - cenił sobie rozkosze podniebienia. Polując na wymyślne przysmaki, stale penetrował alejki Rynku Zachodniego Ohio, czyli największego w okolicy targu. Zнали go wszyscy tamtejsi rzeźnicy, byli z nim po imieniu i wybierali mu co lepsze kęski, jakie mieli tego dnia w sprzedaży.

W czwartek, późnym rankiem, Iggy wpadł do Niccola z baranym combrem przybrany tak misternie, że na pewno zasługiwał na kulinarny piedestał.

Niccolo z wdzięcznością przyjął wyszukany specjał i zaprosił księdza na kolację. Iggy zjawił się punktualnie o szóstej. Uścisnęli się serdecznie i przeszli do kuchni, w której rano Niccolo serwował Megan aromatyczną kawę zaprawioną smutną historią.

Nick poczekał, aż Iggy usadowi się na swoim ulubionym miejscu, i wskazał na butelkę wina.

- Mam coś, co z pewnością zaspokoi twój wybredny smak. Wyborne barolo, które w zeszłym roku przywiózł mi kuzyn z podróży do Włoch.

Twarz Iggy'ego złagodził wyraz niekłamanego zachwyty. Był o trzydzieści lat starszy od Niccola i choć nieraz zgrzeszył łakomstwem, to czystością duszy bez wątpienia zasłużył na miano świętego.

- Jesteś zbyt szczodry. - Iggy doceniał uprzejme gesty i przyjmował je z niezmienną wdzięcznością. Był skromnym i pełnym pokory człowiekiem.

- To tylko początek. - Niccolo zaprezentował gościowi cenną butelkę, wcielając się na chwilę w kelnera z eleganckiej restauracji, i sięgnął po korkociąg. - Przygotowałem elanie według najlepszego przepisu mojej mamy. Na pewno nie będziesz zawiedziony.

- Co to będzie?

- Pieczony comber w specjalnym czerwonym sosie, a do tego szpinak przyrządzony na parze. Iggy zwykle smakował zaledwie kilka kęsów, ale za to rozkoszował się nimi z miną konesera. Teraz niecierpliwie zerkał w stronę piekarnika.

- Długo jeszcze?

- Nie, tylko chwilkę - zaśmiał się Niccolo. - Może tymczasem odrobinę wina?

- Z przyjemnością.

Począł, aż Niccolo napełni kieliszki, i wznosił toast:

- Za ten dom, i oby prace nadal szły tak dobrze.

- Tak dobrze? Na razie widzę same niedociągnięcia.

- Nie doceniasz siebie, to typowe dla ciebie.

- Dziwne, nigdy wcześniej mi tego nie mówiłeś.

- Mówiłem, i to na wiele rozmaitych sposobów. Być kimś takim jak ty to błogosławieństwo, ale i przekleństwo zarazem. Gdybyś nie dostrzegał niedociągnięć, nie wiedziałbyś, co dalej robić. No cóż, lecz zazwyczaj tacy ludzie wpadają w pułapkę własnej perfekcyjności.

- Homilia na dzisiaj? - uśmiechnął się Niccolo. Zamyślane oblicze Iggy'ego pojaśniało.

- Powiedzmy, że pracuję nad tym.

- Więc podejrzewam, że dostrzegasz też drugą stronę medalu. Człowiek, który nie potrafi uczciwie ocenić swoich osiągnięć i nie czuje spełnienia, nigdy nie Osiągnie szczęścia.

- Oczywiście.

- Nie musisz się więc o mnie martwić, bo jestem dumny z tego, co osiągnąłem.
- Każdy, kto przeszedł takie przemiany, musi mieć wątpliwości co do swojego miejsca na ziemi i odczuwać niepewność.

Sącyli w milczeniu wyśmienite wino. Niccolo zadumał się nad słowami przyjaciela. W swoim towarzystwie czuli się swobodnie i bezpiecznie, a cisza zupełnie ich nie krępowała, stanowiła bowiem rodzaj relaksu. Ignatius Brady był jego nauczycielem i powiernikiem od czasów seminarium. Asystował przy jego święceniach i podczas spotkania, po którym Nick pożegnał się ze stanem duchownym. Nigdy go nie osądzał.

- Niczego nie żałuję, Iggy - przerwał ciszę Niccolo. - Ani lat spędzonych w kościele, ani rezygnacji z-kapłaństwa. Wciąż czuję, że Bóg jest ze mną, tyle że nikt nie potrafi mi wytłumaczyć jego przesłań, więc sam muszę je interpretować.
 - I jak ci się to udaje?
 - Wiele się wydarzyło od czasu, kiedy wyjechałeś na leczenie.
 - Doprawdy? Przecież nie było mnie zaledwie tydzień! Niccolo wstał i podszedł do kuchenki. Wziął z półki pojemnik z pieprzem i doprawił nim wrzącą wodę.
 - Spotkałem Billy'ego, wiesz? Tym razem to on uratował mi życie, mimo że pozwoliłem mu umrzeć:
 - Chcesz mi o tym opowiedzieć? - zapytał ksiądz bez śladu zdziwienia.
 - Znasz Megan Donaghue? Prowadzi „Wyspę Whiskey”, ten bar na Lookout Avenue.
 - W tym barze załatwia się wiele interesów, bo w porze obiadowej można tam spotkać wielu polityków naszego hrabstwa. Donaghue'owie należą do parafii Świętej Brygidy, więc ich wszystkich znam.
- Niccolo zwiększył płomień pod garnkiem ze szpinakiem.

- Poznałem panie Donaghue w nieco innych okolicznościach.

Kończąc ostatnie przygotowania do posiłku, zrelacjonował próbę kradzieży samochodu oraz poranną wizytę Megan.

- Twierdzi, że ten starzec z parkingu to ktoś z sąsiedztwa, kto nie będzie chciał przyjąć pomocy - dokończył. Wyłączył palniki i nałożył na półmiski mięso i szpinak, oraz dodał gęsty sos pomidorowy.

- Wierzysz jej? - zapytał Iggy.

- Czasem niepełna prawda jest bardziej nieuczciwa od kłamstwa.

- Twierdzisz, że coś ukrywa?

Niccolo oczekiwał, że przyjaciel powie coś więcej, lecz Iggy milczał.

- Co o tym myślisz? - zagadnął wreszcie.

- Myślę, że masz rację. Bóg cię nie opuścił i taki szczegół, jak brak koloratki, nie oddalił cię od Niego. Nie myliłeś się także w innej kwestii, a mianowicie musisz znaleźć swoją interpretację boskich znaków.

- To znaczy, że mi nie pomożesz?

- Nic ci nie mogę powiedzieć.

Niccolo wiedział, że naleganie na nic się nie zda, bowiem doskonale rozumiał, czym jest tajemnica spowiedzi.

- Jeszcze jedno... - Sięgnął do kieszeni i położył na dłoni przyjaciela złotą spinkę do mankietów. - Tej samej nocy wróciłem na parking i znalazłem ją przy samochodzie. Przypuszczam, że zgubił ją ten mężczyzna.

- Równie dobrze mógł ją zgubić ktokolwiek inny.

- Leżała tuż za kołem

- To piękna rzecz, i stara, jak sędzę. Pewnie ma dużą wartość.

- Prawdopodobnie należała do tego człowieka, o ile nie

znalazł jej w śmietniku lub na ulicy. To mogą być jednak jego inicjały.

- W takim razie musiał wiele w życiu stracić.

- Inicjały S.S.

- Muszę przyznać, że wydają mi się znajome, ale nie potrafię skojarzyć, skąd. Mam wrażenie, że litery tworzą coś więcej niż inicjał. - Iggy oglądał spinkę z zaciekawieniem.

- Bardzo możliwe - zgodził się skwapliwie Niccolo.

- Zastanowię się nad tym i jeśli coś mi przyjdzie do głowy, dam ci znać. Ale jest jeszcze coś.

Ignatius pochylił się nad parującymi plastrami baraniny i z lubością wdychał aromat potrawy.

- Co takiego?

- Jestem przekonany, że Billy chciał ci przekazać przesłanie, którego nie potrafiłeś odczytać, dlatego wcale nie jestem zaskoczony jego powrotem

Niedziela była dla Niccola najtrudniejszym dniem tygodnia. Po tragicznej śmierci Billy'ego przez całe miesiące, wypełnione wewnętrznym niepokojem, głębokimi rozterkami i poszukiwaniami życiowej drogi, zastanawiał się, co będzie czuł, gdy nie będzie mógł odprawiać mszy. Gdy był księdzem, niecierpliwie oczekiwał radosnej chwili świątecznego spełnienia wiary.

W tym szczególnym dniu, kiedy opłatek przeistaczał się w ciało Chrystusa, a wino w Jego krew, całe życie Niccola układało się w spójną całość wypełnioną głębokim sensem. Teraz jednak nie miał na co czekać.

Zamarznięte ciało na schodach kościoła Świętej Róży z Limy zaprzepaściło to szczęście na zawsze.

W niedzielę, kiedy nastał świt, Niccolo próbował zająć się lekturą prasy i słuchaniem oper z taśmy.

Poprzedniego wieczoru jak zwykle uczestniczył w mszy, starając się nie zauwa-

zać potknąć świeżo upieczonego absolwenta seminarium, a obecnego pomocnika Iggy'ego. Pamiętał własne omyłki i niedociągnięcia, zwłaszcza jedną niezapomnianą mszę, podczas której przypadkiem przydepnął sobie brzeg alby i upadł jak długi przed wiernymi przystępującymi do komunii.

Posilił się dwoma cynamonowymi rogalikami i wypił dwie filiżanki kawy. Kiedy jednak stało się jasne, że ani Puccini, ani krzyżówki nie są w stanie wypełnić dręczącej pustki, ciepło się ubrał i wyszedł z domu.

Na podjeździe spostrzegł, że jego szarą hondę okupują niespodziewani goście. Dwóch nastolatków rozsiadło się bezceremonialnie na masce i wyglądało na to, że widok właściciela w najmniejszym stopniu ich nie speszył.

- Witam panów - zagadnął uprzejmie Niccolo, zatrzymując się obok tylnego zderzaka. - Co dobrego słychać?

Jeden chłopak był czarnoskóry, drugi biały, tak samo jak dwaj bandyci z parkingu. Cieszył się, że zanika segregacja rasowa, jednak z ostatnich wydarzeń wysnuł wniosek, że polityczna poprawność nie eliminuje społecznych problemów. Czarny chłopak, o bardzo ciemnej skórze, nosił misternie splecione warkoczyki, a jego kompan miał długie, ciemne i proste włosy oraz rzadką bródkę.

- Nic nie słychać - odburknął ciemnoskóry z drwiącym uśmiechem. Biały wiercił się niespokojnie, przytakując towarzyszowi.

- Jeszcze nie znam wszystkich sąsiadów. - Niccolo podszedł bliżej i wyciągnął dłoń w rękawiczce. - Jestem Nick Andreani.

Żaden z chłopców nie kwapił się z przywitaniem, wreszcie jednak ciemnoskóry podrostek w nonszalanckim geście podał mu rękę.

- Każdy jakoś się nazywa, więc pewnie ty również. - Niccolo nie zwolnił chwytu, choć chłopak próbował się wyrwać.

- Co ci do tego?

- To proste. Lubię znać tych, którzy przesiadują na moim samochodzie.

- To twoja bryka? - Chłopak udał zaskoczenie. Niccolo wiedział, że chłopak próbuje gierka. Wciąż trzymał

jego dłoń w żelaznym uścisku.

- A ty? - zwrócił się do białego. - Może przypadkiem masz jakieś imię?

Młodzian zrobił spłoszoną minę, jakby bał się, że Niccolo chwyci i jego.

- Josh. A on jest Winston - bąknął.

- Miło was poznać. - Niccolo uwolnił dłoń ciemnoskórego.

- Jasne... - W ustach Winstona zabrzmiało to jak przekleństwo.

- Mieszkacie w okolicy?

Josh zerknął na kolegę pytająco, wahając się, co wolno mu powiedzieć.

- A nawet jak mieszkamy, to co z tego? - odburknął Winston. Nick wetknął ręce w kieszenie.

- Pozwólcie, że coś wam wyjaśnię. Nie próbuję żadnych sztuczek, nie mam zamiaru robić żadnej afery ani ściągnąć wam gliny na kark. Siedzicie na moim samochodzie i póki nie zejdziecie, wypełniamy sobie czas miłą pogawędką. Ot, i wszystko.

- Nie zadzwonisz po gliniarzy? - Zaskoczony Josh po raz pierwszy nie oglądał się na Winstona.

- A po co miałbym ich wzywać? Przecież sobie spokojnie siedzicie, prawda?

- Mam to gdzieś. Zostaję. Lubię se popatrzeć na frajerów, jak sobie chodzą, a to jest gitne miejsce. - Ciemnoskóry chłopak miał przystojną twarz, a uśmiech dodawał jej jeszcze urody.

- Sytuacja się zmieni, kiedy samochód ruszy. Wtedy ci frajerzy będą patrzeć na ciebie - zauważył rozsądnie Niccolo.

- Chodź, Winston. - Josh ześliznął się z maski. Jego kumpel ani drgnął.

- Jedna taka laska chodzi tędy z psem na spacer - wyjaśnił Josh.

- A co robisz, kiedy cię mija? - dociekał Niccolo.

To pytanie zbiło chłopaka z tropu. Na chwilę przestał odgrywać twardziela i od razu zaczął wyglądać o wiele młodziej. Nick utwierdził się w przekonaniu, że nie ma do czynienia z młodocianymi przestępcami, lecz ze znudzonymi dziećmi, które nie mają się czym zająć w niedzielne przedpołudnie.

- Mam dla was lepszą propozycję - oznajmił.

- Taa? - prychnął niedowierzająco Winston.

- Mój ganek. Schody świetnie mogą służyć za punkt obserwacyjny.

Oniemieli ze zdumienia.

- Tam - wskazał ręką Niccolo.

- Nie masz pietra, że narozrabiamy? - wyjąkał zbity z pan-tałyku Josh.

- Przyjrzyj się. - Niccolo nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Co tu można narozrabiać?

- Dlaczego mieszkasz w takiej ruderze? - Winston ześliznął się zręcznie z maski, jakby zapomniał o swoich groźbach.

- Remontuję ten dom, wszystko robię sam. A wy znacie się na stolarce?

- Żartujesz? - zaśmiał się nerwowo Josh. - Stary chowa narzędzia, jak tylko mnie zobaczy.

Niccolo pozostawił tę wiadomość bez komentarza.

- A ty? - zagadnął Winstona.

Chłopak wzruszył ramionami. Mimo mrozu miał na sobie

tylko cienką dżinsową kurtkę, lecz Nick zostawił to spostrzeżenie dla siebie. Podszedł do drzwiczek auta.

- Kiedy wrócę, pokażę wam, co robię, oczywiście jeśli tu jeszcze będziecie.

Winston natychmiast najeżył się podejrzliwie.

- Co jest grane? Szykujesz jakiś numer?

Niccolo pomyślał ze smutkiem, że życie tych chłopców upływa w nieustającym strachu.

- Nie. Pokażę wam, jak remontuję dom, a potem dostaniecie gorącą czekoladę na rozgrzewkę. I to wszystko. Macie chyba dość rozumu, żeby się nad tym zastanowić.

W Winstonie znowu obudził się twardziel.

- Tacy jesteśmy. Dwóch łebskich facetów ja i on.

- Świetnie, bo świat potrzebuje jak najwięcej łebskich facetów.

Niccolo machnął ręką na pożegnanie i wszedł do wozu. Kiedy uruchomił silnik i obrócił się, żeby wycofać samochód, chłopcy ustąpili mu z drogi, co uznał za dobry znak. Ruszył w stronę Wyspy Whiskey.

Niewiele jest miast, które w swym burzliwie rozwijającym się centrum posiadają dwunastohektarową niezabudowaną przestrzeń, a jeszcze mniej może poszczycić się pięknymi widokowo terenami nad rzeką i nad brzegiem jeziora. Istniały już plany zagospodarowania tej części Wyspy Whiskey, choć wciąż prowadzono na ten temat zaciętą dyskusję.

Niccolo mieszkał w Cleveland od niedawna, ale wiedział, że podczas ostatniej dekady zaszły tutaj tak ogromne zmiany, że dawne, gorzko-złośliwe określenie „f omyłka nad Jeziorem” słusznie ustępowało nowemu, które brzmiało „Kwitnące Miasto”. Mieszkańcy szczycili się kilkoma świetnymi drużynami sportowymi, orkiestrą symfoniczną, którą wielu krytyków ob-

wołało jednym z najlepszych zespołów na świecie, sławnymi muzeami oraz instytucjami medycznymi światowej rangi. Odnowione z wielkim rozmachem teatry, w których wystawiano najlepsze spektakle, ściągały największe gwiazdy sceny. „Smaragdowy Naszyjnik”, jak nazywano pas okalających miasto parków i lasów, umożliwiał mieszkańcom aktywny wypoczynek.

Lecz mimo najlepszych chęci magistratu, ponura i zapuszczona Wyspa Whiskey wciąż czekała na swoją kolej. Graniczyła wprawdzie z gwarną i kolorową dzielnicą kafejek, restauracji i hotelików, ale pozostała obszarem typowo przemysłowym z czynną kopalnią pod jeziorem Erie, dostarczającą soli, którą podczas zimy posypywano jezdnie. Barki przewoziły ładunki jeziorem i rzeką, a linia kolejowa równoleżnikowo dzieliła półwysep na dwie części.

Na zachód od brzegu jeziora dwie opuszczone latarnie morskie świadczyły o tym, że niegdyś miasto było ważnym portem śródlądowym. Dalej, za przystanią, rozciągały się zapuszczone tereny, przeznaczone w przyszłości pod budowę restauracji, pensjonatów i kompleksu handlowo-usługowego dla coraz liczniej przybywających nad jezioro turystów.

Tego niedzielnego ranka Niccolo kierował się właśnie w tamtą stronę. W czasie ostatniej wyprawy zjechał niemal cały półwysep wzdłuż i wszerz, wypytywał napotkanych ludzi, od strażników po przygodnych robotników, jednak wszystko nadaremnie. Został tylko do spenetrowania ten zarośnięty, bezludny teren.

Gdyby nie wizyta Megan, zaprzestałby dalszych poszukiwań.

Do przystani wiodła wyboista droga. Wiedział, że w północno-wschodniej części Whiskey kiedyś gnieździli się bezdomni i żebracy, znajdując schronienie w opuszczonych, wałą-

cych się szopach stojących nad brzegiem rzeki, które jednak później rozebrano. Jedynymi mieszkańcami tych porośniętych rzadkimi chaszczami pustkowi były zdziczałe psy i stadka saren. Okolica przypominała bardziej jakąś zapomnianą przez Boga i ludzi krainę niż część dużego miasta. Niccolo zaparkował wóz niedaleko brzegu i ruszył pieszo w górę rzeki, by przyjrzeć się latami morskiej, wybudowanej przy starej stacji straży przybrzeżnej. Stąpał po wilgotnym i rozmiękłym gruncie, usianym odpadkami rudy i łupinami ceramicznych naczyń. Zastanawiał się, na co mógłby natrafić archeolog, gdyby przekopał ten zaniedbany teren. Jakie odkryłyby ślady życia dawnych mieszkańców, których ciała spoczywały pod stosami gruzu i śmieci?

Wdrapał się na wał przeciwpowodziowy i przez chwilę podziwiał lśniąca w promieniach słońca szyby odległych restauracji i eleganckich hoteli. Zima tego roku była łagodniejsza niż zwykle, dlatego jezioro nie zostało skute lodem. W pobliżu błękitny zwodzony most unosił się majestatycznie, by przepuścić płynący rzeką statek. Na zachodzie połyskiwały srebrnymi refleksami zwały żwiru. Po kilku minutach odpoczynku Niccolo skierował się na południe, w stronę rzadkiego lasu. Ta część Wyspy Whiskey jakby zatrzymała się w czasie w połowie drogi między przeszłością a teraźniejszością. Nick wiedział, że gdy pokona zagajnik, trafi na jedną z hałd rudy, żwiru lub soli, których kopiaste szczyty tworzyły księżycowy krajobraz. Kręcił się między drzewami, szukając jakiegokolwiek śladu.

Najwyższe drzewa rosły w zagłębieniach głębokich na metr poniżej poziomu gruntu, a dalej rozciągał się niewielki pas czarnej ziemi. Nick natknął się na wrak mieszkalnej łodzi. Zajrzał do środka, ale niczego nie znalazł. Natknął się jeszcze na kilka podobnych łodzi, które także dokładnie przeszukał. Czuł

się zmęczony i zmarznięty, postanowił więc zawrócić. Wtem dostrzegł dziwacznie sterczącą, bezkształtną płatanię gałęzi. Przypominała szałas, choć nie potrafił zdecydować, czy jest przypadkowym dziełem wiatru i wody, czy też wykonana została przez ludzkie ręce. Przy bliższych oględzinach doszedł do wniosku, że sposób ułożenia gałęzi i desek świadczy o tym, iż ktoś zbudował sobie prymitywne schronienie. Postanowił przyjrzeć się konstrukcji z bliska.

- Jest tam kto? - Odczekał chwilę i zawołał jeszcze raz, tym razem głośniejszym głosem, odpowiedziała mu jednak cisza. Podeszedł jeszcze bliżej i dokładnie obejrzał szałas. Zauważył, że niektóre gałęzie tworzą sploty przypominające wiklinowy kosz.

- Szukam człowieka, który uratował mi życie - powiedział spontanicznie, wiedziony emocją, a nie myślą.

Znów w odpowiedzi usłyszał tylko głuchą ciszę.

Poszukał wejścia do szałasu i wślizgnął się do środka. Wewnątrz odkrył wydrążone w ziemi zagłębienie. Tajemniczy mieszkaniec wybrał z niego kamienie i gruz, i starannie wyłożył jego ścianki gazetami oraz plastikowymi torbami.

- Dobry Boże... - Te słowa zabrzmiały jak modlitwa i przekleństwo zarazem, Niccolo nie wyobrażał sobie bowiem, by ktokolwiek mógł żyć w takich warunkach. W porównaniu z ową nędzną dziurą w ziemi zadaszone przytulisko Billy'ego na schodach kościoła Świętej Róży z Limy wydało mu się luksusowym hotelem.

Przykucnął i lustrował dziwne domostwo. Kto mógł wybrać takie życie? Co go w to miejsce przywiodło i dlaczego nie szukał pomocy? Alkoholizm? Choroba psychiczna? Kryminalna przeszłość?

Ta osoba, kimkolwiek była, uczyniła wszystko, by znaleźć się poza nawiasem społeczeństwa i z pewnością nie życzyła

sobie nieproszonych gości. Obawiał się, że w tej kwestii Megan Donaghue nie myliła się. Na skrawku papieru skreślił kilka słów z prośbą o kontakt. Podał swoje imię i nazwisko, adres oraz numer telefonu i wrzucił kartkę do dziury. Sfrunęła tak, że stała się niemal niewidoczna. Nick zsunął się do zagłębienia, podniósł kartkę i kiedy szukał dla niej lepszego miejsca, zauważył plik papierów. Wahał się przez chwilę, czy ma prawo je przejrzeć, lecz wspomnienie zamarzniętego ciała Billy'ego podsunęło mu właściwą odpowiedź. Pochylił się i podniósł zwitek.

Trzymał w dłoniach kilka kartek obwiązanych brudnym sznurkiem. Usiadł na piętach i rozwiązał pakunek. Ujrzał wyblakły rysunek, na którym trzy postacie, najpewniej dziecięce, grały w jakąś grę. Papier był stary, o poszarpanych brzegach, tego samego gatunku, jakiego niegdyś Nick używał w szkole.

Delikatnie odłożył rysunek i wziął do ręki zniszczony i poplamiony skrawek starego czasopisma. W pierwszej chwili wydało mu się, że to oderwany fragment gazety, którymi wyłożono ściany jamy, ale po dokładniejszych oględzinach przekonał się, że jest to specjalnie wycięty artykuł. Niewiele dało się odczytać z pożółkłej kartki, ale tekst dotyczył prawdopodobnie jakiegoś historycznego wydarzenia w Cleveland. Zdołał rozszyfrować nazwisko James Simeon" i słowa „Aleja Milionerów". Po chwili odłożył artykuł na rysunek.

W ręku pozostała mu fotografia. Przedstawiała dwie wystrojone panny spoczywające na sofie. Jedna trzymała na kolanach mniej więcej roczne i uśmiechnięte dziecko, natomiast druga z dziewcząt przykuła uwagę Nicka. Była czarującą młodą osobką o kształtnej twarzy, okolonej rudymi, opadającymi na ramiona lokami. Ta twarz prawie się nie zmieniła od czasu, kiedy zrobiono to zdjęcie. Gdzieś na rzece statek przeciągłym buczeniem dawał syg-

nał, by podniesiono most. Wyspa Whiskey z jej bogatą, pełną skrywanych tajemnic historią... Jakie opowieści mogłaby snuć ta ziemia? Jacy ludzie rodzili się tu i umierali? Jak wielu żyjących dzisiaj zawdzięcza swe istnienie tym, którzy zasiedlili ten zapomniany przez Boga skrawek lądu?

Kim był człowiek, który zrobił tę fotografię?

Niccolo wilgotnymi oczami wpatrywał się w zdjęcie i zachodził w głowę, dlaczego od razu nie domyślił się prawdy o bezdomnym mężczyźnie.

24 maja, 1880

W ostatnie dni starości będę powracał pamięcią do dzisiejszego dnia. Grzebałem umarłych, troszczyłem się o umierających i modliłem się z nim^gdy chwyтали ostatnie okruchy życia, a ich cierpienie stawało się moim.

Jakże inaczej świętujemy początek życia. Jak cudownie się czuję, gdy trzymam w ramionach kwilące niemowlę i chrzczę je w imieniu Kościoła Świętego, gdy udzielam Pierwszej Komunii albo gdy łączę miłość dwojga stęsknionych dusz w jedno ciało i serce.

Właśnie dziś to zrobiłem. Kobieta jest nieopisanie piękna, mimo zmęczenia daleką podróżą, w jaką nieustannie wysyła nas Irlandia. Mężczyzna obdarzony jest siłą Kocha tę kobietę i jestem pewien, że największe nawet trudy życia nie przyćmią blasku jego miłości.

Nie będzie im łatwo, są bowiem bardzo ubodzy i mają tylko wspólne marzenie, lecz właśnie ono pomoże im przetrwać. Będą ciężko pracować i oszczędzać, w ten sposób walcząc o szczęście.

Nie powiedziałem im, że ludzkie docenia nie zawsze idą w parze z Bożym planem i że z pokorą trzeba przyjmować to, czym obdarza nas los, a nasze cierpienia nagrodzone zostaną dopiero po śmierci.

94

Nie miałem dość siły, by im to powiedzieć. Teraz pragnę, by jak najszybciej spełniło się ich marzenie.
Z dziennika ojca Patricka McSweeney, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, stan Ohio.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wyspa Whiskey Maj 1880

W irlandzkim hrabstwie Mayo uczciwy człowiek nie dziedziczył dóbr. Nie dostawał w spadku ani ziemi, którą uprawiali jego przodkowie, ani chylącej się ku upadkowi wiejskiej zagrody, gdzie mieszkali. W Mayo uczciwy człowiek dziedziczył jedynie miejsce w piekle, czyli prawo, by oddawać feudałowi to, co zdobyło się ciężką pracą, i by bezsilnie patrzeć, jak dzieci i rodzice chorują i umierają z głodu, gdyż kartoflisko nie wydało wystarczająco obfitych plonów, a pole zamieniło się w trujący, suchy pył.

Człowiek dziedziczył po swoich przodkach nienawiść do oprawców i rażącej niesprawiedliwości. Mógł też odziedziczyć, jak w przypadku Terence'a Tierneya, głębokie pragnienie wyrwania się z Mayo i udania się w podróż do ziemi obiecanej - do Ameryki.

W dniu, kiedy wsiadł na pokład statku płynącego za ocean, Terence niewiele wiedział o Cleveland. Przed nim do Ohio wyruszył jego starszy brat. Zanim umarł, z pomocą tamtejszego księdza dwukrotnie napisał do rodziny, załączając do listów pieniądze.

Praca była ciężka, pisał Danin, ale była. Płace niskie, ale wypłaty pewne. Brat mieszkał w miejscu zwanym Wyspą Whiskey. Żyli tam też inni Irlandczycy-imigranci z Mayo. Były

tam kościoły i jezioro tak ogromne, że Darrinowi często śniło się, iż go pochłania.

Danin nie zwierzał się w listach ze swoich snów, ale Terence, mający duszę marzyciela, wyczytał je z papieru, który zaniósł marzenia Danina do rodzinnego kraju. W drugim liście brat informował, że za oszczędności kupił dom wystarczająco obszerny, by pomieścić całą rodzinę, i że pragnie ściągnąć do siebie najbliższych.

Na tym korespondencja się urwała. Kilka miesięcy później przyszedł jeszcze jeden list, pisany ręką tamtejszego księdza, ojca McSweeneya z kościoła Świętej Brygidy. Proboszcz donosił, że Danin zginął podczas wypadku w dokach. Dołączone do listu pieniądze, które przesłał dobry ksiądz z Ohio, były ostatnią wypłatą brata.

Trzeba było też postanowić, co zrobić z domem Danina.

Kiedyś Tierneyowie mieli czterech synów, zdrowych i silnych mimo wszechogarniającej nędzy.

Będąc jeszcze chłopcem, ich ojciec uratował życie najbogatszemu w hrabstwie właścicielowi ziemskiemu i ten, z wdzięczności, z pierwszej klęski głodu uratował Thomasa i jego najbliższych.

Kiedy jednak nadeszła druga klęska głodu, w rodzinie Tierneyów, poza Darrinem i Terence'em, nie było już kogo ratować. Właściciel ziemski się zmienił, ludzie umierali i wszyscy zapomnieli o odwadze Thomasa, który dokonywał żywota w skrajnej nędzy. Dwóch średnich braci Terence'a już wtedy nie było. Jeden wyjechał do Liverpoolu i wszelki śluch o nim zaginął, a drugi zmarł na chorobę, którą można było wyleczyć, gdyby nie głód.

Jak tysiące innych irlandzkich rodzin, Tierneyowie sprzedali wszystko, co mieli, i wysłali Danina do Ameryki za chlebem a po jego śmierci przyszła kolej na Terence'a. Opłacili mu bilet na żaglowiec „Cunard” i zaopatrzyli w taką ilość zapasów, jaką zdołali zgromadzić.

Terence zamieszkał w domu Danina przy Tyler Street, w miejscu zwanym Wyspą Whiskey. Nie spodziewał się zastać pałacu, i nie mylił się. Dom okazał się nędzną chatą skleconą z desek i grubych arkuszy tektury. Wnętrze - dwa frontowe pokoiki i kuchnia - było równie małe, jak serce Anglika. Strome, wąskie schodki prowadziły do pokoiku na poddaszu, niemal stale zalewanego wodą z przeciekającego dachu. Przed chatą płynęła cuchnąca rzeka Cuyahoga, a za nią rozciągało się jezioro. Jednak on czuł się prawdziwym posiadaczem domu, który od tego dnia miał się stać także domem Leny.

W ten majowy wieczór Terence i jego najlepszy przyjaciel siedzieli w ubogim saloniku. -

- Szczęściarz z ciebie, Terry, wiesz?

- Wiem, Rowan. Lena jest wszystkim, na czym mi zależy. Na niej i na zdrowiu mojej rodziny.

- Jest prawdziwą pięknoscią. Nie chwaliłeś się, że jest taka urodziwa. Co, może bałeś się, że twoja żona wpadnie w oko twemu najlepszemu przyjacielowi?

- Ani trochę - roześmiał się Terence serdecznie. - Chciałem oszczędzić ci grzechu zazdrości, a sobie grzechu pychy.

Rowan był roslym, ciemnowłosym mężczyzną. Miał dość siły, by rozładowywać rudę, ale i dość rozumu, by wybrać sobie inne zajęcie, dlatego też zaciągnął się do policji. I choć tego dnia nie był na służbie, z okazji ślubu przywdział krępujący ruchy mundur.

- Mężczyzna, który nie byłby dumny z Leny Harkin...

- Leny Tierney - poprawił Terry. Te słowa zabrzmiały w jego ustach jak magiczne zaklęcie.

- Lena Tierney, to brzmi wspaniale.

- Szkoda, że mama i ojciec nie mogli być na moim ślubie.

- Niedługo ich zobaczysz - pocieszał Rowan.

Terence chciałby w to uwierzyć. Rowan budził zaufanie swoim nieposkromionym optymizmem i witalnością. Wysoki i szczupły Terry wyglądał przy nim jak zabiedzony mnich, a nie jak robotnik rozładowujący rudę, na szczęście były to tylko pozory.

- Nie zaoszczędziłem tyle, żeby sprowadzić rodziców. A teraz, kiedy się żenię... - urwał Terry, wzdychając smutno.

- Mówią, że życie we dwójkę nie jest kosztowniejsze od życia w pojedynkę. Lena będzie ci we wszystkim pomagała.

Terence był tego pewien, nie chciał jedynie narażać żony na niebezpieczeństwa czyhające poza domem, bo wyspa nie należała do najspokojniejszych miejsc na ziemi.

- Gdyby matka nie opłaciła jej podróży, nie wiem, czy kiedykolwiek byłoby mnie na to stać.

- Teściową też zamierzasz tu sprowadzić?

- Oczywiście. To dla mnie zaszczyt. Nie ma nikogo prócz nas. Sprowadzę rodziców i matkę Leny. Muszę zrobić wszystko, żeby im pomóc. To mój obowiązek.

Rowan nagle spochmurniał.

- W kraju nie został nikt, kto by mnie potrzebował. Wszyscy albo już wyemigrowali, albo umarli. Będę szczęśliwy, jeśli pozwolisz, żebym pomógł tobie.

Terence, wzruszony, serdecznie poklepał Rowana po ramieniu.

- Dobry z ciebie przyjaciel. Pomagałeś mojemu bratu, teraz troszczysz się o mnie. Dziękuję, ale wystarczy, że płacisz za pokój na górze.

- Mogę go z kimś dzielić, będzie więcej, grosza.

- Nie ma mowy, i tak jest ci ciasno, w dodatku ten przeciekający dach... Powinieneś mieszkać na wzgórzu z tymi, którym się powiodło, a nie tutaj, z nami.

- Nigdy nie opuszczę swojego przyjaciela w biedzie - zadeklarował z powagą Rowan.

Serce Terence'a wypełniło przemożne wzruszenie.

- No to chodźmy na jednego. - Rowan zerwał się energicznie. - Wiem, że nie pijesz, ale dziś przyda ci się drink dla odwagi.

- Ale Lena...

- Katie się nią zajmie, wszystko jej pokaże.

Katie Sullivan była żoną Seamusa Sultivana, przyjaciela Rowana i Terry'ego. Podobnie jak Rowan, Sullivanowie należeli do przyjaciół Derrina i kiedy pojawił się Terence, już następnego dnia Seamus załatwił mu pracę w dokach. Katie, która zajmowała się wychowaniem dwójki dzieci, była rozsądną i niezwykle praktyczną kobietą. Skrupulatnie odkładała każdy zarobiony grosz, by któregoś dnia rodzina mogła przenieść się na-wzgórze.

Wszyscy Irlandczycy mieszkający na Wyspie Whiskey

0 tym marzyli, pragnęli bowiem uciec od cuchnącej rzeki, dymów i pyłów z rafinerii Standard Oil oraz od pełnego komarów bagna.

- Mam nadzieję, że Katie zachowa dla siebie dobre rady

1 nie zamąci Lenie w głowie - niepokoił się Terry. - Bóg raczy wiedzieć, co może jej naopowiadać.

- Myślisz, że Lena nie wie, co ją dziś czeka? Katie to roztropna kobieta. Założę się, że udzieli twojej żonie kilka praktycznych wskazówek, jak załatać dziury w dachu albo jak wyczyścić kominek.

Nakładaj płaszcz, Terry, idziemy.

Terence był abstynentem Nie znosił alkoholu ani tego, co potrafił wyczyniać z ludźmi, teraz jednak zgodził się towarzyszyć Rowanowi, rozumiał bowiem, że Lena potrzebuje trochę czasu, by oswoić się z nowym domem i nieco ochłonać. Dzień po przyjeździe wypełniony był gorączkowymi przygotowaniem do ślubu, a sama ceremonia, która odbyła się tego popołudnia w kościele Świętej Brygidy, musiała być dla niej ogromnym przeżyciem.

- Ale tylko na jednego - powiedział Terry. - Dokąd pójdziemy?

- Cóż, wybór jest duży. Wpadnijmy do najbliższego baru.

Na Wyspie Whiskey, mimo że liczyła zaledwie dwa kilometry długości i sześćset metrów szerokości, było aż czternaście podobnych miejsc, gdzie każdy desperat mógł ukoić ból udręczonej duszy i snuć marzenia o lepszej przyszłości.

Terence nie potrzebował topić smutków w kieliszku, bo ziściło się jego największe marzenie - miał przy sobie ukochaną Lenę. Potem sprowadzą z Irlandii rodziców i wychowają gromadkę dzieci, które nigdy nie zaznają głodu i będą się mogły kształcić.

- Jesteś szczęśliwy, Terry? - zagadnął Rowan. - Powiedz, że tak.

- Jestem. Będę jeszcze bardziej szczęśliwy, gdy rodzice wyjadą z Mayo i kiedy wszyscy przeniesiemy się na wzgórze.

- Wszystko w swoim czasie. Masz tylko jedno życie. Terence uśmiechnął się i zdmuchnął płomień lampy.

- Mam zamiar przeżyć je szczęśliwie.

- Tego jestem pewien - rzekł z przekonaniem Rowan i pchnął drzwi.

Lena wiedziała, czego może spodziewać się po swoim przyszłym domu. Poprzedniego dnia Katie Sullivan oprowadziła ją po wąskich i krętych uliczkach Wyspy, by poznała swoje nowe miejsce na ziemi, i choć przewodniczka nie pokazała jej domu Terence'a, Lena potrafiła go sobie wyobrazić. Zdawała sobie sprawę, że nie wyrusza w podróż do raju, ale Cleveland zapewniało przynajmniej jedzenie i pracę. Skaliste wybrzeże zachodniej Irlandii zachwycało swą urodą i było cudownym pokarmem dla duszy, lecz nie dostarczało tego, co niezbędne dla ciała.

- Terry nie może ci na razie zaoferować luksusów - powiedziała Katie, kiedy dotarły do chaty Terence'a - ale z czasem to się zmieni. Pamiętaj, nigdy go nie krytykuj. Pracuje ponad siły, więcej niż inni.

Nie miała za złe Katie tych pouczeń. Być może inna kobieta poczułaby się nimi urażona, lecz Lena z miejsca polubiła tę ciemnowłosą kobietę o bystrym spojrzeniu. Katie nie siłała się na sztuczną uprzejmość i nie oczekiwała jej od innych. Prowadziła dom, wychowywała dwoje dzieci i mimo tak wielu obowiązków, stale dorabiała praniem. Była zbyt zapracowana, by bawić się w zdawkowe grzeczności.

- To dobry dom - uznała Lena. - Ma dach, cztery ściany i okno od frontu z widokiem na rzekę.. Czego więcej trzeba?

- Cieszę się, że tak uważasz. To nie był szczęśliwy dom, tu zmarł Darrin, a później Terry zamartwiał się, za co cię tu sprowadzi...

- Mówił ci o tym?

Katie pchnęła wejściowe drzwi i odsunęła się na bok, by przepuścić nową gospodynię.

- Nie, wiem to od Seamusa. Podobno ty i Terry kochacie się od najmłodszych lat?

- Nasze mamy razem bawiły się w dzieciństwie i tak samo było z nami. Nigdy nie kochałam innego i było oczywiste, że się pobierzemy.

- Chciałaś tu przyjechać, Leno? To twój wybór?

- Jak długo mieszkałaś w Irlandii, Katie?

- Niezbyt długo - przyznała cicho.

- No to masz odpowiedź. Z całego serca pragnęłam uciec z Mayo, ale gdyby Terry nie wyjechał, zostałabym, aby dzielić z nim wspólny los.

- Oby szczęście się do was uśmiechnęło.

Lena, ucieszona tym szczerym życzeniem, przekroczyła

próg swojego nowego domu. Wąskie i strome schody ledwie zasługiwały na to miano. Prowadziły do zawilgoconej izdebki, w której mieszkał przyjaciel Terry'ego, Rowan Donaghue. Odwróciła wzrok od zamkniętych drzwi sypialni po lewej stronie domu, bowiem myśl o tym, co ją czeka, napawała ją wstydem.

Ciemny salonik czuć było stęchlizną. Na małym stole stała lampa olejowa, drugą powieszono na ścianie. Przy małym kominku stało jedno drewniane krzesło.

- To wewnątrz wymaga kobiecej ręki - oznajmiła Kacie, zapalając lampę. - Ogień w kominku, kilka obrazków na ścianach i od razu będzie lepiej.

- Z pewnością nie będziemy spędzać wieczorów przy kominku - zachichotała Lena.

- Na pewno, chyba że potrafisz dziergać na stojąco - zawtórowała Katie.

- Może o tym nie pomyślał?

- Albo zamierza spędzać wieczory z tobą w innym pokoju - mrugnęła Katie porozumiewawczo.

Lena poczuła, że oblewa się rumieńcem. Mleczna cera, z którą ostro kontrastowały rude włosy, była jej przekleństwem, bowiem zdradzała wszelkie emocje.

- Nie ma w tym niczego zdrożnego - pocieszyła ją Katie, odwracając taktownie wzrok, by nie krępować Leny. - Mama pewnie mówiła ci co innego, ale posłuchaj doświadczonej kobiety. Niewiele spotyka nas w życiu prawdziwych przyjemności, a to jest niewątpliwie jedna z nich.

Policzki Leny płonęły żywym ogniem. Cisnęło jej się na usta tysiąc pytań, ale wstydziła się je zadać.

- Dobry Bóg zesłał nam ten dar, by wyrównać inne krzywdy. - Katie ukradkiem zerknęła na Lenę. -

Ojczulkowie pewnie mają na ten temat inne zdanie, ale oni przecież nie znają

miłosnych rozkoszy. Gdyby wiedzieli, jakie to cudowne, pewnie nie włożyliby habitów! Lena nie mogła opanować stłumionego chichom. Nigdy nie zaznała uczucia młodzieńczej beztroski, więc myśl o nieznannej, zmysłowej rozkoszy obudziła w jej sercu dziecięcą niemal radość. Wkrótce wróci Terence i po raz pierwszy zostaną tylko we dwoje. Miała wrażenie, że ma o wiele mniej niż osiemnaście lat.

- Zajrzyjmy jeszcze do kuchni, a potem położysz się do łóżka odpocząć. Jestem pewna, że Terry chciałby cię tam zastać, kiedy wróci.

Lena posłusznie podażyła za swoją nową przyjaciółką. Nad prymitywnym paleniskiem zamocowano haki do wieszania garnków. Na skromne wyposażenie składały się stół, niewielka półka z surowego drewna i prowizoryczny blat.

- Tu rzeczywiście wszystkiego brakuje. - Katie energicznie zakrzętała się, sporządzając listę niezbędnych rzeczy, które trzeba skompletować.

- Już i tak wiele dla mnie zrobiłaś - protestowała Lena.

- Piekarnik, naczynia, łyżki, noże... - wyliczała Katie, ignorując sprzeciw przyjaciółki.

- Jesteś cudowna! - Lena ze wzruszeniem uścisnęła spracowaną, szorstką dłoń Katie.

- Będziesz też potrzebowała życzliwych ludzi. Życie tutaj jest twarde i niejedną raz da ci w kość, ale trzymamy się razem i chronimy swoich. Możesz na nas liczyć.

- Obiecuję, że jeśli tylko będę mogła, zawsze ci pomogę.

- No to zawarłyśmy wzajemnie korzystny układ, co? - roześmiała się Katie i jeszcze raz rozejrzała się po wnętrzu. - Przynajmniej kuchnia jest czysta.

- Nie tylko czysta - z uśmiechem sprostowała Lena. - Bo to moja własna kuchnia.

Twarz Katie pojaśniała.

- A teraz przygotujemy cię na przyjęcie męża.

Zaprowadziła Lenę do sypialni. Była nieco mniejsza od saloniku. W ścianie tkwiło kilka grubo ciosanych kołków, które służyły za wieszaki na ubrania, a przy drzwiach ustawiono dużą drewnianą skrzynię na bieliznę. Obok stał stolik, bardziej ozdobny od kuchennego, z lampą olejową i zestawem do mycia złożonym z miednicy, dzbanka i wiadra. Resztę przestrzeni zajmowało wąskie łóżko przykryte ciężką kapą z pozszywanych kawałków ubrań.

Katie uniosła jeden z jej rogów.

- Wiem, że to żaden cud, ale przynajmniej jest wełniana i ciepła. Sama ją uszyłam ze starych łachów, które wytargowałam od handlarza. Po śmierci Danina okoliczni biedacy wynieśli wszystko, co się dało, więc Terry zastał dom zupełnie ogołocony ze sprzętów.

- Wiesz, jak zginął Danin? - spytała Lena, wodząc dłonią po szorstkim blacie stołu. - Nikt mi nie chciał powiedzieć.

- Lepiej tego nie wspominać.

- Proszę...

- To był tragiczny wypadek - westchnęła Katie. - Danin był w ładowni statku. Właśnie wyciągano dźwigiem rudę, kiedy zerwała się lina i cały ładunek spadł na niego. Mówią, że zginął na miejscu. Aż dwa dni zajęło im odkopanie ciała.

Lena wzdrygnęła się ze zgrozy.

- Seamus i Terence...

- Są ostrożni. Będą uważać - uspokoiła ją Katie z przekonaniem.

- To okropna praca.

- To prawda, przeładowywanie rudy to diabelna robota. Nałykają się tyle pyłu, że potem jeszcze kilka godzin nie mogą powstrzymać kaszlu. Pył wbija się w skórę i we włosy, wyglądają jak czerwonoskórzy. - Katie próbowała żartem rozła-

dować lęk przyjaciółki. - No, może nie są aż tak czerwoni, jak twoje włosy.

- Nie ma tu innej pracy?

- Są gorsze zajęcia. Najtrudniej jest w zimie, bo jezioro zwykle zamarza i statki wtedy nie kursują. To ciężka robota, ale daje chleb. No, moja droga, dość tych pogaduszek. Niedługo zjawi się Terry, a ja muszę wracać do Seamusa i dzieci. Pomóc ci się rozebrać?

Lena, nagle onieśmielona, pokręciła głową.

- Dziękuję, poradzę sobie.

- Niech i tak będzie - uśmiechnęła się Katie. - Czy jest coś...

- Naprawdę sobie poradzę. I tak już tyle-dla mnie zrobiłaś. Dziękuję.

- Nie zapomnij, co ci powiedziałam. Nie majątek i nie pałac decydują o szczęściu. Najważniejsza w małżeństwie jest miłość. - Katie przyklepała kapek na łóżku i znikła za drzwiami.

Lena opadła bezwładnie na łóżko i przycisnęła dłonie do łona. Dom wydał się jej nagle przerażająco cichy i pusty. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była sama. W Irlandii czuła się opuszczona, gdy opiekowała się śmiertelnie chorym ojcem, a później matką, która konała z wyczerpania.

Poczuła gwałtowną tęsknotę za mężem, za odgłosem jego kroków, choć nie miała pojęcia, co robić, kiedy już się zjawi. Uświadomiła sobie, że pewnie niedługo przyjdzie, i szybko poderwała się z miejsca. Wciąż była ubrana, a jeśli nie zdąży się rozebrać i umyć przed jego nadejściem, będzie musiała zrobić to przy nim.

Szybkimi ruchami zdjęła spódnicę i halki, rozwiązała pas i gorset. Została w spodniej koszuli, która miała służyć jednocześnie za koszulkę nocną. Na końcu ściągnęła buty i pończochy. Podbiegła do dzbanka i ku swojej radości stwierdziła,

że jest napełniony wodą. Z niewielkiego kuferka, który postawiła przy łóżku, wyjęła zniszczoną, lecz ukochaną szczotkę i zaczęła rozczesywać włosy, zastanawiając się, czy ich na noc nie upiąć. Skrzyp otwieranych frontowych drzwi przerwał te rozważania.

- Lena?

- Jestem tutaj! - zawołała, z drżeniem oczekując, że Terry bezceremonialnie wtargnie do sypialni, by zrobić to, co zwykle robią mężowie żonom. Jednakże kroki ucichły.

Czyżbym zrobiła coś nie tak? - myślała gorączkowo. Może uzna mnie za bezwstydną, gdy tak czeka na niego w łóżku, zamiast ubrana w saloniku?

Znów dobiegły ją kroki. I znów umilkły. Była rada, że Rowan taktownie tej nocy postanowił spać gdzie indziej, bo dzielenie domu z jednym mężczyzną było wystarczająco trudne.

Terry ciągle się nie pojawiał i ciekawość wzięła górę nad wstydem.

- Terry, co ty tam robisz? - Chodź, to się przekonasz.

Zmierzyła spłoszonym spojrzeniem pocerowaną, znoszoną koszulę. Nie miała niczego, co należało tylko do niej. Wszystkie ubrania odziedziczyła po ciotkach lub kuzynkach, a gorset po matce, znacznie od niej tęższej. Nie chciała pokazać się Terry'emu w takim stroju, ale przemożna ciekawość nie dawała jej spokoju, nie chciała też zignorować męża. Zerwała z łóżka kapę i okryła nią ramiona. Zajrzała do przedpokoju, a potem nieśmiało ruszyła dalej.

- Terry?

Pojawił się w kuchennych drzwiach. Jego włosy lśniły złościście w ciepłym świetle lampy. Dźwigał przed sobą fotel na biegunach. Podszedł do kominka i ustawił go tuż obok.

- Och, Terry! - klasnęła w ręce z zachwytem.

- Jest twój, Leno. Podoba ci się?

Zupełnie zapomniała, że jest prawie naga. Nie pamiętała już o biedzie, głodzie i wszystkich innych udrękach.

- Och, jaki piękny... - Podbiegła radośnie do fotela. - Wspaniały! Cudowny!

- Chciałem, żebyś go dostała w dniu naszego ślubu. Teraz będziesz mogła w długie zimowe wieczory siedzieć przy kominku, a kiedy przyjdą na świat dzieci, będziesz kołysać je do snu.

Wodziła dłonią po gładkiej powierzchni drewna, ozdobionej drobnym malowanym wzorem, po wygiętych poręczach i wyplatany oparciu.

- Kupiłeś go dla mnie?

- Sprzedała mi go bezdietna wdowa. Uznała, że nam bardziej się przyda.

- Jakiś ty kochany! - Jej oczy wypełniły się łzami. Spontanicznie, w naturalnym odruchu ufnej miłości, padła

mu w ramiona. Zagarnął ją pewnym gestem jakby od lat byli małżeństwem.

- Tak niewiele mogę ci zaoferować...

- Ależ masz wszystko! Masz siebie!

- Leno...

Uniósł jej podbródek i przycisnął wargi do jej ust. Położyła mu dłonie na ramionach i oddała pocałunek. Ciężka kapa zsunęła się jej z pleców. Miał twarde i silne ciało. Całowała go już przedtem, przelotnie i ukradkiem, kiedy matka nie widziała. Uwielbiała to robić. Kochała tego mężczyznę.

- Chodź tu, najmilsza.

Opadł na fotel i posadził ją sobie na kolanach. Nim zdążyła zaprotestować, zachłannie i żarliwie wpił się ustami w jej wargi. Spragniona dłoń odnalazła krągłą pierś. Cudowna rozkosz ogarnęła ciało Leny.

Ustami wędrował po jej szyi, w dół, de-

likatnymi, rozpalonymi mięśniami. Koszula zsunęła się jej z ramion. Przemknęła jej przez głowę myśl, że powinna zareagować, ale wszystkie słowa odpłynęły gdzieś daleko. Umilkły wszystkie głosy. Pochłonał ją i zagarnął namiętny dotyk ust na rozpalonej skórze.

Świat zaczął wirować, coraz szybciej i szybciej. Niecierpliwe ręce błędziły gorączkowo po gładkim, pachnącym, dziewiczym ciele ukochanej żony. Terry porwał się i uniósł Lenę do sypialni. Oplatała ramionami jego szyję i obsypała go pocałunkami. Ułożył żonę na łóżku i pospiesznie wyplątał się z ubrania, a ona, ogarnięta radosnym podnieceniem, zupełnie zapomniała o strachu. Poczula na sobie żar męskiego ciała i bez oporów poddała się namiętym pieszczotom. Pomyślała, że nieprzytomne uczucie, które nią zawładnęło, jest występne i nieczyste. Aż za często powtarzano jej, że powinna się wystrzegać podobnych uczuć i uparcie wmawiano, że są ciężkim grzechem, ale w głowie Leny odbijały się jak echo słowa Katie. Dała się ponieść bezgranicznej, nieopisanej radości.

- Będziemy szczęśliwi - szepnął Terry, nim zatarcili się w rozkoszy.

- Tak, kochany, tak.

Po chwili była absolutnie pewna tej obietnicy.

17 stycznia, 1881

Gdy tylko przychodzimy na świat, natychmiast stajemy się częścią rodziny. Jedni z nas są bezcennymi darami losu, a inni złem koniecznym. W późniejszych latach, dzień po dniu, walczymy o niezależność lub skrywamy się w ramiona tych, którzy nas wychowali. Czasem przechodzimy z jednego stanu w drugi tak miarowo i naturalnie, jak wahadło zegara wybija rytm czasu.

Rodzina jest dla człowieka największą próbą, ceną, jaką płaci w chwili pojawienia się na świecie i długiem, jaki zaciąga, gdy go opuszcza. Nie ma wśród znanych mi smutków i radości takich, które równać by się mogły ze smutkiem i radością, jaka towarzyszy nam w chwili przebudzenia się w łóżku u boku najbliższej osoby.

Z pamiętnika ojca Patricka McSweeneya, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, stan Ohio.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bar „Wyspa Whiskey” Luty 2000

Po przyjęciu wydanym na jej cześć, Casey w każdym przechodniu dostrzegała Jona. Któregoś dnia zdawało jej się, że mignął w tłumie na głównej ulicy, pobiegła więc za nim, ale natknęła się na obcego mężczyznę, który obrzucił ją zgorszonym spojrzeniem. Potem ujrzała Jona w sprzedawcy, który mełł kawę w delikatesach, ale kiedy poklepała go przyjaźnie po ramieniu, napotkała zdziwiony wzrok łysiejącego mężczyzny z wielkim płaskim nosem.

Mogła do niego zadzwonić, bo nawet jeśli jego prywatny numer był zastrzeżony; dobrze wiedziała, gdzie pracuje. Mogła również zajrzeć do biura prokuratora okręgowego i zaproponować wspólny lunch, w czym nie byłoby nic zdrożnego. Lecz Casey czuła się urażona, że Jon znowu zniknął.

Byli przecież dobrymi przyjaciółmi.

Gdy dorastali, Jon Kovats odegrał ogromną rolę w jej życiu. Rozmawiali o wszystkim, często prowadząc zaciekle spory na ważne tematy i przerzucając się niepodważalnymi argumentami. Każda taka słowna utarczka umacniała i cementowała ich przyjaźń.

- Casey, przecież wiesz, że dziś piątek! - zawołała z barowej kuchni Megan. - W piątki mamy ruch jak cholera! Za pół godziny zwali nam się tłum głodniałych waśniaków, któ-

rych ponosi, kiedy im kiszki grają marsza. Chcesz się przed nimi tłumaczyć, dlaczego stoły nie są nakryte?

Casey ocknęła się z zamyślenia i wróciła do rzeczywistości.

- Przepraszam! - odkrzyknęła zza baru.

- Kiedy skończysz, pomożesz w kuchni. - Megan wprawdzie zatrudniła dwie pomocnice, ale tego dnia jedna z nich zachorowała i wzięła wolne. Casey zaczęła pośpiesznie przecierać stoliki, ale zjawiała się Peggy, żeby ją wyręczyć.

- Idź do kuchni, ja się tym zajmę.

- Trzeba wyczyścić wszystkie stoły.

- Nie ma sprawy.

Z wdzięcznością uśmiechnęła się do siostry. Peggy, w firmowej białej koszulce polo i zielonym fartuchu, wyglądała tego ranka wyjątkowo pięknie. Casey spodziewała się, że siostrzyczka wróci na uczelnię, ale ta nie kwapiła się z wyjazdem. Zaoferowała się zastąpić przez następny tydzień kelnerkę, która dzięki temu mogła odwiedzić rodzinę na wsi. Jej obecność ułatwiała opiekę nad Ashley, ale Casey zaczynała się poważnie martwić o Peg.

- Wszystko w porządku? - dopytywała się. - Wiem, że przyjechałaś, żeby pobyc trochę ze mną i z Megan, ale jeśli chciałaś odpocząć, zanim semestr ruszy pełną parą, to pewnie jesteś rozczarowana.

- Potrzebowałam oddechu, a nie odpoczynku. Casey spojrzała na nią pytająco.

- Wiesz, jak to jest. W college'u można rozważać i dyskutować o różnych sprawach, ale nie ma czasu, by zastanowić się nad własnym życiem.

- Bar też nie jest świątynią dumania.

- Czasami jest tak - po wargach Peggy błakał się uśmiezek - że aby zrozumieć, dokąd zmierzasz, musisz wiedzieć, skąd pochodzisz.

Jeżeli siostra ma kłopoty, uznała Casey, z pewnością sobie

z nimi poradzi. Była może nieco bardziej milcząca niż zwykle, ale nie wyglądała na przygnębioną.

- Cóż, spędziłaś tu większą część życia i jeśli masz ochotę pobyc tu przez jakiś czas, w takim razie nie ma sprawy.

Casey zostawiła Peggy ze ścierką, poszła do kuchni - i stanęła jak wryta. Przy zlewie, podwinawszy rękawy swej białej koszuli, stał Jon Kovats i mył naczynia.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - Casey starała się przekrzyczeć radio.

Tym razem z całą pewnością był to Jon we własnej osobie.

- Megan wyrzuca śmieci. Prosiła, żebyś utarła ser.

- Jon, co ty tu robisz?

- Nie widzisz? - Zmierzył ją badawczym spojrzeniem, jakby jej iloraz inteligencji raptownie zmałał.

- Dlaczego zmywasz naczynia w barowej kuchni? - Casey nie mogła wyjść z osłupienia.

- Jedna z pomocnic zachorowała. - Wrócił do przerwanej czynności.

- Mówiłeś, że masz pracę. Wykopali cię z biura?

- Dorabiam tu na czarno.

Wpadła Megan i pospiesznie umyła ręce w zlewie.

- Casey, potrzebujemy tartego sera. Wczoraj zabrakło.

- Megan, poznaj Jona. Jon, moja siostra Megan - oznajmiła chłodno Casey.

- Dobry dowcip, siostrzyczko. Znamy się jak łyse konie. - Megan zniknęła na chwilę w drzwiczkach szafki i wyłoniła się z olbrzymią patelnią. - I to od bardzo wielu lat.

- Świetnie, pewnie znasz go lepiej ode mnie. - Casey siliła się na sarkazm. - Nie widziałam go od dziesięciu lat, a wy może korespondowaliście przez cały ten czas.

- Jasne, mam mnóstwo czasu na pisanie listów. - Megan naląła olej na patelnię i wrzuciła pokrajaną cebulę.

Casey odkroiła z kostki niewielki kawałek sera i włożyła go do szatkownicy. Greta, druga z pomocnic, stanęła obok i zajęła się krojeniem sałaty. Była pulchną kobietą w średnim wieku znaną z małomówności, lecz teraz zupełnie niespodziewanie zabrała głos:

- Ja też znam Jona.
- Doprawdy? Okazuje się, że pan Kovats jest bardzo popularną osobistością.
- Pewnie. Jon zamknął bandytę, który pobił i obrabował mojego Ralpa.
- Naprawdę?
- Jon obiecał, że wsadzi tego gnojka za kratki, i tak się stało.

Casey rozważała nowinę, krając kolejną porcję sera. Korciło ją, by podejrzeć, co w tym momencie robi Jon, ale poskromiła ciekawość. Nie miała pojęcia, jaką on prowadzi grę, ale też nie miała zamiaru brać w niej udziału.

Tarla z zapamiętaniem ser, a Meg i Greta uwijały się przy kuchni. Pracowały ze sobą tak długo, że bez słowa wiedziały, co która powinna robić. Gotująca się zupa cebulowa wypełniła kuchnię intensywnym zapachem.

Casey wykonała zadanie. Odwróciła się, chcąc przestawić naczynie z utartym serem, i ujrzała to, czego powinna się domyślić.

Naczynia były pozmywane, a Jon Kovats zniknął.

W barze najtłoczniej było w południe. Po lunchu lokal pustoszał, pomocnice kończyły pracę, a Megan przeważnie wybierała się po zaopatrzenie albo do banku.

Casey zajęła się sprzątaniami, a potem obsłużyła kilku klientów, którzy wpadli do baru na popołudniowego drinka. Dzień jak co dzień.

Po piątej ruch znowu się wzmagał, bo ludzie wstępowali na jednego po pracy. Zjawiał się barman Barry, a Megan wracała z miasta i do dziewiątej wieczorem przygotowywała posiłki. Wieczorne menu nie było zbyt różnorodne i Barry zazwyczaj dobrze sobie radził sam nawet gdy nie było Artiego. Megan spędzała na ogół wieczór na przyrządzaniu specjalnych dań na następny dzień lub na pieczeniu irlandzkiego chleba na sodzie.

Kiedy tego dnia wróciła z kartonem papierowych ręczników i serwetek, Casey właśnie wkładała płaszcz.

- Wychodzisz? - zagadnęła ciekawa Megan.

- Tak, czas odebrać Ashley.

Megan całkiem zapomniała o małej. Casey znalazła dla niej szkółkę dzienną przy kościele Świętej Brygidy. Ashley zwykle siedziała cicho jak myszka i trudno było zauważyć jej obecność. Megan wprawdzie sceptycznie odnosiła się do obecności dzieci w barze, lecz spokojna dziewczynka nie stwarzała żadnych problemów.

- Lubi swoją nową klasę? - spytała.

- Droga siostrzyczko, do diabła, czy powiesz mi, co jest grane z Jonem? - usłyszała w odpowiedzi.

Stłumiła uśmiech. Casey całe popołudnie chodziła rozdrażniona, ale Megan nie miała czasu dociekać, jakie są tego powody. Poza tym uważała, że siostra wygląda wyjątkowo atrakcyjnie, kiedy się złości.

- Wszedł kuchennymi drzwiami - wyjaśniła. - Zawsze lubiłam Jona, utrzymujemy stały kontakt.

Poskarżyłam się, że mam furę roboty, a on z własnej inicjatywy zabrał się do zmywania. Trzeba przyznać, że nieźle sobie radził.

- Co się dzieje? Zjawia się jak gdyby nigdy nic i zaraz znika.

Megan zaintrygowało zachowanie Casey. Młodsza siostra miała dość bogate doświadczenia z mężczyznami, choć zwykle

trafiali się jej nieudacznicy. Jednego z nich nawet poślubiła, wkrótce jednak rozstali się, na szczęście bez awantur. Po rozwodzie Casey zabrała samochód i podjęła oszczędności ze wspólnego konta, Stanowi natomiast zostawiła słodką sekretarkę z biura.

Megan zaciągnęła siostrę w drugi koniec baru, by uniknąć towarzystwa coraz liczniejszej klienteli.

- Ty i Jon byliście kiedyś blisko, takie papużki nierozłączki - zagadnęła. '

- Byliśmy wyłącznie pnyjacióbbhi, nic więcej. Do niczego między nami nie doszło.

- Nigdy?

- Chyba wybiorę się gdzieś z Ashley.

- Planujesz spotkanie we trójkę?

- Skąd te pytania, siostrzyczko?

- Skąd to zdenerwowanie, Casey?

- Znam się na facetach. Czytam z nich jak z otwartej księgi.

- Raczej marna ta księga.

- Stąpasz po cienkim lodzie, Meg...

- Już dobrze. Przerwałam ci. Dokończ, proszę.

- Na ogół rozumiem mężczyzn i bardzo nie lubię, kiedy jest inaczej.

- Innymi słowy, Jon zbija cię z pantałyku? Dorównuje ci inteligencją, więc trudno go przejrzeć, co?

- Co za przenikliwość. A kiedy ty po raz ostatni miałaś do czynienia z jakimś facetem?

Gdyby Megan usłyszała podobną uwagę od innej kobiety, poczułaby się głęboko urażona, ale od siostry mogła przyjąć drobne złośliwości.

- Nie podobają mi się faceci, których sobie wybierasz. Ten macho, którego poderwałaś na przyjęciu, co to za typ? Obiecuj, że się z nim nie prześpisz.

- Przynajmniej mam taką możliwość!

- No właśnie.

Casey milczała przez chwilę.

- Och, zostawmy to, Meg. Przepraszam. Znowu to samo. Wiedziałam, że tak będzie. To był tani chwyt.

- Byłam niewiele lepsza. Nie powinnam pytać, czy pójdziesz z nim do łóżka.

- Obie jesteśmy sobie warte - skwitowała Gasey z uśmiechem.

Megan pomachała kolejnej grupce stałych klientów i wróciła do rozmowy.

- To jak będzie z tym pożał się Boże, Elvisem?

- Nie prześpię się z nim, słowo! Wątpię, czy on się tu jeszcze w ogóle pojawi. Masz rację, to beznadziejny dupek. Może jednak jestem nieco inteligentniejsza, niż się wydaje?

- Niemożliwe. Jeśli chodzi o facetów, wpadłaś w pewną rutynę. Zawsze chcesz być górą.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? Megan poklepała siostrę po ramieniu.

- Nie mówię o twoim życiu erotycznym.

- Porozmawiajmy więc o twoim. Z tego co wiem, minęło sporo czasu, od kiedy w twoim życiu był jakiś mężczyzna. Dlaczego?

Megan doskonale знаła odpowiedź na to pytanie i podejrzewała, że Casey też ją zna. Obie nie potrafiły się w pełni zaangażować.

- Nie mam czasu na szukanie odpowiedniego faceta.

- Wobec tego wystarczy, że tymi drzwiami wejdzie właściwy mężczyzna?

Megan pomyślała o Niccolu Andreanim. Od czasu wizyty w jego domu i wysłuchaniu opowieści o jego życiu, dawny

ojciec Nick aż nazbyt często zaprzętał jej myśli. Był najbardziej atrakcyjnym i prawdopodobnie najbardziej niedostępnym mężczyzną, jakiego spotkała.

- Nie mam czasu na stały związek - odparła stanowczo.

- Opuść sobie. Nie musisz, do licha, brać sobie na głowę wszystkich problemów tego świata, i tak się będzie kręcił, bez twojego udziału.

- Może obawiam się do tego przyznać? - wzruszyła ramionami Megan.

- Że nie zbawisz świata?

- Casey, pomyśl tylko, ile zaoszczędziłybyśmy na psychoterapii, gdybyś została tu dłużej - zażartowała Megan.

- Może pojedę z Ashley poszukać Jona i sprawdzę, o co chodzi. A ty weź sobie wolny wieczór.

- Dziś podajemy pierogi. Będą tłumy.

- Artie i Barry dadzą sobie radę, sobotnie popołudnia są spokojne, więc nie musisz dziś niczego przygotowywać. Jutro przyjdę wcześniej, żeby ci pomóc, co ty na to?

Megan pociągała perspektywa kilku wolnych godzin, bo z powodu nieobecności pomocnicy była naprawdę zmęczona. Nie pamiętała, czy w ogóle zjadła obiad.

- Mam pomysł - zaproponowała Casey. - Jutro ma być zupa warzywna, prawda?

- Tak planowałam.

- Położę Ashley, a potem obiorem i pokroję warzywa, to będziemy miały mniej pracy, musisz mi jednak obiecać, że zrobisz sobie dziś wolne.

- Miałam piec chleb.

- Jest mnóstwo w lodówce.

Megan od dawna chciała obejrzeć filmy nagrane na wideo. Mimowolnie rozmarzyła się. Wypije lampkę wina, przyrządzi sobie szybką kolację i weźmie długą, gorącą kąpiel...

- Grzeczna dziewczynka. -Casey zdawała się czytać" w jej myślach.

- Ale ty też jesteś zmęczona.

- Nie tak jak ty, a poza tym, jeśli znajdę Jona, zaprzęgnę go do mycia garów.

- Zgoda. Będę twoją dłużniczką.

- Co za miła odmiana. - Casey wyminęła siostrę, klepiąc ją na pożegnanie po ramieniu.

Megan zamyśliła się i nie usłyszała, kiedy wszedł Niccolo.

- Megan? - powiedział tuż za jej plecami.

„Wobec tego wystarczy, że tymi drzwiami wejdzie właściwy mężczyzna?" Odwróciła się.

- Cześć! Co prawda jest już trochę za późno na lunch, a za wcześnie na kolację, ale możemy wypić drinka.

- Przyszedłem, żeby zaprosić cię na kolację.

- Tutaj?

- Nie, w jakimś spokojniejszym miejscu, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Chyba nawet wiedziała, na jaki temat...

- Zwykle kończę pracę o dziewiątej.

- Casey powiedziała, że dziś masz wolne.

- Kiedy zdążyła ci o tym donieść?

- Spotkałem ją przy wejściu, a ona stanowczo mi rozkazała, żebym cię stąd zabrał, zanim do reszty zapomnisz o bożym świecie.

Nie ujdzie jej to na sucho, pomyślała Megan, i mściwie pożyczyła siostrze, by trudniej jej było znaleźć Jona Kovatsa niż czterolistną koniczynę.

- Więc chcesz zrobić, dobry uczynek?

- Przyszedłem tu, aby zaprosić cię na obiad, więc dobrze się składa, że otrzymałem zgodę rodziny.

Podobał jej się promienny, ujmujący uśmiech Nicka, który rozjaśniał jego przystojną śniadą twarz, niczym wschód słońca odpędzający mroki nocy.

- Mam pomysł, pojedźmy do mnie. Udusimy warzywa, w lodówce znajdują się chyba krewetki.

- Nie wolałabyś zjeść na mieście? Przecież gotujesz bez przerwy.

Ale nie dla ciebie, pomyślała, i nie w swojej kuchni. W jakiś niepojęty sposób uleciało z niej zmęczenie.

- Możesz mi pomóc. Jestem świetna w wydawaniu poleceń.

- O, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Po drodze wpadniemy do mnie po butelkę wina, dobrze?

- Nie ma sprawy, jeśli masz ochotę na coś specjalnego. Mam tylko taniego kalifornijskiego sikacza.

- Zabiorę też kawę.

Uśmiechnęła się w duchu. Jeszcze przed chwilą szykowała się na samotny wieczór, lecz teraz plany wydawały się o niebo przyjemniejsze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Megan, jak na rzeczową i przedsiębiorczą osobę przystało, urządziła mieszkanie przytulnie i ze smakiem. Niccolo miał wrażenie, że wrócił do rodzinnego domu.

- Nie pogniewasz się, jeśli wezmę prysznic i się przebiorę? - zapytała. - Mam wrażenie, że śmierdę jak popielniczka w moim barze.

- Nie spiesz się. Otworzyć wino?

- Bez fanfar i owacji? W końcu to nie jakiś zwykły cabernet.

- Wystarczy pochwała, kiedy je spróbujesz. Uśmiechnęła się promiennie, a potem poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Niccolo ucieszył się, że zyskał chwilę, by swobodnie rozejrzeć się po wnętrzu. Megan Donaghue interesowała go bardziej, niż chciał przyznać. Przez te wszystkie lata spotykał wiele kobiet, a święcenia kapłańskie nie stępiły jego wrażliwości na ich wdzięki. Nie porzucił kapłaństwa z powodu dotkliwości celibatu, i nie udawał też, że za nim tęsknił. Zdawał sobie sprawę, że Megan pociąga go bardziej niż inne kobiety i rozbudza w nim niekłamane pożądanie.

Mieszkanie miało swój niepowtarzalny klimat, bo właścicielka wyraźnie preferowała rzeczy stare i ręcznie wykonane. Okrągły chodnik pod prostą drewnianą skrzynią utkał zapewne wiele lat temu ktoś, kto miał anielską cierpliwość i mnóstwo czasu, a złożony w rogu błękitnej kanapy piaskowy pled o

grubych splotach przypominał solidne, ręcznie dziergane rybackie swetry.

Udał się do kuchni na poszukiwanie korkociągu i znalazł go w szufladzie. Pomieszczenie było niewielkie, ale wesołe i niekonwencjonalne. Mąka spoczywała w ceramicznej śwince, a ryż w myszy, zaś z karniszy zwisały kawałki starego płótna z wyszytymi sentymentalnymi sentencjami i wesołymi postaciami. Przypomniała mu się gwarna i pełna życia kuchnia babci.

Szukał kieliszków, kiedy zjawiała się Megan. Włożyła miękki zielony sweter do kolan i legginsy, ciasno opinające łydki. Wilgotne włosy ułożyły się w koronę z błyszczących pierścieni, a pełne usta kusily perłowym połyskiem szminki.

- Znalazłeś to, czego szukałeś?

Ogarnęło go tak nieoczekiwane i tak nieodparte pożądanie, że omal się nie zachwiał. Z trudem zapanował nad sobą i odwrócił się z nadzieją, że zdoła ukryć uczucia.

- Znalazłem deserowe puchary i szklanki do soku, ale nigdzie nie ma kieliszków do wina.

- To mój błąd, bo nie powiedziałam ci, że wiszą w jadalni. No, może jadalnia to za duże słowo, po prostu stół w rogu pokoju, ale tak to nazywam na swój użytek.

- Możesz podać mi dwa?

- Już się robi.

Przypomniał sobie, że przyszedł tu tylko porozmawiać. Przyjechał do Cleveland, by spokojnie zastanowić się nad swoją przyszłością, a nie po to, by ją układać.

Megan wróciła z kieliszkami.

- Mogę potem zatrzymać pustą butelkę, żeby imponować gościom?

- Nie musimy wszystkiego wypijać, a wino jest twoje. Gdy przysunęła się bliżej, poczuł słodką, drażniącą zmysły woń szamponu.

- Wspaniale. Najwyższy czas zabrać się do kolacji. Robisz świetną kawę, a czy lubisz gotować?
 - Prawie tak samo jak jeść.
 - Naprawdę? - zapytała zdziwiona, poszukując czegoś w szafce.
 - To jedna z niewielu przyjemności, jakiej mi nie zabraniano. - Natychmiast pożałował tych słów. Znów pomyślał o przyjemnościach, które na nowo były mu dozwolone.
 - De to już czasu minęło, Niccolo?
- Na moment zapało mu dech w piersiach.
- Od chwili, gdy opuściłeś Kościół? - sprecyzowała, kiedy nie odpowiadał.
 - Nie byłem pewien, o co pytasz - przyznał.
 - Więc może mi powiesz, o czym myślałeś?
 - Tak naprawdę nie można porzucić kapłaństwa, tylko traci się związane z nim prawa oraz jest się zwolnionym z obowiązków i zakazów stanu duchownego. Formalnie spotkało mnie to dziesięć miesięcy temu.
 - I jak sobie radzisz?
 - Wszystko jest w jak najlepszym porządku, kiedy myślę o swojej przeszłości i o dniu dzisiejszym, ale co do przyszłości mam sporo obaw.
 - Żadnych planów?
 - Rok czy dwa będę odpoczywał, po to właśnie ten remont domu. Lubię tworzyć coś nowego. To wspaniałe uczucie, kiedy dzięki włożonemu wysiłkowi coś odzyskuje swój blask. Zarobię trochę grosza, a przy okazji mam czas na rozmyślania.
 - Lubisz brązowy ryż? - Sięgając po rondel, mimochodem otarła się o niego.
 - Aha. - Przyszło mu na myśl, że tak naprawdę najbardziej lubi dotyk jej ciała. Wstawiła ryż, a później zaczęła przeszukiwać lodówkę,

wyjmując kolejno paczkę grzybów, czerwoną paprykę, cebulę i marchew. Kiedy skończyła, Niccolo wręczył jej kieliszek.

- Za nowe przyjaźnie.

- Czyli że zostaniemy przyjaciółmi?

Miał wrażenie, że Megan pyta o rozmowę, która ich czeka, a nie o to, w jakim kierunku zmierza ich znajomość.

- Mam nadzieję - odpowiedział. Spróbowała wina.

- Hm, nektar bogów.

Odstawiła kieliszek i uklękła, by wyjąć z szafki drewnianą deskę do krojenia w kształcie jabłka.

- To trofeum kuchni zdobyte w skautowskim konkursie na najlepszą pracę stolarską - oznajmiła ze śmiechem. - Rodzinny skarb?

- Coś w tym rodzaju. - Położyła deskę na blacie i z szuflady wyjęła długi nóż. - Skoro lubisz gotować, to pewnie nie masz nic przeciwko krojeniu warzyw?

- Nie, o ile mogę to robić po swojemu.

- Nie ma sprawy. - Nie mogła się jednak powstrzymać przed udzieleniem drobnej wskazówki. - O ile ci to nie przeszkadza, pokrój w kostkę.

- W porządku.

Znów podeszła do lodówki i zaczęła przeszukiwać zamrażalnik.

- Dlaczego wybrałeś Cleveland?

- Większość mojej rodziny mieszka w okolicach Pittsburga, a stąd jest dostatecznie blisko, żeby ich odwiedzić, kiedy będę miał ochotę. Co ważniejsze, ojciec Brady ze Świętej Brygidy był moim nauczycielem. Przyjechałem się z nim spotkać i zobaczyłem dom, nad którym teraz pracuję. Jak widzisz, wszystko ułożyło się samo.

- Nigdy nie nazywasz go swoim domem.

Przerwał mycie papryki. Nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi.

Megan trzasnęła drzwiami lodówki i położyła na stole pudełko krewetek.

- Mówisz „dom, nad którym teraz pracuję”, a nie po prostu „mój dom”.

- Bo tak o nim myślę.

- Jednak coś musiało cię przyciągnąć do tego właśnie budynku, i to coś bardzo osobistego. Przecież w Pittsburgu jest wiele wspaniałych starych domów.

Myjąc warzywa zastanawiał się, jak bardzo może posunąć się w zwierzeniach.

- Kościół zaleca, aby opuszczać miejsce zbrodni. - Spróbował się uśmiechnąć, ale wypadło to sztucznie. - Nie powinno się mieszkać tam, gdzie wcześniej pełniło się duszpasterską posługę. Moja rodzina też nie ucieszyła się z mojej decyzji... No cóż, prawdę mówiąc, nagle z wybrańca stałem się wyrodkiem... Z jednego komunau wpadam w drugi, co?

- To niesprawiedliwe, przecież masz prawo układać sobie życie.

- To już trzecie pokolenie w Ameryce, a moja rodzina wciąż stanowi jedność. Nie odcina się pępowiny, która cię żywi. Dzięki przeprowadzce decyzja o porzuceniu kapłaństwa stała się dla wszystkich mniej dokuczliwa.

- Czy oni kiedykolwiek ci wybaczą?

- Moi rówieśnicy pewnie tak, ale pokolenie moich rodziców i dziadków z całą pewnością nie. Kochają mnie, bo należę do rodziny, ale to wszystko, czego mogę od nich oczekiwać.

- Tak mi przykro. W jednej chwili straciłeś tak wiele... Poczul wzruszenie. Głos Megan był smutny, ale wyczuł

w nim też dość, jakby nie potrafiła zrozumieć, jak rodzina mogła go odrzucić.

Rozpołowił paprykę, oczyścił z nasion i zaczął kroić w paski. Megan musnęła go przypadkowo biodrem, kiedy sięgała do mikrofalówki. Z wdzięcznością pomyślał, że kuchnia jest taka mała.

- Szanuję swoją decyzję. Nadal mam z Bogiem dobre układy, a Kościół nie zatrzaskał przede mną swoich bram. Chrześcijańskie życie było mi pisane i takie właśnie będzie, pod tym względem nic się więc nie zmieniło.

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu, aż wszystko zostało pokrojone. Megan rzuciła okiem na starannie ułożony kopczyk rozdrobnionych warzyw i cicho gwizdnęła.

- Masz zapewnioną pracę w barze, kiedy cię bieda przycisnie.

Wspólne przyrządzanie posiłku sprawiało Nickowi niekłamaną przyjemność. Megan była oszczędna w słowach i, o dziwo, prawie wcale nim nie dyrygowała. Zawiązała się między nimi delikatna nić intymności. Nie taka, która łączy starych przyjaciół, lecz również inna od tej, jaka wiąże kochanków.

- Nie musisz tu ze mną siedzieć - odezwała się, rozgrzewając patelnię. - Weź wino i rozgość się wygodnie w salonie. Już i tak bardzo mi pomogłeś.

- Patrzenie na ciebie nie jest uciążliwym zajęciem. Wyglądała na zaskoczoną, a Niccolo zastanawiał się, gdzie

podziała się jego wieloletnia powściągliwość.

- Nie wszyscy lubią, gdy podczas gotowania ktoś kręci się obok - dodał szybko, by zatuszować zbyt daleko posuniętą szczerość. - Jeśli wolisz, zostawię cię samą.

- Daj spokój. Gdybym nie lubiła towarzystwa w kuchni, dawno zamknęłabym „Wyspę Whiskey”.

Usadowił się przy małym stoliku w rogu i ze skrywanym upodobaniem obserwował poczynania gospodyni. Na patelni skwierczał olej, pachniało czosnkiem i imbirem

- Co proponujesz zazwyczaj swoim klientom? Nie zaglądałem do twojej karty dań.

- Popularne potrawy, do tego sałatki i zupy, ale nasz bar jest najbardziej znany ze specjalności, które przyrządzam według receptur praprababki. Te przepisy są pilnie strzeżoną tajemnicą i tylko jedna osoba z każdego pokolenia dostępuje zaszczytu, żeby je poznać, a ja stałam się kolejnym wybrańcem.

- Kto ci przekazał ten sekret? - Niccolo starał się ostrożnie dobierać słowa. - Twój ojciec?

Milczała tak długo, że stracił nadzieję na odpowiedź.

- Obyło się bez żadnych rytuałów, jeśli o to ci chodzi - wyjaśniła rzeczowym tonem po dłuższej chwili. - Po prostu jestem najstarsza i padło na mnie.

Niccolo zastanawiał się, jak daleko może się posunąć, by jej nie spłoszyć. Cisnęły mu się na usta setki pytań, ale postanowił poskromić nadmierną ciekawość, wrócił więc do tematów kulinarnych.

- Co najczęściej przyrządzasz według jej przepisu?

- Na przykład sposób przyrządzania chleba sodowego wymyśliła właśnie Rosaleen.

- Tak miała na imię twoja babka?

- Praprababka.

- A czym się ten chleb różni od innych?

- Jest po prostu wyśmienity!

- Już nie mogę się doczekać - wyznał z czarującym uśmiechem.

- Prócz chleba serwujemy wiele specjałów Rosaleen: zupę rybną, gulasz mulligan, irlandzkie ciasto, kapuśniak z kiełbasą, zapiekanego dorsza... To tylko drobna cześć bogatego menu.

- Dlaczego więc mamy jeść zwykłe risotto?

Bo jestem Amerykanką i ułatwiam sobie życie!

- Jasne - zaśmiał się serdecznie. - A siostry nie mają pretensji o te przepisy?

- Casey? Nie, bo kuchnia ją nudzi. A Peggy? Lubi goto-

wać, ale chce zostać lekarzem, i pewnie będzie w tym znakomita. Od dzieciństwa zносиła do domu zranione ptaszki, bezdomne kotki... wszystkie stworzenia, które potrzebowały pomocy. Ciotka dostawała przez to szału.

- Ciotka?

Megan znów zamilkła. Niccolo czekał, ale skupiła się na gotowaniu, w końcu jednak przerwała ciszę:

- Peggy spędziła wiele czasu z ciotką Deirdre i wujem Frankiem. Prawdę mówiąc, oni ją wychowali.

To Frank Grogan, z którym rozmawiałeś na Wyspie.

- Mimo to jesteście sobie bliskie. .

- Uwielbiam ją.

- Bardzo dbasz o rodzinę, prawda?

- Czy to takie dziwne?

- Nie, wręcz przeciwnie.

Kiedy krewetki się zaróżowiły, wyłączyła ogień i polala potrawę sosem sojowym.

- Gotowe. Ryż też już doszedł. Zabieramy się do jedzenia? - Nie czekając na odpowiedź, ułożyła zawartość patelni na półmisku i wręczyła go Nickowi. - Zanieś to do jadalni i wróć po wino, a ja zajmę się ryżem.

Po chwili siedzieli naprzeciw siebie przy małym dębowym stole. Błękitno-biała zastawa z motywami roślinnymi wdzięcznie komponowała się z kremowym lnianym obrusem Niccolo wznosił toast.

- Gdybym miał zgadywać, jak mieszkasz, na pewno bym się pomylił.

- A czego się spodziewałeś?

- Nowocześnie i praktycznie urządzonego poddasza gdzieś na przedmieściu, z basenem i salą do ćwiczeń.

- Wystarczy mi bieganie po barze.

- Beżowy dywan - ciągnął Niccolo - i białe ściany bez

obrazów, żeby nie zakłócały spokoju, kanapa służąca zarazem za łóżko, skrzynia na bieliznę będąca jednocześnie stolikiem do kawy, telewizor i wieża z pilotem. Żadnych zwierząt ani roślin. No i sąsiad Hal, który wpada raz w tygodniu, żeby prosić" o radę w sprawach zawodowych i sercowych.

- Wcale mnie nie znasz - roześmiała się Megan. - Uschłabym w takim mieszkaniu na wiór, ale twoja wizja pasowałaby do Casey. Rzadko bywa w domu, a taki Hal, gdyby tylko akurat ją zastał, godzinami wypłakiwałby się na jej ramieniu.

- Sprawiasz wrażenia osoby, która twardo stąpa po ziemi.

- Skąd wiesz, widziałeś mnie tylko w pracy.

- Mam wrażenie, że próbujesz udawać, iż sprawy mają się inaczej niż w rzeczywistości. - Zabrał się do jedzenia. Było tak pyszne, jak się spodziewał.

Megan zignorowała ostatnią uwagę.

- Cóż, jeśli o to chodzi, ja też nie potrafię sobie wyobrazić ciebie w domu na Hunter Street.

- A gdzie?

- Szczerze?

- Szczerze.

- Gdzieś w dzielnicy wschodniej. Ogromna willa na wzgórzach Shaker, cała w marmurach, salon z szerokim wyjściem na patio i rozległy ogród. Ładna, robiąca karierę żona, która czasem przynosi pracę do domu, i dwójka grzecznych dzieci, które przed snem kolorują książeczki i oglądają w telewizji starannie dobrane programy edukacyjne.

- A ja?

- Inteligentny, centroprawicowy, zajęty pracą i karierą. Wielbiciel muzyki barokowej i greckich filozofów.

- Zamień na muzykę Gilberta i Sullivana oraz komedie Monty Pythona.

- Lubisz Gilberta i Sullivana?

- Uwielbiam.

- Nie mów! Ja też! Poza tym słucham Brahmsa, angielskich madrygałów, późnego disco i wczesnego lup-hopu, zwłaszcza kiedy nie rozumiem tekstu.

Wykorzystał okazję, by skierować rozmowę na temat, który go najbardziej frapował.

- A dlaczego tak skrzętnie ukrywasz swoje uczucia? Nie odebrała tego jako atak, choć był na to przygotowany.

Zdawało się, że dobrze wiedziała, do czego on zmierza, i pozwalała się prowadzić.

- Musiałbyś poznać moje życie, Nick, żeby mnie zrozumieć.

- Niczego bardziej nie pragnę.

Zastanawiała się nad czymś przez chwilę. Dopłała wino i poczekała, aż Niccoło napełni kieliszek.

- Co już wiesz? - zapytała.

Spodziewał się właśnie takiego pytania. Mógł wcześniej nie dostrzec w Megan sentymentalnej i wrażliwej na piękno osoby, ale wiedział, że nie brakuje jej bystrości i tupetu.

- Wiem, że bezdomny, którego widziałem podczas napadu na twoje siostry, jest kimś więcej niż sąsiadem z dawnych lat. Sądzę, że jest z tobą spokrewniony. - Przerwał na chwilę. -Przypuszczam nawet, że może być twoim ojcem.

Na chwilę skamieniała z wrażenia.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Ktoś mieszka w lesie niedaleko nowej przystani na Wyspie. Znalazłem... - powstrzymał się przed użyciem określenia „dziura w ziemi” - schronienie, które sobie wybudował. W środku odkryłem fotografie trzech dziewczynek, jedna z nich wyglądała zupełnie jak ty.

- Nie pamiętam tego zdjęcia.

- Czy jesteś na nim ty, Megan?

- Nie wiem. Ty widziałeś tę fotografię, nie ja.

- Czy to możliwe, że ów mężczyzna to twój ojciec? Odłożyła widelec, uniosła kieliszek i zaczęła nim nerwowo obracać.

- Czy to możliwe, że mój ojciec mieszka w Peru i w imię wolności i sprawiedliwości porywa turystów? Tak, możliwe. Czy to możliwe, że w tym momencie wspina się na Kilimandżaro? Albo uczy wiejskie dzieci w Arkansas sztuki Dalekiego Wschodu? Czy wiem, gdzie jest mój ojciec i co teraz robi? Nie. A czy wiem, czy on jeszcze żyje? Nie. A czy mnie to obchodzi?

- A obchodzi?

- Nie bardziej, niż jego obchodziły trzy córki, które zostawił.

Nie było w niej złości ani też nie zdradziła, czy czuła się zraniona. Niccolo podejrzewał jednak, że nauczyła się głęboko ukrywać swoje cierpienie. Była teraz tą Megan, którą poznał. Silną, pewną siebie, bezpośrednią kobietą.

- Masz jednak powody, by podejrzewać, że ten bezdomny to twój ojciec, mam rację? W przeciwnym wypadku tak uparcie nie odwozilibyś mnie od poszukiwań.

- Tak, to może być on. Casey również widziała wtedy mężczyznę i podejrzewa, że to Rooney. Wuj Frank otrzymał informacje o włóczędze żyjącym na Whiskey, którego opis pasował do Rooneya. Jak widać są większe szanse na to, że włóczy się po okolicy, niż na to, że uprawia wspinaczkę czy porywa turystów. Poza tym te zajęcia wymagałyby trzeźwego umysłu.

- Jest alkoholikiem?

- Do końca nie wiem, kim jest. - Wzruszyła ramionami. - Jedno wiem jednak na pewno: ten człowiek nieomal zniszczył nam życie.

- Może opowiesz mi tę historię od początku? Przyglądała mu się uważnie znad kieliszka.

- Po co? Przecież już nie zajmujesz się zbawianiem zbłąkanych duszyczek. Dlaczego cię to interesuje? Nie uda ci się uratować wszystkich bezdomnych w Ameryce tylko dlatego, że jeden z nich zmarł pod drzwiami twojego kościoła.

W jej słowach zabrzmiał gniew, bowiem nie kryła go tak głęboko, jak smutku i żalu. Niccolo w milczeniu patrzył jej prosto w oczy.

- Przepraszam - szepnęła zmieszana. - Tani chwyt.

- To temat jest trudny.

- Po co chcesz to wszystko wyciągać, Nick? Są sprawy, których nie da się naprawić, bo niektórzy ludzie nie życzą sobie niczyjej pomocy.

- On ocalił mi życie, uratował też twoje siostry i Ashley. Zapadła cisza, jakby Megan nie chciała zaakceptować lepszej strony natury swego ojca.

- Na imię ma Rooney? - zachęcał Niccolo, by dodać jej odwagi.

- Od imienia Rowan. To rodzinne imię. Pierwszy Rowan Donaghue był żonaty z Rosaleen, moją praprababką, tą od irlandzkich przepisów, ale ojca zawsze nazywano Rooneyem. Nawet my nie mówiłyśmy na niego „tata”.

- Jakim był ojcem, zanim odszedł? Czy żyła wtedy wasza matka?

- Umarła zaraz po urodzeniu Peggy.

- I wtedy Peggy zamieszkała z wujostwem?

- Nie, sama ją wychowywałam. Do czasu, kiedy... - Megan urwała, boleśnie przymykając oczy. - Kiedy odszedł Rooney. Wtedy mi zabronili. To znaczy, nie mogłam już sama się nią zajmować.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Czternaście, kiedy urodziła się Peggy. Gdy byłam w szkole, opiekowała się nią wynajęta kobieta, a przez resztę

czasu małą zajmowałam się ja i Gasey. Głównie ja, bo Casey miała wtedy dziesięć lat.

- Ty też nie byłaś zbyt duża...

- O nie, wtedy byłam już prawie dorosła i bardzo odpowiedzialna. Pomagałam matce przez wiele lat. Próbowала zająć się wszystkim sama, ale nie mogła sobie poradzić. Rooney kierował barem, ale częściej chodził pijany, niż obsługiwał klientów, więc i tak wszystko spadało na mamę. Kiedy byłam mała, mieliśmy dom przy końcu ulicy i Rooney mógł spacerkiem chodzić do pracy, ale potem wszystko zaczęło się walić i wprowadziliśmy się do mieszkania nad barem. Do dwóch malutkich klitek. Casey i ja w jednej, a rodzice w drugiej.

Słowa dosłownie wylewały się z jej ust. Megan przerwała na chwilę, jakby zauważyła, że ją poniosło.

- Więc ty zajmowałaś się domem, a mama barem?

- W dziwny sposób bar stał się jakby częścią domu. W nim się wychowałam. Często bawiłyśmy się na dole i wszyscy witali nas z radością. Mama pilnowała porządku. W tamtych czasach to było roazinne miejsce, bez pijaczków, przekleństw i bójek. Miała słabe serce i łatwo się męczyła, ale kiedy żądała, by ktoś wyszedł, słuchano jej bez sprzeciwów. Wtedy Rooney pracował jeszcze w kuchni, ale to ona wszystkiego doglądała i tylko dzięki niej rodzina się nie rozpadła.

- A kiedy umarła?

- Staraliśmy się utrzymać wszystko po staremu. Ja gotowałam, ale byłam za młoda, żeby podawać drinki, więc robił to Rooney. Zatrudniliśmy pomoc, wspierali też nas zatroskani naszym losem krewni. - Uśmiechnęła się słabo. - Co wieczór któryś z Donaghue'ów pojawiał się w barze, żeby pomóc. Oczywiście nie przyznawali się do tego. Wpadali niby tylko na chwilę, pogadać albo wypić piwo. Kończyło się na tym, że stawali za barem, myli naczynia w kuchni albo zajmowali

się Peggy, kiedy ja gotowałam i próbowałam się jednocześnie uczyć.

Niccolo nie potrafił sobie tego wyobrazić. Ileż siły i hartu ducha musiała mieć Megan... To nie było życie dla nastolatki.

- Tak trwało prawie przez trzy lata. Nie miałam najlepszych ocen, ale niczego nie zawałam. Któregoś ranka wstałam, żeby umyć Peggy, i zobaczyłam, że drzwi do sypialni Rooneya są otwarte, a jego nie ma. Po prostu zniknął. - Spojrzała na Niccola. - Od tego czasu się nie pojawił. Ludzie mówili, że widzieli go tu i tam, ale z czasem coraz rzadziej dochodziły jakiegokolwiek wieści, aż w końcu wszelki słuch o nim zaginął.

- Aż do teraz.

Skinęła w milczeniu głową.

- Ale jak wam się udało utrzymać „Wyspę Whiskey”, Megan? De miałaś wtedy lat, szesnaście?

- Prawie siedemnaście. To nie było takie trudne. Rzuciłam szkołę, żeby móc pracować w pełnym wymiarze godzin. Maturę zrobiłam rok później.

- Odmalowałaś przede mną obraz dużej, kochającej się rodziny. Dlaczego więc na to pozwolono?

- Nie pozwolono, Nick. Po zniknięciu Rooneya rodzina chciała sprzedać bar i, rozdzielić nas między siebie do czasu, aż będziemy mogły radzić sobie same. Zagroziłam, że jeśli to zrobią, uciekniemy i zabierzemy ze sobą Peggy. Wiedzieli, że nie żartuję. „Wyspa Whiskey” była jedynym domem, jaki miałyśmy i serce by mi pękło, gdybyśmy go straciły.

Upiła łyk wina i na chwilę zamilkła, jakby wróciła do tamtych chwil.

- Wszyscy szukali jakiegoś kompromisu. Były plany, żeby kogoś wynająć do prowadzenia baru, ale wtedy musiałybyśmy się rozdzielić. Ciotra Deirdre i wuj Frank chcieli wziąć Peggy, ale bali się wziąć mnie i Casey. Mieli rację, bo to wywołałoby

same konflikty. Ciotka w Warren powiedziała, że możemy zamieszkać u niej, ale jest to tak daleko, że nie mogłybyśmy widywać Peggy. Były i inne propozycje, ale ja chciałam, żebyśmy zostały razem i żeby bar należał do nas.

- Wcześniej mówiłaś, że Peggy spędziła u twojej ciotki i wuja wiele lat...

- Cóż, tak musiało się stać. Peggy mieszkała u Groganów w ciągu tygodnia, a w weekendy wracała do domu. Odwiedzałyśmy ją z Casey w każdej wolnej chwili. Krewni nadal nam pomagali i troszczyli się o nas. Zatrudniliśmy ludzi do pomocy, którym oni płacili, a ja prowadziłam interes.

- Rozstanie z Peggy musiało być dla ciebie bolesne. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie oczywistej prawdy.

- Wychowałam ją jak własne dziecko. Była ze mną szczęśliwa. Rzuciłam szkołę, żeby się nią zajmować, ale to nie wystarczyło. Oddałam ją, aby nie stracić wszystkiego, a przecież musiałam jeszcze troszczyć się o Casey.

- Casey nie radziła sobie?

- Zawsze się buntowała, a po odejściu Rooneya straciła nad sobą kontrolę. Miałam z nią urwanie głowy.

- Brak ojca był dla niej szczególnie trudny?

- Z nas trzech ona potrzebowała go najbardziej. Przypomniały mu się słowa Casey w noc napadu.

- Casey powiedziała mi wtedy, że nie była w domu od lat

- To prawda. Pokłóciliśmy się i zaraz po średniej szkole wyjechała.

Był pewien, że to jeszcze nie cała historia, ale wątpił, czy tego wieczoru usłyszy jej dalszy ciąg.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

- Mniej więcej co miesiąc przysyłała kartki do Peggy, ale każda była nadana z innego miasta. Któregoś wieczoru nagle zadzwoniła do mnie. Miała wtedy dwadzieścia lat i studiowała

w Pensylwanii. Potem dzwoniła dość regularnie. Rok później zabrałam Peggy i pojechałyśmy ją odwiedzić. Od tego momentu Peg spędzała u niej co roku część wakacji, dzwoniłyśmy też do siebie i pisałyśmy listy. Kiedy Casey zamieszkała w Chicago, odwiedziłam ją kilka razy.

- Ale ona nigdy tu nie przyjechała.

- Nigdy, aż do teraz.

- Co o tym sądzisz? Nie chodzi mi o uczucia, ale o logiczne wyjaśnienie.

Bawiła się kieliszkiem i o mały włos nie rozlała wina.

- To niewątpliwy sukces. Peggy rozkwita, jest piękna i mądra. Ciotka Deirdre i wuj Frank ją uwielbiają, a ona kocha ich. Nie czuje się przez nas •opuszczona. Casey nareszcie wróciła do domu. Myślę, że nasze życie się odmieniło.

- Nadal jednak wolałabyś, żeby wszystko potoczyło się inaczej.

- To prawda. Wolałabym, żeby Rooney został z nami i przynajmniej udawał ojca, dopóki nie stałam się na tyle dorosła, by zająć się domem i barem.

- I jesteś na niego wściekła?

Dotychczas była szczerą. Niccolo czuł, że Megan zastanawia się, czy wyjawić swe prawdziwe uczucia. Jej twarz stężała.

- Nie myślę w ogóle o Rooneyu Donaghue. Kiedy uciekł z „Wyspy Whiskey”, Wykreśliłam go ze swojego życia - powiedziała sztywno.

- A wiesz, dlaczego uciekł?

- Bo przytłaczała go rzeczywistość

Z tym Megan bez wątpienia potrafiła sobie radzić, bo już jako szesnastolatka musiała zmagać się z życiem i spisywała się nad wyraz dzielnie... lecz pod śmiałymi słowami kryły się żal, złość i zagubienie:

- Był ci bliski, Megan? Zanim się załamiał?

- Nie uważam, żeby się załamał. Po prostu się poddał.

- Byliście sobie bliscy?

Wzruszyła ramionami, jednak Niccolo bez trudu wyczytał w jej oczach odpowiedź. Nadal bardzo kochała ojca.

- Co teraz zrobimy? — zapytał.

- Absolutnie nic, co próbuję ci od jakiegoś czasu uzmysłwić.

- Jest bohaterem. A jeśli mieszka tam, gdzie myślę, niedługo stanie się martwym bohaterem. Jest zima. Jeśli pogoda się pogorszy, może umrzeć.

- Do tej pory mu się udawało. Jestem pewna, że ma jakieś źródło utrzymania, a cała okolica zamieszкана jest przez jego rodzinę i gdyby poprosił o pomoc, na pewno by ją otrzymał.

- Innymi słowy, niech Rooney radzi sobie sam. Niech sam podejmuje decyzje, chociaż nie potrafi trzeźwo myśleć.

Znowu zapadła długa cisza. Niccolo obawiał się, że Megan nie odpowie.

- Powiem ci coś jeszcze. Kiedy Rooney z nami mieszkał, czasem wychodził gdzieś wieczorami. Nigdy nie wiedziałam, kiedy wróci i gdzie się podziewa, włączałam więc lampę i stawiałam ją we frontowym oknie baru, a kiedy byliśmy na górze, w oknie naszego pokoju. Robiłam tak zawsze. Paliła się, dopóki nie trafił bezpiecznie do domu.

Nick słuchał jej ze ściśniętym gardłem. Megan sprawiała wrażenie chłodnej i opanowanej.

- Kiedy Rooney zostawił nas na dobre, nikomu o tym nie powiedziałam. Udawałam, że wyszedł w jakiejś sprawie. Wierz mi lub nie, ale przez prawie dwa miesiące udawało mi się wszystkim oszukiwać. Co noc zapalałam lampę, żeby pomóc mu znaleźć drogę do domu. W końcu ktoś się domyślił prawdy. Przez kolejny miesiąc, kiedy rodzina decydowała o naszym losie, włączałam tę głupią lampę i modliłam się, żeby Rooney

trafił z powrotem. Tej nocy, kiedy ciotka Deirdre przyszła zabrać Peggy, siedziałam w oknie z przeklętą lampą aż do rana i czekałam, by moje prośby zostały wysłuchane.

Potrząsnęła głową, pełna dezaprobaty dla swojej naiwności.

- Robiłam tak przez całe miesiące. Naprawdę wierzyłam, że nie jest za późno, by można było wszystko naprawić. Spaliłam chyba ze sto żarówek, zanim zrozumiałam że są lepsze sposoby wydawania pieniędzy.

- Być może, z lampą czy bez niej, nie potrafił znaleźć drogi do domu.

- Bardziej prawdopodobne jest to, że nie chciał. Rooney był marzycielem, bazarzem i mitomanem. W najlepszym wypadku zachowywał się nieodpowiedzialnie. Myślę, że pewnego dnia postanowił to wszystko zostawić, by zajął się tym ktoś inny, bo poczuł się zmęczony. I zniknął.

- Lecz on wrócił do domu, Megan. Był przecież na parkingu przy barze. - Niccolo sięgnął do kieszeni i wyłowił z niej spinkę do mankietów. - Przypuszczam, że tam zgubił ten drobiazg. - Obserwował ją uważnie, kiedy wpatrywała się w klejnot.

- Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Dlaczego uważasz, że należała do niego?

Zdradził jej swoje domysły, tak jak poprzednio uczynił to podczas rozmowy z Iggym.

- Tak czy inaczej, należy to do ciebie, Megan. Uważam, że jest to własność twojego ojca, a jeśli nawet nie, to leżała na twoim parkingu.

- Nie chcę jej.

Nie zdziwiła go ta reakcja.

- Może być cenna

- Nie chcę - powiedziała stanowczo. - Jeśli jest Rooneya, to pewnie ją znalazł albo ukradł. Nie mam z tym nic wspólnego.

Niccolo, aby nie zaostczać sytuacji, wsunął spinkę do kieszeni.

- Może właśnie zbierał się na odwagę, żeby wejść do środka, i wtedy stał się świadkiem napadu?

Megan podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Jeśli kiedykolwiek przekroczy próg baru, na pewno go nie wyrzucę, ale nie będę go też poszukiwać, jeśli właśnie o to chciałeś mnie prosić. Nie będę pilnować drzwi ani nie zapalę lampy. Niech sam zdecyduje, co ma robić.

Niccolo wyczuł, że nie należy dalej drażnić tego bolesnego tematu. Megan była dotkliwie zraniona i rozżalona, bowiem zbyt długo musiała zmagać się ze świadomością, że ojciec tak po prostu zostawił córki. I oto nagle stanęła przed koniecznością zaakceptowania powrotu Rooneya. Zadaniem Niccola było przypilnować, by marnotrawny ojciec przetrwał i mógł wrócić do swych najbliższych.

Wynieśli naczynia do kuchni. Niccolo położył rękę na ramieniu Megan.

- Mogę jeszcze dwa słówka?

- Tylko dwa?

'sr No, może troszkę więcej - uśmiechnął się.

- Śmiało, wal.

- Możesz być z siebie dumna. Uważam, że jesteś niezwykłą kobietą.

- To było jedno słówko czy dwa?

- I bardzo się cieszę, że byłaś za mną szczerą. Inni kazaliby mi pilnować własnego nosa.

- Tak naprawdę usłyszałeś ode mnie tylko to, co chciałam.

- Wiem, ale zdobyłaś się na szczerą.

Megan ciężko westchnęła i oparła się o blat szafki.

- Tylko nie wspominaj o tym Casey lub komukolwiek z rodziny, Nick. Dość już się wycierpieli.

- A mogę ci zaufać, że jeśli zajdzie taka potrzeba, powiesz im o tym?

- Nie zamierzasz się poddać, co? Nie przestaniesz go szukać.
- Przykro mi, ale nie mogę tego zaniechać.
- Cóż, powiedziałam ci wszystko, co mogłam, więc chyba nie ma już o czym dyskutować.
- Jest jeszcze kilka ważnych spraw.
- Na przykład? - Zmarszczyła czoło.
- Na przykład dobra muzyka i włoskie wina, sekrety kulinarne, duże i hałaśliwe rodziny oraz stare domy.
- Czy ty zawsze musisz szukać kłopotów, Nick? Właśnie dlatego nie mogłeś pozostać księdzem?
- Nie, ale kłopoty znajdują mnie same.

Ta kobieta mogła stać się jednym z nich. Wiedzieli o tym oboje, ale żadne z nich nie było na to przygotowane. On po części nadal czuł się księdzem, a w niej nadal tkwiła nastolatka skrzywdzona przez mężczyznę, którego kochała najbardziej na świecie.

- Czy mamy udawać, że spotykamy się wyłącznie z powodu Rooneya? - zapytał. - Bo jeśli chcesz, żeby tak było, to się podporządkuję.
- Lubię cię, Nick, i jeśli chcesz wiedzieć, naprawdę mi się podobasz... ale chociaż całe życie doradzałam i pomagałam innym, jestem beznadziejna w bliskich związkach.
- Podobnie jak ja, choć nie miałem okazji, żeby się o tym przekonać. Łączy nas więc również i ta cecha.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, ale w oczach nadal palił się płomień. Nie odsunęła się, kiedy się zbliżył. Obserwowała jego dłoń wędrującą do włosów i pozwoliła, by zanurzył w nich palce. Kciukiem gładził jej czoło. Zamknęła oczy. Czuła delikatne ciepło jego dotyku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dla Casey praca za barem była niczym oddychanie lub jedzenie. Nie potrzebowała zapisywać zamówień, gdyż bezbłędnie je zapamiętywała. Mogła jednocześnie zmywać i wycierać szklanki, przyjmować telefony, gawędzić z klientami i na dodatek obmyślać plan działania na wypadek, gdyby odnalazła Jona Kovatsa. Dotychczas jej się to nie udało, ale przeprowadziła wywiad i zdobyła jego domowy adres, więc była to tylko kwestia czasu.

- Już pędzę! - krzyknęła wesoło i pchnęła przez ladę kufel do sympatycznego staruszka, Charliego Forda. Był stałym klientem i już pierwszego dnia powiadomił ją, że zwykł zamawiać specjalność 'dnja i ciemne piwo.

Rumiany, jasnooki Charlie prędko stał się ulubieńcem Casey. Znał mnóstwo świetnych dowcipów i z czasem zaczął zasypywać ją coraz pikantniejszymi kawałami w stylu: „Płynie sobie trzech księży w łódce...”

Casey pobiegła do kuchni po danie dla Charliego. Kiedy stawiała przed nim pieczoną baraninę, z duszoną kapustą, poczuła wilczy apetyt. Mięso piekło się w kuchni od rana i doprowadzało wszystkich do szału swym aromatem, a jakby tego było mało, Megan przygotowała owsiany chleb na maśle.

- Ona karmi nas jak rodzinę - zauważył Charlie, pochylając się nad talerzem. - Nawet moja matka nie gotowała tak dobrze.

Casey pomyślała o swojej mamie. Chyba nigdy nie widziała

jej w kuchni i z tego, co pamiętała, funkcję domowego kucharza pełnił Rooney.

- Masz szczęście, dostał ci się ostatni kawałek. - Casey była zadowolona, że wcześniej odłożyła do lodówki porcję obiadu dla siebie. - Nieważne ile Megan przyrządzi baraniny i duszonej kapusty, zawsze wszystko schodzi. Zapach dociera chyba aż do EMI i Van Roya - skinęła w stronę zajętych jedzeniem pracowników dwu pobliskich firm.

- Cały miesiąc czekam na czwarty poniedziałek - roześmiał się Charlie.

Casey poczuła wzruszenie. Czy chciała w to wierzyć, czy też nie, „Wyspa Whiskey” była czymś więcej niż zwykłym barem. Gromadziła się tu cała okolica, a nawet ci, którzy przenieśli się do odległych dzielnic, natomiast rzadko zaglądał ktoś obcy. Ile jest w tym zaganianym świecie miejsc, w których cię serdecznie witają, smacznie karmią, gawędzą z tobą, znają twoje problemy i bez pytania podają ulubionego drinka?

- Wiesz co? Na deser dostaniesz kawałek szarlotki. Na mój rachunek.

- Skąd ten zaszczyt? - zdumiał się staruszek.

- Nagroda za to, że jesteś wiernym klientem. Tylko nikomu nic nie mów.

- A możesz dodać lody?

- Zrobi się.

Zostawiła go ze smakowitą baraniną i zajęła się barem. Nalała kilka kufli piwa i podała torbę precli księgowemu, który od dłuższego czasu próbował zaciągnąć ją do łóżka. Był całkiem miły i przystojny, ale wyobrażała sobie, że widzi świat" jako wielki arkusz kalkulacyjny i nie miała zamiaru stać się jedną z kolejnych cyfr.

Złożyła w kuchni kolejne zamówienie u zaganianej Megan, która przygotowywała kanapki dla siedmiu osób. Peggy usta-

wiała talerze na tacy. Casey wzięła dwa, które się nie zmieściły, i podążyła za siostrą na salę.

- Jedzenie, chłopcy! - zawołała Peggy do grupy mężczyzn siedzących przy największym stole.

- A niech mnie, nieźła z ciebie sztuka - odezwał się jeden z nich, kiedy stawiała przez nimi talerze. -
Wolę ciebie niż obiad.

- Nie figuruję w menu. - Peggy nie była ani trochę zmieszana. - Przed drzwiami stoi szalony starzec, który pilnuje, żebym tam nie trafiła.

Kompani wybuchnęli gromkim śmiechem i przyjaźnie pokleпали po plecach spławionego kumpla.

Casey podziwiała siostrę za to, jak sprytnie obróciła tę głupią sytuację w żart.

- Powiedziałabym, że masz kelnerowanie we krwi, ale to chyba nie jest najlepszy komplement -
odezwała się do niej w drodze do kuchni.

Peggy parsknęła śmiechem.

- Lubię tę robotę. Mogłabym zawsze podawać piwo i dymiące potrawy.

Pozornie bez troskie słowa nie wróżyły niczego dobrego.

- Słuchaj, wiem, że nie jestem najlepszym wzorem, ale powinnaś robić w życiu coś bardziej
wartościowego - powiedziała zaniepokojona Casey.

- Hej, co z tobą? To ty powtarzałaś tysiące razy, że nigdy tu nie wrócisz.

- Może chcę sobie zrobić przerwę?

- Być może ja też.

- Nie masz zamiaru wracać do college'u, prawda? - Casey wydusiła z siebie obawy, które od jakiegoś
czasu nie dawały jej spokoju.

- Jeszcze nie wiem. Casey milczała.

- Niech ci będzie. Wzięłam urlop na ten semestr - po chwili milczenia przyznała Peggy. - Ale nie martw się, wcześniej zaliczyłam tyle dodatkowych przedmiotów, że mogę spokojnie obronić dyplom przed wakacjami.

- Możesz mi zdradzić, dlaczego?

- Próbuję uporządkować sobie pewne sprawy, Casey. To wszystko. Nie mówiłam jeszcze o tym z Megan i pozwól, żebym to zrobiła po swojemu, dobrze? Inaczej gotowa jest się załamać.

- Megan? Niemożliwe!

- Ależ możliwe. Kiedy chodzi o nas, jest wyjątkowo przewrażliwiona i zaraz zacznie się o wszystko obwiniać. Rozumiesz, że za mało się starała i nie zatrzymała mnie przy sobie. Że nie nauczyła mnie, co jest naprawdę ważne. Nadal uważa, że ponosi odpowiedzialność za twoje zniknięcie. To dlatego nadal nic jej nie powiedziałam.

Teraz Casey poczuła się winna.

- Boisz się, prawda? - zapytała, odczytując myśli młodszej siostry.

- Jestem przerażona, ale kiedy przyjdzie właściwa pora, na pewno z nią porozmawiam.

Casey wiedziała, że temat został wyczerpany.

- Cieszę się, że tu jesteś. Megan także potrzebuje twojej obecności, no i Ashley przywiązała się do ciebie.

- To najspokojniejsza dziewczynka, jaką w życiu widziałam.

Ashley była zbyt cicha i zbyt blada, miała też stale nieobecne spojrzenie. Casey widziała wiele dzieci podobnych do niej, z zapadniętymi oczami, milczących ze strachu przed zniszczeniem kruchej równowagi, w jakiej tkwią ich smutne światy.

- Bardzo lubi szkołę - zauważyła Casey. Dzięki Bogu, na-

uczyciele ze Świętej Brygidy mieli wiele doświadczeń w opiekowaniu się dziećmi, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej.

- Zdawało mi się, że rano masz kłopoty z namówieniem jej do wyjścia...
 - Ona nie chce tam iść, ale kiedy już jest, nauczyciel twierdzi, że wszystko jest w porządku. Trzyma się stale na uboczu, lecz to mnie nie dziwi.
 - Wydostanie się ze swojej skorupy, kiedy będzie już z matką.
- Casey nie wiedziała, co dodać, i wróciła za bar. Nalała dwie szklanki sprite'a, podała Peggy i zabrała się do zmywania naczyń. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że naprzeciw niej siedzi zupełnie inny mężczyzna. O mało nie upuściła talerzy.
- Jon!
 - Zawsze jesteś zaskoczona moim widokiem.
 - Ty przebiegły lisie!
 - Tęskniłaś za mną, co?
 - Przygotowujesz się do roli Niewidzialnego Człowieka? Pojawiasz się i znikasz.
 - Mam sporo zajęć i nie mogę przesiadywać w knajpach.
 - Nie chcę cię zatrzymywać.
 - Coś rewelacyjnie pachnie. Czy to pieczona baranina z kapustą?
- Wskazała na tablicę z listą specjalności dnia.
- Megan przygotowuje ją tylko raz w miesiącu i właśnie dziś jest ten szczęśliwy dzień.
 - Więc cieszę się, że wpadłem.
 - A niby dlaczego? Wątpię, czy zdążysz coś przekąsić.
 - Miałem taki zamiar, jeśli przestaniesz mi dokuczać.
 - Dokuczać? Niby ja ci dokuczam?

Jon Kovats się zmienił. Jego uśmiech był teraz swobodniejszy, bardziej pewny siebie. W jego spojrzeniu odczytała nową, pociągającą nutę.

- Uwielbiałem z tobą dyskutować. - Oparł łokcie o ladę barową i pochylił się w jej stronę. - Twoje oczy tańczą, kiedy nad czymś intensywnie myślisz. Gdy byłaś o czymś święcie przekonana i broniłaś swoich racji, wyglądałaś przepięknie.

- Jon, ty wcale nie myślałeś o moich oczach. - Machnęła ręką. - Najważniejsze dla ciebie było to, jak dostać wyższą ocenę z matematyki albo jak przekonać panią Egan, że twoja mama naprawdę jest w stanie agonii i musisz opuścić laboratorium biologiczne.

- Nieprawda. - W jego-głosie nie było kpiny.

- Ej, nie przekreślaj faktów! Było jak było, ale i tak twoja przyjaźń była jedyną rzeczą, na jaką mogłam liczyć w liceum.

- Mówię ci tylko, że kiedy twoje oczy tańczą, wyglądasz przepięknie. Prócz tego zamawiam pieczoną baraninę z kapustą, dobrze?

Otwierała usta, by mu zakomunikować, że danie dnia się skończyło i żeby za miesiąc przyszedł wcześniej, ale nagle zapragnęła, by został. Bardzo się cieszyła, że obok jest mężczyzna, który wie więcej o jej nadziejach i marzeniach niż którykolwiek z jej kochanków. I na pewno więcej niż były mąż.

- Szczęściarz z ciebie. - Miała nadzieję, że jej oczy teraz tańczą. - Został jeden talerz. Jest twój.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Zachowałeś go dla siebie, mam rację?

- Jak ty to robisz?

- Nic przede mną nie ukryjesz, Casey. Przyniesiesz baraninę, to się podzielimy, zgoda?

- A będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę?

- Masz to jak w banku.

Podzielili porcję baraniny i zaczęli gawędzić o starych znajomych oraz o ulubionych knajpach. Po obiedzie bar powoli pustoszał. Przenieśli się do stolika w rogu i na spólkę zjedli porcję szarlotki.

- Opowiedz mi o swojej pracy - poprosiła Casey. - Kiedy zamieniłeś się w karzące ramię sprawiedliwości? Najpierw policjant, teraz prokurator...

- Zaledwie kilka minut temu byłem Niewidzialnym Człowiekiem. - Podsunął jej talerzyk z ciastem. - Cóż mogę ci powiedzieć...? Zawsze starałem się odróżniać dobro od zła.

- Racja. W złośliwym chłopcu krył się prawdziwy geniusz. Myślałam, że będziesz fizykiem nuklearnym albo neurochirurgiem.

- Bardziej niż atomy czy tkanki interesują mnie ludzie.

- I dlatego zostałeś gliną, a teraz prokuratorem? Bo interesują cię ludzie? A może dlatego, że lubisz ich wsadzać za kratki?

- Do więzienia wsadzam kryminalistów, żeby porządni obywatele mogli spokojnie żyć. - Rozsiadł się swobodnie na krześle, zwieszając ręce za oparciem. Miał długie, silne uda jeźdźca, umięśniony tors i szerokie ramiona. Nic w nim nie zostało z chudego wyrostka.

- Co cię skłoniło do takich decyzji?

- Zacznę od początku. Pewnego popołudnia szedłem sobie ulicą San Francisco i obkoczyło mnie dwóch wyrostków. Jak ostatni kretyń wdałem się w bójkę. Kiedy ze mną skończyli, nie miałem zegarka i portfela, a serce przestało mi bić.

- Jon! - przeraziła się Casey. Ścisnął uspokajająco jej dłoń.

- Ledwie to pamiętam. Wstrząs mózgu i utrata przytomności mają swoje dobre strony. Któryś ze świadków wezwał policję i pogotowie, a jeden z przechodniów okazał się lekarzem,

więc zrobił mi sztuczne oddychanie. To nie jest niebezpieczne miasto, a okolica była dobra. Po prostu miałem pecha.

- To byli źli ludzie.

- Minęło trochę czasu, zanim z tego wyszedłem. Zrezygnowałem ze szkoły na jeden semestr, bo nie pozwolili mi się forsować. Gdybym wtedy przesadził, skutki mogłyby być nieodwracalne. Zawsze dużo pracowałem i tak naprawdę pierwszy raz miałem czas na spokojne przemyślenia.

- Doszedłeś do wniosku, że powinieneś wyrównać rachunki z tymi bandziorami i zostać gliną?

- Zastanawiałem się nad wieloma kwestiami. Między innymi nad tym, jak wielu osobom przytrafiło się to, co mnie, i jak wiele do życzenia pozostawia nasz system społeczny.

- Proszę, nie mów mi tylko, że nagle stałeś się skrajnym konserwatystą, który żąda więcej zakładów karnych i kary śmierci dla złodziei samochodów.

- Nie, ale nie przekonuje mnie usprawiedliwienie, że ktoś stał się seryjnym zabójcą, bo mama go zaniedbywała i za rzadko mu zmieniała pieluszki.

- Założę się, że jesteś świetny w tym, co robisz. I sprawiedliwy. Zawsze byłeś okropnie rozsądny, co zresztą doprowadzało mnie do szału.

- Bo zawsze byłaś impulsywna i niczego nie potrafiłaś przekalkulować na zimno. Nie znosiłaś wszystkich, którzy ci to wytykali.

- Z tobą było inaczej.

- Owszem, bo ja potrafiłem cię słuchać. - Położył otwartą dłoń na stole, jakby czekał, aż Casey wsunie tam swoje palce. - Teraz też.

- Nie ma o czym opowiadać.

- Myślę, że jest. Najbardziej inteligentna kobieta, jaką

znam, jest rozwiedziona i pracuje w rodzinnym barze, skąd dawno temu uciekła. Co się stało?

Potrząsnęła głową. Nie wiedziała, od czego zacząć.

- Opowiedz mi o rozwodzie.

- Cóż, to nic szczególnego. Stan był jednym z moich nieudaczników, tyle że dobrze się kamuflował. Co prawda Megan i Peggy przejrzały go i ostrzegały mnie, że popełniam błąd, ale widziałam tylko jego doskonałe maniery i ogromny apartament.

- Jak długo byliście razem?

- Rok. Pierwszy tydzień minął sielankowo. Stan uważał jednak, że mam przyjąć jego reguły. Miałam być panienką do towarzystwa, która nie będzie miała nic przeciwko innym paniom i podejrzanym konszachtom, przynoszącym niezłe profity.

Tak naprawdę, kiedy małżeństwo ze Stanem stało się przeszłością, Casey odczuła ogromną ulgę. Od chwili kiedy przejrzała na oczy, wytrzymała układ dlatego, by nikt jej nie zarzucił niestałości.

Przez jakiś czas nawet się starała, ale w końcu rzuciła męża z całym jego podejrzanym majątkiem.

Wzięła sobie tylko tyle, by przetrwać pierwsze samotne miesiące.

- Najbardziej bolesna była dla mnie świadomość, jak pochopne i fatalne w skutkach są moje decyzje. To uzmysłowiło mi, jak wiele popełniłam błędów i że jednym z nich była ucieczka z domu. Ze Stanem było inaczej, pozbyłam się go jak zepsutego zęba. Szkoda tylko, że tak późno zauważyłam objawy próchnicy.

- To niezbyt miłe.

- Nie chcę go oczerniać, nic mnie już nie obchodzi.

- Dobrze, nie mówmy o nim. A powiesz mi, dlaczego tu pracujesz? Czy Megan aż tak bardzo cię potrzebuje?

- Mogłaby doskonale poradzić sobie beze mnie, tak przecież było przez wiele lat.
- A dlaczego zniknęłaś?
- Chciałam zobaczyć trochę świata.
- Założę się, że to nie jedyny powód.
- Megan nie opowiedziała ci o tym, kiedy zmywałeś naczynia?
- Nie sądzę, żeby miała ochotę o tym mówić.
- Byłeś na moim przyjęciu powitalnym i żaden z moich krewnych nic ci nie wypaplał? -
- A czy ktokolwiek zna ten powód?

Tego nie wiedziała. Zastanawiała się, czy Megan zachowała ich kłótnię w tajemnicy.

- Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. Nie mam prawa cię przepytywać.

Powiedział to takim tonem, który wyraźnie wskazywał, że chciałby się dowiedzieć. Casey zaskoczyła intymna więź, jaka się między nimi nawiązała. Czowała się tak, jakby się nigdy nie rozstawali, choć Jon przez tych jedenaście lat bardzo się zmienił.

Zapra gnęła wyrzucić z siebie długo skrywaną tajemnicę, dość miała udawania, że między nią a Megan nic się nie wydarzyło. Ten niechlubny sekret stał się tylko ciężarem

- To naprawdę całkiem proste. - Pochyliła się w jego stronę. - Chciałam, żeby Megan sprzedała bar. Mimo ogromnego wysiłku, jaki włożyła, żeby zachować interes w rodzime, zażądałam raptem, żeby go sprzedała, podzieliła między nas pieniądze i pozwoliła nam prowadzić samodzielne życie.

Jon nie był zaskoczony.

- Rozumiem twoje motyw. To miejsce wiązało się z niezbyt przyjemnymi wspomnieniami.
- Naprawdę mnie rozumiesz? Dziś wiem, że zachowałam

się jak skrajna egoistka, ale wtedy wściekało mnie, gdy widziałam, jak Megan wypruwa sobie żyły, żebym mogła skończyć szkołę. Znienawidziłam to miejsce. Chciałam posmakować życia, zwiedzić kawałek świata, stać się samodzielna. Chciałam też tego dla niej.

- Ona pewnie nie myślała o tym w ten sposób?

- Jasne, że nie. To miejsce to jej żywioł! Ma to we krwi. Odbierz jej „Wyspę Whiskey”, a jej serce przestanie bić. Robiła wszystko, żeby utrzymać bar. Rzuciła szkołę, harowała dzień i noc. A ja się go wyparłam!

Jon milczał.

Casey odetchnęła głęboko.

- Więc wyjechałam. Uznałam, że mam prawo układać sobie życie po swojemu. Złapałam okazję i pojechałam na południe. To było takie proste.

- Bez uprzedzenia?

- Bez. Wiedziałam, że będzie starała się mnie od tego odwieść, a ja nie chciałam, żeby znów podejmowała za mnie decyzje: „%”

- Mnie też nic nie powiedziałaś.

Casey, która opowiadała swoją historię ze wzrokiem utkwionym w blat stołu, podniosła oczy i uśmiechnęła się czule.

- Nie mogłam ci powiedzieć, że wyjeżdżam. Za bardzo się wstydziłam. Doskonale wiedziałam że zranię tym kilka osób, ale musiałam to zrobić, bo po prostu dusiłam się. Wiedziałam że to nie fair, ale nie troszczyłam się o to. Musiałam wyjechać.

- A teraz tu jesteś.

- Po prostu przyszedł czas, **by** wrócić do domu. - Wzruszyła ramionami,

- Dlaczego?

Casey zastanawiała się, jak w największym skrócie i bez

zbędnych szczegółów wyjaśnić mu tę kwestię, kiedy zauważyła siostrę przy automacie telefonicznym.

- Zdaje się, że ktoś dzwoni. Poczekasz chwilę?

- Byle nie za długo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cała nasza przyjaźń to jedno wielkie czekanie. Zawsze czekałem, aż znajdziesz dla mnie chwilę. Nie uśmiecha mi się kontynuowanie tej tradycji.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Doprawdy?

- Byłeś moim najlepszym przyjacielem. Jakie oczekiwanie? Spędzaliśmy ze sobą długie godziny i nigdy cię nie ignorowałam.

- Wiesz, gdzie mieszkam i pewnie znasz mój numer telefonu. Zadzwoń, jeśli chcesz dokończyć rozmowę.

Nie zaprzeczyła. Prowadzenie gierki z policjantem i prawnikiem w jednej osobie miało się z celem.

- Adres zdobyłam od znajomej Peggy, która pracuje w twoim biurze, ale numeru telefonu nie mam.

- Następnym razem, kiedy będziesz przejeżdżała obok mojego domu, wstąp.

- Po co?

- To ty musisz mi to wyjaśnić. Wielkie dzięki za jedzenie, jest najlepsze w całym Cleveland.

Na pożegnanie posłał jej krótki uśmiech i zniknął. Casey odprowadzała go wzrokiem, kiedy nadeszła Peggy.

- Ktokolwiek to był, odłożył słuchawkę.

- Trudno. Pytali o mnie, czy to może któryś z zaopatrzeniowców Megan?

- Prawdę mówiąc, ten facet nie chciał rozmawiać z nikim konkretnym. Zadawał pytania, na które nie potrafiłam odpowiedzieć.

- Na temat baru? - Casey nie słuchała jej zbyt uważnie, bo myślami błądziła wokół przerwanej rozmowy.

- Mniej więcej. Pytał o jakiegoś Ala. Potem chciał wiedzieć, na kogo zarejestrowany jest ten telefon, czy to prywatna posiadłość, czy firma, jak się nazywam i kim tutaj jestem.

Casey nagle skupiła uwagę na słowach siostry. Myśli popędziły galopem. Najgorszy scenariusz był taki, że ktoś podsłuchiwał rozmowę telefoniczną, jaką prowadziła poprzedniej nocy. Celowo skorzystała z aparatu publicznego, uważając, iż ten w barze jest dostatecznie bezpieczny. Teraz żałowała, że nie poszukała automatu na ulicy.

- To pewnie pomyłka - zawyrokowała. - Takie rzeczy zdarzają się dość często. Albo ktoś z gości podał nasz numer.

- Nie wiem. Dzwonił kilka razy, zanim odebrałam i chyba nikt nie czekał na telefon. A poza tym prawie nikogo teraz nie ma.

Casey rozejrzała się i zauważyła, że bar niemal całkowicie opustoszał.

^xs% - Może ktoś czekał na telefon, ale wcześniej wyszedł.

- Ale wtedy ten ktoś by się przedstawił, a nie wypytywał o moje dane personalne.

- Równie dobrze mógł to być jakiś telemarketer. Wiesz, że oni próbują teraz wszystkich metod, żeby zdobyć klientów. - Casey uśmiechnęła się pokrzepiająco. - Co mu dokładnie powiedziałaś?

- Że to publiczny aparat w barze, że mamy co najmniej sześciu klientów o imieniu Al i że telefon jest używany przynajmniej sto razy dziennie, więc w żaden sposób nie jestem mu w stanie pomóc. Kiedy zaczął wypytywać o mnie, zawołałam ciebie.

To, że ktoś podsłuchiwał wczorajszą rozmowę, było mało prawdopodobne, jednakże relacja Peggy pasowałaby do takiej wer-

sji. Ktoś, kto podsłuchał rozmowę, zapewne doszedł do wniosku, że wpadła do baru zadzwonić. A skoro nie została zidentyfikowana, znalezienie jej na podstawie tak mało konkretnej informacji było prawie nierealne.

Numer, pod który dzwoniła, został niedawno zmieniony i wiele osób zadbało, by go zabezpieczyć przed podsłuchem. Mogła zadzwonić do Grace z ostrzeżeniem, ale czy to byłoby rozsądne? Z powodu jednego niewyjaśnionego telefonu? Ashley radziła sobie coraz lepiej i przyzwyczajała się do życia na Wyspie Whiskey. Co na dłuższą metę było korzystniejsze dla małej?

- Cieszę się, że nie powiedziałaś nic więcej - zwróciła się do Peggy. - Jeśli odbierzesz następny taki telefon^ od razu daj mi znać. Dowiem się, kto i po co dzwoni.

- Przykro mi tylko, że przerwałam ci rozmowę z Jonem. Bardzo go lubię, a ty?

- Na ogół tak.

- Przypomina mi Stana.

Casey spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

- Jon w żaden sposób nie przypomina Stana, co więcej, jest jego przeciwieństwem.

- W takim razie cieszę się, że to zauważyłaś - odparła Peggy z uśmiechem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jon mieszkał przy niewielkiej ulicy w Lakewood, na przedmieściach Cleveland, w malowniczej okolicy z zadbanymi ogródkami i wąskimi parkingami. Wiele domów ozdobiono werandami. Ganek domu Jona wiele lat temu obudowano i całość wyglądała tak, jakby unosiła się nad ulicą. Okiennice dawno odpadły, dach połatano, nie bacząc na podobieństwo dachówek, a rozpadające się ogrodzenie przybrało barwę poszarzałego błękitu.

Późnym poniedziałkowym popołudniem Casey zatrzymała samochód naprzeciw domu Jona i pytała siebie w duchu, co tu właściwie robi. Około piątej odebrała Ashley ze Świętej Brygidy, zamieniła parę słów z jej wychowawcą i miała zawieźć małą do „Wyspy Whiskey” na obiad, ale jakimś cudem trafiła tutaj.

Nie potrafiła wyjaśnić, po có przyjechała. Lubiła niezobowiązujące wyjścia na kawę czy kolację z oczarowanymi jej wdziękiem mężczyznami, lecz nie zwykła ich prześladować. Nie była olśniewająco piękna, ale potrafiła ze smakiem się ubrać, korzystnie podkreślić urodę makijażem i poruszać się z gracją. Nie miała przy tym wygórowanych oczekiwań. Nie liczyła na romans ani na drogie prezenty, chciała spędzić czas z kimś, z kim mogła się pośmiać.

Przypomniała sobie, że z Jonem zawsze śmiali się do rozpuku, oczywiście wtedy, gdy nie dyskutowali na ważne tematy. I pewnie dlatego siedziała teraz w swojej mazdzie przed jego

domem i zastanawiała się, czy zapukać do jego odrapanych, metalowych drzwi.

- Jestem zmęczona - poskarżyła się cicho Ashley z tylnego siedzenia.

- Może wrócimy do domu? - zaniepokoiła się Casey.

- Jestem zmęczona siedzeniem w samochodzie!

To pomogło Casey podjąć decyzję. Ashley chciała wyjść z auta, a poza tym mężczyznę najłatwiej ocenić jest po tym, jak zachowuje się wobec dzieci.

- Chodźmy więc spotkać się z moim przyjacielem. Rozprostujesz nogi. Tak lepiej?

Dziewczynka, uwolniona z zamknięcia, pobiegła ośnieżoną ścieżką prowadzącą do domu Jona*-, Ogród wyglądał dość żałośnie i pasował do zniszczonego domu. Przy wejściu leżało mnóstwo staroci, których przeznaczenie trudno było określić.

Drzwi otworzyły się i Jon wyszedł na ganek. Casey nie była pewna, czy go zastanie, ale zdążył się nawet przebrać w wytarte dżinsy i zielony podkoszulek opinający umięśniony tors. Nie zwracał uwagi na chłód, ale był przecież chłopakiem z Cleveland i solidna kuchnia uodporniła go na mrozy.

- Cześć, Casey, co słychać?

- Jeśli przeszkadzam, to sobie pójdę.

- Dopiero przyszłaś. To Ashley?

Casey przedstawiła mu małą. Podczas wspólnego posiłku opowiadała mu o dziewczynce, którą się opiekuje, ale mile ją zaskoczyło, że zapamiętał jej imię. Mała nie zareagowała, kiedy przykucnął, by się z nią przywitać.

- Wejdziecie? - zapytał.

- Nie, zostaniemy tutaj i zamarzniemy na śmierć. Otworzył drzwi szerzej i wpuścił je do środka.

- Ładny dom - skomentowała z przekąsem.

- Prawda, że śliczny? Należał do mojej stryjecznej babki, która słynęła ze złego smaku - odparował z uśmiechem.
- Zostawiła go tobie?
- Ojcu. Rodzice chcieli go sprzedać, ale ja zdecydowałem się na powrót do Cleveland. Umowa jest taka, że zrobię tu remont i powyrzucam graty, a w zamian będę tu mieszkać bez płacenia czynszu do czasu, aż kupię sobie mieszkanie.
- Myślałam, że to jakaś nowa moda.
- Prawdę mówiąc, odkryłem tu kilka naprawdę interesujących rzeczy. Chcesz obejrzeć? Propozycja nie za bardzo jej odpowiadała. W starociach kochała się Megan, jakby chciała odtworzyć przeszłość, wykorzystując sprzęty używane przez innych ludzi. Można było odnieść wrażenie, że obsesyjnie próbuje odzyskać dawny dom, podczas gdy Casey nie chciała, by cokolwiek przypominało jej o tym, co straciły przez Rooneya,
- No chodź - namawiał Jon, kiedy długo nie odpowiadała. - Spodoba się wam. - Otworzył drzwi i zaprosił je do środka.
- Nadal czuć stechlizną - tłumaczył się. - Przyjechałem trochę za późno i nie zdążyłem wszystkiego dobrze przewietrzyć. Był już zimny październik, gdy udało mi się wreszcie otworzyć okna, które przed laty ciotka Magda na głucho zabiła gwoździami i pokryła grubą warstwą farby.
- Była jedną z tych, którzy uszczelniają wszystkie szpary i zalepiają dziurki od klucza?
- Nie, nie było aż tak źle, ale na, starość stała się bardzo ostrożna. Casey wciągnęła powietrze i zmarszczyła nos.
- Czuję koty.
- Masz imponujący węch. Myślałem, że uda mi się zwalczyć ten zapach za pomocą odświeżacza powietrza, ale jak widzę, poniosłem klęskę.

- He ciotka trzymała kotów?
- Wszystkie zostały zabrane, zanim tu przyjechałem, ale ponoć było ich ponad dziesięć.
- O rany...
- Zamiast imion nadała im numery, bo traciła pamięć i tak było prościej.

Casey poczuła sympatię do ciotki Magdy.

- Bardzo praktyczna kobieta, zupełnie jak Megan.
- A tak przy okazji, Megan ostatnio świetnie wygląda. Wydaje się, że jest bardzo szczęśliwa. Megan zawsze lubiła Jona, a Casey nieraz uważała, że aż za bardzo. Jako nastolatka bywała zazdrosna, że Jon, jej kosztem, za dużo uwagi poświęca siostrze.

Przeciągnęła palcem po blacie stołu. Musiała przyznać, że ten facet potrafi zajmować się domem.

- Myślę, że Megan jest całkiem szczęśliwa. Jak zwykle za dużo pracuje, ale poza tym prowadzi nieskomplikowane życie i nie ma powodów, by narzekać.
- Dziwię się, że nie wyszła za męża. Ma w sobie tyle ciepła i opiekuńczości.
- Może ma już dość zajmowania się rodziną? Z jedną, miała tak dużo kłopotów, więc po co jej druga?
- Zawsze ją podziwiałem. W krytycznych chwilach potrafiła znaleźć najlepsze wyjście dla całej waszej trójki, i wprowadzała je w życie.

Casey przypomniała sobie o rozpaczy Megan, gdy musiała Groganom oddać Peggy, o rozterkach przed porzuceniem szkoły, o furii, gdy chciała wyręczyć ją w podejmowaniu decyzji. Znała siostrę jak nikt inny.

- Dobrze, chodźmy dalej i powiesz mi, co myślisz o tym miejscu - przerwał jej myśli Jon - a później pokażę ci moje znaleziska.

Ganek przechodził w wąski przedpokój. Na prawo był salon, na wprost schody skracające w lewo, a za nimi znajdowała się kuchnia. Casey weszła do salonu.

- Niewiele to śladów po ciotce Magdzie.

- Muszę mieć pokój, w którym się dobrze czuję. Od razu wyrzuciłem stare meble i dywan, pomalowałem ściany i wstawiłem swoje graty. To jedyny pokój, który zdążyłem wyremontować przed zimą.

Salon urządzono stylowymi meblami. Gospodarz najwyraźniej lubił skórę, szkockie pledy i ciemne drewno, a wszystko składało się na harmonijną, wysmakowaną całość.

- Oblecimy dom, a później pokażę wam ciekawsze rzeczy. - Pochylił się i zapytał Ashley: - Wziąć cię na barana?

Dziewczynka spojrzała na niego ze strachem i schowała się za Casey, jednak Jon odebrał tę dziwną reakcję spokojnie.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie.

Wnętrze domu niewiele różniło się od zapuszczonego ganku. Magda z pewnością nie była kolekcjonerką dzieł sztuki, ale Casy tak bardzo pochlępnęło poznawanie świata tej kobiety, że z wielkim zainteresowaniem oglądała sterty winylowych płyt leżących obok gramofonu Wurlitzera, stare numery „Ladies Home Journal” oraz inne kobiece pisma.

- Nie spieszę się ze sprząaniem. Jak coś trafi do kosza, to przepada na zawsze, a chcę zachować pamiątki po ciotce, bo to się jej należy. Pozbyłem się śmieci i sprzedałem tylko to, co się nadawało do użytku. Chcę pokazać Ashley coś, co mi się na pewno do niczego nie przyda, ale nie chcę się tego pozbywać. Udali się na górę, gdzie Jon otworzył jedno z trojga drzwi. Natychmiast uderzył ich zapach lawendy i róż.

Casey, prowadząc za sobą Ashley, weszła do środka, a Jon zapalił światło. Przed ich oczami pojawił się zachwycający wi-

dok. Pokój okazał się mieszkaniem dla lalek z epoki wiktoriańskiej. Trzy młode damy leżały w łóżeczku przybranym różowymi wstążkami z jedwabiu, dwie inne siedziały w bujanym fotelu z wikliny, wyłożonym pluszem, a w rogu stał ręcznie wykonany koń na biegunach, który niósł na grzbiecie miniaturowego kowboja. Na półce przy toalecie tuliły się do siebie ubrane w taftę i koronki trzy chińskie lalki o malowanych, porcelanowych buziach.

Było ich o wiele więcej i Casey wprost nie mogła nacieszyć oczu. Jon dostrzegł jej zachwyty, zerknął też na Ashley, żeby sprawdzić jej reakcję. Dziewczynka otworzyła szeroko piękne, wielkie oczy.

- Zdziwiająca, co? - odezwał się. - Kiedy wszedłem tu po raz pierwszy, poczułem się jak w muzeum lalek. Rodzice nie potrafili mi powiedzieć, skąd się tu wzięły. Ojciec pochodzi z chłopskiej węgierskiej rodziny, gdzie kobiety pracowały jako służące, a mężczyźni jako młynarze. Magda umarła w wieku dziewięćdziesięciu lat i nigdy nie dorobiła się majątku. Większą część życia sprzątała i prasowała, a te zabawki musiały sporo kosztować.

- Teraz są bezcenne: Musiała na nie wydać wszystkie oszczędności.

- Na końcu tej ulicy mieszka stara kobieta, która była najlepszą przyjaciółką Magdy. Pamięta, jak ciotka pokazywała jej kiedyś lalki, twierdząc, że to jej dzieci.

- Koty i lalki... nie brzmi to zbyt wesoło.

- Nie żał mi jej. Mama mówiła, że Magda miała wiele propozycji matrymonialnych, ale wszystkim adoratorom dała kosza, bo nie miała zamiaru nikomu za darmo gotować i sprzątać.

- Romantyczka była z tej twojej ciotki.

- Pewnie o dzieciach myślała tak samo i dlatego wybrała koty i lalki. - Jon zaśmiał się wesoło.

- Co zamierzasz z tym zrobić? Wspomniałeś, że chcesz je zatrzymać, ale po co?

- A co, uważasz, że to oznaka zniewieścienia? Prawdę mówiąc, ten pełen zabawek, poduszek i falbanek

pokoik przydawał mu jeszcze więcej męskości. Podobało się jej, że czuł się ze sobą dobrze i nie przejmował się tym, co pomyślą o nim inni.

- Chcę zatrzymać to dla swoich dzieci - wyjaśnił. - Opowiem im, jak kiedyś wyglądał świat, jak dzieci bawiły się klockami i piłką, a nie tkwiły z nosami w komputerach, oraz że nie każda lalka ma szafę pełną błyszczących wieczorowych sukni.

- Ej, nie mieszaj do tego Barbie - roześmiała się Casey.

- Nie podejrzewałam, że jesteś taki sentymentalny. Pamiętam, jak mówiłam ci kiedyś, że bardzo chcę mieć chłopca i dziewczynkę, a ty pukałeś się w czoło.

- Casey, mieliśmy wtedy po szesnaście lat. Ją miałem poważniejsze sprawy na głowie, na przykład takie, jak powszechne rozbrojenie i możliwości osiedlenia się na Marsie, natomiast ty po prostu kochałaś dzieci i wciąż powtarzałaś, że w przyszłości będziesz z nimi pracować. Chciałaś im poświęcić swe życie, obronić je przed głodem i cierpieniem.

Poczuła nagły dreszcz zimna.

- Za dużo pamiętasz - skwitowała, pocierając dłonie.

- Czuję się, jakbym słyszała nasze rozmowy sprzed lat.

- Macie ochotę coś zjeść? - Spojrzał na Ashley, wciąż zapatrzoną w małych mieszkańców pokoju.

- Jadła w szkole, a ja dziękuję.

- To może coś do picia? Colę? Sok?

- Jasne.

Wziął do ręki jedną z lalek i podał ją dziewczynce.

- Chcesz się z nią pobawić, Ashley? Czuje się pewnie samotna na tej półce.

- Ma przyjaciół - odpowiedziała cicho, po krótkim wahaniu.
- To prawda, ale wiadomo, że lalki szybko nudzą się w swoim towarzystwie i do zabawy potrzebują ludzi.

- Jon, to bardzo cenna lalka - ostrzegła Casey.

- Dziecko warte jest więcej.

Ashley zastanawiała się, co ma zrobić. Żadna decyzja nie przychodziła jej łatwo. Casey wiedziała, dlaczego tak jest, ale za każdym razem krajało się jej serce. W końcu miała wyciągnęła ramiona.

- Cieszę się, że chcesz pomóc tej dzielnej dziewczynce. - Jon podał jej piękną lalkę o kasztanowych, kręconych włosach, ubraną w marynarski mundurek. - Będzie dziś lepiej spała, jeśli się nią zajmiesz.

- Lalki nigdy nie śpią.

- Naprawdę? - zapytał zupełnie serio.

- Obserwują to, co dzieje się w nocy. One wiedzą. Casey wstrzymała oddech i zacisnęła na moment powieki.

- Masz rację. Pilnują, żeby ci się nic nie stało - usłyszała głos Jona. - Sprawiają, że masz piękne sny.

Otworzyła oczy i zobaczyła, jak mała kurczowo tuli lalkę. Minie jeszcze sporo czasu, zanim sny

Ashley będą piękne i kolorowe, i żadna zabawka tego nie zmieni.

Jon zaprowadził gości z powrotem do salonu. Kiedy nalewał napoje, Casey rozsiadła się wygodnie na skórzanej kanapie, zaś Ashley usadowiła swoją nową towarzyszkę w rogu i prowadziła z nią cichą rozmowę. Casey postanowiła jej nie przeszkadzać, bo wiedziała, że dziewczynka potrzebuje czasu dla siebie, a lalka wyjątkowo ją zainteresowała.

Widać było, że gospodarz nie tylko wypoczywał, ale i pracował w tym pokoju, co było zrozumiałe z uwagi na żalostny stan pozostałych pomieszczeń. Casey zaciekawiała się, czym

Jon obecnie się zajmuje, i spróbowała przejrzeć niewielką stertę papierów na stole, lecz szybko zrezygnowała, bo charakter pisma jej przyjaciela nie poprawił się od czasów szkolnych ani na jotę. Jon przyniósł talerzyk precelków i postawił razem z plastikowym kubkiem przed Ashley.

- Powinieneś zostać lekarzem. - Casey wskazała stertę papierów. - Masz odpowiedni charakter pisma.

- Sprawdzasz mnie?

- Po prostu ciekawi mnie, czym się zajmujesz. Zaskoczyło ją, że usadowił się obok. Często w szkolnych

czasach siadali ramię w ramię, ale to było dawno.

Podał jej szklanekę i zarzucił ramię na oparcie kanapy.

- Przy węźle kolejowym na Wyspie Whiskey jakiś wandal zniszczył wiele kosztownych urządzeń i podłożył ogień - wyjaśnił. - Aresztowaliśmy już podejrzanego, ale miał alibi. To bardzo poważna sprawa i musimy przygwoździć sprawcę. Jeśli tam wróci, czeka go niemiła niespodzianka, bo wzmocniono strażę, którym pomagają psy.

- Mój wuj, Grogan Gravel, ma tam firmę.

- Pewnie o tym wie, ale możesz mu przekazać, żeby był czujny.

Zorientowała się, że Jon czeka, aż Casey wróci do wątku, który przerwali w barze.

- Pytałeś, dlaczego właśnie teraz wróciłam.

- Prawdę mówiąc, już coś o tym wiem.

- Naprawdę?

- Kiedy zmywałem naczynia w „Wyspie Whiskey”, Megan powiedziała mi, że pracowałaś w Chicago dla agencji na rzecz dzieci, ale to rzuciłaś.

- Podejrzewam, że nie omieszkałaś też zrobić wywiadu w Chicago - powiedziała zgryźliwie.

Nie zaprzeczył.

- Nikogo nie uprzedziłaś, tylko po prostu zniknęłaś. Nawet nie sprzątnęłaś biurka. - W jego głosie brzmiał wyrzut.

Opadła na oparcie i zamknęła oczy.

- To tak mnie zapamiętali? Najważniejsze jest to, że nie wyrzuciłam pudełka po chusteczkach i nie zebrałam spinaczy?

- Wręcz przeciwnie. Wszyscy mówili o tobie jak najlepiej i właśnie dlatego nie chcieli wyjawić powodów twojego zniknięcia.

- To bardzo proste. Dziecko, którym się opiekowałam, zginęło z rąk ojca, o którym, po wywiadzie środowiskowym, wydałam pozytywną opinię. Jon milczał. Dziękowała mu w duchu, bo słyszała już dość zapewnień, że to nie jej wina, co doprowadzało ją do furii.

- Masz rację, zawsze chciałam pomagać dzieciom. Kto wie, może dlatego, że sama potrzebowałam pomocy, kiedy dorastałam. Kiedy już posmakowałam życia, znalazłam pracę i poszłam do college'u. Udało mi się zdobyć stypendium i jakoś mi się wiodło. Ciężko pracowałam i zdałam egzaminy końcowe w Chicago. Zostałam tam, bo to dość blisko i mogła mnie odwiedzać Peggy, a kiedy nawiązałam kontakt z Megan, ona też wpadła do mnie kilka razy.

- Opowiedz mi o pracy.

- Zajmowała mi pięćdziesiąt, czasem sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Miałam pod opieką dziewięćdziesiąt rodzin i dodatkowo pomagałam w sądzie przy ustalaniu prawa do opieki. Byłam wykończona, ale wcale tego nie zauważałam. Całe życie ciężko pracowałam nie boję się wysiłku. - Uśmiechnęła się. - To tyle.

- Możesz przybliżyć mi sprawę, o której wspomniałaś?

- To całkiem proste. Miałam ocenić sytuację w rodzinie w trakcie rozwodu. Pani Collins twierdziła, że jej mąż jest

agresywny, że bije ją i dzieci, a najdotkliwiej najmłodszego Stevena. Pan Collins chciał dostać prawo do odwiedzin, na co żona się nie zgadzała. Lubiłam ją, za to on wzbudzał we mnie obawy, jednak nie potrafiłam ich sprecyzować.

- Były jakieś dowody, że się znęcał nad rodziną?

- Nic konkretnego. Żadnych orzeczeń lekarskich, żadnych uwag ze szkoły czy od sąsiadów, żadnych wizyt na ostrym dyżurze. Chłopca badał pediatra, ale nie znalazł niczego szczególnego poza kilkoma drobnymi bliznami, które można było łatwo wyjaśnić.

- Z tego, co mówisz, nie miałaś powodu zabronić ojcu widzeń z dziećmi.

- Ze Stevenem widziałam się tylko dwa razy. Na pierwszą wizytę przyszedłam spóźniona, bo miałam kłopoty z inną rodziną. Chłopak miał osiem lat i nie ufał dorosłym. Nie powiedział mi zbyt wiele, więc umówiłam się na drugie spotkanie. Znow się spóźniłam i tym razem nie dowiedziałam się niczego. Kiedy zapytałam, czy tęskni za ojcem i czy chce się z nim widywać, odpowiedział lakonicznie, że może być.

- Nie miałaś zbyt wielu wskazówek, by podjąć właściwą decyzję.

- W tym problem, że ją podjęłam. Przeczuwałam, że coś jest nie tak, bo wierzyłam pani Collins. Jej mąż był zbyt przebiegły i patrzył na dzieci w sposób, który przyprawiał mnie o dreszcze. Potrafił je uciszyć jednym spojrzeniem, a szczególnie przerażony był Steven. Tylko to mogłam zamieścić w swoim raporcie. Nie miałam żadnego konkretnego dowodu, tylko przecucie. Wiesz doskonale, na ile się to przydaje w sądzie - zaśmiała się sztucznie. - „Przykro mi, panie Collins, ale wyznaczonemu przez sąd pracownikowi opieki społecznej nie podoba się sposób, w jaki pan patrzy na dzieci. Wizyty zabronione”.

- Wygląda na to, że zrobiłaś, co mogłaś.
 - Steven umarł w wyniku uszkodzenia mózgu w pierwszy weekend, który spędził z ojcem. Collins trafił za kratki, a Steven do nieba, jeśli jest takie miejsce. Pani Collins chodzi do psychiatry, a ja na zawsze porzuciłam tę pracę.
 - Nic więcej nie mogłaś zrobić.
 - Mogłam. Gdybym pracowała nie sześćdziesiąt, a osiemdziesiąt godzin w tygodniu, być może udałoby mi się nawiązać kontakt z chłopcem. Gdybym mogła zobaczyć się z nim nie dwa, a dziesięć razy, kto wie? Może wtedy zdobyłabym jakieś dowody dla sądu?
 - Jesteś tylko człowiekiem, Casey.
 - System nie działa jak należy.
 - I dlatego rzuciłaś pracę? Nie chciałaś mieć nic wspólnego z wadliwym systemem?
 - Mniej więcej.
 - Są przecież inne możliwości, na przykład prywatne agencje, które zapewniają więcej czasu dla podopiecznych.
 - Zdecydowałam, że tego nie zrobię - westchnęła z rezygnacją.
 - Więc wolisz prowadzić bar?
 - Gdzie jedyną decyzją jest to, czy pokroić cytrynę w półksiężycy, czy też w krążki. - Zmusiła się do uśmiechu. - Nie, w zeszłym tygodniu raz zawahałam się, czy dać ulubionemu klientowi większą porcję deseru.
 - Marnujesz dar.
- Uśmiech zniknął z twarzy Casey. Ogarnęła ją złość, której nie zdołała opanować.
- Ty nic nie rozumiesz!
 - Wiem, że kiedyś miałaś marzenia, ale teraz już o nie nie walczysz.
 - Na miłość boską, Jon! Wydaje ci się, że mnie znasz?!

Minęły całe lata! Myślisz, że masz prawo krytykować moje decyzje?!

Zamknął jej dłoń w swoich dłoniach.

- Ależ, Casey, ja cię nie krytykuję. Próbowала wyszarpnąć rękę, ale nadaremnie.

- Nie masz pojęcia, przez co przeszłam. To ciągłe poczucie winy, te poranki, gdy nie znajdowałam powodu, żeby wstać z łóżka. Nic o tym nie wiesz, bo zupełnie mnie nie znasz. Jesteśmy sobie obcy!

- Kłóćcie się? - odezwała się nagle Ashley.

- Nie, nie kłócimy się, tylko głośno dyskutujemy. Dziewczynka wróciła do rozmowy z lalką.

- Nigdy nie będziemy sobie obcy - powiedział cicho Jon. Milczała. Była zmęczona grą, którą prowadził, choć nie

znała jej reguł. Nic szczególnego nie trzymało go w Cleveland, a ona była tylko osobą z przeszłości.

Może chciał sobie trochę urozmaicić szarą codzienność?

Prawie pewna, że tak jest, podniosła oczy. Wszystkie podejrzenia rozplynęły się jak mgła.

Delikatnie uniósł jej podbródek.

- Casey, znam cię tak samo dobrze, jak ty siebie znasz i niczego nie zapomniałem. Pamiętam pewien poranek ponad dziesięć lat temu, kiedy się dowiedziałem, że zniknęłaś z miasta. To było tak, jakby ktoś zgasił słońce.

Nagle zabrakło jej słów.

Jon uśmiechnął się tym ciepłym, ufnym uśmiechem, który Casey uczyła się rozpoznawać.

- Więc ja też wyjechałem. Wiedziałem, że kiedyś wrócisz i chciałem na ciebie czekać, lecz nie myślałem, że to potrwa tak długo. Musiałem się jednak bardzo wiele nauczyć i kiedy byłem wreszcie gotów do spotkania z tobą, dowiedziałem się, że wyszłaś za mąż.

- Jon, chyba nie próbujesz mi powiedzieć, że czułeś do mnie coś więcej niż przyjaźń...? - przerwała, zakłopotana.

- Czekałem wiele lat, aż oboje do tego dorośniemy..

- Minęło dziesięć lat!

- Widocznie późno dojrzewaliśmy.

Zacząła wątpić, czy rzeczywiście rozumie mężczyzn. Jon był jej najlepszym przyjacielem, jedyną osobą poza siostrami, z którą mogła rozmawiać o wszystkim. Ponieważ seks nie wchodził w grę, więc nie musiała flirtować ani udawać, po prostu była sobą.

Sądziła, że z nim jest tak samo.

- Nie brałaś takiej możliwości pod uwagę? Pokręciła głową.

- Megan wie.

- Powiedziałaś Megan, a mnie nie?

- Nie musiałem jej tego mówić. Ona, w przeciwieństwie do ciebie, nie unikała prawdy.

- Może ja niczego nie unikałam, tylko ty zbyt starannie ukrywałeś swoje uczucia?

- Słabo mi to wychodzi. Myślę raczej, że się bałaś.

- Próbujesz mi powiedzieć, że się w tobie kochałam?

- Nie. Chodzi o to, że dopóki byłem tylko przyjacielem, mogłaś dzielić się ze mną każdą swoją myślą.

To było takie wyjątkowe, że nie chciałaś tego stracić.

- Wybacz, ale to mi wygląda na psychologizowanie.

- Doprawdy? A ja myślałem, że to raczej męskie zwierzenia - powiedział łagodnie.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Jeśli mówisz o tym, o czym myślę, to źle trafiłeś.

- Byłem ci winien wyjaśnienia, lecz od ciebie w zamian niczego nie oczekuję. Uważam jednak, że nie powinniśmy siebie tracić. Zaczniemy tam, gdzie skończyliśmy i zostaniemy

znów przyjadółni. Nie wywierajmy na siebie żadnej presji, po prostu cieszymy się wspólnymi chwilami. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Zgoda?

Casey zdziwiła się, że po swoim wyznaniu Jon nie dąży do bliższego związku i chce się zadowolić jedynie przyjaźnią.

- Pozwól jednak, że pokażę ci, jak może być, gdyby... - Przyciągnął ją do siebie wprawnym ruchem. Nim zdążyła zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, poczuła na ustach jego ciepłe i miękkie wargi. Usta Jona delikatnie pieściły jej wargi. Zabrakło jej tchu, bo miała wrażenie, że jej ciało nie należy już do niej. Tkwiła w zawieszaniu między młodą dziewczyną, jaką się czuła, a kobietą, którą miała szansę się stać.

Oderwał usta od warg Casey równie niespodziewanie, jak zaczął pocałunek, i uśmiechnął się czarująco.

- Nadzwyczajne, jak na wstępny pokaz naszych możliwości - skomentował.

- Do diabła, chcesz mnie zdenerwować?

- Może lepiej odprowadzę cię do drzwi. - Wstał.

Nie mogła wykrztusić więcej ani słowa. Kołatało się w niej tyle emocji, że nie potrafiła ich ogarnąć.

- Ashley, chodźmy.

Dziewczynka wstała i podała lalkę Jonowi.

- Wiesz co, jeśli obiecasz dobrze się nią opiekować, możesz ją na jakiś czas pożyczyć - powiedział ciepło. - Może spodoba ją się jej wakacje?

Ashley pokręciła głową.

- Nie, będzie tęskniła za przyjaciółmi. Przyjdę tu jeszcze.

- Dobry pomysł. Kiedy tylko będziesz chciała.

Casey rozważała kupno lalki dla małej. Może pomogłaby jej odnaleźć kolorowe sny?

- Jak będziesz miał wolną chwilę, wpadaj do baru - po-

169

wiedziała na odchodnym. - W piątki serwujemy pierogi. Jeśli nie przyjdiesz za późno, zawsze mnie tam spotkasz. - Będę pamiętał.

Zza szyby samochodu obejrzała się w stronę domu. Jon wciąż stał na ganku. Uniosła rękę na pożegnanie. A on się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Okna gabinetu ojca Brady'ego wychodziły na niewielki ogród z fontanną i kamienną ławką. Wiosną kaczęce rozświetlały zieleni niczym małe słoneczne tarcze, latem odurzały wonią róże, a jesienią złościły się chryzantemy. Gabinet był mały i mroczny, ale Iggy zawsze powtarzał, że kiedy odsłania okna, świat należy do niego.

Niccolo stał przy oknie i podziwiał pokryty świeżą warstwą śniegu świat. Wdychał doskonale znany zapach zakurzonych książek, cytrynowego wosku do mebli, starych skórzanych obić foteli i rozmyślał nad przyszłością.

- Pfesprzejdźciu na emeryturę zamierzasz przenieść się na południe? - zagadnął proboszcza. - Gdzieś, gdzie jest cieplej?

- Staram się o tym nie myśleć. Wciąż mam tu wiele do zrobienia.

- Z tego, co widzę, wszystko jest w doskonałym porządku. Coraz więcej wiernych przychodzi na msze.

Iggy nalał kawę z dzbanka. Mężczyźni spotykali się na plebanii kilka razy w tygodniu, potem każdy z nich wyruszał do codziennych obowiązków. Ojciec Brady rozumiał, jaką przyjemność sprawiają Nickowi rozmowy o istocie wiary, o przebaczeniu i o kierowaniu parafią.

- Mamy pewne problemy - westchnął - ale to nic wielkiego. Chodzi o uporządkowanie wszystkich spraw w Świętej Brygidzie.

- Na przykład jakich?

- Cóż, w zeszłym miesiącu zabrałem się do parafialnego archiwum. Ochotnicy zajęli się selekcją i katalogowaniem do-kumentów, ale nadszedł moment, kiedy sam muszę przejrzeć część papierów. Niektóre papiery mają charakter osobisty i powinienem sprawdzić, czy wolno mi je udostępniać. Niccolo podszedł do biurka i wziął filiżankę kawy.

- Co to za dokumenty? - spytał z zaciekawieniem.

- Chodzi o pamiętnik jednego z pierwszych księży w Świętej Brygidzie, Patricka McSweeneya.

- To szczęście dla kościoła znaleźć taki dokument.

- Być może. Odkryto go całkiem niedawno. Podejrzewam, że jedyną osobą, która zna ten pamiętnik, był sam McSweeney.

- Więc go nie czytałeś?

- Jak ty to robisz, że tak wiele spraw mi ułatwiasz? Chyba potrafisz zaglądać w moje myśli.

Niccolo zrozumiał, że dał się złapać w jedną z pułapek Iggy'ego.

- Chcesz, żebym to ja go przeczytał? Dlaczego?

- Bo sam nie mam czasu, a ponieważ chodzi o zapiski kapłana, nie mogę zlecić tego obcej osobie. Możliwe, że ojciec McSweeney tylko opowiada, jak wyglądała jego praca, skrupulatnie przy tym notując wszystkie, choćby najdrobniejsze wydatki. Może się jednak okazać, że potraktował swój pamiętnik jako rodzaj spowiedzi, gdzie wyjawiał wszystkie atakujące go pokusy oraz popełnione grzechy. Jeśli tak, będę musiał się zastanowić, co z tym zrobić.

- Z całą pewnością nie zniszczysz dziennika, przecież to historyczny dokument.

- Nie zniszczę, ale może łatwo zawieruszyć się pod stosami innych papierów. - Iggy upił łyk kawy. - Jesteś właściwym człowiekiem do tego zadania. Interesujesz się Irlandczykami

z Wyspy Whiskey, a przodkowie rodziny Donaghue'ów, która tak cię zajmuje, mogli należeć do wiernych McSweeneya.

- Tomek Sawyer to aniołek w porównaniu z tobą. Iggy uśmiechnął się szeroko.

- Zatem zrobisz to, Nick? Okażesz mi ogromną pomoc, a przy tym jestem pewien, że zaciekaw cię ta lektura.

Niccolo powiedział przyjacielowi o swoim odkryciu, jakiego dokonał w lesie obok przystani. Uważał, że Iggy powinien o tym wiedzieć, gdyż był proboszczem rodziny Donaghue'ów. W zamian stary ksiądz przyznał, że złota spinka do mankietów z niczym mu się nie kojarzy.

- O Wyspie Whiskey nie napisano zbyt wiele - stwierdził.

- Sprawdzalem w towarzystwie historycznym, ale myśle, że Irlandczycy tak byli zajęci walką o przetrwanie, że zupełnie nie troszczyli się o to, by przyszłym pokoleniom zostawić świadectwa swoich czasów. Nie ma też nic o rodzinie Donaghue'ów.

- Niemożliwe, przecież dzieje Irlandczyków to historia katolików, a księża zawsze skrupulatnie prowadzili kroniki parafialne - zauważył Iggy. - Masz jednak w tym rację, że życie nie rozpieszczało imigrantów. Choroby, wyczerpanie pracą, głód, śmierć. I tak ów los był lepszy od tego, który ich czekał w rodzinnym kraju. Mieli ogromną wiarę i dużo optymizmu, i dzięki temu przetrwali najgorsze. - Nie wspominając o czternastu barach.

- W trudnych sytuacjach ludzie potrzebują zapomnienia.

- Iggy podszedł do przeszklonej biblioteczki, wspiął się na palce, zdjął z górnej półki oprawiony w skórę wolumin i położył go na stole.

- Przejrzysz to dla mnie?

Nick był zbyt ciekawy pamiętnika, żeby odmówić.

- Przepiszesz go na nowo? - zapytał stary kapłan.

- To żart?

- Pamiętnik ma już ponad sto lat i atrament wyblakł. Być może będziesz ostatnią osobą, która pozna treść tego tomu. Czas nie działa na naszą korzyść. Zanim znajdę kogoś, kto się tego podejmie, może być za późno.
- To mozolna i czasochłonna praca.
- Wiem, ale proszę cię o to, bo jesteś tym żywo zainteresowany, a poza tym masz komputer. Oddasz kościołowi wielką przysługę, a możliwe, że sam odniesiesz z tego ogromne korzyści.
- Niby jakie?
- Poznasz życie innego kapłana, Niccolo. Człowieka, który walczył z wątpliwościami podobnymi do twoich. Być może w ten sposób lepiej zrozumiesz-samego siebie.
- Czytałeś ten pamiętnik, prawda?
- Tylko fragmenty, ale wiem, że to coś więcej niż zapis wydatków i przychodów. Ojciec McSweeney był wrażliwym i mądrym człowiekiem, i na pewno nie rozczaruje cię to, co tu znajdziesz. Nie było chyba rzeczy, której Niccolo nie zrobiłby dla Ig-gy'ego, tak wiele mu przecież zawdzięczał. Zerknął na dziennik. Był gruby i miał format szkolnego zeszytu. Zważył w ręku jego ciężar.
- To zajmie sporo czasu - rzekł. - Niełatwo będzie odcyfrować ręczne pismo. - Przekartkował kilka pierwszych stron, zapisanych drobnymi, starannie wykaligrafowanymi literami. - Masz rację, atrament prawie całkiem wyblakł.
- Przepisz tyle, ile zdołasz, i nie spiesz się. Jestem pewien, że McSweeney byłby ci wdzięczny. Niccolo odłożył pamiętnik. Zastanawiał się, czy ksiądz przelewał na papier swoje myśli i uczucia z nadzieją, że ktoś je kiedyś przeczyta? Czy nie miałby nic przeciwko temu, żeby obcy poznali jego troski i radości?

- Czy ty aby nocami nie obmyślasz, jak zatrzymać mnie przy Kościele? - rzucił podejrzliwie.
- Nie ma takiej potrzeby - odparł Iggy z dobrotliwym uśmiechem - przecież ani trochę się od niego nie oddaliłeś.

Kiedy Niccolo wrócił do domu, na schodach ganku czekała na niego brygada pomocników. Nie pamiętał, jak to się stało, że przyjął do pracy czterech chłopców. Prawdę mówiąc, był całkowicie pewien, że wcale ich nie zatrudnił.

Przez kilka dni Josh i Winston kręcili się przed domem Niccola, aż zaprosił ich do środka. Po tygodniu przychodzili codziennie po szkole i spędzali u niego niemal całe soboty.

Pewnego dnia przyprowadzili Joachima, wysokiego, dobrze zbudowanego wyrostka o ciemnych włosach i zarośniętych policzkach, który z dumą obnosił wytatuowanego na szyi lamparta. Na koniec dołączył czwarty, ciemnowłosy Terek, który wyróżniał się z tej gromadki schludnym wyglądem. Cała czwórka wyglądała jak z plakatu Benettona, brakowało jedynie Azjaty. Na początku przychodzili pogapić się w telewizor i doszczętnie ogołocić lodówkę. Po kilku dniach oglądania powtórek seriali i prowadzenia ostrych sporów w trakcie teleturniejów, chłopcy zaczęli podglądać Niccola przy pracy. Najpierw tylko przeszkadzali. Winston buntował się z byle powodu. Josh, jak zwykle niezdecydowany, zawsze plątał się tam, gdzie akurat nie powinien, a Joachim, łagodny olbrzym, zwykle zawadzał w przejściu. Grzeczny Terek starał się opanować ten chaos, ale tylko pogarszał sytuację.

W końcu Niccolo kupił duży zestaw młotków, obcęgow, śrubokrętów oraz innych narzędzi, potem kazał chłopcom przysiąc, że nie będą mu wchodzić w drogę i każdemu z nich wyznaczył zadanie. Jak przystało na nastolatków, lubili wszyst-

ko niszczyć, więc zdrapywanie starych tynków ze ścian stało się ich ulubionym zajęciem. Uwinęli się z pracą w okamgnieniu.

Później przyszła kolej na podłogi. Zrywanie starych desek szło im znakomicie, gdy jednakże było trzeba, potrafili zachować ostrożność. Niccolo odkrywał przed nimi tajniki stolarskiego fachu i uczył, że łatwiej jest niszczyć, niż tworzyć. Chętnie go słuchali.

Okazało się, że Winston ma szczególne zdolności manualne. Z natury porywczy, podczas pracy odznaczał się niezwykłą cierpliwością. Obserwował ruchy Niccola i choć udawał, że o nic nie dba, uważnie słuchał wskazówek.

Tego dnia, mimo dojmującego zimna, gromadka czekała jak zwykle na schodach. Do czwórki chłopców dołączyła ciemnoskóra dziewczynka i kiedy Niccolo się zbliżył, Winston niedbałym gestem wskazał na nią:

- Moja siostra Elisha.
- Witaj, Elisho! - Niccolo skinął głową. W przeciwieństwie do brata, dziewczyna odpowiednio się ubrała. Wyglądała zabawnie w żółtej puchowej kurtce z naciągniętym na głowę kapturem i w pomarańczowych zimowych butach.
- Ona chce popatrzeć, co robimy - wyjaśnił za nią Winston.
- Serdecznie zapraszam - uprzejmie zwrócił się do Elishy Niccolo.
- A ty gdzie byłeś tak długo? - burknął Winston z pretensją w głosie. - Jest diabelnie zimno.
- Nie spóźniłem się. - Niccolo zerknął na zegarek. - To wy jesteście za wcześnie.
- Nie mieliśmy nic lepszego do roboty.
- Dziwię się, że w soboty nie odsypiacie szkoły. Joachim przeciągnął się i głośno ziewnął.

- W domu przewala się kupa małych dzieciaków. Nie da rady spać, kiedy łażą ci po głowie.
- Wstajemy wczesnie na modlitwę - odezwał się cicho Terek.
- Chwalebny zwyczaj - pochwalił z uśmiechem Niccolo.
- Mama robi na nocnej zmianie - tłumaczył Winston. - Jak rano wraca, to budzi Elisę, żeby położyć się w jej łóżku.
- A ja budzę wtedy Winstona - dodała niskim jak na dziewczynkę głosem Elisha. - Dlaczego ma spać, jak ja nie mogę?
- Masz rację. - Niccolo otworzył drzwi. - Zrobię wam gorącą czekoladę, żebyście się rozgrzali. Nie podziękowali, bo przecież nastolatkom nie wypada robić pewnych rzeczy, ale kiedy wchodzili do środka, Niccolo zauważył, jak Winston pilnuje, żeby każdy dokładnie wyczyścił buty. Skierowali się do kuchni, po drodze objaśniając wszystko dziewczynie.
- Nick wiedział, że sama czekolada nie wystarczy. Młodzi %co prawda nie wyglądali na niedożywionych, ale doskonale pamiętał, że w ich wieku był bez przerwy głodny, nieważne jak dużo i jak często jadł.
- Francuskie tosty czy naleśniki? - rzucił, nalewając mleko do garnka.
- Jadłem śniadanie - zaznaczył Terek.
- Założę się, że nie masz nic przeciwko powtórcie. Joachim stał w drzwiach kuchni, jakby się bał, że kiedy wejdzie dalej, zabraknie miejsca dla innych. ~ Ja lubię wszystko.
- Nigdy nie próbowałem francuskich tostów - przyznał Winston swoim nonszalanckim tonem.
- Niech więc będą tosty - zdecydował Niccolo z nadzieją, że starczy chleba.

Harmider przerwało pukanie do drzwi i Joachim poszedł otworzyć.

Gdy Niccolo wyjmował z lodówki boczek, do kuchni weszła Megan.

- O, świetnie! Mnie też nakarmisz? - zażartowała, wcale niezdziwiona osobliwą gromadką.

Nie widzieli się od czasu wspólnej kolacji, lecz Nick często

o niej myślał. Teraz jednak, w obecności innych, musiał kontrolować emocje.

- Pod warunkiem, że mi pomożesz.

- W gotowaniu dla całej armii? Myślę, że dam radę. Niccolo przedstawił ją dzieciom. Nie spodziewał się z ich

strony zachwytu i nie pomylił się. Megan-rozumiała, że jest dla nich intruzem i nie miała im za złe niemal jawnej niechęci. Tylko Joachim przywitał ją grzecznym uśmiechem.

- No, dosyć prezentacji - uciał Nick. - Zabieramy się do francuskich tostów.

- Hm, widzę, że przyszłam w najbardziej odpowiednim momencie.

Głowił się, jaka jest prawdziwa przyczyna tej niespodziewanej wizyty. Ich relacje obfitowały w tyle sekretów i niedomówień. No cóż, jeśli przybyła tu ot tak, w odwiedziny, ich związek wkroczyłby w zupełnie inny etap...

Z przygotowaniem śniadania uwinęli się tak sprawnie, jakby robili to razem od dawna. Dzieciaki obsiadły niewielki stół, a Niccolo i Megan stanęli przy zlewie. Przypomnił mu się wieczór w jej domu, gwałtowne pożądanie, którego nie potrafił poskromić, i paraliżujący strach przed pocałunkiem. Znowu czuł słodką woń włosów i kuszące ciepło pełnego, kobiecego ciała. Przez ponad dziesięć lat ignorował swoją seksualność

i obawiał się, czy stać go chociaż na tyle samokontroli, co chłopców siedzących przy stole.

- Co cię tu sprowadza? - zagadnął, usiłując nadać głosowi normalne brzmienie.
- Nie przyszłabym, gdybym wiedziała, że urządzasz dobroczynne śniadanie.
- To świetne dzieciaki.
- Wiem, że tak myślisz - uśmiechnęła się.
- A ty nie?
- To dzieci. Trzeba je pilnować.
- Udajesz surową, a przy powitaniu to ty ośmieliłaś Joachima.
- Ten chłopak złamie serce niejednej dziewczynie.
- Podobają ci się postawni bruneci?
- Czasami.
- Nie powiedziałaś, dlaczego tu jesteś. Oczywiście cieszę się, że przyszłaś...
- Wzięłam sobie dziś wolne i chciałam pogadać, jednak chyba nie trafiłam najlepiej.
- Rzeczywiście ci młodzi ludzie są nieco absorbujący, ale z' pewnością znikną po następnym posiłku. Może zostaniesz i nam pomożesz? Potem spokojnie porozmawiamy.
- Pomoc? W czym?
- Będziemy uszczelniać poddasze. Jeśli nie potrafisz, pokibicujesz nam.
- Potrafię wiele rzeczy... ale skąd wytrzasnąłeś tych młodocianych robotników?
- Magia.
- To znaczy?
- Hokus-pokus, czary-mary i zjawili się. Kolejni wyskakują jak króliki z cylindra. Elisha przyszła tu po raz pierwszy. Jak tak dalej pójdzie, będę zmuszony zgłosić się po wsparcie żywnościowe do jakiejś fundacji.
- Czyli to zupełnie obce dzieci? - Megan zmarszczyła brwi.

179

- Już nie.
 - Mówiłeś, że potrzebujesz czasu, aby pomyśleć nad przyszłością, a w takich warunkach to raczej niemożliwe.
 - Nawet nie próbuję myśleć, kiedy oni są tutaj.
 - Wiedziałam, że bywasz mięczakiem, ale zastanawiałam się, do jakiego stopnia.
 - Czy mięczak oznacza tyle, co miły facet?
 - Blisko, bardzo blisko! - uśmiechnęła się promiennie.
 - A to niedobrze?
 - Co masz z tego, że im pomagasz?
 - Lubię ich obecność. Ten dom tak samo potrzebuje śmiechu, jak nowych tynków i kabli.
- Towarzystwo, po spalaszowaniu francuskich tostów, wstało od stołu.
- Więc jak? Zostajesz? Byłoby świetnie.
 - Mówiłam serio, potrafię wszystko. Narobię ci wstydu.
 - Chciałbym to zobaczyć.
 - Nie ma sprawy.
 - Szkoda, żebyś pobrudziła taki ładny sweter. Wiesz co, dam ci jakąś starą koszulę.
 - Pokaż mi, gdzie mogę się przebrać.
- Przyszło mu do głowy, że widok Megan w jego ubraniu będzie ogromną pokusą dla zmysłów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W ciągu dwóch godzin Elisha tak przywiązała się do Megan, że nie odstępowała jej ani na krok, natomiast Winston okazywał nieufność jedynie do chwili, kiedy fachowo podtrzymała mu płytę izolacyjną, by mógł przymocować ją do stropu. Reszta towarzystwa przekonała się do niej, gdy zobaczyła, jak świetnie zna się na rzeczy, oraz że nie poucza ani nie strofuje, mimo że popełniają błędy.

Wczesnym popołudniem izolacja poddasza była gotowa. Podczas pałaszowania zupy warzywnej i zapiekanych kanapek z serem dzieci rozprawiły o dalszych pracach. Potem pożegnały się i wyszły, a Megan i Niccolo mogli wreszcie spokojnie porófcemawiać.

- Miałem dziś masę innych pilnych spraw, ale oni uwielbiają poddasze. Mam wrażenie, że czują się tam jak w swoim klubie.
- To dlatego je uszczelniałeś i wyłożyłeś gipsowymi płytami?
- Strych wymagał izolacji. A płyty? - Wzruszył ramionami. - Cóż, po prostu wybieram bezpieczne materiały. Nie chcę ich narażać na działanie ołowiu lub azbestu...
- Oddają się pracy z wielkim zapałem.
- Są wspaniali. A skoro o tym mowa, gdzie zdobyłaś takie umiejętności? Chyba urodziłaś się z młotkiem w ręku. Słyszałem, jak tłumaczyłaś Elishie zasady działania elektryczności. - Przypadkowo otarł dłonią o jej biodro, a ona nie odsunęła się ani o milimetr.

- Od wielu lat mam cały bar na głowie, więc sam wiesz, jak to jest. A to trzeba naprawić dach, a to woda kapie... Próbowałam wszystkiego po trochu, tynkowania, hydrauliki, elektryki...

- Jesteś fantastyczna, i bardzo dzielna.

Spuściła wzrok zawstydzona, bo pochwały zawsze ją peszyły.

- Rozmawiałaś z ich rodzicami?

- Powinienem to zrobić, ale wydaje mi się, że w domu tylko zawadzają. Matka Winstona i Elishy pracuje na dwie zmiany i pewnie jest zadowolona, że mają ciepły kąpiel i coś do zjedzenia. Joachim ma sześćcioro rodzeństwa, mówi o rodzinie jak najlepiej...

- Ale rodzice są zbyt zabiegani, żeby poświęcać mu trochę czasu - dokończyła Megan. Zdążyła poczynić już pewne obserwacje.

- Rodzice Tereka są wymagający, ale wciąż harują w swoim sklepie. Spłacają kredyt i nie mogą nikogo przyjąć do pomocy... samo życie. Tylko on dzwoni do domu i pilnuje, żeby się nie spóźnić. Najbardziej martwi mnie Josh, bo nigdy o sobie nie mówi.

- Gratuluję, masz więc własną młodzieżową grupę i znów możesz realizować swoje powołanie.

Niccolo zamilkł, a Megan ugryzła się w język. Nie miała zamiaru go krytykować, ani tym bardziej z niego drwić, niestety zabrzmiało to tak, jakby zrobiła obie te rzeczy naraz.

- Słuchaj, nie miałam na myśli...

- Nie, wszystko w porządku. Tak naprawdę nigdy nie miałem czasu, by skupić się na wybranych osobach, które najbardziej potrzebowały rady lub pomocy. - Wziął do ręki dzbanek z kawą i spojrzał pytająco na Megan. Przytaknęła, więc napełnił dwie filiżanki i postawił je na stole. - Im lepiej mi szło,

tym zgromadzenie stawało się liczniejsze i tym mniej miałem czasu, żeby angażować się w życie konkretnych ludzi. Nie pamiętałem nawet ich imion.

- A teraz masz czas? - Zauważyła, że w jej filiżance zostawił sporo miejsca na śmietankę.

- Tak, teraz mam ten komfort.

Megan usłyszała w głosie Niccola rzewny i smutny ton, świadczący o dojmującym poczuciu samotności. Były ksiądz mówił o swej dawnej pracy, ale tak naprawdę opowiadał o tym, że nie udało mu się nawiązać prawdziwych i bliskich kontaktów z ludźmi.

- Nick, ty lubisz te dzieciaki.

- A dlaczego miałbym ich nie lubić?

- Nie każdy by tak z nimi postępował.

- Ty na pewno tak.

- Ja? - obruszyła się. - Też coś! Nic o nich nie wiesz, podoba im się twoje poddasze, i tyle.

- Przyznaj, że dobrze się bawiłaś. - Niccolo przykrył swoją *eką jej dłoń.

- Zostałam, bo chciałam z tobą porozmawiać. To jedyny powód.

- Mogłaś wyjść i wrócić.

- Jest zimno, a nie wiedziałam, czy Charity zapali.

- Zabawne, ale nie zauważyłem, żeby poczciwa Charity miała problemy z ruszaniem spod mojego domu. Może czuje się tu jak u siebie?

Dotyk jego palców sprawiał Megan niewymowną przyjemność.

- Widocznie miałam szczęście.

- Czy rzeczywiście jesteś cyniczna, czy tylko udajesz? Była cyniczna, lecz Niccolo o duszy kapłana dotychczas

tego nie zauważył. Westchnęła i sięgnęła po filiżankę.

- Właśnie dlatego przyszłam. - Powoli sączyła aromatyczny, mocny płyn. - Casey ma przyjaciela, Jona Kovatsa, który pracuje w biurze prokuratora okręgowego. Opowiedział jej o pożarze na Wyspie Whiskey i o tym, że poszkodowana firma wzmocniła strażę.

Ponieważ Niccolo nadal milczał, mówiła dalej:

- Ta sprawa wyszła przypadkowo w trakcie rozmowy. Powiedziałam jej o twoich wyprawach na Wyspę i o zdjęciu, które znalazłeś.

- I co ona na to?

Nie potrafiła powtórzyć słów siostry, doskonale jednak pamiętała, jak Casey była na nią wściekła, że ukrywała ważne fakty.

- Nie ubóstwia Rooneya, ale bardzo się przejęła.

- Myślisz, że to zrobił twój ojciec?

- Już wcześniej sporo narozrabiał, prawda? A skoro wciąż żyje, można się spodziewać dalszych problemów.

- Powiedziałaś, że zwykł znikać na jakiś czas z baru, aż w końcu odszedł na dobre. Czy kiedykolwiek był agresywny?

- Nigdy nie podniósł na nas ręki. Pamiętam, że brał udział w kilku bójkach, ale jako rozjemca.

- Czy kiedykolwiek szukał zadośćuczynienia?

- Wiesz, wyłazi z ciebie kaznodzieja.

- Na szczęście nie zawsze - odparł z ciepłym i wielce zagadkowym uśmiechem.

Uświadomiła sobie, jak bardzo jest spięta, skoro nie potrafi odpowiedzieć tym samym.

- Nie był człowiekiem, który musiał wyrównywać rachunki, Nick. To wiem na pewno. Większość czasu tkwił w swoim zamkniętym świecie i nie sędzę, by w ogóle zwracał uwagę na to, co działo się wokół niego.

- Całkiem niegłupie podejście, jeśli się nad tym zastanowić.

- Nie zastanawiałam się nad tym od lat. Wyrzuciłam Roo-neya z pamięci dawno temu. Byłam przekonana, że umarł! - Złapała się na tym, że podniosła głos, więc szybko opanowała się i zaczerpnęła tchu. - Teraz znów muszę przywyknąć do myśli, że mój ojciec żyje. To nie jest łatwe, Nick.

Niccolo cierpliwie czekał z wyrazem zrozumienia na twarzy.

- A niech cię diabli! - Jej ręce zadrżały. - Nie bądź taki miły, dobrze? Wszystko utrudniasz.

- Co ci utrudniam, Megan?

- Chcę, żebyś mnie zabrał tam, gdzie twoim zdaniem mieszka Rooney.

Nie zareagował ani nie pogratulował Megan jej dojrzałej decyzji, tylko nadal czekał.

- On jest moim ojcem - wydusiła z siebie w końcu. - To nie znaczy wiele, ale zawsze coś. Nie mogę tak po prostu wymazać go z pamięci. Być może należy coś dla niego zrobić... chociaż bardzo w to wątpię, przecież wszyscy próbowali i nikomu się nie udało. Czy wiesz, że wuj Frank zabierał go na spotkania AA i udawał, że to on ma problem alkoholowy? Nie można pomóc komuś, kto tego nie chce.

- Jesteś przekonana, że Rooney nie chciał pomocy?

- Myślę, że prawdziwy świat był dla niego zbyt okrutny.

- Megan, jesteś silną kobietą. Patrzenie na świat oczami kogoś, kto jest słaby, może sprawiać ci kłopot...

- Do cholery, życie polega na tym, że dokonuje się wyborów! Ja dokonałam swoich, a Rooney swoich.

- Ale teraz chcesz się przekonać, czy zdołasz na niego wpłynąć.

- Chcę mieć pewność, że jest bezpieczny, a także ostrzec go, żeby uważał, co robi. To wszystko. Robię to dla innych, nie dla siebie. Casey się zamartwia, a Peggy też w końcu

o wszystkim się dowie. - Megan potrząsnęła głową i jej oczy wypełniły się łzami. - Drań - szepnęła cicho.

Niccolo nie próbował jej pocieszać, bo wiedział, że nie życzyłaby sobie tego. Milczał, póki nie otarła łez i nie doszła do siebie.

- Byłem tam pięć czy sześć razy, Megan, ale nie zauważyłem żadnych śladów jego obecności.

Zostawiłem mu kartkę z adresem i telefonem, lecz wciąż tam leży nieruszona.

- Zdjęcie też?

- Razem ze starym wycinkiem prasowym o Jamesie Si-meonie. Mówi ci coś to nazwisko?

- Nic.

- Musi coś znaczyć, ale jeszcze tego nie sprawdziłem.

- Możliwe, że Rooneya nigdy tam nie było. Może ktoś znalazł tę fotografię... - mówiła to bez przekonania.

- Czy wtedy czułabyś się lepiej? - Nie odpowiedziała, zastygła w swym bólu. - Zastanów się nad odpowiedzią. - Delikatnie ujął jej dłoń.

- Masz teraz czas, żeby go poszukać?

- Oczywiście.

- Nick, myślę, że twoje życie nie zmieniło się aż tak bardzo. Opiekowałeś się ludźmi i nadal to robisz. Rzucasz wszystko, żeby pomóc.

- Niektóre rzeczy bardzo się zmieniły, Megan.

Od strony jeziora wiał silny wiatr, a krajobraz spowiła cienka warstwa iskrzącego się w słońcu śniegu. Wyszli z samochodu. Niccolo wziął Megan pod ramię i poprowadził ścieżką w głąb lasu.

Bywają lepsze powody spacerowania z kobietą pod rękę, pomyślał. Uwielbiał towarzystwo Megan i chciał, żeby ten dzień trwał jak najdłużej. Co prawda wolałby pić z nią dobre

wino, przyrządzać smakowite jedzenie i rozmawiać, ale mimo to czuł się wspaniale.

Zatrzymała się i zwróciła twarz ku słońcu.

- Pewnego zimowego weekendu wybrałam się na Wyspy Dziewicze, ale zupełnie nie mogłam się tam zaaklimatyzować. Zasłoniłam story i wolałam siedzieć w pokoju hotelowym, bo tamtejsze słońce świeciło nienaturalnie jasno.

Celowo pominęła informację, z kim i po co tam pojechała, ale Niccolo i tak z przykrością pomyślał, że Megan na pewno nie wybrała się na Wyspy Dziewicze sama...

- Potem przywykłaś? - zapytał możliwie obojętnym tonem.

- Mój... znajomy tak się na mnie zezłościł, że niemal cały weekend spędziłam sama.

- Nickowi od razu poprawił się humor.

- To było wieki temu - dodała. - Wtedy dobrze się czułam, kiedy wszystko szło utartym trybem, ale zmieniłam się od tamtego czasu.

- Teraz cieszyłabyś się słońcem?

- Miałabym pewnie dość rozsądku, żeby pojechać na narty. Śnieg i słońce. Przynajmniej śnieg jest mi dobrze znany.

- Może to wina twojego znajomego, a nie pogody? - zapytał Niccolo.

- Być może.

Gawędzili swobodnie o błahostkach, jakby rzeczywiście udali się tylko na spacer. Megan w ten sposób próbuje zagłuszyć swój lęk, pomyślał Nick. Zastanawiał się przez moment, czym zająć jej myśli, ale go uprzedziła.

- Jak on mógł tu przetrwać? Mimo że świeci słońce, jest minus dziesięć stopni. - Wzdrygnęła się.

- Do tej pory dawał sobie radę.

- Jeśli to naprawdę Rooney, ma prawie sześćdziesiąt lat. Może ktoś młodszy poradziłby sobie, ale on?

Przecież takie

życie musi rujnować zdrowie. Pewnie nie dojada, nie dosypia... - przerwała nagle.

- Wystarczyło mu sprytu, żeby wśliznąć się do samochodu, i siły, aby unieszkodliwić bandytę - przypomniał.

- Na pewno mnie nie pozna. Po raz ostatni widział mnie, kiedy byłam nastolatką.

- Nie ma obawy, przecież musi cię dobrze pamiętać - zapewnił Nick uspokajająco, choć nie miał pojęcia, w jakim stanie psychicznym i umysłowym jest obecnie Rooney.

- Myślisz, że w tę niieszczęsną noc poznał Casey i Peggy? Czy sądzisz, że uzbrojeni bandyci wzbudzili w nim resztki instynktu rodzicielskiego? - dumiała głośno. Niccolo nie przerywał tych rozważań, wiedząc, że dodają jej otuchy.

- Może wziął Ashley za jedną z nas - ciągnęła. - Minęło tyle czasu, a jemu mogły poplątać się wszystkie daty. Może myślał, że Ashley to Peggy?

- Cokolwiek myślał, miał dość odwagi, żeby zaatakować uzbrojonego złodzieja.

- Może życie mu zbrzydło?

- Uważam, że powinniśmy poczekać, zanim wydamy osąd. Zbliżali się do miejsca, gdzie Niccolo znalazł kryjówkę w wykopanym dole.

- Żałuję, że tu przyszliśmy wyszeptwała Megan.

- Nieprawda. Żałujesz, że to było konieczne. Zatrzymał się i wskazał szłaś.

- Chcesz iść sama? - zapytał cicho. Zaprzeczyła ruchem głowy.

Wziął ją za rękę. Wyrzucał sobie, że rozgrzebał tę historię, odkrył to miejsce i przyprowadził tu Megan. Nigdy nie zaznał bólu opuszczenia. Wychowali go kochający i troskliwi rodzice. W przeciwieństwie do tej kobiety nie musiał od dzieciństwa zmagać się z życiem i wciąż piętrzącymi się trudnościami.

- Panie Donaghue! - zawołał Niccolo, kiedy znaleźli się na miejscu. - Jest pan tam?

Odpowiedziała mu cisza. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się odpowiedzi.

- Panie Donaghue! - powtórzył głośniej.

- Rooney, jesteś tam? To ja, Megan. - Puściła rękę Niccola i podeszła bliżej. - Jesteś tu, Rooney?

Uklękła i w milczeniu odgarniała gałęzie, a potem wsunęła się do wykopu wyłożonego gazetami i plastikowymi torbami.

- Nikogo tu nie ma - poinformowała.

Nick schylił się, zajrzał do środka i natychmiast spostrzegł coś, czego ona nie mogła zauważyć.

- Ktoś tu był od czasu mojej ostatniej wizyty, - Skąd wiesz?

- Zniknęła moja kartka. Papiery też.

- Papiery?

- Zdjęcie, wycinek z gazety... - przerwał. Przypomnił sobie o czymś jeszcze. - Był też dziecięcy rysunek przedstawiający trójkę tańczących dzieci.

- To Casey. Lubiła rysować, nadal ukradkiem to robi, kiedy nikt nie widzi. W dzieciństwie często dawała Rooneyowi rysunki. Podobały mu się.

- Szkoda, że wszystko zginęło.

- Więc Rooney tu nie mieszka?

- Tego nie wiemy. Wiemy tylko, że tu był... albo ktoś inny zabrał te pamiątki.

- A po co one komu?

To było dobre pytanie. Miejscy urzędnicy albo zostawiliby kryjówkę do wiosny, albo kazaliby ją od razu zniszczyć, a już na pewno nie zabrałoby paru starych papierów.

- On może tu wrócić, Megan. To bardzo prawdopodobne. Zostawmy mu jeszcze jedną wiadomość.

- Niby co mam napisać? - powiedziała oschle. - Wróc do domu, Rooney? Potrzebujemy cię? Kochamy?

Niccolo zignorował jej sarkazm.

- Nie wywierałbym na nim tak silnej presji. Napisz, że nadal zapalasz lampę w oknie, a on to na pewno zrozumie.

- Nie zapalam. Już dawno tego nie robię, Nick. - Starła się opanować wzburzenie. - Wcale nie chcę, żeby mój ojciec wrócił do domu, tylko żeby był bezpieczny.

- On może ukrywać się tu gdzieś w pobliżu. Wie, że jego szafas został odkryty, ale przecież to jego teren i nie sędzę, by przeniósł się gdzieś daleko. Może chcesz go poszukać?

Potrząsnęła głową. Otworzyła torebkę i wyjęła bloczek rachunków. Oderwała kartkę, zakresliła nagłówek z adresem, imieniem i nazwiskiem, a pod spodem dopisała: „Bądź ostrożny”. Przez chwilę nad czymś głęboko się zastanawiała, aż wreszcie wrzuciła kartkę do kryjówki.

Kiedy się podniosła, Niccolo ujął jej głowę w dłonie.

- Szkoda, że go nie zastaliśmy, ale cieszę się, że chciałaś tu przyjść.

Megan zeszywniała, lecz jej oczy płonęły. Usiłowała wyrwać się z jego objęć, ale jakaś nieodparta siła przyciągała go do niego. Palce Nicka zatoneły w rudych lokach. Przygarnął ją do siebie stanowczo i zaborczo. Nie zdobył się na pocałunek wtedy w kuchni, kiedy wino rozpałiło w nich gwałtowne pragnienie, jednak tym razem wytęskniona pieśczoła wydawała się nieodwołalna.

Delikatne wargi Megan stawiały opór. Wiedział, że najbardziej ze wszystkiego bała się, by jej głęboko skrywane uczucia nie doszły do głosu i nie zawładnęły duszą i ciałem. Dobrze rozumiał, dlaczego tak jest. W jego silnych ramionach ta twarda i ciężko przez życie doświadczona kobieta sprawiała wrażenie kruchej, drobnej istoty. Jeszcze zamruczała coś w proteście,

jeszcze próbowała wyrwać się z jego ramion, ale tak naprawdę czuła się cudownie. Wreszcie rozluźniła się, stale towarzyszące jej napięcie gdzieś uleciało, i z głęboką ufnością poddała się zmysłowej pieśczości. Oplotła ramionami szyję Nicka i przylgnęła do jego piersi.

Nagle bursztynowe oczy Megan zaślniły łzami. Coś pękło w jej duszy, bo po raz pierwszy od niepamiętnych lat nie musiała być silna. Wtulona w Niccola, zaczęła płakać. Obsypywał pocałunkami jej policzki, czoło i włosy, i tulił ją mocno w objęciach, odpędzając od niej wszelkie zło, ból i troski.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przez cały tydzień Casey prawie nie rozmawiała z Megan. Omawiały jadłospis i plan zajęć na kolejne dni, ale jak ognia unikała bardziej intymnych tematów. Nie miała nastroju do zwierzeń i obawiała się, że palnie coś, czego będzie potem żałować. Ostra wymiana zdań już raz je poróżniła i nie mogła, dopuścić, by to się powtórzyło.

Późnym piątkowym popołudniem, kiedy krzątała się po barze, czekając na Barry'ego, z kuchni wyłoniła się Megan.

- Złe wieści - oznajmiła. - Właśnie dzwonił Barry. Pośliznął się na oblodzonym schodku przed domem i ma pęknięte albo złamane ramię. Jest na pogotowiu.

- Niezdara - skwitowała krótko Casey, choć żal jej było sympatycznego pracownika.

- Trzeba się liczyć z tym, że dziś nie przyjdzie, więc zajmę się barem. Artie sam upora się z pierogami, a jutro przyjdę skoro świt i dokończę to, czego nie zdążę dzisiaj.

- Jasne, zrób tak. Wszyscy jesteśmy leniwi, niedorozwinięci i tak popaprani, że nie poradzimy sobie bez ciebie - warknęła Casey.

- O, proszę, potrafisz mówić pełnymi zdaniami. Już zaczynałam w to wątpić.

Casey energicznie zaczęła wycierać półki za ladą, choć nie było na nich choćby jednego pyłka.

- Przepraszam. - Megan starała się załagodzić sytuację.

- Wiem, powinnam ci od razu o nim powiedzieć, ale trudno mi było w to uwierzyć i sama musiałam się oswoić z tą myślą.
- Mogłaś mi po prostu powiedzieć.
- Posłuchaj, przetrwałam najtrudniejsze lata, bo święcie wierzyłam, że świat się zawali, jeśli nie będę go kontrolować, i chyba jeszcze z tego nie wyrosłam, szczególnie jeśli chodzi o Rooneya. Gniew Casey powoli wygasał, ale wciąż nie mogła się uspokoić.
- To również mój ojciec, Meg! Tak, jestem na niego wściekła za to, co nam zrobił, ale nie masz prawa ukrywać przede mną wiadomości o nim.
- Powiedziałaś Peggy? Casey milczała.
- A widzisz? Rooney to też jej ojciec.
- Poczekam, aż dowiemy się czegoś więcej.
- Zostawiam tę decyzję tobie. Wydaje się, że wszystko jest w porządku, ale przerwała semestr. Mam wrażenie, że coś trapi naszą małą siostrzyczkę. A teraz jeszcze to...
: Peggy przyznała się Megan, że rzuciła uczelnię, kiedy nie dało się tego już dłużej trzymać w tajemnicy. Casey wiedziała, jak bardzo Meg się tym martwi i teraz swoim zwyczajem zastanawiała się, jak jej oszczędzić następnej troski.
- Powinna znać prawdę bez względu na okoliczności, bo to także jej ojciec. Może powiemy jej razem. Zjemy obiad w niedzielę, tylko we trzy, tak jak kiedyś?
- Dobrze, ale zajmiesz się pieczoną baraniną i garniowaniem.
- Jak ona zareaguje? - Casey wcale nie było do śmiechu.
- Nie mam pojęcia, była przecież taka mała, kiedy odszedł. To wiele ułatwia, ale i wiele utrudnia. W dodatku nie ma pewności, że go kiedykolwiek zobaczy. - Megan zaczerpnęła tchu.
- Byłam z Nickiem na Wyspie Whiskey. Widziałam, gdzie prawdopodobnie mieszka Rooney. To było przerażające.

- Kolejna rzecz, o której nie raczyłaś mnie powiadomić...
- Unikałaś mnie.
- Naprawdę? A może bałaś się, że jeśli mi powiesz prawdę, będę nalegać, abyśmy pozbyły się tego przeklętego baru i wyniosły się z miasta, zanim Rooney przypomni sobie, że kiedyś „Wyspa Whiskey” należała do niego!
- Może się i bałam! W kółko powtarzałaś to samo, pamiętasz? Sprzedać, wynieść się, uciec, zacząć od nowa! Wiesz co? Mogłybyśmy mieszkać na Marsie, ale to i tak nic by nie zmieniło, bo on nadal by żył. Nadal by gdzieś mieszkał. I nadal byłby naszym ojcem! Mierzyły się bezlitosnymi spojrzeniami.
- Chciałam wyrzucić dzieciństwo z pamięci - cicho powiedziała Casey.
- Nie możesz.
- Sama do tego doszłam. A myślisz, że dlaczego tu wróciłam?
- Umieram z ciekawości.
- Uważałam, że jeśli sprzedamy bar, wszystko, co się wcześniej wydarzyło, po prostu zniknie. Staniemy się innymi ludźmi, zaczniemy wszystko od nowa, a Rooney przestałby istnieć. Byłam dzieckiem. Nie myślałam o tym, co byśmy wraz z barem straciły. - Spojrzała Megan w oczy. - Więzy z przeszłością i z przyszłością, więzi rodzinne.
- Ja też się myliłam. Chciałam kierować twoim życiem - odparła łagodnie Megan.
- Nadal to robisz. - Przez wargi Casey przemknął cień uśmiechu.
- Na szczęście mi na to nie pozwalasz.
- No, nie wiem. Może gdybyś rzeczywiście mną kierowała, nie popełniłabym aż tylu pomyłek.
- I niczego byś się nie nauczyła.
- Mamy to za sobą. Od tej chwili chcę, żebyś natychmiast

dzieliła się ze mną wszystkim, czego dowiesz się o Rooneyu. Obiecujesz?

- Dobrze, ale chyba po raz kolejny zapadł się pod ziemię. Naprawdę mi przykro. Ja... - Megan potrząsnęła głową.

- Nie możesz sobie z tym poradzić?

- Nie, to nie to. Czasem po prostu nie wiem, co robić.

- Chyba żartujesz? Ty?

- Nie jestem doskonała. Teraz na przykład nie mam pojęcia, jak poradzimy sobie bez barmana.

- Za to ja wiem. Zastąpię Barry'ego, a ty pomożesz Ar-tiemu z pierogami i przygotujesz wszystko na jutro. Możesz nawet zrobić sobie przerwę.

- Tyle jest do zrobienia.

- Nie umieściłaś w planach Nicka?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Megan udało się zachować zimną krew.

- Mam wrażenie, że spędzacie ze sobą sporo czasu.

- Chciałam, żeby mi pokazał, gdzie znalazł tamtą fotogra-s% fię, nic więcej.

- Więc już się z nim nie spotkasz? Megan milczała.

- Nigdy więcej?

- O co ci chodzi, Casey?

- O nic wielkiego, tylko o romans, ślub i o długie, szczęśliwe lata wspólnego życia.

- Nick był księdzem. Casey osłupiała.

- Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie... - ciągnęła Megan.

- Więc po co mi o tym mówisz? Bo zdałaś sobie sprawę, że to poważny facet? I że traktuje pewne rzeczy serio?

- Posiadanie sióstr ma jednak swoje wady.

Casey pomyślała o Jonie, kolejnym poważnym mężczyźnie z przeszłością. Tyle że w jego przypadku nie chodziło o miłość do Boga, ale o zbytnią troskę o nią.

- Pokroję cebulę - przerwała jej myśli Megan. - Trzeba dodatkowo przygotować dwieście pierogów, a przy takim ociepleniu spodziewam się dziś wieczorem tłumów. Na pewno dasz sobie radę za barem?

- Nie martw się, poproszę Peggy, żeby mi pomogła. Ashley ma dziś przyjęcie urodzinowe i będzie nocować u przyjaciółki.

- Cieszę się, że ją puściłaś.

- Wiesz, to dla niej i dla mnie jest bardzo trudne. Ona musi sobie radzić bez mamy, a ja ponoszę za nią odpowiedzialność.

- Właśnie, co u jej mamy? Weźmie niedługo Ashley?

- Rozmawiałam z nią kilka dni temu. Wszystko idzie po jej myśli. Dostała pożyczkę na mieszkanie, ale ma za mało pieniędzy, by je urządzić. Na razie pomieszkuje kątem u przyjaciółki. Obie uznałyśmy, że będzie lepiej, jeśli mała zostanie ze mną, póki mama się nie urządzi.

- Dobrze znasz tę kobietę? Naprawdę ma zamiar zabrać dziecko?

- Na sto procent. Dla córki zrobi wszystko, gotowa jest nawet się z nią rozstać, jeśli to ma służyć jej dobru.

Megan chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale postanowiła odłożyć to na później.

- Dam ci znać, co z Barrym.

- Pozdrów go ode mnie.

Megan znikła w kuchni. Casey pomyślała o całonocnej pracy i zapragnęła, żeby już było jutro. Ale, jeśli będzie miała szczęście, noc szybko minie i nie znajdzie chwili, by zastanawiać się nad przyszłością, nad błędami przeszłości, nad losem dziewczynki, którą ma pod opieką, ani nad życiem jej

matki. Jeśli będzie dość zajęta, utrzyma wszystkie złe myśli na wodzy.

Jak na zawołanie z góry zeszła Peggy. Prowadziła za rękę Ashley, która prezentowała się wyjątkowo pięknie w nowym błękitnym stroju, kupionym przez Casey w pobliskim sklepie.

- Wyglądasz prześlicznie! — zachwyciła się Casey. - Pewnie będziesz się świetnie bawić.

Ashley milczała. -

- Państwo Kincaids muszą mieć sporo odwagi, skoro biorą do siebie na noc trzy dziewczynki - zwróciła się do siostry Casey. - Założę się, że się dziś nie wyśpią.

- Pamiętasz, kiedyś chciałam mieć podobne przyjęcie, ale żadna mama nie zgodziła się, żeby jej córka spała w „Wyspie Whiskey”? Megan wynajęła wtedy apartament w hotelu.

- Pamiętam. Przez ciebie omal nie wywalono nas za zakłócanie spokoju do czwartej rano.

- To Megan wpadła na genialny pomysł, żeby porozumiewać się alfabetem Morse'a tupiąc w podłogę. 'sr Megan zawsze ceniła gry edukacyjne - zażartowała Casey i dodała, zwracając się do Ashley: - Nie zapomniałaś prezentu dla Kathleen?

Mała z powagą skinęła głową.

- Pochwaliłaś się Peggy, co kupiłaś?

Ashley otworzyła plecak i wyjęła prezent zawinięty w żółto-czerwony błękitny papier. Peggy pochwaliła efektowne opakowanie, ale Casey chciała zmusić dziewczynkę do mówienia.

- A co jest w środku?

- Książka.

- Jaka? Peg uwielbia czytać.

- „Domek na prerii” - wyrecytowała Ashley jednym tchem, jakby obawiała się, że zostanie przyłapaną na mówieniu całego zdania.

- Doskonały wybór - skomentowała Peggy. - To jedna z twoich ulubionych książek?

Ashley przytaknęła.

Casey nie zdziwiła się, że mała zdecydowała się na tę książkę, choć była przeznaczona dla nieco starszych dzieci. Matka dziewczynki często ją czytała swojej córce, a poza tym proste życie Laury Ingalls Wilder i jej rodziny musiało wydawać się Ashley wyjątkowo ciekawe i zupełnie różne od jej własnych doświadczeń.

Casey wsunęła książkę do plecaka.

- Mam mnóstwo pilnej roboty, musisz więc chwilę poczekać, zanim cię odwożę, dobrze?

- Ja to zrobię - zaproponowała Peggy. - Nie mam żadnych planów.

- Cudownie. Ach, omal nie zapomniałam. Mogłabyś nam dziś pomóc? Barry nie przyjdzie, a ja nie jestem taka szybka za barem, jak on. Megan mówi, że będzie dziś tłok i potrzebna jest dodatkowa para rąk.

- Nie ma sprawy. Odwożę Ashley i wracam.

Casey uścisnęła siostrę i wyjaśniła, jak jechać do Kincaid-sów.

- Pa, Ashley, baw się dobrze.

Mała nie uśmiechnęła się. Ruszyła w stronę drzwi z beznamiętną miną, jakby czekała ją kolejna nieunikniona życiowa przeprawa. Casey krajało się serce, kiedy patrzyła na tę śliczną, przeraźliwie samotną dziewczynkę.

Dziesięć minut później bar był w pełni gotowy na najazd klientów. Casey poszła na chwilę na zaplecze i kiedy wróciła, za barem stał Jon. Nalewał kufel guinnessa jej ulubieńcowi Char-liemu Fordowi.

- Co ty, u licha, wyprawiasz?

- Przywitaj się z Charliem, Casey.

- Chanie, czy to ty go do tego namówiłeś?

- A gdzie tam, nawet próbowałem go powstrzymać - powiedział z dezaprobatą. - Czy on w ogóle wie, jak to się robi?

- To przecież nie jest trudne. - Jon zrobił skonfundowaną minę. - Podtykam kufel pod kranik, przyciskam syfon i gotowe. Mam rację?

Casey starała się nie patrzeć na niego, ale zdążyła zauważyć, że ma na sobie czarne spodnie i ciemnozieloną koszulę, cudownie kontrastującą z barwą orzechowych oczu.

- Rany boskie, Charlie, on zniszczy naszą reputację! - powiedziała z rozpaczą w głosie.

- Albo, co gorsze, zmarnuje pół litra zacnego piwa. - Staruszek świetnie się bawił.

- Więc to nie wszystko? - Jon śmiało podjął wyzwanie. - Może trzeba dodać jakieś irlandzkie zaklęcie? „Pomyślnych wiatrów” albo coś w tym stylu?

- Odsuń się, Kovats, potrzebujesz lekcji. - Casey odepchnęła go biodrem, a że bardzo się jej to spodobało, powtórzyła ten numer, Patrz i ucz się, profanie.

Odstawiła kufel, który próbował niemrawo napełnić i wzięła nowy.

- Nie schładzamy kufla.

- Nie robiłem tego.

- Uważaj teraz. Zrobimy pokaz.

- Zupełnie jak w liceum.

- To nie klub dla japiszonów, kotku. W Irlandii nie podaje się piwa w zimnym kuflu, a w „Wyspie Whiskey” dba się o tradycję. Schładzamy natomiast guinnessa, do temperatury około pięciu stopni. W naszym rodzinnym kraju już dawno nie podaje się ciepłego guinnessa.

- Mam to zapisać?

- Postaraj się zapamiętać.

- Dobrze, psze pani.
- Do tego trzeba cierpliwości. Posiadasz tę cnotę, Jon?
- Przecież wiesz.
- Napełniamy kufel do wysokości trzech czwartych - zignorowała jego odpowiedź i z wprawą, dokładnie, odmierzyła ilość piwa. - A teraz czekamy.
- Po co?
- Bo piwo musi się ustać, zanim naleje się do pełna.
- Jak długo?
- Niecałe dwie minuty. - Kątem oka dostrzegła uradowaną twarz Charliego.
- A co w tym czasie robisz?
- Mogę na przykład porozmawiać z klientem, jak mu minął dzień. - Odwróciła się do staruszka. - Jak leci, Charlie?
- Nie narzekam. Przeczytałem gazetę i rozwiązałem krzyżówkę, wziąłem też starego psiaka na spacer.
- Sammy, dobrze pamiętam? Jak się miewa Sammy?
- Starzeje się, tak samo jak ja. Śpi więcej ode mnie, ale uwielbia spacerować. I wciąż gania za piłką, kiedy przyjeżdżają wnuki.
- A jak wnuki?
- Mieszkają stanowczo za daleko. Jadę do nich na Dzień Świętego Patryka.
- Oo, nie będzie cię z nami w Dzień Świętego Patryka? Bez ciebie to nie to samo.
- Tym razem musicie obejść się beze mnie, ale niedługo wrócę. Za dużo ludzi mieszka w betonowym Nowym Jorku. - Racja. Uważasz? - Pytanie skierowała do Jona.
- Minęło dopiero czterdzieści sekund. - Liczysz?
- Jestem pilnym uczniem.
- Tymczasem idziemy do kuchni i składamy zamówienie

200

u Megan albo wycieramy bar, albo nalewamy piwo do kilku innych kufli, żeby się ustało, albo...

- W porządku, rozumiem.

- Następny krok. Pianka ma być gruba na dwa do dwóch i pół centymetra, musi wystawać ponad krawędź kufła, ale nie może się przelać.

Dokonała demonstracji. W całym mieście nikt nie robił tego lepiej, nawet Barry, i Casey mogłaby wygrywać zawody w tej dyscyplinie. Sam Rooney nauczył ją tej sztuki.

- Proszę bardzo. - Postawiła kufel przed Charliem i odciągnęła Jona.

- Myślisz, że potrafiłbyś powtórzyć?

- Z zamkniętymi oczami - uśmiechnął się czarująco. - No, może nie •całkiem.

- Godna pochwały pokora. - Casey oparła się o blat - Miło znów cię widzieć.

- Fajnie. Może pozwolisz, że zabiorę cię na kolację?

- Troszkę spóźniłeś się z zaproszeniem.

- Wybacz, ale-miałem w planach ważne spotkanie, które odwołano.

- Z jakąś uroczą blondynką?

- Nie, z tłustym detektywem policji.

- W tej sprawie o podpalenie na Wyspie? - zapytała najbardziej zwyczajnym głosem, na jaki ją było stać.

- Nie, tym razem chodzi o morderstwo - odparł krótko.

- Masz na dziś jakieś plany?

- Obawiam się, że tak. Mam gorącą randkę tutaj w barze. Tylko ja i wszyscy faceci, którzy przyjdą napić się piwa.

- Nikt inny nie może zastąpić Barry'ego? - Jon był niepocieszony.

- Zostań na pierogi - zaproponowała mu spontanicznie.

- Nie wiadomo, co z Barrym, wszystko zależy od tego, co

201

powie lekarz. Jeśli się pojawi, będę mogła się urwać, a jeśli nie, to porozmawiamy, kiedy znajdę wolną chwilę.

- Nie będę ci przeszkadzać?

- Żartujesz?

- W takim razie nie mam wyboru. Zostaję.

Peggy wróciła i Casey machnęła do niej, żeby przywitała się z Jonem.

- Miło cię znów widzieć. - Peggy podała mu rękę i zwróciła się do siostry. - Wcale się nie cieszyła, że zostaje tam na noc.

- Ashley jest na urodzinach przyjaciółki i ma u niej nocować - wyjaśniła Casey Jonowi.

- Nadał jest z tobą?

- Będzie jeszcze przez jakiś czas. - Zastanawiała się, czy to przeszkadza Jonowi. W końcu kobieta opiekująca się dzieckiem nie ma zbyt wiele wolnego czasu.

- To bardzo interesująca dziewczynka. Niewiele wiem o dzieciach, ale ona wydaje się wyjątkowo samotna i smutna.

- To najcichsze dziecko, jakie znam - zauważyła Peggy. - Teraz jest trochę lepiej, ale moim zdaniem wciąż daleko do normalności.

- Wiele przeszła - wyjaśniła Casey i odnotowała w pamięci, że nie powinna tak często zostawiać Ashley pod opieką siostry.

- Co masz na myśli? - zapytał Jon.

- Wystarczy, że nie mieszka z matką.

- Dlaczego? - zaciekawiała się Peggy. - Dlaczego mała nie mieszka z ojcem albo z kimś z rodziny?

Bo nie ma rodziny. Peggy zerknęła na zegarek.

- Pędzę na górę się przebrać. Zaraz wracam.

- Spokojnie, jeszcze się dziś nabiegasz. - Casey ucieszyła

się, że rozmowa zeszła na neutralny grunt. Miała nadzieję, że Jon stępił w sobie instynkt policjanta i nie będzie dalej drażył tematu, obecnie był przecież prokuratorem. Nadzieje okazały się jednak płonne, bo już po chwili indagował: - Jak dobrze znasz tamtą kobietę?

- Mamę Ashley? Dlaczego pytasz?

- Czy na pewno wiesz o wszystkim, o czym powinnaś? Intuicja mi podpowiada, że w życiu tej małej nie wszystko dzieje się tak, jak powinno.

- Skoro musisz wiedzieć, poznałam ją w schronisku dla kobiet, w którym pracowałam jako wolontariuszka.

- Byłaś tam ochotniczką?

- Nie wiem, dlaczego cię to dziwi. Kiedy udało mi się uwolnić z więzów własnego małżeństwa, postanowiłam pomóc innym kobietom zrobić to samo.

- To znaczy, że mąż cię bił?

- Nie, ale są rozmaite rodzaje toksycznych związków.

- Matka Ashley też była ochotniczką?

- Nie, po prostu musiała uporać się z konsekwencjami błędów, jakie popełniła. Miałam kilka tygodni, by dobrze ją poznać i polubić. Dostała pracę w innym mieście, a ja zaproponowałam, że póki się nie urządzi, zajmę się jej córką. - Dlaczego więc Ashley stale jest smutna i zamknięta?

- Ma za sobą ciężkie chwile i potrzebuje czasu, żeby o nich zapomnieć. To nie dzieje się z dnia na dzień. Takie wyjaśnienie wydało się Jonowi logiczne.

- Jestem pewien, że wiesz, co robisz.

- Dzięki za zaufanie - powiedziała chłodno.

- Może w ramach ćwiczeń powinienem napelnić kilka kufli? W barze zaczynało się robić tłoczno. Do Charliego dołączyli

inni stali bywalcy, a drzwi co chwila się otwierały i wchodzili kolejni goście.

- Nie, lepiej zajmij jakieś wolne miejsce, póki jeszcze jest to możliwe.
- Będę się czuł samotny i opuszczony - pożalił się z lek-kin uśmiechem.
- Chyba że... - zerknęła w stronę wejścia - ...nie. Jest ktoś, z kim możesz pogawędzić. Nick, chodź do nas!

Machnął przyjaźnie ręką i zaczął przeciskać się do barowej lady. Casey przypomniała sobie, co mówiła o nim Megan. Cieszyła się, że nie był jej proboszczem, bo nie miałyby żadnej wymówki, by urwać się z niedzielnej mszy.

Kiedy Niccolo do nich dotarł, Casey przedstawiła sobie obu mężczyzn.

- Nick, wpadłeś na obiad? Serwujemy-najlepsze pierogi w mieście.
- Tak naprawdę przyszedłem do Megan. Zastałem ją?
- Sprawdź. - Casey znikła w kuchni. Kiedy po minucie wróciła, mężczyźni żywo o czymś dyskutowali, jakby znali się od lat. - Niedługo wróci, wyskoczyła tylko po zakupy. Może coś przekąsisz przez ten czas?

Casey obserwowała Niccola. Widziała go tylko raz w towarzystwie siostry, ale nawet będąc w szoku po napadzie zauważyła, że między nimi zaiskrzyło.

- Z grzybami, z serem albo z ziemniakami - zaproponowała Casey. - Wybierajcie. Jeśli weźmiecie po sześć, dorzucę kiełbasę i sałatkę.
- Brzmi zbyt smakowicie, żeby odmówić - odparł Niccolo z uśmiechem. - Poproszę po dwa każdego rodzaju. A ty, Jon?
- Zgoda, jeśli pozwolisz mi nalać dwa guinnessy. - Jon spojrzał wyczekująco na Casey.
- Zawsze mali chłopcy - skrzywiła się kwaśno. - Nie krępuj się.

204

- Będę za barem - powiadomił Niccola, który poszedł zająć miejsce przy stole obok drzwi.

- To on próbował powstrzymać tamtych bandytów?

- Tak, to jeden z nich.

Casey złamała postanowienie, że już nigdy nie będzie wspominała ojca. Wspomniała dzikie spojrzenie człowieka o łagodnym sercu, który nauczył ją jeździć na rowerze, jodłować i opowiadać frapujące historie. Zobaczyła Rooneya, który powstał z martwych, by prześladować żywych.

Jon, zaskoczony, czekał na wyjaśnienia.

- Nick nie był sam?

Spojrzała prosto w spokojne orzechowe oczy, tak inne od oczu jej ojca.

- Nie, pomógł mu duch. - Poczula, że łzy cisną się jej pod powieki i szybko się odwróciła. - Idź pobawić się w barmana, Jon. Dołączę do was, jak tylko znajdę wolną chwilę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Niccolo nie zamierzał zostać w barze, ale jeden kęs pierogów z ziemniakami przekonał go, że było warto. Casey nie przesadzała, były wprost wyśmienite.

Towarzystwo też okazało się interesujące. Nick dobrze znał ludzi pokroju Jona Kovatsa. Mocni duchem, przyzwoici i uczciwi, nie oczekiwali poklasku za pracę-na posadach, których inni nie chcieli objąć, stanowili fundament społeczeństwa. Odkrył, że Jon jest inteligentny i ma ogromne poczucie humoru. Zauważył też, że często zerka w stronę młodszej siostry Megan.

- Zastanawiasz się, jak zmienić swoje życie? - zagadnął Jon.

Niccolo przytaknął. Opowiedział mu w skrócie swoją historię i z przyjemnością stwierdził, że nowy znajomy słuchał jej z uwagą.

- Dla mężczyzny z twoim wykształceniem i doświadczeniem istnieje mnóstwo możliwości - zauważył.

- Proponowano mi stanowisko dyrektora organizacji charytatywnej, ale nie chcę zostać biurokratą.

- Szukasz czegoś bardziej... osobistego?

W tym momencie Niccolo dostrzegł kobietę, która stała się jego „osobistym” skarbem Megan podeszła do baru i zamieniła kilka słów z Casey, a ta wskazała na ich stół i coś wyjaśniła.

Zauważył, że Megan nagle zeszywniała, jakby szykowała się do starcia. Serce w nim zamarło. Nie widzieli się od czasu wyprawy na Wyspę, a w drodze powrotnej nie odezwała się ani

słowem. No cóż, odkrył jej słabość, do tej pory dzięki bolesnej samodyscyplinie tak starannie ukrywaną przed światem. Poznał skrzywdzoną dziewczynkę, która wciąż tęskniła za ojcem i zarazem nienawidziła go za to, co zrobił z jej życiem. Megan z firmowym uśmiechem podeszła do stolika.

- Podobno wyjadacie całe nasze zapasy. - Wyraźnie unikała wzroku Niccola.

- Usiądziesz z nami? - Jon wstał uprzejmie i odsunął krzesło.

- Ja...

- Podobno cały dzień nic nie jadłaś. Jeśli nie będziesz o siebie dbała, nikomu na nic się nie przydasz.

- Mam siostrę skarżypytę.

- Byłoby nam bardzo miło - zachęcił Niccolo.

Nie mogła go dłużej ignorować, nie chciała też zachować się wobec nich nieuprzejmie i odmówić.

- Ale tylko na chwilę, bo mam urwanie głowy.

- Mogę się z tobą podzielić, jeśli chcesz. Taka porcja wystarczy dla dwojga.

- Nie, dzięki. Jaki sens miałyby prowadzenie interesu, gdyby nic dla mnie nie zostało?

Casey przyniosła trzy piwa.

- Zamówiłam dla ciebie pierogi - wesoło oznajmiła siostrze. - Tylko żadnych wykrętów, że nie masz czasu zjeść.

- Ty też się przysiądź. - Jon przytrzymał Casey za rękę.

- Nie ma szans, za dużo ludzi, ale jak załatwię, co trzeba, Anie może zastąpić mnie na chwilę za barem

- rzuciła i pognęła do swoich obowiązków.

- Donosi na mnie, że o siebie nie dbam, a sama od rana jest na nogach - gderała Megan.

- Już się pogubiłem, która z was jest gorsza, panienki -skwitował Jon z udanym zgorszeniem

Megan łyknęła piwa i rozparła się swobodnie w krzesło.

- Nie wiedziałam, że się znacie.

- Poznaliśmy się teraz.

- Czy Jon chwalił się, że jest świetnym znawcą historii? - zapytała Niccola.

- Do tego jeszcze nie doszliśmy. A jaki okres cię interesuje?

- Nie ma takiego, który by mnie nie ciekawił.

- Słuchaj, Jon, a czy w liceum razem z Casey nie szperaliście w historii miasta? - spytała Megan.

- Ależ ty masz pamięć!

Niccolo wcale się nie zdziwił. Był pewien, że Megan, którą rodzinne kłopoty pozbawiły możliwości kształcenia, chłonęła wszystkie wiadomości, jakie tylko do niej docierały.

- „Cleveland na przełomie wieków” - Jon przypomniał sobie tytuł pracy. - Razem z Casey przemierzaliśmy całą Euclid Avenue, robiąc zdjęcia i notatki, oraz napisaliśmy studium porównawcze „przed” i „po” Alei Milionerów.

- Alei Milionerów? - powtórzył z ożywieniem Niccolo.

- Niektórzy mówili, że w czasach największej świetności Euclid Avenue była najpiękniejszą ulicą na świecie. Niccolo znał tę ulicę, była bowiem jedną z wielu szerokich arterii starego centrum miasta. Mieściły się przy niej liczne parkingi, bary szybkiej obsługi i mnóstwo biur. Z całą pewnością nie należała do reprezentacyjnych.

Jon odczytał myśli Niccola z wyrazu jego twarzy.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale zanim wprowadzono podatek dochodowy, w Cleveland inwestowało wielu zamożnych przedsiębiorców, a na Euclid Avenue budowali swoje bajeczne rezydencje: John D. Rockefeller, Samuel Mather, jeden z twórców U.S. Steel, Charles Brush, założyciel General Electric. Jedna willa bardziej ekstrawagancka od drugiej.

- I z pewnością żadna nie należała do Irlandczyków - wtrą-

ciła zgryźliwie Megan. - Moi przodkowie byli zbyt zajęci rozładowywaniem rudy w dokach.

- A moi pracowali niewolniczo w odlewniach i hutach stali - zawtórował Jon. - W pewnym momencie w Cleveland żyło więcej Węgrów niż w jakimkolwiek węgierskim mieście, oczywiście poza Budapesztem. Poza tym mnóstwo Polaków, Słowaków oraz innych narodów z Europy Wschodniej, czyli tania siła robocza.

Niccolo zrozumiał, do czego zmierza Megan, przypomniał też sobie, że do tej pory nie sprawdził wycinka prasowego, który znalazł w pobliżu przystani.

- Czy w swoich poszukiwaniach trafiłeś na nazwisko Jamesa Simeona?

- Każdy, kto zajmuje się tutejszą historią, może ci o nim opowiedzieć. - Simeon, no cóż... - Jon rozparł się wygodnie w krześle. - To długa historia, macie czas, żeby jej wysłuchać?

Peggy przyniosła pierogi i odeszła.

- Prosimy o streszczenie - poleciała Megan i wzięła widelec do jęki.

- James Simeon był miejscowym magnatem. Cała ruda z Michigan, którą rozładowywali przodkowie Megan, trafiała do jego hut, w których z kolei przerabiali ją moi przodkowie. To był genialny człowiek, ale bezwzględny. Stal i żelazo Simeona zalewały rynki całego świata, lecz ten potentat narobił sobie wielu wrogów. Nawet jak na tamte czasy wyjątkowo perfidnie eliminował konkurencję i nie dbał o jakiegokolwiek standardy bezpieczeństwa pracy w swoich zakładach, dlatego też nikt się nie zmartwił, kiedy pewnego dnia zniknął.

- Jak to zniknął? - Niccolo uprzedził pytanie Megan.

- To właśnie jest najciekawsza część historii. Ten bogacz pewnej zimowej nocy po prostu przepadł i mimo długich poszukiwań nigdy więcej o nim nie usłyszano.

- Cóż, myślę, że nie przeszukali całego jeziora - zauważył trzeźwo Niccolo.

- Jasne, że nie, choć teoria z jeziorem była najbardziej powszechna. Simeon zaginął w styczniu, tuż przed tym, jak łód skuł Erie. Uznano, że ktoś, kto miał dość podłych praktyk Simeona, zabrał go na wycieczkę po jeziorze, przywiązał ciężar do nogi i wyrzucił milionera za burtę. Kiedy byłem dzieckiem, w gazetach od czasu do czasu wspomniano tajemnicze zniknięcie tego potentata, bo to była zbrodnia stulecia.

Niccolo zaczął się zastanawiać, dlaczego Rooney zachował jeden z tych artykułów.

- Co się stało z majątkiem po jego śmierci?

- Zdaje się, że jego żona sprzedała wszystko i wyniosła się z miasta. Firma połączyła się z inną albo została wchłonięta, na miejscu rezydencji stanęły nowoczesne biurowce. Wielu bogaczy, w tym Rockefeller, nakazało, by gdy umrą, ich posiadłości zostały zrównane z ziemią. Pewnie przerażała ich myśl, że jacyś przodkowie moi lub Megan awansują społecznie i wprowadzą się do ich pałaców.

- Lub moi - dodał Niccolo. - Włochów traktowano podobnie jak Irlandczyków i Węgrów.

- Niewiele zostało ze splendoru Alei Milionerów - dodał Jon - zaledwie kilka oryginalnych budynków. Rockefeller może spokojnie spoczywać w grobie.

Kończyli posiłek w milczeniu. Jon poszedł porozmawiać z Casey, a tak naprawdę po to, by Megan i Niccolo na chwilę zostali sami. Megan natychmiast przypomniała sobie o nawale pracy.

- Brakowało mi ciebie. - Położył dłoń obok jej dłoni, ale nie śmiał jej dotknąć.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć - szepnęła.

- Pomyślałem, że pewnie potrzebujesz trochę czasu, aby spokojnie wszystko przemyśleć.
 - To bardzo rozważnie z twojej strony.
 - Więc miałem rację?
 - Nick, nie chcę być naciskana. Jeśli chodzi o Rooneya, ty masz swoje plany, a ja swoje. Mam wrażenie, że próbujesz nakłonić mnie do uczuć, których we mnie nie ma.
 - Mówisz o swoim ojcu czy o nas?
 - Być może o obu tych sprawach. - Spojrzała mu prosto w oczy.
 - W niczym cię nie naciskam. Przecież sama przyszedłaś do mnie, pamiętasz? I prosiłaś, żebym zabrał cię na Whiskey. Ujrzała w jej oczach zwalczające się emocje, a ona zrozumiała, że płacze się w sprzecznościach i nie potrafi zapanować nad burzą ogarniających ją uczuć.
 - Może dałem ci za mało czasu.
 - Bardzo możliwe.
- Starał się stłumić uczucie przykrości, ale się zbuntował. Był zwykłym śmiertelnikiem, dlaczego więc ma hamować ludzkie emocje, których tak długo mu zabraniano? Po co tak zawzięcie walczył, żeby być kimś więcej, niż jest?
- Dam ci spokój - powiedział w końcu. - A jeśli dowiem się czegoś o Rooneyu, mam cię powiadomić, tak? I Casey? - Niczego nie znajdziesz. Jeśli tam kiedykolwiek był, to dawno odszedł.
 - Nie o to pytałem.
 - Pewnie, że masz mnie powiadomić!
- To oznaczało koniec rozmowy i prawdopodobnie koniec krótkotrwałej znajomości. Niccolo miał doskonałe wyczucie sytuacji.
- Płacę przy barze?
 - Czuj się zaproszony.
- Chciał odmówić, ale zrozumiał, że w ten sposób Megan

próbuję polepszyć sobie samopoczucie, a poza tym nie chciał kolejnego starcia.

- Dzięki. - Odsunął krzesło. - To naprawdę najlepsze pierogi w mieście.

- Jeśli rzeczywiście dowiesz się czegoś o Rooneyu... Wstał, przerywając jej w pół zdania.

- Zadzwoń. Jeśli cię nie będzie, zostawię wiadomość. Nie odezwała się. Cisnął na stolik pięciodolarowy napiwek i wyszedł.

Niccolo pragnął od Megan o wiele więcej. Pomijając aksamitny dotyk jej skóry, delikatne ciepło warg i cudowny zapach, odczuwał wszechogarniającą wewnętrzną pustkę, gdy była daleko.

Chciał jej opowiedzieć, jak rozrasta się grupa nastolatków, którzy pomagają mu w remoncie. Pogadać o drugiej dziewczynce, przyjaciółce Elishy, oraz wyrzuconym z liceum Royu. Chciał podzielić się z nią miłą wiadomością, że Joachim i Eli-sha wciąż o nią pytają, że dziewczynka ma zdolności dekora-torskie i przynosi próbki farb oraz wycinki z katalogów wnę-trzarskich. Że dzieciaki, dzięki starym meblom wyciągniętym z lamusa, zamieniają poddasze w wymarzony klub.

Pragnął jej też wyznać, że mimo hałasu, rozgardiaszu, pokrzykiwań i stukania młotków, dom wciąż wydawał mu się zbyt cichy. Nabierał życia dopiero wtedy, kiedy pojawiała się Megan.

Niech Bóg ma go w swojej opiece...

Zanim uświadomił sobie, gdzie się znalazł, już parkował nieopodal przystani na Wyspie Whiskey.

Być może przywiodła go w to miejsce przykrość, doznana podczas rozmowy z Megan, a może bolesna udręka i gorycz niespełnienia. Albo też Rooney, ów żywy wyrzut sumienia, choć widział go zaledwie przez ułamek sekundy.

Niccolo nigdy nie odwiedzał tej okolicy nocą i poczuł się nieswojo w posępnej scenerii. Nad nieruchomą taflą wody unosiły się mgliste opary, a zza ciężkich ołowianych chmur od czasu do czasu wyłaniał się zimny sierp księżyca. Wokół panowała głucha cisza.

Podczas jednej z wypraw odkrył krótszą drogę do lasu. Ruszył nią, kiedy wzrok przywykł do ciemności. Choć Wyspa Whiskey należała do aglomeracji, światła wielkiego miasta ledwie tu docierały.

Wzdrygnął się z zimna i naciągnął czapkę na uszy. Nie będzie miał okazji opowiedzieć Megan o pamiętniku ojca McSweeneya, pomyślał. Zdążył przeczytać zaledwie kilka fragmentów, ale natychmiast zorientował się, jak cenny jest to dokument Śledząc z zapartym tchem słowa nakreślone przez dawno nieżyjącego kaznodzieję, czuł niemal zapach ulic irlandzkich osiedli z końca dziewiętnastego wieku. Poprzedniej nocy trafił na opis miejsca nad przystanią. Przez ponad sto lat nic się tu nie zmieniło.

Na tym kawałku ziemi umierało wiele kobiet, mężczyzn i dzieci. Walczyli o przetrwanie, kochali się i dzielili między sobą tym, co ogromnym wysiłkiem udało im się zdobyć. Tęsknili za rodzinną Irlandią, snuli marzenia, pozbywali się złudzeń. Szczególnie zaciekała go historia małżeństwa Teren-ce'a i Leny Tierneyów z hrabstwa Mayo. McSweeney bardzo lubił tych młodych ludzi. Udzielił im ślubu, a później żywo interesował się ich losem.

Jego rozmyślania przerwał jakiś szelest. Pięćdziesiąt metrów przed sobą dostrzegł niewyraźną sylwetkę mężczyzny. Nick znieruchomiał. Nieznajomy mierzył go spojrzeniem i nie miał zamiaru uciekać. Niccolo starał się przywołać obraz mężczyzny z parkingu. Zdawało mu się, że wzrost się zgadza, ale nie był tego pewien. Prawdę mówiąc, nie pamiętał żadnych

szczegółów i czasami zaczynał wątpić, czy wtedy w ogóle kogoś widział.

- Szukam Rooneya Donaghue. - Jego głos ostro przeciął mroźne, nieruchome powietrze.

- Nie ma dziś gwiazd. Tylko cztery. Ojciec, Syn i Duch Święty. Tej czwartej nie znam. Może to Matka Dziewica.

Niccolo postąpił krok do przodu. Nieznajomy nie ruszył się, tylko spoglądał wzrokiem pozbawionym strachu i ciekawości.

Miał na sobie kilka warstw ubrań, a na głowie kapelusz wetknięty na wełnianą czapkę osłaniającą czoło. Płaszcz z grubej wełny, podarty i ubłocony, sięgał mu do kostek.

Nick podszedł jeszcze bliżej. Mężczyzna miał około sześćdziesięciu lat, może więcej. Brudna, poorana zmarszczkami twarz była jednak gładko ogolona.

- Nazywam się Niccolo Andreani.

- Obserwują nas, wiesz o tym? - mówił nieznajomy zapatrzony w niebo. - Upewniają się, czy ich słuchamy.

Na niebie spoza chmur przezierało więcej gwiazd, ten człowiek jednak zdawał się widzieć tylko owe cztery.

- Szukam człowieka - zaczął Niccolo cichym, stonowanym głosem - który uratował mi życie na parkingu baru „Wyspa Whiskey”. To ty?

- Nie można od nich uciec. Obserwują cię, gdziekolwiek jesteś i cokolwiek robisz. Wiedzą...

Niccolo starał się zapamiętać jego twarz, choć nie był pewien, czy to ma jakikolwiek sens. Megan nie widziała ojca od wielu lat, a tryb życia, jaki prowadził Rooney, musiał go bardzo odmienić. Może córka rozpoznałaby ojca, gdyby go spotkała, ale na podstawie opisu było to niemożliwe.

- Co te gwiazdy widzą? - zapytał Niccolo.

- Widzą ciebie. - Włóczęga przeniósł wzrok na przybysza. - Często tu przychodzisz.

Niccolo ucieszył się z niewielkiego postępu.

- Widziałeś mnie, ale ja nie widziałem ciebie.

- Nie umiesz patrzeć.

- Nie przychodzę, żeby cię skrzywdzić ani ci przeszkadzać. Chcę pomóc.

- Pomoc niepotrzebna. Gwiazdy obserwują. Muszę teraz uważać. - Poprawił płaszcz, jakby zbierał się do odejścia.

- Rooney...

Mężczyzna nie okazał zdziwienia, że nocny gość nazwał go tym imieniem.

Nick chciał mu wyznać, że zna Megan i Casey, oraz że jego córki bardzo martwią się ojca.

Powstrzymała go przed tym obawa, " że może zniszczyć wątłą nić porozumienia.

- Nic ci nie zginęło? - ciągnął ostrożnie. - Fotografia, rysunek? Nie było ich tu ostatnim razem.

- Ukryłem je.

- Nie musisz niczego przede mną chować. Nie chcę cię skrzywdzić, tylko pragnę ci pomóc. Masz co jeść?

- Mam. Od gwiazd. Od Boga Ojca.

- Gwiazdy cię karmią?

- Ukryłem przed gwiazdami - zachichotał mężczyzna. . - Ciii... - Nagle chichot przemienił się w ciche łkanie. - Nie

mogę ochronić!

- Co musisz ochraniać?

- Muszę teraz uważać.

- Jeśli przyniosę ci ubranie i jedzenie, przyjmiesz? Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Przyjdź, kiedy będą chmury.

- Jesteś Rooney, prawda? Rooney Donaghue? Pomogę ci bez względu na to, kim jesteś, ale chciałbym wiedzieć.
- Gwiazdy zabrały mi imię.
- Czy kiedyś byłeś Rooneyem?

215

- Muszę być ostrożny.

Niccolo był niemal pewien, że to Rooney, ale wiedział, że tej nocy niczego więcej się nie dowie.

- Wrócę z ubraniami i jedzeniem - powiedział. - I z kocami. W najbliższą pochmurną noc.

- Jeśli się postarasz, usłyszysz ich.

- Gwiazdy?

- Umarłych.

Niccolo pomyślał o tych wszystkich, których pogrzebano na Wyspie pod hałdami rudy, przy torach kolejowych, pod stertami gruzu i mułu z rzeki Cuyahoga. W trakcie swoich poszukiwań wyczytał gdzieś, że Irlandczycy chowali tu zmarłych ukradkiem, bo nie stać ich było na normalny' pochówek.

- Ci umarli, to twoi pobratymcy?

- Umarli należą do wszystkich, którzy słuchają.

- Czy gwiazdy też należą do wszystkich?

- Gwiazdy należą do siebie. - Mężczyzna odwrócił się na pięcie, ruszył w stronę drzew i rozpląnął się w ciemnościach.

Tylko gwiazdy wiedziały, dokąd się udał.

13 października, 1881

Skoro Bóg mógł znieść widok jedyne go syna umierającego na krzyżu, to z pewnością my, śmiertelnicy, możemy nauczyć godzić się ze śmiercią ukochanych dzieci. Lecz jakże wielki to ból i jak ciężka próba dla wiary! Widziałem, jak matki i ojcowie tracą sens życia, kiedy ich najdroższy syn albo córka wydaje z siebie ostatnie tchnienie. Tak bardzo chciałbym posiadać moc, by temu zapobiec, nawet wbrew świętej woli Boga. Mężczyźni i kobiety ze Świętej Brygidy stawiają czoło życiowym trudnościom z bohaterką odwagą i nie tracą łatwo nadziei, ale tej odwagi nie wystarcza, by zmierzyć się ze śmiercią dziecka.

Nawet ja sam, modląc się i udzielając ostatnich sakramentów, muszę błagać o wybaczenie za wątpliwości, które mnie ogarniają.

Z pamiętnika ojca Patricka McSweeney'a, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, stan Ohio.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wyspa Whiskey Październik 1881

Czteroletni Tommy Sullivan leżał martwy, a Katie Sullivan, nosząca w łonie trzecie dziecko, nie uрониła ani jednej łzy.

- Jest już z aniołami - powiedziała w chwili śmierci syna. Od tamtej pory zamilkła. Milczała następnego poranka, gdy opuszczano do grobu małą trumienkę, zbitą przez Seamusa Sullivana z wyrzuconych na brzeg jeziora desek.

Natychmiast po pogrzebie Katie wróciła do zwykłych zajęć. Zapamiętała szorowała każdy kąt domu, aż krwawiły jej palce. Lena wiedziała, że przyjaciółka chce wytrzebić z domu śmiertelną gorączkę, która zabrała jej syna i mogła też odebrać malutką córeczkę Laurie. Lena wiedziała też, że trud Katie skazany jest na klęskę, bo choroba i śmierć wkradają się nawet do najczystszych domów.

- Ojcze, wybacz mi, bo zgrzeszyłam. Od mojej ostatniej spowiedzi minęło sześć dni.

Lena spojrzała na kratkę oddzielającą ją od ojca Patricka McSweeneya. Złożyła nabożnie ręce, ale serce kołatało jej gwałtownie w piersi. Recytowała pospiesznie formułki spowiedzi, niecierpliwie oczekując na moment, kiedy będzie mogła przejść do wyliczania grzechów. Tęgo dnia uzbierało się ich więcej niż zwykle, i o wiele poważniejszych niż dotąd.

Była wściekła na Boga.

- Wyznaj mi, moje dziecko, co cię trapi.

Przez chwilę zastanawiała się, od czego zacząć. Przypomnił się jej bezwzględny ksiądz z dzieciństwa, który doszukiwał się występku z zacięłością poszukiwacza złota, a jednocześnie nie chciał słuchać wątpliwości trapiących wiernych. Był nieczuły na cudze zmartwienia, uważał bowiem, że są zasłużoną karą za grzechy.

- Jestem zła - odezwała się w końcu Lena, poprawiając chustę na głowie, jakby chciała skryć się przed okiem opatrności. - Nie rozumiem, dlaczego Tommy Sullivan musiał umrzeć i dlaczego Katie i Seamus muszą tak strasznie cierpieć. Czym zasłużyli na taką udrękę? Co uczyniliśmy, że dosięgnął nas gniew boży? Ciężko pracujemy, pomagamy sobie nawzajem, dzielimy się z biednymi, choć sami jesteśmy ubodzy. Trudzimy się, by wejść na wzgórze na mszę, ale czy Bóg trzodzi się, by zejść na dół, na Wyspę? Gdzie był, kiedy Tommy wydawał ostatnie tchnienie? Gdzie jest, skoro zarobki Terry'ego są wciąż takie same, a bilety z Irlandii coraz droższe? Czy jest z naszymi rodzinami, gdy umierają z głodu w Mayo?

- Wydaje ci się, że Bóg odwrócił się od ciebie, Leno.

- Ode mnie? Ależ nie, nie tylko ode mnie. Od wszystkich Irlandczyków!

- Tommy Sullivan był dobrym chłopcem. Był dla ciebie kimś ważnym.

- Katie też jest kimś ważnym. Boję się, że już nigdy się nie odezwie.

- I ty musisz mówić za nią?

- Ktoś musi!

- Czy pomoże ci wiadomość, że przy konfesjonale nadal się odzywa?

Lena poczuła ulgę.

- Każdy z nas wybiera inny sposób kojenia bólu - ciągnął

ojciec McSweeney. - Katie wybrała trwanie w milczeniu do czasu, aż zaufa swoim słowom i emocjom, a ty zdecydowałaś, że będziesz krzyczeć. Być może masz nadzieję, że Bóg ukaże cię za to i zapomni o Katie? Że może uda ci się odwrócić jego uwagę?

Lena spuściła głowę. Łzy cisnęły się jej do oczu.

- Czuję się taka bezradna.

- Tak też jest, bo nie możesz być pośrednikiem między Katie a Bogiem. Możesz jedynie być obok Katie, żeby jej wysłuchać, kiedy zdecyduje się przerwać milczenie.

Lena nie potrafiła dłużej hamować łez. Szloch nie pozwolił jej wydobyć słowa.

- Pomówmy o twojej rodzinie, córko. Czy zastanawiałaś się nad podjęciem pracy?

- Terry na to nie pozwoli - odparła, przełykając łzy.

- Pomówię z nim.

- Naprawdę ksiądz to zrobi? - W jej głosie po raz pierwszy od śmierci Tommy'ego zabrzmiała nutka nadziei.

- Terence to wspaniały mężczyzna. Nie ma bardziej prawego człowieka od niego na całej Wyspie Whiskey, lecz popełnia grzech pychy. Nie omieszkać mu tego wypomnieć, kiedy się u mnie pojawi. Terry był rzeczywiście nadzwyczajny i półtora roku po ślubie Lena kochała go bardziej niż kiedykolwiek, lecz trwał uparcie w przekonaniu, że powinien chronić ją przed przeciwnościami losu. Nie rozumiał, że żona zamartwia się trudnym położeniem ich rodzin, że czuje się winna, bo nie wolno jej ulżyć im w ciężkiej doli.

Nie miał pojęcia, jaka jest silna.

- Ojciec - zapytała drżącym głosem ze spuszczoną głową, - jak możesz mi pomagać po tym, co powiedziałam?

- Czy wyrażasz skruchę i prosisz o przebaczenie?

- Tak, ojcze.

- Może więc zaczniesz spowiedź od początku?

Kiedy pół godziny później wyszła z kościoła, Rowan Do-naghue, ubrany w mundur, czekał u bramy, by odprowadzić ją do domu. Trzymał bukiet białych chryzantem, zebranych, jak się domyślała, W ogrodzie jednego z wielkich domów przy Euclid Avenue, których strzegł.

- To chyba ostatnie tego lata - powiedział, uchylając czapkę w ukłonie. - Pomyślałem, że potrzebujesz pociechy.

Z radością przyjęła od niego kwiaty, które sprawiły jej tym większą przyjemność, że zbliżała się zima i długo będzie musiała czekać na podobny prezent. Powąchała bukiet w nadziei, że odnajdzie ślad zapachu słońca i błękitu nieba.

- Czyżbyś złamał prawo, żeby je zdobyć?

- Jakżebym śmiał? Pewien ogrodnik jest moim przyjacielem.

- Są prześliczne.

- Dla ciebie nie mogą być inne.

Obdarzyła go serdecznym uśmiechem. Okrągła, grubo ciosana twarz Rowana stała się jej szczególnie droga. Kiedy dowiedziała się, że Terry ma współlokatora, trochę przerażała ją myśl, że będzie dzieliła dom z obcym mężczyzną, później jednak okazało się, że Rowan to wyjątkowo uprzejmy i miły człowiek. Zawsze starał się ułatwić im życie. Miał też ogromne poczucie humoru i potrafił śmiechem rozładować najtrudniejszą nawet sytuację. Już samo to warte było poświęcenia odrobiny prywatności.

Szli obok siebie w milczeniu, pozdrawiając napotkanych mieszkańców irlandzkiego „Zakątka”, jak niektórzy nazywali tę część miasta. Przechodzili obok położonych na wzgórzu willi z obszernymi werandami, gdzie gospodarze spędzali czas na błogim lenistwie. W rozległych ogrodach baraszkowały dzieci.

Ulica opadała stokiem w kierunku rzeki. Im niżej schodzili, tym skromniejsze mijali domy, aż doszli na sam dół, gdzie stały sklecone z desek i dykty chałupy. Z kominów fabryk, hut i zakładów produkcyjnych wydobywały się kłęby czarnego lepkiego dymu, a pył tłustą warstwą osadzał się na wyschniętych gałęziach umierających drzew.

Od wody dał chłodny, jesienny wiatr. Lena zadrżała i postawiła kołnierz płaszcza.

- Nie dziwię się, że w tak zatrutym powietrzu kwiaty w moim ogródku nie chcą rosnąć.
- Taka jest cena postępu. Być może nadejdzie dzień, że to z twojej fabryki będzie leciał czarny dym, dzięki czemu zamieszkasz we wspaniałym domu na wzgórzu.
- Jeśli taka ma być cena mojej wygody, wolę zostać przy swoim nędznym życiu - powiedziała z przejęciem.
- Zrezygnowałabyś z bogactwa?
- Tak, gdybym narażała przez to zdrowie innych ludzi.
- Myślisz o Tommym.
- Zabiły go te trujące wyziewy.
- Dzieci na wzgórzu też umierają z gorączki.
- Ale rzadko.

Rowan postanowił zmienić temat, bo dyskusja o irlandzkiej nędzy nie miała sensu.

- Ochłodziło się. Niedługo spadnie śnieg.
- Będzie padał przez długie miesiące.
- Niedługo na Euclid zaczną organizować kuligi. To wspaniały widok, Leno. W tym roku namówię Terry'ego, żebyście poszli je zobaczyć.
- On tak ciężko pracuje, że wieczorami wraca wykończony.
- Nieważne, przecież zasługujesz choćby na odrobinę rozrywki. Jeśli on cię nie zabierze, ja to zrobię.
- Wiesz, Rowanie, chciałabym pracować, żeby choć trochę

pomóc Terry'emu. Ojciec McSweeney obiecał przekonać go, żeby mi na to pozwolił. - Zacerpnęła tchu, zdobywając się na odwagę. - Jeśli Terry nadal będzie się upierał, sprzeciwię się mu.

Rowan zamilkł. Przestraszyła się, czyjej słowa nie zabrzmiały zbyt zuchwale, rozmawiała przecież z przyjacielem męża.

- Gdyby Terry nadal odmawiał, porozmawiam z nim - zapewnił solennie.

- Nie mogę cię o to prosić.

- Nie prosisz, prawda? Zastanawiam się, czy nie dałoby się zawrzeć korzystnego układu.

- Układu?

Dotarli do Wyspy Whiskey i przemierzali wyboiste, wąskie, zapuszczone uliczki nad rzeką. Lena pozdrowiła jedną z sąsiadek. Minęli leżącego na wznak mężczyznę, który spał z nakrytą kapeluszem twarzą, jakby chciał osłonić się przed słońcem, które nie świeciło.

- Leno, gdybyś miała kuchenkę, prawdziwą kuchenkę zamiast paleniska, czy mogłabyś przygotowywać posiłki i sprzedawać je w dokach?

Prawie wszyscy sąsiedzi mieli już kuchenki, ale dla nich był to nadal wymarzony luksus, na który nie mogli sobie pozwolić.

- Posiłki?

- Bigos, ciasto, chleb na sodzie... Wszystkie te wspaniałości, które przygotowujesz dla Terry'ego i dla mnie, tylko że w większej ilości. Jesteś najlepszą kucharką w całym irlandzkim osiedlu i bez problemu sprzedasz wszystko, co przyrządzisz.

- Niestety, nie mam kuchenki i nie mamy za co jej kupić.

- Ja mam. - Uniósł rękę, uprzedzając jej protest. - Traktuję to jak inwestycję, będziesz mi spłacać w niewielkich ra-

tach, kiedy zaczniesz zarabiać, no i odpalisz mi coś za fatygę. Tak właśnie zarabia się pieniądze. Najpierw inwestujesz, potem zarabiasz. Jeden cent zwraca się w dwójnasób.

- Spędzasz za dużo czasu na Euclid Avenue, Rowanie. - Lena uśmiechnęła się blado.

- Powiedz lepiej, jak ci się ten pomysł podoba - nalegał. Poczowała kompletny zamęt w głowie.

Wyobrażała sobie, że

w najlepszym wypadku znajdzie jakieś dorywcze zajęcie, na przykład sprzątanie, prasowanie albo pilnowanie dzieci. Nie przyszło jej na myśl, że mogłaby zarabiać, robiąc to, co kocha najbardziej.

Mogła powiedzieć bez przesadnej dumy, że jest świetną kucharką. Smaczną kuchnią starała się*wynagrodzić wszystkie niedostatki ubogiego życia i wkładała w to całe swoje serce.

Codziennie pod wieczór udawała się na swój ulubiony targ przy Pearl Street i kupowała tańsze kości i zwiędłe warzywa, oraz wymieniała własnoręcznie pieczony chleb na plamiste jabłka i przejrzałe gruszki.

- Kuchenka? - upewniła się.

- Aha. Znam kucharkę w domu Simeona, powiedziała mi, że za dwa dni kupują nową kuchenkę gazową i starą, na węgiel, może mi odsprzedać.

- Ale co powie Terry?

- Zostaw to mnie. Terry zrozumie. Lepiej, żebyś gotowała w domu i sprzedawała swoje wyroby przyjaciółom męża, niż chodziła do pracy u obcych ludzi.

Lena pomyślała, że rozwiązanie Rowana jest lepsze niż ojca McSweeneya i możliwe do zrealizowania.

- Brak mi słów, żeby ci dziękować.

- Nie trzeba, Leno. Jesteśmy przyjaciółmi, a to liczy się najbardziej.

W miesiąc później kuchenka z piekarnikiem zajęła sporą przestrzeń w ciasnej kuchni, ale Lena się tym nie przejęła. Terence obawiał się, że latem hartowane żelazo będzie się okropnie rozgrzewać i gorąco stanie się zbyt dokuczliwie, lecz Lena, niezrażona i szczęśliwa, klasnęła w ręce.

- Och, Terry! Teraz mogę piec mnóstwo bochenków chleba, a za jednym zamachem nagotuję zupy na tydzień!

- Wątpię, czy zupa przetrwa aż tak długo - oznajmił Rowan od drzwi. - Każdy kawaler w dokach będzie chciał dostać porcję.

Terence czuł się rozdarty. Cieszył się radością Leny, ale jednocześnie nowa sytuacja budziła w nim obawy. Nie potrafił pogodzić się z myślą, że jego żona musi dorabiać, a jednocześnie rozpierała go duma, że poślubił tak wspaniałą kobietę jak Lena, oraz że ma takiego przyjaciela jak Rowan.

Zauważyła zatroskaną minę męża.

- Terry, ja tego chcę. To sprawi mi radość, a dni tak mi się dłużą. Bez dziecka, o które mogłabym się troszczyć... - Jej głos nagle zamarł.

To następny powód jej zmartwień. Nie dał Lenie dziecka, choć tak często się o to starali.

- A co będzie, kiedy przyjdzie na świat? - Nie wierzył, że jego ukochana żona jest bezpłodna.

Wmawiał sobie, że to tylko kwestia czasu i niebawem usłyszą pierwszy krzyk powitego przez Lenę niemowlęcia... No cóż, ledwie starczy na utrzymanie dziecka, czy jednak nie zabierze im go ta sama choroba, która zabiła Tommy'ego Sullivana?

- Kiedy pojawi się dziecko, będę się nim zajmować podczas gotowania. Tak samo jak Katie, która opiekuje się dziećmi i pierze - obstawała przy swoim Lena.

- Wpadłem do Katie, żeby powiedzieć jej o kuchence. Przyjdzie ją jutro obejrzeć - wtrącił Rowan, wyczuwając napięcie.

- Jest już w pełni sił? - zapytał Terence. Dwa tygodnie wcześniej Katie powiła śliczną, zdrową dziewczynkę. Malutka Annie przywróciła jej głos, lecz matka ani razu nie wspomniała o Tommym.
 - Zdaje się, że na nowo jest sobą. No, prawie.
 - Katie Sullivan to wyjątkowa kobieta. - Terence spojrział na żonę. - Ale moja najdroższa Lena też jest wyjątkowa.
- Jej uśmiech rozjaśnił kuchnię.
- Chyba pójde coś przegryźć. - Rowan zniknął w drzwiach saloniku.
- Terry wyciągnął ramiona i objął Lenę.
- Pragnę, żebyś była szczęśliwa - szepnął.
 - Jestem szczęśliwa. Bardzo się cieszę z naszego nowego nabytku. - Pocałowała go ze zwykłą swobodą. Poślubił kobietę, która odnajdywała przyjemność we wszystkim, co razem robili.
 - A teraz kąpiel i golenie. - Lena odsunęła go lekko od siebie.
 - Cudownie. Ale gdzie postawimy balię?
 - Na pewno zmieści się w kącie. Zobacz, jak szybko zagrzała się woda.
- Zaczynał doceniać zalety kuchenki. W rozgrzanym pomieszczeniu gorąca kąpiel zapowiadała prawdziwą przyjemność. Okazało się, że balia doskonale mieści się w kącie kuchni. Lena napełniła ją parującą wodą. Zrzucił z siebie pokryte rudym pyłem ubranie i odsłonił równie czerwone ciało.
- Co za widok! - zaśmiała się dźwięcznie i radośnie. - Czerwony jak jabłuszko.
 - Za to pięknie będę się prezentował, kiedy mnie wyszorujesz - zawtórował śmiechem.
- Zanurzył się w wodzie i poczuł, jak rozkoszne ciepło przenika mu członki.

Lena stanęła obok z wiadrem podgrzanej wody.

- Teraz pochyl się do przodu, spróbuję cię doczyścić".

Z rozkoszą poddał się jej zręcznym dłoniom. Praca przez sześć dni w tygodniu mocno nadwerężyła kręgosłup, a na ciele zostawiała wysuszoną warstwę czerwonej skorupy. Co sobotę Lena zmywała wszelkie jej ślady i tylko w niedzielę Terence wyglądał jak normalny człowiek.

Czerpał z tego rytuału ogromną przyjemność. Lena posługiwała się ostrą brzytwą z wprawą golibrody. Sarkała, że przez ten szkaradny pył ciągle musi ją ostrzyć i że niebawem trzeba będzie kupić nową. Odpreżał się, gdy szorowała i płukała mu włosy, a później wycierała je ręcznikiem.

Potem gasił światło i prowadził ją do łóżka. W jego ramionach stawała się na zmianę namiętna i uległa, a kiedy krzyczała z rozkoszy, napełniał ją nasieniem. Każdej nocy od dnia ślubu.

Kiedy błogo spała wtulona w jego bok, zastanawiał się, czy lepiej spłodzić dziecko i pozwolić, by spotkał go los Tommy'ego Sullivana, czy lepiej w ogóle nie mieć dzieci.

Jakże okrutną grę prowadziłby Bóg, gdyby poza radością z połączenia się ciał nie mieli otrzymać nic więcej.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Październik 1882

Katie Sullivan miała w zanadrzu powiedzonka na każdą okazję.

- Bez sąsiadów nie ma życia. Nie musisz mi dziękować, Leno.

Z roczną Annie na ręku mieszała w garnku wywar. Trzyletnia Laurie, najstarsza z gromadki Sullivanów, bawiła się cichutko w kącie, a Katie ledwo sięgała do tylnego palnika, bo zaawansowana ciąża utrudniała jej dostęp do kuchenki. Wkrótce miała urodzić kolejne dziecko.

- Za ciężko pracujesz - upomniała przyjaciółkę Lena.

- Cieszę się, że jest przy czym pomagać.

- Mam więcej pracy, niż się spodziewałam, za to mniej pieniędzy. - Lena otarła czoło rogiem fartucha.

Mimo chłodu na dworze, w domu było gorąco jak w łaźni. Od bladego świtu w piekarniku piekło się dziesięć bochenków chleba, a na palnikach gotowała się zupa i bigos.

- To dlatego, że pracujesz dla biedniejszych od siebie. Nie mogą zapłacić ci więcej niż te marne grosze, które zarabiają, a ilu z nich karmisz za darmo?

- To dobrzy i uczciwi ludzie, i muszą coś jeść.

- Nie będę się spierała. Mogłabyś też dożywiać mojego Seamusa, kiedy urodzę i będę zajęta dzieckiem.

- Z przyjemnością, tyle dla mnie zrobiłaś.

- Babcia O'Farell mówi, że na pewno będzie chłopiec. Babcia O'Farell była miejscową akuszerką, która słynęła

z trafnych przepowiedni.

- Nie będzie ci przypominał Tommy'ego?

- Nie. Tommy odwiedza mnie we śnie. Mimo gorąca, Lenę przeszył zimny dreszcz.

- Katie, co ty wygadujesz?

- Tommy przychodzi do mnie, bo tęskni i nie może zaznać spokoju.

- Przecież został ochrzczony i jest wśród aniołów. Sama tak mówiłaś.

- Tak, ale nadal za mną tęskni. Nie wierzysz mi?

Lena zamilkła. Co mogła wiedzieć o miłości matki do syna? Być może Tommy naprawdę powracał do Katie w snach, a dla niej największą radością było to, że ukochane dziecko pamięta o niej nawet w niebie...

- Kiedyś zrozumiesz - powiedziała Katie.

- Tak myślisz? Jestem zamężna od trzech lat i wciąż nie mam dzieci. I nie dlatego, że się nie staramy.

- Tego akurat jestem pewna, moja droga.

Było zbyt gorąco, żeby się rumienić, a Lena była mężatką dostatecznie długo, by nie krępowały ją już podobne rozmowy.

- Może za często próbujemy?

- Prosiłaś ojca MeSweeneya o modlitwę w tej intencji?

- Naturalnie. - Lena wyobraziła sobie, jak Katie wznosi od czasu do czasu modlitwy za nią i Terry'ego.

- Być może jest nam przeznaczone, żeby najpierw sprowadzić tu nasze rodziny. Wiesz, już prawie uzbieraliśmy potrzebną sumę. Moja matka jakoś sobie radzi, odkąd zamieszkała z kuzynem w

Dublinie, ale rodzice Terry'ego muszą jak najszybciej przyjechać, póki nie są za starzy na taką podróż.

- Więc to błogosławieństwo, że nie macie potomstwa. Może tak postanowił Bóg.

Lena nie potrafiła pogodzić się z takim wyrokiem. Minie kilka miesięcy od chwili wysłania do Irlandii odpowiedniej sumy, nim Tierneyowie przyjadą do Cleveland. Sądziła, że jej zarobki to przyspieszą, ale część niewielkich zysków pochłaniały raty dla Rowana.

Złapała się na tym, że zaczyna się nad sobą użalać.

- Cóż, dziś może zarobię kilka centów, bo ugotowałam więcej niż zwykle. Im zimniej na dworze, tym oni więcej jedzą. Pozwól, że ci się odwdzięczę za pomoc i zaniosę zupę i chleb. Nie będziesz musiała sama gotować, w twoim stanie powinnaś jak najwięcej odpoczywać.

- Niech będzie - zgodziła się Katie.

Lena była zaskoczona, bo przyjaciółka zwykle odmawiała, kiedy oferowała jej pomoc.

- Świetnie. Zaniosę ci w drodze do doków.

- Zostaw trochę więcej, żeby starczyło dla akuszerki.

- Co ty mówisz? - Lena zamarła.

- Jeszcze dziś Seamus po raz kolejny zostanie ojcem.

- Jezus Maria! Musisz natychmiast wracać do domu. Mam się zająć Laurie i Annie? - Lena była straszliwie przejęta.

- Jak zawieziesz obiad do doków z dwojgiem dzieci na rękach? - zaśmiała się Katie. - Akuszerka się nimi zajmie albo wezwie do pomocy sąsiadkę. Poza tym lubię mieć je przy sobie.

Katie stale zamartwiała się o dzieci. Od śmierci Tommy'ego stała się nadopiekuńcza.

- Zawiozę obiad, a jak wrócę, zajmę się dziećmi - zapewniła Lena.

- Świetnie. Muszę już iść.

- Pójdę z tobą...

- Kochana - uspokoila ją Katie - nie urodzę dziecka po

drodze, masz moje słowo. Czekają mnie dwie godziny ciężkiego wysiłku, więc spacer dobrze mi zrobi. - Przywołała Laurie, która bawiła się szmacianymi lalkami. Lena obiecała przynieść je później i mała grzecznie wyszła z mamą i siostrą.

Energicznie zabrała się do ostatnich przygotowań, nie chciała bowiem zmarnotrawić ani minuty. Katie może sobie żartować, ale Lena zdążyła już asystować przy kilku porodach i wiedziała, że kolejne dzieci przychodzą na świat szybko.

Postawiła przy tylnych drzwiach wózek z dyszlem, który zmontowali dla niej Terence i Rowan, i zaczęła ładować gorące, ciężkie garnki. Obłożyła je bochenkami chleba, żeby były ciepłe, a na wierzchu ustawiła kosz z jabłecznikiem, który upiekła poprzedniej nocy. Na samej górze starannie ułożyła sztucce i aluminiowe talerze. Te naczynia sporo kosztowały, choć Rowan odkupił je po okazyjnej cenie od właściciela baru, który zbankrutował, dlatego zawsze czekała, aż robotnicy skończą posiłek, by je zebrać i nie stracić ani jednej sztuki.

Droga do doków zajęła jej kwadrans, dłużej niż zwykle, bo musiała zмагаć się z silnym, zimnym wiatrem. Po drodze wpadła na chwilę do Katie, by się upewnić, czy przyjaciółka bezpiecznie dotarła do domu. Akuszerka szykowała się do odebrania porodu i było jasne, że nim Seamus wróci z pracy, dom wypełni krzyk noworodka. Katie wymusiła na Lenie obietnicę, że nic nie powie Seamusowi, żeby się niepotrzebnie nie martwił.

- Zrobimy mu niespodziankę - zażartowała.

Lena zapewniła ją, że nie piśnie słówka, i ruszyła w drogę do doków.

Choć codziennie tam bywała, wciąż napawał ją trwogą widok olbrzymich drewnianych barek służących do przewożenia rudy żelaza, przycumowanych wzdłuż brzegu rzeki. Terence powiedział, że zaczęto konstruować jeszcze większe statki, zbudowane ze stali.

- Niektórzy wątpią, czy utrzymają się na wodzie, ale ten, kto wykonał pierwszą drewnianą łódź, pewnie słyszał to samo.

Wyspa Whiskey nie była bezpiecznym miejscem. Grasowały tu bandy opryszków i złodziei, często dochodziło do bójek, rabusie czyhali na mężczyzn wychodzących z barów, a kradzieże w dokach były zjawiskiem nagminnym. Rowan opowiadał jej o nocnym stróżu, który zginął podczas jednego z napadów, i o innym, który ledwie uszedł z życiem

Mimo to Lena nie czuła strachu, bowiem szacunek dla kobiet okazywali nawet najwięksi degeneraci i rzadko stawały się one ofiarami przestępstw. Mąż mógł podnieść głos na żonę, czasem nawet użyć wobec niej siły, ale każdy mężczyzna, który znieważył cudzą małżonkę lub siostrę, mógł być pewien, że jej rodzina nie spocznie, póki nie wymierzy sprawiedliwości na własną rękę. Lena nie chciała kusić losu i rzadko wychodziła z domu po zmroku, ale w biały dzień, nawet w tym męskim bastionie, nie miała się czego obawiać.

Od Terence'a wiedziała, że rozładowanie jednej barki z trzystoma tonami rudy zajmowało stu ludziom cztery dni. Kiedy pracował tu Darrin, wszystkie prace wykonywane były siłą ludzkich rąk. Robotnicy szuflami załadowywali taczki i po ułożonym z desek trapie wywozili rudę na powierzchnię, gdzie czekały wagony kolejowe.

Terence miał więcej szczęścia, istniał już bowiem system wyciągów. Robotnicy w ładowni napełniali rudą wiadra, zawieszane na linie i bloczku, które następnie na pokład wyciągały muły. Nie musiał więc z ciężkimi taczkami pokonywać drogi na powierzchnię, za to niemal wcale, prócz krótkiej przerwy obiadowej, przez dwanaście godzin dziennie nie widywał słońca.

Podczas zimy przepastne ładownie zamarzały, wiosną i jesienią przesiąkały wilgocią, zaś latem panowała w nich okropna

duchota. Cierpiący na klaustrofobię nie mógłby tam pracować. Każdego poranka, tuż po rozpoczęciu pracy, czerwony pył wzbijał się w powietrze i wciskał do płuc, dlatego wszyscy robotnicy nabawili się chronicznego kaszlu.

Lena przekroczyła tory, minęła zaprzęg mułów i natknęła się na grupkę robotników, którzy wytęsknioną chwilę odpoczynku spędzali jak najdalej od znieawidzonych ładowni. Mężczyźni unieśli na jej widok czapki, odsłaniając niepokryte pyłem włosy, co dawało dość zabawny efekt. Jeden kupił kromkę chleba i jabłecznik, ale wszyscy wiedzieli, że w tym miejscu nie poda im zupy ani bigosu. Codziennie ustawiała się ze swoim wózkiem nad rzeką i tam rozdelała porcje. Gdyby nie pilnowała klientów, bez wątpienia nie ujrzałaby więcej swoich cennych talerzy i sztućców.

W tłumie szukała wzrokiem Terry'ego, ale wszyscy mężczyźni, ubrani w takie same spodnie na szelkach i czapki oraz pokryci warstwą czerwonego pyłu, wyglądali podobnie. Postawiła wózek na niewielkim wzniesieniu nad brzegiem rzeki. Była nieco wcześniej niż zwykle i mężczyźni niespiesznie schodzili się na posiłek, przeciągając się, by rozluźnić napięte mięśnie. Mimo zimnego wiatru i niskich ołowianych chmur przesłaniających słońce, byli zadowoleni, że znów są na powierzchni i mogą swobodnie oddychać.

W końcu w grupce sześciu mężczyzn rozpoznała sylwetkę męża. Był najwyższy i najszczuplejszy. Miał na sobie sweter, który dla niego zrobiła, a szyję obwiązał wełnianym szalikiem. Stale marzył, bo za mało jadł i za dużo pracował. Należał jednak do silnych ludzi i nigdy nie narzekał.

Obok niego dostrzegła Seamusa Sullivana, który dla kontrastu był niski i nieźle, jak na biedaka, odżywiony. Choć Katie nie posiadała takich umiejętności kulinarnych jak Lena, dobrze karmiła członków swojej rodziny.

Seamus rozpromienił się na widok Leny i pomachał jej z daleka na powitanie. Był równie prostolinijny, jak sumienna była jego żona. Po śmierci Tommy'ego rozpaczał i upijał się na umór, po czym szybko wrócił do równowagi. Nie znaczyło to, że kochał syna mniej niż Katie, ale w przeciwieństwie do niej rozumiał, że człowiek nie wygra z przeznaczeniem.

- Widziałaś Katie? - spytał, kiedy podeszli bliżej.

- Pewnie. Kazałam jej zostać w domu i obiecałam, że cię dziś nakarmię.

- Na miłość boską, ona rodzi!

- Skąd taki pomysł?

- Gdyby tak nie było, na pewno sama przyniosłaby mi obiad.

- Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

- Nie powiesz mężczyźnie, czy zostanie ojcem?

- Nie, jeśli zabrania tego jego żona. Uśmiechnął się, odsłaniając rząd zapyłonych zębów. Terence nie pocałował jej ani nie objął, tylko uśmiechnął się na powitanie.

- Przywiozłaś nam coś smacznego w to zimne popołudnie?

- Oczywiście - zapewniła, unosząc pokrywki. - Wybierzcie sobie, zanim przyjdą inni. Seamus, ty pierwszy.

W powietrzu rozszedł się zapach irlandzkiego bigosu. Dodała do niego rzepę, ziemniaki i marchew, tak jak lubili robotnicy. Sporządzała rozmaite kombinacje tych samych potraw i za każdym razem otrzymywała zdumiewający rezultat.

- Niech będzie bigos - zdecydował się Seamus, sięgając do kieszeni po monety.

- Daj spokój - upomniała go Lena. - Nie mam zamiaru brać od ciebie pieniędzy. - Podała mu miszkę z dymiącą potrawą i pajdę chleba. - Na deser będzie jabłecznik. A co dla mojego pana i władcy? - zapytała męża.

Terence uśmiechnął się czułe.

- A co dostanę na kolację?

- To, co zostanie z obiadu.

- Zatem bigos.

Nałożyła dragą miskę, tak samo jak dla Seamusa, wyszukując w garnku mięso. Inni nie będą mieli tyle szczęścia.

- Przed końcem tygodnia spadnie śnieg - zauważył Terence, biorąc z jej rąk talerz. - Czuję to w powietrzu.

Lena nie mogła się doczekać śniegu, mimo że utrudniał jej ciągnięcie wózka. Świeży puch okrywał czystą powłoką huty, fabryki i gnijące sterty śmieci. Nim bezlitosny pył z kominów zdąży poczernić nieskazitelną biel, świat będzie wydawał się świeższy, a powietrze czystsze.

- Na Euclid Avenue zorganizują kulig i wyścigi - powiedział Terence. - Chciałabyś je zobaczyć? W tym roku nie opuścimy tej okazji.

Była zachwycona. Ostatnie dwa lata nie miała serca, by dręczyć Terence'a wyścigami, choć Rowan kilkakrotnie o nich wspominał. Widziała, jak zmordowany mąż wracał z pracy i jak wiele zawsze było w domu do roboty.

Zdawała sobie sprawę, jak działa na niego widok wspaniałych rezydencji. Nie dawała mu spokoju świadomość, że ludzie, którzy zmuszali Irlandczyków do niewolniczej pracy za podłe pieniądze, żyli tu jak królowie. Katie zabrała kiedyś Lenę w Aleję Milionerów. Obie kobiety przez godzinę w milczeniu spacerowały po kamiennym chodniku i podziwiała luksusowe wille bogaczy.

- Skoro masz ochotę - słowa więzły jej w gardle. Pragnęła z całej duszy zobaczyć wyścigi. W ich trudnym życiu nie było czasu na śmiech, rozrywkę i piękno. Choć na jedno popołudnie chciała zapomnieć, jak ciężko pracują i jak niewiele z tego mają. Terence dawał jej szczęście, nie wyobrażała sobie życia

bez niego, ale była młoda i wciąż miała nadzieję na lepszą egzystencję.

- Pewnie, że mam. Pójdziemy, jak tylko spadnie pierwszy śnieg. - Terence uszczypnął ją lekko w policzek, pozostawiając na skórze rdzawą smugę. Miała ochotę pocałować go ze szczęścia, ale odszedł na bok, żeby ustąpić miejsca tłoczącym się przy wózku robotnikom. Kiedy Terence i Seamus po skończonym posiłku oddali naczynia, pomachała im na pożegnanie. Nakładała kolejne porcje, aż zostało trochę zupy i bigosu na kolację. Kiedy wszyscy zaspokoiли apetyt, zebrała naczynia i zapakowała je na wózek.

Wtem usłyszała za sobą znajomy głos.

- Wygląda na to, że świetnie ci'<lziś poszło.

Odwróciła się i zobaczyła ojca McSweeneya, ostatnią osobę, którą spodziewała się to spotkać. Był zaledwie o dziesięć lat starszy od Terry'ego, miał brązowe włosy i oczy tak niebieskie, że swą barwą przypominały jezioro w słoneczny dzień. Szerokie barki i krzepka sylwetka świadczyły o dużej sile. Mężczyznom podobało się, że ich ojczulek potrafiłby pokonać niejednego z nich w walce na pięści, gdyby do niej doszło.

Kobiety, kiedy ich myśli schodziły na grzeszne tory, wzdychały i ubolewały, że taki przystojniak wybrał życie w celibacie.

Lena wyprostowała się i wygładziła ubranie W Irlandii w obecności swojego proboszcza zawsze stawała się nerwowa.

- Poszło znakomicie. Wszystko sprzedałam i nawet mam niewielki zysk.

- Wielu parafian karmisz prawie za darmo. Możesz być z siebie dumna.

- Myślałam, że duma to grzech - odparła z uśmiechem, nieco już uspokojona.

- Tylko w nadmiarze - odwzajemnił uśmiech.

- A co ksiądz tu porabia?
 - Niektórzy mężczyźni z doków rzadko pojawiają się na niedzielnej mszy, więc od czasu do czasu daję im znać, że to zauważam, i wtedy następnej niedzieli widzę ich w kościele.
 - Zostało trochę zupy, ale zabrakło czystych misek.
 - Nie trzeba, już jadłem. Wracam na plebanię. Mogę ci towarzyszyć?
 - To będzie dla mnie zaszczyt.
 - Jak taka drobna kobieta radzi sobie z takim ciężkim wózkiem?
 - Jesteśmy silniejsze, niż się mężczyznom wydaje. Gdybym musiała ciągnąć wózek w uprzęży dla mułów, też dałabym radę.
 - Nie obrazisz się, jeśli tym razem wyręcę cię?
 - To nie wypada.
 - Brakuje mi fizycznych ćwiczeń, chyba nie odmówisz mi możliwości polepszenia kondycji?
 - Umie ojciec przekonywać. Na scenie zrobiłby ojciec wielką karierę.
- Przez jakiś czas szli w milczeniu.
- Jak ci się podoba życie tutaj, Leno? - zagadnął McSweeney, kiedy opuścili doki. - Tęsknisz za Irlandią?
 - Tylko za matką.
 - Przyjedzie do ciebie?
 - Najpierw ściągniemy rodziców Terence'a, potem zaczniemy odkładać na jej przyjazd. Bilety są coraz droższe. - Zarobki Terry'ego pewnie nie rosną?
 - Może znalazłby lepszą pracę, ale po pracy w dokach nie ma siły na szukanie.
 - Chciałbym wam jakoś pomóc, ale sam jestem Irlandczykiem i moje wstawiennictwo niewiele pomoże.
- Lena dobrze wiedziała, że to prawda. Tylko nielicznym wy-

brańcom, takim jak Rowan, udawało się zdobyć posadę dróżnika, strażaka czy policjanta, bo Irlandczyków z reguły zatrudniano do najgorszych robót. Uważano ich za nieokiełzanych, kłótliwych i niegodnych zaufania, a poza tym dla protestanckiej większości mieszkającej w Cleveland katolicka wiara wydawała się mocno podejrzana. - Damy sobie radę - zapewniła Lena.

- Nie wątpię.

Chciała zmienić temat i znalazła wspomniały pretekst.

- Ojciec, Katie Sullivan rodzi kolejne dziecko.

- Właśnie teraz?

- Tak. Babcia O'Farrell twierdzi, że to będzie chłopiec.

- To byłoby wielkie błogosławieństwo. Modliłem się za nich.

- Jestem pewna, że za mnie też.

- Potrzebujesz moich modlitw, Leno?

- Nie bardziej niż inni.

- Mam co do tego wątpliwości.

- A to dlaczego?

- Sądzę, że jeśli uznasz coś za słuszne, nie spocznesz, póki tego nie osiągniesz.

- I dlatego ojciec modli się za moją duszę?

- Jesteś niecierpliwa wobec Boga. Bywa, że wybierasz swoje rozwiązania, a nie Jego.

- Gdyby zaznajomił mnie ze swoimi opiniami, z radością bym ich wysłuchała!

McSweeney roześmiał się.

- Powiedz mi, gdybyś słuchała głosu Boga z ambony i usłyszała go w sercu, to którym z nich byś się kierowała? - Myślę, że tym, który jest donośniejszy.

- I o to właśnie się martwię.

- Czy tak bardzo różnię się od innych?

- Odpowiem ci szczerze, Leno. Jesteś inteligentniejsza niż większość twoich współziomków i masz więcej siły. Nie czekasz, aż Niebo cię oświeci i nie wystarcza ci obietnica lepszego życia po śmierci. Ksiądz miał rację, choć nie chciała się do tego przyznawać.

- Czy istnieje jakiś plan wobec mnie i mojego życia? Coś, co powinnam zrobić, a co zaniedbuję?

- Nie ma takiego planu, ale dam ci radę. Bądź ostrożna, Leno. Z niejasnych powodów boję się o ciebie.

- Czego mam się wystrzegać?

- Wyborów, których nie powinnaś dokonywać. Twój żywy umysł i duży temperament mogą podpowiedzieć ci rozwiązania, których później będziesz żałować. Ktoś, kto kroczy utartym szlakiem, nigdy nie pobłądzi, ty natomiast zdolna jesteś do tego, by szukać nowych dróg. Niestety, niektóre z nich mogą zaprowadzić cię na manowce. Leno, zrozum mnie dobrze. Szanuję cię, a nawet podziwiam, ale też martwię się o ciebie.

Szli Thompson Street w kierunku Union, aż wreszcie zatrzymali się na rogu ulicy Tylera, skąd Lena miała blisko do domu. Ksiądz wręczył jej dyszel wózka.

- Ojczy, nie dokonuję wyborów. Staram się być dobrą żoną, sąsiadką i katoliczką. Nie zamierzam opuścić męża, zdradzać go ani się upijać. Walczę o to, co wydaje mi się słuszne. W moim życiu nie ma tajemnic ani nadzwyczajnych wydarzeń.

- Ale dla ciebie nic nie jest tak proste, jak pozornie mogłoby się wydawać.

Wiedziała, że miał rację. Była skromną żoną robotnika portowego, lecz jej myśli szybowały wysoko, czym różniła się od podobnych jej kobiet.

- Jeśli dokonam złego wyboru, z pewnością ojciec mi o tym powie.

- Czy mnie wtedy wysłuchasz?

239

- Zawsze ojca słucham. - Czy jednak stosuje się do jego zaleceń, to już zupełnie inna sprawa.

Uznał, że dalsza dyskusja była bezcelowa.

- Powiedz Katie i Seamusowi, że przyjdę do nich jutro rano.

- Powiem na pewno. I dziękuję za pomoc. Uśmiechnął się do niej, a jego błękitne oczy zdawały się zaglądać w jej duszę.

- Miłego dnia, Leno. Niech cię Bóg błogosławi. Odprowadzała go wzrokiem, starając się zapomnieć o ostrzeżeniu. Dopiero kilka godzin później, trzymając za rękę Katie, która wydawała na świat syna, zamyśliła się nad słowami duszpasterza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Listopad 1882

Lena miała na sobie pierwszą naprawdę własną sukienkę - nie żaden ciuch po ciotce lub kuzynce, ani też prezent od bogatej damy, której stroje nudzą się zaraz po włożeniu.

Materiał, ciemnozieloną wełenkę, kupiła okazji, gdy jesienna wichura zerwała dach sklepu i zorganizowano wyprzedaż. Po paru poprawkach i doszyciu kontrastowego kołnierzyka barwy kości słoniowej, udało się jej stworzyć prosty lecz wytworny strój. Katie podarowała Lenie grzebyk z kości słoniowej, pięknie pasujący do jej rudych włosów, a Rowan dał st, trzy ręcznie wykonane guziki z kości wieloryba, które kupił przy Public Square. Do Bożego Narodzenia zostało jeszcze kilka tygodni, ale ona dostała już swoje prezenty.

Skończyła szyć sukienkę akurat przed wyprawą na Euclid Avenue, gdzie urządzano kuligi.

- Jesteś pewien, że dobrze wygląda? - Lena przyłożyła suknię do siebie, prezentując swoje dzieło Terence'owi.

- Kochanie, jest niemal tak piękna jak ty - powiedział, ogarniając swoją żonę miłosnym wzrokiem - Będę najszczęśliwszym mężczyzną na Euclid.

Rzuciła mu się w ramiona i pocałowała w usta.

- Będziemy się cudownie bawić, Terry!

- Oczywiście. Zaraz po mszy.

- Tak się cieszę, że napadało śniegu! - Odrzuciła suknię

na krzesło, okręciła się radośnie i klasnęła w ręce. Po prostu nie mogła przestać się uśmiechać. Jednak Terence wyglądał na zafrasowanego.

- Masz za mało przyjemności w życiu, kochana. Jesteś młoda i powinnaś się bawić, a ty harujesz ponad siły.

- Nie mam nic przeciwko ciężkiej pracy, ale od czasu do czasu dobrze jest się zabawić. - Podniosła palcami kąciki jego ust, żeby wymusić uśmiech. - Już o tym zapomniałeś?

Przytulił ją do siebie i spojrzał jej prosto w oczy.

- Pomożesz mi to sobie przypomnieć? - Pocałował ją czule. Dzień był słoneczny, na niebie bieleły się obłoczki i spacer

do Świętej Brygidy sprawił im wiele przyjemności. Ziemię pokryła połyskująca biel; drzewa i dachy fabryk Wyspy Whiskey wyglądały, jakby ktoś posypał je skrzącym się pyłem. Wiatr ucichł prawie zupełnie, a lekki mróz szczypał w policzki.

Im byli bliżej kościoła, tym częściej witali znajomych. Do Świętej Brygidy podążały całe rodziny z małymi dziećmi. Starsze panie dreptały, okutane grubymi szalami, a młode panienki zerkały nieśmiało spod kapeluszy, rozglądając się za przystojnymi kawalerami. Wokół dokazywały psy i umorusane dzieci, sunące z każdej górki w drewnianych skrzynkach z płozami.

Sam kościół, wzniesiony z szarego granitu, był duży i solidny, choć bardzo prosty w konstrukcji. Wewnątrz, nawet latem, panował chłód.

Lena cały czas miała świetny humor. Dzięki bliskości Terence[^] i tłumowi rodaków jej serce wypełniło się ciepłem nadziei i spokoju. Wstawała, klękała, czyniła znak krzyża i znów wstawała, obserwując, jak ojciec McSweeney ze zwykłego księdza przemienia się w boskiego wysłannika. Jego basowy głos dudnił pod sklepieniem świątyni. Proboszcz przestał być zwykłym, dobrym człowiekiem, który służy ludziom, lecz stał się wojownikiem, który przybył, by wypędzić diabła z ich dusz.

Kiedy po przyjęciu komunii świętej wróciła na miejsce, wszystkie wahania i wątpliwości wydały się jej dziecinne i niewarte uwagi. W złotym świetle płonących świec i promieni słonecznych, sączących się do świątyni przez zadymione okna, poczuła błogość i ukojenie.

Od sześciu tygodni nie miała miesięcznego krwawienia, czyli wiele dłużej niż zwykle. Na początku myślała, że się pomyliła, bo każdy tydzień jest podobny do kolejnego, a nie zaznaczała nigdzie swoich dni, gdy jednak krwawienie wciąż się nie pojawiało, Lena zaczęła nabierać nadziei, że zaszła w ciążę. Jakże często modliła się w tym miejscu o dziecko dla Te-rence'a! Teraz radowała się, że jej prośby wreszcie zostały wysłuchane.

Terence oczywiście nie wiedział, o czym myśli jego ukochana żona, ale wybrał ten właśnie moment, by otrzeć się o nią swoim silnym, ciepłym ciałem, które wciąż było źródłem jej największych rozkoszy. Zauważyła, że się w nią wpatrywał i uśmiechnęła się delikatnie, choć nadal patrzyła przed siebie. Pomyślała, jakie to musi być cudowne uczucie, gdy trzyma się na rękach dziecko ukochanego mężczyzny i karmi się je piersią. Dziecko oznacza odpowiedzialność za jeszcze jedno życie, ale ileż przyniesie radości! Nikt nie marzył o macierzyństwie bardziej niż ona.

Kiedy wyszli, zaczął prószyć śnieg i serce Leny zabiło mocniej na samą myśl o nadchodzącej zabawie. Terence podał jej ramię.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę - powiedział.

Oburzyła się, bo poprowadził ją w stronę Wyspy Whiskey.

- Ale mi niespodzianka! Muszę nakarmić męża, zanim pójdziemy na Euclid - prychnęła.

- To właśnie jest niespodzianka. Nie będziesz dziś gotować.

Była zupełnie zaskoczona. Nie potrafiła przypomnieć sobie posiłku, którego by sama nie przygotowywała. Było tak od dnia, w którym nauczyła się rozpalać w piecu.

- Terence, czy...

Uciszył ją, przykładając palec do ust.

- Zaoszczędziliśmy dość pieniędzy, Leno. Dowiadywałem się w piątek, możemy już opłacić podróż mamy i taty. W przyszłym tygodniu kupię bilety i wyślę je do Irlandii. Kiedy się ociepli, będą już z nami.

Czekali na to tak długo, że niemal straciła nadzieję na pomyślny finał całej sprawy. Kiedy rodzice Terry'ego zamieszkają w Cleveland, będą jeszcze musieli zebrać pieniądze dla jej matki. W małym domu na Whiskey zrobi się tłoczno, szczególnie jeśli urodzi się dziecko, gdy jednak zamieszkają razem, szybko zaoszczędzą potrzebną sumę.

Później, kiedy dołączy do nich matka Leny, Terence będzie mógł poszukać lepszej i bezpieczniejszej pracy. Przeniosą się na wzgórze i uciekną od dymów, pyłów i cuchnącej rzeki, aż wreszcie Wyspa Whiskey stanie się tylko odległym wspomnieniem.

- Jesteś pewien, że nam starczy? - Utrzymywała równowagę, opierając się na jego ramionach. - Przecież jest zima i barki przestały wozić rudę.

- Tak, jestem absolutnie pewien, i dlatego będziemy świętować.

Nie zdradził nic więcej, choć wciąż zasypywała go pytaniami. Prowadził ją śliskimi ścieżkami, aż stanęli przed małym hotelikiem, który wielokrotnie mijiała, gdy szła na targ przy Public Square.

Przepuścił ją w wejściu, zachęcając, by weszła do środka.

Hotel nie był zbyt elegancki. Większość klientów stanowili handlowcy, podróżujący od miasta do miasta. Przez szybę w holu zobaczyła, że meble są podniszczone, a tapeta w wielu miejscach odłazi od ścian, a mimo to poczuła się jak w prawdziwym pałacu. Zawahała się w progu.

Terence w lot odczytał jej myśli.

- W porządku, Leno. To miejsce należy do Irlandczyka. Powiedziano mi, że z radością ugoszczą nas w jadalni.

Na drzwiach do sklepów i kawiarni wiele razy widziała napis, który głosił, że ona i jej podobni nie są mile widziani.

- Irlandczyk? Na pewno? Jakim cudem stać go na coś takiego?

- Dzięki ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia. Nam też się powiedzie. Jesteśmy na dobrej drodze, kochana. Czuję to. - Położył rękę na piersi.

Poczuła ogromną ochotę, żeby podzielić się z nim dobrą nowiną o dziecku, które nosiła pod sercem powstrzymała ją jednak myśl, że jeśli te podejrzenia okażą się płonne, Terry ogromnie się rozczaruje. Lepiej będzie poczekać do czasu, aż znikną wszelkie wątpliwości.

Znów wsunęła mężowi rękę pod ramię i spojrzała mu w oczy.

- Miałam wiele szczęścia w życiu, że znalazłam ciebie, Terry - szepnęła.

Ścisnął jej dłoń, pocałował delikatnie w usta i wprowadził na salę.

Terence miał skrupulatnie odliczone pieniądze na obiad w hotelu i na tramwaj. Każdego dnia Lena oddawała mu zysk ze sprzedaży jedzenia, a on na początku miesiąca planował wydatki i nadwyżkę chował pod obluzowaną deską w podłodze. Najszczęśliwszym dniem miał być ten, w którym opróżni

metalowe pudełko i kupi rodzicom bilety na podróż. Wiedział jednak, że Lenie już dawno należał się odświętny dzień i pieniądze na ten cel musiały się znaleźć.

- Och, spójrz na to. Czy widziałeś coś tak wspaniałego?!

- wykrzykiwała co chwila w zachwycie, podziwiając bogate fasady domów.

Terence sam nie wiedział, w którą stronę patrzeć. Byli biedakami, którzy nagle znaleźli się w świecie należącym do bogaczy.

- Nigdy nie widziałem tak wspaniałych domów - zgodził się z Leną. - Ani takiej niesprawiedliwości - dodał.

Mocniej ścisnęła go za ramię.

- Myślisz, że ci ludzie nie cierpią tak jak my? - zapytała.

- Jestem pewna, że na koniec każdego dnia też są zmęczeni. Pomyśl o tym. Dopilnować służby, chodzić na bale i bankiety, w święta jechać na wieś, wizytować doki i huty, żeby się upewnić, czy ich pieniądze są bezpieczne... - Potrząsnęła głową ze smutkiem. - Moje serce jest wrażliwe na ich troski, twoje również powinno.

Zaśmiał się, nie wiedząc, czy nie żartuje.

- Niezłe przemówienie, ale daj już temu spokój i ciesz się z pięknego dnia.

A dzień rzeczywiście był piękny. Gałęzie ogromnych wiązów przy Euclid Avenue aż uginały się pod ciężarem skrzącego się śniegu, a jezdnia była zupełnie biała i przypominała rzekę, po której pływały sanie.

- Ludzie, którzy tu mieszkają, są zbyt wrażliwi, aby znieść hałas tramwajów jeżdżących przed ich domami, dlatego mogą urządzać wyścigi sań - wyjaśnił Terry. — Tory skręcają w Erie Street, tam, gdzie wysiedliśmy, i ciągną się dalej wzdłuż Case Street.

- A Rowan dziś tu pracuje?

- Chyba rano miał służbę - odpowiedział tajemniczo. Rowan miał za zadanie zorganizować" kolejną niespodziankę.

- Teraz rozumiem, dlaczego lubi chodzić" do pracy.

- Kiedy spadnie śnieg, policja zatrzymuje ruch na całej ulicy, żeby nikt nie przeszkadzał w kuligach.

- "Cóż to musi być za wspaniałe zajęcie! Oglądać te cuda każdego dnia...

Wolno spacerowali, oglądając olbrzymie rezydencje, schowane za rozległymi ogrodami i parkami, oraz kolorowe zaprzęgi sań.

A było na co popatrzeć. Terence dotąd nie zdawał sobie sprawy, że jednokonne, małe sanki wyścigowe mogą aż tak różnić się między sobą. Jedne pomalowano na jasne kolory, na innych widniały górskie krajobrazy albo dzikie bestie. Jeszcze inne, wyłożone lśniąącymi materiałami, pyszniły się rzeźbami. Równie wspaniałe były rasowe konie, które je ciągnęły.

Bardziej eleganckie i komfortowe sanie służyły do przejażdżek. Zaprzęgano je w parę koni i mogły pomieścić dwie osoby oraz woźnicę. Najbardziej wytworne wyłożono miękkimi futrami, a ich metalowe części były pozłacane bądź posrebrzane, natomiast inne przypominały wielkie barwne skrzynie na metalowych płozach. Stroje osób delektujących się sanna zdradzały gust i możliwości właścicieli. Panie w jedwabiach i w sobolach oraz panowie w futrach i frakach wymijali się z towarzystwem odzianym w niedrogie kozuchy. Wszyscy sunęli po białej tafli niczym łabędzie po letnim stawie.

- Terry, spójrz na te konie! - Lena wskazała na parę gniadych rumaków z identycznymi białymi gwiazdkami na czole. Dostojnie podnosząc kopyta, ciągnęły powoli duże sanie.

- Widziałeś ich uprzęże?

Sprzączki, obręcze i rozetki na uzdach błyszcząły srebrem.

Wszystkie konie na ulicy miały nałożone dzwoneczki, które dźwięczały radośnie podczas jazdy, ale ta para miała girlandy dzwoneczków włożonych na szyje, a oprócz tego dodatkową obręcz na miejscu siodła. Terence uznał, że przy tej muzyce chóry anielskie brzmią dość marnie. Lena z przejęciem ściszyła głos.

- Ciekawe jakie to uczucie, jechać takim zaprzęgiem? Chyba jakby się fruwało!

- Kiedy pędzą z całych sił, to pewnie tak, ale Rowan mówi, że niedziele są najspokojniejsze, bo nikt się nie ściga.

- A to dlatego, że Irlandczycy w pozostałe dni pracują i nie ma powodu, żeby mieli darmową rozrywkę w jedyny wolny dzień, nie sądzisz?

Zaśmiał się. Lena miała wyjątkowo dobry humor. Troskliwie poprawił jej pelerynę i poszli dalej.

Popołudnie mijało powoli, a każdy dom i każde sanie składały się na nieskończoną, barwną panoramę. Terence do bólu zdawał sobie sprawę, że on i Lena nie należą do tego miejsca, ale przynajmniej mogli być widzami tego porywającego widowiska.

Przystanęli na chwilę, żeby ogrzać się przy małym ognisku. Terence kupił od sprzedawcy gorący ziemniak, świeżo wyjęty z popiołu. Podawali go sobie na zmianę z Leną, żeby ogrzać dłonie, aż wystygł i można było go zjeść. Terry wmusił w żonę niewielki kawałek, aby ją wzmocnić.

Widział, że Lena świetnie się bawi i na tych kilka godzin zapomniała o codziennych troskach. Z całą pewnością była najpiękniejszą ze spacerujących kobiet. Choć inne pyszniły się drogimi, szykownymi futrami i mnóstwem kosztowności, nic nie mogło przyćmić jej zjawiskowej urody. Co chwila łowił pełne zachwyty spojrzenia, którymi ścigali ją mężczyźni, a Lena, wpatrzona w piękny świat i w męża, nawet tego nie zauważała. Wprawdzie nowa sukienka, która sprawiła jej tyle

radości, tu wyglądała jak uniform służącej, za to jej włosy jarzyły się jak płomień świecy w ciemności, a twarz o porcelanowej cerze jaśniała radosnym uśmiechem.

Chciał dać jej wszystko. Księżyc, słońce, nawet niebo z nagrodami, które czekają na ludzi po śmierci. Chciał kupić jej parę najpiękniejszych koni i misternie zdobione sanie, pomalowane w różne odcienie zieleni na pamiątkę ich rodzinnej szmaragdowej wyspy, lecz musiała wystarczyć mu radość, iż mógł kupić bilet tramwajowy i patrzeć na szczęście ukochanej kobiety.

- Pójdziemy do tramwaju? - zapytała nagle. Przytulił ją mocniej.

- Dlaczego? Czyżbyś już zmarła?

- Nie, ale wiem, że jesteś zmęczony, kochanie. A jeśli mamy pójść z powrotem pieszo...

- Możemy złapać tramwaj gdzieś po drodze. Nie ma się o co martwić.

- Ty też potrzebujesz dnia odpoczynku, Terry - uśmiechnęła się do niego.

- Więcej przyjemności sprawia mi spędzanie czasu z tobą. - Tak bardzo zapatrzył się w jej śliczną twarz, że nie zauważył mężczyzny, którego od jakiegoś czasu oczekiwał. Nadejście Rowana zaskoczyło go tak samo jak Lenę.

- Tu się podziewacie! Szukam was już diabelnie długo.

- Witaj! - rozpromieniła się Lena. - Mieliśmy nadzieję cię spotkać.

Mężczyźni wymienili ukradkowe spojrzenia. Rowan przytaknął, widząc pytający wzrok przyjaciela, czym niezmiernie go ucieszył.

Rowan otaksował Lenę zachwyconym wzrokiem.

- Jaka piękna sukienka. Wyglądasz w niej cudownie, moja droga!

- Naprawdę?

- Oj, stary, teraz Lena nie da ci już spokoju - ostrzegł Terence. - Dopiero niedawno udało mi się skończyć z tym tematem.

Szturchnęła go lekko.

- Podziwianie żony to obowiązek męża.

- On nigdy nie przestanie tego robić, moja droga - oświadczył uprzejmie Rowan. - Masz w sobie coś, co każe wciąż od nowa zachwycać się tobą.

- Może posłuchasz przez chwilę najlepszego przyjaciela i czegoś się nauczysz? - namawiała rozbawiona Lena, wymownie zerkając na Terence'a.

- Niestety nie widzę, by ów najlepszy-przyjaciel miał jakąś panią, którą by adorował tak usilnie, jak ciebie.

- Tylko dlatego, że nie dość dokładnie patrzyłeś. - Rowan zanurkował nagle w tłum, po chwili zobaczyli, że prowadzi ku nim uśmiechniętą, zgrabną młodą kobietę w szarym płaszczu.

Kiedy się zbliżyli, przedstawił ją przyjaciółom.

- Pozwólcie, to panna Nani Borz.

Przez chwilę witali się, wymieniając uprzejmości. Ze śpiewnego akcentu Nani łatwo można było odgadnąć, że nie urodziła się w Ameryce. Miała ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy, krótki nos i kwadratowy podbródek. Jej uśmiech był wyjątkowo ciepły i przyjazny. Terence z miejsca poczuł do niej sympatię.

- Nani pracuje jako służąca w jednym z tutejszych domów - wyjaśnił Rowan. - Jej rodzina pochodzi z małej wsi pod Budapesztem.

- Jestem pokojówką u Simeonów. - Nani wkładała i zdejmowała rękawiczki. Widać było, że rozsadza ją energia, którą musiała jakoś rozładować.

- A w którym domu? - zapytał Terence. - Zgaduję, że to

musi być ten sam Simeon, dla którego każdego dnia przeładowuję rudę.

- Ten sam - potwierdził Rowan. - Szanowny pan James. Znany z handlu żelazem, a ostatnio także stalą. Pójdźmy tamtędy. - Objął Nani ramieniem i ruszyli.

- Lubisz swoją pracę, Nani? - Głos Leny był przyjazny i Terence zauważył, że jej także przypadła do gustu nowa towarzyszka.

Nani milczała przez chwilę i w końcu odezwała się cicho.

- Pani Simeon to dobra kobieta. Wszystko, co dla niej robię... jak to się mówi? To dla mnie przyjemność.

- Mają szczęście, że jest u nich Nani - powiedział Rowan. - Pracuje za dwie i nie narzeka.

- To ja mam szczęście, że znalazłam tę pracę. Komuś takiemu jak ja nie przychodzi to łatwo.

- A dom? Czy wygląda jak te pałace? - Lena pokazała na budynki, które mijali.

Jeden z nich wyrastał z ogromnego trawnika, ozdobionego % szpalerem strzyżonych krzewów, i był prawdziwym dziełem architektury stworzonym z kamienia i cegły, z mnóstwem wieżyczek, okien i łuków. Drugi był skromniejszy, a przez to bardziej elegancki. Biała kolumnada na piętrze kryła rząd wąskich i wysokich okien, a jedna strona budynku stanowiła lustrzane odbicie drugiej.

- Pan Simeon otacza się najlepszymi rzeczami, jedynymi w swoim rodzaju - powiedziała Nani.

Rowan uśmiechnął się.

- To właśnie u niego kupiłem kuchenkę dla ciebie - wyjaśnił Lenie. - Kiedy dowiedział się, że rynek oferuje coś lepszego, chciał jak najszybciej pozbyć się starej.

Terence próbował sobie wyobrazić, jak się mieszka w takim pałacu z bajki, ale nie potrafił. Ich życie tak bardzo różniło

się od życia Simeonów, że równie dobrze mogliby mieszkać na różnych planetach.

- Tam już jeżdżą tramwaje. - Rowan wskazał na kamienice przed nimi. - Sanie zawracają tu i jadą drogą, którą przyszliśmy. Kiedy się ścigają, właśnie tutaj jest linia startu. Gdy znajdzie się rywala, reszta sań usuwa się na bok i wszyscy przyglądają się zawodom.

- Taki widok jest niesamowity. Z okna na piętrze widzę dokładnie, jak pędzą, aż lód pryska spod kopyt
- dodała Nani. - A tam jest dom pana Simeona - pokazała ręką.

Za wysokimi drzewami można było dostrzec kominy. Terence domyślał się, że w lecie dom był niemal zupełnie niewidoczny, gdyż znajdował się dalej od ulicy niż inne. W miarę jak się zbliżali, zarys budowli stawał się coraz wyraźniejszy.

Zabrakło mu tchu w piersiach. Wszystkie domy na Euclid wzbudzały zazdrość, ale ten wywoływał niemal obsesyjne uczucia. Na pewno w całej Europie nie znalazłby droższej i bardziej ekstrawaganckiej rezydencji.

- Urodzony dla bogactwa - powiedział cicho. - Dżentelmen z urodzenia.

- Doprawdy? Nie sądzę - zaoponowała Nani. Zatrzymała się, żeby mogli dokładnie przyjrzeć się budowli. - Pan Simeon nie urodził się w zamożnej rodzinie i wcale nie jest dżentelmenem. Może i pochodzi z małej wsi w dalekim kraju, ale swoje wiem.

- A co to za różnica? - zapytała Lena - Wszyscy mężczyźni jedzą, piją, śpią i robią kilka innych rzeczy. Czy mężczyzna staje się dżentelmenem tylko dlatego, że nie musi ciężko tyrać?

- To nie ma z tym nic wspólnego.

- Może chodzi o maniery?

- Najbiedniejszy człowiek z mojej wioski mógłby się ich wyuczyć.

- Więc co takiego?

Nani zamilkła, ale Terence był tak pochłonięty oglądaniem domu, że nawet tego nie zauważył. Ciemna, kamienna konstrukcja przypominała mu średniowieczną fortecę z wieżyczkami obserwacyjnymi, sugerującymi obecność ukrytych łuczników. Każdy detal doskonale pasował do całości i odnosiło się wrażenie, że inspiracją dla architekta była obronna twierdza.

Tutaj, w otoczeniu mniejszych i łagodniejszych w formie budynków, rezydencja Simeona wyróżniała się wielkością i charakterem. Wybudowano ją po to, by zastraszala i rzucała wyzwanie. Nie zdołał jej przysłonić nawet szpaler starych drzew, ciągnący się od ogrodzenia aż po samo wejście.

Nani znów zaczęła mówić:

- Widzicie, myślę o tym, jak on traktuje ludzi. Prawdziwy dżentelmen doskonale rozumie swoją pozycję i nie musi ciągle uświadamiać tego innym.

- Pan Simeon tak robi? - odezwał się Rowan.

- Nie jest okrutny, ale zawsze krąży gdzieś obok. Rozumiecie? Stale obserwuje, zawsze się upewnia, że wszystko jest... doskonałe.

- Więc musisz być z siebie dumna, że pomyślnie przeszłaś taki sprawdzian - stwierdził Terence.

Roześmiała się, a ów zaraźliwy śmiech rozładował napięcie, jakie niepostrzeżenie wkradło się do rozmowy.

- Zostanę tam ze względu na panią Simeon. Ona bardzo potrzebuje przyjaciół... - urwała. - I bardzo dobrze zarabiam, jestem w stanie zapewnić rodzinie niemal wszystko.

Ruszyli dalej, ale kiedy minęli bramę posiadłości, Terence jeszcze raz zerknął przez ramię na dom. Zauważył, że Lena robi to samo.

- Hej, spójrzcie na to! - zawołał Rowan w kilka minut później, gdy dochodzili do końca ulicy.
 - Na co? - zapytał Terence, szukając wzrokiem czegoś szczególnego.
 - Przed nami stoją puste sanie.
 - A niby dlaczego mamy się nimi interesować? Chcesz je ukraść? - Lena popatrzyła karcąco na przyjaciela.
 - Jest w nich woźnica, ale chyba brakuje pasażerów - zachęcał z uśmiechem Rowan.
 - Z całą pewnością nie takich jak my - ucięła.
 - Myślałem właśnie o nas - odpowiedział. - Zapytać woźnicę?
 - Nie wiesz, co jest w garnku, dopókrnie uniesiesz pokrywki - skomentował Terence, a oko mu błysnęło. - Wystarczająco często słyszałem to od Katie.
- Lena chciała go powstrzymać.
- Terry, te sanie na pewno do kogoś należą i nie spodoba mu się, że ich używaliśmy, nawet jeśli woźnica się zgodzi.
- Rowan ujął ją za drugie ramię.
- Nie bój się, moja droga, właściciel nie będzie miał nic przeciwko temu. Widzisz, obiecano mi tę przejażdżkę. Sanie należą do mojego przełożonego i w ten sposób odwdzięcza mi się za przysługę, którą mu wyświadczyłem.
- W rzeczywistości Rowan wygrał zakład, o czym wiedział tylko Terence.
- Nani, wiedziałaś o tym! - Lena podejrzliwie zerknęła na nową przyjaciółkę.
 - Aż do tej chwili nie!
 - A jechałaś już saniami?
 - Aż do tej chwili "nie! - Nani klasnęła w ręce.
 - Najwyższy czas to nadrobić - podsumował Rowan. - Chodźmy, drogie panie. Jedźmy, póki trwa piękna sanna!

Panowie pomogli swoim damom wsiąść do sań. Ich zimowy rydwan nie należał do największych, ale udało im się wcisnąć we czwórkę na dwa przeciwległe siedzenia. Okryli nogi bizo-nimi skórami: Na twarzy Leny malowało się bezgraniczne szczęście i Terence ledwie mógł spokojnie usiedzieć, tak cudownie wyglądała. Chwycił jej dłonie ubrane w cienkie rękawiczki, wsunął pod futro i ogrzał między swoimi dłońmi. Lena wiedziała, że zapamięta tę krótką, cudownie szczęśliwą chwilę do końca życia. Nawet jeśli los będzie im sprzyjał i staną się na tyle zamożni, by móc sobie na wszystko pozwolić, na zawsze zapamięta ten właśnie moment.

Konie, jeden gniady, drugi siwy, były rosłe i silne. Ruszyły żwawo na cmoknięcie woźnicy, bez wysiłku ciągnąc swój ciężar. Sanie były proste, bez ozdób, koni nie dobrano maścią, a pasażerom nie dano do okrycia futer z fok lub niedźwiedzi, mimo to Terence czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Jechali drogą, którą przyszli, szybko nabierając rozpędu. *W pewnej chwili musieli zwolnić, bo z jednej z bram wyjechały na ulicę lśniące czarne sanie Ze złotym inicjałem na burtach. Terence domyślił się, że ten piękny pojazd musi należeć do Jamesa Simeona.

- Sanie prowadzi pan James. Co będzie, jeśli mnie zobaczy? - przestraszyła się Nani.

- Pomyśli, że znalazłaś przyjaciół, z którymi wybrałaś się na przejażdżkę - uspokoił ją Rowan. - To twoje wolne popołudnie. Nie ma prawa ci mówić, jak masz je spędzać.

Uspokoiła się trochę, ale mówiła znacznie ciszej, jakby się bała, że jej pan usłyszy.

- Zanim dojedziemy do jego bramy, zniknie nam z oczu. Myliła się. Simeon, ubrany w grube futro i bobrową czapę,

sam powodził saniami. Miał czterech pasażerów - trzy kobiety

oraz starszego mężczyznę. O dziwo, nie popędził od razu w wybranym kierunku, lecz przytrzymał konie i poczekał, aż zrówna się z nim zaprzęg Rowana. Powiedział coś do ich woźnicy i Terence mógł dość dokładnie przyjrzeć się potężnemu magnatowi. Miał ostre rysy i niezdrowo bladą cerę, z którą kontrastowały czarne, krzaczaste brwi i długie, zwisające wąsy.

- Nie należą do najpiękniejszych, ale konstrukcja bardzo dobra - skomentował ich sanie Simeon.

- Nic specjalnego, tak jak i konie - odpowiedział woźnica, który przedstawił się jako Shep.

- Ale chyba potrafią galopować?! - krzyknął do niego Simeon.

- Jeśli im pozwolę.

- Dlaczego tego nie zrobisz? Moje chwaty aż rwą się do wyścigu!

Terence chciał zaprotestować, podobnie jak kobiety siedzące w saniach Simeona. Jedna z nich, bardzo blada i szczupła blondynka, z przerażenia zasłoniła dłonią usta, lecz Simeon nawet nie obejrzał się w ich stronę, tylko taksował uważnie towarzystwo w drugim zaprzęgu. Terence zauważył, że jego wzrok skupił się na Lenie i poczuł dziwny niepokój.

Minęła sekunda, dwie, trzy... W końcu magnat przeniósł spojrzenie na Nani, skinął jej głową i odwrócił się do Shepa. Nani natychmiast się zarumieniła i spuściła wzrok. Czuła się upokorzona.

- Nie chcę straszyć dam! - krzyknął Rowan do Shepa.

- Ja się nie boję! - wyrwała się Lena. Terence widział w jej oczach błysk podniecenia. - Ścigajmy się!

- Słyszeliście tę damę - powiedział zadowolony Simeon, śmignął batem i jego konie szarpnęły sanie z całych sił.

Terence wstrzymał oddech, niepewny, czy Shep podejmie wyzwanie. Wokół byli inni, znacznie lepiej przygotowani do

wścigu z Simeonem, z łżejszymi saniami i rumakami szlachetnej krwi.

Shep tylko wzruszył ramionami i strzelił z bata z głośnym okrzykiem. W jednej sekundzie szary i gniady zerwały się do galopu.

- Coś ty zrobił! - krzyknęła przeraźliwie Nani.

- Oj, daj spokój! Ciesz się jazdą! Lecimy! - radowała się Lena.

Rowan zaśmiał się nerwowo.

- To twoja żona, uspokój ją trochę! - krzyknął do przyjaciela

Terence rozzłościł się na Lenę za nieodpowiedzialne zachowanie, ale za moment dał się porwać szaleńczej jeździe. Doganiali swojego rywala. Chrapy koni zrównały się z tyłem czarnych sań i przesuwały coraz bardziej do przodu, aż dosięgły siedzenia Simeona. Pomimo jego widocznych wysiłków, w chwilę później zaprzęgi zrównały się i rwały łeb w łeb.

- To była tylko mała rozgrzewka! - krzyknął rozradowany 4crezus. Strzelił z bata i jego konie zerwały się do jeszcze szybszego biegu.

Terence spodziewał się, że Shep wyhamuje i przerwie to szaleństwo. Zaznali już wspaniałej rozrywki, a woźnica świetnie się spisał. Ten jednak nie zamierzał się poddać i uderzył z całych sił lejcami, a konie odpowiedziały szarpnięciem. W kilka sekund znów pędziły łeb w łeb z rywalami.

Inne sanie, na widok tej gonitwy, szybko usuwały się z drogi.

Terence przeraził się, widząc, że Simeon wcale nie ma zamiaru zwalniać, choć przed nimi sunęły niewielkie sanki. Ich woźnica próbował jak najszybciej usunąć się na bok. Zderzenia udało się uniknąć w ostatniej sekundzie, a przerażony nieszczęśnik słał pod ich adresem piętrowe przekleństwa.

- Dość już tego, Shep! - wrzasnął ostro Rowan. - Przesadziłeś! Panie są przerażone.

Terence widział, że nie dotyczy to na pewno tej, która siedziała obok niego. Przeciwnie, Lena miała ogień w oczach.

- Ale frajda, co, Nani? - zawołała

Twarz Nani stała się bielsza od bryzgającego spod końskich kopyt śniegu. Ukryła ją w dłoniach, jakby zrobiło się jej niedobrze.

- Zwolnij, Shep! - rozkazał Rowan srogim głosem. Terence nigdy wcześniej nie słyszał, żeby mówił tym tonem.

Shep posłuchał go i ściągnął lejce. Na jego twarzy malowało się zdziwienie, jakby się zastanawiał, co mu przyszło do głowy, żeby wyprawiać takie szaleństwa

Simeon także zwolnił. Jasnowłosa pasażerka jego sań zanosila się płaczem.

- To pani Simeon - powiedziała Nani. - Na pewno dziś nie zaśnie, a ja będę jej całą noc towarzyszyć.

- Spokojnie, Nani, i tak nie będziesz mogła spać po tej przejażdżce - powiedział Rowan, gładząc ją uspokajająco po głowie.

Simeon poczekał, aż się z nim zrównają. Uniósł czapkę i lekko się uklonił.

- Dziękuję za piękny wyścig. Szkoda tylko, że nie został rozstrzygnięty - powiedział. - Może innym razem?

- Nie, bo nie uważa pan na innych - odburknął Shep. - To nie jest sportowe zachowanie.

- Przecież nikogo nie staranowałem, prawda? - Simeon wpił wzrok w Lenę. - A czy pani podobał się wyścig?

- Owszem - odpowiedziała głośno. - Jednak cieszyłby mnie bardziej, gdybyśmy mogli pana pokonać.

Bogacz roześmiał się dziwnym, skrzeczącym śmiechem, od którego Terence'a przeszyły dreszcze.

Szarmanckim gestem uniósł czapę i uklonił się rozmówczyni.

- Zatem będziemy musieli to zorganizować - rzekł. - Należy sprawić przyjemność pięknej damie. - Nałożył czapę i odjechał. Za chwilę czarny zaprzęg zniknął w perspektywie ulicy.

Wszyscy zamilkli. Pierwsza odezwała się Lena.

- To dziwny człowiek. Zawsze się tak zachowuje, Nani?

- Właśnie o tym wam mówiłam. Dla niego wszystko musi być idealne i jest gotów na bardzo wiele, żeby to osiągnąć. Jeśli byłaby taka potrzeba, przejechałby po tamtych małych saniach.

Lena przytuliła się do męża, a Terry objął ją w talii. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się na widok oblepionych płatkami śniegu rzęs. Zazdrość, którą poczuł podczas jej krótkiej rozmowy z Simeonem, znikła bez śladu.

Lena czule dotknęła jego policzka.

- Wolę mężczyznę, który zdobywa wszystko w uczciwy sposób, nawet jeśli to, co posiada, zmieściłoby się w spiżarni w pałacu Simeona - szepnęła, całując go leciutko.

Tej nocy kochali się ze słodyczą i czułością, jakiej Lena nigdy wcześniej nie zaznała. Pieszczoty rąk i ust Terence'a, delikatne jak muśnięcia motyli skrzydeł, przenosiły ją w nieuchwytny świat zapomnienia i rozkoszy. Wiedziała, jakiego poświęcenia wymagał od Terry'ego ten dzień. Pewnie wolałby sobie poleżeć w domu i odpocząć po ciężkiej pracy, a tymczasem cały wolny czas poświęcił dla' niej. Starła się okazać, jak bardzo jest mu wdzięczna i jak bardzo kocha go za to, co dla niej zrobił.

Rozkoszowali się sobą długie godziny, aż zupełnie wyczerpani ułożyli się do snu. Terry zasnął w objęciach Leny i nie ruszyła się nawet wtedy, gdy ramię zaczęło jej drętwieć. Nie śmiała go przebudzić.

Zanim wstał i ubrał się następnego ranka, zdążyła już

ogrzać kuchnię i przygotować dla Terence'a i Rowana obfite śniadanie, złożone z jajecznicy i ziemniaczanej babki. Kiedy zabrali się do jedzenia, zaczęła szykować zupę i chleb dla robotników w dokach. W ogóle nie czuła zmęczenia. Wczorajsze święto naładowało ją ogromną energią. Cieszyła ją także świadomość, że nadal nie miała krwawienia i nabierała pewności, że po wielu próbach wreszcie zostanie matką.

- Kiedy wrócę z doków, wybiorę się na targ - powiedziała. - Wieczorem dostaniecie dobrą kolację.

- Już nie mogę się doczekać. - Terry mlasnął z zachwytem.

Kończyli posiłek w ciszy, przygotowując się na trudy kolejnego dnia. Po jedzeniu Terence wstał, włożył palto i czapkę, pocałował Lenę na pożegnanie i wyszedł. Zараż za nim w wielkim pośpiechu wybiegł Rowan.

Lena miała całą listę rzeczy do zrobienia: poniedziałkowe pranie, wizyta u Katie i jej małego Neila po drodze do doków, przystanek w Świętej Brygidzie przed wyprawą na targ, a później szukanie taniej sztuki mięsa, którą przyrządzi dla Terry'ego i Rowana. I jeszcze zupa dla chorego sąsiada.

Próbowała ułożyć wszystko tak, żeby zmieścić się w czasie. Dopisywał jej świetny humor, bo wspomnienie wczorajszych doznań potrafiło uprzyjemnić nawet najgorszą pracę.

Wszystko szło jak z płatka. Gdy kończyła ładować wózek z jedzeniem, w drzwiach pojawił się blady i zdyszany Seamus Sullivan.

Zamarła. Przez moment nie mogła dobyć z siebie głosu.

- Katie? - wykrztusiła wreszcie.

Zaprzeczył ruchem głowy. On także nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Dzieci? - Lenie łamał się głos. - Coś stało się Laurie albo Annie?

Odchrząknął, mnąc czapkę w rękę.

260

- W... w ładowni był... wypadek. Łańcuch, pękł łańcuch. Terence... właśnie napełnił kubel i muły wciągały go na pokład barki, kiedy...

Słyszała jego głos, ale prawie nie rozumiała słów.

- Terence?

- Wzięli go do szpitala. Przyszedłem, żeby cię tam zabrać. Chciała wszystkiemu zaprzeczyć. Chciała powiedzieć, że

to niemożliwe, bo jej mąż zawsze uważa. Nie jej najdroższy Terry, który tak ciężko pracuje, który jeszcze w tym tygodniu kupi bilety dla rodziców, któremu ma urodzić dziecko. Boże Przenajświętszy, tylko nie to!

Seamus odpowiedział na pytanie, którego nie była w stanie zadać.

- Nie jest dobrze, Leno. Musisz być na to przygotowana. Ktoś poszedł już po ojca McSweeneya. Będzie tam na nas czekał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Grudzień 1882

Katie pomagała, jak tylko mogła. Przychodziła tuż po świcie razem z dziećmi i wraz z Leną szykowała obiady dla robotników w dokach. Teraz, gdy Terence był ciężko ranny, zarobki jego żony stanowiły jedyne źródło utrzymania. Katie, która sama ledwie nadążała z robotą w domu, robiła się coraz bardziej nerwowa i wycieńczona, a Lena wydawało się, że w ciągu jednej nocy zestarzała się o dziesięć lat.

Prawa noga Terence'a została roztrzaskana w czterech miejscach przez kubek z rudą, który spadł i przygniótł go do krokwi, a zerwany łańcuch rozplątał mu policzek i zmiażdżył lewe ramię. Rękę uratowano, ale była tak samo bezwładna, jak usztywniona noga. Policzek zaczynał się goić, ale biedak nie mógł się uśmiechać. Zresztą nawet nie próbował.

- Co powiedział wczoraj lekarz? - zapytała Katie, wyrabiająca ciasto na kilkanaście bochenków chleba. Od wypadku minęły trzy tygodnie. Z kosza w rogu pokoju dobiegał płacz Neila, który domagał się karmienia, ale matka ignorowała go ze stoickim spokojem.

- Jakież nowe wieści?

Lena chciała utulić małego, ale miała pełne ręce roboty. Dziecko, tak jak wszyscy, musiało się nauczyć, że życie nie zawsze jest przyjemne.

- Nic nowego - odpowiedziała cicho, choć była pewna, że Terence śpi.

- Nie mówił, kiedy Terry z tego wyjdzie?

- Powtarza, by się nie poddawać i walczyć z całych sił, bo i tak zdarzył się cud, że udało się uratować ramię. Lecz co to za cud, Katie, skoro nie będzie mógł nim władać? Albo gdy się okaże, że nie może chodzić?

- Nic takiego się nie stanie, przecież błogosławiona Matka ma was w swojej opiece. I nie możesz mieć żadnych wątpliwości, rozumiano?

Lena wiedziała, jak wiele dobrego przynieść może prawdziwa wiara, ale wątpliwości nachodziły ją niezależnie od jej woli.

- Myślisz, że Najświętsza Paniienka pomoże mi znaleźć pracę? - westchnęła. - Nie możemy dłużej tak harować, Katie, bo po prostu się wykończysz. Obie jesteśmy zupełnie wyczerpane, a zarabiam marne grosze. Pamiętaj też, że jezioro już zamarza i mężczyźni na całą zimę przerwą pracę.

- Co innego możesz robić, żeby jednocześnie opiekować się Terence'em?

Lena myślała o tym Wiele razy.

- W tym sęk - zafrasowała się. - Sprzedaję jedzenie biednym ludziom, którzy ledwie mogą mi płacić i nie mogę podnieść cen, bo ich na to nie stać.

- A może bogatsi chcieliby kupować twoje jedzenie? Tylko jak byś im je dostarczała?

Lena zastanawiała się i nad tym, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Ci, którzy mogliby zapłacić jej odpowiednio wysoką cenę, na pewno woleli jeść w wygodnej restauracji przy Public Square, albo w domach lub biurach,

- Muszę iść na służbę do dobrego domu - stwierdziła w końcu. - Nie mogę dłużej pracować dla biednych.

- I mieszkać tam? - Katie była zszokowana.

- Jasne, że nie. Muszę znaleźć pracę kucharki, ale taką, żebym mogła wracać wieczorami do domu. Rowan patroluje Euclid i zna większość ludzi w tamtejszych domach, więc mam nadzieję, że mi pomoże.

- A co z Terrym? Kto się nim zajmie?

- Ty - odpowiedziała bez namysłu. - A ja ci za to zapłacę. Możesz przychodzić trzy razy dziennie, żeby zająć się nim do czasu, aż przestanie cię potrzebować. Będę ci płacić z moich zarobków. Teraz pomagasz przez wiele godzin dziennie i nie bierzesz za to żadnego wynagrodzenia.

- Kochanie, Terence potrzebuje ciebie. - Katie nie była przekonana.

Lena energicznie wytarła ręce w ręcznik.

- Słuchaj, przed wypadkiem mieliśmy odpowiednią sumę, żeby opłacić podróż dla Tierneyów. Teraz nie zostało z tego nic, ani jeden cent. Większość pochłonęły opłaty za szpital i za lekarza, resztę wysłałam w zeszłym tygodniu do Irlandii. Przekazujemy pieniądze co miesiąc i aż boję się myśleć, co by było, gdybyśmy tego zaniechali. Wiem, że Terence mnie potrzebuje, ale tak samo potrzebna jestem jego rodzicom i mojej mamie. Znowu musimy zacząć oszczędzać. Dopóki Terry nie zacznie pracować, na mnie spoczywa obowiązek utrzymania całej rodziny. Jestem jedyną nadzieją dla nas wszystkich, nie rozumiesz tego?

Zdruzgotana Katie zamilkła. Skończyła wyrabiać ciasto, umyła ręce i wzięła zmęczonego płaczem Neila. Spoczęła na krześle przy stole i podała mu do ssania pierś. Dziewczynki, które dotychczas bawiły się grzecznie w kącie, usiadły na podłodze u jej stóp.

Lena patrzyła na nią. Wróciło rozziewające duszę wspomnienie o dziecku, które prawdopodobnie w sobie nosiła. Trzy dni po wypadku Terence'a pojawiło się krwawienie, wyjątkowo

bolesne i tak obfite, że zaczęła się bać. Zupełnie jakby jej ciało oplakiwało w ten sposób los ukochanego męża. Jeśli nosiła w sobie dziecko, na pewno je straciła, pozostało jednak wspomnienie. W sumie lepiej, że tak się stało. Jak poradziłaby sobie z tym wszystkim, trzymając maleństwo na ręku? Mimo to bardziej niż kiedykolwiek pragnęła, aby w jej łonie narodziło się nowe życie, któremu początek dałby Terry, potrzebowała bowiem nadziei na lepszą przyszłość.

- Powiedziałaś o tym mężowi? - odezwała się w końcu Katie. - Pytałaś go?

- Jeszcze nie.

- Co on na to powie?

- A co może powiedzieć? Przecież wie, że dopóki nie zacznie pracować, ja muszę się tym zająć. Postąpiłabyś tak samo, bez względu na to, co by powiedział Seamus.

Katie nie zaprzeczyła.

- Nie przyjmę zapłaty za opiekę nad nim - oświadczyła stanowczo. - To będzie dla mnie przyjemność. Oczy Leny nabiegły łzami.

- Daj spokój, to żadna przyjemność.

- On cierpi, Leno, przecież wiesz, ale na pocieszenie można powiedzieć, że co cię nie zabije, to cię wzmocni. Dzięki cierpieniu Terry stanie się jeszcze lepszym człowiekiem. Ty także.

Lena była zbyt wykończona, by wierzyć w sens czegokolwiek. Na pewno nie stała się lepsza. Jej kochanek i najdroższy przyjaciel leżał przykuty do małżeńskiego łóżka, ale i jego cierpienie nie uczyniło lepszym.

Terence był ciągle wściekły, zarówno kiedy milczał, jak i w tych rzadkich momentach, gdy się odzywał. Wściekły, gdy zmieniała pościel i gdy go przykrywała. Wściekły, kiedy go karmiła.

Wściekły, gdy nie robiła tego na czas. Wściekły, gdy

pomagała mu w załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Jego świat zrujnowało uderzenie łańcucha i kubła wypełnionego rudą, a wszelkie nadzieje na przyszłość zostały zaprzepaszczone.

- Nie będzie ci ułatwiać życia - Lena lojalnie ostrzegła Katie. - Jeśli się tego podejmiesz, nie będę ci miała za złe, jeśli szybko zrezygnujesz.

- Nie przejmuj się, poradzę sobie. Jakoś dogadam się z Terryem i spróbuję go natchnąć wiarą w lepszą przyszłość...

Dla Terence'a każdy dzień był taki sam jak poprzedni. Praca w ładowni też była jednostajna, ale kiedy ją kończył, wracał do domu i do Leny. Wtedy zawsze mógł spodziewać się czegoś nowego i ciekawego. Jakiś specjał wyszukany przez Lenę na targu i podany na kolację, albo oryginalne danie własnego pomysłu. Każdy wieczór wyglądał nieco inaczej. Ukochana żona siadała w bujanym fotelu przy kominku i dziergała dla niego skarpety albo nowy szalik, a czasem cerowała lub haftowała, żeby upiększyć ich szarą, zwykłą codzienność. Dyskutowali, na co przeznaczają pieniądze, kiedy już nie będą musieli posyłać ich do Irlandii. Zastanawiali się, gdzie zamieszkają i jakie kwiaty Lena z matką i teściową posadzą w ogrodzie.

Opowiadała mu, jak minął dzień, kogo spotkała w drodze do kościoła lub na targ, z kim rozmawiała i co usłyszała. Terry robił to samo, choć w ładowni brakowało czasu na pogawędki, a robota była jednostajna. Mówił nawet o najdrobniejszych sprawach, a ona uważnie go słuchała

O czym miał mówić teraz? „Leno, próbowałem dziś ruszyć ręką, ale mi się nie udało. Równie dobrze mogli mi ją obciąć, bo i tak do niczego się nie nadaje. Noga rwie mnie tak, że ledwie to wytrzymuję. Widziałem twoją twarz, kiedy patrzyłaś na mnie dziś rano. Litujesz się nade mną i brzydzisz się mojego okaleczonego ciała Powiedzieli, że mam ogromne szczęście,

że nie straciłem oka, ale jak straszne jest otwierać je rano i widzieć litość w twoim wzroku".

Tak miało wyglądać całe jego życie.

Tego popołudnia w pomieszczeniu było bardzo zimno i Terry trząśł się pod grubymi kocami, które przyniosła mu Katie. Leżał już cały miesiąc i pokój, który wcześniej stanowił świątynię radości i rozkoszy, stał się znienawidzoną więzienną celą. Mógł co prawda siadać, a z pomocą Rowana potrafił nawet przejść do pokoju dziennego, ale robił to bardzo rzadko. Przy każdym ruchu noga bolała go tak bardzo, że nie miał ochoty się męczyć tylko po to, by trochę posiedzieć.

Bardzo dokuczała mu bezczynność. Terry przez całe życie pracował, a teraz jego jedynym zajęciem stało się spanie. Nigdy nie nauczył się czytać i pisać, choć bardzo tego pragnął, bowiem dla syna ubogiego farmera szkoła pozostawała nieosiągalnym luksusem. Nie mógł więc zająć się lekturą, jak również, z powodu bezwładnego ramienia, rzeźbieniem, co bardzo lubił.

Jednak było coś jeszcze gorszego od bezczynności. Rany uniemożliwiały mu miłosną bliskość z kobietą, którą ubóstwiał. Nie mógł trzymać jej w ramionach ani przytulić. Nie mógł się z nią kochać, bo mogłoby to uszkodzić chorą nogę. Jeśli nawet Lena chciałaby jeszcze go pieścić, okaleczenia skutecznie to uniemożliwiały.

Usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Jakby przywołana jego myślami, do pokoju, niosąc jedzenie, weszła żona.

- Zaraz wybieram się do doków, Terry. Czy chcesz, żebym przekazała pozdrowienia dla twoich kolegów?

Nie miał dobrego słowa dla nikogo, nawet dla niej. I złościło go, że o to pyta. Nie odpowiedział w obawie, że jego słowa okażą się krzywdzące.

Podeszła bliżej. Rowan postawił obok łóżka stolik, żeby

mogła na nim stawiać posiłki. Od pewnego czasu nie musiała go już karmić, gdyż radził sobie sam, choć z trudem.

- Proszę cię, zjedz wszystko. - Popatrzyła na niego z troską. - Musisz być silny.

- Po co? - zapytał z wyrzutem. Policzek zagoił się, ale blizna unosiła kącik ust tak, jakby się szyderczo uśmiechał. Jego głos również brzmiał inaczej, dziwnie głucho i nieprzyjemnie.

- Żebyś szybciej wracał do zdrowia - odpowiedziała łagodnie. - Myślisz, że pozwolimy ci tu długo leżeć? Wiesz przecież, że cię potrzebujemy. Nawet jeśli nie chcesz wyzdrowieć, żeby być dla mnie takim mężem jak dawniej, musisz to zrobić, aby wspierać swoją rodzinę.

Nigdy wcześniej nie mówiła do niego w ten sposób i natychmiast rozzłościł się na nią.

- Wyzdrowieć? Jakim cudem? - Szarpnął się bezsilnie na łóżku. - I jak może pomóc rodzinie jednoreki mężczyzna? Mam stanąć na rogu i żebrać?

- Owszem, jeśli nic lepszego nie przychodzi ci do głowy!

- Odstawiła na stolik tacę z jedzeniem tak gwałtownie, że wylało się trochę zupy. - Sama cię tam zawiozę moim wózkiem! Boże Wszechmogący, jak będziesz się tak nad sobą użalał, zbierzesz tyle pieniędzy, że będzie cię stać na dom przy Euclid!

- Kiedy zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, zakryła usta dłońmi.

Terry milczał. Wściekłość zmieniła się w rozpacz i desperację. To, że najbliższa osoba nie rozumiała, jak bardzo zmieniło się jego życie i jak marnie zapowiadała się przyszłość, stanowił dla niego ostateczne upokorzenie.

Lena wyprostowała się i poprawiła ubranie, nie patrząc w jego stronę.

- Potrzebujesz czegoś, zanim wyjdę? - rzuciła.

268

- Idź już.

Nie próbowała go przeproszać.

- Dobrze wiec, idę. Nie będzie mnie przez jakiś czas. Chciał okazać obojętność, ale nie potrafił.

- Dlaczego?

- Wybieram się na Euclid Avenue, żeby się starać o posadę.

- Co?

- Nie przesłyszałeś się. W jednej z posiadłości potrzebują pomocnicy kucharki. Płaca jest dwa razy większa niż to, co zarabiam w dokach, dzięki czemu jakoś przetrwamy zimę. Już umówiłam się z Katie, będzie przychodziła kilka razy dziennie, żeby ci pomóc, kiedy ja będę w pracy. Wieczorami będę wracać do domu i pewnie od czasu do czasu uda mi się przynieść trochę jedzenia.

- Nie! - Uniósł się, choć sprawiło mu to ogromny ból. - Zabraniam ci to robić!

- Nie możesz. Nie mamy wyboru. - Spojrzała mu prosto w oczy. - To konieczne, jeśli chcemy jakoś przeżyć i nadal

wysyłać pieniądze do Irlandii. Chcesz napisać do rodziców, że nie mogą się od nas spodziewać żadnej pomocy? Złość i bezsilność dławiły mu gardło.

- W jakim domu jest ta praca? - warknął.

To, że Lena zbyt długo zwlekała z odpowiedzią, potwierdziło najgorsze obawy Terence'a. Nie potrafił już tego znieść.

- Pomogła ci Nani Borz, co?! - wrzasnął chrapliwie - Rowan poprosił ją, żeby szepnęła słówko wszechmocnemu Jamesowi Simeonowi!

Przytaknęła.

- To prawda, i jestem jej bardzo wdzięczna. Zgodzili się wpierw porozmawiać ze mną, zanim zaczną szukać gdzie indziej.

- To przecież James Simeon przykuł mnie do tego łóżka!

- Twarz Terry'ego wykrzywił ból. - Nie pomyślałaś o tym? To w jego doku był wypadek! Na jego barce!
 - Mówisz tak, jakby przyszedł do ładowni i sam zerwał łańcuch - upomniała go Lena.
 - Nie obchodzą go robotnicy! Sprzęt jest stary i wysłużony, na pewno będą następne wypadki.
 - Na pewno nie jest gorszy od innych właścicieli. Sam tak wcześniej mówiłeś. Teraz zgodził się nam pomóc, dając mi tę pracę, jeśli się nadam. Inni nie zrobiliby choćby tyle.
 - Wie, kim jesteś? Wie, że zostałem ranny na jego statku?
 - Nani na pewno mu o tym wspomniała.
 - Nie chcę jego dobroczynności!
 - Ale ja chcę. - Skrzyżowała ręce na piersi - Swojej służbie płaci godziwie. Potrafię ciężko pracować, ale chcę też odpowiednio zarabiać. Pragnę chronić naszą rodzinę i troszczyć się o ciebie...
 - Nie potrzebuję twojej łaski! Łzy nabiegły jej do oczu.
 - Wolałbyś, żebym pozwoliła ci zmarnieć w samotności?
 - Tak!
 - Przykro mi, ale tego nie zrobię. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Chwytała kłamkę, gdy się odezwał.
 - Nie rób tego, Leno... - W głosie Terence'a pojawił się błagalny ton. - Jeśli już musisz, znajdź inny dom, tylko nie pracuj dla Simeona.
 - Nie słyszałam o innych ofertach. Czczym gadaniem nie napełni się żołądek, Terry. Muszę brać to, co jest, inaczej zagłodzimy na śmierć siebie i tych, których kochamy.
- Wyszła z pokoju i po chwili usłyszała, jak opuszcza dom. Na dworze szalała zawierucha. Terence wyobraził sobie trudną drogę, jaką Lena musi pokonać. Będzie pchała wózek po zaśnieżonych, śliskich drózkach, później ustawi się nad brzegiem

rzeki, by w zamieci poczekać, aż mężczyźni przybiegną, zjedzą czym prędzej obiad i wrócą do pracy. Wtedy wreszcie zostawi wózek w bezpiecznym miejscu i uda się na Euclid Avenue.

Nie chciał, by za cenę ułatwienia jego podłego życia oferowała swą pracę Jamesowi Simeonowi. W głębi serca, gdzie zachował miłość nie tylko do Leny, ale również do życia, wiedział, że żona powinna go posłuchać.

- Dziecko, jesteś całkiem przemarznięta i mokra. Zachłapiesz mi dywan!

Lena, drżąc z zimna, spuściła pokornie wzrok.

- Bardzo mi przykro, ale od rana chodziłam po dworze i nie dało się skryć przed śniegiem.

Kucharka była tęgą kobietą w średnim wieku, z gatunku tych, które próbują wszystkich przygotowywanych potraw. Nazywała się Esther Bloomfield, ale Lena wiedziała od Nani, że służba wołała na nią po prostu Bloomy.

- Wyprostuj się, chcę cię obejrzeć.

s% Lena, zaciskając szczękające zęby, posłusznie zdjęła pelerynę i wyprostowała się.

- Nani zapewniła mnie, że potrafisz gotować.

- Tak, potrafię. - Lena wiedziała, że trzeba odpowiadać krótko.

- A masz jakieś doświadczenie?

Jak najzwyczajniej opowiedziała o swojej pracy.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby cokolwiek się zmarnowało

- dokończyła z dumą. - Jestem znana w okolicy ze swoich zup, bigosów i chleba.

- Pan Simeon lubi od czasu do czasu zjeść dobry bigos

- powiedziała Bloomy. - Oczywiście, gdy nikt tego nie widzi

- dodała cicho.

Lena wcale się nie uśmiechnęła. Co to za dziwny świat,

w którym ulubione jadło biednego człowieka staje się zakazanym przysmakiem dla bogacza. Bloomy przypatrywała się Lenie zza drucianych okularów. Miała siwe włosy i szczupłą twarz, kontrastującą z szerokimi biodrami i bujnym biustem. Poruszała się ociężale, lecz zręcznie.

- Powiedz mi, jak przyrządziłabyś kurę? - zagadnęła niespodziewanie.

Lena rzadko miała okazję włożyć kurę do garnka, ale opisała dokładnie kolejne czynności. Później rozmawiały o warzywach, wypiekach i puddingach. Lena odpowiadała, a gdy nie miała o czymś pojęcia, ze wstydem się do tego przyznawała.

- Obiecuję, że szybko nauczę się wszystkiego, co potrzebne - dodała skwapliwie, kiedy Bloomy przestała już ją odpytywać. - Po zapachu, nie próbując, potrafię rozpoznać, czy lepiej dodać trochę rozmarynu, czy też tymianku. Wiem, jak wypróbować nowy pomysł na małej porcji tak, żeby zmarnować tylko odrobinę. Wiem...

- Wystarczy - przerwała jej Bloomy z uśmiechem. - Jeśli pani Simeon się zgodzi, zatrudnię cię choćby od jutra. Tylko musisz pamiętać, że pracujesz dla mnie. Ja mówię, co masz robić, a ty mnie słuchasz. Zrozumiano?

- Będę słuchać każdej uwagi, a pani może polegać na mojej sumienności.

- Myślę, że się dogadamy, słonko. Nie przepadam za Irlandczykami, ale muszę przyznać, że dziewczyny, które wcześniej mieliśmy, były pracowite i godne zaufania. Mam nadzieję, że okażesz się taka sama.

Lenie za bardzo zależało na tej posadzie, żeby się obrazić.

- Obiecuję, że się pani na mnie nie zawiedzie, pani Bloom-sfield.

- Bloomy, słonko, po prostu Bloomy. - Podprowadziła Lenę do kominka. - Ogrzej się trochę i wysusz. Pójdę zobaczyć,

czy pani Simeon może nas przyjąć, a nie chcę, żebyś zmoczyła wszystkie dywany w domu. Lena z radością wypełniła jej polecenie, bo wciąż drżała z zimna. Nie chciała dokładnie oglądać kuchni. Bała się, że może zrobić złe wrażenie, jeśli zbyt otwarcie zacznie podziwiać duży stół, lśniący metalowy zlewozmywak i ozdobnie malowane szafki. Wpatrywała się w tańczące płomienie i rozkoszowała ciepłem pomieszczenia rozgrzanego kuchenką i piekarnikiem, w którym rumieniły się ciastka na kolację.

Starła się nie porównywać tego kawałka nieba ze swoim domem. Tu pachniało cytrynami i pszczelem woskiem, świeżymi kwiatami i ciastkami. W jej domku czuć było rzekę, wylizy fabrycznych kominów, choroby i biedę. Choćby nie wiadomo ile razy czyściła i bielila ściany, jej mała chatka nigdy nie będzie tak lśniąca i piękna.

Jeśli Terence leżałby w jednym z tych jasnych, wygodnych pokoi na górze, pod uważnym okiem najlepszych lekarzy oraz zastępów kucharzy i pokojówek, z całą pewnością byłby % lepszym stanie.

- Kogo my tu mamy?

Lena, pochłonięta myślami o pięknym życiu, nie usłyszała zbliżających się kroków. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego, postawnego mężczyznę o okrągłych, czarnych oczach, z eleganckim, opadającym ku brodzie wąsem. Wcześniej widziała go tylko raz, ale to wystarczyło, by nie miała wątpliwości, z kim ma przyjemność.

- Pan Simeon. - Ukłoniła się lekko. Znajdowali się w Ameryce i nawet będąc ubogą kobietą, wiedziała, że wszyscy są sobie równi. Miała jednak świadomość, że dom bogacza jest jego prywatnym państwem.

- A kim ty jesteś? - Nie uśmiechnął się, ale nie zdziwił się również jej widokiem.

- Lena Tierney. Przyszłam w sprawie pracy jako pomoc kucharki.

- Ach tak? A gdzie się podziewa Bloomy?

- Poszła do pani, sir. Bloomy powiedziała, że pani Simeon będzie chciała mnie zobaczyć, zanim mnie zatrudni. - Julia nie interesuje się tym, kogo zatrudni Bloomy. Ważne, żeby nie musiała sama nic robić. Moja żona ma niewiele... talentów. Jeden z nich polega na tym, że pozwala, by zajmowali się nią inni. Lena nie miała pojęcia, co powiedzieć, więc milczała.

Simeon przyłożył wskazujący palec do policzka, jakby się nad czymś zastanawiał. Zauważyła, że jego paznokcie są starannie wypielegnowane i nieskazitelnie czyste, jakby nigdy nie pracował ani nie stykał się z brudem.

- Jestem pewien, że gdzieś już cię widziałem

Lena stwierdziła, że w tych okolicznościach będzie lepiej, jeśli uda, że było inaczej.

- Nie sądzę, sir.

- Pracowałaś dla innej rodziny na Euclid?

- Nie, sir.

- Pracowałaś już gdzieś?

- Gotowałam obiady i sprzedawałam je robotnikom z doków.

- I nagle zmieniłaś zdanie? Masz zamiar ich tak zostawić?

- Nie, sir. Chcę po prostu mieć się czym ogrzać podczas zimy.

Roześmiał się, odsłaniając duże, białe zęby.

- Jesteś dobrą kucharką, Leno?

- Tak, dobrą.

- A jak radzisz sobie z podawaniem do stołu? Postanowiła być uczciwa.

- Słucham poleceń i bardzo szybko się uczę. Na pewno nie będzie się pan za mnie wstydził - odrzekła szybko.

- Jesteś bardzo pewna siebie...

- Jestem pewna, że nikt nie będzie się bardziej starał, i tyle. Ta posada jest dla mnie bardzo ważna, sir. Zrobię wszystko, co trzeba, żeby ją utrzymać.

- Już składasz takie deklaracje, a jeszcze nawet nie jesteś zatrudniona!

Starła się nie oceniać jego osoby, bo na opinie o innych mogli pozwolić sobie bogaci. Jeśli James Simeon regularnie będzie wypłacać jej pensję, co ją obchodzi, czy jest czarującym dżentelmenem, czy też odstręczającym prostakiem?

A jednak, niby bez żadnego powodu, poczuła nieprzyjemny, zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego ze śnieżycą szalejącą za oknami. Mężczyzna miał nalaną twarz i nienaturalnie duże oczy o świdrującym spojrzeniu, jakby przywykłe do śledzenia cudzego życia. Nic, co powiedział, nie było nieuprzejme, nie uczynił też nic zdrożnego - lecz mimo to nabrała przekonania, że Jamesa Simeona należy unikać.

Uśmiechnął się do niej tajemniczo.

- Z chęcią cię zatrudnimy, Leno. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę, jak świetnie sobie radzisz.

- Dziękuję, sir. Mam nadzieję, że pani Simeon się zgodzi. Roześmiał się, jakby usłyszał przedni dowcip.

- Powiem Julii, że cię zatrudniłem. Zaczнеш od jutra. W pierwszym odruchu chciała się sprzeciwić.

Jak mógł nie

brać pod uwagę opinii żony, zwłaszcza w sprawach kuchni i stołu? Z całą pewnością Julii Simeon będzie z tego powodu przykro i Lena stanie się dla niej symbolem męzowskiego lekceważenia.

Zastanawiała się, czy ten człowiek u wszystkich wzbudzał niechęć i sprzeciw, czy tylko ona miała takie wrażenie. Nagle przypomniała sobie histeryczny protest Terence'a.

Ukloniła się i spuściła wzrok. To, jaki naprawdę jest James

275

Simeon, nie ma dla niej żadnego znaczenia. Będzie wykonywać swoją robotę uczciwie, a wieczorami wracać do męża. Zarobi dość pieniędzy, by cała rodzina miała co jeść, aż Terence wyzdrowieje. Stanie się znów mężczyzną, którego poślubiła, a w przyszłości na pewno znajdzie lepszą i bezpieczniejszą pracę. Sprowadzą swoje rodziny i rozpoczną marsz na wzgórze, ku lepszemu życiu.

Odmawiała sobie w myśli tę litanię życzeń, czekając, aż Simeon wyjdzie z kuchni. Tylko drobna część jej duszy wierzyła w te słowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lena polubiła pracę w posiadłości Simeonów, choć dobrze wiedziała, że lepiej jest unikać pana domu. Julia Simeon była kobietą o wątłym ciele i słabej, przewrażliwionej duszy. Jeżeli miała jakąkolwiek osobowość przed małżeństwem, to despotyczny mąż całkowicie ją w niej stłumił. Bloomy i Nani zwierzyły się Lenie, że bardzo martwią się o Julię, dlatego też dogadzały jej, jak tylko mogły. Ta kobieta musiała już dawno stracić wiarę we własne siły.

W porównaniu z prowadzeniem kuchni dla robomików praca okazała się zaskakująco łatwa. Lena pilnie słuchała poleceń Bloomy, pracującej dla Jamesa Simeona od pięciu lat, i uczyła się wszystkiego bardzo szybko.

Pod koniec pierwszego tygodnia Lena szykowała już posiłki bez nadzoru, a po dwóch sama układała menu. W końcu Bloomy spędzała całe godziny na przygotowywaniu delikatnych deserów i innych specjałów, żeby dogodzić wybrednemu podniebieniu Julii, a Lena gotowała kolacje dla pana Simeona. Na początku bała się o efekty swojej pracy, bo nie знаła oczekiwań i upodobań Jamesa, ale kiedy Bloomy zaniechała kontroli, nabrała pewności siebie.

Simeon robił wrażenie zadowolonego. Lena z początku dziwiła się, że nie wydawał żadnych mstrukcji dotyczących jadłospisu, szybko jednak zorientowała się, że kolacje wracały do kuchni prawie nietknięte. Pan domagał się, by codziennie na stole pojawiała się coś smacznego i stwarzał wrażenie, że będzie jadł

z apetytem, ale przeważnie siadał sam w jadalni i pił, nie tykając posiłku. Bloomy twierdziła, że nigdy nie upijał się w towarzystwie i jak prawdziwy dżentelmen stronił od libacji, jednak Lena zauważyła, że popijał często, i sprawiało mu to dużą przyjemność. Pozostawało tajemnicą, co i kiedy jadał. W sumie chwaliła sobie ten układ, gdyż pańskie kolacje nosiła Terence'owi.

Pod koniec trzeciego tygodnia, kiedy po zrobieniu zakupów, wysprzątaniu spiżarni i przygotowaniu posiłków zaczęła zbierać się do domu, w kuchni zjawił się James Simeon.

- Bloomy powiedziała, że to ty zrobiłaś dzisiejszą kolację - powiedział od progu.

Odwróciła się, zaskoczona. Wszedł bezszelestnie, jakby był duchem unoszącym się nad podłogą.

Lena starała się uspokoić.

- Tak, sir, to ja. Smakowała panu?

- Zdradź mi, jak przyrządzasz ziemniaki?

- Ugotowane ziemniaki ucieram na krem ze stopionym masłem - tłumaczyła Lena, nieco zdziwiona kulinarnymi zainteresowaniami człowieka, który jadał tak niewiele. - Później posypuję tę masę siekaną pietruszką i szczypiorem...

- Ach, tak! Zatem to nie była trawa.

- Trawa, sir?

- Tak to wyglądało, Leno. Zielone jak trawa.

Bloomy wspomniała jej kiedyś, że w szklarni na tyłach domu ogrodnik hoduje różne przyprawy i Lena natychmiast uruchomiła swoją kulinarną wyobraźnię. Teraz żałowała, że nie skonsultowała się z Bloomy, zanim zaczęła różnymi dodatkami urozmaicać jedzenie.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Powinnam zapytać, zanim wprowadzę na pana stół coś tak odmiennego.

Mam nadzieję, że nie zepsułam panu kolacji.

- Wręcz przeciwnie, bardzo mi smakowało. Pieczeń również. Mam nadzieję, że to jednak nie była trawa - zachichotał.

Zdała sobie sprawę, że się z nią droczył, lecz wcale nie czuła się rozbawiona, tylko coraz bardziej spięta. Podejrzewała, że Simeon, żartując i udając uprzejmość, tak naprawdę zastawia na nią sidła.

- Lubisz swoją pracę, Leno?

Zdziwiła się, że zapamiętał jej imię i często je wymawiał, bowiem służba stale żaliła się na jego grubiańskie traktowanie. Każdy, kto chciał zachować posadę, musiał w pokornym milczeniu znosić humory i wybuchy gniewu Simeona, bowiem gdy tylko ktoś się wychylił, natychmiast z hukiem wylatywał z pracy.

- Tak, sir, bardzo lubię - odrzekła grzecznie. - i mam nadzieję, że jest pan ze mnie zadowolony.

- Twój mąż jest ciężko chory, prawda, Leno?

Terence nie był chory, chyba że Simeon mówił o jego duszy. Był ranny i Lena nie mogła zapomnieć, że stał się kaleką, pracując dla tego człowieka.

- Miał wypadek, sir. - Ze wszystkich sił starała się ukryć targające nią emocje.

- A jego stan się polepszył?

Wprawdzie zdjęto już łubki z nogi, lecz była ona wciąż bezwładna i Terence nie mógł nią poruszać. Teraz czekali na wizytę lekarza oraz ostateczną diagnozę. Lena ogromnie się bała, że usłyszy ostateczny i nieodwaracalny wyrok.

- Jeszcze nie czuje się dobrze, sir. Mój mąż odniósł bardzo poważne obrażenia.

Jeśli oczekiwała współczucia lub przeprosin, bardzo się przeliczyła.

- Tak więc to ty utrzymujesz waszą rodzinę? Macie dzieci?

- Nie, sir.

- Może za bardzo się staraliście, żeby ich nie mieć? Zaczynała się denerwować.

- Widać nie doznaliśmy jeszcze tej łaski, sir - odparła sztywno.

- Być może już nigdy jej nie doznacie.

Nie miała pojęcia, czemu stało się to dla niej takie ważne, ale nie mogła ścierpieć, by ten prostak myślał, iż jest bezpłodna, lub też że mąż nie kocha jej na tyle, by dać jej dziecko.

- Będziemy mieli dzieci, sir - zapewniła. - Poroniłam po wypadku mojego męża i jest tylko kwestią czasu, kiedy nasza rodzina się powiększy.

Milczał, oglądając ją uważnie od stóp do głów, a jego wzrok zdawał się brutalnie przenikać przez ubranie Leny i gwałcić jej intymność. Była to dla niej ciężka i poniżająca próba, poczuła się bowiem jak naga i pozbawiona wszelkich praw niewolnica, którą wystawiono na sprzedaż. Szybko odpędziła od siebie tę obezwładniającą, niweczącą wszelką godność i opór wizję, ale jakiś ciężki ślad osadził się na dnie jej duszy.

- Moja żona i ja nie mamy dzieci. Nie spodziewała się tego.

- Tak, sir.

- Julia uważa, że jest zbyt krucha, by przeżyć ciążę, niestety, zapomniała powiadomić mnie o tym przed ślubem.

- Ja...

Uniósł rękę, by ją uciszyć.

- Ma nadzieję, że podróż po Europie ją wzmocni i lepiej przygotowuje do obowiązków żony. Myślisz, że to możliwe?

- Nie wiem, sir.

- Wyjeżdża, kiedy się ociepli. - Zbliżył się, jakby chciał ją sobie dokładniej obejrzeć. Lena z trudem powstrzymała się przed ucieczką. - Nie będzie jej bardzo długo.

- Jestem pewna, że będzie pan tęsknił i ucieszy się z jej powrotu. .

- Co takiego? Ach, tak, oczywiście. Mężczyzna cierpi podczas rozłąki z żoną i pisze do niej głupie, sentymentalne listy. Taki panuje obyczaj, któremu na ogół wszyscy się podporządkowują - powiedział z jawną drwiną, a Lena, coraz bardziej zaniepokojona całą sytuacją, udała, że nie zrozumiała aluzji.

- Tak, sir. Pani Simeon również będzie za panem tęskniła.

- A ja wiem, że nie, Leno. Moja kochana żona płacze, kiedy przychodzę do jej łóżka, bowiem uważa moje awanse za obrzydliwe. Powiedz mi... czy ty w takich chwilach również płaczesz?

Już była pewna, czego od niej chciał, choć do ostatniej chwili łudziła się, że opacznie odbiera jego zachowanie. Chciała plunąć mu w twarz i uciec, ale wiedziała, że najmniejszy odruch buntu będzie ją kosztować posadę, wykonała więc rozpaczliwą próbę zmiany tematu:

- Sir, czy życzy pan sobie, żebym konsultowała z panem, jakich używać przypraw do kolacji? Chętnie będę przyrządzać wszystko tak, jak ma pan w zwyczaju, jeśli...

- Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że nie mam prawa rozmawiać z tobą na takie tematy - stwierdził oschle. - W końcu płacę ci tyle, że mogę cię wykorzystywać tak, jak mi się to żywnie podoba, nie sądzisz?

Musiła wziąć głęboki oddech, żeby pokonać przyпіływ wściekłości.

- Uważam, że zatrudnił mnie pan do gotowania, i do niczego więcej.

- Więc będziesz rozmawiać tylko o ziemniakach i pietruszce?

- To dużo bezpieczniejsze, sir. Dla nas obojga. - Zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

Zbliżył się do niej jeszcze bardziej, aż dzieliło ich już tylko kilka centymetrów. Poczwała zapach alkoholu - nie whiskey,

do którego przywykła, ale czegoś mocniejszego. Bliskość tego człowieka przyprawiała ją o mdłości.

- Widzisz, Leno, myślę, że mamy wspólny problem i powinniśmy o tym porozmawiać. Ja - żonę, która czuje do mnie fizyczny wstręt, a ty - okaleczonego męża. Jestem ciekaw, czy wzdrygasz się na widok jego ciała?

Jedyny człowiek, którego się brzydziła, stał właśnie przed nią. Lena przemilczała to pytanie, żeby nie wybuchnąć.

- Życie toczy się dalej, prawda, moje złotko? Mąż zostaje ranny i nagle całe jego życie się zmienia. Ty zostajesz sama na polu walki o wasz byt i nic nie otrzymujesz w zamian za poświęcenie... nawet, jak przypuszczam, tej odrobiny przyjemności nocną porą.

Lena czuła, że upragniona praca wymyka się jej z rąk. Widziała matkę i Tierneyów czekających na pieniądze, których nigdy nie dostaną, i lekarza, który odmawia wizyty u Terence'a, bo nie może liczyć na zapłatę. Jeśli teraz obrazi Jamesa Simeona, nie znajdzie posady w żadnym domu na Euclid Avenue. Z tego, co słyszała, nie lubiano go w jego kręgach, ale gdy wrogiem stawał się ktoś biedny, bogacze zwykle byli wobec siebie solidarni.

- Widzę, że potrafisz się w porę ugryźć się w język - zauważył z kpina. - Bardzo sobie cenię taka zaletę u służby.

Patrzyła mu w oczy i czekała.

Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Jak zawsze miała je upięte w węzeł na karku. Pochwycił jeden kosmyk przy uchu i niespiesznie zaczął owijać go wokół palca.

- Jesteś bardzo ładna, Leno. Pewnie słyszałaś to już nieraz.

- Skończyliśmy już, sir?

- Niezupełnie. Chcę, żebyś się nad czymś zastanowiła. Czekala nieruchomo, a on uśmiechnął się, wciąż bawiąc się jej włosami.

- Jestem człowiekiem, który potrafi okazać wdzięczność, a także należę do tych, którzy pożądamy tylko najlepszych rzeczy. Nigdy nie zadowolam się byle czym

Lena dobrze zrozumiała Simeona: powinna czuć się doceniona, że właśnie ją chce mieć w swym łóżku, a także cieszyć się z obietnicy sówitej gratyfikacji. Z goryczą zastanowiła się, na co może uczynić kobieta taka jak ona, gdy odda się milionerowi. Na większe zarobki? Na drogie prezenty, których i tak nikomu nie mogłaby pokazać ani z nich korzystać? Na najlepszą opiekę lekarską dla męża-inwalidy?

Na tę myśl zachciało się jej płakać.

- Nie masz nic do powiedzenia, Leno?

- Mogę już odejść, sir?

Westchnął. Po chwili wahania cofnął palec i uwolnił kosmyk, który opadł swobodnie.

- Możesz.

- Dziękuję... sir.

Odeszła i drżącymi rękami zaczęła rozwiązywać fartuch. Kiedy chciała wyminąć Simeona, zatrzymał ją gwałtownie, łapiąc mocno za ramię.

- Pomyślisz o tym, co powiedziałem?

Będzie o tym myśleć do ostatniego dnia... i będzie błagać Boga o przebaczenie za to, że chciała zabić tego strasznego człowieka.

- Dobranoc, panie Simeon.

Spodziewała się wybuchu gniewu, ale zamiast tego tylko się roześmiał.

- Dziewczyna z ikłą. Całkiem nieźle. Założę się, że przekażesz to swoim dzieciom. Błogosławieństwo dla synów, a przekleństwo dla córek. - Znów się roześmiał, tym razem głośniejszym i z nutą przerażającego szaleństwa.

Jeszcze w tramwaju, gdy oddaliła się dobry kawałek od

posiadłości Simeona, w jej uszach wciąż rozbrzmiewał ten potworny śmiech.

Terence mógł już kuśtykać z pomocą jednej kuli. Potrafił dojść do pokoju dziennego, a nawet do kuchni, ale nie widział w tym żadnego celu. Bo co czekało go w każdym z tych miejsc? Praca, którą mógłby wykonywać? Zarobki? Szacunek żony?

Noga nie wygoiła się tak jak powinna i każdy ruch sprawiał ból, lecz fizyczne cierpienie nie było tak dokuczliwe, jak porażająca świadomość bezcelowości istnienia. Terry z chęcią znosiłby jeszcze większe dolegliwości, gdyby tylko mógł wrócić do normalnego życia.

Katie nie przychodziła już mu pomagać i cieszył się z tego, bo jej towarzystwo i tysiące oklepanych morałów męczyły go i złościły. Teraz, gdy był głodny, mógł na jednej nodze i podpierając się drewnianą kulą, przenieść się do kuchni i zjeść to, co przyrządziła mu Lena, jednak rzadko decydował się na taki wysiłek, bo zupełnie stracił apetyt.

Tego wieczoru siedział beznamiętnie przed kominkiem i czekał na powrót żony. Rowan wrócił z pracy i po chwili wyszedł. Ostatnio rzadko bywał w domu, jakby nie potrafił znieść smutku, jaki zastąpił dawną, radosną atmosferę. Każdego dnia pytał, czy jest coś, co mógłby zrobić dla Terence'a i starał się nim opiekować, ale, podobnie jak Katie, przekonał się, że przyjaciel woli samotność.

Terence poczuł ulgę, kiedy propozycje wsparcia ustały.

Nawet nie podniósł wzroku, kiedy rozległ się odgłos kroków na ganku. Zdziwił się, słysząc męski głos.

- Panie Tierney?

W progu zobaczył Daniela Connera, szczupłego lekarza w średnim wieku, o smutnym spojrzeniu. Znał go ze szpitala. Obok niego stał ojciec McSweeney.

Terence zawstydził się nagle, że nie mył się rano, ani nie włożył czystej bielizny, którą przygotowała dla niego Lena, lecz wcześniej nie widział w tym sensu.

- Nie spodziewałem się pana wizyty - burknął.

- Właśnie zaszedłem do naszego ojczulka i pomyśleliśmy, że razem wpadniemy tu na chwilę.

Terence miał ochotę ich odprawić, ale zmusił się do uprzejmości. Po wypadku nadal szanował księdza, a lekarz nie ponosił winy za wypadek w dokach.

- Możemy wejść?

Przytaknął i goście zamknęli za sobą drzwi.

- Jak sobie radzisz, Terence? - zapytał doktor.

- Udało mi się dotrzeć do tego krzesła, lecz wątpię, czy kiedykolwiek zajdę dalej.

- Wiem, że dużo wycierpiałeś.

- Właśnie to przyszedłeś mi powiedzieć, doktoru?

- Terence, okaż trochę szacunku - upomniał go ojciec McSweeney. - Doktor Conner ma mnóstwo pracy, a mimo to po ciężkim dniu znalazł czas, żeby cię odwiedzić.

- Z chęcią zamienię moje dni na jego na wolny czas.

- Dość tego! - uciszył go ksiądz.

Terence zacisnął powieki i trochę się uspokoił.

- Czy powiodły się próby poruszania lewą ręką, panie Tierney?

- Nie.

- A próbował pan? Terry otworzył oczy.

- Co dokładnie powinienem z nią robić? I tak nigdy się nie rusza.

- Pan pozwoli.

Doktor Conner stanął nad chorym i podwinął mu rękaw.

- Niech pan spróbuje nią poruszyć. Chcę to zobaczyć.

Terence wiedział, że bez względu na wysiłki, rezultat zawsze był taki sam. Napiął mięśnie, lecz ramię zwisało bezwładnie. Marzył, żeby ten człowiek wreszcie przestał go dręczyć.

- Dobrze - mruknął Conner. - Jeszcze raz.

- Dobrze? - Terence o mało się nie roześmiał. - Mówi pan o tym martwym czymś, co kiedyś było moja ręką?

- Jeszcze raz, proszę.

Terence powtórzył bezcelowy wysiłek. Ramię nie reagowało, choć nadal pamiętał, jak nim poruszać. Podejrzewał, że gdyby je amputowano, czułby dokładnie to samo, co teraz.

- Dostrzegam słabą reakcję - wydał osąd lekarz. - Mięśnie ulegają lekkiemu skurczowi. Musi pan jak naj częściej próbować poruszać ramieniem i będzie pan potrzebował pomocy w ćwiczeniach. - Zademonstrował mu, o jakie ruchy chodzi. Chwytał rękę w przegubie, unosił w górę i opuszczał, zginał oraz prostował. - Niech żona powtarza z panem te ćwiczenia jak najczęściej, tak długo, ile będzie pan w stanie wytrzymać. Być może, z odrobiną szczęścia, odzyska pan czucie i władzę w ramieniu.

Terence nie chciał mu uwierzyć.

- Nie wie pan, że Irlandczycy nie mają szczęścia?

- Teraz noga.

- Nie będę zdejmował spodni dla rozrywki ojca McSwee-neya.

- Ojciec, może nas ojciec na chwilę zostawić samych? Ksiądz zniknął za wejściowymi drzwiami i zamknął je za sobą.

- No już, panie Tierney.

Terence zdołał unieść się trochę i zsunąć spodnie.

- Proszę wyprostować nogę, na ile jest to możliwe. Zacisnął zęby. Nie miał siły protestować.

- Dalej się nie da? - zdziwił się doktor.

- Niestety.

- Możesz ją pan unieść nad podłogę?

- Owszem, jeśli podniesie mnie pan z podłogi, kiedy zemdleję z bólu.

- Podniosę - odpowiedział poważnie lekarz. - Proszę unieść.

Na czoło Terence'a wystąpił pot, kiedy w końcu noga zawisła w powietrzu. Jeden centymetr, później dwa, trzy... aż do bólu, przez który omal nie upadł.

Lekarz delikatnie postawił jego stopę na podłodze i zbadał palcami całą nogę, aż do pachwiny.

- Fatalne złamania - przyznał. - Było ich zbyt wiele i nie zrosły się jak trzeba. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Przykro mi.

Terence zaczął mu współczuć i zdziwił się, że stać go jeszcze na podobne- uczucie.

- Już nigdy nie będę mógł jej używać, zgadza się?

- Nie tak, jak wcześniej, ale jeśli wzmocni pan mięśnie, z czasem ból stanie się niezauważalny, co pozwoli utrzymać

równowagę przy chodzeniu. Naturalnie konieczna będzie laska. Teraz najważniejszym zadaniem jest pokonanie bólu i wy trenowanie mięśni. Proponuję zacząć od zaraz. Niech pan podciąga stopę i zgina kolano, oraz niech pan chodzi, jak najwięcej chodzi! Po zakończeniu leczenia może trzeba będzie uszyć specjalny but na podwyższonej podeszwie, bo złamana noga na zawsze pozostanie trochę krótsza.

Terence zapatrzył się na doktora. Najpierw laska, potem specjalny but. To, co kiedyś wydawałoby się poniżającym więzieniem, teraz jawiło się wolnością...

- Na tym kończy się moja pomoc, reszta zależy wyłącznie od pana - podsumował Conner. - Przeżył pan duży szok. No cóż, widywałem takie przypadki wielokrotnie i myślę, że wo-

lałby pan zginąć na miejscu, niż wieść takie życie, prawda? Stało się jednak inaczej. Pan żyje, panie Tierney i wszystko wskazuje na to, że będzie pan żył jeszcze długo.

- Po co mi pan o tym mówi? Przecież doskonale o tym wiem.

- Panie Tierney, coś panu powiem. W czasie wojny pracowałem jako chirurg polowy i nie zliczę, ile rąk i nóg musiałem amputować, by ocalić życie ciężko rannym. Z reguły byli to młodzi mężczyźni, nieraz chłopcy... i widziałem, jak gasną ich oczy, gdy uświadamiali sobie, że zostali kalekami.

Uchodziła z nich chęć życia, poddawali się, czuli się gorsi, bezużyteczni... a niektórzy z nich umierali ze wstydu i przerażenia. Dlatego, gdy tylko to możliwe, unikam amputacji i zrobiłem wszystko, by uratować pańską rękę i nogę.

- Do czego pan zmierza?

- Najgorszym pańskim wrogiem jest pan sam panie Tierney. Ojciec McSweeney powiedział mi, że ma pan kochającą żonę, a także dach nad głową. Wielu zdrowych mężczyzn może o tym tylko pomarzyć.

- Ale mogą pracować, żeby to zdobyć! Doktorze, myśli pan, że zwykły robotnik ma szansę na jakąkolwiek pracę, gdy chodzi o lasce i jedną rękę ma niesprawną?

- Ojciec McSweeney twierdzi, że jest pan inteligentny i powinien pan spróbować pracy umysłowej.

- A co takiego mógłbym robić? Przecież nie mam żadnego wykształcenia!

- To można zmienić, a jak tego dokonać, wyjaśni panu ksiądz, natomiast ja ze swej strony proszę, by pan wytrwale ćwiczył. Zapewniam, że ten trud sownie się panu opłaci. Musi pan też uwierzyć, że warto żyć, zarówno dla siebie, jak i dla swoich najbliższych. Pańska egzystencja się nie skończyła, tylko uległa radykalnej odmianie, a więc i pan musi się zmienić.

Terence znów był wściekły. Mężczyzna ze sprawnymi rękami i nogami, z nietkniętą twarzą, stał nad nim i prawil morały. Doprawdy, Katie Sullivan nie dorastała mu nawet do pięt!

Doktor Conner w przyjaznym geście położył rękę na jego ramieniu. Terence strząsnął ją, ale powróciła na miejsce.

- Nie twierdzą, że będzie ci łatwo, synu - powiedział zupełnie jak ksiądz - ale masz okazję pokazać, jakim naprawdę jesteś człowiekiem. Jak twardym i dzielnym jesteś mężczyzną. Życzę ci jak najlepiej. Po jego wyjściu w pokoju zrobiło się niepokojąco cicho, na szczęście po chwili wszedł ojciec McSweeney.

- Już czas, żebyś przestał uzalać się nad tym, co już nie wróci - powiedział.

- Łatwo ojcu tak mówić.

- Zgoda, ale dobrze wiesz, że stracisz więcej, jeśli się za siebie nie weźmiesz. Lena potrzebuje męża, a nie kolejnego ciężaru.

Te słowa mocno zraniły Terence'a. Choć na jego twarzy malował się sprzeciw, boleśnie zdawał sobie sprawę, że ksiądz ma rację.

Ojciec był bezlitosny.

- Lena przysięgała przed Bogiem, że nie opuści cię, dopóki śmierć was nie rozłączy. Jeśli zrobi to teraz, jej dusza zostanie potępiona. Czy pozwolisz jej złamać przysięgę małżeńską, Terence? A może spróbujesz wykrzesać z siebie trochę sił i walczyć o nią?

- Chryste, co mam zrobić?

- Najwyższy czas, żebyś nauczył się czytać i pisać! Jest dużo pracy dla bystrych ludzi, którzy to potrafią.

- Jak się tego nauczę? Nie ma szkół dla takich, jak ja, a na nauczyciela mnie nie stać.

- Tu się mylisz.

Terence spojrzał na niego wyczekująco.

- Poszedłem w twojej sprawie do Jamesa Simeona.
- Do Simeona?
- Uświadomiłem mu, że to jego wina, i że do wypadku by nie doszło, gdyby w jego stoczni przestrzegano podstawowych zasad bezpieczeństwa.
- Ojcie, myślisz, że życie czy zdrowie Irlandczyka było warte jego cennego czasu?
- Wysłuchał mnie. Zresztą zna cię pośrednio, bo twoja Lena pracuje u niego w kuchni.
- Pomimo mojego sprzeciwu - zachnął się Terry.
- Nie miała wielkiego wyboru - odparł poważnie ojciec Sweeney - a twoje opory wcale nie ułatwiły jej życia.

Terence znów się zawstydził.

- Simeon zobowiązał się płacić za nauczyciela, który przygotuje cię do innej pracy, a nawet obiecał, że cię zatrudni, gdy skończysz już edukację i będziesz mógł spełnić jego wymagania.

Terence chłonał słowa księdza z coraz większym zdumieniem

- Widać ten człowiek poczuwa się do winy, i chwala mu za to. Ale pamiętaj, że nie wolno o tym nikomu mówić! Simeon zaznaczył, że jeśli cała sprawa się wyda, wszystkiemu zaprzeczy i odetnie fundusze. Oprócz mnie wiesz o tym tylko ty i Lena, i tak musi pozostać.

- Nie, ojcie, tak nie będzie. - Terry zacisnął zdrową pięść. McSweeney milczał, czekając na wyjaśnienia.

- To tyran i wyrachowany drań. Prędzej wziąłbym pieniądze od diabła.

- Doprawdy? - Głos księdza stał się surowy. - Zabraniasz człowiekowi oczyścić duszę dzięki aktowi zadośćuczynienia? Chcesz skazać kochającą żonę na ciężką harówkę i biedę? A wszystko przez głupią dumę? Jeśli tak, to wprawdzie będę się modlił za twoją duszę do końca moich dni, ale wątpię, czy Bóg wysłucha choćby jednego słowa!

Terence miał tak ściśnięte gardło, że ledwie przełknął ślinę.

- Nic od niego nie chcę - powiedział uparcie.

- A ja ci powiadam, że przyjmiesz jego pomoc i będziesz pracował ciężiej niż kiedykolwiek w życiu. Bo jeśli nie, powiem całemu światu, jaką stałeś się żalną kreaturą! I przekonam twoją żonę, żeby od ciebie odeszła, nawet jeśli jej dusza miałaby zostać potępiona!

Terence z trudem oddychał, bo straszliwe słowa księdza wprost go przytłoczyły.

- Masz jedyną szansę, żeby wziąć się za siebie i za swoje życie - powiedział trochę już spokojniej kaznodzieja. - Przyjmiesz tę pomoc, oraz posłuchasz rad lekarza i postarasz się, żeby twoje ciało odzyskało tyle sił, na De to tylko możliwe. Codziennie będziesz się mył i regularnie jadał posiłki, które z poświęceniem przygotowuje ci żona, a także okażesz szacunek wszystkim, którzy zaoferują ci pomoc. Będziesz się modlić jak dobry katolik, w Bogu poszukasz otuchy i siły, dzięki nauce Chrystusa Pana wyzbędziesz się pychy i próżnej dumy, oczyścisz swe myśli i ser-ce^jłapełniając je miłością. Będziesz się uczył pilniej niż ktokolwiek inny, aby twoja rodzina i mieszkańcy irlandzkiej dzielnicy mogli się tobą szczycić. Rozumiesz?

W tym momencie Terence czuł się słabszy niż kiedykolwiek, ale po raz pierwszy zyskał nadzieję, że sprostą wyzwaniom, bowiem zrozumiał, że ojciec McSweeney miał świętą rację. Po raz pierwszy zobaczył swoje dalsze życie jako rozwidlającą się drogę. Jedną ze ścieżek podążał Terence o lasce, z książką wepchniętą pod słabsze ramię, obok niego szła szczęśliwa Lena, a za nimi dzieci. Drugi Terence był sam, ciągnął bezwładną nogę, skacząc na drugiej z pomocą kuli i cierpiał ogromny ból. Słaby kaleka zatrzymał się i wpatrywał bezmyślnie w przestrzeń dzielącą dwie ścieżki. Kiedy tak stał, drugi Terence z rodziną zniknął za horyzontem.

291

Do oczu cisnęły mu się łzy, z trudem więc zdobył się na słowa:

- Ojczy, czy wysłuchasz mojej spowiedzi?

- Z wielką chęcią, mój synu.

Lena powróciła tego wieczoru zmęczona i zdruzgotana. Znacznie się spóźniła, lecz było jej wszystko jedno, bo niezależnie od jej postępowania Terry i tak albo warczał na nią, albo też zawzięcie milczał. Czekal ją kolejny straszny wieczór.

W drodze bez końca przetrawiała w myślach rozmowę z Jamesem Simeonem. Wcześniej pił, a ona wiedziała, że nietrzeźwi mężczyźni często mówią rzeczy, których po przebudzeniu w ogóle nie pamiętają. Być może Simeon był zły, że jego żona wyjeżdża do Europy, i chciał wyładować swój podły humor na Lenie... albo naprawdę miał na nią ochotę i spodziewał się, że dla utrzymania pracy zgodzi się na jego propozycję. Ta ostatnia możliwość doprowadzała ją do furii i zarazem przerażała. Krucha równowaga w jej życiu była zagrożona.

Jak zdoła utrzymać siebie i męża, jeśli straci tę posiadłość? Jak zdoła słać pieniądze rodzinie, opłacać lekarza i odkładać na bilet dla Tierneyów?

Mimo to nie mogła tam zostać. Ryzyko, że przy pierwszej nadarzącej się okazji ten drań po prostu ją zgwałci, było zbyt wielkie.

Stając na progu domu, zdecydowała, że powie o swojej decyzji mężowi. Nie wdając się w wyjaśnienia, uświadomi mu, że nie czuje się w tamtym domu bezpieczna. Podejrzewała, że Terry się ucieszy, gdyż nie cierpiał Simeona i nie chciał, by Lena u niego pracowała.

Zdziwiła się, widząc, że w kuchni wciąż palą się lampy. Widocznie Rowan miał jakąś robotę. Światło było ciepłym powitaniem po podróży w zimnym pudle tramwaju i jeszcze zi-

mniejszej drodze do Wyspy Whiskey. Najbardziej zaskoczył ją widok ognia migoczącego radośnie w kominku.

Kiedy weszła do pokoju dziennego, Terence powoli stanął na nogi. Otworzyła szeroko oczy i o mały włos nie kazała mu usiąść, na szczęście coś ją powstrzymało. Może upór, z jakim mąż starał się utrzymać równowagę? Wykąpał się, uczesał i zmienił ubranie. Blizna na policzku w świetle lampy była widoczna, ale broda urosła na tyle, że zasłoniła dużą jej część.

- Terry?

- Spóźniłaś się. Martwiłem się o ciebie.

- Jest zimno i pewnie szłam dłużej niż zwykle.

- Zupełnie przemarzłaś. Chodź, stań blisko ognia. Przeszła obok, uważając, żeby go nie potrącić.

- Za chwilę zrobię ci kolację, tylko trochę się rozgrzeję.

- Nie musisz, odpocznij. Zostało jedzenie z wczoraj, na pewno wystarczy.

Bardzo ją to ucieszyło.

- Możesz tak stać? Noga cię nie boli?

- Boli, ale da się wytrzymać.

- Co powie na to lekarz?

- To właśnie doktor Conner kazał mi używać nogi tak często, jak to tylko możliwe, mam też próbować poruszać ramieniem. Będę potrzebował pomocy przy ćwiczeniach. Pokazał mi, jak je robić.

Lena była kompletnie zaskoczona. Przyszedł doktor Conner? A Terence posłuchał go i postępuje według zaleceń? Co to się wydarzyło?

- Naprawdę powiedział, że twój stan się poprawi?

- Tak, kochanie. Jasne, że nigdy nie będzie tak, jak przedtem, ale jeśli ostro się przyłożę, przestanę być takim żalonym kaleką.

- Będiesz chodził? - Aż klasnęła w ręce.

- Z pomocą laski.

- Tylko laski?

Zobaczyła coś, czego już nigdy nie spodziewała się ujrzeć: uśmiech na twarzy męża.

- Właśnie. Nie należy spodziewać się wiele po ramieniu, ale jest szansa, że w przyszłości będzie bardziej sprawne. Zresztą to tylko lewe ramię.

Po strasznym wieczorze u Simeonów spodziewała się wyłącznie najgorszego. Nie Uczyła, że oczy Terry'ego zalśniły blaskiem. Nie posiadała się z radości.

- Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. - Terence usiadł na krześle i wziął głęboki oddech, patrząc jej w oczy. - Pan Simeon zgodził się płacić za mojego- nauczyciela. Powiedział mi o tym ojciec McSweeney. Nauczę się czytać, pisać i liczyć. Jeśli będę robił postępy, obiecał mnie zatrudnić. Pod jednym warunkiem - nie możemy nikomu o tym mówić. Chyba obawia się, że każdy poszkodowany w jego hutach czy dokach będzie żądał podobnego odszkodowania. Choć raz spotkało nas szczęście, Leno.

Zamarła. Natychmiast przypomniała sobie, jak James Simeon bawił się kosmykiem jej włosów.

- Pan Simeon? - wyjąkała.

- Tak. I jestem pewien, że choć po części to twoja zasługa. Była bliska omdlenia.

- Spotyka cię każdego dnia i czuje się odpowiedzialny za to, co się stało - ciągnął Terence. - Teraz, kiedy będzie cię spotykał radośniejszą i weselszą, utwierdzi się w przekonaniu, że postąpił właściwie. Jej umysł rozpatrywał scenę po scenie, zdanie po zdaniu. Błada twarz i lodowate spojrzenie ciemnych, wypukłych oczu. James Simeon podchodzący bliżej i opowiadający o swoim małżeństwie rzeczy, których nie powinna słyszeć.

Ten sam James Simeon, dzięki któremu w oczach Terry'ego > znów pojawił się błysk.

- Myliłem się, kiedy próbowałem cię powstrzymać przed podjęciem pracy w jego domu. Wybacz mi, Leno. Przepraszam cię za wszystko.

Chciało jej się płakać, lecz łzy zamarzły w jej duszy. Jak mogła powiedzieć teraz mężowi o decyzji, którą podjęła, jadąc tramwajem do domu? Terry nie miał pojęcia, że godząc się na pomoc, wydał na nią wyrok. Tacy ludzie jak Simeon nie potrafią bezinteresownie czynić dobra. Dobroczyńca Terry'ego uszczęśliwił go, żeby zatrzymać jego żonę w pracy... po to, by pewnego wieczoru wykorzystać ją tak samo, jak do kolacji używał serwetki i sztućców.

Wiedziała, że musi się odezwać, bo Terence czeka na jej odpowiedź, wszak przed chwilą odkrył przed nią duszę.

- Terry, ja...

Powstrzymał ją ruchem ręki.

- Wiem, Leno, że zamieniłem twoje życie w piekło, ale to się zmieni, przyrzekam. Będę się pilnie uczył i sprawię, że staniesz się ze mnie dumna. Przyrzekam. Nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Poczuła ogromny przyływ miłości, i tym większą rozpacz. Rozpłakała się i uklękła, by położyć głowę na kolanach męża. Zdrową ręką gładził jej włosy i uspokajał czułymi słowami.

Szlochała, lecz Terence nie wiedział, że nie płacze ze szczęścia. Bała się, że już niedługo nie będzie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

9 lutego, 1883

Wczoraj przyszła do mnie stara kobieta, żeby porozmawiać

o duszy zmarłego męża. Twierdziła, iż nieżyjący od trzech lat małżonek odwiedza ją we śnie i nakazuje, aby wszystko co posiada, oddała Kościołowi, bo inaczej on nigdy nie przekroczy niebieskich bram.

Zapytałem ją, co będzie jadła i gdzie zamierza spać, jeśli pozbędzie się całego dobytku.

- Ojciec - odrzekła - nie potrzeba mi niczego więcej, tylko twojego błogosławieństwa i zapewnienia, że kiedy umrę, ja

i mój mąż znajdziemy się na wieki wśród tych, których kochamy.

Za to gotowa była oddać wszystko, co miała.

Moje błogosławieństwo nie jest na sprzedaż, więc udzieliłem jej go i odesłałem do domu razem z oszczędnościami, które przyniosła jako pierwszą zapłatę za spokój duszy małżonka. Zastanawiam się, czy wiedziała, jak gotowość do takiego poświęcenia musi cieszyć Boga? Jej mąż nie był ani miłym, ani dobrym człowiekiem, mimo to w dniu jego śmierci ta kobieta wybaczyła mu wszystkie błędy, a teraz miała nadzieję, że dzięki własnemu poświęceniu i cierpieniu zbawi jego duszę.

Wierzę, że Bóg z radością patrzy na taką zdolność wyba-

296

czania i wiarę w dobro. Wszyscy powinniśmy naśladować tę kobietę.

Obym ja potrafił tak łatwo wybaczać.

Z pamiętnika ojca Patricka McSweeney, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, Ohio.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Luty 2000

Matka Casey, Kathleen Donaghue, zawsze powtarzała, że prowadzenie baru nie może stanowić wymówki dla zaniedbywania życia rodzinnego. Każdej niedzieli dziewczynki ubierano w najlepsze stroje i cała rodzina szła do Świętej Brygidy na mszę. Później Kathleen i Rooney przyrządzali w kuchni „Wyspy Whiskey” uroczysty obiad dla siebie i dzieci, a czasem również dla krewnych. Lokal był tego dnia zamknięty dla gości.

Po śmierci matki Megan kontynuowała tę tradycję, a ponieważ Rooney coraz częściej zniknął, zaczęła przejmować również jego obowiązki. Gdy na dobre opuścił dom, razem z Casey walczyły

o utrzymanie niedzielnego zwyczaju, lecz z umiarkowanym skutkiem. Uczty zamieniły się w proste posiłki, a cotygodniowy rytuał przemienił się w comiesięczne, zdawkowe spotkanie.

Dziś postanowiły odnowić stary zwyczaj. Zależało im, by w ciepłej, rodzinnej atmosferze przekazać Peggy niezwykle

i szokujące nowiny dotyczące Rooneya.

- Ashley pomaga mi nakrywać do stołu! - zawołała Casey do siostry. Wcześniej przyniosła z poddasza to, co zostało z rodzinnej porcelany. Razem z dziewczynką nakryły białym obrusem duży stół i ustawiły na nim cenne srebrne świeczniki Kathleen.

- Obiad będzie gotowy za dziesięć minut! - odkrzyknęła Megan.

Casey dostrzegła skupioną minę stojącej obok Ashley.

- Pięknie ustawiałaś te świeczniki - pochwaliła.

- Zawsze pomagam mamie w domu.

O dziwo, mała po raz pierwszy powiedziała coś niepytana. Dotychczas uparcie milczała na temat wszystkiego, co dotyczyło jej życia przed przyjazdem do Cleveland.

- A pomagałaś jej przy nakrywaniu stołu?

- Jak nie było w domu taty. Casey potrafiła omijać trudne tematy.

- Mielicie też świeczniki?

- Aha. I takie kółeczka do wkładania serwetek.

- Serwetniki. Cieszę się, że pamiętasz. My też je mamy. Chodźmy na górę, poszukamy ich, a potem ułożysz w nich serwetki. - Mieliliśmy też kwiaty - powiedziała Ashley, kiedy wchodziły po schodach do pomieszczeń mieszkalnych.

- Pamiętasz jakie?

- Róże. Ach, jak pięknie pachniały!

Casey otworzyła drzwi i wpuściła dziewczynkę przodem.

- Chciałabym, żebyśmy miały dziś róże na stole, ale jest zima.

- Tam, gdzie mieszkam, nie ma zimy. Nie lubię śniegu.

- Naprawdę? - Casey szybko przeszukała wyjęte ze schowka pudło i wyjęła z niego cztery porcelanowe serwetniki. - O, patrz, są na nich namalowane róże! Malutkie i takie piękne. Zupełnie o tym zapomniałam. Świetnie, będziemy miały na stole twoje ulubione kwiaty.

Ashley z radości cichutko się roześmiała. Casey zerknęła na nią ukradkiem. Dziewczynka oglądała porcelanowe kółka jak prawdziwe skarby i nawet wsunęła jedno na paluszek, żeby sprawdzić, jak się będzie prezentować.

Współczuła temu biednemu dziecku i wciąż burzyła się na

myśl o przyczynach, z których powodu Casey musiała tutaj przebywać. Czuła się zobowiązana do opieki nad małą, która znalazła się w trudnej do pozazdroszczenia sytuacji, nigdy jednak, aż do tej chwili, nie doznała podobnego wzruszenia. Poczwała nagły, niemal macierzyński przypływ uczuć. Zapragnęła pochwycić dziewczynkę w ramiona i przytulić z całych sił, jednak zamiast tego tylko cicho odchrząknęła.

- Och, śnieg nie jest taki zły - powiedziała z udawaną beztroską. - Robiłaś kiedyś orła?
- Orła? - Ashley spojrzała na nią pytająco.
- Po obiedzie ubierzemy się ciepło i pójdziemy razem do parku, i tam pokażę ci, jak się to robi, dobrze? Śnieg jest fajny, jeśli wiesz, jak się nim cieszyć.
- W szkole, na boisku, próbowałam ulepić śnieżną kulę, ale rozpadła się.
- Bo za słabo ją ścisnęłaś. Tego też cię nauczę.
- Dobrze - zgodziła się dziewczynka po chwili wahania. Casey uśmiechnęła się do niej z niekłamana radością.
- Świetnie!
- Casey?
- Słucham?
- Czy niedługo zobaczę się z mamą?

W ciągu wielu tygodni, które spędziły razem, Ashley ani razu nie zadała tego pytania. Choć Casey zawsze starała się mówić dziewczynce prawdę, żeby nie komplikować i tak już bardzo trudnej sytuacji, tym razem nie potrafiła zmusić się do szczerości.

- Wierz mi, że chciałabym powiedzieć „tak”, kochanie, ale po prostu nie wiem, kiedy ją zobaczysz. Jedno jest pewne - w tej chwili myśli o tobie i przesyła ci swoją miłość.
- Skąd to wiesz?
- Bo myśli o tobie bez przerwy i bardzo, bardzo cię kocha.

300

Ashley milczała przez chwilę.

- I dlatego tu jestem?

- Tak, kochanie. Właśnie dlatego, że mama cię kocha i wie, że tu jest dla ciebie najlepsze miejsce.

- Gdybyś miała małą córeczkę, to też kazałabyś jej wyjechać?

To były o wiele za dorosłe pytania, ale Casey dawno już się zorientowała, że Ashley Jest jak na swój wiek wyjątkowo inteligentna i poważna.

- Gdybym miała córeczkę, zawsze starałabym się robić to, co dla niej najlepsze, nawet jeśli byłoby to bardzo, bardzo trudne - odrzekła z powagą.

- Twoja mała córeczka mogłaby płakać. - Ashley spojrzała Casey prosto w oczy. - A ja nie płaczę. Casey aż za dobrze o tym wiedziała.

- Szkoda, że nigdy nie pozwalasz popłynąć swoim łezkom - powiedziała miękko. - Wierz mi, że możesz. To jest naprawdę dobre i często pomaga.

- Nie pomaga Ludzie nie przestają cię krzywdzić, kiedy płaczesz, tylko cię uciszają - odrzekła z goryczą. Casey poczuła ucisk w gardle.

- Nie wolno krzywdzić małych dziewczynek i nie wolno ich uciszać, kiedy są smutne. Tutaj; nikt tak nie postępuje.

Tak samo niespodziewanie, jak się otworzyła, Ashley w jednej chwili zamknęła się w swoim cichym pełnym rozpaczycy świecie. Starannie zebrała obręcze na serwetki i ruszyła w stronę drzwi, a po chwili jej delikatne kroki rozległy się na schodach.

- Bobby Rayburn, ty draniu! - wycodziła Casey przez zaciśnięte zęby. - Mam nadzieję, iż mądry Bóg sprawi, że zgnijesz w tej swojej pięknej willi w Palm Beach. A jeżeli on tego nie zrobi, to na pewno wyręczy go ktoś, kto kocha to dziecko!

Casey obrzuciła spojrzeniem siedzące przy stole siostry oraz Ashley. Przed chwilą zmówiły tradycyjną dziękczynną modlitwę, którą tak naprawdę pamiętała tylko Peggy. Obrazek byłby naprawdę budujący, gdyby nie neon piwa guinness, który rozjarzał ścianę za ich plecami.

Megan podniosła głowę.

- Podajcie talerze.

Pieczeń jagnięca w sosie czosnkowym wypełniła smakowitym aromatem całe pomieszczenie. Siostry uznały, że nie zdradzą Ashley, jakie zwierzę będą jadły i nazwały danie po prostu pieczenią. Jako dodatek Megan przygotowała pieczone ziemniaki oraz warzywną sałatkę w ziołowym sosie. W piekarniku rumieniło się ciasto z wyjątkowo drogimi o-tej porze roku borówkami, za którymi przepadała Peggy.

A wszystko po to, by Megan mogła opowiedzieć najmłodszej siostrze, co wie o Rooneyu Donaghue.

- Stół wygląda przepięknie - pochwaliła Peggy - a jedzenie jest tak wyśmienite, że zaczynam nabierać podejrzeń. Co chcecie ze mnie wyciągnąć, dziewczyny?

- Słucham? - Widelec Megan zamarł w powietrzu.

- Nie przesłyszałaś się. Zawsze dostawałam pokazowe dania, gdy chciałyście coś ode mnie wyciągnąć. Kiedy zerwałam z chłopakiem, jadłyśmy pieczone ja... - szybko zerknęła na Ashley - ...to znaczy pieczeń. Kiedy dostałam trójkę z testu, znów była pieczeń. Jeśli coś było już bardzo nie tak, dostawałam ciasto z borówkami, a właśnie czuję jego boski zapach!

- Mylisz siostrzaną miłość z manipulacją. - Megan z udawanym rozbawieniem wzruszyła ramionami.

- Trala lala, umiłowana siostrzyczko! Czy wreszcie dowiem się, o co naprawdę chodzi? - nie ustępowała Peggy.

- A jak się mają twoje sprawy? - Casey nałożyła porcję dla Ashley, którą bardzo zainteresowała ta rozmowa. Wpraw-

dzie swoim zwyczajem milczała, ale słuchała „ciotek” z dużym zainteresowaniem.

- Wszystko w porządku. Świetnie się tu czuję, koniec, kropka. Macie jeszcze jakieś pytania? - Peggy wyzywająco popatrzyła na siostry.

Megan zignorowała ostatnie zdanie.

- To chłopak? Masz kłopoty z chłopakiem?

- Chłopak? Do diabła, żaden z facetów, których spotkałam w życiu, nie był nawet w połowie tak irytujący jak wy! - nieco zbyt pospiesznie wypaliła Peggy.

Casey nabrała ostatecznej pewności, w czym problem. Świetnie potrafiła rozgrywać podobne rozmowy. Wiedziała też, że mężczyzna o tajemniczym kryptonimie „żaden facet” ani razu nie zadzwonił do Peggy, od kiedy przyjechała do domu.

- Nie spotykasz się czasem z kimś z anatomii? - drażyła. - Był chyba taki jeden, z Cincinnati.

- Jesteś rok do tyłu, siostrzyczko. W zeszłe lato przeniósł się do Indiany.

' To musiało być trudne...

- Dla kogo? Wtedy spotykałam się już z kimś innym.

- Z kimś, kogo poznałyśmy? - zainteresowała się Megan.

- Nie i musicie pogodzić się z tym, że już go nie poznacie.

- A jak z ocenami? - nie poddawała się Megan.

-» Mam średnią 4.0, a ponieważ jednocześnie pracowałam w szpitalu, wypadłam całkiem nieźle.

Casey postanowiła przejąć inicjatywę.

- W porządku, dajmy temu spokój, ale nadal pozostaje kwestia twoich życiowych planów. Go zamierzasz robić, kiedy dorośniesz?

- Słuchajcie, wiem, że się o mnie martwicie, ale zupełnie niepotrzebnie. Czy kiedykolwiek robiłam jakieś głupie numery?

Casey musiała szczerze przyznać, że nie.

- Widzicie? - Peggy triumfalnie sięgnęła po brokuły.
- Proponuję, żebyśmy przeszły do następnego tematu.
- Okay, Casey, a co słyhać u ciebie? - zapytała posłusznie Megan.
- W każdym razie żadnych kłopotów z facetami.
- A co z Jonem?
- O masz ci los, czy to irlandzka inkwizycja?
- On często tu bywa. - Peggy odłożyła łyżkę do warzyw. - I nie powinnaś go odrzucać.
- Ee tam wydaje mu się, że się we mnie zakochał. Myśli, że miłość oznacza wspólne miłe spędzanie czasu i niekończące się rozmówki.
- O, rany! - skrzywiła się Peggy. - Jak można uważać, że dobry flirt jest tym samym, co miłość? Urwał się z choinki, czy co?
- Lepiej pilnuj swojego talerza - uciszyła ją zażenowana Casey.
- Cóż, skoro ci się nie podoba... - Megan rozdzielała ziemniaki, wybierając najlepsze dla Ashley. - Myślę, że wysoki, inteligentny facet o silnych ramionach i rozbrajającym uśmiechu rzeczywiście nie jest w twoim typie.
- Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, a miłość by to skomplikowała - oświadczyła sztywno Casey. Peggy z apetytem zaatakowała widelcem ziemniaki.
- Widziałaś film „Mój chłopak się żeni”? Jon może w końcu zmęczyć się czekaniem na ciebie i znajdzie sobie kogoś w typie, powiedzmy, Cameron Diaz. Co wtedy zrobisz?
- Będę życzyć mu jak najlepiej i tańczyć na jego weselu.
- Julii Roberts jakoś to nie wyszło.
- A co u ciebie, Megan? - Casey wyczuła moment i sprytnie skierowała rozmowę na inne tory. - Skoro już mówimy o facetach, to dlaczego spławiłaś Niccola?

Wiedziała, że i tak nie usłyszy prawdy. Megan spławiła Nicka tylko dlatego, iż stał się zbyt bliski jej sercu. Należała wprawdzie do tego typu kobiet, które nie zastanawiają się nad swoimi posunięciami, a jeszcze mniej się nimi przejmują, jednak tym razem musiało być inaczej. Dręczył ją niepokój, musiała zastanawiać się, czy postąpiła właściwie.

- Nie chcę mówić o Nicku - ucięła krótko - ale chemie porozmawiam o czymś, co się z nim wiąże.

- Hola, ja musiałam mówić o Jonie!

- A ja o swoich planach!

Widelec Ashley z trzaskiem upadł na stół.

- Przestańcie się kłócić!

W jednej chwili zamilkły i wbiły spojrzenia w dziewczynkę, która wyglądała na przestraszoną.

- Kochanie, przecież my się nie kłóciłyśmy - powiedziała cicho Casey.

- Właśnie, że się kłóciłyśmy - zaprzeczyła Megan - tylko że wcale nie jesteśmy na siebie złe, kochanie, bo jesteśmy rodziną i bardzo się kochamy. Zdarza się jednak, że nie zgadzamy się ze sobą.

- Ludzie przez to cierpią - szepnęła Ashley ze wzrokiem wbitym w talerz.

- Tutaj nikt nie zazna krzywdy - uspokoiła ją Peggy, czułym gestem kładąc dłoń na małej rączce. -

Megan ma rację. Bardzo się kochamy i chcemy się tylko dowiedzieć, co każda z nas porabia i co myśli.

- Ludzie czasem biją innych, kiedy się kłócą.

- Tutaj nikt nikogo nie uderzy. Nigdy - obiecała z mocą Peggy. Megan zerknęła pytająco na Casey, która, przygryzając wargi, potrząsnęła głową.

Zamilkły na dobrych kilka minut i zajęły się jedzeniem. Wreszcie ciszę przerwała Peggy:

- Megan, przed chwilą chciałaś o czymś powiedzieć. Mówiłaś, że to ma coś wspólnego z Nickiem Andream.

Casey dobrze wiedziała, że nie mogą odkładać rozmowy o Rooneyu, ale zanim zdążyły poruszyć ten temat, usłyszały pukanie do drzwi baru.

Megan sięgnęła po szklanę z wodą.

- Ktokolwiek to jest, powiedzcie mu, żeby sobie poszedł w cholere. Czy oni myślą, że otwieramy nawet w niedzielę?

Casey wstała, żeby zobaczyć, kto przeszkadza im w rodzinnej uroczystości. Przed drzwiami stał Jon. Kiedy zdjął z głowy wełnianą czapkę, sypki śnieg oprószył mu włosy.

- Zauważyłem światło na dole, a na górze nikt nie odpowiadał. Miałem nadzieję, że cię zastanę - powiedział, patrząc jej zachłannie w oczy.

Dzień od razu wydał się jej piękniejszy, jak dawniej, kiedy wpadała na moment do jego domu, albo on zjawiał się u niej. Jeśli nie widziała go choć jeden dzień, czuła się nieswojo.

Nagle przypomniała sobie, jak samotnie czuła się po opuszczeniu sióstr i Jona. Jej życie było jak książka z brakującymi kartkami. Zrozumienie treści wymagało dużego skupienia, a ona co chwila traciła cierpliwość i przerywała czytanie.

- Dla odmiany jemy dziś obiad na dole - powiedziała, zanim zdała sobie sprawę, że się do niego uśmiecha.

- Och, przepraszam, pewnie przeszkadzam. Mogę zadzwonić później?

- Należysz do rodziny, Jon. Dołącz do nas.

- Nie, pewnie chcecie sobie bez przeszkód porozmawiać. Będę tylko zawadzał. Lepiej...

Chwyciła go za rękę i wciągnęła do niewielkiego przedsionka.

- Megan! - zawołała - przyszedł Jon. Znajdzie się dla niego miejsce?

- Powiedz, że już dla niego nakryłam. Niestety, nie zje na porcelanie, bo musiałabym iść po nią na górę, ale już nakładam mu porcję.

Casey radośnie spojrzała na Jona. Megan miała rację, gdy powtarzała, że jego uśmiech rozjaśnia mroki. Poczowała lekkie łaskotanie w piersi i pomyślała, że to chyba rozedrgane, zdradzieckie serce zaczyna wyprawiać swe harce.

Jon przywitał się ze wszystkimi i zanim usiadł na przygotowanym dla niego miejscu obok Casey, podsunął jej krzesło.

- Stoi wygląda wspaniale - oznajmił z błyskiem zachwyty w oku. - Powinienem do was wpadać w każde niedzielne popołudnie.

- Jasne. Tylko postaraj się przychodzić wcześniej, żebyś mógł obrać ziemniaki. - Megan z uśmiechem puściła do niego oko.

- Wiecie co, jak zrobi się cieplej, zapraszam was do siebie na tradycyjne węgierskie danie pod chmurką - oznajmił.

- Co się wtedy podaje? - zapytała z ciekawością Peggy.

- Ciotka Magda specjalizowała się w czymś, co nazywała saluna. Kawał boczku dzieli się na kilka porcji i obsmaża na patykach nad ogniskiem. Możemy je rozpalić na tyłach domu.

- Węgierskie skwarki - odgadła Casey, nakładając Jonowi więcej ziemniaków.

- Blisko. Tyle że tłuszcz, który wytapia się z boczku, łapie się na kromkę świeżego chleba i kiedy jest już dobrze przesiąknięty tłuszczem można go jeść. Później trzeba odkroić spieczoną część boczku i zjeść z chlebem, a resztę smażyć dalej. Taka uczta może trwać całą noc, zależnie od tego, jak duży kawał boczku przypadnie ci w udziale.

- No właśnie, ten cholesterol. Ile lat miała Magda, kiedy umarła? Dwanaście? Trzydzieści? Zawał serca czy choroba wieńcowa?

Jon z uśmiechem pokiwał głową.

- Była starsza, niż ja będę kiedykolwiek.

Casey nagle wyobraziła sobie zapadający zmrok i grill za domem Jona. Oczywiście zamiast boczku pieczono piersi kurczaka albo steki, ale przy ogniu siedziało to samo grono przyjaciół... i oczywiście Jon.

- Megan, o czym chciałaś z nami porozmawiać? - Peggy odsunęła swoje krzesło. - Jeśli to nie jest pilne, skoczę na górę po kawę, bo nastąpiła pora na twoje ciasta.

- Siedź, mamy kawę na dole, codziennie podajemy przecież sto filiżanek.

- Mam ochotę na naprawdę dobrą, z małą ilością kofeiny. Mocna mnie pobudzi, a jak już wszystko omówimy, chciałabym się zdrzemnąć. Jestem wyczerpana.""

Casey spostrzegła, że Megan - co było u niej rzadkie - tym razem waha się, dlatego postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce.

- Myślę, że Jon też ma prawo wiedzieć, o co chodzi, Megan - stwierdziła i odwróciła się do niego. - Musimy przedyskutować sprawy rodzinne. Zechcesz z nami zostać?

Przytaknął. Widać było, że czuje się niezręcznie, ale mimo to nie pożegnał się pod jakimś na gorąco skleconym pretekstem, co ucieszyło Casey.

Megan skupiła się w sobie.

- Peggy, czy pamiętasz, jak w noc napadu na parkingu Nickowi wydawało się, że widział mężczyznę uciekającego z samochodu? Kogoś, kto najpewniej unieszkodliwił drugiego bandytę?

- Myślałam, iż w końcu zeznał, że nikogo nie widział - zdziwiła się Peggy.

- A jednak ktoś tam był, a my podejrzewamy, że ten sam człowiek mieszka na Wyspie Whiskey. - Megan milczała przez chwilę, rozważając następne słowa. - Peggy, nie wiem, jak to

najlepiej powiedzieć. To... mógł być Rooney. Mamy na to dowody.

Peggy zbladła, wyraźnie odebrało jej mowę. Casey, by pozwolić jej ochłonąć, zwróciła się do Jona:

- Nigdy nie widziałeś naszego ojca, prawda?

- Kiedy cię poznałem, już z wami nie był.

- Prędzej czy później i tak bym ci o tym powiedziała. Nie mamy pewności, czy mężczyzna, którego widział Nick, jest Rooneyem i nie wiemy, czy to on dopuścił się czynów, o których mi mówiłeś, lecz jeśli oba przypuszczenia okażą się prawdziwe, możemy potrzebować twojej pomocy.

- Jakie to dowody? - zapytała Peggy niespodziewanie spokojnym głosem.

Megan opowiedziała milczącej siostrze o wszystkim, co odkrył Niccolo.

- Oczywiście możliwe są inne wyjaśnienia - dodała - ale bardzo wiele przemawia za tym, że ów człowiek to Rooney. Kręcił się tamtej nocy przy barze, bo tu był kiedyś jego dom.

- Prawie go nie pamiętam. - Peggy ze smutkiem pokręciła głową. - Kiedy zniknął na dobre, byłam młodsza od Ashley.

- Ja pamiętam mojego tatusia - odezwała się dziewczynka, patrząc na nie wyzywająco.

Casey zdała sobie sprawę, że mała, choć pochłonięta obiadem, nie uroniła z ich rozmowy ani słowa. Żałowała, że Ashley wybrała właśnie to, a nie inne popołudnie, by wyjść ze swojej skorupy.

- Czy tatuś cię krzywdził? - zapytała nagle dziewczynka, a na jej buzi odbiło się napięcie.

Peggy wyczuła wagę tego pytania.

- Nigdy, kochanie. Uciekł, ale ani razu mnie nie uderzył, ani też nie skrzywdził w inny sposób. Nigdy!

- Ja też uciekłam - powiedziała Ashley.

Casey poczuła, że wszystkie oczy skierowane są na nią.

- Ashley chodzi o to, że ona i jej mama nie wytrzymały sytuacji w domu, i że wszystko bardzo się zmieniło. To musi być dla niej jak ucieczka, szczególnie teraz, kiedy nie jest z mamą.

Dziewczynka znów zamilkła, wracając do posiłku.

- Co robisz, żeby sprawdzić, czy ten człowiek to rzeczywiście nasz ojciec? - zapytała rzeczowo Peggy, zwracając się do Megan.

- Byliśmy w miejscu, w którym prawdopodobnie mieszka. Zostawiłam mu wiadomość. Nick chodzi tam co kilka dni i sprawdza, czy kartka znikła. Na razie nie możemy zrobić nic więcej. Jeśli to Rooney, musiał od lat radzić sobie sam, i jakoś przetrwał. Musimy postępować ostrożnie, żeby go nie spłoszyć.

- Jesteś pewna, że właśnie tego' nie chcesz?

- Nie do końca... - przyznała Megan i uważnie spojrzała na siostrę. - Wszystko w porządku, Peggy? Wiem, że to dla ciebie wstrząs.

- Cieszę się, że nie jestem teraz w szkole. Megan położyła rękę na jej dłoni.

- Jeśli okaże się, że to był Rooney, będziemy się musieli zastanowić, co dalej robić. Nie mam pojęcia, czy przysługują nam jakieś prawa. Może nie mamy żadnego ruchu.

- To zależy, czy zdołacie wykazać, że stanowi zagrożenie dla innych albo dla samego siebie - odezwał się Jon. - Jeśli zamierzacie uzyskać prawo do opieki nad nim, jest to jedyny sposób. I wcale nie będzie to takie łatwe, jak się wam wydaje.

- Czy ktoś, kto włóczy się w taką pogodę, nie stwarza zagrożenia choćby dla własnego życia? Przecież to rozumie się samo przez się - powiedziała Megan.

- Jeśli postępuje tak, bo pragnie... - zerknął na Ashley - .. celowo i świadomie sobie zaszkodzić, to inna sprawa, jeśli jednak żyje na Wyspie Whiskey, gdyż uważa takie wyjście za najlepsze, to, choć może nie mieć racji, trudno będzie wam

uzasadnić wasze żądania w sądzie. Gdyby było inaczej, wszyscy bezdomni w Ameryce musieliby poddać się nadzorowi.

- Może rząd powinien zapewnić im przyzwoite, darmowe zakwaterowanie, zamiast zajmować się przyznawaniem nadzoru - powiedziała zdenerwowana Peggy.

- To nie jest takie proste - zaproponował Jon. - Rooney miał gdzie mieszkać, a i tak odszedł. Mógł wrócić, lecz tego nie zrobił.

- A co z wkraczaniem bez pozwolenia w granice cudzej własności? - nie rezygnowała Megan. - Można by go za to aresztować i zażądać opinii na temat jego poczytalności!

- Mamy zbyt wielu groźnych przestępców, żeby liczyć w tej sprawie na policję. Jediną szansą na takie rozwiązanie byłoby udowodnienie, że Rooney odpowiada za zniszczenia i podpalenie na wyspie, o których wspominałem Casey.

- A nie uważacie, że jeśli go poprosimy, zechce wrócić do domu? - Peggy skierowała pytanie do Megan. - Może po prostu się wstydzi i potrzebuje tylko jakiegoś sygnału, wyraźnej zachęty z naszej strony?

- To mało prawdopodobne, Peg - powiedziała łagodnie Casey. - Wiemy o Rooneyu tyle, że nie jest zdrowy psychicznie. To nie minie, nawet jeśli obudzi się w nim choćby odrobina rodzinnej miłości. Ma poważne problemy, a im dłużej trwają podobne aberracje, tym trudniej z nimi walczyć.

- O jakich problemach mówisz? Nazwij je!

Casey westchnęła, jakby szukała ratunku u Megan, ale siostra nie zareagowała, pozwalając, by rozprawiła się z tym na własną rękę.

- Schizofrenia. Rozdwojenie jaźni. Alkoholizm. Nie wiem, jaka będzie ostateczna diagnoza, ale to nieistotne. Może tylko jedna z tych rzeczy albo ich kombinacja. Cokolwiek by to było, na pewno już przeszło w stan chroniczny. Jeżeli kiedyś Rooney nam pozwoli, z całą pewnością zdołamy sporo napra-

wić, ale nie da się wymazać śladów po wieloletniej chorobie psychicznej.

- Zawsze był taki? - zapytała Peggy.

Casey w ostatnim czasie intensywnie zastanawiała się nad tym. Kiedy zaczęła myśleć o ojcu jak o osobie chorej, a nie lekceważącej najbliższych, wszystkie pretensje, jakie do niego żywiła, prawie zupełnie z niej wyparowały.

- Oznaki musiały być widoczne na wiele lat przed tym, zanim nas opuścił, jednak my byliśmy zbyt małe, żeby je rozpoznać, a mama - zbyt lojalna wobec niego.

- Zawsze różnił się od innych ojców - dodała Megan. - Trochę infantylny, jakby rozmawiał z elfami i duszkami. Potrafił opowiadać najcudowniejsze historie, ale nigdy nie było wiadomo, jaka ich część jest prawdziwa, a gdzie zaczynają się fantazje. Dla Rooneya wszystko było pasjonującą opowieścią.

- Żałuję, że go nie znałam. Chciałabym mieć teraz taką szansę - z głębokim żalem westchnęła Peggy. Siostry zamilkły. Casey bardzo chciała, żeby wszystko ułożyło się jak najlepiej, ale nikt nie wiedział, jak skutecznie rozwiązać ten problem. Już raz Rooney wywrócił ich życie do góry nogami i było bardzo prawdopodobne, że zrobi to znowu.

Megan podniosła się z krzesła.

- Pójdę po ciasto.

- A ja przyniosę z góry kawę - zaoferowała się Peggy. Casey patrzyła, jak znika na schodach.

- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że nie zna Rooneya - stwierdziła w zamyśleniu.

- A jak ty sobie z tym radzisz?

Westchnęła ciężko, a Jon delikatnie ujął jej dłoń.

- Jedź ze mną do domu, Casey. Wypożyczymy kasetę i obejrzymy coś miłego, albo, jeśli chcesz, możemy porozmawiać.

Propozycja wydawała się naprawdę świetna. Na ogół roz-

ładowywała stres, idąc na jakąś imprezę, albo organizowała ją sama, lecz dzisiaj perspektywa cichego, spokojnego wieczoru u boku Jona wydała się Casey bardzo kusząca.

Zauważyła, że Ashley patrzy na nią i z niepokojem czeka na odpowiedź.

- Nie mogę - powiedziała głośno. - Obiecałam Ashley orły na śniegu i lepienie śnieżek.

- Do dobrej walki na śnieżki trzeba co najmniej trzech osób, a ja z chęcią obejrzę Disneya. Ashley może wybrać film, który najbardziej lubi.

- Naprawdę, Jon?— Casey jeszcze nie spotkała mężczyzny, którego szczerze ucieszyłaby perspektywa randki z obcym dzieckiem w roli przyzwoitki.

Z uśmiechem zwrócił się do dziewczynki.

- Oczywiście, jeśli nasza księżniczka się zgadza. Księżniczko, rzeknij tylko słówko...

- Mama też nazywa mnie księżniczką! - Twarz małej pojaśniała z radości.

% - Bo ten tytuł bardzo do ciebie pasuje - zapewnił z powagą. - Jej Książęca Wysokość Ashley, to naprawdę świetnie brzmi.

- Chcesz, żeby Jon robił z nami orły na śniegu? - zapytała Casey. - A kiedy zmarzniemy, zaprosi nas do swojego domu.

- A będę mogła pobawić się lalką w marynarskim ubranku? Jon uśmiechnął się jeszcze bardziej uroczo.

- No pewnie! Casey mówiła, że kupiła ci lalkę. Weź ją ze sobą, koniecznie.

Casey ze zdziwieniem i nieopisaną radością zauważyła uśmiech na ślicznej buzi Ashley. Jon Kovats okazał się cudotwórcą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Niccolo zastanawiał się, jak powiedzieć Megan o piątkowej rozmowie z jej ojcem. Nadal nie miał stuprocentowej pewności, że tamten mężczyzna był Rooneyem, ale dowody wyraźnie na to wskazywały. Tak czy inaczej, Megan powinna o wszystkim wiedzieć.

Kiedy późnym niedzielnym popołudniem doglądał remontu, postanowił zadzwonić do niej i zdać relację przez telefon. Nie był to wprawdzie najlepszy sposób na tak poważną rozmowę, ale nie miał innego wyjścia.

Młodzi pomocnicy z zapalem malowali ściany trzy pokoje dalej. Muzyka ryczała tak głośno, że Niccolo nie mógł zrozumieć, jakim cudem nie pospadali z drabin. Zaczął wykręcać numer, a jednocześnie w myślach układał kazanie na temat rocka, przemocy i braku zasad. Brakowało mu ambony, ale przyrzekł sobie, że postara się, by te mądre nauki dotarły do właściwych uszu.

Najpierw zadzwonił do mieszkania Megan i nagrał krótką wiadomość na automatycznej sekretarce, a później wykręcił numer baru i odczekał sześć sygnałów. Właśnie miał zrezygnować, kiedy podniosła słuchawkę.

Nawet podczas zwykłego powitania jej cudowny, miękki alt miał na niego dziwny wpływ.

Powodował, że natychmiast zaczynał myśleć o rzeczach, z których kiedyś dobrowolnie zrezygnował i które starał się wyprzeć z pamięci. Życie, które dotąd uważał za udane, wydało mu się nagle puste i bezsensowne.

Przedstawił się i czekał, a Megan, jak zawsze, z miejsca przeszła do rzeczy.

- Dowiedziałeś się czegoś nowego o Rooneyu?

- Byłem... - Usłyszał trzask w słuchawce i połączenie zostało zerwane.

- Megan? - Jeszcze czekał, chociaż był pewien, że już nic nie usłyszy. Odłożył słuchawkę, odczekał chwilę i podniósł ją ponownie. Odpowiedziała mu głucha cisza.

- Nick! - Krzyk jednego z chłopców przywołał go do rzeczywistości.

Zacisnął usta, wstał i poszedł do nich. Na widok jego zmęczonej miny któryś łaskawie ściszył radio.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o telefon - powiedział z westchnieniem.

Tego dnia pracowało ich czterech - Joachim, Winston, Josh i najświeższy nabytek, Pete, który właśnie wyleciał ze szkoły. Pete był niebieskookim blondynem i chwalił się, że jest potomkiem wodza Szalonego Konia. Na spółkę z Winstonem prześcigali się w ekstrawagancjach, ale obaj byli bardzo pracowici.

- Chyba przerwaliśmy kabel - tłumaczył Pete. - Przepraszamy, przecież nie zrobiliśmy tego specjalnie. Wcisnąłem pod niego palec i nie mogłem wyjąć.

Niccolo nawet nie pytał chłopaka, po co pakował palec pod cienki kabel, który, umocowany małymi klamrami, ściśle przylegał do ściany.

- Naprawię to, ale na przyszłość musicie bardzo uważać! Gdyby to był przewód pod napięciem, zeszkrobywalibyśmy cię teraz z sufitu. - Wprawdzie cała instalacja elektryczna ukryta była pod tynkiem, ale ostrzeżenie na pewno nie zaszkodziło.

- Mogę pomóc w naprawie?

Niccolo już wcześniej zauważył, że Pete ma smykałkę do

techniki. Zachodził w głowę, jakim cudem żaden z nauczycieli tego nie dostrzegł.

- Niestety, teraz nie mam czasu - uśmiechnął się i złość mu prawie minęła. - Jak idzie malowanie?

Do tego pokoju Elisha wybrała głęboką zielen, przekonując Niccola do swojego wyboru zestawem zdjęć ze starych czasopism. Kolor rzeczywiście podkreślił piękną barwę podłogi i listew z klonowego drewna, a także harmonizował z widokiem na ogród za oknami. Ktoś zapewne urządzi ta gabinet albo pokój dzienny. Niccolo przez chwilę pomyślał, że sam chciałby tu zamieszkać.

- Trzeba położyć jeszcze jedną warstwę - stwierdził Winston. Był szefem ekipy malarskiej i zarabiał o dolara więcej za godzinę niż pozostali chłopcy. Niccolo nie płacił im za większość prac - które potem po kryjomu poprawiał - ale zrobił wyjątek dla malowania. To było proste zajęcie, a każdy z nich potrzebował kieszonkowego.

Cofnął się do drzwi i spojrzał na pokój fachowym okiem.

- Masz rację, jedna w zupełności wystarczy. Już teraz wygląda całkiem nieźle - stwierdził z aprobatą.

- Na tej ścianie trzeba zrobić coś innego. - Winston wskazał na mur bez okna.

- Ten, kto to zamieszka, pewnie powiesi obrazy.

- Tu pasowałoby coś naprawdę ekstra. - Chłopak pokręcił głową.

Nick wyobraził sobie psychodeliczne graffiti.

- Niech będzie jak jest, okay? A potem kupimy jakieś plakaty.

Niccolo zostawił ich przy pracy. Nie miał pojęcia, co począć z Megan. Nie mógł zostawić chłopców samych, bo to groziło nieobliczalną katastrofą, postanowił więc skoczyć do sąsiadów i skorzystać z telefonu. Wiecznie zajęte małżeństwo wyjechało,

ale młoda kobieta z licznym gronem „przyjaciół” była u siebie. Właśnie wróciła z jakiejś dłuższej podróży i kilka godzin wcześniej zgłosiła się po pocztę, którą Nick dla niej odbierał.

Włożył zimowy kożuch i zapowiedział chłopcom, że wróci za pięć minut.

- Wychodzę tylko do sąsiadki - ostrzegł. - Będę nasłuchiwał wycia syren.

Spiorunowali go oburzonym wzrokiem.

Ashley, Casey i Jon wybrali się do parku, aby poszaleć na śniegu, a Peggy poszła na górę się zdrzemnąć. Megan wpatrywała się w trzecią z rzędu filiżankę kawy i zbierała siły na powrót do domu, kiedy zadzwonił Niccolo. Wiedziała, że nie rzucił słuchawki, ponieważ usłyszał jej głos, a mimo to bardzo się zdenerwowała. Była pewna, że kiedy tylko będzie mógł, zadzwoni jeszcze raz i zachodziła w głowę, o czym chciał jej powiedzieć.

Tak naprawdę nie lubiła myśleć o Nicku. Często zarzucała Casey, że na kochanków wybierała sobie bezwartościowych mężczyzn, lecz sama postępowała podobnie. Casey miała przynajmniej takich, z którymi mogła się zabawić, a Megan trafiała na facetów tak bardzo obcych jej emocjonalnie, że z żadnym z nich nie była w stanie nawiązać jakiegokolwiek kontaktu uczuciowego. Dotąd się nad tym nie zastanawiała, ale też wcześniej nie szukała niczego więcej.

Wszystko się zmieniło, odkąd w jej życiu pojawił się Niccolo. Ten człowiek ją przerażał. Zawsze miała wiele odwagi, ale nie w takich sprawach. Dotąd pochłaniała ją miłość do Peggy i Casey oraz do reszty rodziny, ale kochać mężczyznę, który odwzajemniał uczucie? Po raz pierwszy musiała dokonać wyboru.

Zaczynała niemal obsesyjnie myśleć o Niccolu. Wstała

i zniosła filizankę do kuchni. Rzut oka na zegar upewnił ją, że najwyższy czas wrócić do swojego mieszkania. Ubrała się, wyszła i wsiadła do Charity.

Zanim zdała sobie sprawę z podjętej decyzji, już jechała ulicą, przy której stał dom Nicka.

Zaparkowała naprzeciw wejścia, ale zanim zdążyła wysiąść, otworzyły się drzwi domu stojącego po lewej stronie i wyszedł z nich Niccolo. Odprowadziła go na ganek młoda kobieta z tapirowaną, farbowaną na platynowy blond fryzurą, ubrana w czarny, obcisły kostium.

Coś jej wytrwale tłumaczył. Stała blisko niego i ciepła para jej oddechu osnuwała mu twarz.

Rozmawiali tak długo, że blondynka zmarzła i zaczęła przestępować z nogi na nogę. Niccolo w końcu wyprostował się i zszedł po schodach, machając na pożegnanie. Megan zarejestrowała jego reakcję na widok Charity: zwolnił kroku i lekko się uśmiechnął.

Sąsiadka znikła we wnętrzu domu, zanim Megan zdążyła wysiąść.

- Pomyślałam, że wpadnę dokończyć rozmowę - rzuciła. - Zdaje się, że przyjechałam nie w porę?

- Mój telefon nie działa, więc próbowałem się do ciebie dodzwonić z domu Cindy.

Megan poczuła dziwną ulgę.

- Musiałeś dzwonić, kiedy już byłam w drodze.

- Ale warto było zajrzeć do sąsiadki, bo zaproponowała, że sprzeda mi swój dom.

Megan spojrzała na budynek z odrapanym gankiem, szarymi azbestowymi dachówkami i tekturowymi płytami zamiast szyb. Zwisające z okapu półmetrowe sople i zasuszone iglaki przed wejściem dopełniały obrazu wielce żalostnej całości.

- Styl śródziemnomorski - wyjaśnił, zanim zdążyła coś powiedzieć. - Dla koneserów... - uśmiechnął się. - W środku

poprzedzielano pomieszczenia pilśniowymi płytami, ale szkielet jest doskonały. Wystarczy zerwać dachówki, zlikwidować ganek i kto wie, co można odkryć?

- Nie mów, że masz taki zamiar.

- Ależ tak. - Zdziwił się. - Ta rudera paskudzi całą okolicę i jeśli ją wyremontuję, mój dom natychmiast zyska na wartości, a poza tym dzieciaki nie będą się nudzić, bo otrzymają nowe wyzwanie. -

- Jeśli go kupisz, sąsiadka będzie musiała się wyprowadzić...

- I tak wyjeżdża do Vegas, bo chce zostać musicalową tancerką.

- Znajdzie pracę?

- Bez trudu... tylko nie chcę zgadywać, jaką.

Megan zaczęła dokuczać mróz, a Niccolo ciągle nie zapraszał jej do środka.

- Co chciałeś mi powiedzieć, Nick? - zmieniła ton.

- Może wejdiesz? W kuchni będzie nam przyjemniej. Chciała zobaczyć, jak daleko posunęły się prace od jej ostatniej wizyty. Kiedy ruszył przodem, nie czekając na jej odpowiedź, wiedziała, że wyjaśnienia zajmą mu sporo czasu.

W środku powitał ich ostry zapach farby i wycie radia. Wejście było już prawie wykończone. Ruszyli przez hol, aż wreszcie Nick zatrzymał się, otworzył drzwi i wsunął głowę do pokoju. Muzyka dosłownie buchnęła ze środka.

- Przywitajcie się z Megan, chłopcy!

Usłyszała chórny okrzyk i wsunęła głowę obok Niccola. Wprawdzie zieleń nie wydała się najwłaściwszym kolorem dla tak małej powierzchni, ale pokój mimo to prezentował się pięknie. Przekrzykując muzykę, przywitała się z chłopcami. Wykrzyczeli kilka głośnych uprzejmości, po czym Niccolo wycofał się i zamknął drzwi.

Megan kichnęła.

- Te opary ich zabijają.

- Uchylili wszystkie okna, nie zauważyłaś? A poza tym ta farba nie jest toksyczna, sam ją wybierałem. Skierowali się do kuchni. Nick miał na sobie wytarte džinsy, a pod rozchełstaną flanelową koszulą jeden z obowiązkowych białych podkoszulków.

Wyglądał rewelacyjnie. Kiedy go nie widziała, zapomniała, jak bardzo jest atrakcyjny, jak trudno było się oprzeć jego urokowi i jak działał na jej zmysły. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie wywarł na niej takiego wrażenia.

- Kawy? - zapytał.

Kiwnęła potakująco głową. Potrzebowali chwili ciszy, by ochłonać po ostrym rocku oraz by przygotować się do czekającej ich rozmowy.

Kilka minut później postawił przed Megan parujące cappuccino. Spróbowała bez cukru i, o dziwo, bardzo jej smakowało. Niccolo usiadł naprzeciw niej.

- Jak się miewasz? - zapytał.

Wzruszyła ramionami, co w zupełności wystarczyło za odpowiedź.

- Dowiedziałeś się czegoś nowego o Rooneyu?

- Poszedłem tam, gdzie byliśmy razem. Spotkałem mężczyznę i rozmawialiśmy przez chwilę. Myślę, że to mógł być twój ojciec.

Zastanawiała się, co właściwie powinna teraz czuć.

- Możesz go opisać?

- Nie za dobrze. Wyglądał mniej więcej na sześćdziesiąt lat. Miał na sobie kilka warstw ubrań, był zaniedbany i brudny, ale starannie ogolony. Wiesz, gdy patrzy się na ludzi, którzy przez długi czas żyli w taki sposób, jak ten człowiek, trudno jest wychwycić indywidualne cechy. Na pierwszy rzut oka wszyscy bezdomni wydają się identyczni...

Powtórzył jej rozmowę, jaką odbył z tajemniczym mieszkańcem Wyspy. Megan słuchała uważnie, ale niczego nie komentowała.

- Myślę, że on pokazuje się tylko wtedy, gdy niebo jest zachmurzone - podsumował. - Powtarzał, że gwiazdy nasłuchują i obserwują. Twierdził też, że musi coś przed nimi, albo dla nich, ochraniać.
- Czy zareagował na swoje imię?
- Gdy je wypowiedziałem, odwrócił się, ale kiedy zapytałem, czy nazywa się Rooney, powiedział, że już nie ma imienia, bo zabrały je gwiazdy.
- Ma niezłego świra. - Nie zabrzmiało to aż tak obojętnie, jak chciała, a jej głos zdradziecko się załamał. By ukryć targające nią emocje, lekko zakasłała. - Czy on utykał, Nick?
- Tak. Możliwe, że nosił za duże buty.
- Jeszcze przed ślubem Rooney miał wypadek samochodowy i zaczął mieć problemy z jedną nogą, a z wiekiem utykanie stawało się coraz silniejsze. Wprawdzie nie utrudniało chodzenia, ale było widoczne.
- Powiedział, że ukrył przedmioty, które wcześniej odkryłem, to znaczy wasze zdjęcie i rysunek.
- To musi być Rooney - powiedziała.
- Sądzę, że powinniśmy tam pojechać w najbliższą pochmurną noc, bo tylko wtedy mamy szansę go spotkać. Wezmę ze sobą rzeczy, które dla niego przygotowałem. Nawet jeśli go nie spotkamy, zostawię je w szalasiu. - Zamilkł na moment. - Dziś chyba będą chmury.
- Masz coś dla niego?
- Spakowałem dwa pudła
- Gdyby chodziło o psa moglibyśmy wezwać na pomoc Ligę Ochrony Zwierząt - powiedziała gorzko.
- Dlaczego nie ma czegoś takiego, jak Liga Ochrony Ludzi?

- Nie potrafię tego udowodnić, ale jestem pewien, że twój ojciec ma do spełnienie jakąś misję. Znalazł się na Wyspie z jakiegoś konkretnego powodu i byłby zrozpaczony, gdybyśmy go stamtąd zabrali.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nie oszalał, a jego działania są racjonalne?

Objął filiżankę, jakby chciał ogrzać dłonie.

- Megan, to nie jest łatwa i oczywista sprawa, dlatego wyjaśnienia nie mogą być proste - powiedział z powagą. - To stary jak świat konflikt między prawem jednostki do swobodnego wyboru stylu życia a odpowiedzialnością społeczeństwa za opiekę nad najsłabszymi: Zrozum, jeśli naprawdę Rooney jest przekonany, że musi spełnić jakąś misję, uniemożliwiając mu to, boleśnie go zranimy. On coś głęboko przeżywa i my musimy to uszanować, niezależnie jak daleko od uznawanej przez nas normy odbiegają jego myśli i odczucia Najlepszym rozwiązaniem byłoby nakłonić twojego ojca żeby wrócił do domu z własnej woli.

- W jaki sposób chcesz tego dokonać? Przecież ktoś, kto uważa że gwiazdy obserwują każdy jego ruch, nie zrozumie naszych logicznych argumentów. Do jakich pojęć możemy się odwołać, by go przekonać?

- Gdy byłem księdzem, przychodzili do mnie najróżniejsi ludzie z najrozmaitszymi problemami i szybko przekonałem się, że aby komuś naprawdę pomóc, najpierw trzeba poznać jego życie duchowe, bo to ono kieruje naszymi myślami i działaniami. Choć wielu odżegnuje się od tego, stawiając ołtarz zimnej logice... Megan, na racjonalnej płaszczyźnie nigdy nie dogadamy się z Rooneyem, bo dzieli nas przepaść nie do przebycia, lecz łączy nas z nim, tak jak ze wszystkimi innymi ludźmi, tak wiele, to znaczy nasze życie duchowe, czyli cud człowieczeństwa. I to jest ta droga, na której możemy spotkać

się z twoim ojcem, a zarazem jedyna szansa, by go zrozumieć... i uratować. A poza tym zaciąganie go siał do szpitala nie jest chyba zgodne z prawem.

Przypomniała sobie rozmowę z Jonem i musiała przyznać mu rację.

- Wiem, że wytrąciło cię to z równowagi - powiedział z troską po chwili milczenia. - Masz prawo czuć się podle.

- Zastanowił się przez chwilę. - Pewnie łatwiej byłoby wysłać kogoś z odpowiednim doświadczeniem kto umiałby fachowo sobie z nim poradzić. Może ktoś z opieki społecznej?

Megan drgnęła i ostro spojrzała na Nicka.

- Myślisz, że o to właśnie mi chodzi? Że obłudnie udaję troskę o własnego ojca, a tak naprawdę zamierzam umyć od wszystkiego ręce i cały problem zwalić na innych? - Poczuli się dotknięta do żywego i swą doię przelała na Nicka.

- Tak, myślę, że częściowo właśnie tak jest - odparł szczerze.

Chciała zaprzeczyć, lecz nie potrafiła.

- ' Myślę też, że to zupełnie normalna, ludzka reakcja - dodał łagodnie. - Kolejny ciężar dla ciebie. Dźwigałaś już w swoim życiu o wiele więcej niż inni, a stało się tak głównie z winy Rooneya, kto mógłby więc cię winić za to, że niechętnie patrzysz na jego powrót?

- Ja - powiedziała z głębokim smutkiem. - Powinam być lepszym człowiekiem.

- Czyż nie jest to obowiązkiem nas wszystkich?

Był miły i współczujący, co tylko pogarszało sytuację:

- Czy to znaczy, że teraz odpuszczasz moje grzechy i mówisz, że Bóg mi wybacza? - rzuciła z gorzką ironią.

- Nie, to znaczy, że wciąż traktujesz moją troskę o ciebie jako działania kapłana, którym przecież już nie jestem, Megan.

- Odczekał chwilę, by mogła zastanowić się nad jego słowami.

- Musisz zdecydować, czy pozwolisz mi uczestniczyć w walce o Rooneya, czy każesz mi zniknąć. Jestem gotów na jedno i drugie.

Czuła się upokorzona i zawstydzona. Chciała odepchnąć Nicka i jednocześnie przytulić się do niego. Wiedział, że się waha i pozwolił jej dokonać wyboru.

- Zrozumiałabym, gdybyś się ode mnie odciął - powiedziała w końcu. - I bym cię za to nie winiła, bo byłam dla ciebie okropna. Wiem o tym

- To prawda, lecz i ja nie byłem lepszy wobec ciebie. Przez lata przygotowywałem się ha wszystko, tylko nie na to.

Już nie rozmawiali o Rooneyu, tylko o sobie.

- Nie jestem dobra w związkach... nawet się o to nie staram - powiedziała powoli.

- Ależ jesteś wspaniała. Żyjesz wśród ludzi, którzy wprost cię uwielbiają.

- To dlatego, że się o nich troszczę, więc jak mogliby mnie nie kochać? Jednak ty nie potrzebujesz niczyjej opieki.

- I bardzo dobrze, bo już dość pomagałaś innym. Megan, sama nie uniesiesz kolejnego ciężaru, dlatego proszę cię, pozwól, abym pomógł ci zająć się twoim ojcem.

- Zajmowałeś się już zbyt wieloma ludźmi, Nick.

- Oboje robiliśmy to w samotności, i może właśnie nadszedł czas, abyśmy zaczęli działać razem?

Dopiero teraz spojrzała mu w oczy i zobaczyła to, czego nie mogła wyczytać z jego głosu. Sama musiała się przełamać, żeby wyjść mu naprzeciw, lecz uświadomiła sobie, że dla Nic-cola było to jeszcze trudniejsze.

- Nie daję ci żadnej gwarancji. - Wyciągnęła rękę i zaczęła delikatnie gładzić palcami grzbiet jego dłoni. - Sama nie bardzo wiem, czego chcę, a gdybym nawet wiedziała, nie mam pojęcia, jak to zdobyć.

324

- Proszę cię, żebyś nie odtrącała mnie tylko dlatego, że się boisz. To wszystko.

- Wszystko?

Uśmiechnął się tak, że jej serce zabiło mocniej.

- Nadal masz wątpliwości?

Już miała odpowiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Przez moment nie mogła pojąć, dlaczego dzwonek słychać tak blisko, aż zorientowała się, że dźwięk dochodzi z kieszeni jej płaszcza.

- Przepraszam. - Wyciągnęła telefon komórkowy. Niccolo rozparł się na krześle.

- Gdybym ja miał coś takiego, nie udałoby się nam zamienić słowa - zachichotał.

Uśmiechnęła się, ale kiedy skończyła rozmowę, twarz miała poważną.

- To Casey.

- Złe wieści?

- Była w parku z Jonem i dostała telefon. Na Whiskey, niecały kilometr od miejsca pożaru, znaleziono ciało mężczyzny. Na podstawie ubioru i rzeczy, które miał przy sobie, stwierdzono, że był bezdomny. Casey obawia się, że to może być Rooney.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Casey zabrała Ashley z powrotem do baru, a Jon pojechał na wyspę, żeby zobaczyć zwłoki. Był tam nadal, kiedy przyjechali Niccolo i Megan. Nick nalegał, aby zabrała go ze sobą, gdyż jako jedyny znał człowieka, który mógł być Rooneyem i potrafiłby go rozpoznać.

Wątpliwe było natomiast, czy Megan będzie w stanie zidentyfikować ojca. Nie widziała go tak wiele lat, a z pewnością czas nie obszedł się z nim łaskawie.

Niccolo zaparkował w miejscu, które wskazał Jon, a Megan szybkim krokiem ruszyła w stronę dwóch policjantów. Spękana ziemia i hałdy rudy sprawiły, że wokół rozciągał się księżycowy krajobraz.

Kiedy funkcjonariusze zauważyli Megan i Niccola, jeden z nich podszedł do nich.

- Teren jest objęty śledztwem policyjnym - oznajmił. - Proszę stąd natychmiast odjechać.
- Jon Kovats prosił, żebyśmy przyjechali - powiedziała Megan. - Człowiek, którego znaleźliście, może być moim ojcem.

Policjant nie był zachwycony takim obrotem sprawy, ale wiedział, że nie ma sensu protestować, więc niechętnie wskazał najbliższą hałdę.

- Tamtędy. To nie jest przyjemny widok. Jesteście pewni, że chcecie go zobaczyć?
- Tak, chcę.

Niccolo złapał Megan za ramię.

- On ma rację - szepnęła. - Możesz to zrobić później, w kostnicy.
- Dlaczego ludzie myślą, że śmierć staje się łatwiejsza, kiedy ciało leży w białych prześcieradłach? - odparowała.
- Chodzi raczej o to, abyś miała czas przygotować się na ten widok.
- I przez ten czas zamartwiać się.

Nick skinął głową. Najwyraźniej też chciał mieć oględziny jak najszybciej za sobą. Uścisnął jej ramię.

- Pozwól, że spojrzę pierwszy.
- Nie, zrobimy to razem.

Słyszając jej ton, zrozumiał, że na nic więcej nie może liczyć. Zastanawiał się, czy w głębi serca Megan ma nadzieję, że ciało należy do Rooneya. Wówczas tajemnica zostałaby wyjaśniona i ojciec będzie mógł spocząć w grobie.

Minęli hałdę i poszli w kierunku stojącej u jej podnóża grupy ludzi, w większości umundurowanych. Jon dostrzegł ich i ruszył w ich stronę, zapewne po to, by przygotować Niccola i Megan na widok, jaki mieli za chwilę ujrzeć.

- Megan, jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytał, gdy znalazł się dostatecznie blisko.
- Tak.

Niccolo nie puszczał jej ramienia. Nie było mowy, aby pozwolił jej pójść tam samej.

- Możesz nam powiedzieć, jak do tego doszło? - zagadnął Jona.
- Z tego, co wiemy, nie popełniono zabójstwa. Więcej dowiemy się, gdy przyjedzie koroner, ale nie ma powodu podejrzewać, że denat nie zmarł z przyczyn naturalnych. To mógł być atak serca, zawał, albo zwyczajnie zbyt dużo wypił, zasnął i zamarzł na śmierć.

Megan odszukała dłoń Niccola i mocno ją ścisnęła. Zrozumiał, że pomyślała o Billym i chciała dodać mu otuchy. Wzruszyła go tym gestem.

- Mówisz, że za dużo wypił? - zapytała.

- Obok ciała, na wyciągnięcie ręki, leżały puste butelki. Wielu z tych ludzi wylądowało na ulicy z powodu alkoholu, który wreszcie ich zabija. - Przerwał na chwilę i spojrzał współczująco na Megan. - Przykro mi, że na ciebie wypadło. Casey chciała przyjechać i zaoszczędzić ci tego straszego obowiązku, ale nie miała co zrobić z Ashley.

- Jestem starsza od Casey, więc lepiej pamiętam Rooneya.

- A ty widziałeś go w noc napadu przy barze? - Jon zwrócił się Niccola.

Nick opowiedział mu o rozmowie z bezdomnym mężczyzną na Wyspie Whiskey.

- Jeśli to ten sam człowiek, rozpoznam go.

- Dobrze. Jesteście gotowi?

Niccolo spojrzał na Megan, a ta skinęła głową. Jon poprowadził ich obok policjantów, i dalej, ku niewielkiemu zagłębieniu terenu. Na zwirowej ziemi leżał podłużny kształt, przykryty plastikową płachtą. Gdy stanęli nad nim, Jon powoli odchylił róg.

Niccolo z uczuciem ulgi puścił ramię Megan.

- To nie ten człowiek, z którym rozmawiałem - powiedział szybko, żeby jak najszybciej zakończyć identyfikację i zaoszczędzić Megan niepotrzebnego wpatrywania się w twarz denata.

- Jesteś pewien? - zapytał Jon.

- Gdy widziałem go dwa dni temu, był gładko ogolony. Ten mężczyzna, nieco młodszy od nieznanego Niccola,

miał długą rudą brodę. Nick odwrócił wzrok.

Dokładnie w tym samym momencie zrobiła to Megan.

Była blada jak papier, a na czoło, pomimo mrozu, wystąpił jej pot.

- To nie jest Rooney - oświadczyła drżącym głosem.
- Minęło sporo czasu - powiedział łagodnie Jon.
- Jestem pewna, że to nie Rooney - powtórzyła. Odeszła na bok, a Jon zakrył ciało.
- Niedobrze ci? - Niccolo chwycił ją pod ramię Potrząsnęła głową.
- Nie sądzę, żeby...

Nie słuchał. Szybko odprowadził ją na skleconą z desek i metalowych części ławkę.

- Opuść głowę między kolana - polecił.

Ten jeden raz nie zgłaszała sprzeciwu. Objęła głowę rękami i łapczywymi haustami chwytając mroźne powietrze.

- To nie Rooney - powiedziała w końcu, gdy uspokoiła oddech. - Ktoś inny będzie za nim tęsknił, martwił się...
- Może się mylisz.
- Boże, jak ja nienawidzę śmierci!
- Może los wyznaczył mu ważną rolę w dziejach świata, coś specjalnego, czego nie mógł dokonać nikt inny.

Megan spojrzała na Niccola z wyrzutem.

- Zgoda, czasami nadal przemawiam jak ksiądz - zdobył się na uśmiech.
- Naprawdę wierzysz, że zostawił innym coś więcej niż złamane serca?
- Nie znałem go, ale wiem, że Rooney Donaghue zostawił trzy wspaniałe, inteligentne i wrażliwe córki. Pomógł też tworzyć małe, przytulne niebo, w którym kobiety i mężczyźni są rozpoznawani, karmieni, objęci troską...
- I dostają ten sam napój, który zabił tego człowieka - dodała zimno.

- Jesteś ostrożna i rozważna. Robisz bardzo wiele, żeby zadbać o swoich gości.

Oczy Megan wypełniły się łzami.

- Świat to przekłete miejsce, Nick.

- Tylko czasami. - Ujął jej zimną dłoń i przycisnął do niej usta. - A czasami jest pełen cudów i po porażce daje nam następną szansę. Chodź, zawiozę cię do domu.

- Mój wóz został u ciebie.

- Więc pojedziemy do mnie.

Dziwnie długo zastanawiała się nad czymś.

- A dasz mi drinka?

- Oczywiście.

- I zrobisz kolację?

- Wiesz, że tak.

- Przytulisz mnie? Zaparło mu dech w piersi.

- Tak długo, jak mi pozwolisz.

- Więc jedźmy.

Ekipa malarska rozeszła się już do domów. Niccolo pozamykał okna i podkręcił termostat na najsilniejsze ogrzewanie. Megan, ubrana w jego wełniany sweter, sięgający prawie do kolan, ścisnęła w dłoniach filiżankę parującej, mocnej kawy. Mimo to wciąż było jej zimno, a na wspomnienie niedawnych przeżyć co chwila przeszywały ją dreszcze.

Niccolo przyniósł pled i otulił ją troskliwie. Był to patchwork, uszyty z ogromnej ilości małych kwadratów we wszystkich kolorach tęczy. Przynajmniej kiedyś musiał tak wyglądać, bo przez lata używania mocno spłowiał.

- Babcia zrobiła go dla mnie, kiedy wstępowałem do seminarium. Powiedziała, że przedstawia moje życie, wypełnione najróżniejszymi barwami - trochę tego, trochę tamtego. Inne

niż u większości ludzi, których szara egzystencja ogranicza się do tych samych związków i tych samych miejsc, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Jednak w końcu moje życie miało złożyć* się w piękną, pełną i barwną całość.

- Babcia nie miała racji? - Megan otuliła się jeszcze ciaśniej.

- Nie, to ja myliłem się, sądząc, że właśnie tego chcę.

- Myliłeś się, czy może nie miałeś pewności?

- Wstąpiłem do seminarium z niewłaściwych pobudek. Chciałem, żeby rodzina była ze mnie dumna. Chciałem być bardziej święty od innych. Nie pragnąłem służyć Bogu, lecz chciałem się nim stać. Zaskoczyła ją brutalna szczerłość tych słów.

- Nie masz o sobie najlepszego zdania, prawda? - zagadnęła, zmęczonym gestem odgarniając włosy z czoła.

Usiadł obok niej.

- Przeciwnie, przynajmniej dzisiaj myślę o sobie jak najlepiej, ale mam za sobą kilka trudnych lat, w czasie których starałem się osiągnąć to, co mam teraz.

- Ciągle żałujesz, że nie jesteś już księdzem?

- Nie o to chodzi. Chciałbym odnaleźć prawdziwe powołanie i ułożyć sobie życie. Wiem, że to wymaga czasu i nie jest łatwe, a z natury nie należę do cierpliwych. Lubię, kiedy coś się dzieje szybko, i dlatego ostatnio wpadłem w tarapaty.

Przeszyły ją dreszcze, jednak tym razem nie z zimna.

- Zawsze uważałam, że jesteś wzorem cierpliwości. - Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Na pewno nie, ale staram się nad tym pracować. - Objął ją i przyciągnął do siebie. - Tak szybciej się rozgrzejesz.

Zamknęła na chwilę oczy i znów zobaczyła ciało mężczyzny na zamarznętej ziemi. Podniosła szybko powieki i krzyknęła cicho.

Niccolo objął ją mocniej, jakby wiedział, o czym pomyślała.

- Tamten człowiek, który umarł, nie był twoim ojcem - powiedział z naciskiem.
- Ale mógł nim być. Następnym razem może przyjdzie kolej na niego.
- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby do tego nie dopuścić.
- Sam powiedziałaś, że niewiele da się zrobić.
- W każdym razie nie w tym momencie. Teraz grzecznie wtulisz się we mnie i pozwolisz się ogrzać. A później, kiedy już przestaniesz się trząść, przygotuję pyszną kolację.
- Chyba niczego nie przełknę, Nick.
- Spokojnie, za jakiś czas zgłodniejesz.

Dopiero teraz zauważyła, że włączył stereo. Pianista grał jakiś pełen melancholii utwór. Zapytała Niccola, co to takiego.

- Brahms. Zaczyna się smutno, ale później staje się pełen radości. Uwielbiam jego utwory na fortepian, rapsodie i intermezza. Sprawiają, że chciałbym nauczyć się grać.
 - Dlaczego w takim razie nie próbujesz?
 - Nie mam fortepianu.
 - Przecież musiał być jakiś instrument w seminarium, a potem w kościele.
 - Wtedy nie brałem się do niczego, w czym od razu nie byłem świetny - odparł szczerze.
 - A teraz?
 - Cóż, sytuacja mówi sama za siebie.
 - Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.
 - Nie wiem, czy jestem dobry w tym - przytulił ją mocniej - a mimo to próbuję.
- Odwróciła się i oparła się o niego tak, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

- W czym?
- W przytulaniu. Czuję się, jakbym miał za dużo dłoni i łokci.
- Ze swojej strony mogę powiedzieć, że radzisz sobie całkiem nieźle.
- A jak ty się czujesz?
- Lepiej, już mnie tak nie trzęsie. - Nie mówiła całej prawdy. Gdzieś w środku nadal drżała, lecz nie z powodu zimna ani dzisiejszych przeżyć na Wyspie.
- Kiedy marzniesz, masz czerwony nos, wiesz? - skomentował z uśmiechem.
- To żadna nowość. A jaki ma teraz kolor? Przyjrzał się uważnie.
- Różowy.
- Może przydałby się termometr?
- Mnie nie. Wystarczy, że mogę na ciebie patrzeć.
- Jak na mężczyznę bez doświadczenia radzisz sobie doskonale - pochwaliła.
- To chyba instynkt.
- Nie zdołali go z ciebie wykorzenieć w seminarium? - zachichotała.
- Obowiązywała tam nadzwyczaj łagodna reguła. Tylko w co drugi czwartek wspólnie umartwialiśmy się.
- Ba, skoro zrezygnowałeś z tak wielkiej przyjemności, która dana jest innym, musieli cię nauczyć, jak masz sobie z tym radzić.
- Czyli dziesięć prostych sposobów, aby celibat stał się przyjemnością? - zakpił.
- Coś w tym rodzaju - uśmiechnęła się.
- Megan, nie zapominaj, że to nie miała być przyjemność, lecz poświęcenie.
- A było?

- Wielkie.

Dotknęła jego policzka. Przez przypadek, ale już od dawna miała na to ochotę. Zamknął oczy.

Przyglądała się przystojnej twarzy Nicka. Pamiętała, co czuła, całując jego usta i jak tego później żałowała. Wzbudzał w niej odczucie, którego nie potrafił nawet w części wywołać żaden inny mężczyzna.

Megan była niebezpiecznie bliska zakochania się. Niccolo otworzył oczy.

- Bładoróżowy - uznał. - Twój nos pokazuje, że wreszcie się rozgrzewasz.

- Pocałuj mnie, Nick. Nie, czekaj. - Położyła mu palec na ustach. - Pozwól, że ja pocałuję cienie.

- Może lepiej nie. Ostatnim razem nie wyszło nam to najlepiej.

- Sam pocałunek był cudowny, tylko potem głupia kobieta stchórzyła.

- A teraz nabrała rozumu i nie stchórzy?

- Najpierw pocałunek, później ocena. Potrząsnął głową.

- Nie chcę, żebyś się znów ode mnie odwróciła. Musisz mi obiecać, że nie rozdzieli nas to na kolejny miesiąc. Gdy cię nie widzę, strasznie tęsknię za tobą.

Mogła przysiąc, że jej serce w jednej chwili zaczęło bić dwa razy szybciej.

- Ja też za tobą tęsknię, Nick - powiedziała cicho. - Tylko nie jestem w tym wszystkim najlepsza i nie bardzo wierzę, bym potrafiła właściwie zachować się w stałym związku. Seks, to co innego...

- Z tego wniosek, że oboje jesteśmy nowicjuszami - podsumował.

- Może zaczniemy uczyć się razem?

- Ja muszę nauczyć się znacznie więcej od ciebie. Mam okropne wrażenie, że znów zabraknie mi cierpliwości.

- Więc zaczniemy od nowa w tym samym momencie, w którym przerwaliśmy - zaproponowała. Niccolo patrzył na nią w napięciu.

- Nie wiem, czy jestem na to przygotowany.

Przez moment wydawało się jej, że choć Nick lubił, aby sprawy toczyły się szybko, tym razem zmienił swoje zasady. Po namyśle uznała jednak, że chodzi mu o zabezpieczenie i po prostu lęka się, by nie zaszła w ciążę.

- Jestem zdrowa, łykam pigułki, a ty żyłeś w celibacie. Jesteśmy bezpieczni.

- Megan... - zdążył wyszeptać, zanim przywarła do jego rozchylonych ust. Były gorące i słodkie.

Przemknęła jej myśl, że niepotrzebnie się tego bała. Całowanie Nicka było czymś nadzwyczajnym, cudownym i nadszpiewaniem doskonałym...

Wsunęła mu palce we włosy i przycisnęła go do siebie. Kiedy zderzyli się nosami, uśmiechnęła się, nie odrywając ust od jego warg.

- Nie martw się, to wymaga praktyki - pocieszyła.

- To może okazać się jedną z tych rzeczy, których będę się uczyć bez końca - mruknął.

- A ja mam dziwne wrażenie, że niedługo to ty zostaniesz moim mistrzem.

Miał ciemne oczy, ale łatwo można było z nich czytać. Widziała pożądanie i wahanie. Przeciwstawiał przepełniające go uczucia temu, w co wierzył i czego dotąd się nauczył, lecz Megan nie zamierzała pozostawiać mu wyboru. Odchyliła głowę Nicka i zaborczo go pocałowała.

Niemal zapomniała, jaką przyjemnością może być całowanie mężczyzny. Powolne, łagodne pieszczoty, narastające na-

pięcie, pełne niepokoju oczekiwanie i wreszcie całkowite poddanie się emocjom.

Jeszcze nigdy nie robiła tego z mężczyzną, w którym się zakochała.

Jego zarost był miękki, nie drapał policzków i podbródka. Nick przygryzał lekko wargi Megan, by za chwilę gwałtownie wpić się w słodycz jej ust.

Zsunęła dłonie na jego kark i delikatnie głaskała opuszkami palców. Chciała dotknąć i poznać każdy fragment tego ciała, poczuć gładkość skóry, odkryć każdy mięsień, każdą kosteczkę...

Czas przestał istnieć. Po chwili, a może po wielu godzinach, przyłgnęła do Niccola całym ciałem, aż piersi dotknęły jego torsu. Rozsunęła flanelową koszulę, a Nick przycisnął ją do siebie. W jednej chwili zsunęła z siebie sweter, który z cichym szelestem spadł na podłogę razem z pledem. Nie chciała, by cokolwiek rozdzielało ich ciała. Pragnęła czuć jego ciepło, dotyk, smak skóry.

Niccolo zrozumiał sygnał i wsunął dłonie pod cienki golf, który wciąż miała na sobie i zaczął pieścić nagą skórę jej pleców. Jego palce były grube, szorstkie i ciepłe. Palce stolarza. Każdy centymetr jej ciała drżał z narastającego podniecenia.

Sięgnęła do tyłu i jednym ruchem rozpięła biustonosz.

- Zaoszczędzę ci tych zmagania. - Zaskoczył ją własny głos, który miał brzmieć zabawnie, a przepełniony był nieskończoną namiętnością.

- Za chwilę sytuacja wymknie się spod kontroli - ostrzegł bardzo serio.

- Już się wyniknęła - odpowiedziała z radosnym, pełnym oczekiwania śmiechem. Kiedy delikatnie położył dłoń na jej piersi, odrzuciła głowę do tyłu. Była kobietą z temperamentem, bez żadnych zahamowań, ale nigdy jeszcze nie przeżyła tak

nagłego podniecenia, tak dzikiej i nieokiełznanej potrzeby obnażenia ciała i oddania się mężczyźnie. Rozkoszowała się słodczą pocałunków i upajała świadomością, że jest jego pierwszą kobietą. Tylko dlatego próbowała jeszcze zachować kontrolę nad sobą, ale szybko zatraciła się w rozkoszy i nie potrafiła już myśleć.

Podciągnął jej spódnicę; pomogła mu ją zdjąć, w rewanżu ściągając z niego koszulkę. Naparła biustem na jego masywny tors. Ciało przylgnęło do ciała.

Leżeli twarzą w twarz na wąskiej sofie, a czas zatrzymywał się między kolejnymi uderzeniami serca. Jedyne, co czuła, to ciepło ciała Niccola i pożądliwy dotyk drżących dłoni. Nick wciąż wahał się przed zrobieniem kolejnego kroku. Nie wyobrażała sobie, czym musiało być dla niego poddanie się tak długo zakazanej namiętności. Teraz wiedziała, że sama nie zaznała jej w pełni aż do tej chwili. Nigdy nie zapamiętała się tak bardzo w dzieleniu erotycznych doznań. Pragnęła, by to uczucie trwało wiecznie.

- Przejdźmy na górę, będziemy mieli dużo miejsca - powiedział drżącym głosem.

- Nie posuniemy się aż tak daleko, nie od razu. Zabrakło jej tchu, kiedy nagle uniósł ją i zaczął łapczywie

pieścić ustami jej piersi. Ułożyła ciało tak, żeby mu to ułatwić. Może nie miał wielkiego doświadczenia w sprawianiu rozkoszy, ale nadrabiał wszystko wyczuciem.

Klamra jego paska uwierała Megan w nagie biodro. Rozpięła ją i rozsunęła suwak. Trzęsącymi się rękami szarpała się z nim, aż zsunęła Nickowi spodnie. Przez kilka kolejnych chwil zmagali się z resztą ubrań, aż zupełnie nadzy przylgnęli do siebie.

Nick był piękny jak rzymski wojownik albo marmurowy posąg Zeusa. Tyle że w przeciwieństwie do posągów był ży-

wym mężczyzną, który w widoczny sposób reagował na bliskość ukochanej kobiety.

Upajała się tym widokiem i po raz pierwszy żałowała, że spośród sióstr Donaghue jest najmniej urodziwa. Widziała aż nadto wyraźnie swe za krótkie nogi, za szerokie biodra i za małe piersi.

- Megan - spojrzał jej prosto w oczy - jesteś taka piękna.

Naprawdę tak uważał! Wyczytała to w jego oczach. Niedoskonałe ciało Megan Donaghue było wszystkim, czego Niccolo potrzebował do pełni szczęścia. Wątpliwości znikły, poczuła się najcudowniejszą kobietą na świecie. Dla niego była ideałem, i nic innego się nie liczyło.

- A mnie po prostu brak słów.. Jesteś nieopisanie piękny - wyszeptała.

- Czy dałem ci choć trochę przyjemności? Bo nie wiem, czy będę w stanie dać ci więcej. Ale tak bardzo cię pragnę...

- Dasz mi wiele rozkoszy, zanim skończy się noc - obiecała. - Sama się o to postaram.

Chciał odpowiedzieć, ale przycisnęła mu palec do ust

- Ciii...

Zaczęła się zsuwać w dół jego ciała. Całowała jego szyję, tors, brzuch... Pieściła go ustami i największą przyjemność sprawił jej okrzyk spełnienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Niccolo nie miał pojęcia, czy zmysłowość można gromadzić na zapas... bo jeśli tak, to miał wrażenie, że wydał oszczędności całego życia.

Kiedy kochali się po raz drugi, na szerokim łożu w sypialni na górze, Megan została w pełni zaspokojona. Nick miał świadomość, że musi się jeszcze wiele nauczyć, ale pośpiech wydał się niestosowny. Kobieta, którą kochał, spała głębokim snem, z głową wtuloną w jego ramię.

Był rozluźniony i rozkosznie rozleniwiony. Napawał się cudownym darem, jaki przypadł mu w udziale, a jednak błogi spokój burzyły natrętne myśli. Nie powinien do tego dopuścić, nie wolno mu było kochać się z kobietą, której nie poślubił przed obliczem Boga.

Rozważał te sprawy wcześniej. Nie był już księdzem i żadna kościelna doktryna nie obligowała jego życia, a jednak nadal namawiał kobiety i mężczyzn, by aż do dnia ślubu zachowywali wstrzemięźliwość seksualną. Czyż jednak, z drugiej strony patrząc, mógł czuć do siebie odrazę za to, że kochał Megan Donaghue? Wszak nie chodziło tylko o zaspokojenie żądz, o samą rozkosz. To było połączenie ciał i dusz. Świat, w którym trwał, i który w końcu opuścił, miał mądre odpowiedzi na wszystkie pytania, lecz teraz jedyne odpowiedzi, jakie rozumiał, były wypisane w jego sercu.

- Nie śpisz? - Megan otworzyła oczy. - Powinieneś być wykończony. Dałeś prawdziwy pokaz swoich talentów.

339

- Czyżby?

- Wierz mi na słowo.

- Chyba nie mam innego wyjścia. - Odsunął kosmyk włosów z jej policzka.

- Nie żałujesz tego, co zrobiliśmy? - zapytała.

- Nie.

- Ani ja.

- Cieszę się, Meg. Nie chciałbym, żebyś czuła się przeze mnie nieszczęśliwa.

Uśmiechnęła się, a jej orzechowe oczy radośnie rozbłyły.

- Ja też nie chcę cię unieszczęśliwić, ale właśnie tak działałam na mężczyzn.

- To ostrzeżenie?

- Tak. - Wyciągnęła rękę, żeby go pogłodzić po głowie.

- Trudno ze mną wytrzymać.

- To już wiem.

- Potrzebuję prywatności i nie lubię opiekować się ludźmi. Zmęczyło mnie to.

- Jasne. Tylko z obowiązku zajmujesz się rodziną, klientami w „Wyspie Whiskey”, małą Ashley, Jonem...

- Nick, mówię poważnie. Jeśli przyszła ci do głowy myśl o małżeństwie i dzieciach, lepiej o mej zapomnij.

- Coś takiego?

- Nie nadaję się do macierzyństwa.

Nick zastanawiał się, jakim cudem ta wrażliwa kobieta nie rozumie samej siebie.

- Wiesz to na sto procent?

- Nie żartuj sobie ze mnie!

W odpowiedzi nachylił się nad nią i pocałował.

- Nie chcę, żebyś widział mnie w fałszywym świetle, Nick
- zastrzegła, poważniejąc.
- Nie bój się. Mamy mnóstwo czasu, żeby się lepiej poznać

i przekonać się, co los nam ześle - powiedział uspokajająco. - Tylko proszę, nie najeżaj się i nie zamykaj w sobie. Bądź otwarta na wszystkie możliwości. Może razem stwierdzimy, że nasza znajomość to zły pomysł. A może zakochasz się we mnie na zabój, a ja zdecyduję się na wyjazd do Vegas z Cindy i zostanę łowcą autografów.

- Marne szanse - mruknęła sceptycznie.

- Albo zestarzejemy się razem...

- To jeszcze mniej prawdopodobne niż to, że będziesz czatował przez cztery godziny za kulisami na wyjście Ricky'ego Martina, żeby złożył ci podpis na podkoszulku.

- Mój dziadek jest przystojnym mężczyzną, a ja jestem do niego podobny. Starzenie się może być mniej przygnębiające, niż myślisz.

- Stanę się zrędliva, a w białych włosach nie będzie mi do twarzy.

- Będę uwielbiał każdą twoją zmarszczkę.

Meg przesunęła palcami po jego brzuchu i zesła jeszcze niżej. Poczul rosnące pożądanie.

- Widzę, że jeszcze nie masz dość, staruszkule! - zaśmiała się.

Teraz zrozumiał, co musi czuć trzymany w klatce tygrys, któremu nagle zwrócono wolność.

Około ósmej zjedli lekką kolację. Megan wybrała sadzone jajko, a Niccolo tosty i sałatkę owocową. Jedli w ciszy, uśmiechając się do siebie. Nie potrzebowali słów. Nick po raz pierwszy miał poczucie, że jego dom stał się azylem, pełnym ciepła i miłości. Megan szybko zadomowiła się w jego kuchni i prawie bezwiednie poczyniła niewielkie ulepszenia. Zamieniła miejscami papierowe ręczniki i czajnik elektryczny, poustawiała szklanki w szafkach do góry

dnem. Niccolo przesunął się, żeby oboje mieli widok przez okno, położył błękitne słomkowe maty, które dał mu Iggy i postawił na środku biały szklany wazon z suszonymi kwiatami.

Skończyli jeść, pozmywali razem naczynia, a kiedy odstawili je do suszenia, Niccolo wrócił do tematu Rooneya.

- Zawieziemy pudła, które zapakowałem, na wyspę? Wygląda na to, że noc będzie pochmurna.

- Zostawisz je, jeśli on się nie pokaże?

- Tak myślę. Wrócę wcześniej rano i jeżeli będą nietknięte, zabiorę je do domu. Najwyżej spróbuję jeszcze raz. Czekał na jej reakcję. Milczała, więc mówił dalej.

- Nie musisz jechać. Prawdę mówiąc, ja też nie muszę, ale chciałbym mu jak najszybciej to dostarczyć.

- Zastanawiałam się, czy moja obecność go nie spłoszy - powiedziała z wahaniem. - Z drugiej strony chciałabym go zobaczyć. Chciałabym mieć pewność, rozumiesz? - Wpatrzyła się w przestrzeń za oknem.

- Rozumiem.

- Możesz chwilę poczekać?

- Jasne.

- Napiszę mu list i opowiem o nas, o tym, co robimy, ile mamy lat. Z numerami telefonów do całej rodziny. Możemy go włożyć do któregoś z pudeł.

- W tej szufladzie jest papier i długopisy. Pójdę na chwilę do chłopaków.

Nie spieszył się, żeby dać jej czas. To musiał być chyba najtrudniejszy list, jaki Megan pisała w życiu. Kiedy wrócił do kuchni, starannie składała kartkę papieru.

- Pojadę za tobą moim wozem, żebym mogła od razu wrócić do domu - mruknęła, zaaferowana.

Spodziewał się tego, a jednak poczuł się rozczarowany. Nie śmiał prosić, by została na noc, choć czuł, że zgodziłaby się.

- Tylko trzymaj się jak najbliżej mnie. Tam jest ciemno, a nie chcę, żebyś się zgubiła.

- Będę tuż za tobą.

Szybko dotarli na miejsce. Megan zaparkowała za Nicco-lem, wysiadła z wozu i podeszła do niego.

- Wygląda na to, że zaczynają budowę. - Pokazał na otwartą przestrzeń za drzewami. - Mają wielkie plany inwestycyjne. Rooney nie pomieszka tu długo.

- Znajdzie inne miejsce, chyba że nakłonimy go na powrót do domu. Radził sobie nieraz w takich sytuacjach, a poza tym nie sądzę, aby mieszkał tu od lat.

- Skąd wiesz? - zapytał.

- Niedawno wujek Frank usłyszał plotki o jakimś bezdomnym, który krąży w tej okolicy, a gdyby Rooney żył tu od dawna, zauważono by go wcześniej. Gdy przed laty zniknął z domu, przez jakiś czas widywano go w różnych miejscach. Później musiał wyjechać z miasta i wszelki śluch o nim zaginął. Dopiero teraz...

Niccolo zdał sobie sprawę, iż Megan już przywykła do myśli, że włóczęga jest jej ojcem.

- Może masz rację, ale zastanawia mnie, dlaczego wrócił i zamieszkał akurat tutaj?

- Nie mam pojęcia. Może chodzi o jakąś osobliwą więź z rodziną? Mówiłam ci, że po przyjeździe z Irlandii tu właśnie mieszkali nasi przodkowie. Może Rooney wraca do korzeni?

- Może... Niełatwo trafić za jego logiką.

- Pamiętaj, że on wyrósł na opowieściach o tym jak ciężko było naszym przodkom w tamtych czasach

- zaznaczyła Megan.

- Czytam pamiętnik ojca Patricka McSweeneya, który był wówczas księdzem w Świętej Brygidzie. -

Niccolo wyjaśnił, jak pamiętnik trafił w jego ręce. - Wtedy rzeczywiście żyło

się ciężko. Historie, które słyszał twój ojciec, nie były przesadzone.

- Natrafiłeś na jakąś wzmiankę o roclzinie Donaghue'ów?

- Jeszcze nie. To bardzo osobisty dokument o życiu księdza. Dużo miejsca poświęca młodemu małżeństwu Tierneyów, ale o innych parafianach pojawiają się tylko nieliczne wzmianki. - Nick umilkł na chwilę. Zdał sobie sprawę, że rozmawiają, aby pominąć prawdziwy powód nocnej wyprawy.

Zdaje się, że Megan pomyślała podobnie, bo odchrząknęła i energicznym gestem wskazała na pudła.

- Ty weź jedno, ja drugie.

Wyjął z bagażnika lżejszą paczkę i podał ją Megan, zabrał drugą i zamknął samochód.

- Mam latarkę, ale nie chcę jej używać, chyba że będzie to konieczne. Mogą tu być strażnicy.

- Idź powoli. Będziesz prowadził.

Ruszyli ścieżką, którą Niccolo już dobrze znał. Żałował, że Rooney wolał pochmurne noce, bo księżyc wiele by ułatwił. W najciemniejszym zakątku lasu włączył latarkę i zwolnił. Wreszcie zatrzymał się w pobliżu szałas.

Postawił pudło na ziemi. Nikogo nie było, ale nie zdziwiłby się, gdyby stary człowiek wyłonił się nagle zza jakiegoś drzewa.

- Poczekamy chwilkę? - Popatrzył pytająco na Megan.

- Jeżeli zaraz nie przyjdzie, wątpię, czy się w ogóle pojawi. Nick był prawie pewien, że jeśli Rooney krążył po okolicy,

na pewno już wiedział o ich obecności.

- Opowiedz mi o swoich wspomnieniach związanych z ojcem - zaproponował. Miał nadzieję, że jeżeli Rooney naprawdę gdzieś tu jest, słowa córki skłonią go do wyjścia z kryjówki.

- Na przykład co?

- Co razem robiliście? Mieliście jakieś ulubione gry? Książki?

- Czasem mi czytał, ale najczęściej opowiadał wymyślone przez siebie historie albo przerobione podania irlandzkie. Najbardziej lubiłam legendę o olbrzymie Fionnie MacCumhallu. I piosenkę, którą tata śpiewał mi każdego wieczoru przed snem.

- Pamiętasz ją?

Chyba zrozumiała, na co liczył. Odchrząknęła i zaczęła cicho nucić:

„Śpij dzieciątko, śpij malutka, Niech cię tuli noc...”

Niccolo zasłuchał się w melodię, zapominając o chłdzie i zapadających ciemnościach. Megan miała piękny, czysty głos. Słuchał jej śpiewu i zapragnął wziąć ją w ramiona.

- Przepiękne — pochwalil kiedy skończyła.

- To brzmi banalnie, ale Rooney uwielbiał irlandzkie pieśni. Miał świetny głos. Kiedy troszkę sobie wypił, nie trzeba go było namawiać do występów. Gdy brał głęboki wdech, w barze zapadała cisza jak makiem zasiał. Dorośli mężczyźni, którzy nigdy nie postawili stopy na irlandzkiej ziemi, zaczęli płakać za utraconą ojczyznę. - Uśmiechnęła się. - Rooney zawsze zbierał pieniądze za występ, ale nie zarabiał zbyt wiele na tej nostalgii.

- Kochałaś go, prawda?

- Był moim ojcem. Życie z nim nigdy nie było nudne.

- Zamilkła na chwilę, po czym odezwała się łagodnym głosem.

- Był dobrym ojcem, ale kiedy umarła matka, coś w nim się skończyło. Myślę, że pomagała mu utrzymać się na powierzchni... a może kochał ją tak bardzo, że tylko dla niej walczył z demonami, które go zawsze nękały, a gdy odeszła, po prostu poddał się szaleństwu...

- To nie działa w ten sposób, Megan. Twoja matka, dopóki żyła, ukrywała jego problemy. Choroba psychiczna nie jest

kwestią dobrej woli czy motywacji. Nie myślę, by Rooney się poddał.

- W takim razie nie wytrzymał wstrząsu po jej śmierci, a nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc przetrzymać to wszystko.

- Bardzo możliwe.

- On chyba nie przyjdzie, Nick. - Megan zaczęła drzeć. Robiło się coraz zimniej.

- Tak, lepiej już chodźmy. Przyjadę rano, żeby sprawdzić, czy zabrał pudła.

- Rooney?! - zawołała. - Jesteś tam? Przez chwilę nasłuchiwaU w ciszy.

- Tu Megan. Zostawiliśmy ci trochę rzeczy, które mogą ci się przydać.

Odczekała jeszcze chwilę.

- Dobrze, chodźmy. - Zawróciła i pierwsza ruszyła ścieżką. Kiedy dochodziU do skraju lasu, Nick dostrzegł kształt, który nie przypominał drzewa. Zatrzymał się, ale Megan była na tyle daleko z przodu, że niczego nie zauważyła. Bał się ją zawołać, bo na pewno wystraszyłby Rooneya. Jeśli to był on.

Cień zbliżył się i podejrzenia zmieniły się w pewność.

- Powiedz im, żeby przestaU kopać. Każ im przerwać kopanie. Gwiazdy wymierzą karę.

Chciał odpowiedzieć, ale mężczyzna nagle zniknął, jakby wtopił się w las, który go ochraniał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Nicola obudził przeraźliwy sygnał telefonu. Miał wrażenie, że w domu panuje pustka. Zaczynał żałować, że naprawił linię przed położeniem się do łóżka. Chwiejnym krokiem poszedł do holu i podniósł słuchawkę. Usłyszał męski głos.

- Nick, obudziłem cię? Potrzęsnał głową, żeby się ocknąć.

- Która godzina?

- Dziewięta trzydzieści. Tu Jon Kovats. Chyba późno się położyłeś?

Tak było, bo długo nie mógł zasnąć. Myślał o Megan, o jej ojcu i o sobie. O tym, z czego sam zrezygnował i co zyskał. Wreszcie, nie mogąc uporać się z natłokiem myśli, około północy zabrał się do naprawy kabla.

- Jakbyś wiedział. Co się stało?

- Pomyślałem, że może cię zainteresować coś, co znaleziono dziś rano na Whiskey, na terenie budowy.

- Co? - Nick momentalnie otrzeźwiał.

- Już jeden trup to dużo, nie uważasz?

- Macie kolejnego? - przeraził się Niccolo.

- To również nie jest ojciec Casey. Nie chciałem cię przestraszyć. Chociaż znaleźliśmy to blisko miejsca, w którym go odwiedziłeś. Oczywiście jeśli tamten człowiek to w ogóle Do-naghue. Poczekaj chwilkę...

Niccolo usłyszał w tle jakieś hałasy, jakby Kovats dzwonił

z biura, co zresztą tłumaczyło ton rozmowy. Począł, aż Jon znów był na linii i spróbował zdobyć więcej informacji.

- Pozwól, że spróbuję to uporządkować - powiedział. Jego umysł wreszcie zaczął pracować normalnie. - Znalaziono ciało, ale czy macie pewność, że to nie Rooney? Jeśli tak, to na jakiej podstawie? Czy to kobieta? Ktoś młodszy?

- Przeciwnie, o wiele starszy. To szkielet. Właśnie się tam wybieram i pomyślałem, że może będziesz chciał mi towarzyszyć.

- Bo ostatnio tam byłem? - Przez moment Niccolo pomyślał, że Jon nabrał podejrzeń co do jego nocnych wypraw.

- Interesujesz się tamtym terenem, a ponieważ znaleziono coś niezwykłego, uznałem, że sprawa może okazać się jeszcze ciekawsza.

- O co chodzi?

- Nie byłem tam jeszcze. Obejrzyjmy to razem. Niccolo przypomniał sobie człowieka, który pojawił się

wczorajszej nocy w lesie: „Kaź im przerwać kopanie. Gwiazdy wymierzą karę”.

Kiedy już ustalili, że spotkają się na miejscu za pół godziny, przytknął oczy. Co to oznacza?

Dlaczego Jon mu o tym mówi?

Niccolo przybył na czas. Jon wyglądał tego ranka jak rasowy prokurator. Miał na sobie wykrochmaloną białą koszulę, klasyczny krawat i ciemny garnitur pod rozpiętym popielatym płaszczem z wełny. Kiedy przyjechał Niccolo, w wytartych dżinsach i grubej puchowej kurtce, Jon rozmawiał z dwoma pohejantami. Przedstawił go, zanim funkcjonariusze odjechali radiowozem.

- Właśnie czekamy na koronera - wyjaśnił Jon. - Na razie nic innego nie możemy zrobić, ale chodźmy zobaczyć, co znaleźli.

Niccolo zastanawiał się, czy Rooney Donaghue, ukryty w lesie za ich plecami, obserwuje całe zamieszanie. Czy ten dziwny, zaburzony psychicznie człowiek mógłby się zdobyć na jakiś atak? Czy Nick powinien powiedzieć Jonowi, co usłyszał wczoraj w nocy?

Po cóż jednak miał wplątywać w to ojca Megan, skoro jeszcze nie wiedział, co zobaczą?

„Każ im przerwać kopanie. Gwiazdy wymierzą karę”.

Na terenie budowy dwa buldożery stały nad wąskim, świeżo wykopanym rowem.

- Dlaczego pracują o tej porze roku? - zdziwił się Niccolo. - Nie powinni czekać do wiosny, aż ziemia rozmięknie?

- Masz rację, ale od tygodnia jest dość ciepło i załoga zdecydowała, że rozpocznie roboty ziemne.

Pracują, kiedy to możliwe, bo w zimie nie mają innych zajęć.

Niccolo odgadł, że to właśnie praca tych ludzi spowodowała ostrzeżenie Rooneya. Ruszył za Jonem wzdłuż krawędzi wykopu, a po chwili zeszli w dół.

- Dziwię się, że jeszcze jest co oglądać, skoro wykopał to buldożer - odezwał się Nick.

- Jeden z robotników tylko drasnął kość, zauważył ją i użył szpadla, żeby sprawdzić, co to takiego.

Mamy szczęście, że okazał się taki bystry.

Po chwili stanęli nad szkieletem, w większości wciąż jeszcze przykrytym ziemią. Widać było obojczyk i kości ręki. Ramię oplątywały strzępki materiału, zapewne z koszuli albo płaszcza. Dłoń była kompletna, nie brakowało żadnej kostki. Można było też dostrzec zarys biodra i część czaszki.

- Ze wzrostu zgaduję, że to mężczyzna, choć niewykluczone, że mogła być też wysoka kobieta - tłumaczył Jon.

Szkielet wcale nie wyglądał makabrycznie, w przeciwieństwie do sinego ciała zamarznętego bezdomnego. Ten człowiek

umarł bardzo dawno temu i jego sekrety pochowano razem z nim. Być może nikt ich nigdy nie odkryje.

- Potrafisz określić, od jak dawna nie żyje? - zapytał Niccolo.

- Koroner będzie w stanie stwierdzić to z dość dużą dokładnością, ale jeśli moje podejrzenia są prawdziwe, będziemy mogli wskazać dzień jego śmierci.

- Podejrzenia? - Niccolo spojrział na towarzysza. - Masz już teorię, kto to może być?

- Nie widziałeś jeszcze wszystkiego. - Jon wyjął z kieszeni płaszcza torebkę zabezpieczającą dowody rzeczowe i podał mu ją.

Nick starał się opanować, ale serce zabiło mu mocniej.

- Co to takiego?

- Zdaje się, że spinka do mankietów. Wciąż trzymała się na resztkach mankietu wokół nadgarstka.

Mocno zabrudzona, ale kiedy się ją oczyści, łatwiej odczytamy inicjały. Jestem całkiem pewien, że to S.S.

- Skąd to przypuszczenie? Ktoś o takich inicjałach zaginął? - Niccolo oderwał wzrok od spinki, która idealnie pasowała do tej, którą trzymał w szufladzie. - Prowadzisz sprawę, której nie możesz rozwiązać?

- Pracuję nad nią całe dorosłe życie. Chodzi o sprawę zniknięcia Jamesa Simeona.

„Kaź im przerwać kopanie. Gwiazdy wymierzą karę”. Niccolo nie odważył się o nic pytać, ale Jon mówił dalej:

- Jeśli to jest człowiek, o którym myślę, wreszcie wiemy, co się z nim stało. Nie znalazł się tu przez przypadek. Ktoś go ukrył. Najpewniej zabił, a później pochował.

- Nie rozumiem, przecież inicjały Jamesa Simeona są inne.

- „Stal Simeona”. Dwa połączone S. To jego logo, skrót dla Stali i Żelaza Simeona. Z moich szkolnych poszukiwań pamiętam, że umieszczał ten symbol niemal na wszystkim, co

posiadał. Na bryczkach, saniach, żelaznych wrotach domu, hutach i barkach. Chciał, żeby wszyscy znali nie tyle jego nazwisko, co wielkie osiągnięcie, jedyną naprawdę ważną rzecz w jego życiu. Po jego zniknięciu jeszcze długo można było zobaczyć w różnych miejscach to podwójne, splecione S. Dopiero po latach znikło na dobre. Jeden z pisarzy porównał je do plagi węży, które trzeba wybić, żeby w Cleveland można było znów spokojnie mieszkać.

- Jak rozumiem, Simeon nie był zbyt lubiany - zauważył Niccoło.

- Prawie wszyscy życzyli mu śmierci. Wyzyskiwani pracownicy, konkurenci, handlarze, których oszukał albo zniszczył. Może nawet jego żona. Kiedy uznano go za martwego, sprzedała wszystko i wyjechała. Niektórzy uważali, że to właśnie ona go zabiła, ale nie mogła popełnić tej zbrodni, gdyż wtedy podróżowała, o ile dobrze pamiętam, po Europie,

- Pewnie bała się, że Simeon jednak wróci i z wdowy znów stanie się jego żoną... Aby do tego nie doszło, sama znikła - zastanawiał się Nick.

- Jeśli to Simeon, zapowiada się prawdziwa sensacja.

- Jak można to sprawdzić po tak długim czasie?

- Koroner będzie wiedział, co zrobić. Możliwe, że zarządzi badania DNA z komórek kości i zębów.

- Z czym to porównacie?

- I tu właśnie pojawia się problem. Musimy sprawdzić, czy istnieje taka możliwość.

Niccolo rozważał, czy powiedzieć Jonowi o drugiej spince. Ale właściwie dlaczego? Czy wtedy Jon musiałby znaleźć i przesłuchać Rooneya? Mało prawdopodobne, gdyż morderstwo popełniono ponad sto lat temu. Nie, nie powinien postępować pochopnie.

- Czemu do mnie zadzwoniłeś? - zapytał.

- Pytałeś kiedyś o Jamesa Simeona. Poza tym byłeś tu, żeby szukać ojca Casey. Uznałem, że to szczególnie zbieg okoliczności. Nie sądzisz?

Niccolo zorientował się, że Jon chce nakłonić go do mówienia. Ale co mógł mu powiedzieć? Że ojciec Casey wygrzebał drugą spinę i zgubił ją w pobliżu baru, a Nick znalazł ten klejnot? Że z jakiegoś powodu Rooney miał przy sobie artykuł o Jamesie Simeonie? Że domagał się, by przerwano kopanie i straszył zemstą gwiazd?

„Kaź im przerwać kopanie. Gwiazdy wymierzą karę”.

- Rzeczywiście - powiedział w końcu. - Nie mam pojęcia, co to może znaczyć.

- Cóż, jeśli do czegoś dojdiesz, daj mŁ znać.

- A ty powiadomisz mnie, kiedy coś odkryjesz?

- Opowiem o wszystkim, o czym będę mógł.

Obaj nie mogli działać zupełnie swobodnie, związani byli bowiem z siostrami Donaghue. Jon nie zamierzał dalej drażyć tematu, szanował bowiem uczucia Casey, a Niccolo nie chciał mówić nic więcej bez porozumienia z Megan.

Uścisnęli sobie ręce. Jon został, żeby zaczekać na koronera, a Niccolo wrócił do samochodu. Był blisko lasu, lecz nie poszedł do szałasu, by sprawdzić, czy znikły pudła, które zostawili z Megan, bo nie chciał, żeby Jon dowiedział się o tym. Im mniej wie na ten temat, tym lepiej.

Już w samochodzie zaczął rozważać dalsze posunięcia, aż wpadł na zupełnie oczywiste rozwiązanie.

Włączył silnik i pojechał prosto do archiwum miejskiego.

James Simeon nie należał do ludzi powszechnie lubianych. Wszystkie artykuły, dotyczące Stali i Żelaza Simeona, w najlepszym przypadku zawierały wyłącznie suche fakty, a w najgorszym - szereg obelg pod adresem właściciela.

Simeon miał ogromne wpływy i był największym pracodawcą w Cleveland. I chociaż gazety, a szczególnie „Cleveland Leader”, nie dyskryminowały irlandzkich imigrantów, których zatrudniał u siebie, doskonale zdawano sobie sprawę z gospodarczych korzyści płynących z ich pracy. Prasa miała dość śmiałości, by opisywać Simeona jako tłustawego gbura o nalanej twarzy i wilczym spojrzeniu, naigrywano się z jego prostactwa i chamskich manier, ale nie próbowano szargać jego reputacji. Bowiem Simeon miał swój udział we wszystkich sferach miejskiego życia. Należał do komitetów elitarnych klubów i stowarzyszeń, patronujących wydarzeniom kulturalnym bądź zajmujących się promocją sztuki. Wraz z żoną Julią - na zmi-krofilmowanych materiałach widać było drobną blondynkę - pokazywali się na każdym ważnym balu charytatywnym i brali czynny udział w wydarzeniach towarzyskich, choć sami rzadko urządzali przyjęcia.

Julia była oddanym członkiem towarzystw wspierających szpitale oraz klubów kobiecych. Na maskaradzie przebierała się za Piotrusia Pana i triumfowała w grze w krykieta podczas podwieczorków na trawie. Razem z mężem wyjeżdżała na letnisko do swojej posiadłości w Bratenahl i odwiedzała Saratoga Springs. W żadnym z artykułów Niccolo nie znalazł ani jednego ciepłego słowa na temat tej pary, a ich udział w ważnych wydarzeniach kwitowano jedynie formułką „byli obecni”. Logo Simeona, splecione, podwójne S, było równie widoczne, jak jego właściciel. Niccolo obejrzał fotografie z oznaczoną tym symbolem bryczką i bramą jednej z hut. Wygrawerowany znak na spince pasował idealnie.

Kiedy Julia bawiła w Europie, okazało się, że zostanie matką, czego nikt się nie spodziewał, gdyż po siedmiu latach pożycia Simeonowie wciąż byli bezdzietni. Lekarze namawiali

ją, by nie jechała do domu. Uważali, że jest zbyt delikatna i słabowita, i nie chcieli ryzykować zdrowia potomka stalowego magnata.

James posłuchał ich rady i postanowił, że Julia zatrzyma się u krewnych na wsi w hrabstwie Kent.

Mogła tam zażywać zdrowego powietrza i liczyć na najlepszą opiekę medyczną w Londynie.

Planował dołączyć do żony w ostatnim miesiącu ciąży, by potem, gdy tylko lekarze pozwolą, wrócić z Julią i dzieckiem do Cleveland.

Szczęśliwy scenariusz nie spełnił się. Simeon zniknął na tydzień przed planowanym wyjazdem do Europy, a Julia, wstrząśnięta tą wiadomością, zaczęła przedwcześnie rodzić. Martwo urodzony płód pochowano Tra małym wiejskim cmentarzu, a pani Simeon wkrótce wróciła do Ameryki.

W tym czasie amerykańska policja zorganizowała przesłuchania i wizje lokalne u wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z Simeonem lub z jego firmą. Mimo iż rozpisywano się o tej akcji w samych superlatywach, nie znaleziono żadnych śladów.

W wieczór zaginięcia James opuścił biuro, żeby zjeść w domu wczesną kolację. Kucharka, pani Bloomfield, przygotowała mu posiłek i twierdziła, że zjadł niemal wszystko. Później resztkami posilili się dwaj służący i nie wystąpiły u nich żadne niepożądane efekty.

Po kolacji Simeon powiadomił panią Bloomfield, że wychodzi na cały wieczór i wróci bardzo późno. Zaproponował, by zrobiła sobie wolne, a potem dodał, że cała służba może pójść do domu, jeśli zechce. Prawie wszyscy skorzystali z okazji. Została tylko pokojówka Nani Borz oraz ogrodnik i jego syn, mieszkający nad stajnią. Pokojówka przyznała, że wcześniej położyła się do łóżka i spała głębokim snem.

Następnego ranka, kiedy majordomus udał się do sypialni

Simeona, żeby go zbudzić, odkrył, że pana tam nie ma, i że nie spał w domu. Zaniepokojony tym faktem sługa dyskretnie zrobił wywiad Wśród pozostałej służby. Nikt nie słyszał ani nie zauważył nic szczególnego, choć większość późną nocą wracała do domu. I nikt nie wiedział, aby pan Simeon zamierzał nocować poza rezydencją.

Co dziwniejsze, bryczka stała w stajni. Wieczorami James lubił powozić nią sam dlatego na jego polecenie syn ogrodnika przygotowywał konia oraz pojazd, jednak poprzedniego wieczoru nie otrzymał żadnej dyspozycji na ten temat. Najwyraźniej pan Simeon poszedł pieszo lub ktoś go podwiózł.

Majordomus, przełamawszy wreszcie wpojony mu nakaz dyskrecji, powiadomił policję o zniknięciu swojego pana, ale uczynił to dopiero w połowie dnia. Wcześniej pchnął posłańca do biura Simeona. Kiedy chłopiec wrócił z wiadomością, że szef się tam nie pojawił i z nikim się nie kontaktował, lojalny sługa zaczął wypytywać najbliższych znajomych swego pana. Jednak nikt nic nie wiedział.

Na początku policja nie przejęła się nieobecnością Jamesa Simeona. Biznesmen należał do ludzi, którzy sami decydowali o swoim czasie. Był na tyle bogaty i potężny, że mógł sobie pozwolić na wolny dzień bez informowania o tym kogokolwiek. Mógł wybrać się z przyjaciółmi na wieś, mógł też mieć przyjaciółkę, z którą chciał spędzić czas sam na sam. I z całą pewnością nie ucieszyłby się, gdyby się dowiedział, że policja wtyka nos w jego prywatne sprawy.

Gdy jednak mijały kolejne dni, a Simeon nadal się nie pokazał, policja zaczęła poważnie traktować zeznania majordomusa. James opuścił kilka bardzo ważnych spotkań i wśród biznesmenów rozeszły się pogłoski, że w domu Simeonów dzieje się coś niedobrego.

Trzeciego dnia, pomimo burzy śnieżnej, policja zaczęła

przepytywać wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć o stalowym potentacie. James Simeon zniknął bez śladu.

Poszukiwania kontynuowano przez kilka miesięcy. Przesłano wiadomość pani Simeon do Kent. Nieszczęsna kobieta natychmiast po przeczytaniu listu zaczęła rodzić. Kiedy pochowała niemowlę i trochę się ociepliło, wróciła do Cleveland. Wtedy zniknięcie jej męża stało się już historią. Julia Simeon przejęła tytułarną kontrolę nad przedsiębiorstwem i podzieliła obowiązki między zaufanych pracowników, a gdy jej męża oficjalnie uznano za zmarłego, sprzedała większość majątku - i również zniknęła. Przez jakiś czas widywano ją w ramionach różnych mężczyzn z dobrego towarzystwa, lecz kiedy wreszcie przepadła na dobre, nikt się już nią nie interesował. Cleveland nigdy natomiast nie zapomniało o jej mężu, bo zniknięcie Jamesa Simeona stało się największą i najbardziej tajemniczą aferą kryminalną dziewiętnastego wieku. Snuto teorie, pisano niezliczone artykuły, prowadzono głośne dysputy przy brandy. Jakiś mężczyzna przyznał się do popełnienia zabójstwa, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie pochował ciało i jak popełnił tę zbrodnię. To było już piąte z kolei morderstwo, do którego przyznał się w ciągu roku. W końcu wszyscy zgodzili się, że Jamesa Simeona ktoś zabił z premedytacją. Gdyby chodziło o kradzież, wcześniej czy później trafiono by na pierścień, zegarek lub ekstrawaganckie spinki do mankietów, gdyby zaś padł ofiarą przypadkowego napadu, jego ciało znalezione by prędzej czy później w jakimś zaułku. Należało raczej wykluczyć samobójstwo, bo Stal i Żelazo Simeona prosperowało znakomicie, a James z radością oczekiwał pierwszego potomka. Ktoś doprowadzony do ostateczności musiał go zamordować, a potem dobrze ukryć zwłoki.

Ale kto?

Niccolo skończył czytać ostatni artykuł wczesnym popołudniem i wyszedł, żeby coś przekąsić. W małym barze tuż obok archiwum zasiadł nad kanapkami i kawą, zastanawiając się, jaki udział w całej sprawie ma Rooney Donaghue. Czy znalazł szkielet i spinę, kiedy jesienią rozpoczęto wykopy? Czy obdarzył szkielet nadprzyrodzoną mocą i zobowiązał się go chronić?

Niccolo nie potrafił myśleć jak ojciec Megan, ale wydawało mu się, że dostrzega w tym szaleństwie pewną logikę. Rooney znajduje spinę do mankietów. Próbuje kopać i odkrywa szkielet. W swoim chorym umyśle jest wdzięczny i chce być lojalny wobec tego, od kogo otrzymał cenny podarunek. Ochrania więc jego szczątki.

Jak jednak połączyć ten trop z wycinkiem prasowym który Niccolo u niego znalazł? Czy Rooney pamiętał historię o Simeonie? Czy skojarzył inicjały na spinie ze szkieletem? Wszak od urodzenia mieszkał w Cleveland. Z całą pewnością słyszał o tamtej historii i był nią zafascynowany, podobnie jak Jon. Megan mówiła, że był doskonałym gawędziarzem, a zatem musiał interesować się różnymi wydarzeniami.

Czy możliwe jest, że zaburzony umysł podstarzałego Rooneya był w stanie dokonać aż tak dalekiego skojarzenia? Czy patrząc na inicjały, przypomniałby sobie lekcje lub opowieści z dzieciństwa? Nick wątpił w to. Tylko jakie mogło być inne wytłumaczenie?

Niccolo zastanawiał się, co zaprowadziło Jamesa Simeona w to puste miejsce na pełnej nędzy Wyspie Whiskey. Wyruszył, nie zabierając bryczki i najwyraźniej zamierzał wrócić bardzo późno.

Ktokolwiek go zabił, nie zabrał mu złotych spinek. Ktokolwiek to zrobił, wiedział, gdzie złożyć ciało, by nikt nie znalazł go przez ponad sto lat. Zwłoki pochowano na dużej

357

głębokości, co wymagało pracy przynajmniej jednego silnego mężczyzny. Może nawet było ich więcej, gdyż Simeon zginął wczesną zimą, kiedy grunt musiał być już lekko zmarznięty.

Co najciekawsze, tajemnica śmierci Simeona utrzymała się przez ponad sto lat, bo w papierach z tamtego okresu nie znaleziono choćby najmniejszej wzmianki na ten temat, żadnego przedśmiertnego wyznania. Ten, kto znał prawdę, zabrał ją do grobu.

Tylko kto?

Niccolo spojrzął na zegarek i zaczął się zastanawiać, czy Megan skończyła już podawać obiad. Nie zamierzał się jej narzucać ani nakłaniać do podjęcia decyzji, na którą nie była jeszcze gotowa. Chęć spotkania Okazała się jednak silniejsza.

24 marca 1883

Dziś zrobiło się cieplej i ptaki, które znikły na nieskończenie długie zimowe miesiące, pojawiły się znów na drzewie rosnącym za moim oknem.

Być może przybyły z kraju, w którym zima odchodzi z dnia na dzień i natychmiast rozkwita wiosna. W Cleveland jest zupełnie inaczej. Dzień taki jak dzisiejszy to tylko złudna obietnica, ale ptaki nie mogą tego wiedzieć.

Młoda zięba przysiadła na gałęzi ze źdźbłami suchej trawy w dziobie. Jestem pewien, że zamierzała uwić gniazdo i stworzyć rodzinę, tak samo jak młode kobiety przy Świętej Brygidzie, które o tej porze roku szczególnie mocno zerkają na młodych kawalerów i myślą o małżeństwie.

Choć bałem się powrotu zimy, miałem nadzieję, że się jej powiedzie, widząc, jak przez cały dzień gromadzi trawę i gałązki. Moje drzewo miało stać się źródłem nowego życia, a ja podziwiałem odwagę tej ptaszyny i modliłem się, by przetrwała.

Jednak gdy z trudem leciała, niosąc w dziobie duży patyk, runął na nią czarny ptak. Nie wiem, czy uznał ją za zagrożenie, czy też chciał tylko zademonstrować swoją siłę. Tak czy inaczej, usłyszałem skrzek, potem drugi, i moja ptaszyna znikła.

Do tej chwili nie mam odwagi sprawdzić, czy odleciała nietknięta, czy jest teraz garstką przesiąkniętych krwią piór pod moim oknem.

359

Z pamietnika ojca Patrica McSweeneya, kosciol Swietej Brygidy, Cleveland, Ohio.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Marzec 1883

Lena starała się nauczyć humorów, przyzwyczajęń i upodobań Jamesa Simeona, aby odpowiednio postępować. Skoro nie może rzucić tej pracy, znajdzie sposób, by uniknąć okazji do znalezienia się sam na sam ze swoim pryncypałem. Jeśli zachowa ostrożność, będzie bezpieczna.

Mijały tygodnie. Terence całkowicie poświęcił się nauce. Zdumiewała ją łatwość, z jaką przyswajał nowe wiadomości. W dzieciństwie miała szczęście uczyć się u sióstr zakonnych, ale mąż w zaskakująco krótkim czasie dorównał jej wiedzy. Wieczorami, zmęczona całodzienną pracą i unikaniem Simeona, siadała przy kominku, a Terence czytał jej krótkie opowiadania z książki, którą dostał od nauczyciela. Szekspirowskie sonety nie brzmiałyby piękniej w jej uszach.

Rowan bywał teraz w domu o wiele częściej, przysiadał się do nich wieczorem i pomagał Terry'emu w nauce. Nie miał solidnego wykształcenia, ale potrafił czytać i wspólnie mogli odcyfrować nawet najtrudniejsze słowa. Przyjaźń, która ich łączyła, odzyskała dawną świetność i iskrę radości.

Lena bardzo chciała wierzyć, że wszystko jest w porządku. Simeon trzymał się od niej z daleka, tak jakby ich rozmowa o ziołach i zdradzie nigdy nie miała miejsca. Mniej ostrożna kobieta mogłaby nabrać fałszywego poczucia bezpieczeństwa, ona jednak wiedziała, że musi zachować czujność. Jeżeli pan

nie znajdzie innej kobiety do swego łoża, to w jakąś noc przyjdzie po nią - a wtedy może być za późno na ucieczkę.

Szczęście opuściło ją tuż przed początkiem kwietnia, kiedy na dwa dni ociepliło się i wypogodziło, a promienie słoneczne rozjaśniły pochmurne myśli. Bloomy wpadła do kuchni, kiedy należało zacząć przygotowania do kolacji, w pośpiechu wciągając rękawiczki i poprawiając kapelusz.

- Przykro mi, słoneczko, ale wypadło mi coś pilnego - zatrajkotała. - Muszę wyjść na całą noc. Nic się nie martw. Pani Simeon zapowiedziała, że wychodzi na kolację z przyjaciółmi, więc nie musisz dla niej nic przygotowywać. Wyjście dobrze jej zrobi. Nie uważasz, że wygląda mizernie i smutno? Prawdę mówiąc, dla mnie wszyscy z białą cerą wyglądają na chorych. - Nagle urwała, zdając sobie sprawę, do kogo mówi. - Oczywiście z wyjątkiem ciebie, Leno - dodała pospiesznie. - Ty zawsze tryskasz zdrowiem.

Wzruszyła ramionami. Miała większe zmartwienia niż m opinia Bloomy.

- A zatem wychodzisz i pani Simeon też? Być może pan Simeon również ma jakieś plany?

- Nic mi o tym nie wiadomo, słonko. Ostatnia wersja jest taka, że zamierza jeść kolację w domu.

Powiedział, że chce wypróbować twoje talenty.

Lenie ścisnęło się gardło. Poczowała nagły przypływ paniki.

- Skoro nie będzie pani Simeon, to może Nani zejdzie na dół, żeby dotrzymać mi towarzystwa?

- Nani? Nie uważasz, że ma aż nadto zajęć?

- Nie chodzi mi o pomoc, ale Nani też zasługuje na chwilę odpoczynku, Bloomy. Kiedy pani Simeon jest w domu, musi się nią bez przerwy zajmować. Usiadłaby przy kominku i wypła herbatę, a ja w tym czasie przygotowałabym kolację.

Bloomy nie wyglądała na zachwyconą tym pomysłem, a poza tym bardzo się spieszyła.

- Słonko, przykro mi, że zostawiam cię z tym wszystkim, ale zachorowała moja siostra. Pan Simeon uważa, że koniecznie powinnam ją odwiedzić.

Lena była coraz bardziej wystraszona. Współczucie nie należało do zalet Jamesa Simeona. Skoro nalegał, aby Bloomy wyszła wcześniej, musiał mieć ku temu powody. A ona domyślała się, jakie...

- Idź, i niech siostra szybko wraca do zdrowia - powiedziała najspokojniej, jak potrafiła. - Jeśli jednak spotkasz po drodze Nani, podeślij ją do mnie, dobrze?

- Ależ ty jesteś uparta, słonko. - Bloomy poprawiła palto i wyszła.

Lena oparła się o kredens i przymknęła oczy. Zrozumiała, jak musi się czuć zwierzę, które wie, że zbliżają się myśliwi.

Nie mogła poddać się panice, tylko musiała ułożyć jakiś plan. Jeśli dojdzie do najgorszego, zawsze może zdjąć fartuch i wyjść. Wymyśli jakiś powód.

I straci posadę, a z nią wszystko - jedyne źródło dochodów, szkołę i szansę na pracę dla Terence'a.

Całą nadzieję na lepsze życie.

Musi być jakieś wyjście.

Dodawła śmietankę do kremu z brokułów, kiedy do kuchni weszła Nani.

- Bloomy prosiła, żebym przyszła.

- Nani! - Lena ucieszyła się tak bardzo, że ucałowała dziewczynę w policzek. - Tak, Bloomy wyszła, mówiąc, że pani Simeon spędzi cały wieczór poza domem. Pomyślałam, że z chęcią odpoczniesz i napijesz się ze mną herbaty.

Nani zdziwiła się tym niecodziennym zaproszeniem.

- **Ale** ja mam mnóstwo pracy na górze - bąknęła.

- Nie możesz tego zrobić później?

- Pan Simeon niedawno dał mi wolny wieczór. Zaraz idę do domu.

Pod Leną ugięły się nogi. Simeon nigdy z dobrego serca nie dawał wolnego służbie, a oto Bloomy i Nani zniknęły, zostawiając ją samą.

Samą z tym strasznym człowiekiem.

Nani przypominała ptaka, który chce jak najszybciej zerwać się do lotu. Lena zdała sobie sprawę, że jeśli zaraz nie powie jej prawdy, dziewczyna nie zostanie, aby chronić ją swoją obecnością. Wytarła ręce w fartuch i podeszła do niej.

- Nani, czy uważasz mnie za przyjaciółkę? - zapytała z powagą.

- Potrzebujesz o to pytać? - zdziwiła się Nani.

- I wiesz, że zawsze mówię prawdę, tak?

- Tak, to wiem na pewno.

- Więc muszę ci coś wyznać. - Lena jak najzwyczajniej opowiedziała jej o rozmowie z Jamesem Simeonem i o tym, co niedwuznacznie proponował.

- Dlatego właśnie proszę, żebyś ze mną została - dokończyła. - Jeżeli będziesz w kuchni, nic mi nie grozi, bo on na pewno nie chce świadków. Należy do ludzi, którzy trzymają takie sprawy w tajemnicy. Wzburzenie Nani rosło z każdym słowem. Potrząsnęła głową.

- Wiem, że trudno go lubić, Leno, i tu się całkowicie z tobą zgadzam, ale pracuję w tym domu już dość długo i słucham innych służących. Nikt nigdy nie powiedział o panu czegoś podobnego, a pan nigdy nie wypytywał mnie o rzeczy, o których rozmawiał z tobą.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wybrał właśnie mnie, ale tak się stało. Przecież nie zmyślam. Proszę, uwierz mi.

Nani starannie dobierała słowa.

- Wierzę, że uważasz to za prawdę, ale on pije. Wiemy o tym wszyscy. Człowiek, który pije, nie zawsze pamięta, co mówi.

- Powiedział mi, że jego żona płacze, kiedy przychodzi do niej w nocy.

Nani popatrzyła na nią zmieszana.

- Powiedział też, że pani planuje podróż do Europy. Dziewczyna przytaknęła.

- Nani, skoro to jest prawda, uwierz w całą resztę! - W głosie Leny zabrzmiała rozpacz. - Jeśli stracę posadę, Terence straci szansę na naukę i nie będziemy mogli sprowadzić naszych rodzin. Widzisz, jaką ten człowiek ma nade mną władzę?

' - Nie jest aż tak zły. Tego najgorszego by ci nie zrobił.

- Więc nie zostaniesz? To tylko kilka godzin, Nani. W zamian zrobię, co zechcesz. Jeśli trzeba, zapłacę za ten czas. Tylko proszę, zostań na dole, aż będę mogła iść do domu.

- On nie pozwoli mi zostać.

Lena czuła, że ogarnia ją panika. Nie przemyślała wszystkiego dokładnie. Niestety, Nani miała rację. Simeon i tak pod byle pretekstem odeśle ją do domu, a gdy odmówi, tak samo jak Lena będzie mogła pożegnać się z pracą.

Lena zwiesiła głowę. Czuła się bezbronna i osaczona. Myśliwy podchodził coraz bliżej.

- Nic się nie stanie - zapewniła ją Nani, lecz słowom otuchy przeczyła przygnębiona mina.

- Idź już w takim razie.

- Nie, zostanę na górze, a później zejdem, żeby cię odwiedzić.

-Później?

- Będę cicho, żeby mnie nie odesłał.

- Zrobisz to? - Lena z nową nadzieją pomyślała, że ten

plan może się udać. Gdyby Nani pojawiła się w odpowiednim momencie, na przykład pod koniec kolacji, mogłaby wyjść razem z nią, a James Simeon nie miałby okazji, aby się do niej zbliżyć.

- Widzisz? Wszystko będzie dobrze - rozpromieniła się Nani.

Lena uścisnęła ją z radości. Była niezmiernie wdzięczna tej poczciwej duszy.

Nani wyszła, a Lena dokończyła przygotowania. Na dźwięk dzwonka naląła zupę do porcelanowego talerza i ruszyła do jadalni, gdzie Simeon zwykł jadać nawet wtedy, gdy był sam.

Siedział u szczytu stołu. Pokój rozświetlały lampy i świece, a mimo to panowała chłodna atmosfera.

- Zupa, Leno? I nikogo innego do posługiwania?

- Tylko ja - odpowiedziała grzecznie, choć dobrze wiedział, że nie ma Bloomy.

- A co mamy do zupy?

- Pieczoną wieprzowinę, sir. Do tego pasternak i ziemniaki. Marchew z Kalifornii i specjalny mus jabłkowy Bloomy.

- To zbyt dobre, żebym jadł w samotności. Mam nadzieję, że do mnie dołączysz.

Nie spodziewała się czegoś podobnego.

- Och, jakżeżbym śmiała, sir. Dziękuję za propozycję, ale to byłoby niewłaściwe - odparła z ukłonem.

- A kto w tym domu ma decydować, co jest niewłaściwe, jeśli nie ja?

- Jestem tylko pana kucharką. Kiedy inni zobaczą, że siedzę z panem przy stole, będą mi mieli za złe.

- Nikogo nie ma, bo wszyscy mają wolne, oprócz ciebie, Leno. Jakież nieszczęście cię spotkało, że musisz mi dziś służyć!

- Służyć, sir, a nie jeść kolację - powiedziała z naciskiem.

- Natychmiast usiądziesz ze mną przy stole i będziemy jedli razem, rozumiano? - W głosie Simeona zabrzmiał stalowy ton.

Odgadywała wszystko. Jego plany, jego pobudki, jego pokrętne myśli.

- Może lepiej zrozumieć, jeśli powie mi pan, dlaczego. Nasrożył się, lecz w chwilę później się uśmiechnął.

- Chcę posłuchać o twoim mężu, Leno. Chcę wiedzieć, jakie robi postępy, żebym mógł zdecydować o jego przyszłości. Możesz mi o tym opowiedzieć podczas jedzenia.

Schwytana w pułapkę zwierzyzna spoglądała prosto w lufę sztucera.

Lena nie potrafiła opanować drżenia rąk.

- Przynieś sobie zupę - polecił.

W kuchni naląła sobie miseczkę. Śliskie naczynie wysunęło się jej z ręki i rozbiło się o podłogę, opryskując zupą fartuch. I tak go nie potrzebowała, przecież dziś już nie będzie kucharką... Ukryła twarz w dłoniach i starała się powstrzymać płacz.

- Leno! - zawołał na tyle głośno, żeby usłyszała. Wytarła podłogę, wyrzuciła skorupy miseczki, wzięła następną i ruszyła do jadalni.

- Pomyślałem, że może poszłaś do domu - powiedział oschle. - Później uznałem jednak, że to niemożliwe, Lena nie jest przecież głupia. Wie, że gdyby zrobiła coś takiego, straciłaby pracę. A kto w mieście by ją zatrudnił, gdybym szepnął choćby jedno słówko?

- Na pewno nikt - powiedziała drewnianym głosem i postawiła miseczkę po jego prawej ręce, odsuwając się możliwie najdalej.

- Zupa jest wyśmienita. Masz prawdziwe zdolności - pochwalił.

- Która kobieta nie potrafi gotować, sir?

- Myślę, że źle się oceniasz. Wiesz przecież, że jesteś bardzo piękna. Gdybyś urodziła się w jednej z tych rezydencji przy Euclid Avenue, bez wątpienia prowadziłabyś wspaniałe życie. Małżeństwo z prezydentem, senatorem... Kto wie, może nawet ze mną?

- Jestem szczęśliwa z Terence'em. To wszystko, o czym marzyłam.

- Co za oddanie i poświęcenie dla mężczyzny, który nie może być już prawdziwym mężem.

- W zupełności mi wystarcza, nie potrzebuję innego... sir.

- Mylisz się, bo w tym stanie z całą pewnością nie może pełnić małżeńskich powinności. To powód do wstydu dla młodego mężczyzny i młodej kobiety. Mam rację?

Nie odpowiedziała, ale czuła, jak płoną jej policzki. Spojrzała na niego i dostrzegła, że się uśmiecha, jakby otrzymał już odpowiedź.

Odsunął od siebie talerz i podniósł do ust kieliszek z bursztynowym płynem. Rozsiadł się wygodnie i popijał, gdy Lena próbowała wmusić w siebie kilka łyżek.

- Dość już tego - odezwał się po dłuższym czasie. - Jedzenie zimnej zupy nie należy do przyjemności. Przejdziemy do następnego dania.

Wstała, wzięła naczynia i poszła do kuchni. Zastanawiała się, kiedy zejdzie Nani i modliła się, by wstrzymała się do końca kolacji. Lecz jaka jest szansa, że przyjaciółka pojawi się w odpowiednim momencie?

Przyniosła nowe nakrycie i zaczęła układać je przed Si-meonem. Gdy niby przypadkiem otarł ręką o jej biodro, Lena szybko się odsunęła, jednak kiedy miała już odejść, objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Srebra są powyginane. Wyprostuj sztucce, Leno - polecił. - Nie mogą tak wyglądać na moim stole.

Spojrzała na zastawę. Nóż rzeczywiście miał odgięte ostrze. Wzięła go i wyprostowała trzęsącymi się dłońmi.

- Lepiej - pochwalił Simeon. Puścił ją z objęć" i klepnął w pośladek. - Nie powinniśmy obniżać standardu tylko dlatego, że siedzisz razem ze mną, prawda? - szydził.

Nie odpowiedziała. Poszła do kuchni i wróciła z potrawami. Patera pokrojonego mięsa, warzywa w zdobionych złotem porcelanowych miskach, mus jabłkowy posypany cynamonem w kryształowych salaterkach. Kiedy wszystko znalazło się na stole, odwróciła się, by odejść", ale zatrzymał ją.

- Nie przyniosłaś nakrycia dla siebie, Leno. Zaprosiłem cię na cały posiłek.

- Brak mi apetytu, sir. Obawiam się, że jestem lepszą kucharką niż towarzyszką. Lepiej skończę przygotowywać deser...

- Usiądziesz ze mną. Już! - Znów ten stalowy ton.

Za chwilę pojawiła się z naczyniami, posłusznie usiadła i pozwoliła, by podawał jej potrawy.

- Siedziałaś już kiedyś przy tak wspaniałym stole, Leno? Nakładała na talerz jak najmniejsze porcje, bo prawie nie mogła przełykać.

- Nie, sir.

- Masz czasem ochotę na życie w luksusie? - indagował, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nigdy, sir.

- Naprawdę? Dlaczego?

Spojrzała na niego i gniew wziął górę nad strachem.

- Bo pieniądze nie dają szczęścia i nie czynią ludzi lepszymi - wypaliła. - To tylko ułatwia im krzywdzenie innych.

- Nie zawsze - odrzekł spokojnie. - Wielu z nas robi mnóstwo dobrych uczynków, Leno. Budujemy kościoły, instytucje naukowe, wspomagamy artystów. Wyciągamy też pomocną

dłoń do potrzebujących, na przykład takich jak twój biedny Terence.

Miała ochotę zapytać go wprost, czego od niej chce, nie mogła już bowiem dłużej wytrzymać tej gry. Jednak jakaś jej część nadal miała nadzieję, że się myli, i chociaż Simeon bawi się jej emocjami, to nie ma zamiaru posuwać się dalej.

Postanowiła skierować rozmowę na inne tory.

- Pomoc dla mojego Terence'a to wspaniały gest dobrego człowieka. Jestem pewna, sir, że wszystkie pana plany względem mojej rodziny są równie szlachetne.

- Cała ta dobroć nie dała mi jedynej rzeczy, której potrzebuję. Poślubiłem Julię, mając na uwadze jej pochodzenie, reputację rodziny i posag, a także to, że zdawała się być właściwie przygotowana do pełnienia roli żony i gospodyni. - Z rezygnacją potrząsnął głową. - Wszystko to okazało się fatalną pomyłką, a przecież niełatwo mnie oszukać.

Lena przesuwiała jedzenie po talerzu, niezdolna wziąć do ust nawet łyka. Milczała, więc ciągnął dalej.

- Ta pomyłka czegoś mnie nauczyła. Wiesz czego? Odłożyła widelec i spojrzała mu w oczy. Czekala.

- Nauczyłem się, że trochę gorącej krwi w kobiecie jest tak samo ważne, jak u dobrego konia. Jeśli z kobiety albo z klaczy ujdzie wola walki i zmagania się z trudnościami, nie wydadzą dobrego potomstwa.

- Nie mam prawa tego słuchać, sir - ucięła.

- Ależ mówimy tylko o koniach, Leno. Nie chcesz rozmawiać o koniach? To takie piękne zwierzęta.

Wstała, podnosząc swój talerz.

- Jeśli życzy pan sobie deseru, lepiej już się nim zajmę. Simeon gestem nakazał jej wrócić na miejsce.

- Ktoś, kto zna się na komach, odkryje swoją pomyłkę w momencie, w którym do jego klaczy przyprowadza się ogie-

ra. Jeśli jest spięta i przerażona tak bardzo, że musi ją przytrzymywać sześciu stajennych, źrebię nie będzie wiele warte. Jeśli w ogóle się urodzi.

- Nie znam się na koniach, sir.

- Wtedy ten, kto chce mieć najlepsze stado, szuka następnej klaczy - wyjaśniał, jakby nie słyszał jej odpowiedzi. - Lepszej, silniejszej, z temperamentem. Może być wystraszona, ale przy kryciu ten strach zmienia się w podniecenie. Ogier jest zadowolony i jego właściciel także. - Uśmiechnął się. - W rezultacie wszyscy na tym korzystają, nawet ta starannie wybrana pierwsza klacz, bo może spokojnie biegać po pastwisku.

Lena wypatrywała Nani jak zbawienia.

- A co z tą drugą klaczą? Co ona z tego ma? - zagadnęła z drzeniem.

- Ciepłą stajnię, więcej pokarmu, od czasu do czasu jabłko albo kostkę cukru, najlepszą trawę na łące. Życie jest dla niej bardzo, bardzo dobre, bo widzisz, właściciel jej potrzebuje.

- Jakież mamy szczęście, że nie jesteśmy końmi, prawda?

- Szczęście? Lubię prostotę, a rozmnażanie się koni to bardzo prosta sprawa.

Wstała, a kiedy znów kazał jej usiąść, odmówiła.

- Muszę już iść, sir. Czeka na mnie mąż. Zostało mi tylko trochę czasu, żeby przygotować deser.

Ruszyła do kuchni, nawet nie zerkając w jego stronę. Mogła stracić pracę, ale nie wytrzymałaby przy tym stole ani chwili dłużej.

Spodziewała się, że przyjdzie za nią do kuchni, że przestanie wreszcie udawać i zażąda, by mu się oddała. Drżała na całym ciele. Chciała uciec jak najdalej od tego przeklętego domu.

Co by się stało, gdyby tak zrobiła? Simeon wyraźnie to powiedział. Jeśli zwolni ją z pracy, żaden bogacz jej już nie

zatrudni. No, może znalazłaby się jakaś samotna matrona, która wzruszyłaby się jej historią i przyjęła na kucharkę. Tylko jak długo musiałaby szukać kogoś takiego? Poza tym co znaczy jej słowo przeciw słowu wszechmocnego Jamesa Simeona? Ojciec McSweeney również nie był w stanie jej pomóc. Zdołał co prawda nakłonić Simeona, by pomógł Terence'owi, ale za jaką cenę?

Boże jedyny, za jaką cenę?

Bloomy upiekła po południu ciasto, które Lena miała udekorować, lecz była tak roztrzęsiona, że zdołała tylko posypać je cukrem pudrem. Z trudem pokroiła je i ułożyła na paterze.

Musi zanieść mu to ciasto, inaczej straci pracę, tego była pewna... lecz co jeszcze będzie musiała zrobić? Dotrzymać mu towarzystwa? Oddać mu się, kiedy skończy jeść? W którym momencie nie wytrzyma i powie „dość!”, decydując się na utratę posady? Rezygnując tym samym z godziwej zapłaty i z nauki Terence'a, jedynej rzeczy, która trzyma go przy życiu. Zabije marzenie o sprowadzeniu Tierneyów i swojej matki do Cleveland, a nawet zniweczy nadzieję na przetrwanie ich rodziny w Irlandii. Rodzice byli przecież starzy i słabi, a Terence...

Czy będzie na tyle silna, żeby unieść ciężar, który na niej spoczywa? Czy potrafi dopuścić się najgorszego, żeby ratować najbliższych? Czy będzie smażyła się w piekle razem z Simeonem? Modliła się, by Bóg oszczędził jej tego wyboru, by zjawiała się Nani i aby mogły razem pójść do domu. Drgnęła, gdy ciszę rozdarł nagły dźwięk dzwonka. Niezwłocznie zaniosiła ciasto do jadalni, postawiła przed swoim panem i cofnęła się kornie.

- Czy to wszystko, sir?

Znów zdawał się nie słyszeć, co powiedziała.

- Wiesz, Leno, przed chwilą zdarzyła się ciekawa rzecz.

Czekała z rosnącym przerażeniem.

- Otóż zauważyłem Nani. Dałem jej wolne na cały wieczór, ale ona schodziła do kuchni, żeby wypić z tobą herbatę. A ja myślałem, że dawno już jest u rodziców.

A więc Simeon odprawił Nani ponownie, tyle że tym razem nie dał jej wyboru i po prostu musiała wyjść. Konsekwencje odmowy były równie oczywiste, jak w jej przypadku. Nani nie mogła działać zbyt wiele, ale bez niej Lena straciła wszelką nadzieję.

- Z całą pewnością kazał jej pan iść do domu - stwierdziła.

- Otóż to - ożywił się. - Bardzo rzadko widuje się z rodzicami i dziwię się, że próbowałaś ją zatrzymać.

- A czy ja mogę już iść, sir? Wydaje mi się, że wypełniłam już swoje obowiązki. - Zadała pytanie, wiedząc z góry, jaka będzie odpowiedź.

- Nie wydaje mi się, abyśmy mieli teraz się rozstać, Leno. Ukłoniła się i poszła do kuchni. Zabrała się do sprzątnięcia, czekając, aż do niej przyjdzie. Nie spieszył się. Pojawił się dopiero po dłuższym czasie i stanął w drzwiach, uśmiechając się szeroko.

- Rozpuść włosy, Leno. Od tamtego grudniowego dnia, kiedy ścigaliśmy się saniami, marzyłem, by zobaczyć je w całej krasie. Dobrze cię zapamiętałem. Zapamiętałem i czekałem, aż ponownie pojawisz się w moim życiu. Wiedziałem, że to przeznaczenie i byłem pewien, że ty również mnie zapamiętałaś.

Patrzyła się na niego nieprzytomnie.

- Rozpuść je! - polecił.

- Wolałabym zostawić upięte. - Mogła sprzeciwić się chociaż w ten sposób.

- W takim razie zrobię to za ciebie.

Nie cofnęła się nawet na krok, kiedy podszedł. Nie poddała się instynktownej reakcji ciała i nie uciekła.

373

- A więc to tak ma się odbyć? W kuchni, z kucharką? - Jeszcze próbowała się ratować. - Są kobiety, które zarabiają w ten sposób na życie. Każda z nich byłaby w tym o niebo lepsza niż ja.

Simeon zaczął wyciągać spinki z jej włosów.

- To kurwy, Leno.

- A czym będę ja, kiedy pan ze mną skończy? Jeśli dosiądzie mnie pan, jak ogier klacz, to nie za moim przyzwoleniem. Muszę panu na to pozwolić albo wszystko stracę.

- Możesz to nazywać kurewstwem, moja droga, ale dla mnie jest to lepsze niż najlepszy biznes.

Czuła w jego oddechu mocną woń alkoholu.

- Jakiegokolwiek zazna pan przyjemności, będzie skradziona innemu mężczyźnie. - Po raz ostatni spróbowała odwołać się do jego honoru.

Roześmiał się.

- To też nazywam biznesem. Poza tym ów mężczyzna nie potrzebuje już tego, co zamierzam mu wykraść.

Lena zaszłpchała bezgłośnie. Zamknęła Oczy i zeszywniała. Czuła się jak kłoda drewna. Nie dostanie od niej nic, co mężczyzna może otrzymać w darze od kobiety. A reszta jest w rękach diabła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Mijały dni i tygodnie, a w posiadłości Simeona wszystko szło swoim rytmem. Kiedy tylko jego żona wychodziła wieczorem z domu, odsyłał całą służbę pod jakimkolwiek pretekstem, a Lena zostawała, żeby jej pan i chlebowdawca mógł zaspokoić swoje chucie.

Czasami, jak wtedy za pierwszym razem, czekał do końca kolacji, a później przychodził do kuchni, zrywał z Leny fartuch i ubranie, ciskał ją na stół i siłą wdzierał się w jej wnętrze. W ogóle nie reagowała, nie krzyczała ani nie płakała, tylko zaciskała zęby i zamykała oczy, żeby nie widzieć swojego krzywdziciela, zaś on czerpał jakąś szczególną przyjemność z tego biernego opórtt&jakby upewniał się, że rzeczywiście nie dzieli jej z Terence' em.

Czasem brał ją w pokoju wizytowym, a nawet w sypialni żony, nie bacząc na ryzyko. Osiągał tym większą przyjemność, im bardziej ją upokorzył. Lena z obrzydzeniem zastanawiała się, czy Simeon jest w stanie osiągnąć satysfakcję z kobietą, która nie gardzi nim albo nie uważa za potwora.

Za pierwszym razem dał jej równowartość tygodniowej wypłaty i zanim doszła do domu, utopiła te pieniądze w rzece Cuyahoga. Powiedziała Terence'owi, że źle się czuje i położyła się od razu do łóżka. Kiedy dołączył do niej, odwróciła się do niego plecami, choć nie miało to znaczenia, bo nie kochał się z nią od tamtej nocy przed wypadkiem.

Następnym razem, kiedy Simeon dał jej pieniądze, zatrzy-

mała je. Zarobiła na każdego centa, ale nie potrafiła dodać tej sumy do ich skromnych oszczędności. Jakże mogła użyć tego, co zdobyła przez grzech, dla sprowadzenia rodziców Terence'a i własnej matki z Irlandii? Włożyła wszystko do słoja w kuchni, gdzie jej mąż nigdy nie zaglądał, a później, z przerażającą regularnością, dokładała następne sumy.

W przetrwaniu kolejnych gwałtów pomagało jej odcięcie się od rzeczywistości i uparte snucie planów na przyszłość. - Simeon szybko się nią znudzi i zacznie molestować inną kobietę, a kiedy tak się stanie, Lena zdąży już znaleźć sobie pracę w innym domu, Ucząc, że drań nie zszarga jej imienia. Wówczas zebrane pieniądze pomogą jej ostatecznie stanąć na nogi. Będzie mogła wynająć niewielki lokal i rozkręcić interes na własną rękę. Nic wielkiego, zwykły bar z dobrym, prostym jadłem dla dobrych, prostych ludzi. Zarobi na godziwe życie w miejscu, w którym nikt nie będzie dyktował jej, co ma robić.

Takie byłoby jej małe niebo na ziemi - gdyż tego, które jest po śmierci, na pewno nie dostąpi.

Majowe dni trwały, wyjątkowo pogodne i ciepłe. Juha rozpoczęła przygotowania do podróży. Prawie całą służbę zaangażowano do pakowania. Simeonowie zaplanowali pożegnalne przyjęcie w ogrodzie i już na tydzień przedtem Bloomy z Leną do późnych godzin zajmowały się przygotowaniami. Lena miała nadzieję, że całe to zamieszanie uchroni ją przed Simeonem. Myliła się, bo dodatkowe trudności stały się dla niego dodatkowym, podniecającym wyzwaniem. Kiedy wychodziła do domu w noc przed przyjęciem, czekał już na nią na zewnątrz,

- Dobry wieczór, Leno. Wyglądasz na zmęczoną. Czyżbyśmy zbyt ciężko pracowali, złotko?

Nie przypuszczała, że coś może się wydarzyć. Ziewnęła, zasłaniając usta ręką.

Uśmiechnął się.

- Nie rozumiem, dlaczego nigdy nie cieszysz się na mój widok. Przecież jestem dobrym panem. Opiekuję się twoim kalekim mężem, na co żaden inny chlebobawca by się nie zdobył. Docień ponadto, że płacę ci hojnie za dodatkowe usługi.

Już dawno nauczyła się, że wszelkie objawy sprzeciwu jedynie go podniecają.

- Myślałam, że na dziś już koniec - powiedziała niecierpliwie. - Robi się bardzo późno.

- Niezupełnie koniec, moja miła. Przejdziemy się trochę? Będziesz mogła mi pokazać, co przygotowałyście na jutro z Bloomy.

Ogród był rozległy, gęsto zarośnięty mnóstwem drzew i krzewów. Prowadził ją przez długie korytarze przyciętych geometrycznie żywopłotów, aż doszli do miejsca, w którym zachowano gęsty, pierwotny las. Ogromne drzewa broniły dostępu ostatnim promieniom słońca. Lena poczuła się jak w bajkowej, strasznej puszczy, na drodze do chaty złej czarownicy.

- Co ja pocznę bez mojej kochanej żony? - westchnął Simeon.

- Dokładnie to samo, co podczas jej obecności w domu - mruknęła niechętnie.

Roześmiał się.

- Jesteś bardzo bystra, Leno. Od razu to zauważyłem. Dumna, waleczna i piękna. A także, pomimo pochodzenia, dobrze ułożona.

- Weźmie mnie pan tu, gdzie jutro pańska żona będzie żegnać przyjaciół?

- Leno, skoro mogę brać cię w jej łóżku, czemu myślisz, że zaniecham tego wśród drzew na zroszonej trawie?

Zatrzymała się. Była wyczerpana pracą ponad siły. Pragnęła spokoju i odpoczynku. Po raz pierwszy dała się ponieść emocjom.

- Zróbmy to i niech mam to wreszcie za sobą - powiedziała z irytacją. - Podciągnę sukienkę, żeby mógł się pan wyżyć jak leśny dzikus. Albo zdejmę ubranie, a pan rzuci mnie na ziemię i wygodnie zaspokoi swoją chuć. Dla mnie to żadna różnica. Moja dusza i tak jest przeklęta przez to, co pan ze mną robi. Więc niech mnie pan bierze, żebym mogła wreszcie pójść do domu.

- Poddajesz się, Leno? - zdziwił się.

- Wygrał pan, bo ja już się tym nie przejmuję. To jeszcze jedna praca, którą wykonuję dla pana. Uderzył ją w twarz, aż odrzuciło ją w bok. Przyłożyła rękę do piekącego policzka, ale nawet nie jęknęła.

- Rozbieraj się!

Zaczęła zdejmować ubranie tak, jakby zwyczajnie kładła się do snu, nieobserwowana przez nikogo. Składała dokładnie każdą część garderoby, jakby miała mnóstwo czasu. Nie unikała wzroku mężczyzny, cały czas patrzyła mu prosto w oczy.

Rozpiął spodnie.

- Kładź się na plecach.

Westchnęła i położyła się na zimnej trawie, wpatrując się w gwiazdy.

Położył się na niej, a ona czekała. Poczowała jego dłoń na piersi. Gniótł ją, szarpał, w końcu szczypał, by wydobyć z niej jakikolwiek dźwięk.

Milczała. Zacisnęła zęby, Uczyla w myślach gwiazdy i przypominała sobie wypełnione czułością noce z Terrym. To, czemu musiała się poddawać teraz, było zwierzęce i ohydne, jak profanacja świętości. Mogła znosić i to, i ognie piekielne, byle tylko zapewnić bezpieczeństwo tym, których kochała.

- Dziwka! - Znów trzasnął ją w twarz.

Zamknęła oczy i nadal widziała gwiazdy. Czowała, jak Simeon chce się w nią wedrzeć, ale nie miał wzwołu. Rozbawiło

ją to, poczuła dziwną satysfakcję. Zaśmiała się gardłowo, właśnie jak dziwka.

Wybuchnął stekiem wyzwisk i znów ją uderzył, a później zacisnął ręce na jej szyi i z coraz większą siłą zaczął ją dusić.

Próbowała złapać powietrze. Uniosła powieki. Wierzgała i drapała. Chciała się uwolnić, ale przycisnął ją jeszcze mocniej. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich triumf, a kiedy noc zaczęła się rozmywać, aby przejść w nową ciemność, poczuła, jak w nią wchodzi.

Ocknęła się. Płuca wypełniało rześkie nocne powietrze, ale opuchnięta i obolała szyja nie pozwalała swobodnie oddychać. Usiadła niepewnie i zauważyła oddalającą się sylwetkę Simeo-na. Na trawie połyskiwały rozrzucone monety. Było ich o wiele więcej niezwykle.

Lena dotknęła ostrożnie szyi. W końcu znalazła słaby punkt u swojego prześladowcy.

Następnym razem, gdy ona wykorzysta tę wiedzę, on może stracić życie.

Terence nie kochał się z żoną od wielu miesięcy, choć pragnął tego bardziej niż powietrza i jedzenia. Na samym początku, pogrążony w rozpacz, nawet o tym nie myślał, bo każdy ruch, każde dotknięcie powodowało nieopisany ból. Widział, jaki jest zdeformowany i odrażający. Miejsce pożądania zajmowała głucha wściekłość.

Później zaczął zdrowieć. Ćwiczenia zmniejszyły ból w nodze i umożliwiły lekkie poruszanie ręką.

Pożądanie wróciło. Od tego czasu najbardziej pragnął znów trzymać Lenę w ramionach.

Nie był już mężczyzną, którego poślubiła, i wiedział, że nigdy nim nie będzie. Policzek znaczyła paskudna blizna, noga nadal była powykęcana i słaba, a ramię praktycznie beuży-

teczne. Jednak Lena nie uważała, że jest odrażający. Kiedy pomagała mu w kąpieli, ostrożnie i czule myła okaleczone ciało, chwając męża za wytrzymałość w ćwiczeniach. Powtarzała, że jest o wiele silniejszy i że noga wygląda dużo lepiej.

Myślał, że szuka wymówek, by go nie dotykać. W nocy, kiedy leżał, nie mogąc zasnąć, odwracała się do niego plecami, jakby chciała uciec jak najdalej. Raz odważył się położyć dłoń na jej piersi, ale tylko westchnęła głęboko i pogрузzyła się w jeszcze głębszym śnie.

Nigdy nie bał się do niej zbliżyć, nawet w noc poślubną. Oddawała mu się chętnie i z nieskrywanym entuzjazmem. Teraz zaczął się lękać, że wszystko może się zmienić, zaś jego odradzająca się pewność siebie zostanie zniszczona, jeśli Lena go odrzuci.

A co będzie, jeśli żona go zechce i wtedy okaże się, że stał się niezdolnym do miłości? Pożądanie zanikło na tak długo, iż zaczął się zastanawiać, czy wypadek uszkodził na zawsze także i tę część ciała. Teraz powróciło pragnienie bliskości, ale czy potrafi je wypełnić?

Wieczorami często pytał Lenę o pracę w posiadłości Si-meona, ale najwyraźniej nie chciała o tym mówić. Wiedział, że w tym tygodniu wraca później z powodu przygotowań do przyjęcia na cześć pani Simeon. Żeby ją odciążyć, sam nauczył się gotować i przygotowywał wszystko do kolacji.

Czekając na nią tego wieczoru, zastanawiał się, co jego piękna żona by powiedziała, gdyby zamiast czytać, zabrał ją od razu do łóżka. Rowan zapowiedział, że wróci późno. Gdy Lena przyjdzie zmęczona, może będzie miała ochotę położyć się wcześniej niż zwykle.

Czy jednak zechce się z nim kochać?

Przed domem rozległy się kroki. Rozpoznał po szuraniu, że to jego przemęczona małżonka. Marzył już tylko, by jak

najszybciej ukończyć nauki i uwolnić ją od tej strasznej harówki.

Otworzyły się drzwi i Lena stanęła w przedsionku. Patrzyła nieprzytomnym wzrokiem, w ogóle go nie widząc.

- Leno? - Zaniepokojony poderwał się z fotela. Cofnęła się i skupiła na nim wzrok. Miała czerwone oczy, jakby przed chwilą płakała.

- Leno, co się stało?

Pokręciła głową, ale nie weszła dalej.

Wpatrywał się w nią i zauważył, że próbuje coś ukryć, owijając się szczelnie płaszczem. Pokuśtykał do niej i ściągnął okrycie z jej ramion. Szyję miała posiniaczoną i opuchniętą.

- Matko Boska, Leno, co się stało?! - wykrzyknął przerażony. - Powiedz, błagam! - Obrócił jej twarz w stronę światła i zobaczył ślady na policzkach.

Spazmatycznie wciągnęła powietrze, tłumiąc szloch.

- Napadł mnie jakiś zbir. Chciał pieniędzy - wydyszała urywanym głosem. - Kiedy zobaczył, że nic nie mam, próbował ranie udusić.

- Kochanie... - Przyciągnął ją do siebie zdrową ręką. Jakaż straszną torturą było, że nie mógł jej teraz pogłaskać. - Coś ci zrobił? - zapytał z drżeniem.

- Nie... Usłyszał, że ktoś się zbliża i uciekł, zanim... zanim zdołał mnie skrzywdzić.

- Na pewno? Nie ukrywasz przede mną najgorszego?

- Nie, nie, Terry! Jest tak, jak mówię.

- Wiesz, kto to był? Znam go?

- Nigdy wcześniej go nie widziałam. - Zaczęła kaszleć i wtuliła się w jego ramiona.

Mógł tylko poklepać ją pocieszająco po plecach.

- Mówiłaś już komuś? Poszłaś na policję?

- Nie, nie miałam komu powiedzieć. Ja tylko... tylko

chciałam wrócić do domu, do ciebie, jak najszybciej. Wiem tylko, że to był silny, cuchnący whiskey mężczyzna, który chciał ode mnie pieniędzy, pewnie na następną kolejkę. W okolicy znajdzie się z tysiąc takich lumpów, przecież wiesz.

- Powiemy Rowanowi. Będzie chciał, żebyś zeznawała. Tylko nie możesz już wracać do domu po zmroku. Musisz być ze mną, zanim na niebie pojawią się gwiazdy.

- To niemożliwe, Terry.

- Zatem muszę odbierać cię z pracy.

- Nie! - Odepchnęła go histerycznie. - Nie wolno ci! To za daleko, za ciężko. I nie stać nas na opłacanie tramwaju. Będę się trzymać zaludnionych ulic. Padałam ze zmęczenia i nie byłam dość ostrożna. Nigdy więcej nie zachowam się tak głupio, obiecuję.

Terence był pewien, że Lena uważała, iż nie byłby w stanie odstraszyć napastnika, nawet gdyby jej towarzyszył. Musiał jeszcze długo ćwiczyć, żeby poruszać się o lasce, a lewe ramię zwisało bezwładnie, przegrałby więc każdą walkę. Niestety, miała rację.

- Potrzebujesz prawdziwego męża - powiedział z goryczą. - Mężczyzny, który będzie cię wspierał i chronił, a nie takiego kalekę jak ja. Nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa. Nie mogę nawet dać ci dziecka. Nie jestem ci potrzebny, Leno.

- Jesteś sensem mojego życia. - Czule ujęła jego twarz w dłonie. - Wszystko co robię, robię właśnie dla ciebie.

- Nawet nie mogę zabrać cię do łóżka - jęknął. Lena otworzyła szeroko oczy.

- Nie możesz czy nie chcesz, Terry? Nie słyszałam, aby lekarz powiedział, że również takie obrażenia odniosłeś.

Wpatrywał się w nią intensywnie, ale się nie odezwał.

- Czy może chodzi raczej o użalanie się nad sobą? Myślałam, że z tym już skończyliśmy, ale ty wciąż nie chcesz

mnie dotykać. A ja cię potrzebuję, nawet nie wyobrażasz sobie, jak.

- Boję się - szepnął.

- Ja też. - Po jej policzkach potoczyły się łzy. - Boję się bardzo wielu rzeczy, o których nie możesz mieć pojęcia.

- Leno... - Chciał ją objąć, ale stracił równowagę. Pomogła mu, kiedy próbował ją odzyskać. Otoczyła go prędko ramionami i zanim się zorientował, pocałowała żarliwie.

Natychmiast zatracił się w przyjemności. Wszelkie wątpliwości, które nie pozwalały mu poddać się impulsowi, nagle znikły. Ona pragnęła jego, a on jej. Co będzie, jeśli im się nie powiedzie? Jeśli spróbuje i nie uda mu się? Trudno, przecież będą następne noce, aż do końca ich wspólnych dni. Od czegoś trzeba zacząć. Muszą pozbierać i poskładać w całość to, co pozostało z ich małżeństwa, albo od razu się poddać.

Drżała, więc próbował przytulić ją mocniej. Ktoś ją skrzywdził i chciał skrzywdzić jeszcze bardziej. A jeśli zostałaby zgwałcona przez tego, który ją dusił? Co by było, gdyby ktoś go sue odstraszył? Nie chciał o tym myśleć.

- Leno... - Całował jej policzki i podbródek, zbierał łzy spływające po twarzy. - Boże, wybacz mi! Byłem taki samolubny.

- Wcale nie - szeptała gorączkowo. - To się nie liczy. Po prostu weź mnie do łóżka, Terry, szybko. Teraz chcę tylko tego.

Nie pamiętał, kto kogo zaprowadził do sypialni, ani kto odchylił kapę na łóżku. Był przerażony i niepewny, ale kiedy ujrzał jej nagie ciało, natychmiast zrozumiał, że wszystko będzie dobrze.

Pomogła mu się położyć i unieść na zdrowym ramieniu, a potem wsunęła się pod niego i ułożyła jego uszkodzoną nogę na swojej.

Wcześniej zawsze długo całowali się i pieścili, zanim doszło do miłosnego aktu, ale tym razem było inaczej. Chciał

ją posiąść, drżał z podniecenia, a ona oplotła go nogami, jakby to było jej największe pragnienie. Szybko osiągnął satysfakcję, opadł na Lenę i przytulił się do niej. Mimo wyczerpania czuł się jak nowo narodzony.

- Och, Terry... - łkała wtulona w jego ramiona.

- Sprawilem ci ból, kochana, skrzywdziłem cię?

- Nie, och, nie! - powtarzała przez łzy.

Zsunął się z niej i znalazł sposób, by ją objąć. Lena wciąż płakała.

- Już dobrze, najdroższa. - Pogładził ją po włosach i pocałował w czoło. - Kochanie, wiem, jak było ci trudno. Zrobiłbym wszystko, żeby wymazać z życia ostatnie miesiące.

- Nic nie wiesz. Nie...

- Ależ wiem. Nic już nie mów - zamknął jej usta pocałunkiem.

Łkała, aż zabrakło jej łez. Terry głaskał ją, aż zasnął upojony miłosnym spełnieniem.

Lena nie mogła dłużej wytrzymać, musiała wyjść z łóżka. W myślach widziała Jamesa Simeona i po raz pierwszy zapragnęła go zabić. Gdyby miała okazję, nie zawahałaby się ani na chwilę. Poszłaby do jego posiadłości i z zimną krwią zamordowała podczas snu.

Te wszystkie obrzydliwe rzeczy, które jej robił! Rzeczy, na które pozwoliła! I kłamstwa, które musiała dziś opowiadać najlepszemu człowiekowi na świecie!

Łzy płynęły niepowstrzymanym strumieniem. Płakała, a z jej ciała wyciekało nasienie Terry'ego. Jego nasienie i nasienie Simeona. To ostatnie parzyło jak żrący kwas.

Musiała pozwolić Terry'emu na spełnienie, choć jej łono nadal wypełniała trucizna Simeona. Nie miała siły powstrzymać męża, bo potrzebowała jego miłości i czułości. Lecz jaka

kobieta wychodzi od jednego mężczyzny i idzie do drugiego? Jaka Uczy gwiazdy, kiedy wstrętny typ bierze ją siłą, a potem skrzętnie zbiera pieniądze, które jej cisnął? Jaka okłamuje mężczyznę, którego kocha?

Dlaczego nie zabiła Simeona już za pierwszym razem? Dlaczego nie chwyciła kuchennego noża i nie wbiła go w serce tego łajdaka? Kto by ją posądzał, że zabiła pana? W domu nie było przecież nikogo ze służby. Jest sprytna. Mogła zatrzeć ślady, a później nakłamać policji. Mogła pozbyć się Simeona na zawsze, a ten grzech nie byłby większy od grzechu, który popełniła wcześniej.

Gdyby jego nie było, z pewnością dostałaby posadę w innym domu i przekonała Julię Simeon, aby nadal łożyła na naukę Terence'a.

Ganiła siebie za te szaleńcze myśli, ale przyjemność i poczucie siły, płynące z myśli o zabiciu Simeona, osuszyły jej łzy.

Terence spał mocno, jak nie sypiał od wielu tygodni.

Lena usiadła na łóżku, przerażona własnymi rojeniami. Jej dusza była już zgubiona, ale to się nie Uczyło. Musiała pozwolić Simeonowi robić z nią wszystko, na co tylko miał ochotę, ale zabójstwo było jej własnym i samodzielnym wyborem.

Od czasu, kiedy ten łajdak zaczął ją napastować, kilkakrotnie się spowiadała, ale nigdy nie wspomniała o głównym grzechu. W milczeniu błagała Boga o wybaczenie, choć nie miała na to żadnej nadziei.

Wiedziała, co teraz musi zrobić. Musi natychmiast pójść do ojca McSweeneya i skłonić go, aby jej wysłuchał. Powie mu, co zrobiła i co zamierza uczynić. Jeśli tego nie wyzna, jeśli nie zrzuci z siebie koszmarne ciężaru, naprawdę nie wie, co się z nią stanie.

I co stanie się z Jamesem Simeonem.

Nadal było dość wcześnie. Nawet nie zjadła z Terence'em kolacji. Mogła znaleźć księdza i wyspowiadać się, choćby na plebami. Wstała, szybko się ubrała i wybiegła z domu.

Droga trwała długo, ale powietrze przyjemnie chłodziło płonącą skórę. Po drodze omijała bary i ciemne ulice, spiesząc chyłkiem pod ścianami domów. Wreszcie weszła na wzgórze i przekroczyła próg kościoła.

Kiedy jej oczy przywykły do światła świec, zauważyła, że w środku nikogo nie ma. Nikt nie siedział w ławce, nikt nie klęczał przy ołtarzu. Była tu zupełnie osamotniona, jak wtedy, kiedy czekała, aż Simeon skończy się nad nią pastwić. Bóg wtedy nad nią nie czuwał, lecz nie było go również teraz. JeśU kiedykolwiek odczuwała jego obecność, to z całą pewnością nie tu i nie w tej chwili.

Zanurzyła palce w święconej wodzie, choć poczuła, że ją zbrukała, i zrobiła znak krzyża. Podeszła do jednej z środkowych ławek, uklękła i pokornie schyliła głowę, żeby nie patrzeć na święte obrazy i obUcze Ukrzyżowanego. Nie była godna tego, by je oglądać, ani nawet przebywać w tym miejscu, ale dokąd mogła pójść ze swoją straszną tajemnicą?

Zatraciła poczucie czasu. Nie wiedziała, jak długo klęczała z pochyloną głową i tłukącym się w piersi sercem, kiedy usłyszała kroki. Uniosła wzrok i zobaczyła wpatrującego się w nią ojca McSweeneya.

- Lena?

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

- Leno, czy jesteś chora?

- W sercu, ojczu.

- Przyszłaś pomówić z Panem czy ze mną?

- Nasz Pan mnie nie wysłucha, ojczu.

- On zawsze cię wysłucha, dziecko.

Złoty blask świec tworzył jasną poświatę wokół jego głowy. Przeraziła się tajemniczego piękna tego mężczyzny. Przypominał zstępującego z niebios anioła, a ona była największą z grzesznic.

- Zawsze cię wysłucha - powtórzył ojciec McSweeney. - Nie wolno ci w to wątpić.

- Bóg nie słucha zatwardziałyich grzeszniców.

- A ty taka jesteś?

- Nie chciałam popełnić tego grzechu, ale zostałam do niego zmuszona.

- Chcesz się wyświadczyć? - W głosie księdza pojawiła się głęboka troska.

Zastanawiała się. W końcu właśnie po to tu przyszła, jednak rzeczywistość była trudniejsza, niż przypuszczała. Jeśli wyzna swoją winę i nadal będzie pracować dla Simeona, ulegając jego żądaniom czyż grzech nie będzie jeszcze większy?

- Konfesjonał to miejsce na wszystkie twoje zmartwienia - powiedział ojciec McSweeney, siadając obok niej w stalli.

- Nie' r'flogę tam wejść - odpowiedziała głucho.

- Dlaczego?

- Bo chociaż wiem, że grzeszę, będę to robić nadal.

- Ogromnie martwią mnie twoje słowa, córko. Wiesz, że grzeszysz i nie zamierzasz tego zmienić?

- Powiedz mi, ojczu, czy większym grzechem jest dopuścić się złego czynu, żeby chronić tych, których kochamy, czy pozwolić im zginąć ze strachu o swoją nieśmiertelną duszę?

- Mówisz bardzo zawile.

- Mówię o moim życiu!

- Dlaczego po prostu nie wyznasz mi swojego grzechu i nie wyjaśnisz, dlaczego się go dopuściłaś? To dobre miejsce i chwila, by zacząć.

Zdziwiła się, że pozwala jej mówić tutaj i nie nalega, by

poszła do konfesjonału. Była mu niezmiernie wdzięczna, a nawet wzruszona, że starał się wszystko ułatwić.

Mimo to, nawet w ciepłym i łagodnym świetle świec, nie potrafiła wypowiedzieć pierwszych słów spowiedzi...

- Zatem muszę zgadywać - powiedział ojciec McSweeney. - I jestem pewien, że moje domysły będą gorsze od prawdy.

- Nic nie może być gorsze, ojcie.

- Czyżbyś opuściła męża, Leno, i znalazła lepszego mężczyznę? Sprzeniewierzyłaś się przysiędze małżeńskiej?

- Nie! Kocham Terry'ego i nigdy go nie opuszczę. Wszystko co robię, robię właśnie dla niego!

- A co takiego robisz? Cóż to za straszną rzecz czynisz? Kradniesz dla niego? Kłamiesz? - nalegał.

- Dopuszczam się dla niego cudzołóstwa, ojcie - wykrztusiła wreszcie.

Milczał, ale widziała, jak zacisnął pięści, aż zbieleły mu palce.

Właśnie ta ludzka reakcja, a właściwie męska manifestacja uczuć, skłoniła ją do mówienia.

Opowiedziała mu z beznamiętną rezygnacją o wszystkim, co zrobił jej James Simeon, i dlaczego się na to godziła.

- Gdybym mu na to nie pozwoliła - zakończyła - nie znalazłabym już posady w innym domu... sam mi to powiedział... a Terry straciłby możliwość nauki. Nasi rodzice nie mieliby najmniejszych szans na opuszczenie Irlandii, w ogóle na przeżycie...

- Leno... - Ksiądz z ogromnym bólem potrząsnął głową.

- Nie zrobiłam nic, by go zachęcić, ojcie. Musisz mi uwierzyć. - Patrzyła mu prosto w oczy. -

Unikałam go. Kiedy był w domu, starałam się trzymać z innymi. Ubierałam się bardzo skromnie.

Nie...

- Dość!

Zamilkła.

- Teraz rozumiem, dlaczego Simeon wysłuchał mnie, kiedy mówiłem mu o twoim mężu - odezwał się w końcu McSweeney. - Miałem nadzieję, że to gest jego dobrej woli, ale szatan ma wiele postaci. Spodziewała się złości, a co najmniej karcącego wykładu na temat tego, co zrobiła, oraz że stała się kobietą występłą, niegodną szacunku i miłości najbliższych. Nie przypuszczała, że ten kapłan przejmie na siebie część winy za jej grzech.

- Przecież ojciec nic nie wiedział, nie mógł ojciec wiedzieć. Nie widział ojciec, jak on na mnie już pierwszego dnia patrzył.

- Biedne dziecko.

Była przekonana, że wypłakała już wszystkie łzy, a jednak myliła się, bo znów popłynęły po policzkach, jakby wyzwoliła je złość księdza, skierowana na jej wroga, oraz ogromna dobroć i współczucie, jakie ów czuły duszpasterz okazał.

- Nie wolno ci wracać do pracy - powiedział, kiedy przestała łkać. - Musisz się z tego jeszcze dziś wypowiedzieć i odprawić pokutę, ale nie możesz tam wrócić, rozumiesz?

- A co z Terryem, ojcze? Co z naszymi rodzinami? Kiedy się ociepli, mogę znów nosić jedzenie do doków, ale to nie wystarczy nawet na chleb, a Terry musi kontynuować swój kurs. Uczy się tak szybko, że wkrótce będzie mógł znaleźć odpowiednią pracę, ale jeszcze nie teraz. Wciąż ma wiele nauki przed sobą, a nasze rodziny same nie dadzą sobie rady.

- Osobiście porozmawiam z Simeonem.

- Wtedy on powie ojcu, że kłamię, zwolni mnie z pracy i opowie wszystkim swoją wersję wydarzeń. Oczerni mnie i, co gorsza, także ojca.

- Nie interesuje mnie, co mówi o mnie Simeon i jemu podobni! - wykrzyknął, na moment tracąc opanowanie. - Nie

wyobrażam sobie, że miałabyś tam wrócić i nadal pracować. Żona tego... człowieka opuszcza kraj. Teraz będzie miał wiele okazji, aby być z tobą sam na sam.

- Dziś chciałam go zabić, ojciec. Nie wtedy... kiedy byliśmy razem, ale później, gdy byłam w domu z Terryem. Rozmyślałam jakie to byłoby przyjemne, a nawet wyobrażałam sobie, jak mogłabym tego dokonać. Byłam zdesperowana.

- Zabraniam ci tam wracać! Posłuchaj tylko siebie. Jeśli tam pójdziesz, stanie się coś strasznego.

- Coś strasznego już się zdarzyło, ojciec. Zgubiłam swoją duszę.

- Nie, to nieprawda, ale na pewno ją zgubisz, jeśli pozwolisz, by to działało się nadal. A jeśli targniesz się na cudze " życie, wtedy z całą pewnością będziesz przeklęta na wieki.

- A czy uratuję ją, jeśli pozwolę głodować naszym rodzinom? Jeśli odbiorę ostatnią nadzieję Terry'emu?

- Znajdę sposób, by ci pomóc, Leno.

- Jaki? Ma ojciec większą władzę niż James Simeon? A może bardziej wpływowych przyjaciół? - Zbierała się do wyjścia. Nie zamierzała pójść do konfesjonału, jak bowiem mogła wyznać Bogu grzech, który zamierzała nadal popełniać?

Ojciec McSweeney położył dłoń na jej ramieniu.

- Będziesz pracować dla mnie - oświadczył i zanim zdążyła zaprotestować, mówił dalej. - Moja gospośnia jest stara i narzeka na nadmiar obowiązków, najwyższy więc czas, by zamieszkała z córką. Nie zarobisz zbyt dużo, ale więcej niż na sprzedaży jedzenia w dokach. - Potrząsnął głową, widząc na jej twarzy grymas niedowierzania. - Wysłuchaj mnie, proszę. Sam zajmę się edukacją Terence'a. Nie będzie dla niego pracy w biurach Simeona, ale powiedz szczerze, czy mogliśmy mieć na to jakąkolwiek nadzieję? To była czcza obietnica, rzucona tylko po to, by osłabić moją uwagę i zmylić twoją

czujność. Zapewniam, cię, że ja również mam liczne kontakty i kiedy Terence będzie gotów, znajdziemy mu coś odpowiedniego.

- Ależ ojciec nie ma tyle czasu! Nauczyciel pracuje z nim codziennie.

- To samo zrobię ja. Jako pokutę.

- Co musi ksiądz odpokutować? — zdumiała się.

- Nie powinienem wierzyć Simeonowi. Wiem, jaki to człowiek i miałem pewne wątpliwości, ale stłumiłem je, ponieważ byłem dumny, że udało mi się załatwić tak wiele dla ciebie i Terence'a. Zbyt dobrze o sobie myślałem i popełniłem grzech pychy. W ostatnich tygodniach zauważyłem, że jesteś nieszczęśliwa, ale nie spytałem dlaczego. Chciałem wierzyć, że wszystko jest jak najlepiej. Będę za to płacił do końca swoich dni.

Lena położyła dłoń na jego dłoni. Nie był teraz księdzem, ale przyjacielem.

- Ojcze, przecież to nie grzech mieć nadzieję na najlepsze, prawda?

- Nie, ale grzechem jest zamykanie oczu na to, co najgorsze.

Ból w jej sercu pomału ustępował. Nie przyszła po rozwiązanie trudnej życiowej sytuacji, a otrzymała je. Zaczynała się do przekonywać do tej propozycji, zrozumiała, że ten plan może się udać.

- Dobrze, ale co powiem mężowi? - zapytała po kilku minutach zupełnej ciszy.

- Na pewno nie to, co powiedziałaś mnie - odparł poważnie kapłan, patrząc jej prosto w oczy.

- Każesz mi skłamać, ojcze?

- Mówię tylko, że prawda mogłaby go zniszczyć.

- Zatem powiem, że Simeon był wobec mnie grubiański.

Każdy wie, że potrafi taki być. Potem powiem, że przyszedłam do ojca i wyznałam, że nie czuję się bezpieczna w obecności Simeona, a wtedy ojciec zaproponował mi pracę.

- Masz rację, Terry nie potrzebuje wiedzieć więcej. I przekaz mu, że z radością zajmę się jego lekcjami. Dodaj, że będzie się jeszcze uczył łaciny.

Chciała się uśmiechnąć, ale jej oczy znów wypełniły się łzami. W milczeniu skinęła głową. Dobroć tego człowieka była porażająca.

Ojciec McSweeney odwrócił dłoń Leny i zacisnął palce między jej palcami.

- Teraz spotkamy się w konfesjonale, ale chcę, abyś najpierw wysłuchała mojej spowiedzi.

Spojrzała na niego pytająco przez łzy.

- Ksiądz musi miłować wszystkich swoich parafian, a ja staram się o to z całych sił, jednak niektórzy ludzie są mi szczególnie drodzy, a między nimi ty i Terence. Wybacz mi, Leno, iż pozwoliłem, byś tak cierpiała. Sam się do tego przyczyniłem.

Ścisnęła jego dłoń. Spojrzał na ich splecione palce i pokręcił głową.

Godzinę później, kiedy dochodziła już do domu, nagle zastąpił jej drogę jakiś mężczyzna.

Spłoszyła się i przycisnęła ręce do piersi.

- Rowan?

- Leno, co robisz na ulicy o tej porze?

Serce waliło jej jak młotem. Przez chwilę myślała, że kłamstwo, które opowiedziała Terry'emu, stało się prawdą, albo, co gorsza, że napada na nią sam Simeon.

- Byłam w Świętej Brygidzie. - Owinęła się szczelniej peleryną. Od strony jeziora nadciągała gęsta mgła.

- Tak późno? Po co?

Rozwazała, co odpowiedzieć. Wkrótce Rowan i tak się dowie, że przestała pracować dla Simeona.

- Ojciec McSweeney pomógł mi zdecydować, co mam robić. Skorzystam z propozycji i będę pracować jako jego gospodyni.

- Nie rozumiem. Myślałem, że lubiłaś pracę u Simeona. Płaca jest tam godziwa, a praca lekka. Bloomy i Nani cię uwielbiają, podobnie jak reszta służby, nie mówiąc już o tym, co Simeon zrobił dla Terence'a.

Rowan był jej najbliższym i najdroższym przyjacielem, wiedziała jednak, jak jest porywczy i że nie potrafiłby milczeć, gdyby wyznała mu prawdę. Patrzyła w jasne, brązowe oczy i wiedziała, że może powiedzieć mu tylko trochę.

- Pan Simeon nie zawsze jest uprzejmy dla tych, którzy są obok niego, nie zawsze też był uprzejmy dla mnie - powiedziała oględnie.

Rowan spojrział na nią podejrzliwie.

- Leno, co on ci zrobił? To nie mogło być coś błahego, inaczej byś nie odeszła.

- Nie masz się o co martwić. Już tam nie wrócę. Zanim się odwróciła, przytrzymał ją za podbródek i skierował twarz ku słabej poświacie gazowej lampy.

- Płakałaś. Pierwszy raz widzę, jak płaczesz. I masz siniaki na policzkach.

- To już przeszłość, Rowanie. Nie chcę, żebyś martwił Te-rence'a. Co się stało, to się nie odstanie.

Mam teraz nowe plany na przyszłość. Proszę cię, nie martw się o to, co już skończone.

Nie puścił jej.

- Leno, wiesz, że zawsze, kiedy masz jakiś kłopot, możesz się do mnie zwrócić o pomoc - oznajmił z błyskiem w oku.

- Wiem - potwierdziła spokojnie.

Opuścił w końcu rękę, ale nadal się w nią wpatrywał. Lena

393

widziała to, czego nie powiedział głośno. Nie zadowolili go jej odpowiedzi. Będzie szukał dalej.

Zrobi, co będzie musiał, żeby wszystko było jak należy. Taki już jest.

Czuła się opuszczona, ale tak naprawdę nigdy nie była sama. Teraz to wiedziała.

- Chodźmy. - Podał jej ramię i w milczeniu ruszyli ku domowi.

11 czerwca, 1883

Książdz wiedzie życie z dała od kobiet. Doskonale pamiętam matkę i siostry, jak na kolanach zmywały podłogi; pamiętam ich zapracowane, pełne gracji ręce, usta poruszające się podczas modlitwy, oczy doglądające każdego kąta wiejskiego domu i oceniające każdego członka naszej licznej rodziny według swoich wysokich wymagań.

Lecz to wszystko, co wiedziałem o kobietach. Oczywiście miałem z nimi stałe do czynienia z tytułu swojej pracy. Wysłuchiwałem ich spowiedzi, odprawiałem sakramenty i chowałem u boku mężczyzn, którzy rzadko doceniali ich wartość-ale nigdy nie żyłem blisko młodej kobiety, nie obserwowałem jej, ani nie poznawałem siły jej uśmiechu i potęgi lez Nigdy w dorosłym życiu nie zaznałem zwykłego domowego ciepła, niespodziewanego gestu czy życzliwej uwagi, tak przemawiających do moich myśli i uczuć.

Lena Tiemey sprząta moje pokoje i przyrządza dla mnie posiłki, ale jest to tylko niewielka część tego, czym naprawdę mnie obdarza. Gdyby moje życie potoczyło się inaczej, byłbym szczęśliwy, mając żonę, która choć w połowie byłaby taka jak ona.

Z pamiętnika ojca Patricka McSweeneya, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, Ohio.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Luty 2000

Niccolo podjechał pod bar akurat w chwili, gdy holowano z parkingu samochód Casey. Wszystkie trzy siostry stały z rękami opartymi na biodrach i przyglądały się z poważnymi minami, jak ciężarówka manewruje między rzędami zaparkowanych aut i wyjeżdża na Lookout Avenue. Dopiero teraz uświadomił sobie podobieństwo tych kobiet. Miały identyczny wyraz twarzy. W tym momencie przypominały burzowe chmury zbierające się nad jeziorem.

- Spodziewam się, że wieści nie są najlepsze. - Podszedł powoli, mając nadzieję, że nie jest tak źle, jak mówią miny sióstr Donaghue.

Megan powitała go gwałtownym gestem.

- Jakiś dowcipniś nasypał cukru do zbiornika samochodu Casey i przebił opony!

- Wiecie, kto to? - zapytał.

- Przed chwilą rozmawiałam z Jonem. Jeden z tamtych dwóch, co chcieli zgarnąć mój wóz, jest na wolności.

- Myślisz, że to on?

- On albo kierowca ciężarówki, którego Casey spotkała ponad miesiąc temu i utarła mu nosa - wyjaśniła Megan. - Jeden z klientów mówił, że widział go wczoraj w okolicy.

- To mogły być po prostu znudzone dzieciaki. Zeszłej nocy

nie stał tu żaden inny samochód. Nie trzeba od razu mówić

o porachunkach - łagodziła Peggy.

- Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy. - Casey opuściła z rezygnacją rękę. - Bez względu na to, kto to zrobił, pozostaną domysły, i znów muszę się martwić, co będzie dalej.

Peggy objęła ją w talii i popchnęła ku barowi.

- Chodźmy do środka. Zaparzę ci ziołową herbatę, dobrą na uspokojenie.

Casey skrzywiła się, ale pozwoliła się odprowadzić. Megan i Niccolo zostali sami.

- Nie wydaje ci się, że ten parking wybudowano na jakimś indiańskim cmentarzysku? - zapytała Megan.

Pomyślał o innym miejscu pochówku, które odwiedził dziś rano. O tym, w którym najprawdopodobniej ukryto ciało Jamesa Simeona.

- To chyba raczej przypadek, że dzieją się tu złe rzeczy.

- Powiedz mi lepiej, jak się miewasz?

Nie był pewien, o co pyta, ale „znakomicie” wydawało się odpowiednim określeniem. Uśmiechnęła się.

- Twoja mina wszystko wyjaśnia, nie musisz odpowiadać.

- Tak, domyślam się, o czym mówisz. A jak z tobą?

- Nick, nie żałuję ostatniej nocy, naprawdę. Było mi cudownie. Mam tylko nadzieję, że nie snujesz żadnych nierealnych planów.

- Nierealnych planów?

- Mówiłam ci o tym wczoraj. Nie nadają się na długie dystanse.

- Życie jest o wiele ciekawsze, gdy jest się otwartym na wszystkie możliwości, ale nie będę się martwił, gdy taka nie będziesz.

- Za to ja się martwię. Czasem myślę, że właśnie to wychodzi mi najlepiej.

- Przy mnie nie będziesz musiała się martwić - zapewnił z powagą.

Objęła go w pasie i spojrzała prosto w oczy.

- Wczoraj się o tym przekonałam.

- Chodźmy do mnie. Mam dla ciebie nowe wiadomości.

- Nie mogę. Muszę wieczorem upiec chleb i przygotować posiłek na jutro.

- Możemy zjeść wczesną kolację, a potem puszczyć cię do domu. Obiecuję.

- A co z twoją brygadą remontową?

- Mamy szczęście. Nikt się dzisiaj nie pojawił.

- Sama nie wiem. Obiecałam Casey, że odbiorę Ashley ze Świętej Brygidy. Ona nie ma czym pojechać, chyba że weźmie mój wóz, ale Charity...

- Rusza spod domu, ale niekoniecznie spod kościoła - dokończył za nią ze śmiechem.

- Casey nie ma cierpliwości do kaprysów tej bryki.

- Odbierzemy małą razem - zaproponował. - Możemy wziąć ją na kolację i dać czas Casey, żeby mogła się uspokoić.

- To całkiem niezłe rozwiązanie.

Stali twarzą w twarz. Zastanawiał się, czy postąpiłby niewłaściwie, gdyby ją teraz pocałował. Megan, wyczuwając jego wahanie, uśmiechnęła się, stanęła na palcach i zdecydowała za niego.

Kiedy dojechali na miejsce, na ganku stała szóstka nastolatków. Na wypadek, gdyby się pojawili, zostawił im kartkę z wiadomością, że najpewniej nie będzie go aż do wieczora, lecz mimo to postanowili poczekać.

- Słowo daję, nie przypuszczałem że będziemy mieli to-

warzystwo. - Po raz pierwszy Niccolo naprawdę żałował, że wpuścił do domu Josha i Winstona.

- Nic się nie stało. Dawno ich nie widziałam, a Ashley ucieszy się z ich towarzystwa.

Nie był tego wcale pewien. Mała zamykała się w sobie i broniła się przed bliskością innych, co było bardzo niepokojącym objawem. Martwił się tym. W seminarium uczono go, jak rozpoznawać symptomy wykorzystywania dzieci.

Odwrócił się do dziewczynki, która siedziała z tyłu w specjalnym foteliku.

- Czeka na nas gromadka dzieciaków, które pomagają mi w pracy przy remoncie domu - oznajmił wesoło. - Robią dużo hałasu, ale są przemili.

Przestała ssać palec i uniosła się niecierpliwie w foteliku.

- Ona lubi nastolatków - powiedziała łagodnie Megan. - Wszystko będzie dobrze.

Miała rację. Kiedy Niccolo przedstawił swoim pomocnikom Ashley, w ogóle się na nich nie boczyła, a szczególnie upatrzyła sobie Eliszę, która przyprowadziła przyjaciółkę Jo Ellen, żeby pokazać jej dom.

- To ciekawe - zauważył Niccolo. - Spodziewałem się, że będzie się bała obcych osób.

- Obcych dorosłych na pewno - powiedziała Megan. - W ogóle dorosłych. Ma też problemy w kontaktach z rówieśnikami, choć i tak jest już trochę lepiej, natomiast w otoczeniu starszych dzieci czuje się zupełnie swobodnie. Uwielbia Peggy i widziałam ją kilkakrotnie z nastoletnimi córkami mojej kuzynki, kiedy wpadały w odwiedziny. Ashley miała z nimi doskonały kontakt.

- Ma starszą siostrę albo brata?

- Casey nic o tym nie wspominała, zaś Ashley w ogóle nie mówi o rodzinie.

- A o przeszłości?

- Prawie nigdy. - Megan zastanawiała się chwilę. - Raz powiedziała tylko, że uciekła.

- Wiesz, o co jej chodziło? Wzruszyła ramionami.

- Tęskni za matką. Wspomniała o tym raz czy dwa. Cała sytuacja wydała mu się dziwna, ale z radością patrzył,

jak dziewczynka wychodzi ze swojej skorupy i bawi się z dziećmi. Po raz pierwszy usłyszał jej głośny śmiech. Nim minęło popołudnie, razem z Elishą i Jo Ellen stworzyły zgraną paczkę i sprawnie wykładały półki szafek papierem podobnym do kuchennych tapet. Ashley podawała im gwoździe i - kiedy myślały, że nikt z dorosłych nie widzi - pozwoliły jej używać młotka.

Radość na twarzy dziewczynki była warta poprawiania wszystkich niedoróbek.

Przed kolacją dzieci zmęczyły się i zaczęły wychodzić. Jakiś czas temu Nick wprowadził zasadę, że nie karmi ich po szesnastej, bo zachodziła obawa, iż mogą wprowadzić się na stałe.

W ostatnim okresie poznał rodziców niektórych swoich pomocników. Odwiedzili jego dom, żeby zobaczyć, co właściwie robią ich pociechy. Polubił ich już po pierwszej rozmowie. Przekonał się, że kochają dzieci i są dumni z ich pracy. Matka Elishy i Winstona bez ogródek wypytała go o przeszłość oraz o powody, dla których poświęca czas jej urwisom. Zdobyła się na uśmiech dopiero wtedy, kiedy w pełni mu zaufała.

Nie widział się z ojcem Josha, ale z relacji innych dzieci wiedział, że prawdopodobnie nigdy go nie zobaczy. Na podstawie tych wiadomości i własnych obserwacji Niccolo wnioskował, że prędzej czy później Josh nie wytrzyma i ucieknie od agresywnego ojca. Dzwonił w tej sprawie do opieki spo-

łecznej i dowiedział się, że rodzina znajduje się pod stałym nadzorem. Niestety, również inne rozwiązania nie były dla Josha najlepsze.

Dziś wieczór chłopak zwlekał z wyjściem i choć cała ferajna już znikła, nadal kręcił się w holu. Megan, w asyście Ashley, sprzątała na górze po malowaniu. Niccolo został sam na sam z Joshem. Postanowił wykorzystać okazję i szczerze porozmawiać z chłopakiem o jego domu. Nie mógł z tym dłużej czekać. Wcześniej nieraz prowokował Josha, by sam zaczął mówić, lecz bez skutku, bo dzieciak natychmiast zamykał się w sobie.

- W domu nie układa się najlepiej, prawda? - zagadnął bez ogródek.

Josh odchrząknął.

- Aha...

- Co zamierzasz z tym zrobić, synu?

Chłopak wsunął ręce w kieszenie zniszczonych dżinsów i tylko wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem masz kilka możliwości - powiedział rzeczowo Niccolo. - Możesz przetrwać z tym jakoś do końca liceum i później podjąć życiowe decyzje. Możesz też poprosić o interwencję urzędu i znaleźć na kilka następnych lat inny dom. - Nick nie chciał niczego ukrywać. - Znajdą ci dom dziecka lub rodzinę zastępczą, ale zrobią to jedynie wtedy, gdy sam o to poprosisz albo kiedy sytuacja w waszej rodzinie pogorszy się jeszcze bardziej. Z drugiej strony, jeśli będziesz zbyt długo zwlekał, już nikt nie będzie w stanie ci pomóc.

- Gadałeś z kimś? - burknął Josh

- Martwię się o ciebie, synku.

- Sam potrafię się sobą zająć. Jest okay.

- Nie wierzę. Czy coś ci grozi, Josh? Czy czasem się boisz, że nie wyjdiesz z tego w jednym kawałku?

Mina chłopca powiedziała mu wszystko, choć mały starał się po męsku skrywać uczucia.

- Ojciec nie jest aż taki zły, chyba że pije - powiedział, nie patrząc Nickowi w oczy.

- Co robi prawie bez przerwy, zgadza się? Josh wbił wzrok w podłogę.

- Po prostu schodzę mu z drogi - mruknął.

- Macie duży dom? Chłopak potrząsnął głową.

- Zatem jak udaje ci się go unikać?

- Nocuję u przyjaciół. Mama Winstona, kiedy tylko o to proszę, pozwala mi przespać się na podłodze, ale nie robię tego za często, bo nie chcę, żeby mi odmówiła, kiedy naprawdę będę w potrzebie. Staram się chodzić do różnych domów. Czasem tylko zapominam wziąć ze sobą książki i zeszyty, i mam przez to kłopoty w szkole.

Niccolo mógł sobie wyobrazić, jak trudno jest pamiętać

o takich rzeczach jak podręczniki, kiedy starasz się być niewidoczny, aby nikt cię nie pobił albo nie doniósł policji na twojego ojca. Ojciec Josha musiał być wściekły, kiedy coś takiego się zdarzało, i wyładowywał swoją złość na synu, jeśli tylko chłopak nawinał mu się pod rękę.

- A co myślisz o zamieszkaniu ze mną tu, w tym domu? - Niccolo wypowiedział te słowa, zanim zdążył się nad nimi zastanowić. Ten dzieciak miał dobre serce i zasługiwał na lepsze życie. Wiedział aż za dobrze, co czeka Josha w obu przypadkach, o których wspominał. Z jednej strony ojciec-alkoholik, który pewnego dnia zupełnie przestanie nad sobą panować i okaleczy syna, nie mówiąc już o najgorszym, bo i to mogło się zdarzyć. Z drugiej - alternatywa proponowana przez opiekę społeczną - przeludniony dom dziecka, jeśli w ogóle jakiś się znajdzie, lub tułaczka po zastępczych rodzinach.

- Będę musiał pomówić z twoim ojcem - tłumaczył Niccolo. - Potrzebuję jego zgody. Jeśli masz tu zostać, chcę mieć przyznane odpowiednie prawa, aby móc się tobą porządnie zająć. Muszę mieć możliwość zapewnienia ci opieki medycznej i załatwiania spraw w szkole. Jak myślisz, tata zgodzi się podpisać papiery, czy trzeba będzie zaangażować w to władze i sądy?
- On mnie nie chce - powiedział smutno Josh. - Nikt mnie nigdy nie chciał.
- Ja chcę. - Nick impulsywnie pogłaskał go po głowie. Twarz chłopca rozjaśniła się, ale dawno już przestał się łudzić, że życie może zmienić się tak łatwo na lepsze.
- Nie będę ci przeszkadzał, Nick - bąknął, nie wiadomo, czy bardziej speszony, czy wzruszony. - Mogę nocować na poddaszu.
- Możesz wybrać dowolną pustą sypialnię na piętrze i znajdziemy ci jakieś meble. Żadnego poddasza. Żadnego udawania, że naprawdę tu nie mieszkasz. Zgoda?
- Zgoda.
- O której twój ojciec wraca z pracy?
- Późno.
- Pracuje na drugą zmianę?
- Nie, wychodzi na piwo.
- Niedługo pojedziemy do ciebie i zabierzemy rzeczy. Postaram się spotkać się z twoim ojcem rano, zanim wyjdzie z domu.
- Będę ci pomagać w zamian za mieszkanie - ożywił się Josh. - Potrafię sprzątać i gotować. Mogę też iść do pracy i płacić ci.
- Po prostu bądź sobą i nie martw się niczym, Josh. To wszystko, czego od ciebie wymagam. I staraj się jak najlepiej wypaść w szkole.

403

- Ja... w szkole nie radzę sobie zbyt dobrze. - Uśmiech na twarzy chłopca zgasł.
- Niccolo wcale nie był zaskoczony. - Będzie o wiele lepiej, kiedy wszystko się ułoży. Popracujemy nad tym. Josh nie bardzo w to wierzył i szybko zmienił temat.
- Miałem dziś nocować u Joachima. Wybierałem się tam po kolacji.
- Po kolacji... Niccolo podejrzewał, że Josh nie zje żadnej.
- Chcesz do niego zadzwonić?
- Nie ma telefonu. Może pójde teraz i mu powiem?
- Wracaj szybko, zrobię spaghetti.
- Chcesz, żebym jadł u ciebie?
- Każdy posiłek, chyba że będziesz gdzieś zaproszony. Josh miał minę, jakby zaproponowano mu intensywny kurs chorwackiego, ale pokiwał głową z poważną miną.
- Nie jem dużo.
- I dobrze, bo ja nie gotuję rewelacyjnie.
- Twoja kuchnia jest najlepsza - zapewnił chłopiec.
- Ale nie tak dobra, jak moja - usłyszeli głos z góry. Schodziły do nich Megan i Ashley. - Zamawia pan kolację na cztery osoby?
- Josh musi jeszcze coś załatwić i zaraz wróci.
- Będę tu mieszkał - pochwalił się chłopak. Megan starała się ukryć zaskoczenie.
- Naprawdę? Josh wybiegł z domu, bardzo delikatnie zamykając za sobą drzwi, jakby się bał, że zbyt głośny trzask może go wyrwać z pięknego snu.
- Nick, on chyba żartował?
- Ależ skąd, właśnie mu powiedziałem, że może u mnie mieszkać. Gdzie się podziewałaś, kiedy cię potrzebowałem?

- Moje gadanie i tak na nic by się nie zdało.

- Jest bity przez ojca-alkoholika. Nie mogę go tak zostawić - powiedział poważnie.

- Kolejny Billy, co? Albo Rooney? Tylko że tym razem pokrzywdzony dzieciak, a nie bezdomny. - Megan pokiwała głową.

Nie spodobał mu się jej ton, ale nie oponował.

- No cóż, niektórzy zbierają piłki Amerykańskiej Ligi Futbolu albo .zabytkowe sławiki. - Bezradnie rozłożył ręce.

- Zal mi kobiety, która za ciebie wyjdzie. Nigdy nie będzie miała pewności, kto śpi za ścianą.

- Gdybym miał żonę, zdecydowalibyśmy o tym razem.

- I musiałyby odgrywać rolę adwokata diabła przeciw twojemu boskiemu powołaniu. Bo ty wierzysz, że zostałeś stworzony do miłosierdzia. Mam rację, Nick?

Nigdy nie myślał o tym w ten sposób.

- Nie wiem - odparł niepewnie.

- Prawie wszyscy przechodzimy przez życie, martwiąc się, czy zdołamy zapłacić za wynajem mieszkania albo czy znajdziemy odpowiedni kolor lakieru do paznokci - powiedziała gorzko. - Nie troszczymy się o boskie plany wobec nas samych czy innych ludzi, po prostu nie zastanawiamy się nad tym. W ogromnym stopniu nadał pozostałeś księdzem.

Pomyślał smętnie, że zbliża się kolejna kłótnia bez powodu. Uśmiechnął się z nadzieją, że jednak jej uniknie.

- Możesz zdjąć z człowieka szaty liturgiczne, ale...

- Do cholery, czy jest ktoś taki, kto kiedykolwiek będzie mógł ci dorównać? - wypaliła. - Przerażasz mnie, wiesz? Jesteś za dobry, wręcz nierealny.

- Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz. Każdy stara się postępować właściwie. Opowiedziałem ci o swoich rozterkach i wątpliwościach, i to Wszystko. Byliśmy przecież tak blisko ze sobą.

405

- Nieprawda. Żaden facet, z którym byłam w intymnym związku, nie troszczył się o to, z czym walczę i jakie mam problemy, chyba że za długo zdejmowałam ubranie.

- To nie bliskość, Megan, to seks, czyli coś zupełnie innego - wyjaśnił cierpliwie.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - najeżyła się. - Nagle stałeś się ekspertem w tej dziedzinie?

Ashley znikła w kuchni już na początku ich rozmowy, zapewne po to, by sprawdzić papier na półkach szafek. Teraz wróciła do holu.

- Dziś w szkole był pan i wyglądał jak mój tata - oznajmiła Niccolo spojrzawszy na dziewczynkę. Chciał kontynuować rozmowę, ale wiedział, że nie wolno mu tego robić w obecności małej.

- Naprawdę?

- W samochodzie.

Megan przyklękła i chwyciła małą za rękę.

- To był twój tatuś, kochanie?

- Tata mieszka na Florydzie. - W tej samej chwili zasłoniła dłonią buzię, jakby powiedziała coś niewłaściwego.

- Wobec tego to nie był twój tatuś - zapewniła ją z ulgą Megan. - Floryda leży bardzo daleko od Ohio.

- Chciałabyś, żeby to był twój tatuś? - zagadnął Niccolo. Ashley powoli, ze smutkiem pokręciła głową.

- Ten pan odjechał czy rozmawiał z tobą?

- Pojechał. - Jej twarz pojaśniała. - Lisha pozwoliła mi ciąć papier, chcecie zobaczyć?

- Pewnie. Lubisz Elisę, prawda?

- Jest jak Becca.

- A kto to?

- Moja opiekunka. Zajmowała się mną, kiedy nie było mamy. Becca wie wszystko.

406

Megan uśmiechnęła się i odgarnęła włosy z czoła dziecka.

- Chciałabym wszystko wiedzieć". - Spojrzała na Niccola.

- Niektórzy mają to szczęście, i bez namysłu podejmują decyzje.

Niccolo wiedział, że Megan się z nim drażni.

- A co ty byś zrobiła na moim miejscu? - zapytał wprost.

- Odesłałabyś Josha do domu, wiedząc, co go tam czeka? Przecież widać było, że boi się wyjść.

Wstała, wygładzając sukienkę.

- Prawdopodobnie w ogóle bym się nad tym nie zastanawiała - stwierdziła sucho.

Dobrze wiedział, że kłamie, ktoś inny jednak uwierzyłby tym cynicznym słowom. I na tym polegał problem.

- Przyrządę sos do spaghetti. - Usiłował zdobyć się na beztroski ton. - Może włączysz Ashley telewizor, a ja naleję wina?

Przez moment pomyślał, że znajdzie jakąś wymówkę, żeby iść do domu, ale po chwili przytaknęła.

- Chodź, Ashley. Zdaje się, że zaraz będzie Ulica Sezamkowa.

- A możemy obejrzeć wiadomości?

- Wiadomości? - zdziwiła się Megan.

- Aha. Może zobaczę mamę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Jestem wściekła i nie nadaję się do towarzystwa. Odejdź lepiej, dobrze?

Jon wszedł do małego pokoju Casey i rozpiął płaszcz.

- Jeśli teraz wyjdę, to jeszcze coś zdemolujesz - powiedział spokojnie.

Siedziała nadasana na kanapie i wpatrywała się nieprzytomnie w sufit. Była w podłym nastroju i pałała żądzą, aby się na kimś wyżyć, więc natychmiast na ceł wzięła Jona.

- Kto cię ubiera? - prychnęła, taksując go wzrokiem. - Tylko nie mów mi, że ty sam. Pamiętam, jak kiedyś wyglądałeś. Określenie „żałośnie” można było uznać za najlepszy komplement.

- Ubieram się sam. Nie trzeba wielkiego talentu, żeby zdjąć z wieszaka ciemny garnitur i zanieść go do kasy. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Może to nie wyczucie stylu się zmieniło, ale sami mężczyźni. Nie miała najmniejszej ochoty na flirt. Właśnie dzwonił dealer mazdy, informując, że naprawa będzie kosztować prawie dwa razy więcej, niż sądziła.

- Sprawdziłeś tego złodzieja, który już raz załazł mi za skórę?

- Wysłaliśmy kogoś, żeby zadał mu parę pytań. Całą noc był w domu i ręczy za niego matka.

- A nikt nie pomyślał, że mamuśka złodzieja samochodów nie jest najlepszą kandydatką na Najuczciwszą Kobietę Roku?

- Funkcjonariusz, który ją przepytował, nie miał żadnych obiekcji.
- Cudownie. On jest zadowolony, a ja wydam tyle, że można by za to wyjechać na Hawaje.
- Chyba na krótko albo z dużą zniżką - skrzywił się.
- Mam nadzieję, że mój mechanik nie zapomni o olejku do opalania - powiedziała z drwiną.
- Przecież większą część pokryje ubezpieczenie.
- Skąd ta pewność?
- Chodźmy stąd. Zajmę cię czymś, bo zamartwisz się na śmierć.

Kiedy zadzwoniła do Jona, by powiedzieć mu o samochodzie, wspomniał o obiedzie, ale pochłonięta załatwianiem spraw z mechanikiem i firmą ubezpieczeniową, zupełnie o tym zapomniała.

- Ashley jest z Megan, ale niedługo przyjadą do domu. Nie mogę oczekiwać, że Megan będzie pilnować małej całą noc - powiedziała zmęczonym tonem

- Nie ma problemu, ja się nią zajmę. - Peggy wyszła ze swojej sypialni we flanelowym szlafroku. Włosy owinęła ręcznikiem i najwyraźniej nigdzie się nie wybierała.

- Całą noc siedzę w domu. Mogę pooglądać z Ashley telewizję, kiedy będzie coś dla dzieci. Jeśli nie, zagramy w jakąś grę. I tak chodzi wcześniej spać.

- Nie będzie ci to przeszkadzać? - zapytała z nadzieją, iż Peggy zmieni zdanie. Bała się spotykać z Jonem w stanie takiego wzburzenia, bo mogło się to zakończyć pożegnaniem na zawsze.

Jednak kochana siostrzyczka nie zamierzała ułatwiać jej życia, a wręcz przeciwnie, bo wyraźnie ucieszyła się z tej perspektywy.

- Będziemy we dwie, a nie we trzy. Bez ciebie mamy więcej miejsca - zatarła ręce.

409

- Świetnie. Najważniejsze, to nie czuć się jak szczury w klatce. Zaczekaj, Jon, tylko wezmę płaszcz. Samochód Jona, sedan amerykańskiej produkcji o nieznannej marce, przypominał Casey nieoznakowany wóz policyjny.
 - W liceum powtarzałeś, że przed dwudziestką piątką kupisz corvette - skomentowała.
 - A skąd wiesz, że nie kupiłem?
 - Znam historię twojego życia.
 - Lepiej trzymaj się fotela i zamknij oczy. Za kilka minut będziemy pod moim domem.
 - Myślałam, że pójdziemy coś zjeść.
 - Możemy, ale mogę też upiec steki na kominku. Później rozpalimy większy ogień i opowiesz mi-o wszystkim, co ci chodzi po głowie.
 - Chyba zapomniałeś, że jestem w podłym humorze - mruknęła.
 - Ba, trudno tego nie zauważyć.
 - Jeśli powiem ci o wszystkim, co siedzi w mojej głowie, sam będziesz potrzebował pomocy - ciągnęła bezlitośnie. - Mam dla ciebie morze cierpliwości, Casey.
 - Kiedy jestem w stresie, nie gadam, tylko się bawię.
 - Stąd te ciągle rauty i kluby?
 - Skąd wiesz, jak było?
 - Bo znam historię twojego życia.
- Myślała nad tym, kiedy jechali ku Lakewood Street. Możliwe, że szalała w towarzystwie po to, aby odpędzić koszmarnie sny. Kiedy wyjechała, za wszelką cenę starała się nie myśleć o siostrach i Rooneyu. Jeśli zdarzało się, że przeszłość ją osaczała, natychmiast uciekała w przyjemność, podniecenie, zapomnienie... i nie była zbyt wybredna w wyborze mężczyzn, z którymi spędzała takie chwile.
- Przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

- Pewnego ranka, dwa lata po wyjeździe z domu, obudziłam się obok obcego mężczyzny - wyznała. - Nie miałam pojęcia, kim on jest, nie wiedziałam, gdzie jestem i zastanawiałam się, czy za chwilę nie pęknie mi głowa. Przestraszyłam się. Od tamtej pory nie pozwalałam sobie na podobne wpadki.

- Nadal jednak szukałaś dobrej zabawy.

- Tamtego koszmarne ranka zdałam sobie sprawę, że konsekwencje takiego zachowania mogą zaważyć na całym moim życiu. Miałam sporo szczęścia. Jestem zdrowa, ale po tym wszystkim zaczęłam oszczędzać na college. Zorientowałam się, że na własne życzenie mogę przegrać życie. Ta noc pomogła mi wszystko zmienić. Od tamtej pory uważałam, z kim się zadaję, choć nie przestałam szukać rozrywek.

- Jaką Casey jesteś naprawdę? Tą, która zabija prawdziwe uczucia, szukając łatwych uciech? A może tą, która ratuje dzieci potrzebujące pomocy i rozpacza nad tym, którego nie zdołała ocalić?

- Obie są we mnie, tyle że raz jedna, a kiedy indziej druga bierze górę. Poza tym nie widzę powodu, abym miała się wstydzić swoich potrzeb i uczuć. Nie uważam, żeby było coś złego w korzystaniu z życia.

- Doprawdy? - Jon pokiwał głową, - To boli, że nie potrafisz mnie okłamać, mam rację? W tym właśnie największy problem, kiedy zna się kogoś bardzo dobrze. Możesz próbować, ale wiesz doskonale, że szanse na udane kłamstwo są niewielkie. Podobnie zresztą jak ja.

- Nie żartuj! Co takiego miałyby do ukrycia nieskazitelny Jon Kovats?

- Nie wiem. "Życie byłoby o niebo łatwiejsze, gdybym udawał, że nie jestem w tobie zakochany. Ucieszyła się, że wreszcie powiedział to głośno.

- Nie kochasz mnie! - oznajmiła triumfalnie. - Tylko

wmawiałaś to sobie tak długo, że w końcu uwierzyłeś. Jestem po prostu dziewczyną, która na chwilę pojawiła się w twoim życiu, i równie szybko znikła z horyzontu. Każdy ma coś, do czego z chęcią wraca. Nostalgia nie jest czymś złym, ale wcale nie znaczy, że kryją się za nią prawdziwe uczucia. Skreślił na podjazd i wyłączył silnik.

- Więc to tylko nostalgia? - zapytał spokojnie, nie zdejmując rąk z kierownicy.

Nie mogła znieść jego zachowania, wyprowadzało ją z równowagi.

- Powinniśmy teraz uprawiać seks, żebyś wybił sobie z głowy te głupoty - syknęła. - Przekonasz się, że to nic specjalnego.

- Coś jak aspiryna na kaca? Antidotum na uczucia?

- Mniej więcej.

- I poszlibyśmy do łóżka tylko po to?

- Dokładnie.

- Okay, dla mnie to dobry układ. Teraz czy po kolacji?

- Co? - Spojrzała na niego tak, jakby się przesłyszała.

- Wykręcamy numerki teraz czy po kolacji? Ty potrzebujesz się dobrze zabawić, ja muszę pozbyć się złudzeń. Załatwimy dwie sprawy za jednym zamachem. Więc decyduj się, kiedy?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wysiadł z samochodu. Zamknęła z trzaskiem drzwiczki i dogoniła go.

- Jesteś bardzo pewny siebie - rzuciła. - Skąd możesz wiedzieć, czy będę się dobrze bawić?

- Gwarantuję ci to - odparł spokojnie.

- To brzmi jak wyzwanie.

- Możliwe, nie myślałem o tym. W każdym razie wiem, co mówię.

- Co powiesz, jeśli pójdę na ten układ?

412

- Alleluja!

Podejrzliwie przyglądała się, jak Jon otwiera drzwi na ganek

- Nie wierzę ci.

- Nie? - Przytrzymał drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

- Nie. Myślę, że chcesz mnie tylko rozbawić, żebym się już nie martwiła o samochód.

- I tu się mylisz!

- Naprawdę? Co więc zrobisz, kiedy się zaraz rozbiore i powalę cię na podłogę ganku twojej kochanej ciotki Magdy?

- Poproszę, żebyś dała mi sekundę na otwarcie wewnętrznych drzwi, bo mam wścibskich sąsiadów. - Otworzył je i zostawił uchylone.

Weszli do środka, a Casey zdjęła płaszcz, pozwalając, by opadł na podłogę.

- Ten facet za dużo gada, a za mało robi - rzuciła.

Jon poszedł w jej ślady i męski płaszcz wylądował na damskim.

- Ta kobieta również.

- Uważasz, że przygoda z tobą znaczyłaby dla mnie więcej niż wszystkie przygody z innymi facetami, o których mówiłam? Ma być inaczej tylko dlatego, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi?

- Aha.

- Ten facet za wiele rozmyśla.

- A ta babka za mało, i to jest jej główny problem. Casey miała na sobie cienki, czekoladowy sweterek. Zdjęła

go prędko przez głowę i rzuciła za siebie.

- Mylisz się, myślę o wielu sprawach. Mam plany na przyszłość i nie znalazłam w nich miejsca na kolejny nieudany związek. Miłość niczego nie gwarantuje, Jon. Widziałam tyle samo rozpadających się dobrych, co i złych związków.

- Nieprawda. - Zrzucił marynarkę i rozluźnił węzeł krawata, po czym cisnął je, powtarzając gest Casey.

- Na pewno nie widziałaś rozpadu żadnego udanego związku, tylko od kiedy oszedł twój ojciec, myślisz w określony sposób. Zauważasz tylko te pary, które zaczynają się sypać, przez co oczywiście dostarczasz sobie kolejnych argumentów.

Zaparło jej dech w piersiach na widok nagiego muskularnego torsu i szerokich ramion. Zachodziła w głowę, kiedy i jak chuderlawy nastolatek zdążył przemienić się w bóstwo.

Serce zabiło jej mocniej. To, co wydawało się niewinną grą, zaczynało nabierać głębszego znaczenia.

Zapowiadało się na niezłą zabawę. Rozpięła stanik, ale go nie zdjęła. Jeszcze nie.

- Stałeś się typowym mieszcuchem średniej klasy - powiedziała, przyglądając mu się spod zmrużonych powiek. - Miałeś taki potencjał, Jon. Kwestionowałeś wszystkie zastane wartości po kolei, byłeś dociekliwy i bezkompromisowy, a teraz idziesz na łatwiznę.

- Zgadza się, i do tego idę z uciechą - przyznał ochoczo. Pozwoliła, by stanik zsunął się z ramion i opadł na podłogę.

Nie odrywała wzroku od Jona. On również wpatrywał się w nią intensywnie.

- Stwarzasz pozory, Casey. - Mówił tak, jakby siedzieli w restauracji, oddzieleni stołem. - Przez jakiś czas będziesz udawać, że tak nie jest, i nawet to rozumiem. Później będziesz zła, bo zdasz sobie sprawę, że coś dla ciebie znaczę, a tego właśnie się boisz. Rozumiem to, ale stanie się bardzo źle, jeśli znów uciekniesz. Dobrze wiesz, że nie pomogło za pierwszym razem, więc nie pomoże i teraz.

- Nigdy od ciebie nie uciekałam. - Żałowała, że tak szybko się rozebrała.

- Nie?

- Byliśmy wtedy nastolatkami, Jon.

- To, co do ciebie wtedy czułem, nie zmieniło się przez lata, obojętnie, czy jesteśmy dziećmi, czy nie. Łzy cisnęły się jej do oczu. Nagle zwątpiła, czy potrafi się do niego kiedykolwiek zbliżyć, a jednocześnie pragnęła tego. To przecież Jon, najdroższy przyjaciel - i bez względu na to, co czuła, jego słowa trafiały prosto w serce.

Nie musiała robić pierwszego kroku. Jon go zrobił. Ich ciała splotły się w jedno.

Włożyła jego szlafrok, przyjemnie szorstki na nagiej skórze. Jon miał na sobie piaskowe, płócienne spodnie i bawełnianą bluzę, rozpiętą tak, że Casey mogła oprzeć policzek o jego nagie ramię. Wciąż odczuwała podniecenie na myśl o tym, co wspólnie przed chwilą przeżyli. Wtulona w Jona, wpatrywała się w tańczące na kominku płomienie, obserwując, jak pochłaniają włożone przed chwilą polano.

- Powinam już iść - oznajmiła leniwie, nie ruszając się z miejsca. - Ashley może się obudzić i pytać o mnie.

- Peggy się nią zajmie.

Casey poczuła jego dłoń na swoich włosach. Zastanawiała się, jak długo marzył o tym, by zanurzyć palce w jej miedzianych loczkach. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że bezwiednie gładzi jego ciało, jakby palce od dawna łaknęły dotyku gładkiej skóry.

Wciąż jeszcze próbowała zaprzeczyć uczuciom.

- Myślisz pewnie, że wygrałeś tę rundę, co? - zapytała wyzywająco. - Wcale nie było inaczej niż zwykle.

- Tylko tak mówisz.

- No, może troszkę inaczej. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek leżała tak wygodnie.

- Nie pamiętasz jeszcze wielu innych rzeczy.

Zachichotała jak nastolatka. O dziwo, tak się właśnie czuła. Jon musiał to zauważyć i natychmiast wykorzystał chwilę jej odprężenia.

- Zanim sobie pójdziesz, chcę, żebyś powiedziała mi prawdę o Ashley.

Równie dobrze mógłby jej wymierzyć policzek. Casey zeszywniała, a potem szarpnęła się w jego ramionach. Jon przytulił ją mocno.

- Powiedziałam ci prawdę!

- Nie, nie powiedziałaś. Spróbuj jeszcze raz.

- Z kim ja teraz rozmawiam? Z kochankiem, przyjacielem czy z prokuratorem okręgowym?

- Powiedz mi wszystko, co wiesz, zapominając o prokuratorze.

- W takim razie nie powiem nic.

- O, Jezu, Casey...

Znów próbowała wydostać się z jego objęć.

- Naprawdę muszę już iść.

Objął ją jeszcze mocniej, nie siłując się z nią, ale nakłaniając do pozostania. Unieruchomił biodro Casey między swoimi nogami, a ramię oparł o swój tors tak, że siedziała do niego bokiem. Palcami pieścił jej szyję, wywołując przyjemny dreszcz na całym ciele. Minęło dobrych kilka minut, nim w końcu się odezwał.

- Prokurator ma dziś wolne. Jak może pomóc ci kochanek?

- Nie mogę nic powiedzieć. Obiecałam.

- Pozwól zatem, że spróbuję odgadnąć. Ty tylko słuchaj. Przytaknęła.

- Ashley była jednym z dzieci, którymi zajmowałaś się z tytułu swojej pracy. Zabrałaś ją z rodzinnego domu, bo władze hrabstwa nie miały kontroli nad tym, co się tam działo, a ty miałaś pewność, że dziewczynka jest krzywdzona.

416

Casey westchnęła ciężko.

- Jon, przecież wiesz, że to było zwykłe porwanie.
- Cieszę się, że to powiedziałaś. - Odczekał chwilę, ale znów milczała. - Zabrałaś ją za zgodą rodziców, żeby mogli załatwić wszystko niezależnie od postanowień urzędu"
- Nie.

Bardzo chciała powiedzieć mu prawdę. Gdyby był kimś innym zrobiłaby to już dawno i bez wahania. Stres, jaki dręczył ją z powodu takiego postępowania, był ogromny, lecz nie miała innego wyjścia.

- Należysz do organizacji, która ukrywa dzieci przed ich prawnymi opiekunami? - naciskał.

Zabrakło jej tchu, nie mogła wydusić słowa.

- Casey... - Potrząsnął nią lekko. - Czyś ty oszalała?
- Trafiłeś w samo sedno.
- Matka po nią nie przyjedzie, mam rację?
- Jon, co zamierzasz zrobić z tą informacją?
- Rozmawiamy jak przyjaciele.

Nie wiedziała dokładnie, o czym Jon musi informować swój urząd, ale wiedziała doskonale, że naraża teraz jego karierę.

- To ostatni moment, żeby przerwać tę rozmowę. Jeśli powiem coś więcej, mogę ci tylko zaszkodzić - oświadczyła.
- Ty szkodzisz sobie bardziej, Casey. Lepiej opowiedz mi dokładnie, co się dzieje, a zobaczymy, co się da zrobić. - Nie prosiłam cię o pomoc. Mam pomoc od...
- Nie mów! Nie chcę tego wiedzieć.
- I tak nie wyciągnąłbyś tego ze mnie.
- Matka Ashley po nią nie przyjedzie, czy tak? - ponowił pytanie.
- Mama Ashley siedzi za kratkami, bo nie chce wyjawić sądowi, gdzie jest mała.

417

- Ashley to jej prawdziwe imię?

- Na dzisiaj, tak.

- Jak do diabła dałaś się w to wciągnąć? - zapytał z rezygnacją.

- Zeznawałam na procesie o morderstwo tego chłopca,

o którym ci opowiadałam. Kiedy zapytano mnie o jego ojca, nie wytrzymałam i wybuchłam. Ktoś mnie wtedy widział

i uznał, że jestem wyjątkowo oddana sprawie, a po kilku tygodniach zjawił się, żeby zaprosić do tajnej współpracy. Ashley to nie jedyne dziecko, które ukrywają. Zawsze szukają wrażliwych i współczujących osób, aby z ich pomocą chronić dzieci.

- I tak ślepo się w to zaangażowałaś? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Jestem wyszkolonym pracownikiem socjalnym i sprawdziłam wszystko bardzo dokładnie.

Wiedziałam, że ci ludzie mają rację, że postępują słusznie. Ojciec Ashley naprawdę ją molestował.

Były na to niezbita dowody. Tyle że ojciec Ashley ma miliony, a jej matka została po rozwodzie w jednej sukience na plecach i garścią drobnych w kieszeni, które nie starczyłyby nawet na pralnię.

Kiedy starała się o przejęcie opieki nad małą, nie miała najmniejszych szans.

- Casey, ja...

- Tylko mi nie mów, że to się nie zdarza! Ojciec Ashley opłacił najlepszych prawników, którzy zebrali niepodważalny materiał dowodowy i sprawę oddalono. Dostał prawo do opieki na dzieckiem.

Jon nadal nie dowierzał, ale przytaknął.

Casey wzięła głęboki oddech i odczekała chwilę.

- Matka Ashley sama oddalają w ręce naszego podziemia, bo był to jedyny sposób, aby uratować małą z tej koszmarnej sytuacji. Oczywiście natychmiast ją aresztowano. -W najgor-

szym razie zostanie w więzieniu do czasu, aż Ashley stanie się pełnoletnia, przynajmniej jednak wie, że jej córka jest bezpieczna.

- Mała jest z tobą od samego początku?

- Nie, jestem trzecim z kolei opiekunem, a będzie ich jeszcze więcej. - Zamyśliła się. - To wspaniała dziewczynka i zasługuje na lepsze życie.

- Co będzie, jeśli cię znajdą? - dociekał rzeczowo.

- Nie masz pojęcia, jacy jesteśmy ostrożni.

- Jeśli cię znajdą, to co będzie? - powtórzył z naciskiem.

- Wówczas poniosę wszelkie konsekwencje swojego postępowania.

- Skoro ojciec Ashley jest tak bogaty, jak twierdzisz, z całą pewnością jej poszukuje. Powiem szczerze, gdyby chodziło tylko o oszukanie sądu i policji, miałabyś spore szanse, jeśli jednak ten człowiek naprawdę chce odzyskać córkę, z pewnością wynajął najlepszych detektywów. To, czy zapukają do twoich drzwi, jest tylko kwestią czasu.

- Dlatego właśnie tu przyjechałam. Wyspa Whiskey jest tak samo dobrą kryjówką, jak każde inne miejsca. Zanim zdążą nas wyśledzić, Ashley już tu nie będzie.

- Jej, czy też was?

- Dla bezpieczeństwa musimy zmieniać rodziny, i my bezwzględnie przestrzegamy tej zasady.

Niezależnie od tego, jak bardzo bym chciała, nie zatrzymam przy sobie Ashley zbyt długo. Pewnego dnia zniknie i nawet ja nie będę wiedziała, gdzie jest.

- A jeśli jej ojciec już cię znalazł, Casey? Zadrżała.

- Co ty mówisz? - wyjąkała, a dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Ktoś celowo sprawia ci kłopoty. Zobacz, co zrobiono z twoim samochodem...

- Dlaczego jej ojciec, dysponując milionami dolarów, miałby uciekać się do tanich wybiegów, jak przebijanie moich opon? Jeśli mnie znajdzie, wystarczy, że zgłosi sprawę policji, a oni wszystkim się zajmą.

- To nie takie proste. Po pierwsze, nie od razu by mu uwierzyli, a po drugie, mogłabyś przedstawić mu zarzuty. Przecież sama mówiłaś, że istnieją niezbita dowody na molestowanie seksualne córki, a wtedy policja musiałaby przeprowadzić śledztwo. W dodatku coś mogłoby przeniknąć do mediów. Nawet jeśli udowodniłby swoją niewinność, nieprędko odzyskałby córkę, a stare, bandyckie metody są o wiele szybsze i skuteczniejsze.

- Tym bardziej nie widzę powodu, dla którego miałby dziurawić mi opony. Bardziej w jego stylu byłoby zwyczajne porwanie Ashley, zanim zdążyłabym się zorientować, że nas wykrył. Zastanawiałam się nad taką możliwością, zadzwoniłam do mojego kontaktu i rozmawiałam o tym. Ta osoba zgodziła się jednak ze mną, że to mało prawdopodobne i nadal jesteśmy tu bezpiecznie.

- Dobrze, ale czy pomyślałaś, na jakie życie skazujesz tę dziewczynkę?

- O wiele lepsze niż z własnym ojcem-zboczeńcem!

- Zgoda, należy winić system prawny, że pozwala bezkarnie popełniać takie ohydne czyny, ale mimo wszystko to nie jest dobre wyjście.

- Nie wierzę w sprawiedliwość wymierzaną przez członków tajnej straży obywatelskiej, ale nie uważam też, że dzieci powinny cierpieć i będę temu zapobiegać wszelkimi dostępnymi sposobami! - wyrzuciła z pasją.

- Czy matka Ashley nadal stara się o załatwienie sprawy drogą sądową?

- Robi, co może. To trudne, gdy się jest za kratkami, ale

ktoś z naszych jej pomaga. Jeśli wyrok zostanie zmieniony, Ashley ma szansę na normalne życie. Jeśli nie, musi się ukrywać do czasu, aż będzie na tyle dorosła, by decydować o swoim losie.

- A jej matka spędzi cały ten czas w więzieniu.

- Najprawdopodobniej, a w każdym razie liczy się z tym.

Jon milczał tak długo, iż uznała, że rozmowa jest skończona. Kiedy się wreszcie odezwał, przekonała się, że układał w głowie plan.

- Jeśli mi powiesz, jak się nazywa ojciec małej i gdzie mieszka, mogę się dowiedzieć więcej na jego temat - zaproponował.

- Nie wolno ci się w to mieszać, Jon! Dobrze wiesz, że ryzykujesz własną karierę, więc trzymaj się od całej sprawy z daleka. Już i tak wiesz za dużo. Jeśli ktokolwiek będzie pytał, zaprzeczę, że w ogóle odbyliśmy taką rozmowę.

- Powiedz mi, jak się nazywa, i pozwól, że sam będę się martwił o to, co powinienem, a czego nie. - Nie podniósł głosu, ale, jego ton zabrzmiał bardziej stanowczo.

Casey miała do siebie pretensję, że w. ogóle dała się wciągnąć w tę rozmowę. Musiała zadać oczywiste pytanie.

- Czy możesz mi obiecać, że mnie nie wydasz? Zagwarantować, że nie powiadomisz władz stanu, w którym on mieszka?

- Jak możesz o to pytać? - Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Jaka jest odpowiedź? - nalegała.

- Powinnaś wiedzieć, że nie zrobię nic, co mogłoby ci zaszkodzić. Pozwól mi tylko sprawdzić, co uda mi się znaleźć na jego temat. Obiecuję, że zachowam najwyższą ostrożność.

- Ashley nazywa się Alice Lee Raybum - powiedziała po chwili wahania. - Matka ma na imię Dana, a ojciec - Bobby.

Zbił fortunę na handlu ziemią i mieszka w Palm Beach na Florydzie. Tam też uwięziono Danę.

- Miałem nadzieję, że w Kalifornii. Mam tam wpływowych przyjaciół.

- Widzisz? Może wreszcie mnie zrozumiesz. - Oparła się mocniej o jego ramię. - Teraz już wiesz, dlaczego to robię? Powiedz!

- W każdym razie wiem jedno: mam teraz przed sobą prawdziwą Casey Donaghue. Czy jednak musiałaś wybrać właśnie tę drogę? Są tysiące sposobów, żeby pomagać dzieciom. System zawiódł cię jeden raz i natychmiast mu się sprzeciwiłaś, a teraz...

- To nie takie proste!

- Wiem, ale czy zaprzeczysz, jeśli powiem, że twoje postępowanie jest rodzajem pokuty, bo nadal winisz się za to, co stało się z tamtym chłopcem?

- Po prostu pomagam małej dziewczynce uciec przed złem - ucieła niecierpliwie.

- A czy możesz mi zagwarantować, że kiedy Ashley przejmie ktoś inny, znów zaczniesz legalnie pomagać potrzebującym dzieciom? Na przykład w agencji, gdzie traktuje się to jak każdą inną pracę? Nigdy wcześniej nie wybiegała myślami w tak odległą przyszłość, ale zdała sobie sprawę, że Jon ma rację. Płaciła za to, co zrobiła, ryzykując całą swoją przyszłość. Wybrała najbardziej ciernistą drogę do odkupienia.

Zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle dostrzeże moment, w którym uzna, że dopełniła już aktu zadośćuczynienia.

- Jeszcze nie wiem, co zrobię - odparła z wahaniem. - Teraz muszę się skupić na Ashley. Wszystko w swoim czasie.

- A co z nami? My też mamy czekać na odpowiedni moment?

422

Już chciała odpowiedzieć „oczywiście”, ale to słowo nie przeszło jej przez gardło.

- Ty naprawdę potrafisz walczyć o swoje - powiedziała z uśmiechem.

- Tak, potrafię. - Dotknął jej policzka i pocałował prosto w usta. Zachłannie uległa słodkiemu zapomnieniu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Niccolo planował skończyć przepisywanie pamiętnika ojca McSweeneya, ale w pewnym momencie przestał stukać w klawiaturę komputera i zagłębił się w czytaniu. Stało się to wieczorem kiedy po raz pierwszy natrafił na wzmiankę o Rowanie Donaghue.

Rowan Donaghue. Rowan, który może być prapradziadkiem Megan Donaghue.

A co z Leną Tierney, o której tak często i z podziwem wspominał ojciec McSweeney? Czyżby to była Rosaleen, autorka sławnych przepisów „Wyspy Whiskey”?

Z pamiętnika wyczytał, że Lena Tierney pracowała na plebanii jako gosposia, mimo uważnej lektury nie mógł się jednak dowiedzieć, jakie tajemnice kryła historia tej kobiety. Ksiądz o najważniejszych sprawach opowiadał bardzo zawile i trudno było dotrzeć do prawdziwego sensu jego słów. Poświęcił się Bogu i traktował swoje posłannictwo bardzo poważnie i dlatego nie chciał, by każdy, kto otworzy pamiętnik po jego śmierci, poznał wszystkie wątpliwości i rozterki, z jakimi się zmagał. A zapewne i tajemnice spowiedzi.

Niccolo potrafił rozpoznać te rozterki, bo większość z nich sam przeżywał. Pragnienie, by w pełni oddać się Bogu oraz wieczna walka, by nie zbliżyć się zbyt do ludzi i jednocześnie nie stracić z nimi kontaktu. Staranie, by troszczyć się o każdego wiernego w równym stopniu, nigdy nie stawiać kogoś przed innymi.

Niemal od początku lektury wyczuł, iż ojciec McSweeney to człowiek o namiętym sercu. Ono sprawiło, że nieustannie walczył z własnymi słabościami i uświadomił sobie wiele praw rządzących światem i ludźmi. Praw ziemskich, a nie boskich. Niccolo zastanawiał się, jak doszło do tego, że Patrick McSweeney został księdzem. Czy kierowało nim powołanie? A może trafił do seminarium ze względu na zainteresowanie nauką lub zdecydowała o tym jego rodzina?

Jakakolwiek była odpowiedź na te pytania, ojciec McSweeney, mimo targających nim wszelkich wątpliwości, w odróżnieniu od Niccola pozostał w stanie duchownym. Iggy mówił, że Patrick McSweeney pracował w Świętej Brygidzie do końca swoich dni, do początków dwudziestego wieku. Niestety, pamiętnik nie sięgał aż tak daleko. Zakończył się na wzmiance o Jamesie Simeonie.

O trzeciej w nocy, po dniu, w którym jadł wspólny obiad z Megan i Ashley, Niccolo bezsilnie wpatrywał się w ostatnią stronę i nie mógł uwierzyć, że właśnie w tym momencie pismo się urywa. Lena Tierney została zatrudniona przez Jamesa Simeona, a później trafiła na plebanię. W posiadłości przy Euclid Avenue doszło do czegoś, co zmartwiło ojca McSweeney'a na tyle, aby natychmiast przyjął Lenę do pracy jako swoją gospozię.

McSweeney najwyraźniej podziwiał Lenę. Niccolo zauważył to, zanim jeszcze skojarzył ją z Rosaleen. Przedstawiał ją jako przykład kobiety z irlandzką duszą. Podkreślał jej ciepło i pogodne usposobienie, temperament i odwagę w walce z przeciwnościami losu. Mówił o niej tak, jak nie mówił o nikim innym. Jeśli nawet miała jakieś wady, dla księdza były niegodne wzmianki. I oto przydarzyło się jej coś strasznego, przed czym ojciec

Sweeney nie zdołał jej ustrzec, bowiem od tego momentu pamiętnik stał się dramatycznym zapisem wyrzutów sumienia.

Niccolo zamknął zeszyt z żalem, jaki odczuwa czytelnik pasjonującego kryminału, który tuż przed rozwiązaniem zagadki odkrywa, że książce brakuje ostatnich rozdziałów. Pamiętnik stopniowo odkrywał pewną historię, której zapis celowo przerwano. Nie było innego egzemplarza tej „powieści” ani nikogo, kto mógłby opowiedzieć jej zakończenie. Niccolo nigdy nie dowie się, co zaszło pomiędzy Leną Tierney, Rowanem Donaghue i Jamesem Simeonem - chyba że ojciec McSweeney kontynuował swoje zapiski w innym zeszycie. Kto wie, może Iggy odnajdzie go w kościelnych archiwach?

Odłożył pamiętnik na biurko przy łóżku, wstał i przeciągnął się. Nie chciało mu się spać, choć do zimowego świtu było jeszcze daleko. Miał świadomość, że nie jest sam w domu, bo w pokoju w drugim końcu holu śpi Josh i może sypiać tam do czasu, kiedy zacznie żyć na własną rękę. Niccolo, wypowiadając kilka prostych słów, wziął na siebie odpowiedzialność za przyszłość młodego mężczyzny. Jakkolwiek nie żałował tego odruchu, zachodził w głowę, jak mógł być tak impulsywny. Pomyślał o reakcji Megan na tę nowinę. Nie była zachwycona. Nie dlatego, że przygarnął Josha, ale dlatego, że bezustannie obarczał się problemami innych. Sama robiła dokładnie to samo, ale nie chciała się do tego przyznać. Potrafiła kochać dopóty, dopóki się do tego nie przyznawała. Pomagała, dopóki twierdziła, że tego nie robi.

Leżała w jego objęciach i tłumaczyła, że to tylko chwilowe uleganie zachciankom. Być może pozostanie z nim tak długo, jak długo pozwoli jej udawać.

Nie miał jednak takiej pewności, bo pomimo tego, że bardzo mu na niej zależało, dostrzegał jej wady. Widział, że Megan prowadzi wewnętrzną walkę, a teraz on był jej wrogiem

Wstał od biurka i zszedł na dół. Gorące mleko z miodem było lekarstwem, które jego matka aplikowała na bezsenność. Kubek parującego napoju gwarantował błogi sen w krótkim czasie. Podgrzewał właśnie mleko, kiedy usłyszał w drzwiach czyjeś kroki. Odwrócił się i zobaczył Josha. Chłopiec nie wyglądał na zasnętego i Niccolo podejrzewał, że jeszcze nie zmrużył oka.

- Co słyhać? - zapytał jak gdyby nigdy nic.

- Usłyszałem hałasy i pomyślałem, że... ktoś chce wejść do domu.

- To tylko ja. Napij się ciepłego mleka? Chłopak przytaknął skwapliwie.

Niccolo nalał drugi kubek i wstawił do mikrofalówki.

- Masz pewnie problemy ze spaniem w nowym miejscu?

- Przez okno wpada blask księżyca.

- Jutro założymy żaluzje. Przypomnij mi o tym, dobrze?

- Przecież ja nie narzekam. Chodzi mi o to, że... nigdy nie widziałem tak księżyca. Z domu ojca nie można go zobaczyć. - Uśmiechnął się. - To znaczy księżyc jest, tyle że brakuje okien, żeby go oglądać. Zabito je płytami, wiesz?

Niccolo nie wiedział, ale pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Do tego tu jest bardzo cicho. Nikt nie krzyczy.

- Kiedy spałeś u przyjaciół, też było głośno? - Nick wyjął z kuchenki swoje mleko i wstawił kubek Josha.

- Mieszkanie Winstona jest naprawdę małe. Wszyscy śpią w jednym pokoju i zawsze ktoś chrapie albo kaszle. Z kolei dom Joachima jest pełen ludzi i gdziekolwiek pójdziesz, wszędzie trafiasz na jego małych braci.

- Przywykniesz do ciszy, ale na razie włącz sobie radio, jeśli to pomoże ci zasnąć. Zaraz wstawię ci jakieś do pokoju. Tylko słuchaj go na tyle cicho, żeby mnie nie obudziło.

- Myślałem, że będziesz zły, bo się tłukę po nocy - szepnął Josh.
- A niby dlaczego? Martwię się, kiedy nie możesz spać. Jeśli nie wypoczniesz, nie będziesz mógł się skupić na lekcjach w szkole. - I tak kiepsko mi idzie.
- Jesteś inteligentnym dzieciakiem ale kiedy ma się na głowie tysiąc innych zmartwień, trudno zajmować się nauką. Może tutaj, gdzie będziesz wreszcie miał spokój, wszystko zacznie ci lepiej wchodzić do głowy. A ja ci chętnie pomogę.

- Jak to?

Niccolo wyjął z kuchenki mleko dla Josha. Podał chłopcu kubek, postawił przed nim słoik z miodem i położył łyżeczkę.

- To proste - powiedział. - Ty potrzebujesz mieszkania, a ja je mam. Potrzebujesz przyjaciela i ja mogę nim być.

- Lubisz dzieci. Dlaczego sam ich nie masz?

- Byłem księdzem. - Wypowiedział te słowa bez żadnego wysiłku, tylko całkiem zwyczajnie. Zdał sobie sprawę, że oswoił się z przeszłością na tyle, by móc o niej mówić bez skrepowania. - Księża się nie żenią, więc nie mają dzieci.

- Ale już nim nie jesteś?

- Nie.

- A jesteś tym, no, katolikiem?

- Zgadza się.

- Ja nie.

- Nie musisz być mojego wyznania, żeby tu zamieszkać. Jeśli będziesz miał ochotę pójść ze mną na mszę, z chęcią cię zabiorę, a jeśli nie, to też w porządku, ale cieszyłbym się, gdybyś od czasu do czasu odwiedził swój kościół. To mogłoby ci pomóc.

- Mój ojciec twierdzi, że wszystko, co opowiadają w kościołach, to kłamstwa.

428

- Naprawdę?
- On jest bez przerwy na wszystko wściekły.
- Cieszę się, że ty nie jesteś.
- Czasem jestem.
- Wszyscy się wściekamy.
- Ty też?
- Jasne. - Niccolo pociągnął łyk mleka i puścił oko do Josha.
- Nie złościsz się na Winstona, a on denerwuje ludzi jak cholera. W szkole ciągle ma tyły. Chociaż dużo mniej od czasu, kiedy zaczął do ciebie przychodzić.
- Serio? - zdziwił się Niccolo. - Jak to możliwe?
- Winston to bardzo łebski chłopak, tyle że nikt tego nie zauważa Ty pozwalasz mu robić tutaj różne rzeczy, na przykład malować pokoje. Jest świetny, jeśli ma sam wykonać jakieś zadanie i dopilnować, żeby wszystko poszło dobrze. Tyle że w szkole nikt nie daje mu żadnych zadań. Belfry chcą tylko, żebyś siedział cicho i słuchał wszystkiego, co mówią. A on nie cierpi robić tego, co ktoś mu każe. Tutaj jest inaczej. Ciebie słucha, i prawie nikogo więcej. No, ostatnio trochę mniej stawia się w szkole.
- Jesteś lojalnym przyjacielem - pochwalił Nick. Nie pokazał po sobie, jak ogromną radość sprawiły mu słowa chłopaka. - Cieszę się, że Winston lubi tu przychodzić. Ja też bardzo go lubię. Pewnego dnia osiągnie sukces w jakiejś ważnej dziedzinie, zobaczysz.
- Winston? - zdziwił się Josh. - Jeszcze niedawno miał zamiar rzucić szkołę. Planowaliśmy razem... Niccolo popatrzył na niego wyczekująco.
- Uciec - wymamrotał chłopak. - Tylko że on martwił się o mamę i Eliszę, i w końcu tego nie zrobił.
- Wierzę, że żaden z was nie zrezygnuje ze szkoły - powiedział przyjaźnie Niccolo.

- Winston mówi, że ciągle nawijasz mu o pójściu do liceum.
 - Serio?
 - I mówi, że to nie twój interes, co zrobi dalej.
 - Dopóki tu przychodzi, to jest jak najbardziej mój interes, nie uważasz?
- Josh zastanawiał się przez chwilę.
- A może właśnie dlatego tu przychodzi? Gada, że mu nie zależy, a tak naprawdę chce, żeby to był twój interes. Teraz różne swoje szkolne problemy może zwać na ciebie.
 - Masz zadatki na dobrego psychologa. - Niccolo uśmiechnął się na widok miny Josha. - To ktoś, kto rozumie, jak myślą inni ludzie - wyjaśnił. - Masz wspaniałą i bardzo pożyteczny dar.
 - Żartujesz sobie ze mnie? - nie dowierzał Josh.
 - Ci, którzy obserwują innych i potrafią wyjaśnić ich zachowanie, są bardzo ważni. Pomagają ludziom unikać powtarzania tych samych błędów.
 - Przez całe lata obserwowałem swojego starego. Mam niezłą praktykę.
 - Wierzę ci.
 - Mógłbym mu powiedzieć, w czym tkwi jego problem, ale i tak by mnie nie słuchał. Powinien przestać bić i winić innych za swoje niepowodzenia.
 - To byłby dobry początek.
 - I powinien przestać bić, kiedy się wścieka - ciągnął chłopak.
 - Przede wszystkim to.
 - Raz wsadzili go za kratki za pobicie.
 - Gdzie wtedy mieszkałeś?
 - Mama jeszcze żyła. Namawiałem ją, żeby od niego odeszła, kiedy był w więzieniu, ale nie chciała. Twierdziła, że oj-

ciec się nią opiekuje, tylko że nigdy tak nie było. I sama była zbyt pijana, żeby to zauważyć.

- Masz za sobą ciężkie chwile.

- Może po prostu uczyłem się, dlaczego ludzie zachowują się tak, a nie inaczej.

Niccolo widział, że ta myśl spodobała się Joshowi. To było coś, na czym mógł oprzeć swoją przyszłość, lepsze niż użalanie się nad sobą. Chłopak wiele przeżył, ale Nick wierzył, że da sobie radę. Jakimś cudem zachował w sobie wiele pozytywnej energii i cudowną umiejętność znajdowania sensu w beznadziejnych sytuacjach.

Wierzył też, że również Winstonowi się powiedzie, choć nie przypuszczał, aby jego działania mogły odnieść długotrwały skutek. Jego dom był wszak tylko miejscem, w którym dzieciaki mogły schronić się przed codziennymi problemami oraz nauczyć się kilku przydatnych rzeczy. Bardzo ich wszystkich polubił, a tak naprawdę nadawali sens jego życiu.

- Josh, powiesz mi coś, ale szczerze?

- Jasne.

- Dlaczego przychodziłeś do mojego domu? Wiem, że w okolicy nie ma wielu rozrywek, ale są przecież ciekawsze rzeczy niż ta harówka.

Josh zrobił skupioną minę i długo rozważał, co ma powiedzieć.

Niccolo czekał cierpliwie.

- Chodzi o to, że gdzie się nie pojawię, nigdy nie mam racji, rozumiesz? W szkole, kiedy nie odrobie pracy domowej albo nie znam odpowiedzi na jakieś pytanie, jestem głupi. W domu... no, nie ma co mówić, jest jeszcze gorzej. Nawet u przyjaciół nie mogę siedzieć za długo. Zabieram miejsce, rozumiesz? Miejsce, którego im brakuje, i czasem jedzenie. A tutaj zawsze wszystko jest w porządku. Lepiej niż w po-

rządku. Dajesz mi zajęcie i nawet jeśli robię coś nie tak, nie strofujesz mnie. Po prostu podpowiadasz, jak mogę to naprawić. Czuję się bezpiecznie.

Niccolo zaczął się zastanawiać, czy powołanie może być czymś aż tak prostym.

- Spać mi się zachciało - ziewnął Jon.
- Wiem, długie rozmowy tak działają.
- Dzięki za mleko. - Chłopiec wstał.
- Nie ma za co. Życzę kolorowych snów.
- Mam nadzieję, że przyjdą.

Dzień Świętego Patryka był w „Wyspie Whiskey” największym dorocznym świętem, mimo to Megan nigdy nie brała nikogo do pomocy, bo zgodnie z tradycją wspierała ją rodzina. Pracownicy baru zajmowali się kuchnią, smażąc w ekspresowym tempie kodety z baraniny panierowanej mąką kukurydzianą, a członkowie klanu Donaghue’ów podawali je gościom i rozlewali bursztynowe, zmrożone piwo. Miejscowa irlandzka kapela ustawiała się w kącie i przez cały dzień wygrywała skoczne melodie.

Impreza była tak popularna, że amatorzy tradycyjnego posiłku musieli wykupywać specjalne bilety obiadowe na kilka tygodni naprzód i wszystkie sprzedawano pierwszego dnia. Każdego roku Megan musiała dopilnować, żeby zgromadzić dostatecznie duże zapasy, chociaż możliwości kuchni były ograniczone. Na szczęście wieczorem goście już nie myśleli o konsumpcji. Tłum bawił się świetnie, dopóki w beczce nie skończyło się piwo guinness.

Peggy weszła do kuchni baru, spróbowała odrobinę irlandzkiego bigosu, po czym zbladła i natychmiast wybiegła do toalety. Megan szybko pobiegła za nią, ale Peggy zatrzasnęła jej drzwi przed nosem, jednak odgłosy, wydobywające się stam-

tąd, były jednoznaczne. Casey, która właśnie schodziła z góry, spotkała zatroskaną Megan.

- Co się stało?

Megan pokazała na drzwi toalety.

- Peggy źle się poczuła.

- Naprawdę? Zauważyłam, że nie chciała jeść śniadania. Co to może być?

Spojrzały po sobie i nagle zdały sobie sprawę, o jaką dolegliwość chodzi.

- Nie... - Megan z niedowierzaniem pokręciła głową. - To niemożliwe!

- Tak myślisz? Zwróć uwagę, że Peggy nie pija kawy, zrezygnowała zupełnie z alkoholu, ucina sobie popołudniowe drzemki i przybrała na wadze.

- Ona w ogóle rzadko pija alkohol, a bardzo lubi moją kuchnię i zawsze trochę tyję, kiedy przyjeżdża do domu.

- Megan, nie szukaj łatwych wytłumaczeń.

- Nie żartuj, przecież jest uświadomiona. Nie dopuściłaby do tego, żeby...

- Zająć w ciążę?

Peggy wyszła, wycierając dłonie w papierowy ręcznik.

- No nie wytrzymam! Słyszałam każde słowo. Czy myślicie, że od ciąży się głuchnie? Oczywiście, że wiedziałam, jak się zabezpieczyć, ale skoro już o tym mówimy, zapobieganie ciąży nadal jest nieprecyzyjną nauką. Uprawiałam bezpieczny seks i zachowałam wszelkie środki ostrożności.

Megan nie podobała się myśl o tym, że jej mała siostrzyczka uprawia seks.

- I?

- Mniej więcej na początku września zostanieie ciotkami.

- Margaret May Donaghue! I ty nic nam nie powiedziałaś?! - wykrzyknęła Casey.

Peggy opadła na krzesło. Bar był jeszcze zamknięty, więc mogły chwilę porozmawiać.

- Zastanawiałam się, co zrobić. Chciałam, żeby to była tylko moja decyzja.

Casey usiadła obok niej.

- Skoro masz urodzić we wrześniu, nie za późno już na poranne nudności?

- Nie, gdy w jadłospisie pojawia się kapusta. Czuję się dobrze, ale czasem się to zdarza.

- A nie za późno na podejmowanie decyzji? - Megan przysiadła się do nich.

- Nie - odpowiedziała Peggy. - Musiałam się przełamać.

- Jak to?

- Doskonale wiem, co zrobię. Nie mogłam tylko zebrać odwagi, żeby wam o tym powiedzieć.

Megan jeszcze nie przetrwała wiadomości, która spadła na nią jak grom z jasnego nieba, na szczęście

Casey zachowała zimną krew.

- Może lepiej zaczniesz od początku, chyba że nie chcesz o tym mówić.

- Czy mam inne wyjście? Przecież nie spoczniecie, dopóki nie wyciągniecie ze mnie wszystkiego. -

Peggy uśmiechnęła się z rezygnacją.

- Peg, daj spokój, jesteś dorosła. Nie musisz się przed nami tłumaczyć.

- Dobrze, opowiem wam To zresztą typowa historia W szpitalu poznałam pewnego faceta i wdaliśmy się w krótki romans. Oboje mieliśmy nadzieję na coś więcej, ale po kilku tygodniach zorientowaliśmy się, że zbyt mało nas łączy, by cokolwiek z tego wyszło Rozstaliśmy się w przyjaznej atmosferze.

Kilka tygodni później zaczęłam podejrzewać, że zaszłam w ciążę.

- Powiedziałaś mu? - zapytała Megan.

- Tak, wie o tym. To porządny facet i złożył mi propozycję małżeńską.
 - A co ty na to? Peggy potrzęsnęła głową.
 - To właśnie jedna z moich decyzji. Nie mogę wyjść za niego tylko dlatego, że dziecko musi mieć ojca na co dzień. Nie bylibyśmy ze sobą szczęśliwi, a ono tylko by na tym ucierpiało. Jest jednak dobrym człowiekiem i sędzę, że pomoże mi w wychowaniu naszego dziecka.
 - Nie mam przekonania do tych nowoczesnych teorii. - Megan nie spodziewała się podobnej rozmowy i w ogóle nie była do niej przygotowana. Myśl o tym, że jej mała siostrzyczka ma urodzić dziecko, naprawdę ją przerażała.
 - Zatem małżeństwo wykluczone - stwierdziła rzeczowo Casey. - Aborcja?
 - Casey! - Megan aż wstała z wrażenia.
 - Megan, siadaj i uspokój się wreszcie. I takie wyjście trzeba brać pod uwagę.
 - Dla mnie ono nie istnieje - stanowczo odpowiedziała Peggy.
- Megan nigdy w życiu nie czuła się tak bardzo katoliczką, jak w tej chwili. Opadła na krzesło i zmęczonym gestem odgarnęła włosy z czoła.
- Przepraszam. Wiem, że przesadzam. Jestem w szoku.
 - A co z adopcją? - drażyła Casey.
 - Owszem, wiele o tym myślałam, mam przecież w planach studia medyczne. Czy podołam temu, zajmując się dzieckiem? Żadne wyjście nie będzie łatwe. Może powinnam poczekać rok i wtedy zacząć studia? Albo w ogóle z nich zrezygnować, tylko szukać pracy, najlepiej takiej, która pozwoli mi spędzać dużo czasu w domu? A może najlepiej znaleźć dziecku tradycyjną, pełną rodzinę?

- Wreszcie rozumiem, dlaczego przyjechałaś do domu na tak długo - powiedziała Casey. - Musiałaś przemyśleć wiele spraw.

Megan pochyliła się nad stołem. Była pod ogromnym wrażeniem profesjonalnego, metodycznego podejścia do sprawy, jakie zaprezentowała Casey. Więc tak wygląda dobry pracownik opieki społecznej w akcji! A jednak wszystko było zbyt wyważone, pozbawione emocji. Mój Boże, przecież chodzi o ich siostrę, o małą Peggy.

- Czemu nie powiedziałaś nam od razu, co się stało? - W głosie Megan zabrzmiał wyrzut. - Mogłybyśmy ci pomóc.

Peggy impulsywnie chwyciła ją za rękę.

- Wiem, Meg, że zawsze mi pomagacie, ale zrozumiem, nie potrzebowałam porady. Znam wszystkie możliwości i sama dokonam wyboru. Po prostu chciałam być przy was. Potrzebowałam waszej energii, waszej wytrwałości w dążeniu do celu. Chciałam się przekonać, że mam w sobie tyle siły, co wy.

- I doszłaś do czegoś? - Casey położyła rękę na dłoni siostry.

- Tak. Wiem, że jestem dość silna, by sobie ze wszystkim poradzić, czyli z dzieckiem i ze szkołą medyczną. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie będzie łatwo, a dziecko uniemożliwi mi zrealizowanie części planów, ale w lecie mogę przygotować się do egzaminów i zdać jeszcze przed porodem. Później przez rok będę pracować w „Wyspie Whiskey”, żeby mieć jak najwięcej czasu dla dziecka. Dalej, jeśli się uda, zacznę studia medyczne w Case Western, aby móc zostać w Cleveland. Wiem, że mi pomożecie, tak samo ciocia Deirdre...

- I około pięćdziesięciu członków klanu Donaghue'ów - wtrąciła Casey.

- W odpowiednim momencie wybiorę specjalizację, która zapewni mi regulowany czas pracy, żebym mogła jak najdłużej

przebywać w domu - ciągnęła Peggy. - Pewnego dnia wyjdę za mąż i dam swojemu synkowi lub córce dobrego ojczyma. Wiem, że to nietypowa sytuacja, ale dziecko będzie miało dwie kochające rodziny, a prócz tego całą gromadę wspaniałych wujów i ciotek. Oczywiście dopiero po tym, gdy otrząsną się z szoku na wiadomość, że grzeczna mała Peggy urodzi dziecko, zanim nałoży welon.

-- Jakby nikomu wcześniej się to nie przytrafiło! - skwitowała ze śmiechem Casey.

W głowie Megan ciągle tłoczyły się tysiące myśli. Zazdrościła Casey, że potrafiła skupić się na konkretach, bo sama nie mogła sobie dać rady z nagłą zmianą wizerunku najmłodszej siostry.

Wiedziała, że Peggy podoba się mężczyznom, ale nie przyszło jej do głowy, że może prowadzić życie erotyczne.

- Peggy, wiem, że jesteś silna i potrafisz sobie ze wszystkim poradzić, ale skąd możesz wiedzieć, czy naprawdę chcesz zostać matką?

- Zawsze marzyłam, żeby kiedyś mieć dzieci, co prawda nie tak wcześnie. Cóż, zwykle sprawy nie układają się tak, jak je sobie zaplanujemy, prawda?

- Dobrze, ale skoro już się stało, jesteś na to gotowa? - drążyła Megan.

- Szczerze? Naprawdę jestem. Oczywiście wolałabym urodzić dziecko w innym czasie, to znaczy, gdy już ułożę sobie życie zawodowe i szczęśliwie wyjdę za mąż. Mam jednak pewność, że będę kochać moje maleństwo, i będę.cholemie dobrą matką. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Skąd ta pewność? Nigdy nie miałaś matki, Peggy. Umarła, kiedy byłaś bardzo mała i prawie jej nie pamiętasz, a potem przekazywano cię z rąk do rąk jak worek ziemniaków. Jak możesz być matką, skoro sama nigdy jej nie miałaś? Skąd będziesz

wiedziała, co masz robić i co czuć? - Megan zdała sobie sprawę, że ma oczy pełne łez.

Peggy i Casey przypatrywały się jej w milczeniu.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Meg, miałam najlepszą matkę na świecie. Miałam ciebie.

- Nie oczekuję pochwał, Peg. Nie mogłam zapewnić ci...

- Przestaniesz wreszcie, do jasnej cholery?! - wybuchła Casey. - Wysłuchaj jej, dobrze? Przecież próbuje ci coś powiedzieć.

Peggy pochyliła się ku Megan i mocno uścisnęła jej dłoń.

- Nasza mama umarła. Bardzo żałuję, że to się stało, ale dla mnie było tak od zawsze. Kiedy otarłam kolano, byłaś obok, żeby je pocałować i mnie uspokoić, a jeśli akurat ciebie nie było, zawsze pilnowała mnie ciocia Deirdre albo Casey. Kiedy zgłodniałam, przyrządzałaś mi coś do jedzenia, a kiedy byłam zmęczona, opowiadałaś mi kołysankę i układałaś do snu. Miałam problemy z czytaniem, a ty pomagałaś mi składać wyrazy. Ty nauczyłaś mnie, kiedy można sobie zakląć, a kiedy nie.

- Wiesz, że wolno to robić bardzo rzadko?

- Wiem, że obwiniasz się o to, że nie dość się starałaś, ale nie masz racji. Spójrz na mnie, Meg. Jestem szczęśliwa. Jestem zdrowa. Spodziewam się dziecka i dobrze to znoszę. Miałam ciebie. Miałam Casey i ciocię Deirdre. Dobry Boże, zastępcze matki wychodziły mi uszami. - Zaśmiała się. - Każda dziewczyna chciałaby mieć tyle szczęścia. I kiedy musiałam podjąć decyzję o urodzeniu dziecka, chciałam być razem z wami. Bo czerpię od was siłę.

- Daj spokój. - Casey przetykała łyzy. Peggy zaśmiała się cicho.

- Nie jesteście doskonałe. Daleko wam do tego, ale obie jesteście bardzo silne. Tak samo ciocia Deirdre. Myślicie, że łatwo było jej dzielić się opieką nade mną? Chyba zdajecie

sobie sprawę, że mogła pójść z tym do sądu, żeby się z wami nie męczyć? Tyle że to dobra kobieta i wie, ile dla siebie znaczymy. Wiedziała, że kiedy jestem z wami, otaczacie mnie troskliwą opieką. Ach, co tu dużo gadać, byłam szczęściarą. Mam nadzieję, że to w końcu do was dotrze.

- Ciotka Deirdre wie o dziecku? - Megan musiała o to zapytać, bo obudziła się uśpiona zazdrość.

- Tak, wie. Powiedziałam jej, bo z waszej trójki tylko ona nie lamentuje, że poświęciła mi za mało czasu i źle mnie wychowała. Potrafi cieszyć się, że jestem taka, jaka jestem. Nie myśli ciągle o tym, czego nie mogła zrobić. Wiedziała, że nie potraktuje mojej ciąży jak osobistej porażki.

Megan ogarnęło tak totalne poczucie winy, że nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

- Mam rację, prawda? - triumfowała Peggy. - Zastanawiacie się, gdzie popełniłyście błąd. Obwiniacie się o tę ciążę. Gdybyście tylko powiedziały mi to, gdybyście zrobiły tamto... - Uśmiechnęła się. -

Gdybyście nie pozwoliły mi oglądać filmów dla dorosłych i czytać powieści Danielle Steel... Przecież nikt nie ponosi za to winy, zaś jedyną konsekwencją mojego postępowania będzie kolejny Donaghue, którego wszyscy będziemy hołubić.

- Nie czuję się winna - oznajmiła Casey, ale poddała się spojrzeniu Peggy. - No dobra, niech ci będzie. Czuję się winna, bo po liceum uciekłam z miasta i nie zostałam, by pomóc Megan zajmować się tobą.

- Uciekłaś, bo kontrolowałam każdy twój ruch - przelicytowała ją natychmiast Megan. - Teraz to wiem.

- To nie tak, Meg. Wyjechałam, bo byłam narwana i nie mogłam tu wytrzymać. Nie potrafiłam się pogodzić ze zniknięciem Rooneya... i pewnie nadal nie potrafię. Obwinałam o to ten bar, ciebie, rodzinę. Musiałam wyjechać i dorosnąć,

żeby przygotować się na powrót. To też nie była twoja wina. Daj spokój Megan, nie potrafisz żyć bez pretensji do siebie samej?

- Wyjechałaś, ale co z tego? I tak zawsze byłaś obecna

- odezwała się Peggy. - Listy, pocztówki, telefony, odwiedziny... Spędzałam z tobą wakacje. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Widziałam jak kończysz college: prace zlecone do późnej nocy, czytanie podręczników w toalecie... Dzięki temu uwierzyłam, że ja też tak potrafię. Kiedy sama poszłam do szkoły, miałam pewność, że wszystko się powiedzie. I udało się. I tak samo będzie ze studiami i z wychowaniem dziecka.

Zapadła cisza. Megan słyszała dobiegające z kuchni odgłosy pracy swoich pomocnic. Już niedługo pojawią się pierwsi goście. Jednak w tej chwili cały świat skurczył się do wąskiego kręgu trzech sióstr oraz obaw, jakie dwie z nich skrywały przez wiele lat.

- No to jak, dziewczyny, dobrze się wam udało? - zapytała Peggy.

- Jesteś cudowna - odpowiedziała szczerze Megan.

- Zamykamy stare sprawy. Masz ode mnie zielone światło

- podsumowała Casey.

- Wiesz, że będę ci pomagać przy dziecku - obiecała Megan.

- Ja też - zadeklarowała Casey.

- Tutaj? W Cleveland? - zdziwiła się jej starsza siostra.

- Nie zamierzam wracać do Chicago, jeśli o to pytasz. A co? Nie chcesz mnie tu widzieć?

- Musisz zadawać głupie pytania?

- Myślę, że potrafię zmieniać pieluszki tak samo dobrze jak ty - obruszyła się Casey.

- Nie będę miała nic przeciwko, jeśli weźmiesz to zajęcie na siebie.

440

Peggy chwyciła siostry za rękę.

- Będę potrzebowała pomocy, żeby przez to przejść. Dziękuję wam z góry, ale przecież po to tu jesteście, mam rację? Tak mnie zawsze uczyłyście.

Megan, choć przyjęła już wiadomość o ciąży Peggy, nadal nie mogła się uporać z myślami. Jak mogła nie dostrzec, jaki piękny owoc wydała wspólna praca jej i reszty rodziny? Peggy jest tak mądra, tak dorosła i odpowiedzialna...

- Megan? - dotarł do niej głos Peggy.

- Rooney opowiadał historię o ogrodniku, który stworzył cudowny ogród, ale nawet o tym nie wiedział, bo nigdy mu się nie przyglądał. Stale wpatrywał się w glebę, żeby jak najprędzej usunąć chwasty - powiedziała w zamyśleniu.

- Twoje myśli jak zwykle biegną dziwnymi drogami - skomentowała Casey.

Pomyślała o mężczyźnie, który opowiadał tę historię i po raz pierwszy od bardzo dawna żałowała, że nie może teraz widzieć swoich córek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Choć od śmierci Jamesa Simeona minęło ponad sto lat, znaleziono dostateczną ilość materiałów, żeby zidentyfikować szkielet odkryty na Whiskey. Tajemnicze zniknięcie milionera wywołało w swoim czasie tak ogromne zainteresowanie, że kiedy wdowa wyprzedawała jego osobiste rzeczy, większość trafiła w ręce kolekcjonerów i do muzeów.-. Dzięki temu zachowały się przedmioty, które w innym wypadku z całą pewnością by przepadły.

Już podczas wstępnych poszukiwań w muzeum historycznym znaleziono dokumentację lekarską Simeona. Zrosty po złamaniu na prawym obojczyku szkieletu pasowały do zapisu, podobnie jak brakujący ząb trzonowy i amputowany duży palec lewej stopy. Simeon stracił go w młodości, kiedy nastąpił na niego koń.

Większe trudności pojawiły się przy próbie porównawczego badania DNA, ale odnaleziono artykuł, w którym pisano o broszce z kosmykiem włosów małego Simeona.

- Wiktoriańska tradycja nakazywała nosić żałobne broszki z kosmykiem włosów zmarłej osoby, na znak szacunku i pamięci. - Jon objaśniał tę sprawę Niccolowi w poranek Dnia Świętego Patryka. - W tym przypadku oczywiście nie było ciała, a więc i włosów. Jednak matka Simeona tak rozpaczała po jego śmierci, że kazała umieścić w broszy kosmyk, zachowany po pierwszych postrzyżynach, kiedy syn był jeszcze niemowlęciem.

- Jakim cudem do tego doszedłeś? - dziwił się Niccolo.
 - Chciałbym powiedzieć, że to dobra detektywistyczna robota, ale prawda jest taka, że pewien jubiler z Albany trafił na artykuł o znalezieniu szkieletu i zadzwonił do nas, bo broszka znajdowała się w jego kolekcji. Matka Simeona mieszkała gdzieś na północy stanu Nowy Jork, a broszkę sprzedano po jej śmierci jako ciekawostkę. Do jubilera trafiła dziesięć lat temu.
 - I pozwolił ci ją zabrać, żebyś mógł wykonać badania? Dziwię się.
 - Udało się nam wyjąć kilka włosów bez zniszczenia całości, i to wystarczyło do badań porównawczych DNA.
 - Oto cud współczesnej nauki!
 - Otrzymane wyniki odpowiadają DNA kości szkieletu. Przyczyną śmierci było najprawdopodobniej silne uszkodzenie czaszki. Koroner twierdzi, że to musiało być coś ciężkiego i płaskiego. Kamień, kawałek belki, po prostu jakieś tępe narzędzie, za pomocą którego jednym uderzeniem można było roztrzaskać czaszkę.
 - Zatem tajemnica została odkryta tylko połowicznie. Wiemy, gdzie są zwłoki i jak James Simeon zginął, ale nadal nie wiemy, kto i dlaczego go zabił - podsumował Niccolo.
- Jon spoglądał na ulicę. Znajdowali się w biurze przy Euclid Avenue, którą miała za chwilę przemaszerować parada z okazji Dnia Świętego Patryka. Oprócz nich w pomieszczeniu znajdowało się kilkanaście osób, które chciały obejrzyć to wydarzenie bez przepychania się w ulicznym tłumie. Z zewnątrz dobiegały odgłosy trąbek, bębnow, okrzyków i śmiechu. Widać było przygotowującą się do występu orkiestrę i spłoszone hałaśliwym tłumem psy pasterskie.
- Wiesz, że Casey nigdy nie widziała parady? - powiedział nagle. - Wszyscy pracownicy w „Wyspie Whiskey” pracują

tego dnia na pełnych obrotach niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na okrągło przyrządzają jedzenie i sprzątaj.

Niccolo również nie widział Megan od paru dni, lecz nie był pewien, czy tylko z powodu święta. Ostatnio nie była zbyt przyjaźnie usposobiona.

Rozbrzmiał świdrujący uszy dźwięk gwizdków i parada ruszyła. Z początku posuwała się nieco chaotycznie, ale po chwili podchwyciła rytm i zapanował zamierzony porządek.

Za plecami Jona i Niccola towarzystwo wybuchało co chwila salwami śmiechu.

- Wiesz, Nick - odezwał się Jon, kiedy z pola widzenia znikły platformy wiozące lokalnych polityków
- kiedy znaleźliśmy szczątki Simeona, postanowiliśmy przeszukać całą okolicę.
- Spodziewaliście się coś znaleźć? Wątpię, czy można odszukać ślady morderstwa sprzed ponad stu lat.
- Znaleźliśmy przecież ludzki szkielet. Musieliśmy sprawdzić, czy nie trafimy jeszcze na coś.
- No i?
- Znaleźliśmy zmiętą notatkę od Megan Donaghue dó Roo-neya Donaghue, a nieopodal leżał pusty karton, pierwotnie adresowany do Niccola Andreanigo.
- Cieszę się, że był pusty, bo to znaczy, że wziął te rzeczy.
- Masz zamiar mi wytłumaczyć, o co chodzi? - zapytał uprzejmie Jon.
- Jeśli ktoś może mieć przez to kłopoty, nie.
- Bez obaw. Mów!
- Wiesz, że w tamtej okolicy mieszka Rooney? Jon przytaknął.
- Zanieśliśmy mu trochę ciuchów i jedzenia w noc przed odkryciem szkieletu.
- Widzieliście go?

444

- Ja tak, Megan nie.

- Mówił coś?

- Tylko jedno: „Każ im przerwać kopanie”.

- Ale komu? Brygadzie budowlanej?

- Podejrzewam, że tak. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Zupełnie, jakby wiedział, że coś znajdą.

- Niekoniecznie, może chciał po prostu chronić swój dom. - Niccolo nie wspomniał o spince do mankietów ani o artykule o Jamesie Simeonie. Ufał Jonowi, ale zachowywał dużą ostrożność.

Nauczył się tego, gdy był księdzem i wysłuchiwał spowiedzi.

- Widywałeś go potem?

- Od tamtej nocy odwiedziłem to miejsce pięć czy sześć razy, ale kryjówka sprawiała wrażenie opuszczonej.

- Jak myślisz, o czym to świadczy?

- Żałuję, ale nie potrafię wyjaśnić postępowania kogoś takiego jak Rooney, bo to wymaga fachowej wiedzy psychologicznej - stwierdził szczerze Nick.

- Wiesz, że to nie daje spokoju Casey? Że jej ojciec pewnego dnia zniknął, ale wciąż błądzi po ulicach w okolicy domu.

- Może to on uratował jej życie podczas napadu na parking.

- Cieszę się, że byliście tam obaj.

Jon wyglądał na przejętego. Zniknęła gdzieś prokuratorska, twarda poza. Niccolo nie miał wątpliwości, że ten mężczyzna kocha Casey.

- Megan też ciągle zmaga się z odejściem Rooneya.

- Megan potrzebuje dobrego mężczyzny u swego boku. Kogoś, kto się o nią zatroszczy.

- Ona jest chyba przeciwnego zdania.

445

- Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślałem, Nick - uśmiechnął się Jon.

Nie minęła jeszcze czwarta, a Megan już padała z nóg.

- Na szczęście jest coraz mniej zamówień na kanapki z grilla! - krzyknęła do pomocnic.

- To dobrze, bo kończy się baranina - odpowiedziała Casey znad patelni.

Megan podeszła do Peggy.

- Nie stój tyle, proszę cię. Weź stołek, na siedząco też możesz to robić.

- Tak jest, mamusko.

- Uch, nie znoszę tego cholernego dnia - mruknęła Megan.

- Gadanie! Nabijasz kasę za cały rok!

- Naprawdę nie znoszę.

- Lepiej trochę odpocznij.

Megan doszła do wniosku, że pomysł nie jest taki zły, bo inaczej może omdleć pod rozpędzonymi nogami stepujących tancerzy, którzy popisywali się w rytm tradycyjnej irlandzkiej muzyki.

Zdjęła fartuch, powiesiła go na wieszaku i wyszła, żeby odzyskać trochę sił. Musiała dotrzeć do północy, kiedy nalewano ostami kufel zielonego piwa. Torując sobie drogę przez rozbawiony tłum gości, natknęła się na wuja Dena i zauważyła ciotkę Deirdre i wuja Franka, rozprawiających o czymś z ożywieniem. Zdaje się, że o tanecznych figurach, którymi miał ochotę popisać się wuj.

- Megan...

Ktoś chwycił ją za rękę i zobaczyła Niccola. Tak ucieszyła się z jego obecności, że nie potrafiła ukryć radosnego uśmiechu.

- Cześć, Nick. - Ścisnęła mu serdecznie dłoń. - Jak długo tu jesteś?

446

- Wystarczająco długo, żeby wysłuchać wzruszających tyrad aktywistów, proszących o podpisanie petycji żądającej opuszczenia Irlandii przez Anglików, a także wpaść w szpony kwestujących na rzecz IRA. - Czyli jakieś dwie i pół minuty?

- Megan, czy wszyscy tutaj są z tobą spokrewnieni?

- Nie.

- Uff, ulżyło mi.

- A co, na świecie nie ma włoskich klanów? - zachichotała

- Dobrze już, dobrze. Powiedz lepiej, jak znosisz ten młyn? O wiele łatwiej niż minutę temu. Zawsze czuła się lepiej, kiedy Nick był obok. Nie mogła temu dłużej zaprzeczać. Kiedy stał obok, rozmawiał i dzielił z nią troski, czuła, jakby brał na siebie połowę ciężaru... ale tak samo starał się pomagać wielu ludziom, nie tylko jej.

- Właśnie robię sobie krótką przerwę. Chcę nabrać wiatru w żagle - powiedziała

- Pomogę ci. Przydziel mi jakąś robotę.

- Może lepiej zabierzesz mnie stąd na parę chwil? -Dokąd?

- Pójdźmy na spacer. Tylko krótki, bo jak nie wrócę za kilka minut, ta buda się zawali.

- A może zrobimy test? Zniknij i sprawdź, czy siostry poradzą sobie z tym wszystkim.

- Podaj mi płaszcz.

Wyszli, zostawiając za sobą zgiełk i kłęby dymu papierosowego. Megan łapczywie wdychała rześkie powietrze.

- Dzięki za towarzystwo. To był świetny pomysł.

- Spałaś choć trochę dziś w nocy?

- Może z godzinę, jak zwykle przed świętem. Podejrzewam, że było tak zawsze, od czasu kiedy Rosaleen otworzyła ten interes.

- Właśnie, Megan. Co wiesz o Rosaleen poza tym, że była autorką wspaniałych przepisów?
- Niewiele. Chyba tylko to, że miała jasne, lekko rudawe włosy i mnóstwo dzieci. To po niej nasza część rodziny odziedziczyła ten odcień.

- Nie wiesz, czy miała więcej niż jednego męża?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- W pamiętnikach ojca Patricka McSweeneya mówi się

o Lenie Tierney w powiązaniu z Rowanem Donaghue.

- Rowan to najpewniej nasz przodek, ale Lena Tierney? Nigdy nie słyszałam, żeby nazywano Rosaleen tym imieniem.

I nigdy nie słyszałam, żeby miała drugiego męża.

- Możliwe, że akurat tej wiadomości nie przekazano następnym pokoleniom. Minęło przecież ponad sto lat. Moja rodzina wciąż opowiada o ludziach z rodzinnej Italii, jakby mieszkali w domu obok, ale fakty są czasem mocno zniekształcone. Kiedy odwiedziłem rodzinną wioskę dziadka spotkałem córkę kobiety, o której opowiadał z ogromnym szacunkiem, jak o prawdziwej świętej. Tymczasem jej córka powiedziała wprost, że matka była wariatką, która niszczyła życie wszystkim, których napotkała na drodze. Kiedy umarła, odbył się największy pogrzeb w historii wioski, bo każdy chciał się upewnić, czy ta zhora naprawdę nie żyje. Jedna kobieta dwie opowieści.

Megan zaśmiała się głośno. Czowała się o wiele lepiej, niż chciała przyznać.

- Powiedziałaś dziadkowi prawdę?

- Nie śmiałem niszczyć mitu.

- Tęsknisz za rodziną, prawda?

- Za kilka tygodni wybieram się do Włoch. Jedź ze mną. Zatrzymała się w pół kroku.

- Oszalałeś?

- Skądże.

448

- Kiedyś mówiłeś, że nie potrafisz zaakceptować twojej decyzji o porzuceniu stanu duchownego.

- Owszem.

- Czy nie uważasz w takim razie, że będzie jeszcze gorzej, kiedy pojawisz się z kobietą u boku?

- Być może, gdyby to była inna kobieta.

- Nick, przestań...

- Jak mogą cię nie pokochać, Megan?

Nie miała pojęcia, co powiedzieć, bo na takie zobowiązanie wciąż nie była gotowa, i być może nigdy nie będzie. Niccolo musiał odczytać obawy w jej oczach, gdyż uśmiechnął się łagodnie i pogładził ją po policzku.

- Trudno, widać to nie jest dobry pomysł. Może następnym razem.

- Może... - Wątpiła w to jednak. - Zawróćmy już, muszę wracać.

Ruszyli w milczeniu w stronę baru.

- Co u Josha? - przerwała ciszę Megan.

- Rozmawiałem z jego ojcem. Wyraził zgodę, żeby chłopak u mnie zamieszkał.

- To nie było proste, co?

- Nie, ale załatwiłem sprawę i mam dokumenty potwierdzające zgodę. Josh może odwiedzać ojca, kiedy tylko ma ochotę, ale na razie nie planuje wizyty.

- Jak się czujesz, kiedy mieszkasz z tym chłopcem?

- To odpowiedź na moje modlitwy.

- Dlaczego? - Była zaskoczona.

Niccolo zatrzymał się i chwycił ją za rękę. Stali dość blisko baru, by słyszeć świdrujące uszy gwizdy i śpiewy gości.

- Josh sprawił, że wreszcie zrozumiałem, co chcę robić w życiu. W sumie robiłem to już dawno, tyle że nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Mówisz o remontowaniu starych domów i sprzedawaniu ich?

- Tak. Chcę oficjalnie zarejestrować działalność, którą uprawiałem z pomocą Josha i reszty dzieciaków. Bo widzisz, Megan, marzy mi się program, który uczyłby dzieci umiejętności, dzięki którym będą mogły przetrwać. Nie chodzi tylko o prace remontowe, ale w ogóle o wyrabianie zaradności życiowej. O naukę planowania swoich posunięć i realizowania zamierzeń. Doradzanie, jak odnosić sukces i jak traktować porażki. Jak postępować zgodnie z pewnymi zasadami i wartościami, jak dążyć konsekwentnie do wyznaczonego celu. - Uśmiechnął się. - Mógłbym

o tym mówić bez przerwy.

- A stać cię na to?

- W tej chwili? Gdybym bardzo oszczędzał, może tak, ale myślę o sponsorach albo fundacji. Sądzę, iż ten pomysł ma spory potencjał. Trzeba wciągnąć w to więcej dorosłych, no i dużo więcej dzieci, głównie tych, które mają problemy w szkole i w domu. Może nawet praca z bezdomnymi, którzy mają dość sił i ochoty? Ojciec Brady bardzo chwali mój plan i zobowiązał się do poszukiwania funduszy w Kościele. Mój dom posłużyłby za bazę i centralę. Zatrudnię wykwalifikowanych ludzi, ale zachowam podział na kilkusobowe grupy, żeby dzieciaki nie czuły się zaniedbywane.

- Twój dom! Spojrzał na nią pytająco.

- Nigdy nie nazwałś go swoim domem, Nick. Zawsze był to dom, w którym chwilowo mieszkasz i który remontujesz na sprzedaż.

- Teraz jest moim domem i nie sprzedam go. - Ścisnął mocniej dłonie Megan. Nie dodał, że to także jej dom, ale wyczytała to w jego oczach.

Nie miała pojęcia, co ma o tym wszystkim myśleć. Nick

zostawał w Cleveland i zainicjował coś bardzo ważnego. Nawet ona, stary cynik, musiała przyznać, że Niccolo miał wyjątkowy dar nawiązywania kontaktu z dziećmi. Nie strofował ich, nie traktował z góry, nie ferował niepotrzebnych sądów. Dzieciaki to uwielbiały, czuły się swobodnie i nie bały się popełniać błędów. A co najważniejsze, słuchały go.

Sama była wrażliwa na los dzieci, które musiały odnaleźć się w życiu bez odpowiedniego wsparcia. Kiedyś także musiała radzić sobie bez kogoś, kto zapewniłby jej bezpieczeństwo i opiekę.

Poza tym nie potrafiła pozostać obojętna wobec Niccola. Wiedziała, że jeśli tylko podda się uczuciom, może mieć to, o czym w życiu marzyła. Mężczyznę, który ją kocha i pragnie dzielić z nią trudy życia, nawet w najgorszych czasach. A także prawdziwy dom i wszystko, co się z nim wiąże.

- Dlaczego tak zawzięcie milczysz, Meg? - Niccolo uwolnił jej rękę. - Nie podoba ci się ten pomysł?

- Jest wspaniały, Nick. Wiem, że ci się powiedzie, i że odniesiesz sukces. Jesteś najwłaściwszą osobą do tej pracy.

- Myślałem, że się ucieszysz, iż zostaję w mieście.

- Jasne, że się cieszę!

Milczał dość długo i domyśliła się, że zмага się z uczuciami.

- Nie powinienem ci dziś o tym mówić. Brak mi wycucia. Jesteś strasznie zmęczona. Przepraszam.

- Nick, nie wiem, co chciałeś ode mnie usłyszeć i nie pomógłby ci w tym nawet mój dziesięciogodzinny sen - powiedziała dobitnie. Może nawet zbyt dobitnie. - Ale cokolwiek to by było, nie licz, że ci powiem. Nie jestem gotowa. Zrozum, dla mnie działasz zbyt szybko.

- Przecież nie proszę cię o rękę, Megan - zaoponował natychmiast. - Powiedziałem tylko, że zostaję w Cleveland. Jeśli

działam zbyt szybko, możemy się spotykać jeszcze rzadziej. Czego byś chciała? Możesz wybierać spośród całej gamy możliwości - od całkowitego zniknięcia mojej osoby po planowanie naszych złotych godów. Wystarczy jedno twoje słowo, a będzie jak zechcesz.

Nie należał do osób porywczych, ale w jego głosie słychać było rękłamaną irytację. Nie mogła go za to winić. Jej niekonsekwencja i chwiejność decyzji mogły wyprowadzić z równowagi każdego, nawet najbardziej zakochanego mężczyznę. Wiedziała o tym, ale nie potrafiła zachowywać się inaczej. Przez lata była tak pochłonięta walką o przetrwanie, że nie miała czasu na subtelności i głębszy namysł nad swoim życiem

Zatrzymała się przed wejściem do baru.

- Mam jeszcze mnóstwo pracy. Przepraszam, że nie dość wyraźnie ucieszyłam się z tego, że zostajesz, Nick. Wierz mi, jestem naprawdę zachwycona, że znalazłeś wspaniały sposób na wykorzystanie swoich zdolności.

- Szczęśliwego Dnia Świętego Patryka. Mam nadzieję, że upłynie ci spokojnie. - Ukłonił się sztywno.

- Nie wejdiesz? Przygotowałam talerz bigosu i baraninę. Za pół godziny zaczynamy wydawać kolację.

- Raczej nie, dziękuję. - Odwrócił się i ruszył wzdłuż chodnika. Śledziła wzrokiem oddalającą się sylwetkę. Domyśliła się, że znów przyszedł pieszo. Zrobił to już kiedyś, w mroźną styczniową noc, kiedy wszyscy chronili się w domach przed dojmującym zimnem. Wszedł na parking świadom tego, że dwóch bandytów celuje pistoletami w niewinnych ludzi i najpewniej uratował jedno, dwa lub trzy życia. Niccolo Andreani, były ksiądz, wspaniały człowiek.

Niccolo zdawał sobie sprawę, że uczucia Megan do niego nie są jednoznaczne. Miała w sobie dwie natury: kobiety, która

marzyła o miłości i potrafiła obdarzyć nią innych oraz kobiety, która obawia się kolejnego porzucenia i cierpienia, jakie niesie ze sobą utrata bliskiej osoby.

Mógłby jej zarzucać, że jest dorosła i nie powinna pozwalać, aby jej życiem kierowało trudne dzieciństwo, lecz dobrze wiedział, że nie jest to takie proste. Megan musiała dźwigać ogromny ciężar, który uniemożliwił jej zaakceptowanie siebie i swojego życia. Nie chciała otworzyć się dla nikogo poza rodziną, a miłość stanowiła dla niej kolejne utrudnienie.

W miarę jak zbliżał się do domu, porządkował pewne myśli. Oczekiwał czegoś od kobiety, która wyraźnie powiedziała, że nie powinien na to liczyć. Znów chciał sięgnąć po to, co niedostępne. W końcu zapędził się tak, iż doszedł do przekonania, że więcej wie o uczuciach Megan niż ona sama. Będzie musiał uważniej jej słuchać i nie oczekiwać, że sama wyjaśni mu motywy własnego postępowania.

Zatrzymał się przed domem sąsiadki. W przyszłym tygodniu podpisze z nią umowę kupna. Żałował, że nie ma w ręku młota, którym mógłby zburzyć paskudne ścianki działowe. Miał ochotę natychmiast zlikwidować ten okropny ganek, gołymi rękami rozłożyć go na części pierwsze, deska po desce. Żałował, że nie potrafi płakać.

Kiedy otworzył drzwi wejściowe, usłyszał głosy, dobiegające z kuchni. Szybko ruszył w ich kierunku. Zobaczył pobladłego Josha przy zlewie i zaniedbanego, nieznajomego włóczęgę, chciwie pochłaniającego przy stole płatki śniadaniowe z mlekiem.

Na widok Nicka na twarzy chłopaka pojawił się wyraz ogromnej ulgi.

- Nick, ten facet zjawiał się tu jakiś czas temu - zameldował, cicho. - Miał kartkę od ciebie, na której napisałeś, że może przyjść, kiedy tylko zechce. Dobrze, że go wpuściłem?

Niccolo przyglądał się Rooneyowi Donaghue, dosypującego sobie szcudrze cheeriosów do mleka. Jak zwykle ubrany był na „cebule”, ale warstw ubrań było nieco mniej niż wcześniej. Nic dziwnego, miało się ku wiosnie.

- Postąpiłeś tak, jak należało.
- Chcesz, żebym został?
- Nie. Wychodzisz gdzieś?
- Muszę odebrać książkę z biblioteki. Mogę?
- Jasne, nie musisz pytać. Idź już. Poradzę sobie.
- Okay, zaraz wracam.

Niccolo wolał, aby Josh nie wrócił za wcześnie, bo Rooney mógł się wystraszyć, że jest ich dwóch. Sięgnął do kieszeni po portfel i wyciągnął pięciodolarowy banknot.

- Kolacja będzie dziś trochę później. Kup sobie coś, żeby nie burczało ci w brzuchu. I nie spiesz się. Josh chwycił pieniądze z rozradowaną miną i wybiegł z kuchni. Za chwilę trzasnęły wejściowe drzwi. Rooney skończył płatki i sięgnął po szklanekę soku pomarańczowego.

- Mogę się przysiąc? - zapytał Nick.

Rooney przez chwilę mierzył go wzrokiem, po czym w milczeniu wrócił do picia.

- Cieszę się, że do mnie trafiłeś - powiedział Niccolo. - Miałem nadzieję, że się pojawisz.
- Jest dużo miejsc, do których trzeba chodzić.
- I takich, w których możesz coś zjeść?
- Mnóstwo jedzenia, jeśli wiadomo, gdzie szukać.
- A co z barem „Wyspa Whiskey”? Zaglądasz tam czasem?

Rooney nie zareagował. Pił sok i wpatrywał się w ścianę.

- Twoje córki się o ciebie martwią - powiedział w końcu Niccolo.

- Chłopiec nie rozumie pewnych rzeczy. Chłopiec nie chce robić pewnych rzeczy.

Czyżby mówił o Joshu?

- Josh tu ze mną mieszka. To dobry chłopak. Cieszę się, że cię wpuścił. Powiem żeby tak robił zawsze, kiedy się tylko pojawisz.

Rooney spojrział mu prosto w oczy i Nick mógł wreszcie dokładnie mu się przyjrzeć. Na pomarszczonej i brudnej twarzy połyskiwał krótki zarost. Ojciec Megan na swój sposób dbał o wygląd. Długie siwe włosy zaczesał do tyłu i zebrał w kucyk zwykłą gumką. Koszula była starannie zapięta, a kołnierzyk wyłożony do dołu. Kiedy mówił, odsłaniał zdrowe, białe zęby. Tylko ubranie, najwyraźniej nie prane od miesięcy, cuchnęło.

- Obserwuję to miejsce prawie tak długo, jak żyjesz.

O jakim miejscu on mówi? O barze? O miejscu wykopów na Whiskey? Musiał zgadywać.

- Należało kiedyś do ciebie, prawda? Bar był kiedyś twój — zaryzykował.

- Miałem trzy małe dziewczynki. Teraz już ich nie ma, żadnej.

- Jeśli masz na myśli Megan, Casey i Peggy, nadal tu są, tylko że dorosły. Są już kobietami. Bardzo chcą cię znów zobaczyć.

- Zabrały je gwiazdy. - Stary człowiek westchnął ciężko. - Nie wykonałem swojego zadania.

Niccolo wciąż był zdezorientowany. Bez wątpienia świat Rooneya rządził się swoistą logiką, do której należało znaleźć właściwy klucz. Musiał próbować tego dokonać.

- Co to za zadanie? - zapytał. - Dziewczynki kochały cię i nadal kochają, więc czego więcej potrzeba?

- Gwiazdy obserwują bez ustanku. Zacząłem się rozglądać

455

i zaraz zobaczyły, że to robię. - Pochylił się w stronę Niccola.

- A ty się rozglądasz?

- Każdy czasem to robi - odparł z namysłem Nick.

- Nie zachowałem ostrożności. Uważaj, żebyś nie zrobił tego samego.

Niesamowite, że Rooney, mimo wyraźnych psychicznych zaburzeń, nadal potrafił troszczyć się o innych.

- Na co powinienem uważać?

- Gwiazdy. Głosy. Odgłosy przeszłości. Słyszysz je? Nick zaczął się zastanawiać. Każdy słyszy ludzi, którzy byli kiedyś dla niego ważni. Oczywiście nie dosłownie, ale w formie wspomnień, zapamiętanych urywków rozmów, życiowych rad. Czy o takich głosach mówił Rooney?

- Pamiętam rzeczy, które słyszałem od innych ludzi - rzekł.

- Każdy pamięta. Można to nazwać głosami.

- Ty słuchasz. Ja nie słuchałem.

- Nie uważam, że należy ich słuchać, kiedy każą ci robić coś, czego nie chcesz.

- Nie ma wyboru. - W ogóle?

- To i tak skończone. Stało się i gwiazdy o tym wiedzą.

- Czy się gniewają?

- Czas pokaże. - Rooney skończył pić sok i z hałasem odsunął krzesło.

- Rooney, Megan bardzo chce cię z tobą zobaczyć. Możesz zostać jeszcze chwilę? Pozwolisz mi zadzwonić, żeby przyjechała i porozmawiała z tobą? Później pójdziesz, dokąd zechcesz, ale ona pragnie się przekonać, że nic ci nie jest

- Megan była jak matka, nawet silniejsza. Casey podobna do mnie. Nigdy nie robiła tego, co jej kazano. - Na poranej twarzy pojawił się uśmiech.

Jeśli Nick miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tożsamości

456

tego człowieka, znikły w tym momencie. Niccolo miał całkowitą pewność, że siedzi przed nim Rooney Donaghue.

- Casey też może przyjechać - zaproponował. Rooney nie odpowiadał. Złożył głowę na ramionach, ciągle

opartych o blat stołu, jakby chciał się zdrzemnąć.

Kuchenny telefon nie działał, był tylko zabytkiem pozostawionym przez poprzednich właścicieli, a poza tym Niccolo, bał się dzwonić w obecności niespodziewanego gościa, aby go nie spłoszyć. Wstał najciszej, jak potrafił. Wziął telefon z holu i wszedł do spiżarni, zamykając za sobą drzwi, żeby nie obudzić gościa.

Tak jak się spodziewał, świętowanie w barze trwało w najlepsze i ten, kto odebrał telefon, ledwie słyszał gó wśród ogólnej wrzawy.

- Muszę koniecznie mówić z Megan! Zawołaj ją szybko. Powiedz, że dzwoni Niccolo. - Powtarzał to kilkakrotnie z nadzieją, że rozmówca wreszcie zrozumie jego prośby.

Usłyszał trzaskanie, jakby słuchawka bujała się na sznurze i obijała o ścianę. W tle ciągle grała irlandzka muzyka.

- Halo? - Przycisnął do ucha słuchawkę. Nie rozpoznał głosu.

- To ty Megan?

- Megan mówi, że nie może teraz podejść.

- A niech to! Powiedz jej, że to bardzo ważne. Powiedz, że dzwoni Niccolo!

- Moment.

Chciał wyjść na chwilę z ukrycia, żeby sprawdzić; co z Rooneyem, ale wiedział, że w międzyczasie może odezwać się Megan. Żałował, że kupił bezprzewodowy aparat tylko do sypialni na górze.

- Halo?

- Megan?

457

- Megan mówi, żeby zadzwonić później. Po dziesiątej. Niccolo zacisnął dłoń na słuchawce. Pewnie pomyślała, że dzwoni z przeprosinami, albo żeby powiedzieć, że znika na zawsze z jej życia. Czy naprawdę myślała, że przeszkadzałby jej z tego powodu w najbardziej pracowity dzień w roku?

- Posłuchaj, powiedz jej...

Odpowiedział mu obojętny dźwięk sygnału. Ktokolwiek z nim rozmawiał, miał już dość przekazywania wiadomości.

Przez chwilę siedział nieruchomo. W domu panowała absolutna cisza. Za chwilę coś ją zakłóciło, jakiś delikatny dźwięk, jakby stuknięcie.

Odgłos zamykanych drzwi!

Nick zerwał się i wybiegł do holu. Kuchnia była pusta. Rooney Donaghue zniknął po raz kolejny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Niccolo przez ponad godzinę jeździł po okolicy w poszukiwaniu Rooneya, niestety, bez rezultatu. Ów dziwny człowiek doskonale opanował umiejętność znikania bez śladu i zapewne dzięki niej przetrwał. Ten, kto żyje bez dachu nad głową i potrafi pozostać niewidoczny, łatwiej może uniknąć szykan i złego traktowania. Wiele bezdomnych kobiet i wielu mężczyzn padło ofiarą bezsensownej przemocy tylko dlatego, że stanowili łatwy cel.

Kiedy Nick zaparkował przed domem, było już ciemno. Uznał, że nie ma sensu jechać do baru. Lepiej poczekać do północy, kiedy zabawa się skończy, lokal zostanie zamknięty, a Megan wreszcie będzie miała chwilę czasu. Przekáže jej wiadomości i wróci do domu. Uczyni to osobiście, nie chcąc ryzykować kolejnej nieudanej próby rozmowy przez telefon.

Pięć minut po północy, po późnej kolacji z Joshem i telefonicznej konferencji z Iggym na temat funduszy dla jego nowego projektu, Niccolo rozważał na nowo wcześniejszą decyzję. Wiedział, że Megan jest wykończona, a sam również ma za sobą męczący dzień. Skoro jej ojciec wymknął się bez śladu, późniejsze powiadomienie o jego wizycie niczego nie zmieni. Lepiej zatem poczekać i dać jej odpocząć. Może jutro będzie w lepszym nastroju i szanse, że rozstaną się w zgodzie, wzrosną?

Mimo to, nagłony niespodziewanym impulsem, włożył płaszcz i chwycił kluczyki do samochodu. Jak widać, nie tylko Megan miała wewnętrzne rozterki.

Parking przy barze był zupełnie pusty. Samochód Casey

nadal stał w warsztacie, a Megan zapewne zawiozła pieniądze do banku, bo dzisiaj z całą pewnością wolała nie zostawiać całodziennego utargu w domu. Niccolo miał tylko nadzieję, że dla bezpieczeństwa wzięła ze sobą jednego z wyrosniętych kuzynów.

Zaparkował od frontu, bo i tu znalazł sporo wolnego miejsca. Chciał wejść głównymi drzwiami, ale już je zamknięto. Wewnątrz światła były przyciemnione i nie mógł dojrzeć, czy ktoś jest na sali.

Zdecydował się wejść od tyłu.

Kuchenne drzwi były otwarte, ale w środku panowała zupełna cisza. Spodziewał się, że stali bywalcy i obsługa będą się ościagać z opuszczeniem baru, ale widocznie zmęczeni się całodziennym świętowaniem i wyszli nieco wcześniej. A może Megan przepędziła najzagorzalszych biesiadników jeszcze przed wybiciem północy? Zegarek wskazywał dopiero dziesięć minut po dwudziestej czwartej.

W kuchni nie skończono sprzątnięcia, ale zostało bardzo niewiele pracy. Stoły i blaty wytarto, pozamiatano podłogę, a we wszystkich trzech zlewach piętrzyły się brudne naczynia. Światła były w połowie wygaszone, jakby siostry odłożyły zmywanie na następny dzień.

W pewnym momencie usłyszał głosy dobiegające z baru. Zaintrygował go pełen emocji głos kobiety.

- Nie mam pojęcia, kim jesteś i nie wiem, za kogo mnie bierzesz, ale nie jestem kobietą, której szukasz. Nie mam twojej córki.

- Nie oszukasz mnie, mała - zabrzmiał spokojny męski głos z wyraźnym południowym akcentem. - Wiem, że masz Alice Lee. Widziałem ją. Masz moją małą dziewczynkę i zamierzam zabrać ją do domu, gdzie jest jej miejsce.

, - Opiekuję się dziewczynką, której matka przeniosła się do Wisconsin. Może wygląda jak...

- Znam moją córkę, panienko Donaghue. Porwałaś moją

Alice Lee, a nie wolno ci ukrywać jej przed tatusiem. Kocham moją małą dziewczynkę, a ona kocha mnie.

Niccolo ruszył do przodu, ale widok przez małe okienko serwisowe powstrzymał go przed wejściem na salę. Nieznajomy mężczyzna mierzył z pistoletu do stojącej za barem Casey. Byli sami. Nick wiedział, że nie wolno zaburzać tej kruchej równowagi. Nagłe wtargnięcie mogło tylko pogorszyć sprawę.

Casey przechyliła się wyzywająco przez szynkwas.

- Wiesz, co o tobie słyszałam, Bobby Rayburn? Pewnie, że kochasz córkę. Kochasz tak bardzo, że nie potrafisz trzymać łap przy sobie. Jesteś chory i prędzej piekło zamarznie, niż pozwolę ci jej dotknąć. Niccolo wstrzymał oddech. Sytuacja była bardziej niebezpieczna, niż się spodziewał, bo Casey za żadne skarby nie powie temu człowiekowi, gdzie jest jego córka. Zdażył już dość dobrze ją poznać i wiedział, że tylko z pozoru jest rozrywkową, beztroską dziewczyną, bo pod tą powłoką kryje się waleczna i wierna swoim zasadom kobieta.

- To, co robię z moją dziewczynką, to wyłącznie mój interes, dziwko. Myślisz, że masz coś w tej sprawie do powiedzenia? Mnie i Alice Lee łączy coś wyjątkowego, specjalnego. Ani ty, ani kurwa, którą poślubiłem, tego nie zrozumiecie. Matka Alice uważa, że potrafi czytać w jej myślach. Bzdura! Ona nie ma pojęcia, co czuje moja mała dziewczynka. Tylko ja to wiem, kiedy jej dotykam.

- Ja również wiem to doskonale - stwierdziła stanowczo Casey. - Jest ciężko przerażona. Tobą i tym, co jej robiłeś, ty świnió. Wie, jakie to złe rzeczy i że tak nie powinno być. Żadne pieniądze świata tego nie zmienią, możesz być pewien.

- Kocham ją! Nigdy nie skrzywdziłem mojej słodkiej laleczki. Wszystko robiłem po to, żeby wiedziała, jak bardzo ją kocham

- Jesteś odrażający. Gardzę tobą.

Niccolo zaciskał pięści w poczuciu kompletnej niemocy. Chciał uciszyć Casey, ale nie mógł nic zrobić. Z przerażeniem patrzył, jak pochyła się jeszcze bardziej, zbliżając twarz do lufy. Była zbyt wściekła, żeby odczuwać strach.

- Chcesz mnie zastrzelić, Bobby? - niemal pluła mężczyźnie w twarz. - Dalej, nie krępuj się. Proszę bardzo, ale jak tylko siostry usłyszą strzał, pojawią się gliny, a wtedy cały świat się dowie, jakim naprawdę jesteś draniem. Twoja żona wyjdzie z więzienia i dostanie wyłączne prawo opieki nad Alice Lee. Może nawet medal za to, że ukrywała ją przed tobą. A ty trafisz za kratki, co zresztą jest zbyt łagodną karą dla pedofilów. Chociaż słyszałam, że współwięźniowie z chęcią urozmaicają życie takim jak ty. Nie pożyjesz tam zbyt długo, i to jest pocieszające.

Rayburn podszedł bliżej. Był niski, miał kręcone, czarne włosy i okrągłą, chłopięcą twarz.

- Nie zmuszałem do niczego mojej słodkiej Alice Lee. Lubiała, kiedy ją pieściłem. Chciała, żebym...

- Przestań, obrzydliwcu! Nie chcę o tym słyszeć. Chryste, jesteś tak chory, że nawet o tym nie wiesz!

- Dawaj lepiej klucz albo zaraz cię zabiję! - Machnął jej lufą broni przed oczami. - Nie wierzysz, że to zrobię?

- Myślę, że chcesz córkę, a to nie jest sposób, żeby ją odzyskać. Powiem ci, co zrobisz, Bobby.

Wyjdiesz stąd. A później pozwolisz, by sądy stanu Ohio zadecydowały o dalszym losie twojej małej dziewczynki. Tylko powiedz im to, co powiedziałeś mnie, a oni już zajmą się resztą.

- Gdybym chciał angażować w to gliny, doniósłbym na ciebie, dziwko.

- A dlaczego tego nie robisz? Bo jeszcze raz przyjrzeliby się sprawie i nie dostałbyś już prawa do opieki.

- Zabiorę małą i wyjeżdżam. Obserwowałem cię od dawna i czekałem na odpowiedni moment.
 - To ty poprzecinałeś mi opony, tak?
 - Nie chciałem, żebyś wywiozła gdzieś Alice Lee.
 - Skoro boisz się glin, to musisz mieć powód. Co się dzieje? Kłamstwa nie wytrzymują próby czasu? Nie masz wpływów w Cleveland? A może ja mam ich dość, by opóźnić wyjazd Alice na Florydę?
 - Wiesz co, jak na dziwkę, która ma spluwę wymierzoną w środek czoła, masz dużo do gadania.
 - Możemy tu siedzieć do rana, a i tak nie oddam ci córki. - Casey nieco ochłoneła i wyraźnie próbowała się opanować. Ściszyła głos. - Słuchaj, możemy załatwić to prościej. Ty weźmiesz swoich prawników, a ją swoich i pozwolimy im zająć się sprawą.
 - Myślisz, że zwariowałem? Zabierzesz Alice i uciekniesz, gdzie pieprz rośnie.
 - Nie, czas skończyć te ciągłe ucieczki, bo one tylko szkodzą dziecku. Zostanę tu z nią i oddamy decyzję w ręce sędziów.
 - Już zadecydowali. Alice należy do mnie. - Bobby Ray-burn pochylił się nad barem i wycelował prosto w serce Casey.
 - Jeśli mnie zastrzelisz i jakimś cudem uciekniesz z Alice Lee, łudzisz się, że gliny nie dojdą, co się stało? Chcesz trafić do więzienia za morderstwo?
- Rayburn już nie zastanawiał się nad odpowiedzią. Przechylił się jeszcze bardziej, jakby chciał dokładniej wycelować i Niccolo zrozumiał, że nie może dłużej czekać. Wypadł zza wahadłowych drzwi i zaczął odgrywać telewizyjnego policjanta.
- Rzuć broń, Rayburn! - wrzasnął.
- Napastnik odwrócił się w jego stronę. Oparty plecami o bar, trzymał pistolet w wyciągniętych rękach. Casey rzuciła

się na ladę i chwyciła za broń. Rayburn stracił równowagę i prawie upadł, a gdy Niccolo ruszył dziewczynie na pomoc, właśnie zajadle walczyła o pistolet. Padł strzał.

Nick był pewien, że kula trafiła w Casey, bo odrzuciło ją na półki za barem, jednak po sekundzie Rayburn osunął się na podłogę.

- Dostał... - Niccolo rzucił się w stronę mężczyzny i klęknął przy nim. Z piersi Rayburna lała się krew. — Dzwon na 911! - krzyknął.

- Casey... - Megan weszła kuchennymi drzwiami. - Co się... O rany boskie!

- 911, Megan! - darł się Niccolo. Zerknęła Casey i zobaczył, że nadal trzyma pistolet Rayburna, jakby przywarł do jej dłoni. - Odłóż broń! - nakazał. - Po prostu powoli i spokojnie połóż ją na barze.

- Zastrzeliłam go - wyszeptała oszołomiona.

- Odłóż broń. Teraz. - Niccolo zdjął koszulę i przycisnął ją do rany w klatce piersiowej Bobby'ego. Słyszał, jak Megan mówi coś szybko do telefonu. Upewnił się, że jej siostra pozbyła się pistoletu, który teraz leżał na barze.

- Strzeliłam do tego drania. Zabiłam go? - zapytała, otrząsając się z szoku.

Niccolo nie był pewien, jakiej oczekiwała odpowiedzi.

- Nie. Jeszcze nie.

- To ojciec Ashley.

- Wszystko słyszałem

- Słyszałeś też...

- Aby zeznać, że ją molestował? Tak.

- Nick, musimy zaprzestać podobnych spotkań. - Próbowała zmusić się do śmiechu, ale zamiast tego zaczęła łkać. - Pójdę do więzienia.

464

- To broń Rayburna, i on chciał cię zabić. Działaaś w samoobronie, widziałem to.

- Tak, ale ja porwałam Ashley...

Niccolo przyjrzał się rannemu. Nadał był nieprzytomny, ale oddychał, a krwawienie nie było zbyt obfite.

- Oskarżają mnie o porwanie Ashley - powtórzyła z rozpaczą Casey.

Wróciła Megan.

- Już jadą. Umiesz udzielać pierwszej pomocy, Nick? W razie czego mam na linii operatora z pogotowia. Robiłam kiedyś kurs, ale już nic nie pamiętam.

- Oddycha, wyczuwam puls. Trzeba tylko tamować krwawienie, ale na wszelki wypadek nie odkładaj słuchawki.

- Megan... Podeszła do siostry.

- Nic ci się nie stało, Casey?

- Kiedy już odłożysz słuchawkę, zrobisz coś dla mnie?

- Cokolwiek zechcesz, kochana. Zadzwonisz do Jona?

Casey siedziała sama w niewielkim pokoju, służącym za salę przesłuchań. Miała przed sobą tylko szare ściany i duży stół obity stalową blachą. Wolała się nie zastanawiać, skąd wzięły się te wszystkie szczyrby, żłobiące jego powierzchnię.

Wiedzę na temat postępowania podczas przesłuchań zdobyła dzięki oglądaniu seriali o złych i dobrych policjantach. Gorączkowo zaczęła się zastanawiać nad swoim położeniem. Czy Rayburn żyje?

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos otwieranych drzwi i do pokoju wszedł Jon Kovats. Jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyła się tak na widok drugiego człowieka. Po raz drugi tej nocy wybuchła płaczem.

- Casey... — Postawił przy niej krzesło, usiadł i chwycił ją za ręce. - Długa jest ta noc, co?
 - Powiedz mi tylko, czy on żyje.
 - Tak, żyje. Nie umrze, chyba że ktoś inny się do niego dobierze. Kilku policjantów, którzy spisywali zeznania Niccola, z wielką chęcią udusiłoby go gołymi rękami, ale myślę, że w szpitalu jest bezpieczny.
 - Nigdy nie trzymałabym broni w domu, nawet gdyby zależało od tego moje życie.
 - Prawdę mówiąc, dzisiaj tak właśnie było. Postrzeliłaś go w samoobronie, czy tak? Wycelowowałaś w niego, bo nie widziałaś innego wyjścia?
 - Nieprawda! Megan ma pistolet w szufladzie'za barem. Mogłam po niego sięgnąć, ale nie zrobiłam tego, jednak gdy zobaczyłam, że Rayburn mierzy w Niccola...
 - Strzeliłaś do niego.
 - Nie. Próbowałam mu tylko odebrać broń. Wypaliła mi w dłoni.
 - Zabawne, ale dzieje się tak nadszpodziewanie często.
 - Ja nie kłamię! Tak było. Z początku nie zdawałam sobie nawet sprawy, że do niego strzeliłam. Dopiero kiedy zobaczyłam, że trzymam pistolet... Wszystko działa się tak prędko.
 - Strzeliłabyś, gdybyś miała taką okazję? Gdybyś miała kilka sekund na podjęcie decyzji? Gdybyś wiedziała, że to jedyny sposób, aby dał spokój Ashley?
- Casey drżącymi palcami ocierała twarz z łez.
- Co to ma znaczyć? - chlipnęła. - Urządzasz quiz?
 - Po prostu odpowiedz mi, kiedy pytam. Zastanawiała się chwilę.
 - Nie, choć nienawidzę tego drania... ale on jest chory i nie odpowiada za siebie. No i w końcu to człowiek, a nie zwierzę.

466

- Dobra odpowiedź. Zapamiętaj ją, kiedy będziesz składać zeznania. To był przypadek.
- To nie kłamstwo, Jon.
- Reszta nie pójdzie tak łatwo, wiesz o tym?
- Wiem. Oskarżą mnie o porwanie, tak?
- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Na pewno zostaną ci przedstawione lżejsze zarzuty, ale zobaczę, czy uda mi się przekonać biuro, żeby zrezygnowali również z tego. Jeśli cię oskarżymy, będziemy mieli na karku opinię publiczną i media. Raybum cię tropił i próbował zabić, a do tego Niccolo słyszał, jak przyznaje się do czynów, jakie popełnił z Ashley...
- Alice Lee - poprawiła go odruchowo.
- Poza tym detektyw na Florydzie odnalazł dawną opiekunkę dziewczynki, która zgodziła się zeznawać przeciwko Rayburnowi.
- Co? Jak do niego dotarłeś?
- Odnalazłem go dziś po południu. Został wynajęty przez lokalną „grupę zaniepokojonych matek” i od miesiąca był na tropie tej dziewczyny.
- To ta sama grupa kobiet, która oddała mi pod opiekę Alice Lee.
- Opiekunka znikła razem ze swoją rodziną w czasie rozprawy o przyznanie opieki nad Alice Lee. Jej rodzice niespodziewanie zdobyli większą sumkę i pewnej nocy opuścili miasto, a dziewczyna oczywiście wyjechała z nimi, ale to dobry dzieciak i uczciwie opowiada o wszystkim, co widziała. Wie sporo, bo często bywała w domu Rayburna, a nagłe wzbogacenie się tych ludzi będzie można bardzo łatwo z nim powiązać.
- Więc to koniec? Wypuszczą Danę z więzienia i dostanie opiekę nad Alice Lee?
- Wszystko jest na najlepszej drodze - zapewnił. Casey już nie płakała.

467

- Zatem cokolwiek stanie się ze mną, będzie w porządku, bo za bezpieczeństwo Alice Lee jestem gotowa zapłacić każdą cenę.

- Casey, nigdy nie musiałaś się poświęcać, żeby zyskać odkupienie. Mam nadzieję, że wiesz o tym. Wszyscy wiemy, że śmierć tamtego chłopca nie była twoją winą.

- Nigdy nie zamierzałam się poświęcać, chciałam tylko pomóc małej dziewczynce. Jeśli wsadzą mnie do więzienia, nie będę tym zachwycona[^] ale przynajmniej zyskam pewność, że mała jest w końcu bezpieczna.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie trafiła za kraty. Pod jednym warunkiem.

Wyprostowała się i splotła dłonie na stole.

- Jakim?

- Że kiedy to się skończy, pojedziesz ze mną do domu. Przez jakiś czas wolę nie tracić cię z pola widzenia. Potrzebujesz mnie. Wiesz o tym, prawda? Nie twierdzę, że podjęłaś złą decyzję co do Alice Lee, ale zanim po raz kolejny poczujesz potrzebę pomagania dziecku za plecami uprawnionych do tego instytucji, powinnaś się kogoś poradzić.

- Prawdę mówiąc, Jon, cała sprawa została pomyślnie rozwiązana bez twojego udziału - stwierdziła nie bez satysfakcji.

- Więc może przyjdiesz, bo właśnie u mnie jest najbardziej odpowiednie dla ciebie miejsce?

- Dlatego, że cię kocham?

- To też byłoby niezłe.

- Rzeczywiście cię kocham, ty świętoszkowaty prawniku!

- Żaden mężczyzna nie słyszał lepszego wyznania miłosnego. - Jon pochylił się nad Casey, przykrył jej dłonie swoimi i pocałował ją w usta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Ten zgiełk obudził Ashley - powiedziała Peggy.

Po wystrzale zeszła na dół ubrana w szlafrok i od tej chwili biegła bez przerwy z góry na dół i znów na górę, żeby składać zeznania i doglądać małej.

- Naprawdę nazywa się Alice Lee. - Megan nadal nie potrafiła ogarnąć wszystkiego, co zdarzyło się tej nocy, ale próbowała ułożyć to sobie w jakąś całość. - Nie mogę uwierzyć, że Casey ukrywała ją przed jej własnym ojcem

- Miała ku temu powody - odpowiedział Niccolo. - Słyszałem dosyć, żeby zeznawać przed sądem przeciwko niemu.

Było naprawdę czymś zupełnie niezwykłym, że Niccolo po raz kolejny pojawił się w odpowiednim miejscu i czasie, żeby pomóc w trudnej sytuacji.

- Nick, tobą kieruje jakaś tajemnicza siła - powiedziała Megan. - Przybyłeś dosłownie znikąd podczas napadu na moje siostry i teraz, kiedy Casey była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Po co w ogóle przyjechałeś? I dlaczego wcześniej do mnie dzwoniłeś?

Niccolo spojrzał na Peggy.

- Zanim ci wszystko wyjaśnię, ustalmy plan działania. Peggy, zostaniesz z Ash... Alice Lee? Wątpię, czy Casey wróci dziś do domu.

- Nic jej nie grozi, prawda?

- Mam być szczery? - uśmiechnął się. - Myślę, że w najgorszym wypadku będzie miała siniaki na nadgarstkach. Zre-

sztą jest przy niej Jon, a poza tym ojciec Brady zadzwoni do najlepszego prawnika w parafii, żeby ją reprezentował.

- Dzięki. - Megan położyła mu rękę na ramieniu. Pragnęła jego bliskości od momentu, gdy zobaczyła go podczas udzielania pierwszej pomocy Rayburnowi. Przez chwilę myślała, że to Nick znów został ranny. Tym razem chyba tego nie zniosła.

- Nie ma sprawy. Peggy?

- Nie chcę tu zostać - wzdrygnęła się. - Megan, może pojedziemy do ciebie?

- Czekaście, mam inny pomysł - pospiesznie zaproponował Niccolo. - Jedźmy wszyscy do mnie. Mam mnóstwo miejsca, a Alice Lee polubiła mój dom i będzie się tam dobrze czuła. Poza tym muszę z wami porozmawiać.

Megan bardzo ucieszyła ta propozycja, choć nie dała niczego po sobie poznać.

- Peggy, pakuj się - poleciała.

- Nie musisz mi powtarzać.

Peggy ruszyła na górę, ale Niccolo zatrzymał Megan.

- W rezultacie dobrze się stało, że nie odebrałaś telefonu, kiedy wcześniej dzwoniłem, ale tak z ciekawości, dlaczego nie podeszłaś?

- Miałam tysiące spraw na głowie, a wszystko szło jak krew z nosa. Kran w kuchni zaczął przeciekać i zalewał podłogę, dwóch klientów na gwałt potrzebowało taksówki, do tego trzeba było pilnować, żeby pijani nie odjechali własnymi samochodami, brakowało szesnastu porcji baraniny z kapustą... - machnęła ręką, przerywając wyliczanie. - Naprawdę myślałeś, że cię splawiam?

- Być może - uśmiechnął się speszony.

- Jeśli kiedykolwiek to zrobię, na pewno będziesz o tym wiedział, bo zwykle nie bywam zbyt subtelna.

- Objęła go

470

czule. - Nick, wiem, że trudno ze mną wytrzymać, ale proszę cię o cierpliwość. Pracuję nad tym. -

Spojrzała mu w oczy. - Cieszę się, że ty też masz kilka wad.

- Więcej niż kilka.

- Jestem zachwycona, że zostajesz w mieście, nawet jeśli nie okazałam tego od razu, ale również zmartwiłam się własną radością, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Do cholery, nie podoba mi się, że tak bardzo cię potrzebuję!

- Nie potrzebujesz mnie, Megan, bo zawsze poradzisz sobie sama. Potrzebujesz nas. Nas dwojga razem, a to jest różnica.

- Przemyślę to sobie.

Przytulił ją z pasją, ale tylko na moment.

- Idź po Alice Lee. Rozgrzeję silnik - rzucił, odchodząc.

Alice Lee, nieświadoma, że jej ojciec o północy odwiedził bar, ułożyła się w łóżku w domu Niccola i natychmiast usnęła. Megan zaczekała, aż mała zaśnie, po czym zeszła na dół i zastała Niccola przy parzeniu herbaty. - Nalać ci?

- Wolałabym coś mocniejszego.

- Na lodówce stoi czerwone wino, w środku białe.

Wiedziała, gdzie szukać kieliszków i napełniła jeden czerwonym. Usiadła obok siostry i rozwiązała buty, żeby ulżyć zmęczonym stopom.

- Ashley śpi? - zapytała Peggy.

Megan nie poprawiła jej. Musi upłynąć trochę czasu, zanim wszyscy przyzwyczają się do nowej tożsamości dziewczynki.

- Pytała mnie, dlaczego do baru przyjechała policja.

- I co jej powiedziałaś?

- Tylko tyle, że ktoś ich wezwał, bo usłyszał hałasy na dole.

471

- Kupiła to?

- Przecież powiedziałam prawdę. Poza tym była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać, ale nie zdziwię się, jeśli jutro zada więcej pytań.

- Widziałam, jak niosłaś ją do domu - zauważyła Peggy. - Przywiązałaś się do niej, prawda?

Megan nie zaprzeczała. O co tu chodziło? Udawała kogoś innego, kim tak naprawdę nie była, a wszyscy, którzy ją kochali, od razu to zauważyli. Sama dopiero odkrywała swoją prawdziwą naturę. Jakim cudem inni rozszyfrowywali ją tak prędko?

- To cudowne dziecko - powiedziała ciepło. - Nareszcie ma szansę na normalne życie ze swoją mamą.

- Ale będzie potrzebowała terapii - dodała Peggy. - Przeszła trudne chwile.

Niccolo postawił przed nią filiżankę herbaty.

- Jest bardzo silna i z pomocą fachowców wkrótce z tego wyjdzie. - Zadzwoił telefon. Wyszedł, aby go odebrać, a siostry bezskutecznie próbowały podsłuchać rozmowę.

- Dzwoniła Casey - wyjaśnił, gdy ponownie zjawił się w kuchni. - Nie zatrzymają jej na posterunku, bo nie wniesiono przeciwko niej żadnych oskarżeń i nikt się nie kwapi, żeby to zrobić. Odgadła, że musicie być u mnie, kiedy nikt nie odpowiadał u Megan.

- Gdzie teraz jest? - zapytała Peggy.

- U Jona, zostanie tam na noc. Kazała przekazać, że porozmawia z wami jutro. Jest wykończona.

- Dobrze, że nie jest sama. A teraz zdradź wreszcie, o czym chciałeś nam powiedzieć. - Megan w końcu mogła pomyśleć o czymś innym niż wydarzenia tej nocy.

- Dzwoniłem do baru, bo Rooney przyszedł dziś do mnie. Peggy z rozmachem odstawiła filiżankę, wychlapując kawę.

- Tu? Do tego domu?

- Zostawiłem mu swój adres w kilku miejscach, w których mógł go znaleźć, i w końcu się zjawił. To z całą pewnością jest Rooney. Mówił o tobie i Casey, Megan.

Zmęczenie brakiem snu i najbardziej pracowitym dniem w roku dawało o sobie znać. Megan nie była w stanie przyjąć tego faktu do wiadomości.

- Był tutaj, kiedy do mnie dzwoniłeś?

- Siedział przy tym stole i jadł cheeriosy, dlatego zależało mi, żebyś przyjechała jak najszybciej.

- Co mówił? Jak wyglądał? - pytała gorączkowo.

- Gdzie poszedł? - dodała Peggy.

- Co do ostatniego punktu, nie wiem. Wyszedłem z kuchni, żeby zadzwonić do Megan, i kiedy wróciłem, już go nie było. Ulotnił się jak kamfora. Przez godzinę szukałem go samochodem po całej okolicy, ale bez skutku.

Nagle wino straciło swój wspaniały smak i Megan odstawiła kieliszek.

- Czy wiesz, dlaczego przyszedł właśnie tutaj?

- Nie jestem pewien. Najadł się, odpoczął chwilę, i wyszedł. Być może to tylko wygodne miejsce, w którym może się na chwilę zatrzymać.

- I nie powiedział słowa? - Megan widziała, że Niccolo układa w głowie odpowiedź. - Domyślamy się, że pewnie nie było w tym wiele sensu. Po prostu powtórz, co mówił.

- Najpierw, że ma mnóstwo miejsc, które odwiedza i że jest mnóstwo jedzenia, jeśli się wie, gdzie szukać. Chciał mnie chyba uspokoić, że potrafi o siebie zadbać. Może chciał, żebym uspokoił również was.

- Jak wyglądał? - dopytywała się Peggy.

- Potrzebuje kąpieli, ale poza tym jest w porządku. Uczesane włosy, zdrowe zęby. Zjadł dużą miskę płatków, ale nie łąpczywie. Później popijał sok pomarańczowy.

473

- Co jeszcze mówił?

- Wspominał coś o chłopcach, o tym, że czegoś nie rozumieją. Myślałem, że mówi o Joshu. - Zdał sobie sprawę, że powinien wyjaśnić to Peggy. - Mieszka ze mną nastolatek i to właśnie on wpuścił Rooneya do domu - dodał, zwracając się ku niej.

Przytaknęła.

- A później? - niecierpliwiła się Megan.

- Mówił o swoich trzech małych dziewczynkach. Powiedział, że zabrały je gwiazdy. Wyjaśniłem mu, że nadal ma trzy córki, tyle że są już dorosłe. Nie mam pewności, czy mnie zrozumiał.

- Biedny człowiek - powiedziała ze Smutkiem Peggy. Megan odniosła wrażenie, że siostra wyraża się o nim jak o kimś obcym, ale wcale jej to nie zdziwiło. Ojciec również był dla niej obcy, przecież ledwie go pamiętała.

- Z tego co mówisz, wynika, że gwiazdy muszą być dla niego ważne. Mówi o nich tak, jakby były ludźmi, którzy go bez przerwy obserwują.

- Na to wygląda. Kiedyś twierdził, że gwiazdy są Świętą Trójcą, ale dziś mówi o nich jak o postaciach z jego przeszłości. Może myślał o przodkach?

- Gwarantuję, że żaden Donaghue nie nadawałby się do Trójcy - zażartowała Megan.

- Rooney mówił, że zaczął się za czymś rozglądać i ostrzegł mnie, żebym ani na chwilę nie przestał uważać.

- Wygląda na to, że bierze na siebie ciężar całego świata.

- Być może już nie. Powiedział, że to się skończyło.

- Co się skończyło?

- Też chciałbym wiedzieć.

- Mówił coś poza tym?

- Jeszcze to, że byłaś jak matka, tyle że silniejsza. A Ca-

sey... - szukał słów. - Casey wrodziła się w niego. Nigdy nie robiła tego, co jej kazano.

- To musi być Rooney. Tylko on mógł to wiedzieć. - Megan z trudem powstrzymywała łzy.

- Wspominał coś o mnie? - zapytała Peggy.

- Przykro mi. - Niccolo potrząsnął głową.

- Nie powinnam się dziwić. Nie zdążył mnie poznać na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jaka będę.

Megan uścisnęła dłoń siostry.

- Rozpieszczał cię, nie widział za tobą świata, tyle że już wtedy tracił kontakt z rzeczywistością.

Często trzymał cię na kolanach i śpiewał, ale w chwilę później odnajdywałam go wpatzonego w sufit.

Ciągle cię przytulał, ale myślami był w innym wymiarze. Mówiłam do niego, a on nie reagował. Ale

nigdy cię nie opuścił, nigdy nie położył tam, gdzie nie powinien...

Niccolo wstał, żeby dolać herbaty do filiżanki Peggy.

- Oto co myślę - rzekł. - Rooney przez całe dorosłe życie zmagał się z ciężką chorobą psychiczną i z

całych sił starał się ją pokonać, gdyż chciał wychować swoje córki i normalnie funkcjonować.

Prawdopodobnie nadużywał alkoholu, żeby uciszyć dręczące go głosy i oddalić napływające obrazy,

niestety, presja choroby okazała się zbyt silna. Lecz nawet po latach nie zabiła w nim poczucia

odpowiedzialności. Rooney od dawna stara się kogoś lub coś chronić i choć nie rozumiemy, dlaczego,

powinniśmy podziwiać go za determinację, z jaką walczył o normalność.

Megan nie mogła tego zaakceptować. Jeszcze nie teraz. Zbyt długo myślała o ojcu jako o człowieku,

który po prostu za dużo pił, zmęczony rzeczywistością, i w końcu uciekł od niej. Złość na Rooneya, na

to, że ją opuścił, dodawała jej sił. Niesiona falą tej złości, potrafiła poradzić sobie z utrzymaniem

baru i opieką nad siostrami. Nie mogła nagle, tak po prostu, zmienić sposobu myślenia. Odruchowo wzięła do ręki kieliszek, lecz na myśl o ojcu natychmiast odstawiła go na stół.

- Do diabła, czy jeśli to wypiję, stanę się podobna do taty?

- skrzywiła się.

- Nie sądzę, aby alkohol miał z tym cokolwiek wspólnego

- powiedział Nick. - Zgaduję, że pił po to, aby ukryć objawy choroby.

- A ja uważam, że jesteś dla niego zbyt pobłażliwy - odparowała Megan.

- Idę spać. - Peggy wstała. - Nie wytrzymam ani minuty dłużej, a chcę być przy Ashley... Alice Lee, kiedy się obudzi. Rozmowę możemy dokończyć rano. Czy to w tej chwili takie ważne, dlaczego Rooney odszedł? Musimy się skupić na tym, co możemy dla niego zrobić.

Megan nie bez żalu stwierdziła, że nie potrafi zachować się tak dorośle jak jej mała siostrzyczka.

- Śpij dobrze, Peg.

Niccolo poczekał, aż Peggy wyjdzie.

- Rooney zostawił trzy silne kobiety. Gdyby mógł was teraz zobaczyć, rozpierałaby go duma.

- Domyślasz się, co on może ochraniać?

Przysunął krzesło do Megan i objął ją, przyciągając do siebie.

- Tak. Chcesz posłuchać, czy masz na dzisiaj dosyć rewelacji?

- Zamieniam się w słuch.

- Kiedy po raz pierwszy wszedłem do kryjówki Rooneya, znalazłem artykuł o Jamesie Simeonie. W noc napadu na Casey i Peggy znalazłem na parkingu spinkę do mankietów należącą do tegoż Simeona, którą najpewniej zgubił Rooney.

- Więc to była jego spinaka?

476

- Znalaziono identyczną, kiedy odkryto szkielet Simeona.

- Powiedziałeś Jonowi, że masz drugą?

- Jeszcze nie, bo nie chciałem, żeby ktokolwiek przesłuchiwał Rooneya. Pomyślałem, że to mogłoby go wypłoszyć.

Megan nie zdziwiła się, że Niccolo chronił jej ojca.

- Jestem przekonany, że Rooney wiedział, kto był pochowany koło jego kryjówki - ciągnął - i dlatego chciał, żeby wstrzymano wykopy. Sam mi to powiedział. Jeszcze kilka dni temu byłem przekonany, że znalazł spinę przy szkielecie.

- Ale jak trafiła na powierzchnię?

- Myślałem, że stało się to w czasie wstępnych wykopów. Rooney ją znalazł, skojarzył z Simeonem, bo prawdopodobnie wyrósł na historiach o jego zniknięciu, po czym uznał za swój obowiązek strzec jego szczątków.

- Czemu już tak nie myślisz?

- Pamiętasz, jak dzisiaj po południu wspomniałem ci o wzmiance w pamiętniku ojca McSweeneya na temat Leny Tierney i zastanawiałem się, czy nie jest twoją praprababką, Rosaleen?*

- Mów dalej.

- Otóż Lena Tierney została gosposią ojca McSweeneya, ale nie powiedziałem ci, że wcześniej zatrudniał ją James Simeon. McSweeney napisał, że doszło do czegoś, co skłoniło ją do nagłej rezygnacji z tej posady. I dlatego ksiądz dał jej pracę u siebie.

- Nie wybiegasz za daleko? Nie mamy żadnego dowodu, że Lena Tierney ma cokolwiek wspólnego z moją rodziną: Chyba że znalazłeś coś jeszcze? Co ma jakiś związek z późniejszymi wydarzeniami?

- Problem w tym, że pamiętnik urywa się w samym środku tej historii.

- Cóż, mamy pecha.

- Zastanów się przez chwilę, Megan. Czy Rooney wspominał kiedykolwiek o Simeonie, o rodzinnej tajemnicy albo skandalu? O Rosaleen lub Rowanie Donaghue?
 - Sugerujesz, że nasza rodzina miała coś wspólnego ze zniknięciem Jamesa Simeona?
 - Próbuję poskładać różne fragmenty w jedną całość, to wszystko.
 - No cóż, chyba nigdy nie wzdragaliśmy się przed naruszeniem prawa, kiedy uważaliśmy to za słuszne. Mamy to w genach, spójrz choćby na Casey.
 - Potrafisz sobie cokolwiek przypomnieć? Próbowała. Siedziała w ciszy i przywoływała wszystkie opowieści, które snuł Rooney, ale minęło tyle lat...
 - Zwykł mówić, że jako najstarsza z całej trójki odziedziczył rodzinne sekrety. Miał na myśli receptury Rosaleen i nauczył mnie ich. Nie zostały oczywiście nigdy spisane, tylko kiedy pomagałam mu w kuchni, uczył mnie stopniowo trochę tego, trochę tamtego.
 - Mogło mu chodzić o coś jeszcze?
 - Kto wie? Choć zawsze zakładałam że mówił o przepisach. Wiesz, Nick, to wszystko jest takie zaskakujące, muszę to sobie ułożyć. No cóż, jedno wydaje się bardzo prawdopodobne, a mianowicie to, że dzieje naszej rodziny mogą kryć w sobie liczne i dotąd nieodkryte tajemnice. Irlandczycy zawsze byli obdarzeni dużym temperamentem i mieli skłonność do podejmowania różnych dziwnych decyzji... a nasi przodkowie twardo walczyli o byt, bo niejednemu raz groziła im śmierć.
 - Iggy twierdzi, że w archiwach może być druga część pamiętnika ojca McSweeneya. Obiecał, że pomoże mi go odnaleźć.
 - Teraz?
- Nick zerknął na zegarek.

478

- Jeszcze nie śpi. Spróbuję do niego zadzwonić.

- O tej porze? Czy ten człowiek w ogóle sypia?

- Niewiele. Zaraz do niego zadzwonię. Jeśli śpi, odezwie się automatyczna sekretarka.

Zerwał się niecierpliwie i wyszedł z kuchni. Megan żałowała, że sama nie ma jakiegoś zajęcia.

Musiała pozostać sam na sam ze swoimi myślami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Tak jak Niccolo się spodziewał, Iggy jeszcze nie spał. Zanim dojechał na plebanie, stary ksiądz zaparzył kawę i przygotował kanapki. Nick zabrał się do nich z ogromnym apetytem.

Iggy pił swój ukochany, aromatyczny napój.

- Wiem, że mamy listy McSweeneya pisane u schyłku jego życia. Już je przejrzałem. Skupiają się na zagadnieniach teologicznych; stanowią wymianę poglądów z innym księdzem, który przesłał je do naszych archiwów po śmierci McSweeneya.

o ile pamiętam, są jeszcze jakieś notatki ze spotkali i rachunki.

- I żadnego pamiętnika?

- Nie dbano dotychczas o archiwa i nadal sortujemy i katalogujemy dokumenty. Mamy całe pudła pełne papierów, do których nikt nie zaglądał od kilkadziesiąt lat. Dopiero do nich docieramy. Możliwe, że znajdziemy wśród nich pamiętniki.

- Jestem gotów zacząć poszukiwania. - Niccolo wahał się przez chwilę. - Iggy, wiesz o czymś, co mogłoby mi pomóc?

- Pytasz, czy ktoś spowiadał się z tajemnicy morderstwa Jamesa Simeona. No cóż, nie ma nic, o czym mógłbym ci powiedzieć.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Obawiam się, że po trosze jedno i drugie. Byłem spowiednikiem Rooneya Donaghue i jako pierwszy zauważyłem jego chorobę. Wtedy mówił wiele rzeczy, które nie miały zad-

nego sensu, a zresztą niewiele z tego pamiętam. Z kolei nie mogę wyjawić tego, czego jestem pewien.

- Podsunąłeś mi parmeńniki ojca McSweeneya w nadziei, że będę w stanie odkryć tę starą tajemnicę.

Czy wiedziałeś, co w nich znajdę?

Iggy uśmiechnął się przebiegle.

- Z całą pewnością wiem więcej o tobie niż o wydarzeniach na Wyspie Whiskey, które działy się ponad sto lat temu. Wiedziałem, że nie zakończysz poszukiwań, dopóki nie znajdziesz odpowiedzi, a kiedy dowiedziałem się o powrocie Rooneya Donaghue do świata żywych, pomyślałem, że te odpowiedzi wszystkim się przydadzą.

- Przecież nie ma gwarancji, że cokolwiek znajdę.

- Na szczęście taki drobiazg nie powstrzyma cię przed dalszymi poszukiwaniami.

Megan zamierzała od razu położyć się do łóżka, choć w jej głowie kłębiły się tysiące myśli, dotyczących wydarzeń minionego dnia. Nie łudziła się więc, że sen nadejdzie szybko.

Całe życie walczyła o to, aby wszystko było jak należy. Rzuciła szkołę, żeby utrzymać „Wyspę Whiskey”, pracowała, by umożliwić Casey zdobycie wykształcenia, a Peggy zapewnić oparcie i miłość, którą dałaby jej matka. Teraz Casey miała odpowiadać przed sądem, a Peggy nosiła w sobie nieślubne dziecko.

Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że w dużym stopniu ponosi odpowiedzialność za obie te sprawy. Od zawsze powtarzała Casey, że należy robić to, co uważamy za słuszne, nie bacząc na zapatrywania innych, i sama dawała odpowiedni przykład. Walczyła o utrzymanie baru i dopięła swego. Podobnie Casey, nie bacząc na konsekwencje, ochraniała Alice Lee przed zwyrodniałym ojcem.

A Peggy? Ten sam przypadek. Czyż nie odłożyła na bok własnych planów na rzecz sióstr? Pokazała Peggy, że jeśli pracuje się wystarczająco ciężko i poświęca się dla osiągnięcia celu, otrzymuje się w zamian więcej, niż można się było spodziewać.

Dlatego, choć potępiała siebie za przesadną rolę, jaką odegrała w życiu sióstr, w głębi duszy była zadowolona. Czyż nie wyznawały niepodważalnych wartości i nie postępowały w zgodzie z własnym sumieniem? Słuszne jest walczyć o prawa dzieci, stawiać rodzinę na pierwszym miejscu i ciężko pracować, by osiągnąć cel.

Casey i Peggy są już dorosłe i niezależne, ale zawsze będą potrzebować jej miłości i wsparcia, tak samo jak ona ich. Cudownie, że ma je przy sobie. I tylko to powinno się liczyć.

Megan zobaczyła przyszłość jak długi hol z mnóstwem drzwi, z których część pozostawała zamknięta, a część była otwarta. Kiedy przymknęła oczy, w jednych ujrzała Niccolą, który ani nie zapraszał jej do wejścia, ani nie wzbraniał go. Niestety, w następnych drzwiach stał ojciec, okutany w warstwy brudnych łachów.

Sen wciąż nie nadchodził. Megan wstała z łóżka i wyszła z gościnnego pokoju, który dzieliła z Peggy i Alice Lee. Podejrzewała, że Niccolo jeszcze nie wrócił ze Świętej Brygidy, ale postanowiła na niego poczekać. Jeśli odszukał brakujący pamiętnik, być może okaże się przydatna przy jego lekturze.

Wątpiła, czy Nick odkryje jakieś tajemnice klanu Donaghue'ów, ale to był jedyny sposób, żeby wejść do świata jej ojca.

Tak jak się spodziewała, Niccola nie było w domu. Herbata, z której wcześniej zrezygnowała, wydawała się teraz świetnym pomysłem. Wstawiła wodę, aby zaparzyć świeży dzbanek.

Z zamyślenia wyrwał ją hałas przy tylnym wejściu. Pomyślała, że Niccolo zapomniał kluczy do frontowych drzwi.

Później, kiedy zobaczyła, że postać za drzwiami jest od niego znacznie niższa, pomyślała o włamywaczu.

Po chwili dotarło do niej, że to Rooney.

Przez moment stała jak sparaliżowana. Nie miała pojęcia, co robić ani jak się zachować.

- Megan?

Odwróciła się i w kuchennych drzwiach zobaczyła Josha. Pojawił się na chwilę, kiedy przyjechali tu z Alice Lee, ale zaraz wrócił do łóżka.

- Słyszałem jakiś hałas na zewnątrz - wyszeptał. Minął ją i przez judasza sprawdził, kto stoi za drzwiami.

- O kurczę, to znów ten facet.

W jakiś sposób obecność Josha sprawiła, że sytuacja nabrała realnego wymiaru. To już nie był sen.

Megan położyła chłopcu rękę na ramieniu.

- Wracaj do łóżka. Zajmę się nim - powiedziała spokojnie.

- Nick mówił, że on może przychodzić, kiedy tylko zechce...

- Wiem, Josh. To mój ojciec.

Chłopiec szeroko otworzył oczy. Mężczyzna za drzwiami stał niczym wykuty w kamieniu.

- Idź już, wszystko będzie dobrze. I dzięki za pomoc. Dobry chłopak z ciebie. Cieszę się, że tu jesteś.

Zawstydzony Josh wymamrotał coś pod nosem i zniknął.

Megan wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Do holu wpadło zimne, nocne powietrze. Stojący w ciemności mężczyzna nie poruszył się.

- Witaj, ojciec. - Otworzyła drzwi szerzej, wpuszczając do domu chłód i nocnego gościa. - Może wejdiesz do środka?

Nie wydawał się zdziwiony jej widokiem i nie okazał żadnych emocji. Minął ją obojętnie, poszedł do kuchni i usiadł przy stole.

Megan miała w głowie zamęt. Chciała powiedzieć tysiące rzeczy, bo od czasu, kiedy ją opuścił, zawsze w jakiś sposób z nim rozmawiała, teraz jednak nie potrafiła wypowiedzieć słowa, poza zdawkowym pytaniem, czy życzy sobie herbaty.

- Wiesz dobrze, jaką lubię, Kathleen.

- Nie jestem Kathleen, Rooney. Jestem twoją córką Megan. Zachichotał, jakby usłyszał dobry dowcip. Wiedziała, że przypomina matkę. Kathleen Donaghue była niska i bardzo kobieca i chociaż Megan odziedziczyła po ojcu rude włosy, całą resztę wzięła po matce. Zgrabny nos, jasno-brązowe oczy, umiejętność czytania w ludzkich sercach i pęd do działania.

Szkoda, że dzisiejszej nocy życiowa mądrość Kathleen zawodziła.

Woda w czajniku gotowała się przez chwilę, wysyłając kłęby gorącej pary. Megan załała wrzątkiem liście herbaty zakrywające dno brązowego imbryka.

- Wiem, jaką lubisz herbatę. - Spojrzała na niego, żałując, że jest tak mało światła. Włączyła wcześniej tylko małą lampkę. - Mocną, z dużą ilością mleka i cukru. Dość cukru, żeby można było wbić łyżeczkę.

Znów zachichotał, ale niemal natychmiast spochmurniał.

- Od dawna takiej nie piłem.

- Tak, chyba od bardzo dawna.

- Musiałem z niej zrezygnować.

Wiedziała, że nie ma na myśli przyczyn zdrowotnych.

- Dlaczego, Rooney? Zawsze uwielbiałeś swoją herbatę.

- Rezygnujesz, z czego ci każą. - Powiedział to tak, jakby powinna o tym doskonale wiedzieć.

- Kto ci każe, Rooney? Milczał.

- Ale teraz już możesz ją pić? - spróbowała inaczej.

- To koniec. Po wszystkim. Próbowałem to ukryć. - Potrząsnął głową. Nie wydawał się smutny. Nawet kiedy się śmiał, prawie nie było w tym emocji, jakby z biegiem lat uszły z niego uczucia. Ten człowiek był jej bardziej obcy, niż się spodziewała.

Megan drżała. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy próbowała podnieść imbryk i przenieść go na stół. Wreszcie zebrała się w sobie i jakoś się udało. Jeszcze nie przysiadła się do ojca. Podeszła do lodówki i wyjęła mleko, sięgnęła do szafki po cukier, a później po dwa kubki. W końcu postawiła wszystko na stole i usiadła naprzeciw Rooneya.

Wpatrujący się w nią mężczyzna był karykaturą ojca, którego pamiętała.

Jeśli nadal potrzebowała dowodu, miała go teraz. Człowiek po drugiej stronie stołu był z całą pewnością Rooneyem Do-naghue, choć uległ tak silnej transformacji, że z dawnej postaci zostały jedynie nieliczne szczegóły.

Oczy pozostały takie same, lecz zmarszczki wokół nich i pochmurne spojrzenie - już nie. Rysy twarzy miał podobne, tyle że trudne lata nie miały dla nich litości. Rooney zapadł się w sobie i zgarbił, co jeszcze dodawało mu lat. Był człowiekiem opanowanym przez siły, których nie potrafił kontrolować. Megan budowała swoje życie na fundamentach zbawiennych kłamstw, które sobie wmawiała, takich jak to, że choroba Rooneya wynikała z nadmiernego picia i słabej woli. Gdyby było inaczej, nie znalazłaby w sobie dość siły, żeby zająć jego miejsce w rodzinie. Mogłaby doszukiwać się oznak tej samej choroby u siebie i sióstr, roztrząsając każdą dziwną myśl, każde niewytłumaczalne pragnienie. Mogłaby poddać się rozpaczce albo wykrzykiwać pretensje do całego świata, że zdarzyło się to właśnie jej.

485

Aby przetrwać, demonizowała człowieka, który doznawał nieopisanego cierpienia, zmagając się z ciężką chorobą psychiczną.

- Tato... - Wyciągnęła rękę i choć nie dotknęła jego dłoni, po raz pierwszy poczuła, jak tworzy się między nimi więź. - Bardzo się cieszę, że znów cię widzę.

- Wiem, gdzie mieszkasz - powiedział.

- Naprawdę?

- W barze.

- Ty też tam mieszkałeś. W pokojach na górze. Z mamą, Casey, Peggy i ze mną. Pamiętasz?

Pytanie prawdopodobnie do niego nie dotarło. Megan zaczęła podejrzewać, że Rooney ma problemy z rozumieniem niektórych słów i zdań:

- Potrzebuję kąpieli - mruknął.

- Możesz wykapać się tutaj. Chcesz to zrobić teraz?

- Najpierw herbata.

Napar nie był jeszcze odpowiednio mocny, ale Megan nie chciała dłużej czekać, bo bała się, że Rooney może stracić cierpliwość. Przyrządziła mu herbatę taką, jaką lubił.

- Może jesteś głodny? Mogę zrobić ci coś do jedzenia.

- Przepisy Rosaleen. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

- Nadal używam tych przepisów, Rooney, a goście w barze przepadają za tymi potrawami.

- Babcia Lena. Była babką mojego ojca. Megan zapało dech w piersiach.

Spojrzał na nią i przez chwilę przyglądał się z uwagą.

- Miała jasne, rudawe włosy. Mama mi mówiła. Jak twoje. Jak moje.

Już dawno osiwiła, ale nie poprawiała go.

- Miała na imię Lena?

486

- Rosaleen.

- Ale nazwałeś ją babcią Leną.

- Bardzo stara, ale nadal bardzo piękna. Sadzała mnie na kolanach i opowiadała różne historie.

- Pamiętasz je?

- Zabrały je gwiazdy. Już ich nie ma. Jej też. Z gwiazdami... - Wyglądał na zdziwionego, że musi wyjaśniać tak elementarne sprawy.

Megan milczała, patrząc, jak jej ojciec pije herbatę. Choroba, która zżerała jego umysł, nie pozbawiła go manier. Nie siorbał ani nie przełykał głośno. Na pierwszy rzut oka nie różnił się od innych ludzi. Gdy milczenie przeciągało się zbyt długo, wstała i znalazła w jednej z szafek krakersy, a w lodówce biały ser. Pokroiła go w grube plastry, ułożyła na talerzu razem z krakersami i postawiła przed Rooneyem, dodając jeszcze jabłko.

- Na wypadek, jeśli zgłodniejesz.

- Jedzenie jest wszędzie.

Przypomniała sobie opowieść Niccola o rozmowie z Rooneyem. Wyczuła, że po raz kolejny ojciec chce ją uspokoić, że nie głoduje.

- Ale nie wszystko jest takie dobre, jak mój ser - powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

- Zawsze lubiłaś ser.

Za to jej matka bardzo go nie lubiła i Megan dobrze to pamiętała. Najwyraźniej Rooney dobrze wiedział, z kim rozmawia.

- Ty też lubiłeś. Pamiętasz, jak nocą zakradaliśmy się do barowej kuchni i wyjadaliśmy ser z lodówki? Nie odpowiedział, tylko wziął krakersa, przykrył plastrem sera i ugryzł kawałek. Może to była najlepsza odpowiedź. Megan żałowała, że Niccolo długo nie wraca. W miejsce

zaskoczenia i szoku pojawiła się determinacja, żeby zatrzymać Rooneya jak najdłużej. Drgnęła nerwowo, kiedy zdecydowanym ruchem odsunął talerz i kubek.

- Umarł człowiek. Widziałem - powiedział i łzy zalśniły mu w oczach. Po raz pierwszy okazał jakiegokolwiek emocje.

- Jaki człowiek?

- Wyspa Whiskey.

- Na Wyspie Whiskey? Czy w barze „Wyspa Whiskey”, Rooney?

- Nie mogłem nic zrobić. Gwiazdy widziały, ale to dla nich skończone. Wyniosły się. Nie widzą. Zastanawiała się, czy był świadkiem dzisiejszego zajścia w barze. Jeśli po raz kolejny przyszedł na parking, jeśli stale odwiedzał to miejsce, w części umysłu, która nie została dotknięta chorobą, musiał zachować pamięć o córkach, które zostawił. Nie chciała mu mówić, że to Casey nacisnęła cyngiel. Mógł o tym nie wiedzieć, nie chciała go niepotrzebnie smucić.

- Do baru przyszedł mężczyzna i chciał... wziąć coś, co do niego nie należało - zaczęła wyjaśniać. - Miał broń i wywiązała się bójka. Został trafiony, ale przeżył. Wyjdzie z tego, Rooney. Nikt inny nie został ranny i nikt nie zginął.

- On umarł. I słusznie. Ale nikt nie powinien wiedzieć. Teraz już wiedzą.

- Nie, Rooney. On trafił do szpitala. Naprawdę. A kiedy wyjdzie, najpewniej trafi do więzienia.

- To był straszny człowiek. Gwiazdy widziały. Przez te wszystkie lata. Nikt nie powinien wiedzieć. Rozglądałem się. Nie uważałem. - Łzy popłynęły strumieniem. - Staralem się. Staralem...

Tak bardzo chciała go pocieszyć, ale jak miała to zrobić?

- Mówisz o dzisiejszym zdarzeniu w barze, czy o czymś innym?

- Babcia Lena opowiadała historie. Dziadek Rowan znał zakończenia. Nie powinienem się rozglądać. Ale tak się stało. Teraz już wiedzą...

- Rooney, cokolwiek się stało, nie jest twoją winą - powiedziała z naciskiem, choć poruszała się po omacku w tym labiryncie. - Masz na myśli szczątki ludzkie, które odkryto na Whiskey? Przecież nie ponosisz winy za to, że wykopano szkielet. - Przerwała na chwilę, zastanawiając się, jak wyjaśnić mu tak prostą rzecz. - Może gwiazdy postanowiły, że nadszedł odpowiedni czas. Może nie chciały, żebyś dłużej uważał.

Spojrzał na nią. Łzy żłobiły bruzdy na starczej twarzy.

- Miałem dochować tajemnicy. Megan miała ją poznać i przechować dalej.

- Nie musisz się martwić, Rooney. Zatrzymałam przepisy Rosaleen tylko dla siebie. Przekażę je kiedyś tak samo, jak ty przekazałeś je mnie.

- Nie wiem, co teraz robić.

- Ale ja wiem - oświadczyła wszystkowiedzącym tonem. - Najwyższy czas, żebyś zadbał o siebie. Pozwól, żeby pomogły ci osoby, które cię kochają. Nie musisz się już o nic i o nikogo troszczyć, Rooney. Wróciłeś do domu. Tamto się już skończyło.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, a ona próbowała odgadnąć, co lub kogo Rooney naprawdę widzi. Nie mogła znieść tego przenikliwego spojrzenia. Gotowa była błagać, by przestał.

- Chciałbym się wykapać - odezwał się w końcu.

- Oczywiście. Upiorę twoje ubrania. Możesz nałożyć coś Nicka, póki rzeczy nie wyschną...

- Piorę je.

Wiedziała, że nie ma sensu się sprzeczać.

- Mogę ci dać czyste rzeczy, żebyś nie musiał teraz robić prania.

Nie odpowiedział. Wstał i wyszedł z kuchni. Zaprowadziła go do łazienki na parterze. Znalazła dla niego ręcznik, szlafrok i nowe mydło.

- Przyniosę ci ubranie i położę pod drzwiami.

Kiedy tylko wyszła z łazienki, natychmiast zatrzasnął drzwi. Megan stała w holu, wpatrując się w nie bezradnie.

Zanim ojciec opuścił rodzinny dom, kochała go do szaleństwa. Dziś po raz pierwszy od tego czasu dopuściła do siebie uczucie pustki i ogromnego żalu. Po policzkach popłynęły łzy. Przyłożyła dłoń do drzwi, które odgradzały ją od Rooneya, i gładziła ich płaską powierzchnię szlochając cicho. Opłakiwała wszystko, co sama straciła, i co straciły jej siostry.

Jak mogła go to zatrzymać? Jak mogła mu pomóc? Może zadzwoni do Niccola i poprosi, żeby wrócił do domu? Razem mogliby przekonać Rooneya, by poddał się leczeniu. Ale jak tu rozmawiać z człowiekiem, który miał kontakt z gwiazdami i z duchami przodków?

Rozważała, czy nie zadzwonić do wuja Franka, który mógłby użyć swoich wpływów i przekonać sędziego, aby objął Rooneya specjalnym nadzorem. Tylko czy byłoby to uczciwe wobec własnego ojca? Byłby przerażony. Pojąłby jej działanie jako atak, a nie pomoc kochającej osoby.

Przecież wrócił. Sam, z własnej woli. Przetrwiał te wszystkie lata, zbliżając się powoli do domu.

Gdyby poczekała, gdyby wszyscy poczekali, czy nie przyszedłby pewnego dnia i nie poprosił sam o pomoc?

W szufladach Niccola znalazła odpowiednie ubrania, przepaszając milcząco, że je zabiera, choć dobrze wiedziała, że Nick nie będzie miał nic przeciwko temu. Ułożyła wszystko pod drzwiami łazienki i wróciła do kuchni.

Woda przestała lecieć. Megan usłyszała otwieranie drzwi łazienki. Wyobraziła sobie, jak Rooney sięga po rzeczy, które mii przyniosła. Da mu trochę czasu na ubranie się, a później spróbuje namówić, żeby jeszcze został. Niech tylko wróci Nick, który zawsze wie, co należy robić w trudnych sytuacjach. Jedyna osoba, z którą kiedykolwiek chciała dzielić swoje problemy. Ten, który powiedział, że nie potrzebuje jego, ale potrzebuje ich razem.

Znów szcęknięły drzwi, tym razem chyba wejściowe. Czyżby wrócił Niccolo? Ale kiedy nie usłyszała zbliżających się kroków w holu, domyśliła się prawdy.

Zerwała się na nogi. W holu leżały przygotowane ubrania, a drzwi łazienki były szeroko otwarte, ukazując puste wnętrze. Rooney zniknął.

Lecz pozostawił po sobie pewien ślad. Megan uklękła przy ubraniach i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w leżący na nich zeszyt, oprawiony w skórę. Powoli sięgnęła po niego, otworzyła i przeczytała wykaligrafowany podpis.

Niccolo nie znajdzie pamiętnika ojca McSweeneya w archiwach Świętej Brygidy bo Megan przyciskała go teraz do piersi.

29 czerwca, 1883

Jako ksiądz winienem kochać Boga ponad wszystko i poświęcać się dla Niego tak, jak On poświęcił się dla mnie. Lecz, choć Bóg jest doskonały i doskonale jest jego poświęcenie, jakże trudno kochać go doskonałą miłością!

A o ileż trudniejsze jest kochać innego człowieka, kobietę, która z końcem długiego dnia popada w zmęczenie; niedoskonałą kobietę, której poświęcenie też dalekie jest od doskonałości.

Ale jakże wspaniała jest taka miłość. Kochać kogoś, pomimo jego wad, pomimo swoich wad. Dojrzeć ukrytą pod zmęczeniem i niedoskonałością doskonałą duszę.

Czasem ksiądz dochodzi do przekonania, że jego obowiązki są najtrudniejsze i najcięższe ze wszystkich. O ileż trudniej i piękniej jest jednak kochać, tak po prostu, drugiego człowieka.

Jakże ograniczony jest nasz rozwój, kiedy nam tego zakazano.

Z pamiętnika ojca Patricka McSweeney, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, Ohio.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Czerwiec 1883

- Są rzeczy, które kobieta zachowuje tylko dla siebie. - Katie Sullivan wzięła filiżankę z herbatą od Leny i postawiła na stoliku. - A niektórymi sprawami może podzielić się tylko z inną kobietą. Siedziały w ogrodzie przylegającym do plebanii Świętej Brygidy. Katie właśnie dostarczyła pranie dla ojca McSweeneya, a Lena miała wolną chwilę po wypełnieniu porannych obowiązków. Dzieciaki Katie bawiły się przy kamiennej fontannie przed biurem księdza, a ich śmiech odbijał się echem od chłodnych murów kościoła,

- Czym miałabym się z tobą podzielić? - zapytała Lena, siadając wygodnie z filiżanką w dłoni.

- Albo niczego nie podejrzewasz, albo nie chcesz mi o tym powiedzieć. Jeśli to drugie, to nie mój interes. W końcu im głębsza studnia, tym słodsza woda. Ale jeśli to pierwsze...

Lena była zakłopotana.

- Jeśli myślisz, że skrywam jakieś tajemnice...

- A nie?

- Jeśli tak, to skrywam je także przed sobą.

- Tak też myślałam - nie zdziwiła się Katie. - Mam ci powiedzieć, czy wolisz poczekać, aż sama do tego dojdiesz?

- Niespodzianki w moim życiu nigdy nie były dobre.

493

- Myślę, że spodziewasz się dziecka, kochanie. Nie mam racji?

Lena spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie masz.

- Naprawdę? Zatem przepraszam, że poruszyłam ten temat... ale być może się mylisz?

- Skąd ten pomysł? - Lena była wyraźnie zdenerwowana.

- Nie jadasz zbyt wiele, a mimo to masz rumianą cerę.

- Mam zwykłą niestrawność, to wszystko.

- To nie tłumaczy tego, że wyglądasz na cięższą.

- Katie, to niemożliwe. W zeszłym miesiącu miałam krwawienie.

- A w tym?

- Jeszcze nie.

- A w zeszłym miesiącu, kochana, było tak samo jak zawsze? Lena zarumieniła się.

- Tak... nie. Nie, nie było tak samo.

- O wiele mniej?

- Mniej.

- Czasem tak bywa. Nie wiedziałam, że noszę Annie, aż zaczęła kopać.

Kiedy w zeszłym tygodniu nie pojawiło się miesięczne krwawienie, Lena zaczęła się zastanawiać, czy w końcu jej i Terence'owi nie udało się spłodzić dziecka, odłożyła jednak podobne myśli na później.

Było o wiele za wcześnie, aby wiedzieć o tym na pewno.

Chyba że zaszła w ciążę, nie daj Boże, na początku maja!

- Czekalaś tak długo - powiedziała łagodnie Katie. - Czy to będzie wielkie obciążenie? Terence każdego dnia staje się silniejszy, a ojciec McSweeney na pewno pozwoli ci przynosić maleństwo do pracy. To dar, kochanie. Cudowny dar po tym wszystkim, przez co musiałaś przejść.

Katie nie miała pojęcia, jakie piekło przeszła Lena i jaki miało ono wpływ na ów „dar”. Bo jeśli do zapłodnienia doszło w maju, nie miała pewności, czyje dziecko nosiła w swoim łonie...

- To nie może być prawda. - Lena potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić z pamięci tę straszną możliwość. - Z całą pewnością się mylisz.

- Mogę się mylić tylko w jednym wypadku, to znaczy jeśli Terenee nie jest już takim mężczyzną, jak przed wypadkiem

- stwierdziła bez ogródek Katie. - Widzę jednak, jak na ciebie patrzy i myślę, że już dawno wypełnia swój małżeński obowiązek.

Lena nerwowo próbowała policzyć, ile razy od pamiętnego wieczoru w połowie kwietnia Simeon wdzierał się w nią siłą i ile razy Terenee kochał się z nią czulej i namiętniej niż kiedykolwiek. Jednej nocy, tej strasznej nocy, kiedy Simeon niemal ją udusił, była z nimi obydwoje. Czy właśnie wtedy zostało poczęte dziecko?

Czyje nasienie miało dać owoc?

- Widzę, że to dla ciebie nie lada wstrząs - zauważyła Katie

- ale przywykniesz do tej myśli, kochana. Będiesz doskonałą matką, Leno, łagodną i silną. Dobrze wychowasz swoje dzieci.

Czy można cegokolwiek nauczyć dziecko Simeona? Czy będzie potrafiła kochać małeństwo ze świadomością, że jego ojciec zgwałcił ją? Czy zdoła do końca życia udawać, że urodziła potomka męża?

Czy kiedykolwiek będzie miała pewność, czyje to dziecko?

- Pij herbatkę, Leno. Nic już nie możesz z tym zrobić. Co będzie, to będzie.

Lena spojrzała na przyjaciółkę i dostrzegła w jej oczach cień nagany. Kobiety w irlandzkiej dzielnicy, nawet najgorsze z matek, uważały, że dzieci to dar od Boga.

Lecz ile z nich otrzymało dar tak podstępny, który zarówno może być cudem, jak i piekłem, zależnie od kogo pochodzi... czego zresztą nie sposób ustalić?

Lena poczuła, że herbata niemal zupełnie wystygła. Wiedziała, że musi coś powiedzieć, gdyż wzbudza podejrzenia.

- Masz rację. Za jakiś czas przyzwyczaję się do tej myśli, a dla dziecka Terence'a moje serce zawsze stoi otworem

Katie poczuła ulgę.

- Cieszę się, że tak uważasz, kochanie. Dziś wieczór zacznę szydełkować. Na początku przyszłego roku wszystko będzie gotowe.

Lena nie знаła sposobu na pozbycie się dziecka. Rozmawiała o tym z akuszerką, tłumacząc, że ma przyjaciółkę, która chce usunąć płód z łona. Co Lena powinna zrobić, żeby ją powstrzymać? I do czego może się posunąć ta biedna kobieta?

Akuszerka powiedziała jej, że gdyby to było proste, na świat przychodziłoby o połowę mniej dzieci. Nie istniał żaden łatwy sposób na powstrzymanie dziecka, kiedy już rozwijało się w łonie zdrowej kobiety. Były zioła i leki, które miały w tym pomagać, ale najczęściej szkodziły matce, nie wyrządzając krzywdy płodowi. Były też akuszerki i felczerzy, którzy sprzeciwiali się woli Bożej, ale od nich kobiety zwykle nie wracały o własnych siłach do domu. Lena powinna nakłonić przyjaciółkę do urodzenia dziecka. Gdy małe przyjdzie na świat, zrozumie, jakie to szczęście.

Poniechała więc zamiaru zabicia dziecka przed narodzeniem Zresztą cień szansy, iż nosi w swoim łonie potomka Terence okazał się wystarczającym hamulcem. Co innego, gdyby wiedziała na pewno, że urodzi dziecko Simeona.

Zbliżał się koniec miesiąca, a Lena ciągle nie miała odwagi powiadomić Terence'a, że spodziewa się dziecka, bo

wciąż oswajała się z tą myślą. Każdego poranka wstępowała do kościoła i modliła się, aby dziecko było podobne do męża i żeby potrafiła je pokochać, jeśli stanie się inaczej. Nie bała się, iż prawda wyjdzie na jaw. Jej matka, i matka Terry'ego były ciemnowłose, tak jak Simeon, więc dziecko o takim kolorze włosów nie wzbudzi podejrzeń. Obawiała się raczej, że ilekroć spojrzy na niemowlę, zobaczy w nim swego ciemieżcę.

Na początku czerwca, kiedy słońce rozgrzało Wyspę Whiskey i pojawiły się roje dokuczliwych komarów, Lena wiedziała, że nie może dłużej odkładać rozmowy z Terryem.

Uważnie wybrała moment, kiedy prawie zasypiał. Odwróciła się w jego stronę i wyszeptała mu nowinę do ucha. Przytulił ją mocniej. Dostrzegła, że się uśmiecha.

- Wiem - powiedział. - Kto zna tak dobrze twoje ciało jak ja? Jak sądzisz, będzie syn czy córka?

- A jak byś chciał?

- Myślę, że dziewczynkę. Z włosami takimi, jak matka. Czy dobry ojczulek pozwoli ci nadal pracować?

- Chyba tak. Muszę mu jeszcze o tym powiedzieć.

- Wkrótce będę mógł ubiegać się o pracę - oznajmił z zapalem Terence. - Poradzimy sobie jakoś, nie martw się. Niedługo znów zacznę zarabiać na chleb, a ty możesz pracować dla księdza albo nie, jak wolisz.

Zamknęła oczy, ale upłynęło wiele godzin, nim w końcu usnęła.

Rowan, chcąc wypytać Nani o Jamesa Simeona, musiał czekać na jej powrót z Anglii. Popłynęła z Julią, żeby służyć jej na pokładzie statku jako osobista służąca, ale kiedy pani dotarła do krewnych w Kent, Nani wróciła do pracy u jej małżonka. Kuzynki Julii zatrudniały dość służby dla stu wyma-

gających arystokratów, a kobieta z węgierskim akcentem nie była tam mile widziana.

Rowan odczekał jeszcze tydzień od przyjazdu Nani i udał się do niej. Lubił ją i cieszył się ze spotkania. Gdyby była irlandzką katoliczką, cieszyłby się jeszcze bardziej.

- Jak minęła podróż? - dopytywał się, kiedy wykradli kilka minut na rozmowę w ogrodzie Simeona.

- Powrót był znacznie lepszy. Pani Simeon przez całą drogę miała mdłości.

Rowan wiedział, jak bardzo Nani martwi się o swoją panią i współczuł jej z powodu wyczerpujących obowiązków.

- Tak w ogóle, to dobrze ci się pracuje u Simeonów? - zagadnął. - Jak cię traktują?

Nani milczała dość długo, by zorientował się, że odgaduje, czemu zadał jej te pytania.

- Nie narzekam - powiedziała w końcu. - Dobrze płacą i nikt mnie nie poniża.

- A inni? Są poniżani?

- Myślisz o Lenie?

Nie odpowiedział, żeby skłonić ją do mówienia. Podziałało.

- Jeśli tak się dzieje, nic mi o tym nie wiadomo.

- Powiedz, co mówiono, kiedy Lena odmówiła powrotu do pracy?

- Nie mam pojęcia, byłam już na statku. Wiem tylko, że Bloomy była wściekła, bo została z ogromną liczbą zajęć.

Zamilkła. Znów czekał. Nani czekała jeszcze dłużej. Wreszcie Rowan nie wytrzymał.

- Po ostatnim dniu u Simeona Lena wróciła do domu z opuchniętą i posiniaczoną szyją - wycedził ze złością. - Mężowi powiedziała, że jakiś mężczyzna zaatakował ją, kiedy wysiadła z tramwaju.

- Mnie nic nie mówiła.

- Może mówiła ci coś innym razem? Albo bała się kogoś? Simeona?

- Nic nie widziałam.

- Nie pytam, co widziałaś. Pytałem, co ci mówiła.

- Jeśli nawet coś mówiła, nie mogę ci tego powtórzyć.

- Lubisz Lenę, Nani? Jest twoją przyjaciółką?

- Nie powinieneś zadawać podobnych pytań. Milczała tak długo, że stracił nadzieję na więcej informacji. Ruszyli w stronę domu i uszli spory kawałek, zanim Nani westchnęła boleśnie.

- Kiedyś, na długo przed tym, jak odeszła, prosiła mnie, żebym została z nią w kuchni - wyznała. - Powiedziała, że... pan, że on... - brakowało jej słów. - No, po prostu bała się.

- Simeona?

- Mówił jej różne rzeczy. Tamtej nocy oprócz niej wszystkich odesłał do domów, a ona bardzo się bała. - Zostałaś?

Dostrzegł w jej oczach łzy. - Próbowałam, ale kiedy pan Simeon mnie zauważył, odesłał mnie po raz drugi. Gdybym nie wyszła...

- Straciłabyś pracę. Wiem. - Rowan w bezsilnej złości uderzył pięścią w otwartą dłoń. - I powiedziałaś, że to było na długo przed odejściem?

- Wcześniej, przed tamtym wieczorem, pan Simeon nikomu nie dawał wolnego. Nigdy. Ale później... zawsze, gdy pani Simeon wychodziła z przyjaciółmi...

- Pytałaś Leny, co się dzieje? Próbowałaś jej pomóc?

- A co ja mogłam zrobić? - Zaczęła płakać.

- Nie chciałaś wiedzieć, prawda?

- Pan Simeon nigdy mnie nie skrzywdził, ani nawet nie próbował.

- Cholerny drań!

Rowan dowiedział się więcej, niż zamierzał. Początkowo miał nadzieję, że Simeon urządził Lenie scenę i wystraszył tak, że zrezygnowała z pracy. Niestety, prawda była o wiele gorsza. Od miesiący trwała tragedia, a nieszczęsna Lena musiała znosić potworną udrękę.

Pomyślał o dziecku, które nosiła, a którym wczoraj pochwalił się Terence. Terry i Lena długo nie mogli spłodzić potomka. Teraz ona była w ciąży, zaledwie kilka tygodni po tym, jak skarżyła się mu, że Simeon źle ją potraktował.

Owładnęła nim głucha wściekłość. Mieszkał w tym samym domu, co Lena i doskonale wiedział, że nie oddałaby się z własnej woli żadnemu mężczyźnie z wyjątkiem męża. Cokolwiek zrobił jej James Simeon, na pewno stało się to wbrew jej woli.

Gdyby ten pyszny bogacz stanął przed nim, bez wahania zatłukłby drania gołymi rękami.

Nam wciąż nie mogła opanować płaczu.

- Pan Simeon wpadł w furję, kiedy Lena nie wróciła do pracy. Wrzeszczał na Bloomy, mówił, że ukarze Lenę, że nigdy nie dostanie żadnej posady. I dodał, że jej mąż zgnije. To jego słowa.

- Powinnaś mi to powiedzieć wcześniej, jesteśmy przecież przyjaciółmi. Mogłaś mi zaufać.

- Lena ci się nie zwierzała?

A któraż kobieta by to zrobiła? Rowan potrafił sobie wyobrazić wstyd Leny albo jej przerażenie na myśl, że Terence lub on poszliby do Simeona, aby ją ratować. Jakie mieli szanse w konfrontacji z tak wpływowym człowiekiem?

Rowan postanowił poskromić złość do czasu, aż znajdzie się z Simeonem twarzą w twarz. Nie wiedział jak i kiedy to nastąpi, lecz poprzysiągł, że któregoś dnia podły bogacz zapłaci za swoje uczynki.

- Bogaty mężczyzna może wykorzystywać kobietę, jak mu

500

się podoba - powiedziała rozgoryczona Nani. - Taka była prawda w mojej wsi, tak samo jest tutaj. Kobieta może mieć tylko nadzieję, że umknie jego uwagi.

- W tym mieście żyje pewien bogacz, któremu nie ujdzie to na sucho - warknął Rowan. - I niedługo się o tym przekona.

Nani nie próbowała z nim dyskutować. Otarła łzy i poszła do domu.

Ojciec McSweeney domyślał się stanu Leny i wyczuwał, dlaczego nie chciała z nim o tym rozmawiać.

- Simeon wie? - zapytał, kiedy przyznała się wreszcie, że jest w ciąży.

- Nie! Nigdy mu nie powiem, i ksiądz również. Złożył gazetę. Tylko udawał, że ją czyta, bo myślami błądził

zupełnie gdzie indziej.

- To dziecko Simeona?

- To będzie dziecko Terence'a - powiedziała z naciskiem. - Wszyscy muszą o tym wiedzieć, ojciec.

- A Terence?

- Dziecko może być jego i nigdy nie będzie myślał inaczej.

- To dość małe miasto. Simeon prędzej czy później dowie się od kogoś, że urodziłaś.

- A co go to obchodzi? Już dostał to, czego chciał. Po co mu bachor biednej, irlandzkiej służącej?

- To człowiek, który wypisuje swój znak na wszystkim, czego dotknie, Leno. Podwójne S można znaleźć dosłownie wszędzie. - Ksiądz był wyraźnie zmartwiony.

- Nie zaznaczał swojej własności na moim dziecku! A jeśli nawet przyjdzie mu to do głowy, powiem mu, że dziecko należy do mnie i do mojego męża, a on nie ma z nim nic wspólnego.

- Ten człowiek umie Uczyć, Leno. A zwłaszcza dodawać.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Simeon może się interesować tym, czy ma dziecko ze zwykłą kucharką.

Wiadomo było, że mężczyźni jego pokroju nie zawracają sobie głowy owocami swoich igraszek ze służącymi.

- Zatem powiem mu prawdę, że dziecko zostało poczęte w noc, w którą mnie zgwałcił i niedługo potem byłam ze swoim mężem. Będzie chciał dziecko, które może nie być jego? W stu procentach irlandzkie?

- Nie zwracaj na siebie uwagi, Leno - powiedział McSweeney z zatroskaną miną. - Zachowaj ciążę w tajemnicy jak długo się da, nawet jeśli będziesz miała przestać przychodzić do pracy. To nieobliczalny człowiek. Wiem, że masz dość zmartwień, ale weź i to pod uwagę. Trzymaj się od Simeona jak najdalej.

- Tej przestrogi akurat nie potrzebuję, ojczu. Mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę tego potwora. Nie tutaj... - ściszyła głos - ...i nie wpatrującego się we mnie z kołyski.

Ksiądz wzdrygnął się niedostrzegalnie.

- Będę się za ciebie modUł.

Każdego wieczoru Terence wychodził Lenie na spotkanie. Dwie kule zamienił na kulę i laskę. Poruszał się jeszcze dość niepewnie i wolno, ale bez większego wysiłku przemierzał Wyspę i docierał do drogi prowadzącej na wzgórze. Nie potrafił jeszcze wspiąć się na górę, ale była to tylko kwestia czasu. Czekał co wieczór na żonę i niespiesznie wracali razem do domu.

Ojciec McSweeney mógł odsyłać ją do domu bryczką, ale uznali, że spacer stanowi doskonałe ćwiczenie dla Terence'a. Zazwyczaj ksiądz odprowadzał Lenę do szczytu wzniesienia, po czym schodziła na dół, gdzie witał ją mąż. Kiedy ojciec McSweeney nie mógł jej towarzyszyć, wysyłał kogoś innego.

Tydzień po tym, jak Lena powiedziała Terence'owi o dziecku, ojciec McSweeney urządził spotkanie miejscowych biznesmenów. Zamierzał poprosić ich o pieniądze na rozbudowę szkoły przy Świętej Brygidzie i zależało mu, by obiad był naprawdę wyjątkowy. Lena miała tego dnia mnóstwo pracy. Wprawdzie Terence był uprzedzony, że Lena może dzisiaj się spóźnić, ale kiedy zerknęła na zegar w holu plebanii, wiedziała, że musi się pospieszyć. Niebo zasnuły ołowiane chmury i przed chwilą uderzył grzmot. Młody człowiek, który miał ją odprowadzić, wciąż się nie pojawiał, a ojciec McSweeney był pochłonięty dyskusją o pomieszczeniach szkolnych i podręcznikach. Nie mogła dłużej czekać. Jeśli rozpęta się burza, Terence zupełnie przemoknie, a i jej nie ominie ulewa. Postanowiła pójść sama, zostawiając wiadomość młodej kobiecie, która przychodziła pomagać w sprzątaniu.

Niebo raz po raz przeszywały błyskawice i nieliczni przechodnie spieszyli się do domów, by zdążyć przed deszczem. Lena krzyknęła do napotkanych dzieci, żeby uczyniły tak samo, ale nic sobie z tego nie robiły. Za chwilę wybiegła jedna z matek i zaciągnęła do domu nieposłusznego urwisa, a zaraz po nim znikła cała gromadka.

- A nie mówiłam, że lepiej pędzić do domu? - powiedziała do ostatniego chłopca.

- Nie jesteś moją mamą - burknął.

To prawda, ale wkrótce zostanie matką. Rozmyślała o tym podczas marszu. Jej ciało rosło niemal z dnia na dzień. Śledziła te zmiany z ogromnym zainteresowaniem. Wkrótce dziecko zacznie się poruszać i da wyraźnie o sobie znać.

Bez względu na to, kto powołał tę istotkę do życia, nie odpowiada za sposób, w jaki została poczęta. Na początku modliła się żarliwie, by dziecko należało do Terence'a, lecz

miała świadomość, że to, co się stało, już się nie odstanie. Teraz modliła się o coś innego. Marzyła, by potrafiła kochać je całym sercem, obojętnie, czy będzie jasnowłose, rude czy z czarną czupryną.

Dziecko wydobędzie się z jej ciała. Będzie jej.

W głębokim zamyśleniu dotarła do drogi prowadzącej w dół wzgórza i dalej na Wyspę Whiskey. W pewnym momencie, jakby coś ją tknęło, podniosła głowę i zobaczyła z daleka powóz, stojący przy drodze. Znajomy powóz ze znienawidzonym monogramem. Z tej odległości nie mogła dojrzeć, czy ktoś w nim siedzi, ale nie miała zamiaru podchodzić bliżej.

Z bijącym sercem rozglądała się za kryjówką. Jeśli rozpęta się burza, Simeon na pewno odjedzie. Jeśli zaś czeka na nią - a jakie może być inne wythrmaczenie?* - pomyśli, że nie wyszła z plebanii i czeka, aż minie ulewa.

Ojciec McSweeney i Terence słusznie nalegali, żeby nie wracała do domu sama. Okoliczne domy wzniesiono na stoku wzgórza i większość z nich stała na palach, pod którymi można było się schronić. Lena ruszyła w stronę upatrzonej kryjówki, mimo że robiło się coraz ciemniej. Chciała poczekać, aż powóz odjedzie, a kiedy zagrożenie minie, mogła popędzić do Terence'a.

Była już prawie przy domu, kiedy zza rozłożystego wiązu wyskoczył mężczyzna i chwycił ją mocno za ramiona.

Nie zdążyła krzyknąć, bo zakrył jej usta dłonią i przycisnął do siebie z ogromną siłą, drugą ręką obmacując jej biodra i brzuch.

- Pożałujesz, jak będziesz się wydzierać, Leno. Natychmiast rozpoznała głos Jamesa Simeona.

Szarpała się

rozpaczliwie, ale nie miała szans, by wyrwać się z mocnego uścisku. Stalowe palce zdawały się miażdżyć jej ramię.

- Idziemy do powozu - powiedział stanowczo, kiedy się uspokoiła. - Jeśli spróbujesz ucieczki, skręcę ci kark.

Nie wierzyła w to, ale i tak wiedziała, że musi posłuchać.

- Kiwnij głową na znak, że będziesz grzeczna - rozkazał. Przytaknęła.

Powoli zdjął dłoń z jej ust, odczekał chwilę, aby upewnić się, że nie kłamała i popchnął ją w stronę powozu. Zatoczyła się na ławkę, wepchnięta gwałtownie do środka. Wskoczył za nią, zatrzaszkując drzwiczki.

W ciasnym, ciemnym szczelnie zamkniętym wnętrzu zapanował nieznośny zaduch. Lena siedziała naprzeciw Simeona, zbyt wściekła, by odczuwać strach.

- Nie przywitasz się ze mną, Leno? Dość długo się nie widzieliśmy.

- Nie masz prawa mnie tak traktować!

- Nie? Wcześniej robiłem, co mi się podobało i dobrze ci za to płaciłem.

- Brałeś mnie siłą!

- Nie protestowałaś.

- Miałeś moje życie w swoich rękach! Sam dopilnowałeś, żeby tak było. Nie dałeś mi wyboru.

- Tak to sobie tłumaczysz, Lerio? - uśmiechnął się szyderczo. - Tak usprawiedliwiasz swoją winę?

Brałem cię, kiedy miałem ochotę i choć trochę kwiliłaś, to nigdy nie stawiałaś oporu. Grzecznie podciągałaś spódnicę, żebym mógł w ciebie wejść. Miałaś chociaż jakąś przyjemność w swoim marnym życiu. Na pewno dawno już straciłaś nadzieję, że kiedykolwiek mężczyzna wejdzie ci między nogi.

- Nie miałam mężczyzny, kiedy mnie brałeś!

- Brakowało mi twojej energii, kochanie. Stęskniłem się za tobą. Jak ci odpowiada nowa praca? Tylko jeden księżulek w całym mieście odważył się ciebie zatrudnić. Bardzo mądrze wykreśliłaś się z posady w moim domu, sprytniej, niż się spodziewałem. Robisz dla niego to samo, co dla mnie?

505

- Jesteś odrażającym, mściwym draniem i zgnijesz przez to w piekle!
 - Rozumiem, że nie. Szkoda. Nie ma katabas pojęcia, co traci.
 - Jeśli spróbujesz mnie znów zgwałcić, wydrapię ci oczy. Już nie masz nade mną władzy - syknęła.
 - Ciii... Chciałem tylko powiedzieć, że ci wybaczam. Możesz wrócić do pracy za podwójną płacę.
- Wiedziała, że chodzi o coś więcej. Prześladował ją, bo czerpał z tego ohydny przyjemność. Od kiedy wsiedli do powozu, ani razu jej nie dotknął.
- Zdała sobie sprawę, że się nią bawi, jak kot z myszą. Lubił jej temperament i porywczosć, a pasywność doprowadzała go do szału.
- Nie wrócę za żadne pieniądze - powiedziała z wystudiowanym spokojem. - To już wszystko?
 - Opowiedz mi o mężu, kochanie. Jak miewa się ta okaleczona karykatura mężczyzny? - zapytał z kpina.
 - Coraz lepiej.
 - W każdej mierze?
 - Tak, w każdej.
 - Odśwież mi pamięć. Czy po wypadku stracił wzrok?
 - Nie.
 - Uszkodził sobie mózg?
 - Nie..
 - Więc uważa, że czyje dziecko nosisz w łonie? A może nie odgadł prawdy?
- Zabrakło jej tchu.
- Kazałem cię śledzić, kochanie - oznajmił z grymasem, który miał być uśmiechem. - Byłaś wyjątkowo ostrożna i dopiero dziś nadarzyła się okazja, żeby porozmawiać z tobą sam na sam.

506

- Skąd pewność, że spodziewam się dziecka? - rzuciła ostro.

- Między innymi po małym sprawdzianie pod tamtym drzewem. - Skinął w stronę okna.

Przypomniała sobie nachalne dłonie na brzuchu i biodrach.

- Masz większe piersi - wyjaśnił. - Jeśli twój mąż tego nie zauważa, musi być głupcem.

- Mój mąż czeka na mnie u stóp wzgórza. Jeśli zaraz do niego nie dołączę, zaczniesz tu iść.

- Nie sądzę. A jeśli będzie na tyle głupi, mój woźnica go powstrzyma. Prawie mi szkoda tego głupca, wierz mi. Co biedak powie, jeśli wymęczy się tylko po to, żeby znaleźć nas razem?

Wyobraziła sobie zmagania Terry'ego, próbującego wejść na wzgórze. Co by powiedział, gdyby znalazł ją z Simeonem?

- Dziecko jest jego - oświadczyła dumnie. - Poczęte po tym, jak rzuciłam u ciebie pracę.

- Mógłbym mu powiedzieć coś innego. Serce waliło jej jak młotem.

- A ja bym temu zaprzeczyła. Z nas dwojga na pewno mnie ufa bardziej.

- Myślisz, że poszłoby tak łatwo? Kiedy zasieję ziarno zwątpienia, natychmiast zaczniesz kiełkować.

Policzy miesiące...

- I upewni się, że to jego dziecko. - Przysunęła się do drzwi i chwyciła za klamkę. Zdziwiła się, że nie próbował jej powstrzymać. - Jeżeli chciałeś mnie szantażować, żebym znów była twoją kucharką i dziwką, to się przeliczyłeś. Możesz mówić Terence'owi, co sobie chcesz, bo i tak ci nie uwierzy. Wie, jaki z ciebie drań.

- Najwyraźniej nie wie, jaką poślubił kobietę.

- Hańbiłam się z tobą dla dobra tych, których kocham. Nigdy tego nie zrozumiesz, bo nie potrafisz kochać. Jeśli nawet

507

Terence by ci uwierzył - choć szczerze w to wątpię - na pewno mi wybaczy. On mnie kocha, a jeśli ty nie potrafisz zrozumieć tak prostej rzeczy, to twój problem.

- Powiedz mi jedno. Jak będzie się czuł, kiedy każdego dnia w oczach dziecka będzie widział moje oczy? Mój nos, moje usta? Będzie wtedy pamiętał, że cię kocha?

Odwróciła się do niego, jedną ręką przytrzymując drzwiczki.

- Dopuszciliś się najgorszego, Jamesie Simeonie, i nic gorszego nie może już mnie spotkać. Mów Terry'emu, co ci się żywnie podoba, ale nie wrócę do tamtej pracy. Nigdy!

- Piękne słowa. Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

- Ty nie zadziwiłeś mnie ani razu.

- Obyś dotarła do domu przed deszczem, kochanie. Musisz

o siebie dbać, skoro spodziewasz się dzidziusia. Nie możemy pozwolić, żeby po ulicach Whiskey ganiał następny chorowity irlandzki bękart.

Otworzyła drzwiczki, spodziewając się, że złapie ją za rękę i zatrzyma, ale pozwolił jej wysiąść.

- Pozdrów ode mnie męża! - zawołał za nią. - Kiedyś sobie z nim porozmawiam. Powiedz, że to obietnica.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Kiedy niebo smagneła pierwsza błyskawica, Terence zaczął się niepokoić. Nie martwił się, że zmoknie, ale z minuty na minutę robiło się coraz ciemniej. Wyobraził sobie Lenę, jak kluczy po gliniastych ścieżkach, w czasie deszczu bardzo śliskich i niebezpiecznych. Żałował, że nie ustalili, aby na wypadek burzy pozostała na plebanii. Gdyby wiedziała, że jest bezpieczny w domu, nie ryzykowałaby wyjścia w taka pogodę. Teraz będzie chciała za wszelką cenę do niego dotrzeć. Rozważał, czy spróbuje wdrapać się na wzgórze, żeby jej wypatrywać. Gdyby mu się to udało, poszliby razem do ojca McSweeneya i przeczekali burzę, a później wzięliby bryczkę z plebanii i pojechali do domu.

Inna sprawa, że nie wiedział, czy podoła takiemu zadaniu. Krok miał nadal niepewny i daleko mu było do pełni sił. Być może któregoś dnia wystarczy mu laska, ale na razie potrzebował jeszcze kuli, żeby utrzymać równowagę. Był dumny z tego, co dotychczas osiągnął, i pełen determinacji, by poruszać się jeszcze sprawniej, ale mozolna wędrówka po pełnej wertepów glinie była prawdziwym wyzwaniem: Gdyby jej podołał, jakże dumna byłaby Lena i o ile lepiej czułby się, wiedząc, że jest bezpieczna. Postanowił sprawdzić, jak będzie mu szło wchodzenie. Po drodze wymienił pozdrowienia z sąsiadem, uchodzącym przed burzą. Przywitał się z jeszcze jednym mężczyzną, ale później

na drodze nie było żywego ducha, bo groźba burzy zagoniła wszystkich do domów.

Terence szybko osłabł, choć droga okazała się łatwiejsza, niż się spodziewał. Zerwał się wichur i podmuchy omal nie zwały go z nóg, ale nie poddał się ich sile. W jednej trzeciej trasy postanowił odsapnąć. Spojrzał w górę z nadzieją, że ujrzy schodzącą Lenę, lecz był sam pod ołowianym niebem. Ogarnął go dziwny, niczym nieusprawiedliwiony niepokój. Przecież ojciec McSweeney nie pozwoliłby Lenie wyjść bez opieki. W najgorszym razie spóźni się trochę i spotkają się bliżej Świętej Brygidy.

Jednak niepokój nie mijał. Znał żonę i wiedział, jak bardzo się o niego martwi. Jeśli dostrzegła ciężkie chmury i błyskawice, nic nie mogło jej powstrzymać od wyjścia do domu.

Terence ruszył w dalszą drogę. Potknął się, kiedy wiatr nagle zmienił kierunek. Niebo nabierało coraz ciemniejszej barwy, aż wydawało się, że zapadła noc. Potknął się po raz drugi i omal nie przewrócił. Przystanął na chwilę, wytarł spocone dłonie o spodnie, chwycił mocniej laskę i szedł dalej.

Wyczerpany, z sercem tłukącym się w piersi, ale niezmiernie szczęśliwy, dotarł do szczytu. Tam niespodziewanie wyrósł przed nim jakiś człowiek. Stał w szerokim rozkroku, z rękami założonymi na piersi i spoglądał z góry na Terence'a.

- Terence Tierney? - zapytał, jakby go znał.

- A kto pyta? - Terry zatrzymał się i próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział już tego mężczyznę.

- Nieważne - odpowiedział nieznajomy. - Wracaj do domu. Twoja żona została zatrzymana.

- Zatrzymana?

- Tak. Wróci później.

Im dłużej Terence przyglądał się mężczyźnie, tym większy narastał w nim gniew. Nieznajomy był potężny, o szerokich

barach, atletycznym torsie i grubym, byczym karku. Sądząc po złamanym nosie i licznych bliznach, miał za sobą więcej walk niż niejeden bokser.

- Tym bardziej nie wrócę do domu - powiedział Terence. - Skoro została zatrzymana, poczekam na nią na plebanii. - Ruszył w stronę osiłka, lecz ten nie zszedł mu z drogi ani na krok.

- Nie będę dwa razy powtarzał, kmiotku. Twoja sprzedajna żoneczka ma lepsze zajęcia, niż siedzieć w domu z kaleką. Znikaj stąd, ale już! Jak pan Simeon z nią skończy, to ci ją przyśle.

- Simeon? - Terence zamarł z wrażenia.

- Zgadza się. Rozmawiają, dlaczego tak nagle uciekła z pracy. Pan nie lubi, kiedy gardzi się dobrą posadą, za którą proponuje uczciwe pieniądze.

Terence znał tylko prawdę, którą usłyszał od Leny. Twierdziła, że Simeon był wobec niej nieuprzejmy, upokarzał ją w obecności innych służących i codziennie groził wydaleniem. Mówiła, że ojciec McSweeney, gdy dowiedział się o tym, zaoferował jej stanowisko gosposi na plebanii i obiecał zająć się edukacją męża. Terence tak bardzo ucieszył się z tej zmiany, że nie pytał o szczegóły.

Teraz zaczął się zastanawiać, co Lena przemilczała. Dlaczego ktoś tak potężny i bogaty jak Simeon martwił się odejściem służącej, skoro u jego bram czekały dziesiątki chętnych, żeby zająć jej miejsce? Te pytania mogły jednak poczekać. Strach, który ogarnął Terence'a w czasie drogi, przerodził się w panikę. Wyobraził sobie Lenę z Simeonem - z człowiekiem, którego nazwała, na pewno łagodnie, nieuprzejmym

Wyczuł, że pacholek Simeona żywi się cudzym strachem, dlatego starał się nie okazywać innych uczuć prócz pogardy.

- Moja żona nie rozmawia z takimi jak Simeon - oświadczył z godnością. - Nie masz prawa mnie zatrzymywać.

- Tyle że właśnie ucina sobie z nim pogawędkę.

- W takim razie sam to sprawdzę. Zejdź mi z drogi. Terence zrobił krok do przodu, ale osiłek nawet nie drgnął.

- Człowieku, nie zmuszaj mnie, żebym cię kopnął jak kulawego psa - ostrzegł.

- Moja żona nie chce mieć nic wspólnego z twoim panem Simeonem - powtórzył twardo Terence.

- Tak ci się wydaje, frajerze? - Siłacz roześmiał się szyderczo. - O ile wiem, miała ochotę robić z nim wiele rzeczy, przynajmniej przez jakiś czas. Patrząc na ciebie, nawet się temu nie dziwię.

Terence był już na tyle blisko, że widział wyraźnie nalaną, ospowatą twarz mężczyzny.

- Moja żona to przyzwoita kobieta - zaprotestował.

- Jasne. Na tyle przyzwoita, że na widok pieniędzy rozkłada swoje piękne nóżki. Z tego co wiem, panu Simeonowi bardzo przypadła do gustu.

Terence zamachnął się ciężką laską tak mocno, że powalił osiłka na ziemię. Nie mógł dopuścić, by przeciwnik wstał. Zamachnął się jeszcze raz i rąbnął opryszka w bok. Leżący zawył z bólu, ale chwycił laskę potężnym łapskiem i szarpnął tak mocno, że Terry upadł.

Miał jedno zdrowe ramię i ogromną determinację, by bronić dobrego imienia ukochanej żony, to jednak nie wystarczyło, by wygrać w starciu z zaprawionym w bojach, bezwzględny łotrem.

Kiedy Lena w końcu wysiadła z powozu i pospieszyła drogą wiodącą na Wyspę Whiskey, niebo otwarło się i lunął deszcz. Nakryła głowę szalem i uważnie patrzyła pod stopy, aby nie potknąć się lub nie pośliznąć.

- Lepiej się pospiesz! - zawołał męski głos.

Zaskoczona, podniosła wzrok i przez strugi deszczu dojrzała mężczyznę w kapeluszu naciągniętym na czoło, który pospiesznie minął ją, wyraźnie kulejąc. Choć nie widziała dokładnie jego rysów, zastanawiała się, czy to aby nie młody woźnica Simeona, niełubiany przez służbę ze względu na chamskie maniery. Jeśli tak, to właśnie opuścił posterunek.

Owinęła się ciaśniej szalem i przyspieszyła kroku. Po drodze zaczęły już płynąć strugi wody, a gliniasta, śliska ziemia oblepiała przemoczone trzewiki.

Lena modliła się, żeby mąż był już w domu. Miała nadzieję, że pomyśli, iż zdecydowała się przeczekać burzę w parafii. Modliła się, by woźnica go nie spotkał. Chciała opowiedzieć Terry'emu o wszystkim, zanim zrobi to Simeon.

Powinna się domyślić, że Simeon znajdzie sposób, żeby zemścić się na niej za to, co zrobiła Ani ona ani ojciec McSweeney nie docenili żądzy odwetu i urażonej ambicji tego człowieka a także byli naiwni, wierząc, że nie wplącze w to jej małżonka

Lena chciała wierzyć, że Terence kocha ją na tyle, by zrozumieć jej postępowanie, a nawet wybaczyć. Miała tak ograniczone pole widzenia, że dopiero w ostatniej chwili zauważyła leżącego na poboczu człowieka. Zapewne minęłaby go, gdyby nie fakt, że nieruchome ciało skierowało strugę spływającej wody na środek drogi. Podeszła bliżej i nagle z krzykiem rzuciła się w stronę ciała.

- Terence! - Uklękła i roztrzęsionymi dłońmi dotknęła twarzy męża. Odgarnęła mu włosy z czoła i zauważyła obfitą strugę krwi wyciekającą z głębokiej rany w głowie.

- Matko Boska! - Błyskawicznie zwinęła szal i przycisnęła do rany, próbując powstrzymać krwawienie. - Terence! Terence!

Przez chwilę myślała że umarł. Nagle poruszył powoli głową i z trudem otworzył oczy. Rzęsy zatrzepotały jak skrzydła motyla uwiecznionego za szybą.

513

- Terence, trzymaj się. Muszę iść po pomoc.

- Simeon...

Już wiedziała, kto to zrobił. Nie sam Simeon, bo ten nie brudziłby sobie rąk, ale jego woźnica, który miał powstrzymać Terence'a, kiedy jego chlebodawca ją szantażował.

Terry oblizwał zakrwawione wargi.

- Czy on cię... skrzywdził? - mówił coraz słabszym głosem.

- Nie, nie! To straszny człowiek, ale nie. Nie może mnie już skrzywdzić.

- Ale... skrzywdził.

- Kochany, nic nie mów. Porozmawiamy później - łkała.

- Przepraszam... Zabiłbym go, gdybym... mógł. Dla ciebie. Było jasne, że domyślił się wszystkiego*! mimo to nadal

ją kochał. Wszystko pojął i wybaczył.

- Wiem. Wiem, że byś go zabił, najdroższy, ale teraz najważniejsza jest pomoc. Błagam, nie umieraj!

Trzymaj się! Zaraz wrócę. Tu obok są domy...

- Dziecko. Opiekuj się moim... dzieckiem.

- Zaopiekuję się. Na pewno. Obiecuję... ale ty mi w tym pomożesz. Zajmiemy się naszym dzieckiem razem. Tylko musisz mi pozwolić...

- Pozwól, by pomógł Rowan.

Nie zamknął oczu, ale przestał ją widzieć. Usta rozchyliły się bezwiednie, a głowa opadła na bok.

- Terence! - Szarpała go za ramię, przylgnęła do niego. - Terry! Nie opuszczaj mnie! Nie zostawiaj!

Kiedy ustał deszcz, nadal błagała męża o jakiś znak życia, ścisnęła w rękach jego dłoń. Ktoś z domu na wzgórzu przyszedł, by sprawdzić, dlaczego na drodze jakaś kobieta krzyczy wniebogłosy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Gdyby znalazł się ktoś chętny, sprzedałaby dom przy Tyler Street, ale ci, którzy mieli pieniądze, szukali mieszkań na wzgórzu. Irlandczycy przenosili się na zachód, jak najdalej od cuchnącej rzeki. Rowan złożył propozycję kupna domu, ale odmówiła. I tak zbyt długo pozostawał na Wyspie tylko po to, żeby pomóc im finansowo i nie mogła pozwolić, by dalej się dla niej poświęcał.

Ojciec McSweeney nalegał, żeby została w pokoju gosposi na plebanii, lecz gdyby się na to zgodziła, z wypłaty potrącano by opłaty za czynsz i wikt, a za dom nie musiała w ogóle płacić, więc postanowiła w nim pozostać. A także, pomimo eerasz głośniejszych plotek sąsiadów, pozostał z nią Rowan.

- Myślisz, że niby co oni tam robią? - Rozeźlona Katie ofuknęła największą plotkarę w okolicy, kiedy ta zaczęła dopytywać się o Lenę i Rowana. - Biedula ma taki brzuch, że ledwo chodzi, rozpacza po śmierci męża, i gdyby nie ten dobry chłop, co się nią opiekuje, chybaby nie przeżyła. Kiedy pali się czyjś dom, leć pędem do swojego i pilnuj ognia, kobieto!

Lena przeżywała śmierć Terence'a tak bardzo, że Katie drżała na myśl by nie wyrządziła krzywdy sobie i dziecku, i wszelkimi sposobami starała się podtrzymać przyjaciółkę na duchu. Bała się, że Lena umrze z wycieńczenia, bo prawie nie jadła i nie spała. Wciąż chodziła do pracy, sprzątała plebanie i przyrządzała posiłki ojcu McSweeneyowi, ale nie była już tą samą, zawsze uśmiechniętą, towarzyską i pełną energii

kobietą. Nocami całymi godzinami szlochała cicho w łóżku, które do niedawna dzieliła z ukochanym mężem.

Pogrzeb był bardzo uroczysty. W Świętej Brygidzie i na cmentarzu zebrało się więcej osób, niż ktokolwiek mógł się spodziewać, bo Terence'a lubiano i podziwiano za dzielność w walce o odzyskanie sprawności po wypadku.

Jego śmierć przeraziła mieszkańców Wyspy Whiskey. Od chwili kiedy pierwsi Irlandczycy wzniesli tu pierwsze chaty i otworzyły swe podwoje bary, Wyspa stała się obszarem bezprawia, gdzie codziennie dochodziło do bijatyk i kradzieży, ale morderstwa zdarzały się niesłychanie rzadko. I oto ktoś zabił Terence'a Tierneya; powalił kalekiego człowieka uderzeniem kamienia w głowę i zostawił go, by wykrwawił się na śmierć w strugach ulewnego deszczu. Dlaczego dopuszczono się tak bestialskiej zbrodni? Terence praktycznie nic nie posiadał, nie miał ze sobą pieniędzy ani kosztowności. Nie wykradł nikomu pracy czy żony, nie kopnął niczyjego psa czy dziecka. Jego żona nosiła w łonie ich potomka.

Lokalni mieszkańcy zorganizowali nocne patrole porządkowe, a Rowan rozpoczął śledztwo na własną rękę. Wysłuchał relacji Leny o wydarzeniach tamtego tragicznego wieczoru. Powiedziała, że James Simeon zmusił ją do rozmowy, i że jego woźnica został wysłany naprzód, aby zatrzymał Terence'a, jeśli ten wejdzie na wzgórze, by jej szukać.

Powiedziała też, że kiedy wysiadła z powozu i zaczęła schodzić w dół, minął ją jakiś mężczyzna. Odezwał się do niej i zauważyła, że utykał, ale nie potrafiła go opisać, bo kapelusz zasłaniał mu twarz. Chociaż знаła woźnicę Simeona z czasów pracy w jego posiadłości, nie potrafiła z całą pewnością potwierdzić, że to był właśnie on.

Rowan rozmawiał z woźnicą, ale jego ojciec - ogrodnik Simeona - przysięgał, że syn wrócił z przejażdżki z panem

zupełnie suchy, jakby w ogóle nie było deszczu. Tłumaczył, że zdołali się przed nim skryć, a burza rozhulała się w chwilę po tym, jak wrócili do posiadłości. Sam woźnica był bardzo miły dla Rowana i z chęcią pokazał pojazd.

Lena w pierwszym odruchu chciała obwiniać Simeona o śmierć Terence'a, ale po namyśle uznała, że nie miałyby powodu zabijać człowieka, którego zamierzał dręczyć wiadomościami o niewierności żony. Podła natura tego człowieka czerpała wszak największą przyjemność z udreń, zadawanych ofiarom.

Przez długi czas spodziewała się kolejnego spotkania z Si-meonem. Sądziła, że powtórzy swoją ofertę powrotu do pracy, przypominając jej, że niedługo będzie miała na utrzymaniu dziecko. Minał jednak miesiąc, potem drugi, a Simeon się nie pojawił. W końcu doszła do wniosku, że zaniechał dalszych prób. Sama wyglądała już jak beczka, a bogacz mógł przebierać w pięknych kobietach. Po śmierci Terence'a mógł po prostu o niej zapomnieć.

- Rowan przyniósł wieści, które dodały Lenie otuchy i potwierdziły to, czego wcześniej się tylko domyślano. Którejś nocy wrócił po pracy do domu i zastał ją w bujanym fotelu, który podarował jej Terence w dniu ślubu. Wpatrywała się w zimny kominek, choć przed wyjściem ułożył w nim drewno.
- Lena? Powinnaś być w łóżku. Spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.
- Nigdy nie śnię o Terrym To dziwne, nie sądzisz?
- Za wcześnie na to. Będziesz śnić, kiedy miną najgorsze dni.
- Siadaliśmy tak często, ja w fotelu, on na tym krześle - pokazała na proste krzesło w rogu. - Czytał mi. Prawie słyszę jego głos.
- Znajdziemy człowieka, który go zabił, Leno.

517

- Mężczyźni szukają zemsty, a kobiety wspominają. Rowan kucnął przy kominku.

- Mam wiadomości, które mogą cię zainteresować.

Nie chciała o niczym słyszeć, ale ten człowiek był jej drogi i nie zamierzała w żaden sposób go urazić.

- Co takiego?

- Dotyczą Simeona.

Od dłuższego czasu zastanawiała się, jak wiele Rowan się domyśla. Nie zdradziła mu najważniejszego momentu ostatniej rozmowy z Simeonem, ale wiedział, że była zmuszona do niej siłą. Czy miał świadomość, co jeszcze musiała znosić?

Udała, że oglądała swoje dłonie.

- Czy ktoś go wreszcie zabił?

- A ktoś chciał to zrobić?

. - Ma raczej niewielu przyjaciół. - Wzruszyła ramionami.

- Zą to wkrótce będzie miał syna lub córkę.

Siedziała absolutnie nieruchomo. Czuła, jak zdradziecki rumieniec wypływa jej na policzki, ale jeśli Rowan go zauważył, nie dał nic po sobie poznać.

- Jego żona jest w ciąży - wyjaśnił. - W tym miesiącu miała wracać do domu, ale zostaje w Anglii aż do narodzin dziecka. Nie wiedzieli o tym, kiedy wypływała. Pani Simeon odkryła to dopiero po kilku tygodniach pobytu w Europie, ale pamiętam, jak Nani mówiła, że jej pani przez całą podróż miała torsje. To pewnie były pierwsze objawy.

- Kto ci o tym powiedział?

- Bloomy. Mówi, że Simeon jest szczęśliwy jak nigdy przedtem. Zatrudnił architekta, żeby zaprojektował dodatkowe skrzydło domu i jedzie do Nowego Jorku po meble do nowych wnętrz.

Dziecko z całą pewnością będzie otoczone najlepszymi rzeczami.

- Nie zastąpią mu dobrego ojca.

- Może ojcostwo go zmieni? Mówią, że dzieci potrafią to sprawić.

- Będzie traktował swojego potomka jak swoją własność, tak jak traktuje wszystkich, którzy pojawiają się w jego życiu. Ten człowiek nie potrafi kochać i jest za późno, by mógł się tego nauczyć.

- Nienawidzisz go, prawda?

Nie miała siły na nienawiść, nawet wobec Simeona.

- Cieszę się, że ma coś, co pochłania jego myśli. Jeśli skupi się na rzeczy, której pragnie, być może zapomni o wszystkim innym.

- O wszystkim czy o wszystkich?

Wiedziała, że Rowan pragnie, by mu zaufała. Zastanawiała się, czy powinna tak uczynić. Ojciec McSweeney i Terence wybaczyli jej grzechy, ale co do Rowana nie miała takiej pewności. Postrzegając świat oczami policjanta: to jest czarne, a to białe. Bała się, że gdyby znał całą prawdę, mogłaby stracić jego przyjaźń.

- Wszystko jedno - odpowiedziała. - Zawsze ogniskuje myśli na jednej sprawie, w danej chwili dla niego najważniejszej. Teraz to będzie dziecko.

- Martwisz się, że... - zawahał się, jakby chciał dobrze dobrać słowa - ...znów zainteresuje się tobą? Podniosła wzrok, lecz nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, że coś podobnego miało miejsce.

- James Simeon zniknął z mojego życia i jestem za to niezmiernie wdzięczna Bogu. Kiedy żona urodzi mu dziecko, będzie się mógł poświęcić jego wychowaniu.

Zastanawiała się nad ciążą Julii Simeon. Dziwiła się, że w ogóle do niej doszło, bo wiedziała dobrze, jak układało się pożycie Simeona z żoną. Gdy mieszkała w Cleveland, mógł kontrolować każdy jej ruch, ale nie był w stanie utrzymać ści-

słego nadzoru, kiedy wyjechała do Europy. Tam z całą pewnością zażywała zasłużonej wolności. Dni Leny upływały w ustalonym rytmie. Wstawiała wcześnie rano i oporządzała domostwo, a później przygotowywała śniadanie Rowanowi i czekała na bryczkę, którą ojciec McSweeney posyłał po nią co rano.

Nawet kiedy nadeszły ostatnie tygodnie ciąży, ksiądz nie kazał jej zostać w domu, gdyż doskonale wiedział, jak bardzo potrzebowała pieniędzy. Praca nie była ciężka i kiedy parafianie zaczęli szemrać, że nie powinien zatrudniać kobiety w zaawansowanej ciąży, zaproponował, żeby zebrali się na jej pensję, aby mogła udać się na odpoczynek. Szemranie natychmiast ucichło.

Lena wciąż posyłała pieniądze do Irlandii. Rodzice Terence' a byli zrozpaczeni wiadomością o śmierci syna. W liście napisanym przez ojca McSweeneya obiecała, że nadal będzie oszczędzać na ich podróż za ocean.

Jest to winna Terence'owi i chce mieć ich przy sobie, razem ze swoją matką. Wspólnie będą mogli wychowywać wnuka lub wnuczkę i zacząć nowe życie.

Tak naprawdę nie miała pewności, czy Tierneyowie dożyją czasu, kiedy zbierze odpowiednią sumę, bo bez zarobków Ter-ry'ego oszczędzanie będzie trudne. Mimo to każdego miesiąca dokładała niewielką sumkę do metalowej puszkki pod łóżkiem. Przynajmniej to dawało jej nadzieję.

Przez Bożym Narodzeniem dźwigała już ogromny brzuch i choć zima była najłagodniejsza, jaką pamiętała, obawiała się chodzić po oblodzonych chodnikach Wyspy Whiskey. Rowan spędzał więcej czasu w domu niż w pracy, korzystając z tysiąca wymówek. Tłumaczył, że żaden z przyjaciół nie miał ochoty na piwo, albo narzekał na ból głowy lub zmęczenie. Każdego poranka pomagał jej wsiąść na bryczkę, a każdego

wieczoru - wysiąść z niej. Zresztą ojciec McSweeney postępował wobec niej identycznie.

Od czasu do czasu wpadała Katie, przynosząc zupę lub świeży chleb, i kiedy Lena wracała do domu, kolacja była gotowa. Zgodnie z obietnicą, przyjaciółka zajęła się szydełkowaniem i skończyła właśnie malutkie śpioszki. Lena, która nie zdążyła uszyć nawet prostej kołderki, wpatrywała się w ubranko i zastanawiała, jak będzie wyglądać dziecko, dla którego te śpioszki są przeznaczone.

Każdą sobotę adwentu, jak i same święta, spędziła w Świętej Brygidzie na modlitwach, aby nie trawić czasu na samotnych rozmyślaniach o Terrym. Dziękowała Bogu, kiedy minął ostatni miesiąc roku, choć zbliżał się czas rozwiązania, którego tak się bała.

Pewnej nocy, na trzy tygodnie przed wyznaczonym przez akuszerkę terminem, wyszła z plebanii i czekała na bryczkę. Noc była bardzo ciemna, zupełnie bezgwiezdna, oświetlona tylko zamglonym księżycem Lena owinęła się paltem, na ile tylko pozwolił jej wydęty brzuch i przestępowała z nogi na nogę.

Była zmęczona bardziej niż zwykle. Miała nadzieję, że zimny wiatr zaczerwieni jej policzki i Rowan nie będzie się zamartwiał, że za ciężko pracuje. Ostatnio zaczął strofować ją za to, że nadal jeździ na plebanie. Chciał nawet dać jej pieniądze, byle tylko została w domu.

Rowan był czułym mężczyzną i oddanym przyjacielem, ale nie chciała, by przyjaźń stanowiła dla niego ciężar. Zamierzała pracować tak długo, jak tylko będzie mogła i planowała jak najszybciej wrócić do roboty po porodzie.

Czekała, wpatrując się w milczący pejzaż pod ołowianym niebem i napawała się mroźnym, rześkim powietrzem. Domy wokół Świętej Brygidy obsypał śnieg, a z okapów zwisały sople lodu. Kiedy zerknęła na wskazówki zegara na wieży pobl-

skiego banku, sprawdzając, czy nie zamarły, zauważyła, że przygląda się jej jakiś człowiek. Musiał się kryć, bo inaczej spostrzegłaby go wcześniej. Stał za marmurową kolumną wyraźnie po to, by ją obserwować.

Zaparło jej dech w piersiach i natychmiast pomyślała o Si-meonie. Siłą powstrzymała się przed odwróceniem wzroku, a więc przed odruchem, który by ją zdradził, aż upewniła się, że obserwator był znacznie niższy i najprawdopodobniej młodszy. Próbowała przypomnieć sobie twarz stangreta Simeona, ale w ciemności nie mogła rozróżnić rysów.

Tupot kopyt oznaczał, że nadjeżdżała bryczka. Nie odwróciła się, ale widziała, jak nieznajomy rozplynął się w cieniu i zniknął.

- Dozorca - wyszeptała, żeby się uspokoić. - Albo urzędnik, który zasiedział się nad rachunkami. Wytłumaczenie miało sens, bo choć zapadł już zimowy zmrok, godzina nie była wcale późna. W bankowych biurach nadal mógł ktoś pracować, a ten człowiek wyszedł na chwilę, by zażyć świeżego powietrza.

Lecz kiedy spojrzała w górę, zobaczyła, że wszystkie okna banku są ciemne.

Bloomy, choć zasadniczo była przeciwna „papieskiej” religii, przysłała na pogrzeb Terence'a. Z powodu dużej liczby żałobników zamieniła z Leną zaledwie parę słów i od tamtej pory się nie widziały, aż wreszcie wpadły na siebie przez przypadek pewnej soboty, w dwa dni po tym, jak Lena zauważyła obserwującego ją mężczyznę. Robiły zakupy na tym samym targu, choć Bloomy zwykle tu nie bywała. Bardzo ucieszyła się na widok swojej byłej pomocnicy.

- Leno! - Spojrzała na jej ogromny brzuch. - Nie miałam pojęcia!

Lena wcale się nie zdziwiła. Rowan, jak zawsze ostrożny, nie przekazałby tej wiadomości nikomu w domu Simeona, a wątpiła, by ktokolwiek stamtąd miał przyjaciół na Wyspie Whiskey.

- Tak, nosiłam dziecko już wtedy, gdy zabito Terence'a.

- Pewnie wkrótce rozwiązanie?

Lena zaczynała dochodzić do przekonania, że nastąpi wcześniej, niż zapowiedziała akuszerka. Nie czuła się dobrze, a w nocy obudził ją silny ból w brzuchu. Dziecko wydawało się spokojniejsze, jakby zbierało siły przed trudną przeprawą.

- Całkiem niedługo - odpowiedziała.

Nie chciała wysłuchiwać żadnych plotek na temat Simeonów. Zapytała Bloomy o zdrowie, wysłuchiwała kilku porad co do wychowania dzieci i pożegnała się serdecznie.

Rowan się spóźnił. Martwiła się, bo rzadko się zdarzało, że nie pomógł jej wysiąść z bryczki ojca McSweeneya. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała jego kroki przed domem.

Tyle że Rowan nie przyszedł sam. U jego boku stała Nani, z zaczerwienioną od długiego płaczu twarzą.

- Nani? - Lena spojrzała na Rowana, oczekując na wyjaśnienia.

- Mamy ci coś do powiedzenia i pomyślałem, że Nani powinna to zrobić sama.

Lena usiadła w fotelu i splotła ręce na brzuchu. Czuła się coraz gorzej i nie chciała stać dłużej, niż to było konieczne.

- Zawsze jesteś tu mile widziana, Nani.

Rowan przysunął z kąta krzesło Terence'a i usadził dziewczynę, a sam przysiadł na ławeczce przy kominku.

- Nie mogłam pomóc ci... wcześniej - zaczęła Nani bez wstępów. - Próbowałam...

Lena spojrzała na Rowana. Nie dziwiły go słowa przyjaciółki. Zastanawiała się, od jak dawna wiedział, i ile.

- Leno, wiem, że Simeon zmuszał cię do pewnych rzeczy. Wiem to od jakiegoś czasu.

Zamknęła oczy. Jej policzki płonęły, poczuła nagle klucie w brzuchu.

- To jednak nie wszystko - dodał Rowan. - Wysłuchaj Nani.

- Bloomy powiedziała mi dziś o dziecku. Lena przełknęła ślinę i otworzyła oczy.

- To dziecko Terence'a. Nani cisnęły się łzy do oczu.

- Wy płynęłam z panią Simeon do Europy. Nie pojawiłaś się w pracy w dniu przyjęcia, nie było cię też, kiedy wróciłam, a nikt nie potrafił mi powiedzieć dlaczego. Mówili tylko, że tak samo jak innym Irlandczykom, nie można było ci ufać.

- Mam nadzieję, że uważasz inaczej? - powiedziała Lena.

- Wstyd mi, że ci nie pomogłam.

- Nie mogłaś nic na to poradzić, Nani. Sama bardzo długo myślałam, że nie mam wyjścia z tej sytuacji.

- Mogłaś przyjść do mnie. - Rowan swoim zwyczajem uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Już ja bym to przerwał!

Lena przyglądała mu się uważnie. Był naprawdę wściekły. Z natury nie należał do ludzi porywczych, ale zawsze ochraniał tych, których kochał.

- I co byś zrobił? Zabił go? Jak mogłabym pójść do ciebie, Wiedząc, że tak rozwiązesz sprawę? A może myślisz, że Simeon okazałby skruchę po wzruszającej mowie? Nie mogłam cię w to wplątać, Rowanie. Jesteś mi zbyt drogi, żebym ryzykowała twoje życie.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko! - zapewnił drżącym z emocji głosem.

Po raz pierwszy zauważyła coś, czego wcześniej nie dostrzegała. Uczucia Rowana do niej były bardziej skomplikowane niż przyjaźń i dużo silniejsze niż zwykłe zauroczenie.

Pojęła, że mężczyzna, w którym znalazła oparcie od dnia śmierci męża, po prostu ją kochał.

- Nie... nie mogłam niszczyć ci życia.

- Więc pozwoliłaś Simeonowi zniszczyć twoje.

- Nie! Sama dałam sobie z tym radę. Z pomocą ojca McSweeneya znalazłam wyjście i teraz jestem bezpieczna. Simeon już mnie nie chce. Jeśli zapragnie kobiety, znajdzie sobie nową, młodszą i hienaznaczoną urodzeniem dziecka. Do tego sam wkrótce doczeka się potomka.

Twarz Nani była mokra od łez.

- Leno, pani Simeon nie może mieć dzieci. Ona nie da mu potomka.

- Jest w ciąży, Rowan mi powiedział. Wie to ód Bloomy. Ponoć Simeon przygotował pokoje dzieciinne. O czym ty mówisz?

- Ona nie może mieć dzieci - powtórzyła Nani. - Wysłał ją w podróż, dla stworzenia po... - próbowała przypomnieć sobie właściwe słowo - ...pozorów. Wiem to. Powiedziała mi, "kiedy płynęłyśmy statkiem. Coś jest nie tak z jej ciałem. Nigdy nie urodzi dziecka. Ma udawać ciążę. Nawet jej rodzina o tym nie wie, tylko lekarz.

- Ale dlaczego? Po co? Po co budować dodatkowe skrzydło domu dla dziecka, które nie istnieje? Na pewno się mylisz, Nani.

- W nowym skrzydle będzie mieszkało dziecko, tyle że nie pani Simeon.

Lena była zbyt zmęczona, by pojąć złowrogi sens tych słów.

- Znajdzie dziecko w Anglii? A może wiedzą o dziecku, które potrzebuje rodziców i adoptują je?

Dlatego wypłynęła?

- To rzeczywiście mógłby być jakiś plan. - Rowan wziął ją za ręce i schował jej dłonie w swoich, jakby wiedział, że trzeba je ogrzać. - Ale zastanów się przez chwilę. Czy Simeon

wybrałby obce dziecko, czy raczej wolałby te, o którym myśli, że jest jego? Nawet jeśli nie jest tego do końca pewien? Lena nagle zrozumiała, co próbuje się jej powiedzieć.

- Niece!

Chciała wyrwać ręce, ale Rowan mocno je przytrzymał.

- Czy ten człowiek, mając wybór, wzięłby dziecko obcych ludzi? Musi mieć spadkobiercę, więc zaplanował inną ciążę tak, by wyglądało, że spłodził dziecko z żoną.

- Na pewno się mylicie. - Lena dyszała ciężko, jakby dziecko zabrało jej całe powietrze. - Nigdy nie prosił mnie, bym urodziła mu potomka.

- On nie należy do tych, którzy o cokolwiek proszą - stwierdził posepnie Rowan.

- Tak... i należy do tych, którzy płacą za to, czego chcą. Wierzy, że wszystko można kupić. Gdyby chciał mojego dziecka, oferowałby mi pieniądze. - Przypomniała sobie o monetach, które jej rzucał, gdy zaspokoił już swą chęć. Nadal miała w kuchni każdego centa.

- A po co miałby przychodzić przed narodzeniem dziecka? Zgłosi się po nie później. Wie, że nie masz zbyt wiele i będzie opowiadał, jaką zapewni mu fortunę. Przypomni ci, jak bardzo go nienawidzisz, i ile zgryzot przyczyni ci wychowywanie jego potomka. Zaoferuje ci sumę, która wystarczy na stworzenie sobie nowego życia. Będziesz mogła sprowadzić rodzinę z Irlandii i przeprowadzić się w lepsze miejsce. Jedyne, co będziesz musiała zrobić, to oddać mu dziecko, którego tak naprawdę nie chcesz.

Nie miał racji, bo pragnęła tego dziecka jak nigdy dotąd, mimo że nie była pewna, czy jego ojcem jest Terence. Dopiero teraz zdała sobie z tego w pełni sprawę. Nagle poczuła w sobie dziwną siłę.

- Tuż przed śmiercią Terry prosił, bym zatroszczyła się

o jego dziecko - powiedziała, prostując się. - Wiedział... domyślał się, co zrobił mi Simeon, a mimo to nadal nazywał to dziecko swoim. Mój synek... lub córeczka... nigdy nie będzie Simeona. Nigdy!

- Wiesz, że wybrał cię z rozmysłem - ciągnęła bezlitośnie Nani. - Twoje włosy są rude, i włosy pani Simeon też mają lekko rudawy odcień.

- Wybrał mnie... - Na samą myśl o tej kolejnej podłości Lenie zrobiło się niedobrze, ale czuła, że Nani ma rację. Od razu ją zauważył. Podziwiał jej temperament, witalność, inteligencję. Wciąż to powtarzał. Ale to, co uważała za pochlebstwa, było tylko wymienianiem cech, których szukał u matki swojego dziecka. U zarodowej klaczy.

Wybrał ją do krycia, jak wybiera się klacz dla najlepszego ogiera. Mówił jej o tym, tyle że wtedy go nie zrozumiała.

Bezwładnie odrzuciła głowę do tyłu, na oparcie fotela. Rowan puścił jej rękę.

- Co mam teraz zrobić? - zapytała po chwili. - On nie przyjmie pokornie odmowy. Znajdzie sposób, by odebrać mi dziecko.

- Musisz zniknąć z miasta - stwierdził stanowczo Rowan - i to przed porodem. Musimy ukryć siebie i dziecko do momentu, kiedy Simeon nie będzie miał wyboru i wypłynie do Europy. Wszystkim zapowiedział, że zamierza spędzić ostatni okres ciąży żony u jej boku w Anglii, by zobaczyć pierwородnego potomka. Zabierze żonę do Londynu, gdzie jest najlepsza opieka medyczna.

- Tam, w wielkim mieście, łatwiej będzie ukryć, że nie było żadnej ciąży ani porodu - dodała Lena.

- Jeśli będzie zmuszony wypłynąć bez twojego dziecka, znajdzie osieroczone niemowlę w Anglii - uzupełnił Rowan. Elementy upiornej łamigłówki zaczynały wreszcie pasować.

- Ma wypłynąć wtedy, kiedy wyznaczono ci termin porodu

- powiedziała Nani. - Służba już o tym szepcze. Wszyscy uważają, że zwlekanie z wyjazdem jest bardzo dziwne. Zastanawiają się, co będzie, jeśli rozwiązanie przyjdzie przed czasem.

- Jak to, co? Julia urodzi z opóźnieniem, ale to się przecież zdarza - zadrwił Rowan.

- Tak, to wszystko tłumaczy. Ale gdzie ja mam jechać?

- westchnęła Lena. - Nie mam pieniędzy, poza tym, co... zaoszczędziłam na przyjazd rodziny z Irlandii.

- Mam pieniądze w banku - powiedział Rowan - ale mogę je wydostać dopiero w poniedziałek. A wtedy może być już za późno.

- Ja mam trochę. - Nani wstała. - Przyniosę ci je. Lena pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę wziąć tych pieniędzy.

- Musisz. Proszę...

Nani wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Nie mogła pomóc, kiedy była najbardziej potrzebna, ale mogła zrobić to teraz.

- Dobrze, wezmę. Dzięki ci.

, - Nie masz pojęcia, jak się cieszę. - Nani wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Rowan wstał także.

Lena poczuła ten sam ostry ból, który obudził ją w nocy. Siedziała nieruchomo, czekając, aż minie.

- Nie zbiorę dość pieniędzy nawet z tymi, które dołoży Nani - odezwała się stłumionym głosem.

Rowan stał przed nią, obracając w rękach kapelusz.

- Pójdę do ojca McSweeneya. Znajdzie jakiś sposób, żeby mi pożyczyć, a później wsadzę cię do pociągu do Chicago. Mam przyjaciół z Mayo, którzy się tam osiedlili. Pozwolą ci zostać i pomogą znaleźć pracę po porodzie.

528

- A co z tobą?

- Kiedy będziesz zupełnie bezpieczna, kiedy dziecko podrośnie i uporasz się z żałobą...

- Co wtedy?

- Wtedy też tam pojedę.

Nie mogła na niego spojrzeć. Nie wiedziała, co myśleć

o tym wszystkim, a już na pewno nie o nowym związku.

- Simeon nas znajdzie.

- Nie będzie miał powodów, żeby szukać, jeśli już zaadoptuje inne dziecko. Kiedy będzie wybierał jakiegoś sierotę w Anglii, nie będzie miał pojęcia, czy powiłaś córkę, czy syna, z jasnymi czy z ciemnymi włosami. Dostanie szalu, ale pamiętaj, że to wytrawny biznesmen i nie zmarnuje zainwestowanych pieniędzy. W końcu najważniejsze jest nie dziecko, ale wizerunek Simeona.

Nadal nie wierzyła, że to dobre rozwiązanie. Dobrze знаła tego potwornego człowieka i wiedziała, że będzie szukał zemsty do końca swoich dni.

Ale jaki miała wybór?

- Wezmę potrzebne rzeczy. Kiedy wrócisz, będę gotowa. Naszykuję też potrzebne drobiazgi dla ciebie.

- Bardzo dobrze, ale w tej sytuacji nie mogę zostawić cię samej. Pójdę po Seamusa Sullrana, niech zostanie z tobą do mojego powrotu.

Ostatnie Chwile w swoim małym domku Lena chciała spędzić w samotności, ze wspomnieniami o ukochanym Terryem i o życiu u jego boku, wiedziała jednak, że Rowan słusznie martwi się o jej bezpieczeństwo. Przypomniła sobie człowieka, który obserwował ją pod bankiem.

- Powiedz Seamusowi, żeby dał mi chwilę samotności, a później niech zapuka dwa razy, a wtedy go wpuszczę.

- Już pędzę. Nie otwieraj drzwi nikomu poza Seamusem!

529

- Powiedz ojcu McSweeneyowi, że jest mi bardzo przykro, ale niestety muszę wyjechać w ten sposób. Poczula w ustach smak łez. Bardzo żałowała, że nie może pożegnać się z księdzem Tyle dla niej zrobił, choć nie zasłużyła sobie na jego dobroć.

- On to zrozumie, Leno. - Rowan ruszył do drzwi, zatrzymując się w progu, żeby zapiąć płaszcz. - Uważaj na siebie. Niedługo po ciebie wrócę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Pakowanie nie sprawiło większego kłopotu, bo Lena posiadała niewiele. Śpioszki od Katie i kilka innych rzeczy, które zebrała dla dziecka, wetknęła do torby, którą przywiozła z Irlandii, oraz dodała swoje ubrania i przybory do mycia. Miała mały portret Terence'a w metalowej ramie. Owinęła go chusteczką i delikatnie włożyła w bezpieczne miejsce. Jeszcze tylko szczotka do włosów - i była gotowa. Wspięła się z trudem na strome schodki do pokoju Rowana. Rozbolały ją plecy, a kłucie w brzuchu pojawiało się i znikало falami. Mimo to nie sądziła, by zaczynał się poród. Brakowało jeszcze paru tygodni do terminu, a bóle nie przypominały tych, których miała się spodziewać. Zaczęła odczuwać coraz silniejsze nudności i zastanawiała się, czy nie zjadła czegoś zepsutego. W ostatnim czasie stołowała się na plebani i zmartwiła się, że mogła zaszkodzić też ojcu McSweeneyowi.

W pokoju Rowana znalazła małą skórzaną torbę i włożyła do niej czyste ubrania, zebrała też przyrządy do golenia. Pomieszczenie było tak malutkie i duszne, że zastanawiała się, jak Rowan potrafił zachować humor, mieszkając w takiej klitce. Kiedyś myślała, że został na Tyler Street ze względu na przyjaźń z Terence'em i być może na początku tak było, teraz jednak wiedziała, że znosił te trudne warunki również dla niej.

Nigdy wcześniej słowem ani gestem nie dał do zrozumienia, że czuje do niej coś więcej niż przyjaźń. Zeszła na dół. Seamusa nadal nie było. Zdziwiło ją to, ale

wcale nie zmartwiło. Skoro Simeon do tej pory się nie pojawił, przyjdzie dopiero po porodzie. Do tego czasu nic więc jej nie grozi, a z odrobiną szczęścia będzie bezpieczna w Chicago, u przyjaciół Rowana. Może tam zacząć nowe życie, znaleźć pracę i stworzyć dom. Znajdzie dla siebie i dziecka pokój w kamienicy, kościół do modlitwy, park, w którym będą spacerować i sycić się świeżym powietrzem. Nauczy syna lub córkę kochać proste rzeczy. Przetrwają.

Kiedy w końcu sięgnęła pod łóżko po puszkę z oszczędnościami, pomyślała o rodzicach Terence'a. Już wcześniej wyjęła pieniądze ze słoja w kuchni. Nigdy ich nie chciała, ale stwierdziła, że uczyni słuszenie, jeśli wyda je po to, by pomieszać Simeonowi szyki. Płacił, żeby ją upokorzyć, a teraz jej zniknięcie doprowadzi go do szału.

Wyjęła pudełko i wcisnęła wszystkie oszczędności do torby.

- Koguty pieją, a kury znoszą jaja, Jamesie Simeonie - powiedziała głośno, używając jednego z licznych powiedzeń Katie. Trudno, pewnie nie zdoła sprowadzić Tierneyów ani matki do Cleveland, ale ochroni w ten sposób ich jedyne wnuka przed krzywdą. Miała pewność, że chcieliby, aby przede wszystkim myślała o dziecku.

Postawiła torby przy drzwiach. Seamus nadal nie nadchodził. Była wyczerpana, jakby wspinała się na wzgórze do Świętej Brygidy albo ciągnęła wózek z jedzeniem do doków. Usiadła, by odpocząć i załapała ją kolejna fala bólu, wywołując silne nudności.

Zwiesiła głowę, siedząc z rozszerzonymi kolanami, a kiedy najgorszy ból minął, poczuła, że w kroku rozlewa się jej fala ciepłej cieczy. Z przerażeniem patrzyła, jak sukienka i halka przesiąkają wodami.

- Matko Boska...

Myliła się, ależ się myliła! To muszą być wody, które od-

chodzą przed porodem. Nie można było już powstrzymać dziecka przed przyjściem na świat. Nieważne, że miała uciekać do Chicago, że spakowała torby, a Rowan pojechał do ojca McSweeneya pożyczyć pieniądze. Zaczęła rodzić. Może trochę za wcześnie, a może... Może we właściwym terminie, jeśli zaszła w ciążę wcześniej, niż do tej pory myślała.

Jeżeli tak było, dziecko musiało być Simeona.

Nie, poród na pewno jest przedwczesny, dziecko musi być Terence'a, przecież niektóre kobiety rodzą kilka tygodni przed terminem. Jeśli nie dzieje się to zbyt wcześnie, dzieci są zdrowe i silne, tyle że mniejsze. Tak mówiła Katie. Mówiła też, że czasem zdarza się to drobnym, szczupłym kobietom, jakby ich ciała Wypychały niemowlęta, zanim staną się za duże, aby mogły wydostać się na świat. Katie знаła się na tych sprawach. Kiedy przyjdzie Seamus, może po nią pobiec, a później przyprowadzić akuszerkę. Będzie w pobliżu, żeby ich pilnować do czasu, aż przyjdzie Rowan. Lena urodzi dziecko, a później wyjadą z Rowanem do Chicago. Simeon dowie się o dziecku, kiedy jej już tu nie będzie.

Rozważała wyprawę do domu Sullivanów, ale kiedy ból znów zaatakował, zrozumiała, że to niemożliwe. Nie miała dość sił, żeby przebyć taką drogę, a fale bólu napływały coraz częściej.

Dziecko mogło urodzić się w ciągu kilkunastu minut lub kilku godzin. Nie miała pojęcia, co się stanie.

Wiedziała natomiast, że musi zdjąć z siebie mokre ubranie. Drugą koszulę nocną spakowała do torby, ale zdołała ją wyciągnąć i dowlec się do sypialni. Ból ani trochę nie ustępował i rozbierała się, modląc się, aby Seamus nie wszedł, dopóki nie zmieni koszuli. Akuszerka mieszkała na drugim końcu Wyspy, a jej stare nogi nie były już zdolne do szybkiego marszu. Zanim zabrałaby potrzebne rzeczy i dotarła do domu Leny, dziecko mogłoby już się urodzić.

Ale Seamus sprowadziłby Katie, a ta umiałaby zrobić wszystko, co trzeba.

Kiedy skończyła zmagania z koszulą, położyła się, żeby złagodzić ból w plecach. Myślała o nocy, kiedy po raz pierwszy od wypadku kochała się z Terrym i kiedy najprawdopodobniej stała się brzemienna. Z tą myślą usnęła. Obudził ją kolejny przyptyw bólu, a gdy minął i nie wracał, zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, nie miała pojęcia, ile upłynęło czasu, ale ból niemal rozrywał jej ciało. Przeczekała najgorsze chwile, wbijając palce w materac i zaciskając zęby.

Chryste, gdzie się podziewa Seamus? Rowan i Nani wyszli dawno temu. Miał przyjść chwilę później. Ale gdzie on jest? To dobry przyjaciel i nie zostawiłby jej samej, gdyby wiedział, że jest w niebezpieczeństwie. Może nie było go w domu? Może Katie poszła go szukać? Ale przecież Katie sama by do niej przyszła, gdyby słyszała, że Lena potrzebuje pomocy.

Znów przyszło jej do głowy, żeby pójść do Sullivanów, ale kolejny skurcz sprawił, że ostatecznie odrzuciła ten pomysł. Nie miała nawet pewności, czy zdoła otworzyć drzwi, żeby wpuścić Seamusa. Ból dosłownie ją pożerał, a kiedy na chwilę mijał, padała wyczerpana na poduszki. Odzyskiwała i traciła przytomność na przemian, ciągle powstrzymując się od krzyku.

Rowan odprowadził Nani do tramwaju i udał się do ojca McSweeneya. Niepokoili go świadomość, że Lena została sama w domu, gdzie z łatwością może ją dopaść Simeon. Pocieszał się jednak, że kiedy tylko powie Seamusowi o Lenie, ten natychmiast skończył palić fajkę i zaczął przygotowywać się do wyjścia. Lena była bezpieczna z tym spokojnym, uśmiechniętym człowiekiem, który nie zawahałby się złamać kark każdemu, kto chciałby skrzywdzić kogoś, kogo kochał.

A Lenę kochali wszyscy. Była dobrym duchem, światłem w mrocznym świecie, przeszła jednak tak wiele i Rowan za nic nie mógł dopuścić, by pokonał ją zdeprawowany milioner, który zdążył wyrządzić jej tyle zła.

Rowan także kochał Lenę. Czasem myślał, że zakochał się już w dniu jej ślubu. Przez całe lata nie przyznawał się do tych uczuć, ale zawsze z radością przebywał w jej towarzystwie. Kochał również Terence'a i boleśnie przeżył śmierć najlepszego przyjaciela, lecz teraz, kiedy Terry odszedł, po raz pierwszy mógł otwarcie przyznać, że kocha jego żonę. I choćby nie wiem co się działo, dopilnuje, by przetrwała ten ciężki okres.

Ze względu na Terence'a i ze względu na siebie.

Okna plebanii były ciemne, ale w gabinecie ojca McSweeneya nadal świeciła się lampa. Rowan domyślał się, że ksiądz przygotowuje niedzielne kazanie. Wszedł na podwórze i zapukał w szybę. Ojciec McSweeney spojrział na niego, a Rowan wskazał na drzwi.

Przywitali się w holu.

- James Simeon ma zamiar przywłaszczyć sobie dziecko Leny - powiedział bez zbędnych wstępów. - Ułożył skomplikowany plan, żeby ukryć prawdziwe zamiary, ale taki jest jego cel.

- Ale przecież jego żona jest w ciąży...

- Wcale nie. - Rowan w telegraficznym skrócie wyjaśnił całą sytuację. - Jest tylko jedno rozwiązanie.

Lena musi niezwłocznie stąd wyjechać. Mam na to dość pieniędzy, ale mogę je podjąć z banku dopiero w poniedziałek, a my nie możemy czekać. Chcę ją zabrać do Chicago następnym pociągiem.

- Tam, gdzie w innych gnieździ się dusza, u Simeona panuje zimna pustka - stwierdził z powagą ksiądz.

- Może ojciec pomóc?

- Nie mam przy sobie dość pieniędzy. Możemy oczyścić skarbonkę, ale to i tak na niewiele się zda. Zamiast tego mogę iść do jednego z parafian, który wspomagał mnie już w podobnych przypadkach.

- Pójdzie ojciec do niego? Dla Leny?

- A musisz zadawać takie pytania? - W miejsce spokoju na twarzy księdza pojawiła się złość. - Ona jest kimś wyjątkowym. Robię dla niej, co tylko mogę, ale zawsze za mało. Każdy sposób jest dobry, byle tylko pomóc jej w ucieczce przed tym wcielonym diabłem.

- Poczekam. Może ksiądz wyjść w tej chwili?

- Już pędzę. Później pojedę z tobą. Chcę się pożegnać z Leną. Rowan chciał wyjść zaraz, lecz doszedł do wniosku, że

księżą bryczką może dojechać na Wyspę o wiele szybciej.

- Po pieniądze pójdę pieszo - rzekł kapłan - a ty w tym czasie przygotuj bryczkę. Jak wrócę, popędzimy na Whiskey, a potem zabiorę was oboje na dworzec.

- Będę gotowy.

Ojciec McSweeney poklepał go po plecach i poszedł po palto.

Bóle przeszły w niekończącą się agonię. Już nie było końca ani początku. Lena była przekonana, że umiera, a dziecko nie chce z niej wyjść, by ukarać ją za to, że kiedyś rozpaczała z powodu ciąży.

Strach przed śmiercią minął, teraz czekała tylko na jej nadejście, bo chciała już mieć za sobą to ogromne cierpienie. Straciła nadzieję na przyjście akuszerki lub Katie i zamiast tego oczekiwała ojca McSweeney, żeby udzielił jej ostatniego namaszczenia.

Nagle ogarnęła ją niewytłumaczalna potrzeba wypchnięcia dziecka z łona. Ciało żądało od niej niemożliwego, a przecież

pogodziła się już z myślą; że umrą oboje - i ona, i dziecko. Razem, tak jak żyli nierozłączni przez te wszystkie miesiące. A jednak, mimo wyczerpania, mimo rezygnacji i nieudanych wcześniejszych prób, jej ciało zaczęło pracować samo.

Rodziła, choć prawie mdlała z bólu. Przez moment mogła odpocząć, a potem wszystko zaczynało się od nowa - ból i parcie, ból i parcie.

Za każdym razem myślała, że więcej nie da rady, mimo to próbowała. Nie panowała nad mięśniami, a dziecko nie chciało się wycofać. Kiedy myślała, że skona z wysiłku, poczuła między nogami wybuch gorąca i nagły brak parcia.

Nie miała dość siły, żeby od razu sprawdzić, co się stało. Oddychała głęboko, upojona zniknięciem bólu. Zrozumiała, skąd ta ulga, kiedy podniosła się na rękach i zobaczyła, że główka dziecka tkwi na zewnątrz. Ostatnim wysiłkiem chwyciła delikatnie noworodka i pomogła mu się wydostać ze swojego ciała

Trzęsła się tak bardzo, że ledwie trzymała niemowlę. Odwróciła je głową do dołu i lekko poklepała po malutkich, zaczerwienionych pleckach. Widziała że tak robią położne. Przeraziła się, że maleństwo nie oddycha ale chwilę później usłyszała cichy płacz.

Żyło! Dopiero kiedy upewniła się, że swobodnie oddycha, odwróciła je w swoją stronę. Miała syna - Błogosławiona Mario... - Wciąż była wycieńczona i drżała na całym ciele. Musiała jeszcze przeciąć pępowinę, która wciąż łączyła ją z dzieckiem, musiała ochronić synka przed zimnem i pozwolić, by się posilił.

Robiła wszystko bardzo powoli. Pępowinę odcięła za pomocą sznurówki i brzytwy Rowana, z którą od jakiegoś czasu się nie rozstawała. Bardzo ostrożnie obmyła noworodka i siebie, a następnie owinęła maleństwo dużym miękkim pledem

tak, że ledwie było je widać. Oparła się plecami o ścianę i przytuliła do siebie niemowlę.

Dopiero wtedy zaczęła mu się uważnie przyglądać.

Był malutki, o wiele mniejszy, niż się spodziewała. Odchyliła pleś, by zobaczyć główkę. Porastały ją mięciutkie, intensywnie rude włoski, w odcieniu nie tak jasnym jak u Terence'a ani ciemnym jak u Simeona lecz takim, jaki miały jej włosy. Malec sam dokonał wyboru, który najbardziej mu służył.

Długo przyglądała się twarzy noworodka, szukając wskazówek co do ojcostwa ale w końcu zrozumiała, że jest sobą, nie zaś czyjąś kopią.

Nigdy nie będzie wiedziała, co tak bardzo zdeprawowało duszę Simeona, ale była pewna że nie urodził się z ziarnem zła w sercu. Nawet jeśli urodziła jego dziecko — a prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie - potrafi je wychować w miłości do Boga i bliźnich.

- Nazwę cię Terence Rowan - powiedziała ale po chwili zmieniła zdanie. - Terence Patrick Rowan.

Będiesz mi przypominał wszystkich tych wspaniałych mężczyzn, kochany Terry.

Maluch skrzywił się, a Lena przytuliła go czule i głaskała po plecach, żeby się uspokoił.

W tym momencie usłyszała walenie do drzwi. Seamus, nareszcie!

Próbowała podnieść się z łóżka żeby mu otworzyć, ale zanim zdołała to zrobić, usłyszała trzask wyłamywanego zamka i uderzenie otwartych z impetem drzwi.

W wejściu stał James Simeon i patrzył na nią dzikim wzrokiem.

- Co ty masz w sobie, że ludzie są wobec ciebie tacy lojalni, Leno? Całe zastępy mężczyzn się o ciebie troszczą - wydyszał wściekle.

538

Nie mogła uwierzyć; że to naprawdę on. Śniła jakiś koszmar.

- Teraz jest o jednego mniej - uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby.

- Coś ty zrobił?!

- Co ty zrobiłaś, kochanie? Urodziłaś już moje dziecko? Właśnie kiedy przyszedłem cię stąd zabrać, żebyś miała lepsze warunki?

- Gdzie Seamus?

- Oddałaś nam obojgu wielką przysługę, wiesz? Przygotowałem się na definitywne pozbycie się twojego obrońcy. Teraz to nie będzie konieczne. Mogę zabrać dziecko i zniknąć. Ty oczywiście też musisz zniknąć. Powiedz tylko, dokąd chcesz jechać, i załatwione.

- Co zrobiłaś Seamusowi?

- Obawiam się, że twój Seamus obudzi się rano z tęgim bólem głowy, ale i tak miał szczęście, bo gdyby zobaczył moją twarz, już by nie żył. A teraz tylko leży nieprzytomny pod

-jednym z barów. Dobrze się bronił, no i jest ciężki. Miałem spory kłopot, żeby go tam niepostrzeżenie zaciągnąć.

- Zgnijesz w piekle, draniu!

- Co urodziłaś? Mam nadzieję, że chłopca.

- Nie twój interes. - Przytuliła mocniej niemowlaka. - To dziecko nigdy nie będzie należało do ciebie. Jest moje!

- Masz tylko dwie możliwości, Leno. Możesz pójść ze mną i opiekować się dzieckiem do czasu, kiedy wypłynę do Londynu, a później wyjechać z pieniędzmi, które ci dam na rozpoczęcie nowego życia. Mogę też zabrać dziecko siłą. Jeżeli taka będzie twoja decyzja, będzie też ostatnia, bo przecież nie będę mógł wierzyć, że zachowasz naszą tajemnicę, prawda?

Lena zmusiła się, aby zacząć trzeźwo myśleć. Zdawała sobie sprawę, że musi walczyć nie tylko o życie syna, ale

i o swoje. Jeśli odda mu dziecko dobrowolnie i tak nie zaufa jej, że będzie milczała. Dziwiła się tylko, że wierzył, iż zdoła ją oszukać.

- Są ludzie, którzy znają prawdę. Jeśli zniknę bez śladu, domyślą się, co zrobiłeś.

- Tylko czy znajdą na to dowody?

- Może nie, ale powiedzą o tym wszystkim, którzy zechcą słuchać i twoje imię zostanie zszargane

- A co to zmieni? Już teraz jestem znany z bezwzględności. Zresztą zadbam i o to. Zostawisz list, że zdecydowałaś się wyjechać i zacząć nowe życie. Potrafisz pisać, prawda? - Nie czekał na odpowiedź.

- Będę miał dokumenty ponad wszelką wątpliwość potwierdzające, że moja żona urodziła to dziecko w Londynie, a niemowlę z niańką popłynę na innym statku niż mój, żeby nikt się niczego nie domyślił. W Anglii też będziemy podróżować osobno. Pouczyłem już opiekunkę, że ma dobrze ukryć dzieciaka, kiedy dojedzie do posiadłości, w której rezyduje moja żona. Pomyślałem o wszystkim, kochanie - dodał z triumfalną miną.

- Myślisz, że ktoś uwierzy w taki list? - Wzruszyła pogardliwie ramionami. - I jeśli zniknę, nikt nie będzie się zastanawiał, dlaczego to zrobiłam?

- Kilka miesięcy temu doszło na Wyspie do strasznego morderstwa. O ile się nie mylę, ofiarą był twój mąż, prawda? Jestem pewien, że ludzie szybko skojarzą fakty. Mąż zostaje zamordowany, żona znika z miasta. Jakże przykra będzie prawda o tym wzorowym stadle. Smutna nowina dla Irlandczyków, którzy tak cenią życie rodzinne!

- Są ludzie, którzy nie spoczną, dopóki nie zostaniesz osądzony.

- Mało mnie to wszystko obchodzi - warknął i ruszył w jej stronę. - Chłopiec czy dziewczynka, gadaj!

Chciała nakłonić go do mówienia, przetrzymać do powrotu Rowana. Gdyby doszło do walki, Rowan z pewnością nie dałby się pobić jak stary Seamus.

Chyba że Simeon miał broń.

Przesunęła się niepostrzeżenie na środek łóżka, gdzie trudniej było ją dosięgnąć.

- Dokąd planowałeś mnie zabrać? Muszę wiedzieć, skoro mam się na to zgodzić, nie uważasz?

- Do mojego letniego wiejskiego domu w Bratenahl. Szkoda, że zima jest taka łagodna i nie ma dość śniegu, żeby zorganizować kulig. Pamiętam, jak podobała ci się przejażdżka saniami.

- To tam miałam urodzić dziecko?

- Planowałem zatrudnić niańkę. Zapomniałem, że wy Irlandczycy rozmnażacie się tak łatwo, jak bezdomne koty. - Stał przy łóżku. - Chłopiec czy dziewczynka?

Wiedziała, że dla uzyskania cennego czasu musi mu powiedzieć.

- Chłopiec. Terence Patrick Rowan.

- Syn. - Uśmiechnął się blado. - James Worthington Simeon. Worthington to rodowe nazwisko Julii, choć ma z tym malcem niewiele wspólnego. Dobrze się spisałaś, Leno. Chciałem chłopca. I mam go. -

Wyciągnął ramiona

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie zamierzam ci go dać. A jeśli będziesz próbował zabrać go siłą, możesz zrobić mu krzywdę. Naprawdę ci na tym zależy?

Mierzył ją wzrokiem tak długo, że zaczęła drżeć ze strachu.

- Pokaż mi jego twarz - powiedział w końcu.

- **Co** zrobisz, jeśli w ogóle ciebie nie przypomina?

- Myślisz, że tak łatwo się wykręcisz? Dziecko jest moje. Wszystkie niemowlęta wyglądają jednakowo. Pokaż mi jego twarz!

Drżącymi dłońmi odgarnęła plec. Terry usnął.

- Ma rude włosy, dokładnie jak ja Twoja żona nie jest tak ruda.

Zerknął na dziecko, później spojrział na nią.

- Masz rację, ale nie widziałaś jej matki.

- Od początku miałeś wobec mnie takie plany?

- Od pierwszego spotkania.

- Jedno dziecko ci wystarczy, czy zamierzasz postarać się po raz kolejny?

- Jeśli nawet, nie będzie to już takim wyzwaniem i przyjemnością, jak w tym wypadku.

- A jesteś w ogóle zdolny do płodzenia dzieci? Zrobiłeś już jakieś bękarty, czy mały Terry to" twój pierwszy? Wiesz, teraz zaczęłam się zastanawiać, czy pomyślałeś kiedyś, że to nie twoja żona jest winna. Może to ty nie możesz spłodzić potomka?

Strzelała w ciemno, ale jego gwałtowna reakcja potwierdziła że sam miał takie wątpliwości.

- Mam całe stado bękartów! To kolejny, tyle że pojawił się w odpowiednim momencie! - wykrzyknął, zaciskając pięści.

Przesunęła się pod ścianę, byle dalej od niego.

- Popatrz, a ja słyszałam coś zgoła innego - odezwała się szyderczo. - Ponoć twoja żona twierdzi, że nigdy nie dasz jej dziecka. Mówi, że kiedy z nią jesteś, nie potrafisz robić rzeczy, które robią mężczyźni i właśnie dlatego płacze, kiedy przychodzisz do jej łóżka Z doświadczenia wiem że może mieć rację.

Z okrzykiem wściekłości rzucił się na nią, tak jak chciała. Zeskoczyła na podłogę i popędziła w stronę drzwi, przyciskając niemowlę do piersi. Upłyną cenne sekundy, zanim Simeon się podniesie i pobiegnie za nią. Gdyby zdołała wybiec na próg, mogłaby krzyczeć. Domy stały blisko siebie, a okna nie były zbyt szczelne. Gdyby ktoś ją usłyszał, byłaby ocalona.

542

Dopadł ją, zanim dotknęła klamki, i szarpnął ku sobie z całej siły.

- Już zapomniałaś, jak to jest mieć moje ręce zaciśnięte na szyi? - wycedził.

Dziecko zaniosło się krzykiem.

- Zrobisz mu teraz krzywdę? Po tylu staraniach, żeby go dostać? Zabijesz go, nim jeszcze przepłyniesz ocean?

Rozluźnił uścisk, ale tylko na tyle, by mogła swobodnie oddychać. Czuła, że mimo całej furii nie chciał jej teraz zamordować. Gdyby odnaleziono jej ciało i stwierdzono zniknięcie dziecka, wybuchłby skandal, którego nawet on nie zdołałby zatuszować.

- Widzę, że już spakowałaś torbę - z wysiłkiem zapanował nad głosem. - W takim razie ruszamy. Będzie lepiej dla ciebie, jeśli wyjdziemy, zanim pojawi się ten policjant, bo inaczej obudzi się w niebiosach. Zabiję każdego, kto wejdzie tymi drzwiami.

- Nie jestem ubrana.

- Masz trzy minuty, żeby się ubrać i napisać list. Daj mi małego.

- Wiesz, jak trzymać niemowlę? - Szukała sposobu na to, żeby nie rozstawać się z synkiem, ale nie potrafiła nic wymyślić.

- Daj mi mojego syna! - Simeon potrząsnął ją dziko za ramiona.

Posłuchała go.

- Ubieraj się - rzucił w jej stronę, układając sobie dziecko na ramieniu.

Lena wyszukała w torbie ubranie. Przyglądał się, jak je wkłada. Trzymał maleństwo jak przedmiot i nawet nie próbował go uciszać, kiedy zaczęło płakać,

- Ma mocne płuca - skomentował. - i dużo energii. Skoro

już się ubrałaś, weź z kieszeni mojego płaszcza papier i pióro i napisz ten list.

Nie spieszyła się, wiedziała, że każda sekunda jest bezcenna. Wyjęła przybory do pisania, usiadła za stołem i jak najwolniej kreśliła dyktowane przez niego słowa. Niestety, list nie był zbyt długi.

- Daj mi go teraz - zażądała, kiedy skończyła. Simeon oddał Terry'ego bez protestów, co trochę ją zdziwiło. Przytuliła małego i płacz ucichł.

- Jest głodny - stwierdziła. - Muszę go nakarmić.

- Możesz to zrobić w powozie.

- Będzie za zimno.

- Dość!

- Pozwól mi chociaż wziąć najcieplejszy płaszc. Będę mogła lepiej okryć nim siebie i małego.

- Bierz go prędko! Musimy przejść kawałek do powozu.

- Nie boisz się, że każdy rozpozna twój powóz? Kiedy się okaże, że znikłam, wszyscy domyślą się, czyja to sprawa.

- Nie jestem taki naiwny, głuptasku. Myślałaś, że przyjechałbym moim landem w takie miejsce?

Dopiero teraz zauważyła coś, co wcześniej uszło jej uwagi. James Simeon nie był ubrany jak zwykle, bogato i wytwornie, lecz wyglądał jak robotnik. Z nasuniętą na czoło czapką i postawionym kołnierzem wyglądał jak setki innych mężczyzn, chodzących po tutejszych ulicach.

Lena traciła wszelką nadzieję na ratunek.

- Płaszcz leży przy kominku - powiedziała cicho.

- Bierz go wreszcie - rzucił niecierpliwie.

Minęła go i z Terryem przy piersi poszła do pokoju dziennego. Simeon ruszył za nią i obserwował z tyłu, jak zdejmuje płaszc z wieszaka i zarzuca na siebie jedną ręką.

Fałdy obszernego okrycia ułożyły się w szeroki wachlarz

544

i niespodziewanie Lena dostrzegła szansę na uratowanie siebie i dziecka.

- Nie mogę zapiąć guzików jedną ręką - powiedziała, nie odwracając się. - Pomożesz mi? To zapewni ciepło twojemu synowi.

Podszedł do niej i zaczął nerwowo zapinać guziki. W wolnej ręce trzymała pogrzebacz, który potajemnie chwyciła z kominka, kiedy Wkładała płaszcz. Zamachnęła się i z całej siły rąbnęła Simeona w ramię, aż usłyszała trzask kości. Odskoczyła, kiedy rzucił się na nią, wyjąc z bólu.

Uderzyła go jeszcze raz, prawie w to samo miejsce, ale wciąż była osłabiona i mężczyzna wyrwał jej oręż. Mimo to czuła, że nawet teraz nie śmie jej uderzyć w obawie przed uszkodzeniem dziecka.

Odwróciła się i pobiegła do kuchni, a Simeon rzucił się za nią. Złapał ją za poję płaszcza, zanim zdążyła szarpnąć kuchenne drzwi. Błyskawicznym ruchem chwyciła rondel z hartowanej stali, zamachnęła się i z całej siły uderzyła napastnika między oczy.

Zwalił się na podłogę i znieruchomiał.

Zabiła Jamesa Simeona.

19 styczeń 1884

Diabeł przybiera wiele postaci, ale przekłete dusze, które mają mu służyć, i tak go znajdują. Nie powstrzyma ich szansa, dana przez Boga, ani błogosławieństwa. Budzą się każdego ranka z zamiarem zniszczenia niewinności i zbyt często kładą się do snu zadowolone z dobrze wykonanej pracy.

Człowiek wprawiony w szukaniu zła doświadczy go w najmniej prawdopodobnych miejscach. Tak samo dzieje się z dobrem. Uczciwy człowiek odnajdzie w sobie i jedno, i drugie, i czasami nie będzie potrafił wskazać między nimi różnicy.

Poprzedniej nocy pojechałem do domu Tierneyów, żeby pomóc Lenie w ucieczce z miasta. Wszedłem z Rowanem, a kiedy zawołaliśmy Lenę, odpowiedział nam płacz dziecka.

Znaleźliśmy ją w kuchni. Do piersi przyciskała nowo narodzonego syna, a u jej stóp leżało ciało Jamesa Simeona. Próbował porwać dziecko. Broniła się przed nim, używając garnka z własnej kuchni.

Czy byłoby dobrem donieść o takim przestępstwie?

Z pamiętnika ojca Patricka McSweeney, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, Ohio.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Marzec 2000

Niccolo wszedł do domu kuchennymi drzwiami. Poszukiwania pamiętnika ojca McSweeneya okazały się bezowocne.

- To jedna z tych tajemnic, którą ksiądz zabiera ze sobą do grobu - powiedział Iggy, kiedy skończyli przeglądać ostatnie pudło. - Szczególnie wtedy, gdy dowiaduje się o czymś w konfesjonale. Gdyby napisał o mordercy Simeona, nie zostawiłby pamiętnika, aby ktoś niepowołany go nie znalazł. Nie zdziwiłbym się, gdyby tajemnica została pochowana razem z nim.

Pochowana, utajona gdzieś głęboko w umyśle Rooneya Donaghue. Niccolo z wielkim trudem pogodził się w końcu z myślą, że nie pozna prawdy. Powiązania Simeona z rodziną Donaghue na zawsze pozostaną niejasne.

Zbliżała się czwarta nad ranem. Spodziewał się, że kuchnia będzie pusta, a tymczasem zastał przy stole Megan z głową złożoną na rękach.

- Megan?

Popatrzyła na niego nieprzytomnie, mrugając zaczerwienionymi, zaspanymi oczami.

- Nick? Wróciłeś? Odsłuchałeś moją wiadomość?

- Nie. Zostawiłaś ją na sekretarce Iggy'ego? Siedzieliśmy w bibliotece parafialnej.

- Tak właśnie myślałam. Nic nie znaleźliście, prawda?

547

Pokręcił głową.

Sięgnęła po coś na kolana i wyciągnęła spod stołu gruby notes. Przez chwilę Niccolo myślał, że to pamiętnik, który tak sumiennie przepisywał, potem jednak zauważył, że ten egzemplarz jest nieco mniejszy, a skóra okładek o wiele bardziej zniszczona. Wziął zeszyt do ręki.

- Skąd to masz? - Przysunął sobie krzesło.

- Od Rooneya.

- Był tu jeszcze raz?

- Dwa razy w ciągu jednego dnia. Myślę, że to dobry znak, Nick. Myślę, że będzie wracał coraz częściej, aż pewnego dnia po prostu zostanie i wtedy zorganizujemy dla niego pomoc. Jest taki smutny i taki... chory zaczęła łkać: Niccolo wziął ją w objęcia i przytulił bardzo mocno.

- Wiem, Megan.

- Nigdy nie chciał nas opuszczać - płakała. - Teraz już to wiem. Nie miał jednak wyboru, bo przestał kontrolować to, co się z nim działo.

- Słyszysz głosy, których my nie możemy usłyszeć. Są dla niego tak samo realne, jak mój głos dla ciebie.

- Można mu jakoś pomóc? Kiedy w końcu u nas zostanie? Kiedy nabierze pewności, że może nam zaufać?

- Myślę, że to możliwe. W leczeniu chorób psychicznych dokonał się ogromny postęp.

- Zostawił mi pamiętnik, bo chciał, żebym zrozumiała. Myślę, że to dobry znak. Aż tak mi zaufa!

- Co w nim jest?

- Krótko? Rosaleen zabiła Jamesa Simeona. Ojciec Mc-Sweeney zastał ją, kiedy , stała nad trupem.

- Wiesz, dlaczego?

- Bo Simeon był wcieleniem diabła. Gwałcił ją i szantażował, kiedy u niego pracowała, a później, gdy zaszła w ciążę,

próbował odebrać jej dziecko. Broniła się tak, jak potrafiła. Zabiła go rondlem w swoim małym domku. - Megan próbowała uśmiechnąć się przez łzy. - Trzymaj się z dala od kuchni, kiedy jestem wściekła.

- A jej mąż?

- Rosaleen wychodziła za mąż dwukrotnie. Jej pierwszym mężem był niejaki Terence Tierney. Ojciec McSweeney był przekonany, że James Simeon ponosi odpowiedzialność za jego śmierć.

- Pamiętasz, co czytałem o Terensie i Lenie w poprzednim pamiętniku? Ojciec McSweeney darzył ich szczególną sympatią.

- Rowan Donaghue, mój prapradziadek, był najlepszym przyjacielem Terence'a i wynajmował pokój w jego domu. Po śmierci Terence'a odkrył zamiary Simeona. Chciał zabrać Rosaleen do Chicago, żeby oddzielić ją od prześladowcy. Zdaje się, że to właśnie Rowan zaciągnął ciało Simeona na drugi koniec Wyspy, być może pomagał mu też ojciec McSweeney. Tego jeszcze nie wiem, bo właśnie skończyłam czytać o samym zabójstwie. Jest jeszcze trochę tekstu, a reszta stron pozostała pusta. McSweeney to bardzo subtelny i dyskretny człowiek, więc musiałam czytać między wierszami.

- Chronił swoich parafian. - Niccoło próbował poskładać wszystko w jedną całość. - Lena pracowała dla ojca McSweeney jako gosposia. Kiedy Simeon ją wykorzystał, musiała się z tego wypowiadać. Ksiądz dowiedział się o wszystkim i zaangażował się w całą sprawę. Do tego stopnia, że opisał ją w pamiętniku, niejako łamiąc tajemnicę spowiedzi.

- Lecz jak dziennik księdza dostał się w ręce Rooneya, Nick? Dlaczego mój ojciec go miał?

Bo jego powinnością miało być przechowanie tajemnicy. Mówił ci o tym, kiedy dorastałaś, pamiętasz?

549

- Więc przez te wszystkie lata nie mówił o bigosie i baraninie?
 - Na to wygląda.
 - Dziś powiedział mi, że to ja powinnam być następną, która przechowa tajemnicę. Rozpaczał, że nie wykonał należycie zadania. Płakał. Myślę, że bierze gwiazdy za swoich przodków. Wierzy, że go obserwowały i że zawiódł je, bo odkryto szkielet na wyspie.
 - Po śmierci Terence'a i Simeona Rosaleen musiała poślubić Rowana - myślał głośno Niccolo. - Później otworzyli bar i spółdzili dzieci, ale gdyby odkryto prawdę o śmierci Jamesa, Rosaleen oskarżono by o morderstwo.
 - Myślisz, że oni ukradli pamiętnik z plebanii po śmierci ojca McSweeneya? - zapytała podniecona Megan.
 - Możliwe. Tylko dlaczego go nie zniszczyli?
- Megan wstała. Niccolo także wstał i objęli się ramionami.
- Bo to historia silnej kobiety. Kobiety, która posunęła się do najgorszego, żeby chronić swoje dziecko
 - powiedziała z powagą. - Może chcieli, żeby ich potomkowie wiedzieli, jak było?
 - A może chcieli, żebyś wiedziała, kim był naprawdę twój prapradziadek?
- Odchyliła się od niego i spojrzała mu w oczy.
- Naprawdę?
 - Bo w takim razie ty i Rooney jesteście potomkami pierwszego syna Leny?
 - Zgadza się. Był dziadkiem Rooneya i miał na imię... Terry. Zdrobnienie od Terence'a. Nosił nazwisko Donaghue, ale masz rację, musiał być tym dzieckiem, które chciał zabrać Simeon. Rowan na pewno adoptował je po ślubie z Rosaleen.
 - Jesteś potomkiem Terence'a Tierneya... - zawahał się - ..czy może Jamesa Simeona?

- To straszne pytanie, Nick.
- Myślę, że Rosaleen zadawała je sobie do końca swoich dni.
- Nigdy się nie dowiem, prawda? Mogę się tylko modlić, żeby płynęła we mnie krew ubogiego irlandzkiego imigranta, a nie zepsutego milionera.
- Powiem ci, co myślę. - Czule dotknął jej włosów. - Prawdę przekazywano w wielkiej tajemnicy z pokolenia na pokolenie, aby pewnego dnia, gdy ktoś" odkryje szczątki Simeona i opowie o tym, co go łączyło z Rosaleen, można było przedstawić prawdziwą historię Leny. A pamiętnik to rodzaj dowodu, dlatego został zachowany.
- Musiał być ktoś", kto znał powiązania Rosaleen z Simeonem - podążała za jego myślami Megan. - Służba w posiadłości Simeona. Ludzie z Wyspy Whiskey. Ktoś mógł go to widzieć albo ktoś z Alei Milionerów orientował się, jak traktował Rosaleen. Gdyby znaleziono jego ciało, odkryto by prawdę. Wspomnienia o tamtych latach nadal krążą w opowieściach, listach i pamiętnikach, co oznacza, że również następne pokolenia orientowały się w całej sprawie na tyle, by wykorzystać poszlaki, jeśli takie by się pojawiły.
- Właśnie, a pamiętnik ojca McSweeneya idealnie nadawał się jako dowód w sądzie.
- Biedna Rosaleen. - Megan mocniej przytuliła się do Niccola. - Musiała do końca swoich dni żyć w lęku przed aresztowaniem.
- Tyle że nie wiadomo, jak by się to skończyło. Simeon był zniechęcony...
- Ale Irlandczycy także - dokończyła jego myśl.
- Trzeba doczytać pamiętnik i ustalić resztę faktów.
- Przełożę to na jutro. Chciałbyś go przeczytać ze mną?
- Jeśli tego zechcesz...

551

Położyła mu dłonie na ramionach.

- Chciałabym wielu rzeczy, Nick. I chciałabym zapomnieć o wielu rzeczach.

- Myślę, że z częścią sobie już dziś poradziłaś.

Tym razem uśmiechnęła się naprawdę pięknym, kobiecym uśmiechem, który wyjaśniał prawie wszystko.

- Przystanę wreszcie ratować cały świat - szepnęła, tuląc się do niego. - **i** przestanę udawać kogoś, kim nie jestem. Jest tyle spraw, których nie dostrzegałam, a jeszcze więcej takich, których nie rozumiem. Zaczynam odkrywać to wszystko. Tylko za wolno się uczę.

- A kim naprawdę jesteś?

- Mam dużo siły, ale nie tyle, by poradzić sobie bez osób, które kocham. - Po raz pierwszy przyznała to szczerze. - A ja kocham tylu ludzi, Nick! Siostry, rodzinę... - załamał się jej głos - ...ojca.

- Wszyscy oni mają ogromne szczęście, że darzysz ich miłością.

- I jeszcze ten mężczyzna, który pojawił się niedawno w moim życiu. Który nie odszedł, dopóki nie zaczęłam czuć tego, co czuję teraz. To silny mężczyzna, ale potrzebuje odpowiedniej kobiety, która dzieliłaby jego marzenia, przyszłość i codzienność.

- Co z nim? - zapytał pełen obaw.

- Jego też kocham.

Serce Niccola wypełniła nieopisana radość. Megan czule ujęła jego twarz w dłonie.

- Pytałeś mnie, kim jestem. Myślę, że przede wszystkim kobietą, która potrzebuje nas, razem. Jeśli oczywiście mnie zechcesz.

Nie pytał, jak wyobraża sobie ich związek. Mieli dość czasu na ustalenie szczegółów. Miał nadzieję, że całe życie. Dlatego nic nie mówił, tylko pocałował ją długo, namiętnie.

552

W końcu cofnął się, drżąc z pożądania.

- To była długa noc - wyszeptał. - Możesz jej ostatnie godziny spędzić w moim łóżku, jeśli tylko tego chcesz.

- Wstanę wcześniej i będę udawać, że spałam z Peggy i z Alice Lee.

Wyciągnął do niej rękę, lecz Megan pokręciła głową.

- Jest jeszcze coś, co muszę zrobić, Nick. Poczekasz chwilę?

- Oczywiście.

- Chodź ze mną.

Poprowadziła go do dziennego pokoju we frontowej części domu. Razem z pomocnikami zamienił go w bardzo przytulne pomieszczenie z pomalowanymi na kość słoniową ścianami i czynnym ceglanym kominkiem, sercem prawdziwego domu. Obserwował Megan, jak bierze lampę z gzymsu kominka i przenosi na szafkę pod frontowym oknem.

- Włącznik jest po lewej. - Odgadł, co zamierza zrobić, ale nie pomógł jej. Nie chciał zakłócać intymnego rytuału.

Znalazła przycisk i włączyła lampę. Jej blask rozświetlał okno niczym latarnia morska.

- To dla ciebie, Rooney - powiedziała łagodnie. - Proszę, wróć bezpiecznie do domu. Kiedy przyjdiesz, będziemy na ciebie czekać.

19 stycznia, 1884

Ze wszystkich grzechów człowieczych najgorszy jest ten, który daje największą przyjemność.

Dokończę teraz opowiadać historię, by w przyszłości nie było pytań o to, co zaszło.

Rowan zabrał Lenę z kuchni, a później z domu. Niósł ją z dzieckiem na rękach aż do Sullivanów.

Powiedziano mi, że później przywlókł się tam Seamus z kneblem w ustach i przegubach skrepowanych sznurem, niemal sparaliżowany przez mróz Wyjdzie z tego, ale przewiduję, że nikt już nie będzie mógł liczyć na jego litość w podobnych sytuacjach.

Zostałem przy zwłokach Simeona i czekałem na powrót Rowana. Wydaje mi się, że bez słów zgodziliśmy się, co z nim zrobić, choć jestem przecież księdzem, a on policjantem. Noc była wyjątkowo ciemna. Najpewniej sam Simeon czekał na podobną noc, stworzoną dla popełnienia zaplanowanego grzechu. Stojąc w tej ciasnej kuchni, myślałem o tym, jak niepostrzeżenie wynieść ciało Simeona i gdzie je pogrzebać, aby minęło wiele lat, zanim ktoś odkryje jego kości.

Jezioro było tej nocy wzburzone silnym, zimnym wiatrem i stało się jasne, że nie zdołamy pogrążyć ciała w odmętach Erie bez narażania własnego życia, natomiast z uwagi na łagodną zimę grunt mógł być na tyle miękki, by wykopać dół.

Kiedy przemyślałem, jak przenieść ciało, człowiek u moich stóp poruszył się. Wcześniej dwukrotnie sprawdzałem puls, ale nic nie wyczułem. Okazało się, jak bardzo się pomyliłem.

Simeon poruszył się znowu i wydał z siebie niski, bełkotliwy dźwięk. Widziałem, jak otwiera oczy - oczy pełne zła, oczy samego diabła. Wpatrywał się we mnie tak, jak zapewne patrzył na Lenę, gdy ją wykorzystywał.

Nic nie wiem o małżeńskiej miłości. Nic poza tym, co słyszę w konfesjonale. Nigdy nie kochałem kobiety, albo do tej chwili tak mi się wydawało. Kiedy jednak Simeon próbował się podnieść, ogarnęła mnie głucha wściekłość. Ukląknęłam obok niego - wcale nie po to, by się modlić za jego przekłętą duszę. Zacisnąłem mu palce na szyi, a kiedy próbował się niezdarnie bronić, ścisnąłem jeszcze mocniej, aż znieruchomiał na zawsze.

Tak znalazł mnie Rowan, z rękoma wciąż dławiącymi gardło znienawidzonego człowieka. Pomógł mi wstać i spojrzał prosto w oczy. Wtedy zrozumiał, co zrobiłem i dlaczego.

Opowiadam tę historię w pamiętniku, aby po mojej śmierci poznano prawdę.

Lena Tierney nie zabiła Jamesa Simeona. Razem z Rowanem nie mogliśmy pozwolić, by trwała w przekonaniu, że to zrobiła. Tylko jak mogłem jej powiedzieć, że zabiłem go dla niej? Że myśl o tym, jak cierpiała w jego brudnych łapach, rozwścieczyła mnie tak bardzo, iż zabiłem go, aby ją pomścić? Czyż kobiecie wycucie nie podszeptałoby jej, że ksiądz spowiednik pałał do niej o wiele większym uczuciem, niż pozwalał na to duchowny stan?

W końcu Rowan powiedział Lenie, że to on zabił Simeona. Myślę, że umrze w takim przeświadczeniu. To zresztą mogło

być prawdą, gdyby Simeon ocknął się w obecności Rowana, a nie mojej.

Ale Bóg wie, że ja zamordowałem Jamesa Simeona. Zabiłem tego człowieka powodowany miłością i choć będę błagał o przebaczenie każdego dnia, na pewno nie zaznam łaski. Bo nie czuję skruchy i nigdy nie będę miał wyrzutów sumienia.

Znaleźliśmy powóz który wynajął Simeon i zapłaciliśmy woźnicy, by wrócił do domu, a później razem z Rowanem zakopaliśmy zwłoki w najdalszej części Wyspy Whiskey, w dole w pobliżu opuszczonej przystani. Wydawało się, że grób został przygotowany zrządzeniem opatrności i musieliśmy go tylko zasypać i wygładzić. Kiedy skończyliśmy, zaczął padać śnieg i przykrył ślady naszej pracy.

Potem wróciliśmy do domu Leny i na kuchennej podłodze znaleźliśmy złotą spinkę do mankietów.

Rowan schował ją na pamiątkę tego, co zaszło. Wydaje mi się, że wziął ten talizman, aby późną nocą patrzeć na niego i upewniać się, że Simeon nie żyje, i już nigdy nie będzie dręczył Leny ani jej syna.

Ja za to będę cierpieć do dnia mojej śmierci. Nie przez morderstwo, którego się dopuściłem, ale przez sakramenty, których będę musiał udzielić. Rowan i Lena pobiorą się, kiedy minie żałoba po śmierci Terence'a, a później sprowadzą jej matkę i rodziców Terence'a, by z nimi zamieszkali. Co do tego nie mam wątpliwości. Udzielę im ślubu i ochrzczę ich dzieci. W głębi serca będę wiedział, że właśnie tak powinno być, gdyż będą ze sobą szczęśliwi.

Moim zaś udziałem stanie się udręka.

Któregoś dnia, nim umrę, oddam te zapiski Rowanowi Donaghue, żeby zachował je albo się ich pozbył, zależnie od woli. To dobry i uczciwy człowiek i wiem, że postąpi jak należy.

556

Historia została opowiedziana. Nie osądzaj mnie surowo, ktokolwiek czytasz te słowa, bo jestem tylko człowiekiem. Zrobiłem to, co zrobiłby każdy mężczyzna, kochający kobietę.

Z pamiętnika ojca McSweeney, kościół Świętej Brygidy, Cleveland, Ohio.